

WACŁAW SIEROSZEWSKI

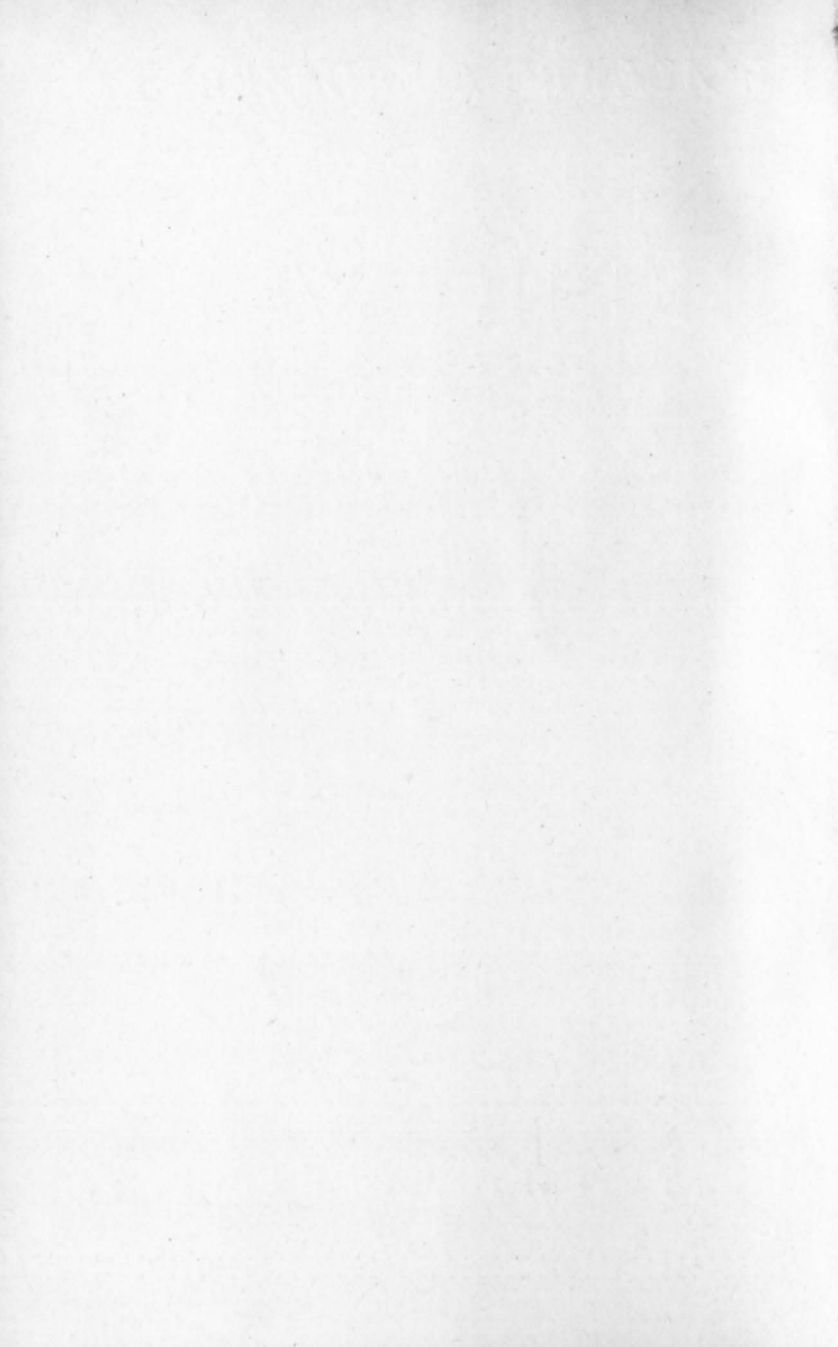
BENIOWSKI

POWIEŚĆ



INSTYTUT LITERACKI
R Z Y M

1947



BENIOWSKI

WACŁAW SIEROSZEWSKI

BENIOWSKI

POWIEŚĆ

BN 2608



INSTYTUT LITERACKI
RZYM

1947

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018603871



EGZ. ARCHIWALNY

I.574.759.

PRINTED IN ITALY

O. G. I. - Officine Grafiche Italiane - Roma - Via Cesena, 14 - Telefono 767 166.

1947 D 253

PRZEDMOWA WYDAWCY

Postać Beniowskiego, budząca za jego życia i bezpośrednio po jego śmierci powszechne zainteresowanie w Europie, stała się przedmiotem sprzecznych ocen w literaturze naukowej. O ile literatura piękna porwana niecodzienną postacią wielkiego awanturnika odmalowuje go z reguły w świetle bardzo przychylnym, o tyle historycy zdzierają z niej płaszcz legendy, którym sam Beniowski okrywał się za życia.

Beniowski zdobywać sobie potrafił wielu przyjaciół, ale jeszcze więcej robił sobie wrogów. Ten stosunek do niego utrzymał się bodaj do dnia dzisiejszego. Dla jednych badaczy jest to wybitny bohater o wielkim sercu, nieustraszony rycerz, nawet głęboki patriota — dla drugich awanturnik, intrygant, oszust.

Poważnym źródłem nieporozumień stały się pamiętniki Beniowskiego, tłumaczone na osiem języków i wydane dwadzieścia kilka razy w różnych miastach europejskich. Jak poniżej zobaczymy, sporną jest kwestia, czy pamiętniki te należy uważać za autentyczne, nie mniej stały się one powodem szeregu nieporozumień, ponieważ bez wątpienia mijają się często z prawdą w opisywaniu wydarzeń.

Podajemy dane z życia Beniowskiego, głównie za artykułem w „Słowniku Biograficznym”. Beniowski

urodził się na Węgrzech w Werbowie, prawdopodobnie w roku 1746. Ojciec jego Samuel, był pułkownikiem w wojsku cesarskim, a nie generałem, jak czytamy w pamiętnikach Beniowskiego — i nie był też hrabią. Zakwestionować należy udział Maurycego w wojnie siedmioletniej, w stopniu podporucznika. Również i dalsze wiadomości o zatargach ze szwagrami na Węgrzech, o wyjeździe na Litwę do stryja, o stosunkach z konfederatami barskimi przed rokiem 1767 — co do niedawna przyjmowano jako fakty bezsporne — są bardzo podejrzaney wartości. Wiadomo, że po kilkumiesięcznym pobycie na Spiżu polskim Beniowski przybył latem 1768 roku do opanowanego przez konfederatów Krakowa, gdzie został zrazu aresztowany jako protestant, później jednak ofiarował konfederatom swe usługi i powrócił na Spiż celem werbowania żołnierzy dla Krzysztofa Radziwiłła. Aresztowany ponownie zdołał zbiec i znalazł się u konfederatów. Z początkiem 1769 roku przybył do Zwańca, gdzie nawiązał kontakt z rodziną Pułaskich i brał — jak się zdaje — udział w bitwach pod Tłustem i Zwańcem. Nie odpowiadają prawdzie wiadomości „Pamiętników” o bitwach, jakie Beniowski miał stoczyć na czele tysięcy wojsk z Rosjanami. W kwietniu dostał się do niewoli rosyjskiej skąd podobno zbiegł, aby ponownie wpaść w ręce Rosjan z końcem maja. Podał wówczas fałszywe nazwisko i jako Maurycy Biczewski odesłany został do Kazania, stamtąd uciekł do Petersburga, ale ujęty wkrótce potem zesłany został przez Syberię do Ochocka, a stamtąd, 12 września 1770, przewieziony morzem do Bolszerecka na Kamczatce.

Przez cały czas swej wędrówki przez Syberię planował Beniowski ucieczkę wraz z innymi skazańcami

i w Bolszerecku zorganizował spisek, którego głównymi przywódcami byli obok niego szwedzki oficer Windblath, Baturin, Chruszczow i Stiepanow. W wyniku buntu spiskowcy zabili komendanta Bolszerecka — kapitana Niłowa i opanowali miasto.

W maju 1771 roku Beniowski puścił Kamczatkę na statku skarbowym z załogą w liczbie 63 mężczyzn i 7 kobiet. Należy zaznaczyć, że opis spisku przedstawiony został w pamiętnikach niezgodnie z prawdą — a na pamiętnikach opierał się Sieroszewski. Tak na przykład Afanazja, córka Niłowa, odgrywająca tak wielką rolę w pamiętnikach i w powieści Sieroszewskiego, nie istniała nigdy. Nie mniej Beniowski pisze, że pojął ją nawet za żonę.

Statek Beniowskiego przez wyspy Kurylskie, Japonię — gdzie Beniowski pozostawił buntującego się przeciw niemu kapitana Stiepanowa — i Formozę przybył w listopadzie 1771 roku do kolonii portugalskiej na wybrzeżu chińskim, Makao. Wrażenie pojawienia się statku było ogromne i nazwisko Beniowskiego stało się głośnie w świecie. Po dłuższym pobycie w Makao, gdzie wielu uczestników ucieczki zmarło, Beniowski sprzedał ładunek i statek i udał się do Francji, gdzie przybył w lipcu 1772 roku. Z całej załogi pozostało 37 mężczyzn i 3 kobiety. Część z niej, jak Chruszczow, zwrócili się do carowej Katarzyny z prośbą o amnestię. Rząd carski obiecał ją, ale gdy Chruszczow z towarzyszami przybyli do Petersburga — wysłano ich natychmiast na Syberię.

Tymczasem Beniowski dostał się do służby francuskiej w stopniu pułkownika i otrzymał polecenie udania się na Madagaskar dla założenia tam kolonii. W

marcu 1773 roku eskadra francuska pod jego dowództwem wypłynęła na Madagaskar, gdzie jednak napotkano na znaczne przeszkody. Beniowski skarży się na niechęć francuskiego gubernatora niedalekiej wyspy Ile de France (dziś wyspa Św. Mauricjusza), który intrygował przeciw niemu w Paryżu. W niejasnych okolicznościach naczelnicy plemion madagaskarskich obwołali Beniowskiego naczelnym władcą wyspy. Przybyli z Francji komisarze królewscy, wystawili jednak gospodarce Beniowskiego ujemne świadectwo i w październiku 1776 „król Madagaskaru” wracać musiał do Francji. Przekonawszy się, że rząd paryski nie zamierza korzystać z jego usług, zwrócił się Beniowski do Anglii, a później do Marii Teresy austriackiej. Przyjęty został do służby cesarskiej w stopniu pułkownika. Brał udział w roku 1778 i 1779 w sukcesyjnej wojnie bawarskiej, ale wkrótce podał się do dymisji i wyjechał do Ameryki. Rządowi Stanów Zjednoczonych ofiarował swe usługi, powołując się na zażyłość z Kazimierzem Pułaskim, który zresztą zginął już w październiku 1779 pod Savannah. Nie przyjęty do wojska amerykańskiego powrócił Beniowski na Węgry, gdzie próbuje realizować swe plany dotyczące handlu morskiego. Zaznał i tu niepowodzeń i z końcem roku 1781 wyjechał znów do Francji, gdzie nawiązał kontakt z przedstawicielem Stanów Zjednoczonych Benjaminem Franklinem. Za jego poparciem, z początkiem następnego roku przybywa do Filadelfii, gdzie przedkłada projekt utworzenia pewnego rodzaju legii cudzoziemskiej, złożonej z 3500 żołnierzy, rekrutowanych w Niemczech. Mimo powoływania się na Pułaskiego, poparcia generalnego inspektora armii amerykańskiej — barona von Steuben

i życzliwości samego Washingtona, nie zdołał Beniowski uzyskać zgody Kongresu na ten projekt. Powraca więc do Europy i po krótkim pobycie na Węgrzech udaje się do Anglii. Rząd brytyjski odrzuca jego projekty, podobnie jak i francuski. Beniowski zdołał jednak dla swych planów madagaskarskich pozyskać poparcie członków londyńskiego towarzystwa naukowego, a dzięki pomocy Franklina otrzymał też finansową pomoc od domu handlowego Zolihofers i Meissonier.

W kwietniu 1784 Beniowski odpłynął z Londynu i po długiej podróży przez Stany Zjednoczone i Brazylię przybył do brzegów Madagaskaru dopiero w lipcu 1785 roku. Warunki zastano tu bardzo zmienione wobec wzmoczonej czujności Francuzów i niechęci tubylców. Nadamiar złego wśród towarzyszy Beniowskiego poczęła szerzyć się febra. W czasie walk o jedną z faktorii handlowych Beniowski zginął 23 maja 1786 roku, a jego odział został rozproszony. Beniowskiego pochowano na Madagaskarze przy ujściu rzeki Adranofotsy do morza.

Wkrótce po śmierci Beniowskiego ogłoszono wiadomość, że pamiętniki jego zostały złożone u Johna Hiacinta de Magellana, który finansował ostatnią wyprawę Beniowskiego. Rękopis ten sporządzony był w języku francuskim i w roku 1790 ukazał się dwukrotnie w tłumaczeniu angielskim i jednocześnie po niemiecku w Berlinie. W ciągu następnych trzech lat wydany został dziesięciokrotnie po niemiecku, francusku, holendersku i szwedzku. Doczekał się również tłumaczeń węgierskich, słowackich i polskich. Jak wspomniano powyżej prawdziwość danych, zawartych w pamiętnikach jest bardzo problematyczna. Wysunięto też koncepcję, że autorem ich nie był Beniowski, ale że Magellan i Ni-

cholson ażeby powetować sobie część strat, poniesionych na skutek nieudanej wyprawy wydali na własną rękę dzieło jednego z towarzyszy Beniowskiego. Przechowywany w *British Museum* egzemplarz nie jest rzeczywiście pisany ręką Beniowskiego, nosi jedynie jego uwagi na marginesie.

Bez względu na prawdziwość pamiętników wywarły one ogromny wpływ na literaturę piękną. W Niemczech profesor Kotzebue napisał sztukę „*Spisek Kamczacki*”, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. Literacko opracowała postać Beniowskiego Luisa Muehlbach, we Francji — Duval i Ferrard, na Węgrzech — Guadany i Jokay, w Słowacji — Niżniański, w Polsce — Słowacki i Sieroszewski itd.

Większa jest jeszcze wielokrotnie naukowa literatura o Beniowskim. Do jakiegokolwiek dochodzi ona wniosków w swej ocenie charakteru i działalności Beniowskiego, stwierdza jednogłośnie, że był on człowiekiem nieprzeciętnym i że w bardziej sprzyjających okolicznościach mógł odegrać rolę nie tylko polityka ale i męża stanu.

W ostatnich kilkunastu latach XVIII wieku, mimo wydarzeń politycznych tak wielkiej wagi jak rozbiory Polski, czy rewolucja francuska, mimo pojawienia się szeregu wybitnych postaci historycznych — jednym z najpopularniejszych ludzi, budzących powszechne zainteresowanie Europy, był Maurycy August Beniowski, konfederat barski, zesłaniec rosyjski, organizator spisku na Kamczatce, autor szeregu niecodziennych imprez, wreszcie król Madagaskaru, na którym zakończył swój awanturniczy żywot.

Fragment tego barwnego niespokojnego życia, obej-

mujący pobyt Beniowskiego na Kamczatce, odmalował Sieroszewski w powieści, zatytułowanej od nazwiska bohatera. W opisie wydarzeń autor oparł się głównie na przypisywanych Beniowskiemu pamiętnikach.

Temat — bliski niestety każdemu pokoleniu Polaków od lat prawie 200 — zesłanie na Syberię, połączony z opisem awanturniczej akcji, niespołedniego charakteru, dzikiego otoczenia syberyjskiego z drugiej połowy XVIII wieku, uczynił z tej powieści jedno z najlepszych dzieł Sieroszewskiego.

I.

Zimne morze północne pod uderzeniami śnieżnej wichury ryczało, jak stado smoków. Prężyło ku niebu potworne przeguby siwozielonych, żyłastych wełn i, dokładając popędliwie falę do fali, biegło ku ubielonym brzegom.

Z piorunowym łoskotem, z sykiem, z pryskiem, z pojękiem ciskało opienione paszczęki bałwanów daleko na miękkie spychy piachów, na chyle cyplów, na twarde, dziobate czoła skał, strzegących ziemi. Po czym cofało się z groźnym mamrotem, unosząc spodem swych skreconych burzowin prochy i głązy łądu w dalekie rodzime leje oceanu.

A na ich miejsce wstawiały z odmetów nowe wzdęte otchłanie, i ryczały, i tłukły, i rwały po brzeże.

Znikły bez śladu w tej nawalnej rozrusze krągłe, miluchne wysepki, obłe osuchy, miążko marszczone dosypiska i ławice, płytkie rewy przejrzyste — ulubione przytuliska wszelakiej morszczyzny, ziemnowodna korona, utkana w ciche dni łagodną gładą morską na przymierze między tonią oceanu a ładem.

Znikło wszystko.

Został jeno na linii bojowej zawsze ten sam, nagi, spracowany strąd, wyniosły, długi, śnie-

giem omglony oraz skaczący nań z dołu z niemilknącym hukiem wał zielonawych bałwanów.

Brzeg cięty, poszarpany szparami, spękany w wądoły, w które z bulkotem i wyciem wlewały się wirzyska. Ruina ziemi, same zaspy i opoki bez krzewinki, bez trawki, bez żadnego umocnienia. Smutny wał obronny, wał samotny wiecznej walki bez wytchnienia i poparcia...

Górą nad nim sunęła niewstrzymanie przez powietrzne przestworza szalejąca śnieżycą, obojętna na wszystko, bezwzględna, potężnym ruchem dążąca wciąż naprzód, niby biały anioł śmierci, zapatrzony w jemu tylko wiadomy cel...

Jej pióra omiały z tym samym spokojem i mocą piany fal, i łęgi dolin, i wiszary górskich łańcuchów, i szczeciny zatraconych w śniegach lasów, i przyziemne budowle miasteczka, schowanego w głębokim ujściu rzeki.

Ta ludzka siedziba zataiła głęboko swe życie w zawianych do szczytu domostwach; na pustych ulicach jeno wiatr gwizdał w szczytach dachów i węglach zrębów, wzdymając z dołu mroźną kurzawę i mieszając ją z wirami lecących z nieba płatków śniegu.

Mimo to, wśród ogólnego bezludzia w nakrytej czworokątą basztą bramie drewnianej twierdzy ukazały się trzy w futra otulone postacie.

Przodem szedł rosły, barczysty mężczyzna, wydający się olbrzymem, w nastroszonej bobrowej szubie; ciemną, sępią twarz okalał mu, jak przyłbica, drogi kołpak z łap czarnoburych lisów.

Stapał miarowo z podniesioną głową i patrzył dumnie na bicz śniegowe, siekące powietrze. Za nim o pół kroku podążał w skromnej delii reniferowej, również wdzianej włosem na wierzch, mniej wspaniały dorodnością i zachowaniem się osobnik. Na jego futrzanej bermycy błyskał ga-

lon wojskowy; na ostatku za nimi włókł się prosty kozak w futrzanych butach i w kamezadalskiej do kolan „kuchlance”.

— Słyszycie, Iwanie Piotrowiczu, jak to wyje! — rzekł wojskowy, wskazując ręką w stronę ciemniejącego opodal budynku.

Wspaniały Iwan Piotrowicz zatrzymał się i posłuchał; lecz świst zamieci, plusk rzeki i ryk dalekiego morza głużyły wszystkie inne dźwięki.

— Nic nie słyszę. Czegóż on chce?

— Nie wiem. Wrzeszczy, jak opętany, rwie na sobie pazurami ciało; na kraty, na współtowarzyszy się rzuca... Wołał, że chce widzieć wielkiego Taju! Bałem się, że sobie co zrobi... Zawszeć on rządowy zakładnik, jasak stracimy, jak zginie!

— Co taka bestia może sobie zrobić? Duch w nim mocno siedzi, a broni przecież nie ma!

— Skądby ją mógł mieć? W całym miasteczku nie ma takiego chwata, co by na długość ręki odważył się do nich zbliżyć! Oni nie pytają swój, czy nie swój, za łeb chwytają i o — balasy!... A zresztą pilnujemy; szyldwach od więzienia wciąż tam przechodzi i baczenie daje!

— Tak, tak! Baczenie dawać należy! Istotnie słyszę: wyje!... Ach, gardziel miedziana!... Burzę przechuczał!...

Przeszli zawianą zaspami drogę i minęli otoczone ostrokołem więzienie, sprzed którego bramy, z budki, wyskoczył zaśnieżony żołnierz i sprezentował broń.

Na tyłach, w miejscu zacisznym od wiatru, wznosił się niski budynek, przyparty do wysokiej palisady. Przednia jego ściana składała się z grubych pionowych dyli, rozstawionych rzadko, niby krata. Stamtąd to leciał dziki wrzask, głośniejszy nawet łoskot burzy.

Gdy Iwan Piotrowicz Niłow, sam naczelnik

Kameczatki, z porucznikiem Norinym zatrzymali się przed tą nieszczęsną budą, wycie na chwilę ustało, natomiast w szparach między dylami pojawiły się straszne kudłate łby, chude, zapadłe twarze z gorejącymi jak główne oczyma, wysunęły się stamtąd długie ramiona z brązową, obwisłą jak wory skórą i zaciśniętymi, kościstymi pięściami. Niedźwiedzie charczenie i chrapliwy ryk znowu rozdarły powietrze.

— Ha, ha! To ty, krwawy bladolicy psie!... Przyszedłeś naigrawać się z mej nędzy!... Zbliź się, zbliź!... Niech palce moje uchwycą, skibkę twego ciepłego ciała!... Jeszcze żyje Oruncza, jeszcze starczy mu siły, aby wyrwać ci spod miedzianego czoła obmierzłe lodowate oczy i rozdeptać je nogami!... Chodź bliżej, chodź!... Jeżeli śmiesz!... Żyje Oruncza, jeszcze dysze, jeszcze przeklina!... Oby trąd zżarł tobie i potomstwu twemu wnętrzności!... Obyś cały był jako jedna rana, kisząca robactwem, dręczycielu!...

— Co on mówi? — spytał Niłow kozaka-tłumacza.

— Klnie, miłościwy panie!

— Powiedz mu, żeby zamilkł, bo go każę osmażyć!

— Milecz, podłe stworzenie, bo Wielki Tajuk każę cię obić!

— Ha!... Pluję na jego bizuny!... Pluję na niego samego! Oruncza wojownik! Czyż mało mię katowałeś oprawco!... Rodzie „szajtański”!... Bodaj mór tknął cię wraz z plemieniem twoim!... Bodajecie poległi wszysej zaraz bez tchu aż po Ciepłe morze!... Bodaj śnieżycza zawiała niegrzebane trupy wasze, waszych dzieci i kobiet, przekłęci roznosiciele niewoli!... Bodaj psy rozwłóczyły po stepie wasze kiszki, jak wilki rozwłóczą jelita rena!

— Co on mówi? — znowu spytał Niłow.

— Grzech powtórzyć, Wasza Wysoka Szlachetność! Lepiej nie słuchać — on szaman, złośliwy czarownik, on może zauroczyć — odszepnął poblady kozak.

Twardy uśmiech wykrzywił wąskie usta Niłowa.

— Powiedz mu, że mu daruję wszystko, że go nawet wypuszczę, jeżeli krewni jego przyniosą mi dwa... nie dwa... a... trzy „soroki” soboli., Potrzebuję przed wiosną trzech „soroków” soboli!... Będzie wolny!...

Oruncza znowu wtulił między dyle tatuowaną twarz i słuchał pilnie.

— Łiesz!... Łiesz!... Obiecywałeś to samo przeszłym razem, a przecie siedzę tu, mróz i głód szarpia mię jak dawniej, choć przyniesiono ci, coś żądał!... Mrą moi rodowi, mrą dzieci!...

— Powiedziano ci przecie wtedy i powtarzam raz na zawsze, że lisy były złe, nie dość czarne, że były podsmalane dymem na ogniu, że bobry były wyprzale, sobole wczesne! — wtrącił sam od siebie kozak.

— Co on mówi? — spytał znowu Niłow.

— Mówi, że przeszłym razem...

— Dobrze, dobrze!... Pamiętam... Był spór!... Ale powiedz mu, że tym razem sporu nie będzie!... Pójdzie wolny, niech tylko przyniosą... Niech przyniosą jeno takie, żeby przystało je nosić samej czarowej... Najjaśniejszej naszej Pani je pośle! Słyszysz!?

Oruncza długo milczał, opuściwszy kudłaty łeb.

— Słuchaj, Wielki Tajū! — zagadał wreszcie już cicho. — Znikły sobole z lasów, obrzedły ich tabuny! Takich, jak ty chcesz, nie wiem czy się znajdzie dziesiątek u plemienia Ankalów. Ale powiem im. Tam jeszcze pamiętają Orunczę... Może

mię nie oszukasz tym razem, bo gdybyś je skradł, list bym pisać kazał do samej carowej. Z tamtego świata przyszedłbym szukać sądu!... Przyślij jakiego koriaaka-niewolnika, sługę lub odstępcę — dam mu znak! Przyślij też wódki, Wielki Taju, przyślij wódki, bo serce już nie znosi dłużej tego, co jest; złe myśli zjedzą mię wcześniej, niż głód... Stracisz zakładnika... Więc przyślij wódki bez uchyby... O to proszę!

— Ba!... Nie ma ani kropli w całym miasteczku!... Musisz, bracie, poczekać, aż przyjdzie okręt! — wstawił porucznik Norin.

— Jeść! — szepnęły nagle dwa inne widma spoza Orunczy i wysunęły zza balasów piszczele grabiastych łap.

— Jeść!...

Nilow odwrócił się.

— Przysłać im trochę ryb! — mruknął kozakowi przez ramię.

— Według rozkazu! — odszepnął ten, prostując się.

— Jeżeli okręt żegluje teraz z Ochocka, a ostatni na to przecie czas, gdyż jeno patrzeć, jak lody zamkną drogę, to niech go Bóg i Święci Pańscy mają w swej pieczy!... Od dwóch lat już nie pamiętam takiej wichury!... Nie wiatr, lecz młot! A co będzie, co będzie, jak okręt nie przyjdzie? — gadał Nilow, owijając się szczelniej w futro.

— Słusznie mówi Wasza Wysoka Szlachetność: nie wiatr, lecz młot! O mało mię nie wyrócił, gdym z rana wyszedł za przydźwierzę!

Zatrzymali się przed domem naczelnika, na podwórzu forteczki. Olbrzymie czarne tyny obronne z potężnych na zrąb kładzionych modrzewiowych kłoców wstrzymywały tutaj napór wiatru, a płaty śniegu, lecąc, wirowały wołno, wdzięcznie, jak opadające listeczki kwiatów wiosennych.

— Bywaj zdrów, Stefanie Polikarpowiczu! — zwrócił się Niłow do porucznika, wstępując na schody ganeczku.

— A poślij tam do tego Orunczy jakiego z jeńców koriakskich!

— Według rozkazu! Czy nie uważacie jednak, Iwanie Piotrowiczu, że byłoby trochę niebezpiecznie wypuścić tego dzikusa, szczególnie teraz, gdy na północy znowu wszczyna się rozruch? Godzą się podobno Czukeze z Koriakami, zbroją, gadają, że sam Ochotin im w tym pomaga!

— Zrób, jak mówię! Nie wiadomo, co będzie! Być może, że nie wcale nie przyślą! — odrzekł Niłow, poprawiając czapkę i uśmiechając się tajemniczo.

Z tym uśmiechem zastygłym na ustach wszedł do ciemnej sieni, gdzie kozak podręczny zdjął zeń szubę i buty futrzane. Stamtąd skierował się we drzwi na lewo, do obszernej niskiej świetlicy z ciemnymi ścianami i powałą z ciosanego modrzewiu, wyłożonej kobiercami z czarnych i białych łap reniferowych, zszytych w szachownicę. Mdłe, błękitnawe światło wsączało się do izby ze dwora przez duże okna z miki przykryte z zewnątrz taflą lodową. W rogu przed pozłacanym ciemnocyfrą obrazem płonęła w malinowej szklanej bani na srebrnych łańcuchach nigdy nie gasnąca „lampa-da”. Było ciepło, pachniało kwasem chlebowym, miętą i mirrą. Pod ścianą między oknami, na mocnych krzyżakach, stał długi stół, nakryty zielonym suknem, na nim leżały rozrzucone papiery, śliczne ułamki kryształów górskich, okazałe kły morsa, dziwaczne rzeźby czukockie z kości mamutowej, oraz jakieś próbki błyszczących rud; w górze na przybitej do ściany podstawce siedział z rozpostartymi skrzydłami wypchany orzeł kamczacki.

Obok stołu mieścił się głęboki stolec z poręczami, zasłany skórą niedźwiedzia, a pod ścianami ciągnęły się ławy również kryte futrami.

Niłow śliznął się wzrokiem po tych znanych szczegółach, przeciągnął się, aż mu w stawach trzasło, i ziewnął.

— Ej, matko!... — zawołał. — A jak tam z obiadem?

Skrzypnęły drzwi i z sąsiedniego pokoju weszła niewiasta niższego wzrostu od naczelnika Niłowa, ale niemniej od niego dorodna. W miarę jak szła, drżała podłoga pod jej stopami, obutymi w miękkie futrzane pantofle, i drżały do taktu jej wyniosłe jak dwa pagórki piersi, otulone niebieskim kaptanikiem, podbitym gronostajami. Szczyt białej, okrągłej jak księżyc twarzy, tuż ponad czarnymi brwiami opasywał szeroki naczólek, suto haftowany kolorowym jedwabiem, srebrem, złotem i perłami; agatowe oczy patrzyły na męża spod gęstych rzęs z tłumionym niepokojem, ale usta, duże, wilgotne pełne były uśmiechu.

— Bądź cierpliwy chwileczkę, Iwanie Piotrowiczu, kazałam zapiec w kulebiace świeżego łososia z tych, co przywiózł Czernych z Kameczackiego jeziora... Zaraz dojdzie, a i na... okrasę może się coś znajdzie!...

Niłow spojrzał pytająco na żonę.

— Skąd zaś?... Nie ma kropeczki w całym miasteczku... Wszystkie składy kazałem przesukać!...

— A widzisz!... Ja swoim babskim rozumem więcej, niż ty, carski gubernator, dokazałam... Mam cały gąsiorek!

Niłow zmarszczył brwi.

— Czyżby kto ośmielił się zataić?...

— Gdzie zaś!... Któż by tam ośmielił się wojować z tobą, opierać się twoim rozkazom, Iwa-

nie Piotrowiczu... Tutaj nie mają doprawdy kropelki! Należało skądinąd wydobyć. Użyłam wybiegu. Wiedziałam, że protojerej Niżniekameczacki chowa zawsze w wielkiej tajności choć jedną kwartówkę na niespodziany domowy wypadek, bo w nie tak nie wierzy, jak w ten dekolt. Uprosiłam więc jego córkę, żonę tutejszego diakona Protopopowa, aby posłała do ojca wiadomość, jakoby mąż jej leży chory obłożnie i że doktory każą mu ciało wódką namaścić, inaczej śmierć go czeka... I przysłał stary sknera małą butelczynę przez kupca Kazarinowa. Jest, mam ją!

Posępne rysy Niłowa rozjaśniły się.

— Czemuś nie powiedziała?

— Chciałam ci radość niespodzianą uczynić. Wiem, jak bardzo teraz wesołości potrzebujesz, jak troskasz się o sprawy urzędowe!...

— Ech!... Bo jak okręt nie przyjdzie, nie wiem jak wyżywię załogę. Maki zostało zaledwie kilka naście worów, soli dawno już nie ma. Połów ryb był lichy a duża część suszonej od deszczów pogniła. Ze wszech stron skargi, prośby, niedobór jasaku. Rychło czekać buntów w całym kraju... Ochotin znowu u brzegów się pojawił. W głowie się mąci od zawrotu tych spraw!

— Daj pokój! Chodź, wypocznij i posil się... Słyszę, że Nastka już się w jadalni krząta!...

— A czy nie zaprosić Nowosiłowa, jak uważasz, stara, co?

— Na taką kruszynę!? Bój się Boga!... Sam zdrów wypij, ulżyj swojej tęsknocie!...

Twarz Niłowa rozjaśniła się ostatecznie; rozczesał palcami brodę i, chyląc głowę, przeszedł przez niskie drzwi, przeciął następnie ciemną sionkę i znalazł się w obszernej, przylegającej do kuchni jadalni.

Też same ciemne, ciosane modrzewiowe ściany,



rozświecone lodowymi oknami, ciemna, niska powała, ławy wokoło, a pośrodku mocny szeroki stół na krzyżakach. Niłow siadł w rogu pod świętym obrazem przed zastawą z cynowych mis, ze srebrnych konwi i pozłacanych czarek i z błogim uśmiechem nalał sobie kielich drogocennego płynu. Podczas gdy drżącą ręką niósł go do ust, żona i starsza córka, do matki podobna, ale smukła i śliczna czarnowłosa dziewczyna, usługiwały mu z obu stron, podając dymiące półmiski, krając chleb, podsuwając sztucce i naczynia, albo biały ręcznik, wyszyty czerwono na rogach. Syn wyrostek w kozackim kubraku stał w kącie i patrzył w milczeniu na ojca, a spoza jego pleców dwie młodsze siostrzyczki wysuwały ostrożnie jasne głowy.

W parę godzin potem, gdy już zmierzch zamienił się w noc, ogniami zapłonął dom naczelnikowski. W sionce pod blaszanym kapturem wylotu gorzał dymno smolniak; w czerwonym blasku jego uwijały się figury żołnierzy w pełnym rynsztunku, w kosmatych bermycach, z białymi pasami ładownic i torb, krzyżującymi się na piersiach zapiętych w szare mundury.

Błyskały krwawo bagnety, stukały o podłogę kolby karabinów i brzmiała urywana komenda:

— Baczność!... formuj się!... Raz, dwa!

W otwartych drzwiach świetlicy siedział w głębokim stolcu, wysłanym skórą niedźwiedzia, naczelnik Niłow i nogą wybijał takt, za nim stał porucznik Norin.

— Raz, dwa!...

Z czerwonej twarzy naczelnika nia schodził błogi uśmiech...

— Zuchy!... A teraz: śpiewać!

Po-śliz-nęła się z pagórka...

Oj, luli—la!...

Pośliznęła się z pagórka

Młoda leśniczowa córka...

Oj, luli—la!...

Trafił sęczek się na drodze...

Oj, luli—la!...

Trafił sęczek się na drodze...

Rozdarł odzienie niebodze!...

Oj, luli—la!...

— Oj luli-la!... — wtórował ochryłym głosem naczelnik, kiwając głową i ręką do taktu.

A po drugiej stronie sieni w „teremie” pani Niłowowa odpędzała od zamkniętych drzwi przysłuchujące się gwarowi dzieci:

— Idźcie, idźcie!... Wynoście się do sypialni!... Nie potrza wam słuchać żołdackich pieśni!... Nie ciekawe!...

— Ach, nianiu, nianiu, jak ja tego nie lubię!... Wprost nienawidzę!... — szeptała Nastka Niłowówna, przypadając do piersi siwej, zawiędłej sługi w ciemnym mnisim czepcu.

— Nie słuchaj, nie słuchaj, gołąbko moja!

— Już ja wiem, jak to się skończy, już ja wiem!... Będą znowu którego z nich bili!... Och, och, mój Boże!...

— Cóż robić, Nastazja Iwanówna, taki żołnierski los... Skazańcy oni! Za wszystkich, za całą grzeszną Rassieję dźwigają krzyż... Nie dopuszczaj ty sobie do głowy żadnych podobnych myśli, kukuleczko luba... nie dopuszczaj!... Nie przyszedł jeszcze twój czas, królowno moja, nie przyszedł, abyś się troskała! Chodź do kuchni, zagotuję wody, zaparzę ci pachnącej maliny, opowiem bajkę o za-

morskim panięciu, o cudzoziemskim księciu, co nosił szaty z blasku miesiąca tkane, co miał złote kędziory i oczy gwiazdziste, co sto smoków pobił, co świat zwojował a jeździł na koniu Cefalu... Chodźcie i wy, pisklęta, posłuchajcie nowej historii, wyczytanej dla mnie umyślnie ze starej książki przez pana Chruszczowa... Chodźcie!... — wołała na młodsze dzieci.

II.

Po trzydniowej nawałnicy nastał nagle, jak tu się często zdarzało, dzień pogodny, cichy i słoneczny.

Nad gędźbiącym wciąż jeszcze morzem słał się lekki, zwiewny opar, na wygładzonej rzece pojawiły się korowody płynących z góry kier i sadz lodowa z szelestem lgnęła do brzegów podmywanych prądem. W głębi ładu poza zatraconym w śnieżnych całunach i zaspach miasteczkiem zalsniło cudnie w słońcu wyniosłe, zębate półkole niepokalanej białości gór, pocięte błękitnymi cieniami. Powyłaziły z ukrycia psy i dzieci, powychodzili z domów mieszkańcy z łopatami i, wesoło hukając, jęli odkopywać przyżby i znowu torować sobie drogi na świat, do ludzi.

Strumienie dymów popłynęły z niskich kominów ku blademu lazuru nieba. Skrzypiąc, powlokły się ulicami sanie, zaprzężone w psy, po drwa do lasu; kamezadale oraz niewolnicy w wytartych włochatych „kuchlankach” biegli za nimi, pokrzykując.

Dumnie stąpając, przeszli w drogich szubach urzędnicy i wojskowi w stronę czarnej twierdzy.

Potem znowu nastała senna, leniwa cisza. Mi-

jał krótki dzień, co zaledwie rozbłysnął, już się zataczał. Znowu wśród zamrożonych śniegów zaświeciły krwawe plamki ognia w okienkach chałup...

Mieszkańcy po wczesnej kolacji układali się już byli do snu, gdy od morza, od przystani Czekawki, przybiegł prawie bez tchu nieletni syn dozorca składów rządowych z papierem do samego naczelnika i przyniósł wieść, że dawno oczekiwany statek zawinął nareszcie do portu.

Rozgorzały natychmiast przygaszone ognie i zaroilo się na ulicach. Wszystko biegło w kierunku twierdzy, ale brama była już zamknięta i szyldwach nie puszczał nikogo. Opowiadano więc sobie dziwa zasłyszane przelotnie o niebezpieczeństwach, jakie przeżyła załoga statku w czasie burzy, o strzaskanym wielkim maszcie, o zranionym kapitanie okrętu, o zmytych w morze majtkach, o nadchodzącej już dla wszystkich ostatniej godzinie i niespodziewanym zbawcy, który się nagle pojawił, nie wiadomo skąd...

— Wszystko urządził... Maszt na miejsce postawił... Ducha w ludzi tchnął... Zagłę napiął... w taką wichurę... Statek do steru przywrócił... Co dlań burza?... On po watach niebosiężnych płynął, jak my po drobnej świeży!...

— Wiozą go!... Przestępcą, powiadają, jest!... A kto zacz — nie wiadomo: może sam zatajony dla wszystkich Wielki Książę, a może i Ktos większy... — szeptał znacząco mężczyźni.

— Czy mody?... — pytały kobiety.

— Ech, wy, sikory!... Zaraz was świerzbi!... Zobaczycie jutro!

— Brodę ma białą do pasa, a nogi jak krab!...

— Gdy jednym okiem patrzy w niebo, drugim ziemię świdruje albo za sobą widzi!... — żartowali.

Kiedy nazajutrz porucznik Norin, wysłany z

sześciu kozakami po pocztę i wygnańców, wszedł do więziennej izby na przystani zauważył od razu w kupce powstałych na jego przybycie mężczyzn wysmukłego, zgrabnego młodzieńca z czarnym podkręconym wąsem w przystojne odzianego szaty. Domyślił się, że to ten właśnie, o którym krążyła legenda, i przystąpił doń z pewną nieśmiałością:

— Czy to ty zwiesz się Beniowski?

— Tak, to ja!...

— A ktoś ty?...

Beniowski błysnął oczami i mileżał przez chwilę.

— Żołnierz jestem. Niegdyś generał, dzisiaj niewolnik!... — odszepnął wreszcie cicho.

Norin cofnął się i wyprostował bezwiednie i już go więcej nie pytał, nawet nie patrzył nań; kazał wszystkim zbierać rzeczy i siadać do łodzi, aby odpłynąć do miasta, do „Bolszija Ostroga”.

— Czy tam zostaniemy? — spytał Beniowski.

— Nie wiadomo. Tam wam powiedzą, co z wami robią! Tego nie wie nikt, ino ten papier!...

Uśmiechnął się i pokazał zesłańcom kopertę, zapieczętowaną wielką woskową pieczęcią.

Wsiedli do trzech czółen, po dwóch wygnańców i po dwóch kozaków do każdego, i wolno, kołysząc się w chybottliwych stateczkach i mijając gęsto płynące kry, pomknęli w górę rzeki.

O parę stajań przecięły im drogę cztery bajdary, pełne ludzi odzianych w futra, wywrócone włosem do góry.

— Co słyhać na świecie?... Skąd jedzicie!?! — krzyczeli im z oddala, gdyż kozacy nie puszczali ich blisko, wołając:

— Poszli precz!... Nie wolno z przestępcami rozmawiać!...

— A oni kto są?...

— Oni też są zesłańcy!...

Łodzie nie oddalały się bynajmniej; przeciwnie, gdy pierwszy gniew i żarliwość straży przygasły, zbliżyły się nawet i płynęły chwilami burta o burte.

— Kto jesteście i skąd?

— Baturin, pułkownik.

— Czy nie z gwardii czasami?

— Z gwardii! A co?

— Znam cię, służyłem z tobą!... Serebrennikow Mikołaj, kapitan? Nie poznajesz mię?... Ha ha!... Pewnie, żem się zmienił!

— Więcej tu się takich znajdzie!...

— Stiepanow Hipolit, kapitan...

— Sofronow, sekretarz gubernialny...

— Skądżeś się między wojskowych wziął!...

— Ha!... Los!... Nie ja wziąłem się, ale mnie wzięli!...

— Chwat!...

— Któż jeszcze?

— Kapitan Panow!...

— Czy nie Paweł Afanasicz, ożeniony z Morozową?...

— Właśnie!... Kto pyta?...

— Swojak twój! Łobaczow!...

— Grysza, tyżeś to!... Ot, gdzie los zgotował nam spotkanie!

— Wola Boga!...

— A gdzież Beniowski?...

— Ten tam z czarnymi wąsami!...

— Cuda o nim opowiadają!...

— Głowacz!... Chłop łebski!...

— Ach, gdyby was zostawiono w naszym mieście!...

— To nas mogą wysłać jeszcze dalej?

— A no tak!... Mogą was wywieźć do Niznie-Kameczacka, do Wierchnie-Ostroga... na wyspy... Mogą osiedlić po ulusach!...

— Czy tam gorzej?...

— Rozumie się, że gorzej, chociaż i tu nie słodko... Głód, nędza, ucisk... Pracy żadnej, zarobków żadnych... pomocy znikąd!... Są tacy, co nieomal dwa tygodnie w miesiącu głodują... Szczęśliwy, który co dnia ciepłą strawę do gęby kładzie... Brud, robactwo... Chałupy, jak psie budy...

— Taka was gromada i życia sobie nie umiecie urządzić?... — zauważył głośno Beniowski.

— Ba, gromada!... Istotnie gromada, ale ten po wodę, a ten do lasa... Każdy swoją ino linię gnie, chce przewodzić! A są tacy, co radę idą przeciw wszystkim... Są zaprzańcy i judasze... Żyjemy we wsi zesłańczej pomieszani ze złodziejaskami i rozbójnikami i władze obchodzą się z nami po równo...

— Żle!...

— Dość, dość!... Ruszajcie już!... Widać miasto!... Doniesie kto naczelnikowi!... Będzie mi wymawiał! — wołał na wygnańców Norin. — Powiedziałem, że dość!... Hej, chłopcy, odpędźcie ich... Wiosłami po łbach!

— Już, już!... Jedziemy!... Bywajcie zdrowi... Starajcie się, żeby was zostawiono w mieście!... Pamiętajcie!

Mała flotylla rozdzieliła się; kozacy żywiej popędzili wiosłami łodzie, a starzy wygnańcy pozwolili czarnym prądom unieść swoje na powrót w dół rzeki.

— Winblath, co powiesz na to?... — spytał Beniowski towarzysza po polsku. — Zdaje się, że i ty znalazłeś jakiegoś krewniaka.

— Nie krewniaka, ale rodaka... Julu Brondorp, Szwed... Cóż, kiedy czuję, że nas tu nie zostawia!...

— Ach, ty kruku!... Nie zostawia zapewne, jak sami... nie zostaniemy!

Wysadzono ich na ląd i poprowadzono do oto-

czonego palisadą więzienia, co stało naprzeciw wejścia do twierdzy. Tu długo musieli czekać przed bramą, zanim oficer wrócił od naczelnika i straż załatwiła wszystkie formalności.

Gdy znaleźli się nareszcie sami w ciemnej, cuchnącej celi, słabo oświetlonej płomykiem tranowego kaganka, pułkownik Baturin przysiadł na rogu pryczy i zakrył ręką chudą, ascetyczną twarz.

— Ha! Więc i tutaj mogą nas rozłączyć! A wtedy co?

— Cicho, w korytarzu ktoś siedzi!... — zauważył Stiepanow. — Zaraz się dowiem.

Nachylił badylastą figurę i wsunął długi nos w wybite we drzwiach okienko.

— Kto tam wzdycha? Przyjacielu, kto jesteś?

Zamiast odpowiedzi cicho zadzwieczyły łańcuchy.

— Jakiś więzień nieszczęsny!... Hola, odezwij się... My też jesteśmy ludzie ścigani przez los... Jeżeli w naszej mocy dopomóc ci, uczynimy to; jeżeli ty możesz nam okazać usługę zbliż się...

— Nie mogę, jestem przykuty... mam kunę na szyi... ale jeżeli serca wasze są dostępne litości, błagam was imieniem Boga, przyślijcie mi jutro przez straż trochę chleba... i kropelkę wódki... — odrzekł głuchy, jakby z dna studni wychodzący głos.

— Za cóż cię kaza tak srogo, człowieku?

— Nie wiem. Oskarżyli mnie fałszywie źli sąsiedzi, nieprzyjaciele, zawistni współzawodnicy oskarżyli mnie o sprzyjanie... Ochotinowi... Byłem poborcą podatków na wyspach Kurylskich, a zwę się Antoni Kuzniecowa...

— A któż jest ów Ochotin, powód twych cierpień?...

Znowu usłyszeli brzęk łańcuchów.

— Nie wiem... nie znam go... nic nie wiem... sił

nie mam... nie, nie nie wiem... Nie znam go... do..., niczego... nie przyznaję!... — rozległ się wreszcie po dłuższym milczeniu ochrypły, na wpół do jęku, na wpół do szczekania podobny szept.

— Odłóżmy do jutra badanie; teraz sami musimy się naradzić. Zbliżcie się, abyśmy mogli rozmawiać po cichu!... — zaszeptał Baturin.

Usiedli w kółko i, pochyliwszy ku sobie głowy, gwarzyli.

— Widzi mi się, że sprawa Hoffmana i naszego figla z listem do Ochockiego gubernatora wcześniej, czy później się wyda. Hoffman przed śmiercią widocznie się wygadał, może nawet cały nasz plan rządowi odkrył. Nawet, gdyby szczęśliwym trafem nie wypłynęło na razie podrobienie listu, to nas mogą przez samo podejrzenie aresztować, badać, a następnie wysłać do kątów, skąd o połączonym działaniu mowy nie ma! A w pojedynkę nikt stąd nie uciecze!... — mówił Baturin.

— Chodzi więc niby o to, żeby nie dać się wysłać?... He? Cóż więc: będziemy się bronić czy jak!?... Co?... Trzeba mówić otwarcie!... — spytał posępnie Panow.

— Jeżeli jest wyraźny na to rozkaz, to doprawdy nie widzę, jak możemy wykonaniu przeszkodzić! — zauważył Stiepanow.

— Wszystko zależy od tutejszego naczelnika, w każdym razie on może nas zostawić w mieście do wiosny... dla wypoczynku!... Musimy się o to postarać! — zauważył Sofronow.

— Ba, nic więcej ponadto nie potrzeba! — dorzucił gorąco Baturin. — Żaden okręt tutaj już teraz nie przyjdzie. Wszyscy to mówią. Komunikacji morskiej z Ochockiem w zimie nie ma; droga lądowa trwa coś trzy miesiące. Mielibyśmy więc dosyć czasu do rozejrzenia się na miejscu i obmyślenia środków zaradczych...

— Słusznie!... — zgodził się Panow. — Moglibyśmy zdobyć broń, przecież tu pewnie polują...

— W tym sęk, jak trafić do naczelnika! Chyba, że ty go oczarujesz Beniowski!?

Wszyscy zwrócili oczy na młodego mężczyznę. Ten uśmiechnął się smutno.

— Rad bym z całej duszy, przyjaciele, ale pojęcia nie mam co to za persona. Ci nasi bracia, co tu siedzą już od kilku lat, nic do rzeczy mi nie wyznali. Zresztą może zachowali wstrzemięźliwość, nie wiedząc, kto zacz jesteśmy. Słuszna... Lecz te ich przezwiska naczelnika: despot, ciemniżyiciel, okrutnik nie są żadną wskazówką. Każdy na tym urzędzie względem nas musi być taki, inaczej rychło go napędzą... W srogich tu prawach ogólnych istota!... Lecz nie o to na razie chodzi!... Mylnie szukać u person podobnych cnoty, sprawiedliwości, albo innych dobrotliwych dowcipów i na nich swoje fortele budować... Tak sądzę, że oprzeć się należy na jakowymś ich upodobaniu, na skłonności ich przyrodzenia. Ale jakiej?... Nie mamy najmniejszego po temu pozoru, ani spraw miejscowych poznania! Musimy bez rozsądnej kalkulacji gotować się na wszelką okoliczność i brać, co ona przyniesie. A głównie w lot zgadując, zamierzenia jeden u drugiego, pomagać sobie wzajem niegnuśliwie... Socjeta wszelka nawet stadu wilków, daje wzmocnione rekursa, takż pozwala przez mnogość swej wiolencji z płynnej rozmaitości okólnego żywota wcześniej, czy później wyłowić odpowiednie fortele! Dlatego, przyjaciele, proponuję położyć się niezwłocznie spać, abyśmy jutro, dobrze wywczasowani, odzyskali czujność słuchu, bystrość oczu, żywość myśli, zdolne wszystko postrzec, wszystko rozważyć i korzystać bez pośpiechu z wszelkiego przypadku...

Oracja była przyjęta przychylnie i wygnańcy,

ległszy pokotem na pryczy, usiłowali usnąć.

— Ach, Beniowski. Beniowski!... Dokąd ty nas znowu prowadzisz? Ty nas poprowadzisz wprost na szafot!... — szeptał po polsku Winblath.

— Śpij spokojnie, gdyż jesteś już na nim, przyjacielu! Jako żywo, nie wytrzymasz z twymi płucami, odbitymi kolbami adwersarzy, ani tutejszej długiej zimy ani srogich mrozów, ani uderzeń knuta, na które zasłużyć tu łatwo, och łatwo, przyjacielu! Wszyscyśmy skazani na nie wcześniej czy później wszyscy, co pragniemy choćby cienia wolności!... A czy ty jej już nie pragniesz czy jej już nie pragniesz, mężny majorze króla Karolusa?... Czy doprawdy gotów jesteś tu pozostać na wieki?... Nie chciałbyś już spotkać żony w miłym Sztokholmie?... Nie chciałbyś przy kuflu piwa pogawędzić z przyjaciółmi o sprawach publicznych?

— I ty o to pytasz. złośliwcze!... — baknął niechętnie Szwed i odwrócił się twarzą od przyjaciela.

III.

Nazajutrz rano otoczonych strażą wygnańców przenrowadzono przez bramę z drewniana wieżą po zwodzonym moście na obszerny podwórzec forteczny do mieszkania naczelnika. Tam długo czekali w ciemnym przedpokoju przysłuchując się głosom i skrzypom, dolatującym z głębi domu. Wreszcie drzwi od świetlicy otwarły się i na progu ukazał się Niłow w galowym, suto złotem szitym mundurze; za nim stał wyprostowany jak struna Norin.

— Baczność!... — rozległa się komenda.

Niłow zbliżył się do więźniów, uszykowanych w szereg po wojskowemu.

— Kto jesteś?... — spytał pierwszego z prawej strony.

— Baturin.

— Żołnierz?

— Tak. Pułkownik.

— Dosyć. Następny!...

— Beniowski...

— Jenerał polski? Co?

— Tak!...

— Niegdyś hrabia!? Co?

— Tak!...

— Jakże się tu dostał? — spytał Niłow wymijająco w trzeciej osobie i zwrócił czerwony nos w stronę Norina.

— Jeniec wojenny! — odpowiedział szybko Beniowski.

— Aaa!... Mamy tu już takiego? Jakże to go zwać? Zapomniałem!

— Kazimierz Bielski, Wasza Wysoka Szlachetność! — podpowiedział Norin.

— Tak, tak! Kazimierz Bielski!... Dosyć!... Następny!...

— Winblath. Major szwedzki. Jeniec wojenny...

Gdy tak wszystkich obszedł, znowu stanął Niłow pośrodku sieni, ogromny posepny, na tle jasności bijącej z otwartych drzwi świetlicy, dotknął ręką siwiejącego wąsa i mruknął z lekkim zająknięciem:

— Tak!... Wszyscy więc byliście żołnierzami i nawet... oficerami!... Ale dla mnie teraz jesteście tylko krnąbrnymi i niewdzięcznymi dziećmi Jej Cesarskiej Mości, Miłościwej Pani Naszej Carowej Wszechrosji, przysłanymi tutaj z Jej rozkazu i woli na karę, pokutę i poprawę... Dlatego zapomnijcie raz na zawsze o waszej przeszłości, wyrzucie z głowy pyszne myśli i szkodliwe filozofie, albowiem nie ścierpię ich!... Ułagodźcie zmaćcone dusze

w pracy w posłuszeństwie rozkazom przełożonych. w pilnym płaceniu podatków... A teraz idźcie do kancelarii, gdzie sekretarz Sudiejkin da wam szczególową instrukcję waszych obowiązków i zachowania się!

— Więc wszyscy zostajemy tutaj? — zapytał nieostrożnie Panow.

— Co?... Kto mówi?...

Lecz wygnaniec już zamilkł, szarpnięty gwałtownie przez Beniowskiego za łokieć.

— Ale, ale!... Gdzież znowu ten wasz Beniowski!? Który to mówił, że jest Beniowski? A to ty?! Dobrze!... Otóż raportował mi kapitan okrętu, że w czasie burzy, gdy on, raniony padającym masztem utracił przytomność, miałeś objąć dowództwo statku i choć uczyniłeś to samowolnie, co nigdy na przyszłość dopuszczone być nie może, ale że zabiegami swymi ocaliłeś załogę, pocztę i majątek rządowy, więc wyrażam ci z tego powodu jednocześnie moją naganę i zadowolenie, oraz chwałę za dzielne spełnienie obowiązku... Sprawiaj się tak nadal, a nikt ci tu krzywdy nie zrobi, owszem pozyskasz życzliwość przełożonych i moją opiekę... A tylko słuchać musisz, musisz słuchać, to pamiętaj przede wszystkim!

Kiwnął głową, odwrócił się i odszedł, a Norin przymknął za nim drzwi do świetlicy.

— Srogi samiec!... — bąknął Baturin, schodząc po stopniach ganeczka.

— Ee!... Tak źle nie jest!... Straży już nie ma i wszyscy zostajemy tutaj!... — gadał wesoło Beniowski, rozglądając się chciwie po drewnianych obwarowaniach twierdzy. Oczy jego ślizgnęły się z kolei po domu naczelnika i spotkały się na krótką chwilę z parą innych błyszczących oczu, wyglądających przez szparę niedomkniętych drzwi kuchennych.

Zatrzaśnięto je niezwłocznie, ale Beniowski się rozśmiał i mrugnął znacząco na Stiepanowa.

— Widziałeś?...

— Ba!... Cała ich tam gromada i ładne...

Beniowski nagle sposepniał i, kiwając głową na palisady fortecy, mruknął:

— Rudera!...

— W sam raz do tutejszego użytku... na strzały i kamienie Kamczadalów!... — odrzekł Winblath.

W kancelarii, która znajdowała się na tym samym podwórzu fortecznym, ale bliżej wejścia, znaleźli za jednym ze stołów jegomościa w czarnym, opiętym fraku z metalowymi guzami.

Przeczytawszy list wręczony mu przez naczelnikowego ordynansa, podniósł do góry zwiędłą, zielonkawą twarz „biurowego szczura” i szepnął słodziuchno:

— Dziękujcie, panowie, Bogu i za największe poczytajcie sobie szczęście, że miejscem waszego wygnania wyznaczono wam Kamczatkę, której naczelnik jest najlepszym, najlitościwszym, najdobrotliwszym, najwspaniałomyślniejszym, najtkliwszym, najszczodrzejszym na świecie człowiekiem. Ja go znam dobrze. Ja również jestem szlachcicem i pamiętajcie, że zostałem naznaczony na urząd sekretarza gubernialnego ukazem, osobistym Jej Cesarskiej Mości, Wszech Pani Rosji, Wielkiej Księżny Moskiewskiej, Carowej Kazańskiej i Astrachańskiej, Władczyni Wszech Syberii oraz innych tysiąca imion! Czekam wakansu po Sergiuszu Mikołajewiczu Nowosiłowie, Rzeczywistym Radcy stanu, Sekretarzu gubernialnym, urzędniku ósmej klasy..., którego obowiązki tymczasem pełnię... On tu rzadko przychodzi, ale ja w jego imieniu uczynię wszystko, co jest w mej mocy, aby złagodzić wasz los... Posłuchajcie więc przede wszystkim instrukcji...

Wyjął arkusz drukowany z pliki papierów i od-
czytał głosem nosowym, spoglądając znacząco na
wygnańców po każdym okresie:

„W dniu uwolnienia spod straży wygnańcy zao-
patrywani są ze składów rządowych w żywność
na trzy dni, po upływie których obowiązani są
sami myśleć o swoim utrzymaniu”.

„Każdy dostaje z kancelarii rządowej muszkiet,
grot oszczepu, funt prochu, cztery funty ołowiu,
siekiere, kilka nożów oraz różne narzędzia ciesiel-
skie do zbudowania sobie chałupy”.

„Wybór miejsca zamieszkania dowolny, byle nie
bliżej jak 7 wiorst od miasta”.

„Za otrzymaną broń i narzędzia wygnańcy obo-
wiązani są w tymże roku pobrania wnieść do kasy
rządowej 100 rubli futrami”.

„Każdy wygnaniec obowiązany jest odrabiać
przez jeden dzień w tygodniu wskazaną mu robotę
rządową, aż po kres ustanowiony prawem”.

„Żaden wygnaniec bez specjalnego pozwolenia
naczelnika kraju nie ma prawa oddalać się ze swe-
go mieszkania dłużej jak na dwadzieścia cztery
godziny”.

„Każdy wygnaniec prócz tego obowiązany jest
płacić corocznie podatków do kancelarii miejsco-
wej: sześć skórek sobolich, pięćdziesiąt skórek
zajęczych, dwie skórki lisie i dwadzieścia cztery
gronostajowe”.

— Podpiszcie, że wam czytano!... A tutaj po-
kwitowanie z odbioru rzeczy!

— A gdzież one...? — spytał Panow.

— Dostaniecie w magazynie!...

Pierwszy Baturin pochylił nad podanym pa-
pierem swoją szlachetną, posiwiałą głowę; po nim
przystępowali inni kolejną. Sudiejkin przyglądał
im się spod oka.

— A co?... Nie trudnego!... A zawsze zysk, bo

moglibyście i nie nie dostać!... Nieprawda?... Teraz idźcie z kozakiem, on wam drogę pokaże!...

Długo czekano przed wielką drewnianą szopą, zanim odszukano magazyniera. Gdy wreszcie, brzęcząc wielkimi kluczami, otworzył ciężkie wrzeczadze, znaleźli się w półciemnym składzie, gdzie leżały ułożone porządnie na półkach, lub zawieszane na sznurach, słupach i hakach najrozmaitsze przedmioty, zaczynając od butów, ubiorów, różnokolorowych postawów sukna, a kończąc na broni. Było tego na kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Kozak i magazynier pilnie śledzili za rozglądającymi się po szopie wygnańcami.

— Po co macie, panowie, się trudzić!... — zwrócił się do nich grzecznie Beniowski. — Pozwólcie nam samym wybrać, co wskazano. A ponieważ z dobrej broni na pewno upolujemy więcej, słusznie wam się należeć będzie od nas wdzięczność... Nie uchylamy się od niej, owszem, oto jest mały jej zadatek!... — dodał, wsuwając w rękę jednemu i drugimu srebrnego rubla.

Ci podrzucili je z wesołymi minami na dłoni i kiwnęli głowami.

— Wybierajcie, jest, dzięki Bogu, z czego!...

— A gdzież ryby? — zwrócił się do nich Panow, gdy narzędzia i broń już zostały odłożone na stronę.

— Ryby?... Żadnych ryb tutaj nie ma!...

— Ależ w pokwitowaniu napisano wyraźnie: dziewięć funtów ryby suszonej na głowę, prowiżja na trzy dni!...

— Nic o tym nie wiemy. Ryb nie ma!... Trzeba chyba zwrócić się do kancelarii!

— Ee!... Co wam tam po rybie!... Na wiosnę będzie jej w rzeczkach tak dużo, że rękami ją chwycić będziecie!... — odrzucił magazynowy. — A zresztą, idźcie do Sergiusza Mikołajewicza, mo-

że wam da, ale co innym, to on nie nie daje!

— Cóż będziemy jeść! — burzył się Panow, lecz przyjaciele ujęli go już pod ręce i, unosząc wydane skarby, opuścili pośpiesznie twierdzę.

Za zwodzonym mostem czekała na nich gromadka wczoraj poznanych towarzyszy. Mieli z sobą sanki zaprzężone w sześć psów; położono na nich rzeczy nowoprzybyłych i. weselo gwarząc, ruszyli wszyscy za miasto do wsi wygnańczej.

IV.

Był to szereg nędznych, ponurych chałup, wyciągniętych luźnym sznurem wzdłuż drogi, ledwie oznaczonej na białych śniegach. Pośrodku wznosił się wielki budynek z pociemniałych od starości okrągłaków modrzewiowych, nakryty śpiczastym dachem z małym krzyżem na szczycie.

Gdy osiedleńcy przeciągali przez wieś, z izb wychodziły kobiety brudne, obszarpane w futrzanych kamczackich odzieżach, choć były między nimi i Europejki.

Niektóre stawały na stopniach sionek i pośpiesznie patrzyły na idących, inne kryły się za na wpół otwarte drzwi.

Poprzedzony saniami z ładunkiem błyszczącej broni pochód zatrzymał się przed trochę większym i trochę schludniejszym domkiem, na którego małym ganeczku stał wysoki mężczyzna w reniferowej szubie i futrzanej uszastej czapce. Długa złota siwiejąca już broda spływała mu na piersi, a duże, błękitne marzycielskie, zwilżone łzami oczy patrzyły dobrotliwie na zbliżających się wygnańców.

— Witam was, męczennicy!... — rzekł niskim, dźwięcznym głosem, obnażając głowę.

— Kto to?... — spytał Beniowski.

— To Chruszczow, nasz starosta!

— Chruszczow, Jeronim Antonowicz?... — powtórzył Baturin, przepychając się przez tłum. — Tyżes to, książę? Nie poznajesz mię? ..

Chruszczow pilnie wpatrzył się w twarz mówiącego i potrząsł głową.

— Nie, nie poznaje!... Któż pan jesteś?...

— Oficer z twego pułku... Ten sam, co cię niedługo aresztowałem.. Baturin!...

— Baturin?... Aha, przypominam sobie!... Jakżeś się tu dostał?...

Baturin uśmiechnął się z przymusem.

— Los?.. Po części... Nie mogłem zapomnieć was... Gdyśmy wtedy u was... byli... A następnie... tej chwili, gdy nad wami łamano szpadę.. na... placu.

— Bracie mój... i duszo powołana!... — szepnął Chruszczow.

Pochylił się nagle ze stopni, objął wygnańca za ramiona i ucałował w usta; po czym, trzymając go za ręce, powiócił w głąb mieszkania. Wzruszeni wygnańcy tłumnie poszli za nimi, stukając po schodkach przemarzłym obuwiem i dzwoniąc, wnoszoną do sionki bronią.

W obszernej izbie było prawie ciemno, gdyż małe okienka, grubym przysłonięte lodem, rozświetlały siwym światłem ledwie podoknia i najbliższe im części ław oraz długiego stołu; reszta tonęła w brunatnym mroku. Toteż, gdy weszli, stojąca koło komina młoda Kameczadalka postawiła natychmiast na pełen żaru trzon komina kilka świeżych łup, od których wionęła z trzaskiem, z przyskaniem skier po wszech kątach żywa jasność.

Beniowski ciekawie rozglądał się w koło, ale

nie nie dojrzał godnego uwagi, gdyż na gołych, okopconych ścianach nie było nic prócz wiszących w kącie na drewnianych hakach nędznych kamczadałskich pułapek na drobnego zwierza, oraz paru starych, mocno wylatanych, szórzanych świt, czapek, suszących się łyscianek i kierpei. W głębi mieściła się łóżnica gospoдаря, sądząc z zasuniętej nad nią irchowej zasłony z metalowymi brzękadłami, a w drugim rogu, naprzeciw pod obrazem głowy Chrystusa w cierniowej koronie, widniała podobna zasłona ze starej, wypłowiałej, niegdyś żółtej kitajki.

Uderzył Beniowskiego zupełny brak oręża.

— Podaj herbatę, Alajdo!... — zwrócił się gospodarz do Kamczadalki. — Siadajcie, mili goście! — prosił, przysuwając ławy do zionącego szkarłatną łuną komina.

Obsiedli kołem ten komin cudaczny, zrobiony z ogromnego ciuplastego pnia, pokrytego wewnątrz grubą glinianą polepą. Zwiesili głowy i umilkli, a z tyłu poza nimi stali również w milczeniu starzy, dawniejsi wygnańcy.

— Tak!... Więc to tak!?... — szepnął wreszcie, zgięty w parąk, zapatrzony w ogień Stepanow.

— Napijcie się przede wszystkim wódki. Sam ja nie piję, ale rozumiem, że po przebytych trudach podróży i po tak smutnym spotkaniu potrzebujecie pokrzepienia... i wesołości... — powiedział gospodarz, zbliżając się z fiaszką i czarką do przybytych.

A.ajda, trzymając oburącz za obłóczkę wielki miecziany czajnik, napełniała herbatą rozstawione na stole drewniane, gliniane i metalowe kubki. Dwie inne kobiety, stare i brzydkie, Rosjanki, które z innych chat przed chwilą przybyły jej do pomocy, wykladały rybę uwarzoną z ogromnego koła na drewniany półmisek.

Wódka i pożywienie rozwiązały języki.

— Dużo was?...

— O, dużo! W tej tu osadzie dwudziestu trzech mężczyzn i trzydzieści kobiet, a w całym kraju w Wierchnim, w Niżnie-Kamczacku i po ułusach rozrzucono wiele takich osad... Ale ta jest największa i najbogatsza...

— Najbogatsza?... — powtórzył przeciągle Stiepanow.

— No tak, my przynajmniej domy mamy; inni mieszkają w wykopanych w ziemi jamach, albo razem z Kamczadalami.

— I jakże się to dzieje? Tylu was dzielnych ludzi! Dookoła takie bogactwa, lasy, rzeki ryb pełne, góry, gdzie są pewnie kruszce?... W puszczach moc, powiadają, zwierza?... A wy — biedni? — pytał Beniowski.

— Ha! — rozśmiał się Grzegorz Łobaczow.

— Jak to widać, żeś cudzoziemiec. Nam nic nie wolno, nic!.. Myśmy pozbawieni praw stanu i własności... Zapomniałeś pewnie, bracie, co ci czytano w wyroku.

— Żadnego mi wyroku nie czytano!..

— O, to nic nie znaczy... Ale każdy, który się tu dostał, traci wszelkie prawa... Pierwszy lepszy pacholek, kozak albo żołnierz może mu wszystko odebrać...

— Urzędnicy uważają nas za swoich niewolników... Każde ich słowo jest dla nas prawem i rozkazem!

— Życia nawet nie jesteśmy pewni...

— Nie mamy prawa się skarżyć na nic i na nikogo!..

— Ani świadczyć w sądzie!..

— Ani obcować z kimkolwiek...

— Wiernemu poddanemu nie wolno nas przyjąć w dom, a Boże uchroni wyrazić współczucie!..

— A jednak... — zaczął Beniowski.

— Tak, tak!... Są nawet tacy, co się podorabia-
li... Mieszkają w mieście, mają gospodarstwo,
sprzęty... Ale to wszystko z łaski władzy... Jutro
może się zmienić wszystko... Znajdują się wśród
nas nędznicy, nędzniejsi od najgorszych zbrodnia-
rzy, ale którym dobrze!...

— A jednak... — powtórzył z uporem Beniow-
ski. — Pamiętam, że raz... nad rzeką Om zasko-
czyła nam drogę kupa ludzi zbrojnych, myśliw-
ców... Zbliżyli się z lufami samopalów, skierowa-
nymi na nas, prosząc niby to pokornie, żebyśmy
nie pogarczili ich ubogą gościna... I chociaż nasz
komendant miał dwudziestu czterech muszkietni-
ków, musiał się zgodzić, gdyż ich było z górą
sześćdziesięciu.. Chłop w chłopą jak dęby, odzia-
ni w futra i skóry, ale dostatnio rynsztunek też
mieli przyzwoity... To też, jak się okazało, byli
wygnańce...

Zapanowało ciężkie milczenie.

— Pozwolicie, że naleję wam, przezacny goś-
ciu... Widzę, że wypróżniście już swoją czarkę!...
— zwrócił się do Beniowskiego gospodarz, pochy-
lając się nad nim i znacząco ściskając go palcami
za ramię.

— Jakż koniec? — zapytał któryś ze słucha-
czów.

— Bardzo pospolity! — roześmiał się Baturin.

— Wypili naszą wódkę, zjedli galety, zabrali
proch i muszkiety naszej straży, i po trzech dniach
puścili nas wolno.

— I odeszliście?...

— Właściwie oni odeszli; przyszedł pogłos, że
wojewoda Aczyński ciągnie na nich z Birussami i
Sahalami, odbieżeli więc nas, porzuciwszy wraz z
końmi w swoich lubianych, zasypanych śniegiem
bzdach...

— Otóż to!... To samo i tutaj! Kamczadale, Koriacy, Czukeze, wszyscy gotowi bić — zabić każdego, kto biały... Nie rozróżniają, czy rządowy, czy wygnaniec... Każdy z nas dla nich wróg!...

Beniowski już się więcej nie odzywał. Wodził uważnym wzrokiem po nowych twarzach, ale najpilniej przyglądał się gospodarzowi, gdy widział, że ten na niego nie patrzy.

Długo jeszcze gawędzili, gryząc cedrowe orzeszki, opowiadali sobie przygody z podróży, zdarzenia z pobytu w więzieniach na Syberii, na Kamczatce, oraz dawne wspomnienia dawnego świetnego życia.

W miarę jak zapadał wieczór, zbierało się coraz więcej wygnańców; wracali z pracy w lesie, z nad jezior, gdzie zarzucali sieć, z miasta, gdzie pokonczyli rządową pańszczyznę.

Izba wypełniła się po brzegi; w ciemnych kątach zamajaczyły złowrogie twarze z piętnami na czołach i policzkach, z wyszarpniętymi przez katar nozdrzami. Zaduch od sprzałych skór, zjełczałego tranu, starych, przepoconych onuczy stał się nieznośny.

Rozmowy rozstrzelały się i cichły.

Wtedy Chruszczow wniósł, aby ci, co mają oświeczonejsze mieszkania, zaprosili przybyłych do siebie na przeciąg czasu, potrzebny im do wybudowania sobie chat.

— Z radością gościłbym was wszystkich, ale szczupłość miejsca staje temu na przeszkodzie!... Jak sądzicie: ilu z was mogłoby się tu pomieścić!?

— Nigdy w życiu nie zgodzimy się na to!... Każdy z nas też pragnie mieć u siebie choć jednego gościa, choć na jedną noc — protestowali starsi wygnańcy.

— Oddajcie więc wasze kłopoty z nami losowi i rozegrajcie nas w loterię! — zwrócił się do nich

z uśmiechem Baturin. — Proponuję jednak, aby wyłączyć z tej gry generała Beniowskiego; należy mu pozostać tutaj, u kochanego waszego starosty, nie tylko z rangi, lecz i dla świeżo zabliźnionych, uporczywych ran, które lekarz zabronił narażać na chłodne powiewy nocy...

— Przepraszam... — zaczął Beniowski, lecz Baturin rzucił mu bystre porozumiewawcze spojrzenie.

— Niezmiernie rad będę, generale, jeżeli zgodzisz się uczynić mi ten zaszczyt! — prosił Chruszczow.

Wszczął się gwar, ruch, zaproszenia, umowy, uściski.

Po niedługiej chwili izba opróżniła się i Chruszczow z Beniowskim pozostali sami; Alajda wyszła do spiżarni po futra na posłanie dla gościa.

— Dlaczego książę ścisnął mię wówczas za ramię?... — spytał nagle półgłosem Beniowski.

— Wydało mi się, że, nie znając naszych praw i obyczajów, gotów pan jakim nieostrożnym słowem narazić nie tylko siebie, ale i nas wszystkich na wielkie niebezpieczeństwo. Nie należy kusić ludzi słabych i nieszczęśliwych. Ze źle zrozumianych słów pana mógłby jaki ciemny umysł wywnioskować, jako że ich skłaniasz do buntu i nawet napaści zbrojnej na władze, co by zaraz doszło do uszu niepowołanych, z czego niebawem skorzystaliby urzędnicy i kozactwo miejscowe, aby zawładnąć tą szczyptą lichego naszego majątku, jaki widziałeś. Wtrącono by nas wszystkich do więzienia, poddano śledztwu i okrutnym katuszom dla wykazania wielkiej pilności w sprawowaniu obowiązków i wierności monarsze z jednej strony, a z drugiej...

— A gdyby... — zaczął Beniowski, lecz przer-

wał, gdyż weszła Alajda z naręczem oszronionych
skor.

— Możesz pan mówić dalej bez lęku! Poczciwe
to i oddane mi zupełnie stworzenie. W dodatku
nie rozumie ani słowa po rosyjsku.

— Wolę to ostatnie... w myśl przestrogi wa-
szej, miłościwy książę!... — uśmiechnął się Be-
niowski.

— Zapewne, zapewne!... — powtórzył w zamy-
śleniu Chruszczow.

Przysunął gościowi bliżej zydel przed komin i
dorzucił na dogasający ogień parę nowych szczap.

— A więc słucham.

— A gdyby tak było, gdybym istotnie zamie-
rzał to, o co pan nie chciał, aby mię posadzono!...
— powtórzył Beniowski, patrząc bystro na gospo-
darza.

Ten nie ruszył się, nie zmienił na twarzy, na-
wet oczu ku niemu nie zwrócił; jeno broda mu z
lekka zadrżała.

— Więc co?... Napad?...

— Nie! Ucieczkę...

I przysunawszy się bliżej ku niemu, Beniow-
ski szybko i zwięźle opowiadał mu o sprzysięże-
niu utworzonym przez jego towarzyszy jeszcze w
Jakucku, o ich zamiarze zawładnięcia statkiem w
Ochocku, o nagłej śmierci jednego ze spiskowców,
lekarza Hoffmana, o śladach spisku, znalezionych
przez władze w papierach nieboszczyka, o liście
gubernatora, wysłanym estafetą do naczelnika O-
chocka z rozkazem aresztowania i zatrzymania
spiskowców, o wykradzeniu listu tego przez niego
w drodze u pijanego kozaka i zamienieniu go na
inny, polecający co rychlej wysłać wygnańców da-
lej do Kamczatki, oraz czynić im wszelkie ulgi w
podróży i na miejscu.

— Udało się. Jesteśmy... Być może nawet, że

łaskawe przyjęcie Niłowa jest też skutkiem tych zmyślonych rekomendacji...

— I pan mi to wszystko mówi, nie znając mnie wcale? — przerwał mu z przykrym uśmiechem Chruszczow. — Czy Pan wie, że mi nie wolno wiedzieć nawet o tym, że jeżeli natychmiast nie doniosę tego, co usłyszałem, zostanę skazany na równi z wami na katusze. Ale... co gorzej, że prawo obiecuje zdrajcę za donos obdarzyć... wolnością, prawem powrotu do kraju... Czy pan wie o tym, czy pan wie? Co?

Wstał i przeszedł się kilka kroków w szkarłatnym blasku ognia; Beniowski nie spuszczał zeń oczu.

— Tak, ja wiem to wszystko!... — rzekł wreszcie głosem twardym. Ale wiem też z kim mówię!

— Od pierwszych lat przybycia tutaj myślałem o tym i nie nie mogłem wymyślić!... Odchodzą stąd wprawdzie kilka razy do roku okręty kupieckie na wyspy Aleutskie, Kurylskie i dalej dla polowu ryb, a głównie... dla rozboju, ale są one zawsze pilnie strzeżone przez zbrojną załogę tutejszą, uważającą nas za swoich poddanych, za swoją własność, obsadzone przez kozaków i żołnierzy i dla nas wprost niedostępne... Ach, gdyby mieć okręt, rozpiąć żagle, odpłynąć stąd, roztopić się w błękitach wody i nieba... Odejść, porzucić na zawsze tę ziemię krwi, zbrodni, ucisku i gdzieś daleko wśród ciepłych oceanów pod nowym niebem, na błogosławionej wyspie niepokalanej technieniem ludzkim zamieszkać, aby zacząć tam żyć od nowa życiem chrystusowym, życiem zgody i miłości... — szeptał sam do siebie, chodząc cichymi krokami po izbie, wreszcie stanął i umilkł.

I ogień tylko trzaskał, odrzucając daleko rubinowe węgle.

— Więc cóż!?!... Więc tak... ma pozostać wszy-

stko po dawnemu? — spytał surowo Beniowski.

— Nie wiem. Nawet gdyby się dostać na statek, zabrać go, nie obyłoby się bez walki, bez rozlewu krwi, zabójstwa, utworzenia nowej władzy... a ja... nie mogę, nie znoszę tego... od tego aż tu uciekłem... za to tu jestem.

Beniowski spojrział na księcia spod oka.

— A gdyby wybudować własnoręcznie okręt!
— rzucił z niechcenia.

Chruszczow zatrzymał się.

— Senne marzenie!... Nie ma zresztą czasu; na wiosnę przyjdą statki z Ochocka, przywiozą pocztę i wszystko się wyda!...

— Racja!...

— Zresztą o wiele wcześniej wydaliby was własni nasi bracia wygnańcy... Trzeba znać tych ludzi, słabych, ciemnych, niewytrwałych, zdolnych jeno do zapalnych postanowień i gwałtownych czynów, ale wcale nie umiejących wykonywać planów potrzebujących czasu, cierpliwości, ostrożności... Przyziemni nieszczęśliwcy, pełni zawiści, podejrzliwości, chciwości... często źli głupcy, nad którymi się można jeno litować... Sami obaczycie!

Było już późno; ogień dopalił się. Alajda dawno już spała za irchową zasłoną.

— Czas już spocząć, przyjacielu!... Znużona myśli nie da dzisiaj dobrej rady... Nawet nie wiem, czy w ogóle ją znaleźć może!? Położenie wasze, wyznaję, że ciężkie jest i prawie bez wyjścia...

— Takich nie ma!... — uśmiechnął się Beniowski.

— Dałby Bóg, dałby Bóg!... — powtórzył kilkakroć Chruszczow i z namaszczeniem zrobił znak krzyża na piersiach.

Nazajutrz o świtanu usłyszał Beniowski, jak z łożnicy zeskoczyła bosymi nogami Alajda, jak podbiegła do komina i, mocno dmuchając, nieciła wygasły przez noc ogień.

Po czym wstał Chruszczow i oboje, stąpając na palcach, szepcząc półgłosem, aby nie obudzić gościa, krzatali się po domu.

Rychło podniósł się i Beniowski.

— Wcześniej. Wypoczęlibyście jeszcze trochę, zanim by kobieta zwarzyła śniadanie. Ja bo muszę do miasta zdążyć przed słońcem, aby, jako starosta, zdać sprawę w Zarządzie, wysłuchać rozkazów, rozdać roboty. Co tydzień inna partia naszych pełni służbę; porządkujemy ulice, śnieg obmiatamy z dachów, rozkopujemy zasy koło rządowych budynków, czyścimy doly ustępowe. Pracy jest dużo i ciężkiej. A oprócz tego wiele innej dodają urzędnicy, oficerstwo, nawet prości kozacy. Trudno odmówić, bo zawsze potem dokuczą! — gadał gospodarz, sadzając gościa i siadając sam do śniadania.

— Twardy klimat, mrozy okrutne, ale najgorsze są nieustanne morskie zawieje!...

— I nie tyle, myślę, od szerokości geograficznej miejsca, co od bliskości lodowatych fluktów... — wtracił Beniowski.

Mówili o rozmaitych rzeczach, unikając starannie najmniejszego napomknienia na wczorajszą rozmowę.

Dopiero przed samym wyjściem Chruszczow, już odziany w czapkę uszastą i szubę, zbliżył się do kitajczanej zasłony, wiszącej pod obrazem Chrystusa, i, zsuwając ją w bok po sznurze, rzekł:

— Oto moje największe bogactwo!

Beniowski spostrzegł w niewielkiej niszy kilka półek, szczelnie zastawionych książkami, wstał więc i zbliżył się pełen ciekawości i zachwyty.

— Bo prócz porządkowania śmietników — dodał ze smutną ironią, — mam obowiązek rozmaitym damom tutejszym czytać od czasu do czasu „Skołę Świętości”, „Biedną Lizę”, albo tłumaczyć jaką powieść francuską... Jedyne to źródło moich skromnych dochodów.

— Co widzę: wojaż Ansona!... — ucieszył się Beniowski, czytając bystrym wzrokiem nagłówki na grzbietach foliałów.

— Ach, tak!... Nieszczęsny wojaż!... Co nocy nieprzespanych kosztowała mię sama wyspa „Ty-nian”!... Jakże bardzo chciałbym być jej królem! — westchnął pół smutno, pół żartobliwie Chruszczow.

Beniowski wyciągnął rękę po książkę.

— O, i mapy są!... Pysznie!... O nie właśnie chodziło!

— Są lepsze w kancelarii i dostać je można!...

— Więc książę się zgadza?!

— Pogadamy o tym po powrocie z miasta!...

Beniowski włożył czapkę oraz futro, aby odprowadzić go trochę.

Żywa, płomienista zorza poranna przeświecała przez osędziały od szronu las. Dalej ku północy nad puszcza wznosiły się wysoko w błękitach gorejące szkarłatem czuby gór. Ku morzu zaś otwierała się mroźna, biała, zamglona otchłań.

W wiosce już nie spano; ze wszystkich komi-nów kurzyło się i rozlegały się ostro w twardym powietrzu głosy ludzi, skrzyp sani i poszczekiwanie psów. Gromadka wygnańców z łopatami i siekierami przyłączyła się rychło do Chruszczowa. Beniowski porzucił ich na skraj, wrócił do wioski i przede wszystkim obszedł, obejrzał uważnie osied-

le, gdzie chwilowo zamieszkał. Był to mały, dość dobrze zaopatrzony na zimę domek; sagi przygotowanego na opał drzewa stały na zadworku, stosy lodu do topienia na wodę błyszczały pod ścianą jak kryształ w promieniach wschodzącego słońca.

Alajca w krótkim kaftaniku, z gołą głową, wyskoczyła z sionki z nożem w ręku i, rzuciwszy figlarne spojrzenie i zagadkowy uśmiech młodemu gościowi, jęła szybko łupać kawałkami lód do trzymanego w ręku wiadra.

Beniowski poprawił czapkę i po krótkim wahaniu zawrócił do wioski, aby odszukać Baturina. Niedługo potem sześciu, przyjezdnych spiskowców siecziało wśród zaśnieżonego lasu na pniu zwalonego drzewa i naradzało się, co dalej czynić?

— Źle się stało, że Beniowski mu powiedział. Przede wszystkim nie miał prawa; po drugie on nas zdradzi.. Obaczycie, że za chwilę będą tu kozacy!... Ale ja się żywcem nie dam!... — wybuchnął Stiepanow.

— Skądże taka pewność!? Przeciwnie, jestem przekonany, że się do nas przyłączy i bardzo nam dopomoże!... — odpowiedział sucho Beniowski.

— Wiecie co, zamiast się klócić i trapić podejrzeniami, udajmy się lepiej zaraz do miasta. Przede wszystkim mamy obowiązek przedstawić się sekretarzowi i komendantowi, po drugie poznamy zaraz z nastroju, co się święci... A może i zajęcie jakie znajdziemy... — radził pojednawczo Baturin.

Poparli go Panow i Sofronow; Winblath poglądał wyczekująco na Beniowskiego; jeden Stiepanow z miejsca zapalczywie oświadczył, że nie ma wcale zamiaru iść naprzeciw zgubie, że woli zostać tutaj bliżej lasu.

Przy wejściu do miasteczka spotkali gromadkę wygnańców, rozkopujących zaspy nawiane przez

onegdajszy wicher i spychających śnieg na brzeg drogi. Churszczowa nie było z nimi. Wezwano go do naczelnika, a po co? nie wiadomo.

Na ulicy uderzył ich dziwny ruch; spotkali ront żołnierzy, a nieco dalej oddział kozaków, kierujący się do twierdzy.

— Dziwna rzecz!... — mruczał Panow. — Czyżby tu co dzień odbywały się takie manewry?

— Słuchaj, Beniowski, czy nie lepiej wstrzymać się z wizytą, zaczekać na Churszczowa i dowiedzieć się, co to wszystko znaczy?

— Wiecie co? Idźcie wy wszyscy do towarzyszy, pomóżcie im skończyć wcześniej pracę i wracajcie natychmiast do wioski... Pójdę sam na zwiady, a gdy tylko spostrzegę coś podejrzanego, przybiegnę do was. Wtedy broń do ręki i w las, będziemy się przedzierać do Czukczów!... — postanowił nagle Beniowski.

Zrobili, co kazał.

Sam on zaczął przechodzącego kozaka, spytał go, gdzie mieszka sekretarz Nowosiłow, i poszedł w tym kierunku, bacznie oglądając ulice.

W głębi niewielkiego, otoczonego parkanem podwórza stał obszerny dom, nakryty spiczastym dachem.

Pośrodku miał mały ganeczek z okapem na filarkach, a po obu stronach po dwa duże okna, przykryte lodowymi taflami.

Gdy Beniowski już wstępował na schodki ganeczka, zza węgła ukazał się piętnowany na obu policzkach niewolnik i szorstko zapytał:

— A dokąd to?...

— Do sekretarza kancelarii...

— Pan teraz gości ma. Od kuchni idź i tam zaczekaj! Nie wiesz drogi?... Tędy leziesz!?

Beniowski zamyślił się.

— Miły człowieku!... — rzekł, wyjmując grosz.

— Ja pójdę już tędy, a ty idź przez kuchnię i powiedz panu, że wygnańcy, którzy wczoraj przybyli, chcą mu złożyć swe uszanowanie!...

— Ech, nie znasz ty tutejszych porządków... Pójść to pójdę, dlaczego nie!? Ale może ci tego za to wlecieć!...

Beniowski nacisnął ostrożnie klamkę żelazną i wszedł do niewielkiego przedpokoju. Parę futer wisiało na wieszadłach; zdjął więc swoją szubę, powiesił ją skromnie w przeciwnym kącie i został w granatowym sukiennym półwojskowym żupanie, który starannie przechowywał całą drogę i dowiózł aż tutaj w całości. Poczekał czas jakiś, lecz nie słysząc żadnego głosu, ani widząc ruchu w głębi domu, uchylił cicho drzwi na prawo.

W dużej świetlicy, wysłanej futrzanymi kościami, siedziało dwóch panów, opierając się łokciami na stole; nie ruszyli się i nie zmienili położenia, choć drzwi z lekka skrzypnęły, tak byli jakąś sprawą zajęci. Beniowski przestąpił próg i wyprostował się tuż u drzwi.

Teraz widział wybornie, że grali w szachy, a bystry wzrok pozwalał mu nawet z tej odległości śledzić za posunięciami. Siedzący tyłem do niego chudy, kościsty jegomość w kozackim czekmeniu grał źle, ale mimo to wygrywał. Jego przeciwnik, gruby, okrągły jak dynia, owinięty niedbale żółto-czerwonym kwiecistym szlafrokiem, sapał, pocił się i zdradzał zły humor. Gra widocznie dobiegała do niepomysłnego dlań końca. Beniowski chrząknął.

— Kto tam?

— Beniowski jestem! Wygnaniec... wczoraj przybyłem. Pośpieszam do Waszej Szlachetności z pokornym pytaniem, kiedy raczy przyjąć wyrazy szacunku ode mnie i towarzyszków moich, czekających na ulicy...

— Dobrze, niech jeszcze poczekają!...

Znowu zapanowało milczenie, przerywane jedynie stukaniem szachów i sapaniem zapaśników.

— Ech!... Przegrałem!... — mruknął wreszcie gruby, odsuwając się z niechęcią od szachownicy.

— Jeszcze tutaj możecie uciec, Sergiuszu Nikołajewiczu!... — pocieszał go przeciwnik.

— To już nie pomoże!... A ty co ślepią wytrzeszczasz?... Czy może znasz się na tej grze, durniu!? — zwrócił się niespodzianie do Beniowskiego.

— Może i podtrzymam się w nią cokolwiek!

— Ha!... Podtrzymasz się, patrzcie go!... Ze okręt wyratował, to myśli, że wszystko umie... Dobrze, jak wygrasz, to dostaniesz pięćdziesiąt rublów, ale jak przegrasz, to co?... Co dostaniesz?... Dostaniesz to, co łaskawie Nikandr Gawryłowicz ci naznaczy! Zgoda, co?

Chudy jegomość w kozackim czekmeniu wyszczerzył wilcze zęby w rozkosznym uśmiechu.

— Przegrać łatwo; w samej przegranej jest już kara — odparł śmiało Beniowski. — Ale ja nie widzę, żeby szczęście i teraz całkiem już odwróciło się od Waszej Szlachetności...

— Patrzcie go! szczęście nie całkiem odwróciło się od Mojej Szlachetności!... Trzecią partię przegrywam, a on mówi, że szczęście nie całkiem odwróciło się... Hę!... Cóż wy na to, komendancie!?!... Pokażcie mu, gdzie raki zimują!... Już ja postaram się, żeby mu to nie uszło na sucho!... Ile zechcecie, tyle wlepić każe!

— Nie wiem, czy wypada grać, przecież to wygnaniec, przestępca... Prawo przecież zabrania obcować z przestępcami!...

— Głupstwo. Obcować, to znaczy gadać, rozprawiać... I słusznie, bo wtedy można się od nich występny duchem niepostrzeżenie zarazić, ale

grać w szachy można bez gadania... Jeżeli wy, Nikandrze Gawryłowiczu, się nie zgodzicie, to ja też nie gram dalej i będzie nierozegrana... A jeszcze przecie nie koniec! Na mnie kolej i mam posunięcie! Wszak ja mogę, kogo chcę, swoim zastępcą naznaczyć, nawet na to jedno posunięcie!... Co, może nie!?!...

Komendant kiwał głową, spoglądając niespokojnie na swoją partię.

— Jaka nierozegrana?... Co gada ten tu gbur!? Głowę wam zawrócił! Widać, jak na dłoni, że moja!... Grzech wam, Sergiuszu Nikołajewiczu, tak mię krzywdzić!...

— Żadnej krzywdy nie widzę!... Jeżeli naprawdę wygrana, to z każdym, a jeżeli nie... to znaczy jest w tym fałsz!... Wygrałeś podejściem!... Nie płacę!...

Kozak szarpnął obwisłego wasa, spojrzał groźnie na stojącego nieopodal Beniowskiego i kiwnął głową.

— Niech więc siada, ale tylko raz!

Sekretarz podniósł się z miejsca i, stanąwszy nad graczami, nucił przez nos:

Oj, Duka, Duka, Duka, Duka...

Kto do ciebie w okieneczko stuka!?

To, mamuchno, kot, kot...

Skoczył sobie w ogródeczku na płot...

Oj, Duka, Duka, Duka...

A kto tam w twej izdebce stuka?

A to ten kot, niecnota,

Skoczył mi na poduszkę z płota!

Ach, niecnota, niecnota!...

Jak łóżkiem on chrobot.

.

Za trzecim posunięciem Beniowski podstawił do zabicia królowej ostatniego swego konia, po

czym laufrem zaszachował nieprzyjacielskiego króla, odsłaniając jednocześnie tym ruchem królową przeciwnika na atak swej wieży. Królowa została w ten sposób wzięta, a po kilku jeszcze posunięciach partia Nikandra Gawryłowicza przegrała. Długo w nią kozak nie wierzył przypatrywał się, mrużąc to jedno oko, to drugie, przechylając głowę to na tę, to na tamtą stronę; przedstawiał figury, przymierzał, wreszcie ręce ze zdumieniem rozłożył, wzdychając...

— Prawda!... Mat!... Ale doprawdy nie wiem jak się to stało!... Jakaś w tym sztuka!... To nie może być... to nieczysta sprawa!

— Ha, ha, ha! Nieczysta sprawa?... Dlatego, żeś przegrał?... he!?! Pewnie, że sztuka — sztuka rozumu, kunszt! — śmiał się sekretarz. — Ładny konik! Nie bądź chciwy i łapczywy!... Co!?! Zgrabnie!?! Pięćset rubelków moje!... Bardzo proszę!... Nóżki na stół!... Ty, Beniowski, zarobiłeś swoje pięćdziesiąt!... Nie bój się, te pięćdziesiąt płacę, ale nie mów nic, bo ci nie wolno! Pamiętaj! Ale wódki i herbaty możesz się napić!... Hej, Agafia, podaj kubek gościowi!...

Klasnął w ręce i zaraz cicho wsunęła się do pokoju piękna blondyna w haftowanym srebrem saraфанie z sznurem koralu na białej szyi. Szła z opuszczonymi powiekami i gorący rumieniec zalewał jej twarz w miarę, jak się zbliżała ku mężczyznom. Beniowski dostrzegł zdradzieckie sine piętna na jej czole. Wyglądające spod wysadzanej rubinami opaski. Domyślił się, że ma przed sobą niewolnicę-wygnankę i ukradkiem spojrzał na grubego sekretarza. Ten udawał, że nie widzi zmieszania swojej gospodyni i, dzwoniąc wypłacanymi mu przez komendanta monetami, wołał:

— Chytra bestia, ten Beniowski... nie ma co! Ale tak mu się dać złapać!... Ho, ho! Trzeba być

ostatecznym cieleciem... Naczelnik pęknie ze śmiechu, gdy mu to jutro opowiem!...

— Cóż?... Ja grałem szczerze z dobrą wiarą!... Nie trudno podejść uczciwego człowieka!... — broił się chmurnie kozak.

— To może jeszcze raz spróbujemy, Nikandrze Gawryłowiczu? Co? Co myślisz o tym, Beniowski? Masz swoje pięćdziesiąt, ale jak przegrasz, to je zwrócisz z naddatkiem... Rozumiesz?!

Beniowski milczał i monety nie tykał.

— Ha, zgoda!... Zagramy raz jeszcze... — zdecydował się wreszcie kozak, z nietajoną żalością spoglądający na swoje pieniądze, dzwoniące w rękach sekretarza. — Tylko warunek: żadnych poprawek; co z wozu spadło, to przepadło!...

— Słyszałeś, Beniowski: co z wozu spadło, to przepadło... Pamiętaj więc, a będziesz miał drugie pięćdziesiąt rubli!... Trzymam stawkę, także pięćset!

Beniowski spokojnie ustawiał szachy na desce. Zaczęła się nowa gra, — cicha, zacięta, poważna podczas której gruby sekretarz kołysał się obok stołu na nogach, aż skrzypiała pod nim podłoga, i nucił:

Zachciało się dziewczynie, zachciało...

Wszystkiego jej było za mało...

Gdy Beniowski nie wziął podstawionego sobie bez ochrony laufra, a zamiast tego zrobił szach królowej, sekretarz cmoknął z zadowolenia i zawołał:

— Serce moje, komendanciku! Szelma ten Beniaszka!... nie w ciemę bity! Co?... Ogra on nas z kretesem, obaczysz!

Ten za gruby, ten za chudy,
Ten piegowaty, a ten rudy!...

Gdy po trzech przegranych partiach czerwony jak burak setnik podniósł się od stołu i odtrącił gniewnie szachownicę, Beniowski wstał również, nie śpiesząc się. Sekretarz z pewnym szacunkiem i zaciekawieniem przyglądał się, jak obojętnie kładł wygnaniec do kieszeni wyliczone mu przezeń pieniądze.

— Suma nie mała: półtorasta rubli w godzin parę! Ale... nie bój się, niczego się nie bój!... Towarzyszy przyprowadź jutro, bo teraz muszę lecieć do naczelnika opowiedzieć mu o tej hecy!... Czysta umora!... Ha, ha! — śmiał się wciąż, trzęsąc ogromnym brzuchem, jak worem sieczki.

Gdy Beniowski wyszedł na ganeczek, na niebie znowu paliła się zorza. W pierwszej chwili nie mógł rozeznąć, dokąd ma iść; poza nim gorzały w purpurowej jasności też same góry, a przed nim otwierała się też sama zimna, mglista przepaść morska. Na widnokręgu tu i ówdzie błyskały gwiazdy, w oknach domów czerwieniły się niewyraźnie plamy ognia, a słupy brunatnych dymów biegały szparko z niskich kominów.

Nagle Beniowski ocknął się, zrozumiał, że to wieczór, i szybko skierował się ku miejscu, gdzie zostawił towarzyszy. Na uprzątniętej ulicy było pusto i cicho, a gdzieś w oddali psy ujadają gromadnie.

Beniowski powiodł ręką po oczach i twarzy i wstrząsnął się; głód mu dokuczał, ale nikogo tu nie znał, a nigdzie nie widział szynku, oberży, nawet sklepu, gdzieby mógł coś zjeść. Nie zwłócząc więc dłużej, przyspieszył kroku i wyszedł za miasto, kierując się do wsi wygnańczej.

Zastał towarzyszy zebranych u Chruszczowa.

— Jesteś nareszcie! — zawołali radosnie, gdy ukazał się we drzwiach.

— A bo co?

— Bo nie wiedzieliśmy, co robić!

— Obawialiśmy się, żeś aresztowany!

— W nocy nie wolno nam chodzić po mieście... — objasnił Chruszczow.

— Coż więc nam wolno? — spytał z gorzkim uśmiechem Beniowski.

— Jakież przymiesliście nowiny?

— Bardzo dobre!

— Coż więc znaczyły te ronty!

— Po prostu zaimmerze szli do magazynów odbierać zaległe, a obecnie przywiezione przez statek, racje mąki, wódki oraz inne rzeczy.

— Widzicie, jak złym jest strach tłumaczem!...

— Wiemy, wiemy, ale już nie marudź!...

— A ciebie, księżę, po co wzywał naczelnik?

— Chciał, żebym ciebie przyprowadził.

— Mnie?... Cóż tam znowu!?

— Nie złego, nawet dobre są wróżby, ale nie mogłem cię znaleźć... Gdzieżeś był?

— U sekretarza.

— Cały czas?

— Cały czas...

— A ten nicpoń stróż powiedział mi, żeś już wyszedł. Cóż tam robił tak długo?...

— Ach miałem zdarzenie! Doprawdy jak gdyby wyjęte z przygód Sinbada!

Opowiedział o swej grze w szachy z nieznanym mu Nikandrem Gawryłowiczem i wysypał srebro na stół.

— Żle!... Żle się stało!... Znam tego Nikandrę

Czernych setnika... Nie przebaczy ci on przegranej, hrabio, życie całe!... Z nakładem odbierze swoje i jeszcze znęcać się będzie za drwiny, których z twego powodu doznał... Najlepiej będzie, jeżeli jutro pójdziesz mu sam te pieniądze zwrócisz... z naddatkiem! Dam ci skórę lisa!...

— Bardzo by się jednak przydały te pieniądze dla naszych zamiarów!... — wstawił nieostrożnie Stiepanow.

— Jakich zamiarów?... Nie mamy żadnych zamiarów... Po prostu musimy pobudować sobie chałupy — zauważył spokojnie Baturin.

— Nie wiem, co jeszcze zrobić! W każdym razie... lisa mu nie dam! — powiedział spokojnie, wysłuchawszy wszystkich uwag. Beniowski. — Lecz doprawdy nie jest to rzecz najważniejsza... Najważniejszą, bracia, rzeczą jest, według mnie, dowiedzieć się, czy książę jest z nami, czy podziela nasze plany?

Zwrócił się do Chruszczowa. Ten poczerwieniał i milczał przez długą chwilę.

— Tak, jestem z wami... z warunkiem, że nie będziecie mnie zmuszali do udziału w mordach, zabójstwach, napadach. Mówiłem już o tym... Krew własną gotów jestem jednak przelać za cel tak szlachetny...

— Wolałbym... krew wrogów!... A jeszcze bardziej wolałbym... ich okręć... — zażartował Beniowski. — Zresztą nie o to chodzi!... Myślę, przyjaciele, że możemy księciu obiecać... Prócz finałnej walki istnieje tysiące spraw, których nikt lepiej od niego nie jest w stanie załatwić!... Musimy zorganizować wygnańców; bez tego żadne z zamierzeń naszych nie uda się; musimy wprowadzić ład i rygor w ich życie; zwiększyć nasze środki, a głównie podnieść ducha powszechności... Brak go, zupełny go brak i dlatego to ciemniży-

ciele tak śmiało depczą nas!... Proponuję, abyśmy zaraz tu nie zwlekając utworzyli tajną radę związkową, która by zajęła się tymi sprawami. Równość nieszczęścia porównała nas i wszyscy tu obecni jako bracia powinni wejść do związku z równym głosem... Doświadczenie uczy, że jak ciało bez głowy, tak żadne towarzystwo obejść się nie może bez szefa. Nad wyborem tego naczelnika najpierw się zastanowić należy. Będzie on naszym mentorem i jego obowiązkiem stanie się służyć wszelkimi siłami interesom naszego związku, a za to wszyscy ślubują mu swą podległość i posłuszeństwo. W tym celu wybrany naczelnik zaprzysięże następujące warunki: iż użyje on swej zdolności i doświadczenia w niezwłocznym ułożeniu planu operacji, którego nieodstępnie nawet z hazardem życia trzymać się będzie, ten zaś plan ma się kłonić ku przywróceniu wszystkim towarzyszom jak najprędzej wolności; iż nie będzie miał nigdy preferencji dla nikogo oddzielnie z towarzystwa; lecz że całej radzie doniesie zawsze o wszystkim, co tylko osądzi być potrzebnym do pomyslnego uskutecznienia ogólnych zamiarów; iż, gdyby chciał zaniechać swego przedsięwzięcia lub coś podobnego ważył się insynuować związkowej radzie, śmiercią bez żadnego pobłażania ma być pokaran!... — dyktował mocnym głosem Beniowski Sofronowowi, który, siedząc na rogu stołu, słowa jego skrzętnie notował. Opodal dookoła wsparci na łokciach chylili się nieruchomo wygnańcy, a latająca przy ogniu obuwie Alaja coraz oglądała się na nich, zdziwiona i trochę jakby strwożona.

— Coś wygląda jak gdyby Kameczadalowie szli na wojnę! — mruczała cicho.

— Od związkowych zaś — ciągnął dalej Beniowski — wybrany naczelnik otrzyma następujący jurament: iż każdy z nich doloży wszyst-

kich starań, choćby z niebezpieczeństwem życia, do skutecznego planu w celu odzyskania wolności. Iż, uznawszy władzę i zwierzchność naczelnika, podda się jej ze ślepym posłuszeństwem. Że ponieważ niesprawiedliwość i despotyzm od wszelkich uwolniły go cywilnych i politycznych obowiązków, zatem słuchać winien bez żadnej restrykcji już tylko rozkazów obranego naczelnika. Iż gdyby zdradził położone w sobie zaufanie i odkrył zaraz od dnia podjętej narady najmniejszą okoliczność, odnoszącą się do zamiarów wygnańców lub też wyjawiłby najdrobniejszą decyzję rady, w takim razie uznaje się być winnym śmierci. Rada wyrok niezwłocznie ogłasza, a każdy ze związkowych uroczyście obowiązkuje się wymierzyć go na przeniwiercy bez względu na wszelkie przyjaźni lub krwi głosy i więzy pokrewieństwa...

Długo milczeli wygnańcy, nie patrząc na siebie, wreszcie ozwał się Baturin:

— Przecie nie dziś zaczęliśmy tę grę, gdzie stawką są nasze głowy, a wygraną wolność... Dlatego uważam, że nic z tych paragrafów ani dodać, ani ująć nie należy...

— Raczej dodać, że każdy z nas ścigać będzie zdrajcę do ostateczności w doczesnym i nawet przyszłym życiu... Aby nie był pewny nawet w grobie spokoju!... — dodał zapalczywie Panow.

— Pozostaje przystąpić do wyborów!... — szepnął Sofronow. Podał małe kartki papieru, na których wygnańcy w skupieniu kreślili nazwiska.

— Beniowski... Beniowski... Beniowski... — czytał chwilę potem Chruszczow... — Jednogłośnie... Ach nie!... Na jednej jest moje nazwisko... To pewnie twoja, hrabio!... Ładnie byś wyglądał pod moją komendą!... — rozśmiał się trochę chryplym śmiechem.

— Przepraszam, towarzysze i bracia!... — znowu podniósł głos Beniowski. — Zanim przyjmę wasz wybór, musimy przyrzec sobie wzajem rzecz następującą: gdyby w przypadku zdrady naczelnik lub jakikolwiek członek towarzystwa dostał się w ręce rządu, zachowa wówczas jak najściślejszy względem sprzysiężenia sekret, a zaś wszyscy uczestnicy związku użyją wszelkich, chociażby z niebezpieczeństwem życia sposobów, iżby więźnia z rąk nieprzyjacielskich uwolnić; gdy zaś ani sztuką, ani otwartą siłą nie nie wskórają, wówczas podadzą mu truciznę lub oręż, aby rządowym wyrokiem przeciśniony jeniec wyznaniem swoim nie zgubił współników!...

— To się samo przez się rozumie!... — powiedział Stiepanow, podchodząc i biorąc za rękę Beniowskiego.

Ten przyjął ją trochę chłodno, zajęty własnymi myślami.

— Panowie!... — dodał znowu, podnosząc głowę. — Nie uchylać się od życia społeczności, nie uchylać się od życia, gdyż tam tylko odnajdziemy substancjum dla naszych planów!... Chodzić będziemy wśród ludzi, jak inni, chowając głęboko w sercu nasze zamierzenia. Nie kłamać bez potrzeby, ale i nie śpieszyć z prawdą, gdzie ona może być zgubą. Przeciwnik pod hańbą żąda od nas prawdziwości, podczas gdy sam w fałszach i okrucieństwie względem nas nie przebiera.

— Właśnie. Chciałem takż proponować kilku nowych członków, wypróbowanych moich przyjaciół, gdyż w rozszerzeniu towarzystwa i ja widzę jego skuteczność!... — dorzucił Chruszczow.

— Bez wątpienia. Podaj pan ich listę, abyśmy mogli się o nich wywiedzieć, co należy, zanim wniesiemy ich przyjęcie na następnym zebraniu, które odbędzie się również tutaj za dni cztery!... — posta-

nowił Beniowski. — Czy nie przejdziemy się, przyjaciele... bo jakoś duszno? Ale za progiem tej izby wara mówić o sprzysiężeniu...

— Dziwny człowiek!... — szeptał, wychodząc, Chruszczow. — Z chwilą jego przybycia wszystko zdaje się z błyskawiczną toczyć szybkością!... Co zdarzeń w dni parę!?

— O tak!... Tak było wszędzie i zawsze, o ile wiem!... Tak było w Kazaniu tak powiadali było i w Krakowie... On z tych, co to, gdzie stąpi wszystko się w koło kolebie, mury kruszą, wszystko drży, żyje, walczy... — odszepnął z zapalem po cichu Winblath.

Skręcili z drogi i zagłębili się w śpiący pod śniegami las. Jenó chrzest śniegu pod ich nogami naruszał ciszę; jenó ruch potraconych przez nich gałązek naruszał spokój. Milczeli, poglądając na niebo, gdzie tysiące gwiazd drgało, iskrzyło się, mrugało, sunąc w majestatycznym, ledwie dostrzegalnym korowodzie. Beniowski szedł przodem i mówił do Chruszczowa i najbliższych:

— Słyszeliście pewnie o neotryzmie, czyli nauce recentiorum, według której ziemia obraca się około słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczeń obraca się koło ognia, nie ogień koło pieczeni... Takoż gwiazdy nie chodzą koło nas po sferach, lecz niby my sami lecimy wśród mrowia gwiazd... Taż nauka twierdzi, że koloru nie masz żadnego w rzeczach, tylko te barwy, które na nich widzimy — białe, czarne, zielone, czerwone, żółte — sprawuje temperament oczu i światła... Czego wielkim jest dowodem jabłko, na przykład, w dzień zielone, a w nocy przy świecach wydaje się być granatowe... Powiadają też, że i ból, świerzbienie i inne uczucia nie mają swego placu w ciele, tylko w duszy, ponieważ ciało bez duszy nie czuje. A mnie się zda, iż tak ciało nie czuje bez duszy, jak dusza

bez ciała, że organy nie grają bez organisty i organista bez organów, że jeżeli czucie nie jest w ciele, tylko w duszy, to też i głos nie jest w organiscie!...

Śmieli się wygnańcy z tych dowodzeń i rozmaite robili uwagi, aż wyszli na małą polankę, skąd otwierał się widok na łańcuch gór, uchodzący z kamiennym spokojem ku mrocznemu widnokręgowi północy. Nagle jakaś luna krwawa buchnęła na gwiazdy i zgasła. Z drzew posypały się szrony.

— Co to?... zorza północna, czy piorun!?!...

— Piorun w zimie?!...

— Rozmaicie bywa w naturze. Kto ją poznał?!... Pamiętam raz...

— Nie, to pewnie gra któryś z wulkanów!... — przerwał sprzeczki Chruszczow.

VII.

Nazajutrz Beniowski poprowadził towarzyszy całą gromadą do sekretarza.

Szli z początku znaną im już drogą, wraz z wyznaczonymi do przymusowych robót wygnańcami. Byli w dość trwożnym usposobieniu, dzięki oczekującemu ich spotkaniu ze słynnym ze swej surowości sekretarzem, oraz z powodu nagłego, dzisiaj ponownie powtórzonego, wezwania Beniowskiego do naczelnika kraju. Chruszczow starał się rozproszyć ich obawy:

— Pewnie czeka go reperacja jakiego cennego przedmiotu, albo kunsztownego instrumentu — mówił. — Wszyscy urzędnicy mają tutaj moc takiego rupiecia. Każdy przywozi z sobą dla rozrywki jakiś rarytas, który następnie zepsuty leży bez użytku w lamusie i czeka zmiłowania Bożego.

Takim zmiłowaniem jest przyjazd nowej partii wygnańców. Gdyż nas tu mają za wszechmocnych, nieledwie za czarnoksiężników ze złotymi palcami. Nie należy nigdy odmawiać prośbie, przede wszystkim dlatego, że za takie reperacje ucieszeni właściciele obdarzają zwykle kunstmistrza choć małym datkiem. po drugie, że odmowa pociąga za sobą niezadowolenie i, co za tym często idzie prześladowanie nieszczęsnego niezręcznika. My zaś wspólnymi siłami zawsze dajemy sobie radę z podobnymi robotami. Wyobraźcie sobie na przykład, że los na pierwszym kroku obdarzył mnie pobielaniem rondli u miejscowego protojereja. Pojęcia o tym nie miałem. Mimo to przyjąłem robotę z podziękowaniem, jak mi poradził najstarszy tu z nas, poczciwiec Bielski... Rondle, rozumie się pobielili nasz kowal wioskowy któremu zapłaciłem z własnej kieszeni a w zamian dostałem... błogosławieństwo pasterskie!...

— Ja musiałem dorobić klapki do złamanego fletu, choć instrumentu tego nigdy przedtem nie trzymałem w ręku! — dodał ktoś z tłumu.

— Ja złutowałem złoty łańcuszek żony komendanta, choć z zawodu jestem kancelistą.

— Miałem wielki kłopot ze sztucznym kotem, miauczacym za pociśnięciem ogona... Stracił ogon i przestał, rzecz prosta miauczeć.

Onowiadali ze śmiechem wygnańcy jeden przez drugiego.

— Wyobrażam sobie, jakie cuda gadają o Beniowskim i czego się po nim spodziewają! Już mię wczoraj zaskoczyła z pytaniami stara niańka Niłowów: A kto zacz jest? A skąd?... A czy młody?... Czy stary?... Czy nosi wąsy, czy nie?... Czy umie tańczyć i gadać po francusku?... Czy to prawda, że był na dworze u polskiego i niemieckiego królów i ma dworskie maniery? Dostanie do napra-

wy co najmniej te stare organy, na które już raz straciliśmy bezskutecznie tyle trudu i dowcipu!... — żartował Chruszczow.

— Mam więc je wziąć? — pytał Beniowski.

— Rozumie się!... I nawet gdyby ci dodano coś w rodzaju starej zagwożdżonej armaty do naprawienia bierz, nie pytaj, owszem, obiecaj, że dostarczysz ją w najlepszym stanie i w najkrótszym czasie!... A potem już zobaczymy, co się da zrobić!... Są rozmaite sposoby ulagodzenia niecierpliwych wymagań głównie przez... niewiasty, których wpływ jest tu niezmierny.

— Jak wszędzie, gdzie białogłowy są w mniejszości...

— Ach, przyjaciele, przewodzą one i tam, gdzie są w większości. Rzekę prawdę, gdy powiem, że przewodzą wszędzie, przewodzą miłym obejściem, dowcipami, ponętami i lubą rozrywką sercową w tej nudzie życia...

Tak gawędząc, rychło znaleźli się w miasteczku i rozeszli do zajęć w różne strony.

Beniowski minął zwodzony most fortecy, gdzie stojący na straży kozak zmierzył go badawczym spojrzeniem, i udał się wprost do mieszkania państwa Niłowów.

Po krótkim oczekiwaniu w ciemnej sionce wezwano go przed naczelnika do świetlicy.

Pan Niłow nie miał tym razem na sobie munduru, lecz zwykły lisi kubrak, kryty zielonym „haksamitem”, Jego obrzękły, sino żyłkowany nos nie wyglądał tak drapieżnie, jak za pierwszym razem; otoczone czerwoną obwódką wylupiaście mętno-szare oczy patrzyły nawet dość pocziwie; chodził po pokoju, zasunawszy ręce w kieszenie szerokich również zielonych rajtuzów, obszytych na wypustce złotym galonem.

— No, jakże więc tam było na *tym* okręcie w

czasie *tej* burzy? powiedz!... — zagadał po chwili milczenia.

W krótkich wyrazach zaczął opowiadać Beniowski powszednie przygody podróży. jak szczęśliwie wypłynęli z rzeki Ochty przy wietrze północnym, jak następnie wiatr zadał od zachodu i kapitan, pełen najlepszej myśli, wyszedł pod żaglami na pełne morze, jak morze zwolna rozkołysało się, jak zalewająca fala, pryskając wysoko w górę, utrudniała bardzo manewry, pokrywając lodem i szronem liny, reje, bloki i kledy płótnisk żaglowych, jak następnie powstała lodowa burza i załoga, znużona nawałnością, wezwwała do pomocy wszystkich, mających pojęcie o nawigacji.

— Ponieważ ongi służyłem w gdańskiej marynarce i powierzano mi nawet ster większych statków, zgłosiłem się wraz z towarzyszami... Impet wiatru stał się jednak wkrótce ponad nasze siły i nie udało się nam ować kierownictwem okrętu, tym bardziej, że nie wszystkie nasze wskazówki wypełniano...

— Tak, tak! Słyszałem o tym! mruknął Niłow.
— Co dalej?

— Rozhukane wiatry miotaly nami na wszystkie strony i raptem zaczęliśmy pędzić ku północowschodowi. Bystrości szturmu nie podobna opisać. O trzeciej godzinie po północy pękł maszt środkowy, co przepowiadałem, radząc na daremno zwinąć tam żagiel zawczasu. Namiestnik nie chciał się zgodzić na ujęcie wiatru. Dopiero gdy raniony ułamkiem rei kapitan zdał całkowicie dowództwo na mnie, mogłem spuścić żagiel rudłowy, aby uniknąć złamania i tego masztu. Zostawiłem jedynie klin na przedzie statku. Kazałem wszystkim, co zachowali resztki sił, wziąć się do uprzątnięcia lin, żagli, ułamków drzewa, zaścielających pokład i utrudniających manewrowanie. Ciemności, ryk

i łoskot nawałnicy, uderzenia bałwanów, wielu pozbawiły zmysłów. Nie słuchali rozkazów, nie dawali na nie baczenia i... woda uniosła nam czterech ludzi. Reszcie kazałem się przywiązać linami i pracować dalej omackiem. Na wpół żywi z zimna i wyczerpania ledwie doczekaliśmy dnia, po czym z niewymownym wysiłkiem postawiliśmy na nowo związany maszt i rozpieliśmy drugi klin, a pod wieczór, kiedy burza zwolniła, podnieśliśmy środkową gablę i żagiel rudłowy. Nie w mocy naszej jednak było utrzymać należyty kierunek i gdy wiatr zmienił się na południowo-wschodni, musieliśmy odwrócić żagle i płynąć według południowozachodniego rumbu. Dnia 27 ujrzelśmy mglistą ziemię pod 54° 17' szerokości. Majtkowie zapewniali, że to wyspa Sachalin. Chcieliśmy zarzucić kotwicę dla naprawy okrętu i zrównania ładunku, który przesunął się na jedną stronę i tak chylił statek, że mógł go wywrócić; lecz brzeg był stromy, dokłady fal były on wściekle i tak wysoko, iż nie ostałyby się przeciw nim żadne łańcuchy... Płynęliśmy więc dalej, korzystając ile możności z uciszenia się nawałności, aby statek doprowadzić do możliwego porządku, co choć w małej doskonałości nam się udało... Nazajutrz zaś przy pomysłnym wietrze zawinęliśmy do Czekałki, jak to Waszej Wysokiej Szlachetności wiadomo.

— Tak, tak!... Wiem! A teraz powiedz mi, Beniowski, jak to się stało, że ty, generał, człowiek wykształcony i rozumny, okazałeś się w rezultacie głupcem, nie upokorzyłeś się, nie wstąpiłeś na służbę Miłościwej Pani Naszej Carowej, która ci to łaskawie w niezmiernej swej dobroci proponowała; przeciwnie buntowałeś innych i nawet próbowałeś uciekać? Tak przynajmniej stoi napisane w twoich papierach!

Beniowski długo stał w milczeniu z opuszczoną

głową. Niłow przechadzał się po świetlicy, poglądając na niego spod oka, wreszcie przystąpił do stołu, nalał sobie wódki z karafeczki wypił, przekąsił kawałkiem solonej ryby i chrząknął.

— Cóż nareszcie? Odpowiesz na to, ha!?

— Wasza Wysoka Szlachetność sam jest żołnierzem, zrozumie więc: przysięgałem konfederacji Barskiej i prawnie postawion byłem na czele jej wojsk...

— Komu powiadasz? Konfederacji!?!... Pewnie nowe jakie buntowszczyki przeciw uznanej władzy Monarszej!?!... Gdzie oni są? Skąd przyszli? Kto ich do wojny upoważniał? Ty, Beniowski, człowiek biegły w naukach, wiedzieć powinienes, że nasi Carowie są spadkobiercami Cargradzkich Cesarów, a ci panami świata byli... Wszystko więc nasze i ty nasz, skoroś się w nasze ręce dostał... Pamiętaj o tym! O wszelkich konfederatach zapomnij!...

— Jużem za to surowo ukarany został, Wasza Wysoka Szlachetność... żem ojczyzny bronić chciał! — żywo odparł Beniowski. — Przebyłem tysiące wiorst w więzach, pod strażą w upały, mrozy straszliwe i szarugi... Bez wszelakiego opatrzenia, w niewygodach, od których otwarły się moje otrzymane w bojach a źle zaleczone rany... Wielekroć razy śmierci bliski byłem...

— Cóżes ty chciał, żeby ciebie jeszcze nagradzano! Ojczyzna, ojczyzna!?!... Ja tu jestem twoją ojczyzną, ja... sługa i niewolnik Najmiłościwszej Pani Naszej Cesarzowej Katarzyny Wielkiej!... Słyszałeś?!... Mówię ci, pókim dobry: zapomnij o tych swoich głupstwach, zapomnij kimś był, jakeś się nazywał nawet i zostań tutaj porządnym człowiekiem!... Chcesz a nawet nazwisko ci zmienię, gdyż jesteś jak umarły dla świata!... Zmień się więc, zacznij żyć od nowa, bo stąd nie uciekniesz!... Stąd

nikt jeszcze nie uciekł... Dokoła morze, a od strony lądu pływają wasz dżuk Czukeczowie, Koriacy i Ankałowicze... Upokórz się więc, gdyż klęć się Zbawicielem, nie popuszczę wam! Za najmniejszą próbę, za samą myśl przeciwną ukarzę według całej surowości prawa... Mam nad wami władzę życia i śmierci... Nie zabiję, lecz zadreczę dla przykładu innych... Zamknę w klatce bez ubrania i ognia z kamczadalskimi zakładnikami, zamęcę, zakatuję na śmierć!... Pasy drzeć będę, na pal wbię!... — krzyczał już groźnie Niłow, a żyły na skroniach nabrzmiwały mu jak postronki, mięsista twarz poczerwieniała i zaczęła drgać od wnętrza jak uderzony pałką dobosza miedziany kocioł wojenny.

Beniowski bacznie go śledził spod oka rozważając jak wyjść z kłopotliwego położenia, gdy, nagle doszły go jakieś zbawcze szmery za drzwiami. Naczelnik Niłow też je usłyszał, gdyż nagle złagodniał.

— Otóż raz jeszcze radzę ci: ukórz się, ukórz się, a obiecuję ci poparcie rządu i swoją opiekę. Przedstawię cię niezwłocznie do nagrody za usługi już okazane, oraz dla talentów twoich, które mogą przynieść korzyści nie tylko tobie samemu, ale i całemu krajowi... Słyszałem, żeś biegły w matematycznych i wojskowych naukach a nawet w tańcu, w dworskim ułożeniu i cudzoziemskich językach, i zamierzam polecić ci na próbę wychowanie mego syna, którego myślę za rok wysłać do szkoły kadeckiej w Petersburgu. Gdyby zaś i moja córka, starsze i młodsze dzieci potrzebowały twoich nauczycielskich wskazówek, udzielać ich będziesz im jednocześnie co dnia w rannych godzinach. Za co zwolnion będziesz od wszelkiej pracy przymusowej publicznej, do której — jako wygnaniec obowiązany jesteś, i dostaniesz pełny traktament garnizonowy... Przychodzić możesz od jutra

ale pamiętaj, że kazałem mieć na ciebie szczególne baczenie... Komu dużo dano, od tego dużo się wymaga!... Możesz odejść!!!

Zmieszany tym przyjęciem Beniowski, nie wiedząc, źle czy dobrze sobie z niego wróżyć, wolno w smutnym zamyśleniu schodził z ganeczka, gdy zza węgla okrzyknął go głos kobiecy:

— Chodźcie no tutaj, dobry panie, mamy do was sprawę!

Spostrzegł staruszkę w futrzanej szubce zarzuconej w pośpiechu na ramiona, stojącą nieopodal na śniegu; domyślił się, że to ktoś z domowników Niłowa, i skierował się ku niej niezwłocznie.

— Czym mogę służyć? — spytał, uchylając czapki.

Chwilkę patrzała nań bystro niedużymi, czarnymi jak tarczki bez blasku oczyma.

— Pani kazała prosić na słów parę!... Proszę za mną!...

Beniowski skłonił głowę, i poszedł za nią. Wszedł do obszernej kuchni, pełnej błyszczących miedzianych i cynowych naczyń, a stamtąd do jadalni.

Piękna, dorodna pani w domowym stroju rosyjskim, w sarafanie i podbitym gronostajami ku-braczką czekała nań, stojąc pośrodku pokoju.

— Jakże się zwiecie po ojcu, panie Beniowski? — spytała go grzecznie, odpowiadając skinieniem głowy na głęboki ukłon młodego mężczyzny.

— Mnie zwa Augustem, a ojca miałem Samuela...

— Otóż, Auguście Samuelowiczu wiadomo nam, że naczelnik polecił kształcić panu naszego syna. Chłopak jest niemocny, dlatego chciałam pana prosić o uwzględnienie jego sił, oraz wzięcie pod uwagę braków przygotowania, gdyż w kraju tutejszym, gdzie już mieszkamy osiem lat,

nie ma zupełnie, jak pan widzi, nie tylko nauczycieli, ale nawet wykształconych ludzi. Są wprawdzie tacy, jak Chruszczow, Gurcin, niegdyś szambelan Imperatorowej Elżbiety, jak doktor Meder, Łobaczow, oraz księżę Zadzkoj, ale ci są ciężko oskarżonymi zbrodniarzami stanu i oddać im do nauki dziecko jest rzeczą niebezpieczną dla ludzi rządowych: można się przez to narazić na donos, stracić miejsce, a nawet głowę. Szwed Brondorp nie umie po rosyjsku, inni nie posiadają ani odpowiedniej gładkości w obejściu, ani potrzebnej w stolicy konwersacji. Czy pan był w Petersburgu?...

— Owszem, byłem, niedługo...

— Ach, to pan może mógłby nam coś o tym opowiedzieć. Bo ja sama petersburska jestem i tak tęsknię, tak bardzo tęsknię do tego miasta rodzinnego w tej głuszy... Jak to teraz wygląda Newski Prospekt albo wyspy Wasilewskie?... Pewnie już gęsto zabudowane... Ho, ho!... Miasto rośnie jak na drożdżach! Dawnoż to, za moich lat panińskich, jak na Małej Morskiej parkany drewniane stały, a teraz kamienica pewnie koło kamienicy jak mur. Myśmy mieszkali z tamtej strony Newy, ojciec miał urząd w Admiralicji i domek nasz stamtąd niedaleko. Cudzoziemskiego jestem pochodzenia, ale urodziłam się już rosyjską szlachcianką...

Długo gadała, przeskakując z przedmiotu na przedmiot i spoglądając bystro agatowymi oczyma na ściągłą twarz wygnańca.

— Wiadzę, że gryzie pana troska... Zapewne życie tutaj przykre będzie dla ludzi przyzwyczajonych do dworskich salonów... Powiadają, że pan bywał na dworze nie tylko polskiego króla, ale i niemieckiego cesarza?...

— Tak, rodzina moja z Węgier pochodzi; kształciłem się w kolegium cesarskim w Wiedniu,

ojciec mój był generałem kawalerii austriackiej i miał dostęp do progów monarszych...

— Z Wiednia więc!... I mój ojciec też z Wiednia... Dziwy mi opowiadał o tym mieście znakomitym. Pogadamy o nim jeszcze nieraz, a teraz niech pan idzie, bo naczelnik, choć dobry, popędliwy jest i lubi, żeby go słuchano. Niech więc pan jutro na lekcję przyjdzie w terminie... A teraz jeszcze jedna prośba: moja córka, Nastka, ma harfę, ale złamaną... Czyby pan nie zechciał zreparować instrumentu, aby dziewczyna mogła czasami rozerwać się, grając?...

Beniowski uśmiechnął się pod wąsem i, obejrzawszy z niechcenia zniszczony instrument, wziął go pod pachę, skłonił się i wyszedł.

— Miły, ale bardzo... wstrzemięźliwy i niemowny!... — zawyrokowała pani Niłowowa.

— Mamusiu, czyż może być inny po tym wszystkim, co mu tatuś nagadał!... — broniła wygnańca Nastka, wysuwając się zza drzwi.

— Cóż, że mu nagadał!? Wiadomo, naczelnik — na to postawion! Przecie, że ten Beniowski nie małe dziecko, żeby tak zaraz wszystko brać do serca!... Choć powiadają, hrabia i generał i uczoney, ale zawsze teraz podniewolny on wygnaniec i tyle... Powinien o tym pamiętać! Powinien słuchać wszystkiego bez obrazy! — gderała półgłosem niania Mironowna, drepzcząc po pokoju.

— Ach, nianiu, nianiu, pomyśl, jak to jednak smutno przenieść się nagle ze złoconych cesarskich pałaców do kurnej izby tutejszej!... I przenieść się na zawsze!... A taki młody!... — westchnęła dziewczyna.

Beniowski szedł wolnym krokiem przez podwórzec forteczny, rozmyślał o tym, co usłyszał, i odzyskiwał pomału straconą na chwilę równowagę umysłu.

— Ha, trudno!... Mają widocznie osobliwe
względem mnie rozkazy... Naczelnik boi się i chce
wciąż mieć mnie na oku... Jednocześnie próbuje
mnie ułagodzić... Zobaczymy, co z tego wyjdzie...
Może to gorzej, a może i lepiej!... Wolałbym jed-
nak, żeby ta gruba Niemka mniej przyjaźnie spo-
glądała na mnie!... Nudzi się, widocznie, baba!...
Zapragnie jeszcze rozrywki w tej tu „głuszy”...
— powtórzył z uśmiechem wyrażenie Niłowowej.
— Licho nadało!... Mogą z tego wyniknąć rozma-
ite komplikacje, gdyż pan naczelnik, jak miarkuję,
jest krewkim człowiekiem!

— A niech tam!... Będziemy się mieli wzajem
na oku!... — rzekł głośno, witając towarzyszy, cze-
kających na niego za bramą.

— Kogóż takiego?...

— Nieprzyjaciela.

— Dostałeś gitarę zamiast organów i jeszcze
ci źle!... Kwaśny wracasz!?... — śmiał się Stiepa-
now.

— Gorzej, bo dostałem lekcje... u naczelnika
kraju!

— Lekcje!? — powtórzyli ze zdziwieniem.

— A tak! I będę musiał co dzień chodzić do tych
kazamatów... Będę tam siedział pół dnia. Będą
wciąż wiedzieć, co robię, gdzie się obracam, co
zamierzam... Nie będę miał sposobu oddalić się
stąd, z miasta, nawet na dni kilka!

— Tam do licha!... Istotnie!...

— A no, naradzimy się nad tym, a teraz chodź-
cie do sekretarza, bo już późno...

Sekretarz przyjął ich bardzo łaskawie ale... w
przedpokoju, gdzie kazał Aglai podać im po kie-
liszku wódki. Musieli pić, lecz ręka Panowa, gdy
brał czarę, drżała, jak w febrze.

Wracali chmurni.

— Nosa nie wychylę z wioski! Niech ich dia-

bli wezmą!... Wolę czyścić śmietniki, niż wycierać ich *antichambry*!... — mruczał Panow.

— Przyjacielu, zapominasz, gdzie jesteś. zapominasz, że każdy z nich może pierwszego lepszego z nas wziąć sobie za lokaja!... — uśmiechnął się Beniowski.

— Hej, Beniowski!... — krzyknął nagle nieznanym głosem z tyłu.

Obejrżeli się i, dostrzegłszy pośpieszającego ku nim komendanta, zatrzymali się z wyrazem niepokoju.

— Znowu! Niech Bóg uchwowa! Doprawdy, może lepiej zupełnie nie wchodzić im w oczy!... Cała ta *societa* diabła warta!... — westchnął Baturin.

— Każ im odejść, Beniowski! Niech wracają do domu! A ty zostań! Mam z tobą do pogadania!... — zwrócił się setnik do wygnańca, ruchem głowy wskazując na towarzyszy.

Ci wahali się i podejrzliwie spoglądali na kozaka.

— Idźcie, idźcie!... I harfę zabierzcie!... Naczelnikowa prosiła, Marta Karłowna, żebym zreperował jej instrument!... wyjaśnił z uśmiechem setnikowi.

— A to byliście u naczelnika? No i cóż?

— A nie!... Kazał mi uczyć swego chłopaka języków i matematyki... Będę co dzień chodził do twierdzy... Mam malca przygotować do korpusu.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze!... — powtarzał kozak z nagłym zamyśleniem.

— A jeszcze lepiej to, Nikandrze Gawryłowiczu, żem spotkał was... — ciągnął Beniowski, wyjmując trzos. — Gdyż chciałem właśnie wam zwrócić wczorajszą wygraną... Przecież rozumiem, że to żart!...

— Jaki żart?... Bynajmniej nie żart!... Wygrane pieniądze — najświętsza moneta!... Miałbym

się z pyszna, gdyby się tu dowiedziano, że wziętą z powrotem. Nikt by do gry ze mną nie siadł... Bardzo was proszę, Auguste Samuelowiczu, zachowajcie je sobie na zdrowie. Owszem szukałem was właśnie, aby zaproponować wam zupełnie coś innego... Ale może pójdziecie do mnie na obiad?... Właśnie sam czas posilić się!

Wziął wygnańca za rękę i poprowadził w stronę swego domu.

— Chodzi o to, — zaczął z wilczym uśmiechem — że tu z ulusów i z wysp przyjeżdża zimą dużo bogatych kupców, którzy proszą, żeby z nimi grać, i od których można grubą wygrać sumy... Otóż, może zrobicie ze mną taką samą spółkę, jak z sekretarzem; tylko na stałe, raz na zawsze: ja stawiam, a wy gracie i, jeżeli się wam poszczęści, bierzecie piątą część wygranej!... Co?... Dobrze!... Przecież nie nie ryzykujecie... za wszystko płacę — ja?... Co?... Zgoda?...

— Nie wiem, czy będę miał czas wobec tych lekcji u Naczelnika okręgu!... — odrzekł z pewnym ociąganiem się Beniowski.

— Jak to! cały dzień uczyć będziecie i noc?...

— Noc nie, ale dzień!...

— Widzicie, a grają tu głównie nocami... Więc zgoda, co?

— Zaraz, zaraz, ale przedtem niech mi pan powie, jak to się tutaj robi, bo pojęcia nie mam!...

— Owszem, bardzo chętnie... Dobrze, żeście trafili na mnie, ja wszystko to wiem wybornie i nauczę was wyśmienicie, ale pamiętajcie umowę: piątą część wygranej dostaniecie.. piątą część! Czy słyszycie!?

— Nie o to chodzi!... — odrzekł Beniowski i następnie długo wypytywał o warunki, w jakich tutaj gra się zazwyczaj odbywa, po czym zwrócił uwagę na to, że jest wygnańcem i że w razie du-

zej przegranej mogą poszkodowani mu dokuczać i czynić nawet na niego i na „samego pana komendanta” złośliwe przed władzą donosy.

— Już myślałem o tym! — przerwał żywo kozak. — Powiem, że rodzic mój wzięty w czasie wojny polskiej do niewoli, dużo waszej szlachetnej i potężnej rodzinie był obowiązany, że, opiekując się wami, spłacam jeno dług wdzięczności, przekazany mi ojcowskim testamentem!

— Lepiej jeszcze byłoby uczynić tak, abym u wszystkich bywał, żebym wszystkich poznał: wtedy nikt nie doniesie, aby i siebie nie zdradzić!

— Nic łatwiejszego!... Zaraz poproszę na obiad kilku sąsiadów i od razu zagramy!...

Chuda, czarniawa, kłująca wzrokiem, jak osa żądłem, żona setnika przyjęła ich bardzo opryskliwie, ale dowiedziawszy się, że Beniowski będzie grał do spółki z jej mężem, rozjaśniła oblicze.

— Bo to 1.500 rubli wczoraj stracił!... A dochody nasze marne... Jasaku teraz my, kozacy, nie zbieramy, oddali to tym przekętym poborcom! Tyle więc tylko mamy, co kto z łaski przyniesie!... — biadała.

Pod koniec obiadu przyszło istotnie kilku obywateli, kupców i urzędników. Boczyli się z początku na Beniowskiego, ale wódka, gra i wiadomość o lekcjach u naczelnika okręgu rozjaśniły im oblicza. Beniowski sypał żartami i anegdotami, jak z rękawa, i pod koniec wieczora oczarował wszystkich zupełnie.

— Głowa!... — mówili. — Wo-je-wódz-ki łeb!... Słowem jednym — mózgacz!

Gdy wieczorem Beniowski odchodził, zawołała go do kuchni pani Czernych i, wdzięczna za dzisiejszą wygraną męża, wręczyła mu worek pełny wędlin, ryżu, masła.

Była tam i baryłeczka wódki, której pojawia-

nie się na stole u Chruszczowa wprawiło od razu w dobry humor, czekających na Beniowskiego towarzyszy.

— Maż szczęście, szalone szczęście!... — powiedział z tłumioną zazdrością Stiepanow.

— Byle tylko to powodzenie nie obróciło się w powszechne nieszczęście!... — bąknął Panow.

Beniowski bystro nań spojrział i zmarszczył brwi.

— Zobaczymy, co powie Chruszczow! — rzucił z niechcenia.

Nie doczekali się wszakże Chruszczowa, który wrócił bardzo późno, zatrzymany przez jednego z kupców dla pisania rejestrów handlowych.

Jedynie Beniowski jeszcze czuwał, pochylony nad stołem i przy dymnym świetle tranowego kaganka kreślił wzory francuskich i niemieckich liter do jutrzejszej lekcji.

Chruszczow położył na stole kilka sztuk mrożonych ryb, otrzymanych od kupca jako zapłatę, i zaczął otrząsać szron z futra i brody.

— Cóż to piszesz? — zapytał przyjaciela.

Beniowski powtórzył swą rozmowę z naczelnikiem, z naczelnikową, a następnie z komendantem kozackim.

— To pierwsze dobre — choć nie wiadomo, co się w tym tai gdyż nieprawdą jest, jakoby nie miał mu kto dzieci uczyć... Jeżeli nie chciał swoich, to jest tu przecie, Beniowski, twój rodak, zacności człowiek i bardzo wykształcony — starosta Bielski!... A co oni z niego zrobili, co z niego zrobili!... Jakiegoś błazna ku swojej rozrywce, muzyka... wesółka, z którego rad każdy się natrzasa!... A dlaczego?... Bo jest potulny, łagodny, dobrze wychowany... grubiaństwem im odpowiedzieć nie może!...

— To też przeciw tobie świadczy, Chruszczow! — wtrącił Beniowski. — Sam widzisz!...

— Dotychczas nic nie widzę!... Może zobaczę, choć wątpię. Siła zawsze będzie po ich stronie, a po naszej tylko cnota nasza!... Dlatego ten drugi twój projekt bardzo mi się nie podoba. Nie masz wyobrażenia, ile swarów, zwad, zawiści, intryg, namiętności i nawet zabójstw wynika tutaj przy wszelkiej grze. Dlatego rząd zabronił kości i karty... Wówczas zamiast nich wymyślili sobie oni — szachy. Rzecz niby szlachetniejsza, rozumniejsza, ale w gruncie rzeczy taka sama szulerka!...

— Oczywiście szulerka! — zgodził się Beniowski.

— Nieładnie!... Nie przystoi nam się do tego mieszać!...

— Nie przystoi się mieszać?... Nieładnie!... — wybuchnął Beniowski. — A to ładnie, że ciebie pohańbiono, pozbawiono majątku, zaszczytów, przynależnej ci z urodzenia godności? — Że wysłano cię aż tutaj za to, że nie chciałeś uciskać innych, że pragnąłeś żyć w zgodzie z własnym sumieniem!... Ładnie, że mnie, jeńca i obcego poddanego, za to, że kraju własnego bronił, trzymanego w kaźni, po tysiąc razy narażano na śmierć w turmie, w drodze, wreszcie zagrzebano żywcem w tym tu grobie!... Ładnie, że Aglaję za jej przekonania religijne wydarto mężowi, piętnowano i biczowano, wydano na łup chuci wszelkich zbirów i ostatecznie uczyniono nałożnicą tego wstrętnego... Worka Judaszowego! Co?... Nie, Chruszczow, przyjacielu, ty się mylisz: na ziemi rządzi zbrodnia nie dlatego, że ludzie są źli, ale dlatego, że cnota słaba jest i stroni od miecza... I nie po to my tu spiski knujemy, narażając głowy nasze, aby tej garstce nieponiów cnotę naszą zaszczerpić, lecz po to, aby ich samych wraz z ich wadami na wieki wytracić... Tak, wytracić!... Ich nie nie poprawi, jeno grób, oni już nasiąkli tym, co było i jest, i

to dla nich jest dobre. W to oni wierzą i do tego się modlą!... Trudno, oj, trudno odjąć im tę wiarę i te ich zbrodnicze przyzwyczajenia... Ich można tylko pobić i zniszczyć! O większości mówię, nie o wyjątkach! — dorzucił ostro.

— Cóż więc zamierzasz?...

— Co zamierzam? Zamierzam przede wszystkim wejść w tutejsze środowisko, w socjetę tutejszą, jeżeli wolisz... Poznam ich sposoby, zmaczę ich zgodę, skorzystam z każdej ich słabostki i z każdej omyłki.

— Przysiągłem ci posłuszeństwo i spełnię, co każesz, ale... czuję do tego wstręt... nie wiadomo, co z tego będzie!

Chruszczow urwał i zaczął chodzić po izbie z założonymi za plecy rękoma, trząsł głową i mruzczał do siebie. Aż okrzyknął go cicho Beniowski, który już się był układał do snu na ławie.

— Nie martw się, przyjacielu, bądź pewien, że ani swego, ani waszego honoru nie uszczerbie, że wszystko pójdzie dobrze, bo mam przecież umrzeć królem, jak mi to przepowiedział pewien astrolog...

— A może istotnie będziesz panował w tym moim królestwie cnotliwych... na wyspie Tynian!?

— dodał weselej już Chruszczow, uśmiechnął się i odsunął irchową zasłonę łóżnicy, za którą dawno już chrapała spracowana Alajda.

— Ha, trudno!... Chwyciły nas już wszystkich, widzę, koła młyna, gdzie ząb za ząb się czepia!... Niech się stanie, co się ma stać! — mruknął do siebie.

VIII.

Gdy Beniowski z książkami i wokabulami w ręku wszedł nazajutrz do stołowego pokoju Niłowów, zastał już tam dzieci, siedzące za długim

jadalnym stołem. Pani Niłowowa przedstawiła mu je kolejno, kładąc pieszczotliwie rękę na czochranych główkach; po czym wyszła odwołana do gospodarstwa. Ale starsza córka, Nastazja, która z nią weszła, została. Beniowski bawił ją chwilę rozmową, przystojną okolicznościom, o pogodzie, o miasteczku, o trudnościach morskiej w zimie podróży, o dziwacznej jeździe na psach, o futrzanej odzieży tutejszej... Widząc wszakże, że gawęda przeciąga się bez końca, i że dziewczyna nie odchodzi, zwrócił się do niej otwarciem z uśmiechem:

— Pani daruje, że przystąpię do spełnienia mych obowiązków, mało interesujących dla pani, ale włożonych na mnie przez rodzica pani. Czas ucieka!

— Owszem, bardzo proszę! — odrzekła skromnie i usiadła na ławce obok sióstr.

Beniowski zmarszczył z lekka brwi, lecz natychmiast wypogodził czoło i z zupełnym spokojem zadał kilka pytań Grzesiowi Niłowowi. Ponieważ ten umiał już czytać i pisać po rosyjsku i znał początki arytmetyki, kazał mu robić małe zadanie, a sam zajął się całkowicie dziesięcioletnią Adelajdą i młodszą od niej o rok Martą. Rozłożył przed nimi ruchome litery, skreślone na kwadracikach papieru, i zaczęła się uciążliwa lekcja sylabizowania.

Dziewczynki były dość pojętne, ale nużyły się szybko. Beniowski cierpliwie powtarzał z nimi dziesiątki razy to samo ćwiczenie, lecz czuł się coraz więcej nieswojo, coraz dotkliwiej ciążyły mu agatowe oczy pięknej dziewczyny, nie spuszczającej na chwilę wzroku z jego rąk, ust i twarzy. Nie mógł nie dostrzec jej urody, zwiększonej lekkim wykwitłym na policzkach rumieńcem, nie mógł nie widzieć jej wdzięków pełnych dziewiczego czaru. Chmurniał więc coraz bardziej i starał się nie

zwracać do niej wcale. Nagle srebrny śmieszek przerwał mu wykład i rozległ się przyciszony głos piersiowy:

— Pan mię unika, pan nie chce zająć się mną ani chwili!... Przecież ja też jestem uczennicą pana.

— Jak to?... — zwrócił się ku niej.

— A tak! Ja też nie nie umiem; umiem mniej, niż mój brat! A tak bym chciała poznać cały ten świat, z którego pan przybył! Przecież nie na zawsze pozostaniemy tutaj, w tej... głuszy!?! Przypuszczałam, że pan zechce też mię do tego tam życia przysposobić... Prosiłam rodziców... i oni zgodzili się... Dlaczego więc uczyć mię pan nie chce?

Podniosła się i stanęła przed nim z opuszczoną głową, kręcąc w palcach końce opadłych na piersi warkoczy. Była teraz blada i wzburzony oddech wysoko unosił gronostajową opuszkę jej kaftanika. Musiał na nią spojrzeć i wnet gorący rumieniec zalał mu męską twarz, aż po białe czoło.

— Ach, to co innego!... W takim razie proszę!... — odrzekł sucho.

Podsunał jej książkę i kazał czytać. Czytała źle, jąkała się, pisała jeszcze gorzej. Zadał jej przepisywanie i zwrócił się do młodszych dzieci, a pod koniec lekcji jął wszystkich z surowym spokojem w twarzy wtajemniczać w nazwy i kształt liter francuskich, oraz ich składanie.

W tym czasie pan Niłow z żoną weszli do pokoju i przysłuchiwali się długo wykładowi.

— Nowym pan uczy, widzę, sposobem! Za naszych czasów kazano wymawiać inaczej: Az, buki, wiedi... Ale, owszem, pochwałam tę metodykę, jest łatwiejsza, krótsza, oszczędza kunszta pamięciowe! — ozwał się wreszcie łaskawie naczelnik.

Był w dobrym humorze, wąsy miał podkręcone

do góry i rozmarzone spojrzenie; przyjemny zapach dubelt-anyżówki zalatywał odeń z oddala. Pani Niłowowa niespokojnie spoglądała na córkę, na męża, na Beniowskiego.

— Staramy się w ten sposób wyćwiczyć w sprawności obrotów przede wszystkim język i usta, aby z czasem przystąpić do gramatyki. Na szczęście znalazłem niemiecką i francuską u pana Chruszczowa, co wiadomo, jak trudno jest znaleźć w takiej odległości od wszelakiego centrum... Wprost cud!... Musiałbym z pamięci uczyć, co zawsze o wiele gorzej!...

— Tak, tak!... Grammaire française... — wymówił z trudnością Niłow.

— Uczyć ich takóŜ należy i układności, i ruchów ciała, żeby łokci nie opierali na stole i nie smarkali się w palce... co sama przestrzegam z wielką pilnością, ale bez skutku!... Może panu srogość ta łatwiej się uda z nimi, jako obcemu... — dodała pani Niłowowa.

— Żeby zaś pan od dziś czasu nie tracił na chodzenie do nas piechotą i mógł nam go jak najwięcej udzielać, proszę przyjąć ode mnie jako przedpłatę... sanki z uprzężą psów oraz poganiacza niewolnika-tubyleca na własność.

— WielmoŜny pan zapomina, jako sam jestem niewolnikiem i pozbawion praw wszelkiej własności... — odrzekł z głębokim ukłonem Beniowski.

— Kto to mówi? Niech tylko kto piśnie! Ja ci dałem, to wystarcza! — mruknął, czerwieniąc się, Niłow. — Zresztą, jeżeli zasłuŜysz, przedstawię waćpana do łaskawości Imperatorowej dla wrócenia praw, gdyŜ sprawdziłem, że, ratując okręt od rozbicia, salwowałeś istotnie życie i majątek znacznej liczby Jej poddanych oraz skarb rządowy i inne papiery... Mam nadzieję osiągnąć ulgę doli

pana, o ile nie zepsowasz tego złym swoim zachowaniem się...

Odwrócił się, nie czekając odpowiedzi, i wyszedł majestatycznie.

— Widzi pan, jak się dobrze wszystko składa. Zwolna zmieni się i ułoży wszystko jak należy, a i my do owego czasu może stąd wyjedziemy, może razem... — zagadła pani Niłowowa, zaglądając wygnańcowi w oczy.

Ten uśmiechał się, kłaniał i dziękował, ale smutek nie uciekł mu całkowicie z twarzy, jeno skrył się głębiej w żrenicach. Zauważyła to Nastazja i przycichła sama zasmucona, kłoniąc głowę nad książkami pokornie, blada, wiotka, śliczna, jak lilia wyrosła w ciemnych czeluściach zbójnickiego boru.

Beniowski udał, że zmiany jej nie spostrzegł, skończył swobodnie lekcję, wyszedł, siadł na świeżo podarowane sobie sanki i, czując, że za nim śledzą z domu ciekawie liczne oczy, kazał głośno Kamczadałowi wieść się nie do domu, lecz do komendanta. Lotem błyskawicy poniosły go psy przez miasto.

Szczęśliwie trafił, gdyż zaskoczył setnika na wychodnym na przydźwierzcu domu.

— Cóż to za nabytek? — spytał oficer, obrzucając okiem znawcy piękną psią uprzążkę.

— Podarunek naczelnika kraju!

— **Aaa!...**

— Aby ułatwić mi przyjazdy na lekcje!

— To uczy pan doprawdy dzieci naczelnika!? Oho, doskonale się składa. W takim razie nie będzie z tej strony przeszkód i dla naszej spółki... Szukam dla niej partnerów.

— Właśnie o tym chciałem pomówić... Czy dla uniknięcia ostatecznie wszelkich kwasów i nieporozumień nie należałoby panu zaprosić do udziału

tu na trzeciego pana sekretarza powiatowego Nowosiłowa, co?

— Sekretarza?... Ba... On mię ograł... On zażąda trzeciej części, a może i więcej!... Sknera! Właściwie może żądać połowy, ha!... A to za dużo!... Wolałbym kogo innego...

— Za to już żadne znikąd nie będzie groziło nam niebezpieczeństwo, skoro on stanie po naszej stronie. Czy nie tak? Któż ośmieli się wtedy pisać donosy? A zresztą łatwo będzie przy jego pomocy uprzedzić je właściwym wyjaśnieniem. Wszakże on z urzędu odpowiada na wszelkie papiery rządowe... Co?... Nie!?

— Tak, to tak!... Jednak ograł mię on wtedy haniebnie, wyzuł podstępnie z tysiąca pięciuset rubli i jeszcze mię wyśmiał przed całym miastem, wykipił.

— Śmieje się ten, kto się śmieje ostatni!... Bez tej przygody nie poznalibyśmy się wcale. Nieprawda?... I nie powstałaby myśl spółki naszej w pana głowie.

— Nie wiadomo jeszcze, co z tego będzie... Czy aby zechcą grać z tobą, Beniowski? Zawsześ ty wygnaniec, zbrodzień!

— Powoli przyzwyczajają się! Nawet pies z kotem przyjaźnią się w jednym zamknięciu.

Tak rozmawiając, szli w kierunku domu sekretarza, a sanie jechały opodal za nimi.

Sekretarz wysłuchał propozycji komendanta z przymrużonym okiem, które rychło wszakże otworzył i, błysnąwszy nim znacząco na stojącego z boku Beniowskiego, strzepnął ręką, z wesołym uśmiechem:

— Widzę czyja to sztuka!... Och, mądrała! mądrała!... A kogóż tam masz na mecie, zachny Nikandrze Gawryłowiczu?

— W pierwszym szeregu Kazarinowa, który mię

od jesieni ogrywa niemiłosiernie, zabrał mi już trzy tysiące; dalej Proskuriakowa, Olesowa, Rybnikowa... Wszystkich po kolei, ilu ich jest... Jest z czego brać!... Chyba, że ty, Beniowski, nie dasz im rady?...

— Nie wiem!... — odrzekł ten z roztargnieniem.

— Kto sprostą temu czarodziejowi — „brzechomówcy”!... — odciął stanowczo Nowosiłow. — Tylko co na to powie naczelnik?... Jak ich wszystkich obedrzemy, będą wrzeszczeć...

— Naczelnik już nasz!... — krzyknął radośnie setnik. I opowiedział w przesadnych wyrazach o lekcjach Beniowskiego, o jego powodzeniu, o wielkim wpływie, jaki na cały dom naczelnika uzyskał.

— Niezupełnie, niezupełnie tak!... Przede wszystkim żadnego wpływu... — bronił się Beniowski.

— A sanki?... Wyobraź pan sobie!... Sanki mu podarował i uprząż z sześciu psów, i niewolnika...

— Ho! ho!... A może to wpływ nie tyle naczelnika, co naczelnikowej!... Zmienna to pani... i zdaje się, że już dawno... wakuje! — śmiał się sekretarz, mrużąc oko. — W takim razie, bez gadania zgoda: sprawa w czapce! Aglaja, hej, Aglaja!... Podaj nam wódki!...

Klasnął w dłonie i gdy po jakimś czasie pojawiła się urodziwa białogłowa z tacą, obciążoną karafkami, w wypieszczonych rękach, kiwnął fluternie głową komendantowi w stronę szachownicy:

— Co? Może... spróbujemy?...

— Nie, Sergiuszu Mikołajewiczu, chowajmy siły nasze na wspólne nieprzyjaciół. Zresztą Beniowski coś dziś nie w humorze!...

Sekretarz jeszcze bardziej zmrużył oczki i z tych szczelin spojrzeniem ostrym jak igły świdrował zamyśloną, zagadkową postać wygnańca. Ten jakby o obecnych chwilowo zapomniał, patrzył na ścianę domu zamglonym wzrokiem, kręcił wąsy i

popijał wódkę; wtem otrząsł się, podniósł na urzędników oczy i natychmiast wesoły uśmiech rozjaśnił mu piękną twarz...

— A widzisz: nic mu nie jest!... — wykrzyknął żartobliwie sekretarz. — A tylko widzę już, że trzeba go będzie ożenić!!... Solus tristis est! Czy jak tam u was po łacinie?...

— Solus tristis est! — poprawił go Beniowski.

— Dobrze, dobrze — ożenimy go, ale niech pierwszej ogra Kazarinowa i Proskuriakowa... A to młoda żona w pierwszych ogniach wszystkie zeń siły i myśli wysączy!... Wtedy co?... — sprzeciwiał się komendant.

— Mnie bo się nie śpieszy — mam swoją Aglaję, której dopilnuję, bądź pewien! Ale ty, Nikandrze Gawryłowiczu, oraz inni żonkosie i starzy samce — strzeżcie się... On wam tu z tymi wasami wszystkie baby pouwodzi, wszystkie dziewczuchy popsowa! Na to mi patrzy... Hej, jenerale, może nie lubisz białogłowskich wdzięków? Co!? Ino nie lżyj...

— Po tylu trudach i tylu ranach została ze mnie jeno mamiąca złuda powierzchowności: nic tam pod nią się nie kryje, jeno popiół... Stąd omyłka miłościowych panów!... — uśmiechnął się znowu Beniowski.

— Kto cię tam wie!... Tak się jakoś zamyślasz, że nie puściłbym cię blisko do mojej sypialni, choć Aglaja zna mores, oj zna!... Może nie? Stój, powiedz! — zwrócił się do zmieszanej kobiety.

Ta spłonęła jednolitym, bolesnym rumieńcem i zatrzymała się z opuszczonymi oczami u progu; jej palce, ubrane w pierścienie, mięły kurczowo rąbek białego fartucha.

— Czego milczysz?... Gadaj!... Zdradziłabyś

nię z tym gładysem? — nastawał urzędnik, wskazując na Beniowskiego.

— Nie, panie! Jestem twoją tylko niewolnicą... Tobie jednemu posłuszną istotą! — szepnęła wyuczonym głosem.

— I kocham całym sercem, całą duszą i całym ciałem do najmniejszej jego składeczki pana mego wszechmocnego, Sergiusza Mikołajewicza Nowosiłowa...

— I kocham całym sercem, całą duszą... — szeptała Aglaja pobladyłymi ustami.

— Przestań, Sergiuszu Mikołajewiczu... Nudne to i niezbożne, doprawdy i wiemy już wszyscy, żeś chwat do niewiast! Lepiej pogadajmy, jak zmusić kupców, żeby grali!...

— Jak zmusić?... Rozumie się, kontrakt spisać... kto nie dotrzyma, karę zapłaci... Stary ruski sposób! Przyprowadźcie ich do mnie, już ja całą rzecz obrobię... Pij, Beniowski pij... zdrowie... damy swego serca, a nie zamyślaj się, bo to... niebezpieczne!...

Beniowski znowu się uśmiechnął i po kieliszek sięgnął.

Zabawiali się tak do późnego wieczora.

Gdy rozgrzany uctowaniem Beniowski wyszedł wreszcie na ganek, już mroźna, biała noc zawładnęła niebem i ziemią.

— Jadłeś co, Jędrzeju? — spytał wychodzącego zza węgła niewolnika.

— Nie, panie!... Skąpy gospodarz tutejszy!...

— Ani krzty ci nie dali?

— Ani krzty!... Gospodyni boi się... Każdą on jej krupę liczy... Dobrze, że choć w ciepłej sieni przytulić się pozwoliła.

— Cóż więc poczniemy?... Nic przy sobie nie mam... chyba do miasta pojedziemy?... Co?...

— At, głupstwo, panie. Myśmy tego zwyczajni!... Droga niedaleka!... Zjem w domu!

— Na przyszłość zawsze będziesz na wyjazd brał z sobą suszonych ryb, Jędrzeju!... Słyszałeś!?

— Dobrze, panie!...

Zbudził uderzeniami buta zwinięte w kłębuszki, śpiące w śniegu psy, poustawiał je, uporządkował splecione szleje, zawrócił i uszykował sanki. Siedli bokiem na wąskie siedzenie. Zgłodniałe, przeziębłe zwierzęta szarpnęły, porwały sanie i poniosły lotem strzały po wyslizgłej drodze ku zasnutym białą mgłą białym od szronu i śniegu zarośłom.

IX.

Odtąd co dnia rano wioził niewolnik Jędrzej Beniowskiego do forteczki na lekcje. Leciał, jak wicher; usuwali mu się z drogi nie tylko krajowcy i mieszczanie, ale nawet kozacy...

— Gna, jakby wioził jaką osobę!... — mruczeli, spoglądając z zawiścią na syte psy i ładnie rzeźbione sanki.

— Wszyscy go honorują, a w gruncie rzeczy taki sam „rab’’, jak ten, co go wiezie...

Ponieważ jednak widzieli, że sam naczelnik odpowiada na ukłony Beniowskiego skinieniem głowy, a komendant wita się z nim nawet za rękę, wszyscy czapkowali mu, a kupcy zabiegali nawet mu drogę, prosząc, aby za wygrane u nich pieniądze kupował dalej u nich.

— Wy, Auguście Samuelowiczu, nie mijajcie sklepu naszego; w razie czego my na pieniądze poczekamy... — wabił go Kazarinow.

— Dzień dobry, Auguście Samuelowiczu! Na

lekcje jedziecie!... Tak, tak!... Cenimy wysoce waszą uczoność; sami mamy synów, z których ludzi uczynić pragnęlibyśmy, cóż kiedy kieszeń na to nie pozwala... — dowodził Proskuriakow, drugi z ogranych kupców.

— Załóżcie szkołę! — radził Beniowski. — W szkole, wspólna nauka o wiele taniej kosztować będzie!

— Nie w naszej to mocy, nie w naszej!...

— Na to już nic nie poradzę, sami sobie radzić musicie, Tomaszu Sidorowiczu!...

Rozstali się, uściskawszy się za ręce.

W gruncie rzeczy zaraz po paru pierwszych lekcjach Beniowski zaczął o takiej szkole przemysliwać. Wybawiłaby go ona od wielu trosk, kłopotów i niedogodności.

Podzielił się swymi myślami z Chruszczowym:

— Nie uwierzysz, jak mi te lekcje ciążyą. Przede wszystkim: stary Niłow nudzi się i wciąż przyłazi, wtrąca się w wykłady, robi swoje uwagi, zaprowadza zmiany... Możesz sobie wyobrazić, co za chaos... Na domiar nie zawsze jest trzeźwy... Pani Niłowowa... również ze swej strony... uważa za swój obowiązek... mieszać się i stawiać rozmaite wymagania... Wprost ręce opadają... Takież dzieci w tym bezładzie wychodzą ostatecznie z rygoru, a wtedy każą mi je karcić, a ja tego wcale nie chcę... Prócz tego zabierają mi nad miarę wiele czasu; siedzę tam cały prawie dzień, zamiast paru godzin umówionych... — i jeżeli tak dalej pójdzie — ciągnął Beniowski — na nic nasze zamiary, nie uda mi się nic zorganizować, gdyż nie będę mógł ani oddalić się z miasta niepostrzeżenie, gdy zajdzie tego potrzeba, ani podtrzymywać potrzebnych stosunków w samym mieście!... W szkole mógłbym zdać na kogo zastępstwo, przybrać pomocników... Nareszcie byłbym wolny od obserwacji osobistej

naczelnika!... Tysiące jest do tego powodów... A i pieniądze by to opłaciło się, gdyż od innych dzieci bralibyśmy opłatę... Co?... Jak myślisz, przyjacielu? Jeżeli każde dziecko da pięć rubli...

Obliczał szczegółowo wydatki i dochody, opłatę nauczycieli, światło, opał... Chruszczow wciąż chodził z rękami założonymi za siebie i dumał...

— Tak, tak!... Byłoby dobrze... Ale jak to uczynić? Na taką szkołę potrzebny jest dom, dom porządny, osobny, gdyż ani urzędnik, ani żaden z zamożniejszych kupców do takiej, jak moja na przykład, budy dzieci nie pośle...

— Ależ rozumie się dom, dom powinien stanąć niedaleko stąd, ale nie w naszej wsi... No, i powinien być ufortyfikowany... na wszelki wypadek!...

Chruszczow aż podskoczył.

— Ufortyfikowany?... Człowieku, czyś zmysły postradał... któż ci to pozwoli!...

Beniowski zmarszczył brwi:

— A jednak on musi stanąć i musi stanąć niedługo...

— Teraz, w zimie!...

— Cóż wielkiego?... Właśnie teraz najlepsza pora, bo cieśle mają czas. A ziemię dla kopania pod fundamenta można odtajać za pomocą wielkich stosów ognia...

Chruszczow znowu chodził po izbie, kręcąc głową.

— Zresztą budynek nie potrzebuje być trwały — rozśmiał się Beniowski.

— Mówisz o nim, jakby był!...

— Będzie, musi być... — odrzekł Beniowski z zaciętością i zamyślił się.

Stały mu nagle w oczach te rysy dziewczęce, takie zasłuchane we wszystko, co opowiadał, te przejrzyste agatowe źrenice, śledzące każdy ruch jego ust, zrywające z nich chciwie niedopowiedzia-

ne wyrazy. Już zaczynał się ich lękać, gdyż rozumiał wybornie, jakie mu z tej strony grozi niebezpieczeństwo. W założeniu szkoły szukał więc i dla siebie ratunku.

— Nie odważą się pewno dziewczyny posyłać do szkoły... A jak przyjdzie, to zginie w tłumie innych uczniów... Będzie zresztą miała innych młodych ludzi przed oczami!... — rozmyślał ze szczyptą żalu.

— Szkoła być musi. Przygotuj zwolna naszych do tego! — rzekł, wstając.

— Zrobię, co każesz, ale pozwól sobie powiedzieć, Beniowski, że i twoje fantazje mają granice...

— Ach, Chruszczow, Chruszczow, przyjacielu! Dzieją się na świecie i stokroć trudniejsze rzeczy! Czy ty wiesz, że do otoczonego pierścieniem potężnych wojsk nieprzyjacielskich Krakowa przeprowadziłem w jedną noc sześćset sztuk wołów i półtorasta wozów zboża... Tam też nikt nie chciał wierzyć, aż stało się! Woleli z głodu umierać, nawet poddać się, niż się targnąć na niepewną imprezę...

— Zapewne, zapewne! Są to dzieła niezwykle, lecz miałeś choć coś, jakiegokolwiek oparcie, miałeś wojsko, wiernych, posłusznych żołnierzy, tutaj nie, zgola nie!...

Beniowski wykrzywił usta.

— Tutaj mam też... ludzi, a przecie ludzie tworzą wszystko!...

— Daj Boże, daj Boże, żeby ci się udało!

— A więc chodź, poszukamy dogodnego miejsca!...

Wdziali futra i wyszli.

Nie było jeszcze ciemno, ale zmrok i mroźna mgła już zalewały okolice mętną powodzią. Dwaj przyjaciele długo błakali się po zaroślach, brnąc

w sypkim śniegu po kolana; wreszcie wyszli nad parów rzeki już skutej grubym lodem... Mroźny tu-
man wypełniał go po wręby i sunął ku morzu, jak
korytem woda, kołysząc się, burząc jednocześnie
jak dym. W szczybie ładu, w ujściu rzeki blado
przeblyskiwało żywe morze a nad nim gorzały
tracące się w oparach północne gwiazdy. Beniow-
ski długo wodził oczyma po zmierzchłych lasach
świerkowych i modrzewiowych, po osypiskach
stromych brzegów, usłanych grubymi śniegami,
wreszcie wskazał ręką mały wzgórek w widłach
zlewu z rzeką główną, Bystrą, bezimiennej rze-
czulki.

— Tutaj stanie!... Tu będzie łatwo postawić
palisadę, a od tamtej strony bronią dostępu obie
rzeki!

Chruszczow patrzył na niego na poły z zachwy-
tem, na poły z niedowierzaniem.

— Czyś ty czasem nie pił wczoraj za dużo, Be-
niowski, tutejszej zatrutej muchomorami gorzałki?

— Co?...

— Nic!... Zwyczajne marudzenie starego niedo-
wiarka!...

— Nie będziesz miał bogów cudzych nade
mnie!... Pamiętasz, coś obiecał?

— Pamiętam, szalony bałamucie, pamiętam...

— Więc do widzenia tymczasem.

— Dokąd idziesz?...

— Ograć przyszłych budowniczych szkoły!...

— Co ty mówisz!...

— Mówię prawdę. I tak już za długo kazałem
im czekać... Ale i to leży w planach naszych!...

Kiwnął głową Chruszczowowi i skierował się
przez chrzęszczące i rozstępujące się przed jego
rękami i nogami zarośla ku miasteczku, migające-
mu poprzez sieć gałęzi czerwoną łuną ogni.

Gdy zbliżył się do mieszkania Nowosiłowa, gro-

madki ubielonych szronem psów, śpiące kupami obok stojących rzędem sanek, zerwały się i skoczyły ku niemu z groźnym warczeniem. Natychmiast zza węgła wysunęły się figury kameczadalskich psiarków-niewolników, a na ganek wyszła z sieni ciemna postać, pobłyskująca metalowymi guzami.

— Czy to ty, Auguście Samuelowiczu?...

— Ja, Nikandrze Gawryłowiczu! — odpowiedział Beniowski, poznając komendanta.

— Cóż tak późno!?

— Nie mogłem wcześniej. Naczelnik zatrzymał mnie dłużej na lekcjach... W ogóle wątpię, abym miał z czasem nawet wieczory wolne, będę więc musiał z gry skwitować.

— Bój się Boga!... A myśmy już spisali kontrakt z kupcami, że gramy z nimi najmniej pięćdziesiąt partii, każda po 300 rubli... Oni na gracza mogą stawiać kogo chcą i my też... Z każdej wygranej 120 biorę ja, 120 sekretarz, pozostałe 60 ty, Beniowski... Można grubo zarobić...

— Cóż, kiedy naczelnik...

— Przepadliśmy! Strona, nie dotrzymująca umowy albo zrzekająca się gry, płaci kary osiem tysięcy rubli. Oni stawiają przeciw nam Koleskowa. Zgubiłeś ty nas, Auguście Samuelowiczu, jeżeli grać nie zechcesz!... Oj, bieda! Chodź zresztą, powiedz wszystko sekretarzowi...

Gruby Nowosiłow siedział chmurny na swojej kanapie, nie wstał na powitanie, nawet głową nie kiwnął na ukłon Beniowskiego. Pięciu kupców i pisarz Sudejkin mieściło się na stolkach pod ścianami.

Na stole jarzyły się woskowe świece, błyszcząły rżnięte gąsiorki z wódkami, cynowe misy z przekąskami i srebrne czarki.

— Naczelnik go zatrzymał — tłumaczył Beniowskiego komendant.

— Mógł się wykręcić!... — burknął Nowosiłow.

— Ba, on powiada... — zaczął kozak, lecz urwał trącony w łokieć przez Beniowskiego; mrugnął jeno znacząco na sekretarza.

— Cóż, nie traćmy czasu!... — nalegał Proskuriakow, którego oczu nie uszło zmieszanie komendanta.

Ustawiono szachy i obecni otoczyli zwartym kołem grających.

Grano do białego dnia. Z pięciu partii Beniowski wygrał cztery.

Gdy po rozejściu się gości gospodarz i komendant liczyli i dzielili pieniądze, Beniowski wstał nagle i poprosił, żeby mu pozwolono się umyć i oporządzić odzież, gdyż wprost stąd iść musi do naczelnika na lekcje.

— Nie będziesz spał?...

— Nie. Kiedyż mam spać?...

— A wieczorem przyjdiesz?... Słyszałeś, że to ma być u mnie!... — zauważył komendant.

— Słyszałem, ale nie wiem, czy co z tego będzie... Z niewyspaną głową łatwo przegrać i długo tak nie pociągnę!

— To prawda!... Więc chyba w niedzielę i święta tylko grać będziemy!

Nowosiłow słuchał na pozór obojętnie rozmowy i dłuwał palcem w zębach.

— Pięćdziesiąt partii z rok potrwa, jeżeli raz na tydzień... Ładna rzecz!... — mruknął z niechęcia.

— Mogą się nie zgodzić tyle czekać!...

— Dałoby się całą rzecz ułożyć, gdyby... — zaczął Beniowski i zaraz, nie zwłócząc, wyłożył im plan szkoły, gdzie uczyliby prócz niego i inni nauczyciele, a w ten sposób oszczędziliby mu dużo

czasu i pozwolili niekiedy wyręczyć się kimkolwiek.

— Taka szkoła mogłaby i od rządu uzyskać poparcie i pochwałę... Imperatorowa chętna jest, słyszałem, wszelkiej nauce!

Nowosiłow przytakiwał głową, ale milczał. Za to komendant bardzo się zapalił do projektu, wypytywał o rozmaite szczegóły i snuł dalsze plany.

— Nic łatwiejszego!... — wołał. — Tych pięciu, co tu byli, sami w stanie taką rzecz opłacić! Bogacze!... A zgodzi się i wielu innych. Szkoła pożyteczne urządzenie. Sama Imperatorowa jej sprzyja! Ja sam dzieci posyłać będę. Dla każdego pochlebnie jest okrzesać swe potomstwo!... Języki cudzoziemskie, liczenie, pisanie piękne — a więc droga do urzędów otwarta!... Zaiste Bóg cię nam zesłał, Auguście Samuelowiczu!...

Nawet bezdzienny Nowosiłow rozgrzał się pod koniec.

— Zapewne — sprawa użyteczności publicznej i państwowej!...

Postanowili wpływać w tym duchu na naczelnika, a jednocześnie wywrzeć nacisk na kupców i mieszczan.

— Biorę ich na siebie! — postanowił komendant.

— Ty zaś, Beniowski, przygotuj grunt przez naczelnikową...

— Nie tyle grunt, co łóżko! — mruknął zjadliwie sekretarz, ale pomoc swą obiecał.

Tegoż dnia Beniowski mocno się skarżył pani Niłowowej na brak własnego kąta, gdzieby mógł się do nauczania spokojnie przysposabiać, oraz na brak kolegów ich dzieciom, postronnych uczni, którzy by zachęcali ich swym przykładem do pracy.

— Tylko zdrowa emulacja stwarza zapał — dowodził.

— Tak, tak! — zgadzała się pani Niłowowa, siadając blisko niego na ławie. — Idźcie dzieci do swego pokoju! Nastka, czego się tu jeszcze wałęsasz?... Wygląda to na duże dziewczynisko, ale w istocie jeszcze bardzo młoda, bo ja bardzo młodo, bardzo młodo zostałam wydana przez matkę za męża. Dzieciątkiem prawie byłam i pojęcia nie miałam o małżeńskim stanie... Nie miałam żadnego do tego gustu... Tym bardziej, że Iwan Piotrowicz był o wiele lat ode mnie starszy, już przedtem pił, a i potem nie przestał... Tak przetrwałam do tej pory, nie poznawszy prawdziwej miłości... Czegóż ty znowu chcesz Nastka?...

— Mamusiu, przyszedł posłaniec od Tajy z Czekawki i przyniósł jarzabki...

— Więc cóż, niech poczeka, albo sama weź i złóż w spiżarni.

— Kiedy, mamusiu, tatuś go przysłał, kazał wódką poczęstować...

— Ach, że też chwilki nie ma wytchnienia. Zaczekajcie, Auguście Samuelowiczu!...

Wyszła, a na jej miejsce na ławie przysiadła Nastka.

— Widzę, że pan dziś bardzo smutny!?... Panu coś dolega?... Niech pan powie... Może będę w stanie dopomóc!

— Chciałbym nauczyć panią, chciałbym szczerze nauczyć i panią, i siostry pani, i brata wszystkiego, co sam umiem... Ale pani widzi, że tego tu uczynić nie podobna, że wciąż ktoś przeszkadza, że nareszcie wszystkiemu podolać sił mi nie starczy. Nieustannie tysiące innych narzucają mi rzeczy... Odrywają wciąż...

— Istotnie, blady pan i mizerny dzisiaj!...

— Więc kłopotczę się o to, myślę wciąż i przyszło mi do głowy, czyby nie można otworzyć tu szkoły, gdzieby różni profesorowie wykładali róż-

żne nauki, wzorem szkół stołecznych. Wtedy starszym uczniom mógłbym więcej udzielać czasu...

— Cudownie, cudownie! — zawołała i klasnęła w ręce dziewczyna.

Ciężko skrzypnęła w sieniach podłoga i wszedł Niłow.

— Czego tu klaszczesz? Sami jesteście?... A gdzie matka?...

— Przed chwilą wyszła i zaraz wróci... Poszła po jarząbki... po jarząbki... — bąkało wylękle dziewczę.

— Chodźno pan do mnie, pokażę ci mapy, które mi przysłano z Admiralicji... do poprawienia. Żadna według mnie nie podobna do swej naturalności... Tak mi się zdaje! Ale co ja wiem? Kara Boża! Skąd ja, oficer piechoty, mogę znać nawigacyjne sekrety!? A wymagają ode mnie i tego i tamtego, i wciąż coś nowego! — wzdychał Niłow, uprowadzając od córki wygnańca.

X.

Stało się wszystko według przewidywania Beniowskiego i według jego myśli.

Pewnego popołudnia senna wioska wygnańcza rozbrzmiała z nagłą ujadaniem psów, skrzypem płóz cmokaniem kamczadałskich psiarzy. Trzy podwunastne sanki, wysłane niedźwiedzimi skórami, stanęły przed domem Chruszczowa; wysiadł z nich komendant i dwóch najbogatszych kupców Bolsze-riecka — Kazarinow i Proskuriakow. Przychodzili w imieniu całego miasta prosić Beniowskiego o założenie szkoły publicznej, gdzieby dzieci mieszkańców za sprawiedliwą opłatą mogły się ćwiczyć w pożytecznych naukach, w czytaniu, w pisaniu, w

rachunku, oraz w obcych językach, a także w dworskim obejściu, a także w tańcach i w muzyce.

— Naczelnik już uprzedzony, zgodził się! Jeno trzeba, żebyś go sam o to poprosił, Auguście Samuelowiczu!... — dowodził komendant.

— A my już wszystkie pokryjemy koszta!... Zgoda, co!?!... — dodał Kazarinow.

Proskuriakow gładził rudą, szeroką jak łopata brodę i świdrował małymi zielonawymi oczkami po kolei każdego z mówiących.

— Rad byłbym usłużyć miastu, ale... cała rzecz rozbija się o brak domu!... W byle domu szkoły założyć nie można. Do tego potrzebne są specjalne budowle! — zauważył Beniowski.

— I dom się znalazł. Odszukał go w papierach okręgowych nasz niezrównany Sergiusz Mikołajewicz! — krzyknął radośnie komendant. — Takuteńki, o jaki prosiliście, Beniowski!

— A to ciekawe!?!... Gdzież on się znalazł?!... — spytał z żywym zainteresowaniem Beniowski.

— Okazało się, że został zostawiony do przechowania Zarządowi Okręgowemu dom norweski przenośny po ekspedycji admirała Beringa, próchnieje bez użytku w składach rządowych w Czekawce. Wyciągną go stamtąd, przewiozą, a co brak będzie, to dorobią na poczekaniu nasi cieśle; za tydzień, za dwa najwyżej dom stanie, gdzie wskazesz ty, Auguście Samuelowiczu. Co, zgoda?

— My słyszeć o odmowie nie chcemy... Już spisaliliśmy trzydziestu zdatnych do nauki dzieciaków... Z dorosłych też się paru ciekawych znajdzie! — dorzucił znacząco Kazarinow.

— Owszem. Powtarzam, że rad byłbym uczynić wszystko co mogę i umiem, i szkołę takową urządzić — będzie to pierwsza tu szkoła, czas na nią, oj, czas — lecz tylko w tym wypadku, gdyby

naczelnik też swoje dzieci do tej szkoły zgodził się posyłać...

— Przecież mówiłem, że już się zgodził! — niecierpliwił się komendant. — Pozostaje mu podziękować! Zbieraj się, Beniowski, rychło i jedź z nami, a wieczorem proszę do mnie na kolację.

Wieść o nowej „łasce” piorunem rozbiegła się po wiosce i miasteczku. Czapkowali Beniowskiemu już wszyscy, i swoi i obcy, a niektórzy nawet zabiegali mu drogę, zatrzymywali go, żeby z nim pogadać, przypomnieć się, poprosić o dostawę opału albo wody do projektowanej szkoły, starali się o miejsce tam stróża lub kuchty dla siebie oraz znajomych.

— Bo przecie sam sobie warzyć nie będziesz!? A gdzie budować zamierzasz?

— Na brzegu Bystrej, przy ujściu rzeczulki Pijanej...

— Po cóż aż tam?... — dziwili się.

— Stąd niedaleko; widać z wioski, a na uboczu zarazem, więc będzie dla nauki poręcznie, spokojnie...

— Prawdę mówisz, Auguście Samuelowiczu!... Mądre są twe postanowienia we wszystkim! Ale nie zapomnij i o nas w swym szczęściu!

Nazajutrz o świcie zbudził przyjaciela Chruszczow, oznajmiając, że przyjechali woźnice z Czekawki oraz cieśle, że przywieźli przyciesia i pytają, gdzie je zwalić.

Ubrał się chyżo Beniowski i wyszedł do ludzi, częstował ich wódką, kazał warzyć dla nich herbatę i ryby, a sam powiódł tymczasem przewodników na oznaczone miejsce.

Tam, przy zbiegowisku wszystkich prawie wygnańców z wioski, fundament budynku według planu wykreślił i oznaczył. Zastukały siekiery, poto-

czyły się z łoskotem belki z wozów na oczyszczony ze śniegu plac.

Popłynęły stuki i głosy wraz z mgłą zamarym korytem rzeki w dół, aż do morza. W ciągu dnia odwiedziło budowlę niemal pół miasteczka. Pod wieczór przyjechały nawet naczelnikowa i naczelnikówna w sobolich szubkach, w bobrowych kołpakach i długo stały, rozmawiając z Beniowskim, poskrzypując pięknym obuwiem na śniegu; rozglądały się w koło i dziwowały piękności wybranego miejsca.

— Przestronno, — widać daleko, nawet ładnie! Jeno dziko: śnieżysko, śnieżysko i las wokoło — mówiła pani Niłowowa.

— Zawsze weselej, niż u nas, mamusiu, gdzie wszędzie sterczą te obrzydłe dyle forteczne! — wstawiła Nastka.

— Ładnie to tu będzie dopiero na wiosnę, kiedy lody pękną, skruszeją i popłyną. Poruszy się wtedy wszystko, żywe i wolne! — zauważył Beniowski.

— O, latem tu ładnie!... Jakie tu kwiaty! I nad morze równie przyjemne są wycieczki... Cóż, kiedy lato krótkie!... Nie tak, jak w tych krajach, o których pan opowiada! — westchnęła Nastka.

Szukała wzrokiem spojrzenia swego nauczyciela, ale ten tkwił uparcie oczami w mglistej dali oceanu, dymiącej się w szerokim wyrwisku rzeki.

Pani Niłowowa bardziej była zajęta rozkładem mieszkania, bystro rosnącego pod rękami cieśli.

— Gdzież będzie sypialnia, Auguste Samuelowiczu?

— Zostawię tę samą, której używał admirał, jak tu napisano w planie. Stołowy pokój zamienię na uczelnię...

— Byłe wam zimno nie było. Każcie dobrze mchem przełożyć belki i utkać szpary.

Odjechały, gdy zorza wieczorna nappełniła różowym światłem poleśną dolinę, a stężały, siny cień brzegów pokrył do cna lodowy korytarz rzeki.

Beniowski wrócił zamyślony do domu.

Tego wieczora miał poznać pierwszych tutejszych członków sprzysiężenia, kandydatów postawionych przez Chruszczowa. ludzi wolnych, oraz starych wygnańców. Chciał z każdym z nich pomówić przedtem na osobności; rozumiał, że od jutra, z przyjęciem większej liczby członków, spisek wejdzie bezpowrotnie na nowe tory, o wiele groźniejsze, przeniesiony zostanie na widownię obszerniejszą, pełną nieprzewidzianych przeszkód i niebezpieczeństw.

— Ha, trudno!... Kiedykolwiek zacząć trzeba!... Czy nie za wcześniej jednak? Czy nie należałoby przedtem utrwalić lepiej swojej własnej pozycji?

Był niespokojny i ten stan swój pokrywał pozorami surowości i uroczystej powagi. Przywdział szaty odświętne, siadł na szerokim poławku, przykrytym skórą niedźwiedzią w ten sposób, że palące się u ściany w żelaznym pierścieniu łuczywo rzucało całe światło na drzwi wchodowe, podczas gdy jego postać i lico ostawało się w cieniu. Świeciły tam jeno plamy groźnych, szeroko otwartych oczu i ruszały się z lekka końce sumiastych wąsów, ozłoczone ogniem.

Pierwszy wtoczył się mężczyzna tyleż prawie wysoki, co szeroki, cały zaszyty w kosmate futra. Nie zdejmując uszastej zaśniewanej czapki, zbliżył się i oddał ukłon wojskowy.

— Iwan Sybajew, kapitan strzelców...

— Dawno pan służy?...

— Od dzieciństwa, urodziłem się moskiewskim „strelcem”... Z ojcami za ich bunt zesłany zostałem na Kircugę, potem dosługiwałem się stopnia od prostego żołnierza w Tobolsku, w Omsku, jeź-

dząc aż hen, pod kałmucką granicę.

— Cóż pana do naszego związku pociąga, wszak pan wolnym jest?

— Wolny i nie wolny!... Zagnali mnie tu, w tę przepastną dziurę, gdzie nawet upić się nie ma z kim!... Nuda!... Kameczadale uśmierzeni, pokorniejsi od płazów... Leniwy jeno skóry z nich nie łupi... Nie lubię tego!... Rządzą i panoszą się chamy, kupcy i urzędniki kancelarskie, pokrzywiane nasienie... Nie lubię tego!... A Chruszczow dobry, szlachetny człowiek... Dlaczegoż nie mam do was przystać?...

— A pan wie, co panu za to grozi?...

— A no wiem!... Niech tam!... Za to świata kawał zobacze!... Może zwojujemy jaki nowy kraj, a wtedy, gdy uderzymy czołem przed matką-carycą nowym królestwem w poddaństwo, to nam, może, przebaczą!... Ho, ho!... Kto wie, co nas jeszcze czeka!?

— Pan wie, że pan obowiązany jest radzie głównej spiskowej posłuszeństwo... bez granic!?

— Rzecz prosta! Słuchać będę, skoro przyrzekłem. Bez tego nie!...

— Jutro przysięgniesz i Komunię świętą przyjmiesz!...

— Przysięgnę i przyjmę!... Dlaczego nie!? Kto zdarł ze łba skórę, nie żałuje włosów.

Chciał jeszcze mówić, ale Beniowski skinął ręką.

— Kiedy indziej... Dziś późno, a dużo was...

— Słucham, jenerale!... Jak każesz!... Kiedy indziej, to kiedy indziej!... Chciałem tylko powiedzieć, że za Lewantia Popowa i strzelca Wołkowa to ja ręczę...

Uklonił się po żołniersku i zwrócił ku drzwiom. Czatujać na schodkach Chruszczow odprowadził gościa w kierunku sąsiedniej chaty i gwizdnął z cicha w stronę lasu.

Natenczas z ciemności wyłonił się nowy gość, wiedziony przez Panowa.

Był to suchy, zawiedły mężczyzna z zapadłymi skroniami i policzkami, z długą brodą, już z lekka przyprószoną siwizną. Spod krzaczastych brwi błyskały ostro stalowe oczy.

— Dymitr Kuzniecowa, kupiec, wolny! — odrzekł na zapytanie twardym moskiewskim akcentem. — Co mię skłania, pan pyta, co mię skłania do waszego towarzystwa?... Przede wszystkim skłania mię własna, nieprzymuszona wola, a następnie skłania mię dużo rzeczy... Nie ma tutaj w kraju kamiczackim i w całej Syberii porządku ani sprawiedliwości: jednym dają, drugim nie, jednym pozwalają, drugim nie... a dlaczego — nie wiadomo!... Powinna być władza, ale władza i wykonanie jej musi być dane od Boga!... Tymczasem na świecie kto rządzi? Nadszedł czas, o którym powiedziano jest, iż... niewieście Izabel, która się mieni prorokinią, dopuszczone będzie uczyć i zwozić sługi boże, żeby porubstwo płodzili i rzeczy ofiarowane bałwanom jedli... Antychryst znaczy pieczęcią swą prawowiernych! W cieniu złego zapomnieli słabi o panu swym, który, pozbawiony purpury i korony, błąka się między żebraki, sam jako żebrak... A poznać go po znaku jego — grzmiał i zrobił jednocześnie tajemniczy ruch prawą ręką, złożoną w szczyptę. Beniowski patrzył nań ze zdumieniem.

— Mówiłeś z Chruszczowym? — przerwał mu nagle.

— Mówiłem.

— Przysięgniesz jutro?...

— Właśnie, o przysięgę tu chodzi... „Nie będziesz wzywał imienia Boga twego”...

— Wszyscy przysięgają, bez przysięgi nie weźmiemy cię. Wymaga tego ustawa...

— Właśnie. Co jest ustawa?... Azali słowo nie było na początku i nie stało się ciałem?... Kto sięgał wówczas, gdy było jedno słowo?... A przysięgać będą w dniu sądu wysłannikom lzebuba... powiedziano jest...

— Ale tam też powiedziano jest: „uciekaj z Babilonu, albowiem wielkie są pokusy jego!... I dano mu łaskę żelazną i jako statek garncarski będą skruszeni ci, co pozostaną”...

Kupiec słuchał go uważnie, po czym odrzekł już swoim głosem bez namaszczenia i przesady:

— Nie chcę przysięgać! Kto wy jesteście?... Nie znam was. Bierzcie mię bez przysięgi, a nie, to nie... Zostanę, jakem był, i sam okręt sporządzę!

— Okrętu nie sporządzisz! Czulošznikow nie dopuści do tego!... — odrzekł spokojnie Beniowski.

Kuzniecowa cofnął się z lekka i podejrzliwie spojrzął na Beniowskiego.

— Ha, trudno! Poczekam, aż Czulošznikow z wiosną odjedzie... Czekałem tyle, poczekam jeszcze! — odparł kupiec uparcie.

— Czulošznikow nie odjedzie. Trafiła mu się w drodze tak znaczna awaria, że nie wiadomo, czy da się statek naprawić. Leży na boku w pustyni na piaskach koło Awaczyńska... Słyszałem. A Czulošznikow stara się o cieśli i pomoc wojskową na straż od własnych marynarzów!...

— Skąd to wiesz? I ktoś ty taki, że wiesz wszystko?... —

— Wiem, od samego naczelnika... Przyszedł papier do policji...

— Ha, cóż robić! Zostanę, to zostanę!... Prześlądują mię dla Boga mego... Zniosę wszystko.

Zabierał się do wyjścia.

— W tobolskim więzieniu spotkałem niejakiego... Piotra, który zegnał się tym samym sposobem, co ty... — zagadał cicho Beniowski, powstając.

Kupiec drgnął i obrócił się ku niemu. Wyniosła postać wygnańca na tle siwego dymu i czerwonego światła łączywa wyrosła nagle aż pod powałę. Kuznieców przyglądał mu się długą chwilę.

— Co *on* mówił?...

— Mówił, że nie przyszedł jeszcze czas, aby podnieść... zasłonę, że nie spełniła się jeszcze miara pokuty.

— A jaki znak?

— Znak starodawnej wiary: Duszo łagodna, Gołębico niebieska, módl się w Imię Ojca Twórcy Sabaotha, i Syna Odkupiciela... i Świętego Ducha Oświeciciela... — Łaska wam i pokój od tego który jest, który był i który przyjdzie, i od siedmiu duchów, które są przed oblicznością stolicy jego!

Zakreślił koło w powietrzu, a potem zrobił znak krzyża na piersiach garścią prawą, złożoną w szczyptę.

— Czemuś mi się, bracie, nie odkrył od razu?... Mówiono mi, żeś schizmatyk, papista...

— Wszyscy ludzie, dążący do wolności, z tegoż samego są ducha!...

— Więc dlaczegoś żądał ode mnie przysięgi?...

— Dla pozorów. Wszyscy przysięgają, wyróżnienia być nie może, bo za nim ciągnie nieposłuszeństwo.

— Bez przysięgi posłuszny ci będę, bracie...

— Nie będziesz mógł bywać na naszych zebraniach...

— Będę wam służył w tajności...

Beniowski zamyślił się.

— Ha, trudno!... Idź w spokoju! Ale namyśl się; możesz przysięgać bez komunii, dla innych, dla pozorów... Namyśl się!...

Kupiec nic nie odrzekł, nasunął głęboko futrzaną czapkę na oczy i wyszedł.

— Iwan Czurin!... — wyrzekł następny gość

i, otrzepawszy starannie futro ze szronu i śniegu, postąpił krok naprzód.

Beniowski, który znów był usiadł, wstał, uściśnął go za rękę i podprowadził uprzejmie do ławy.

— Siadaj pan!... Ach, słyszałem, słyszałem!... Wszak to z bratem pana przyплыnęliśmy z Ochocka!...

— A tak!... Opowiadał mi brat o panu dziwa!

Młody człowiek umilkł i oczy w zakłopotaniu opuścił.

— Dlaczegoż to pan chce z nami się związać? Wszak pan zawsze z bratem może wrócić?

— Droga dużo kosztuje, zresztą brat... brat nie wiadomo kiedy z powrotem odpłynie...

— Jak to! słyszałem, że „Piotr i Paweł” wraca do Ochocka natychmiast, skoro ruszą lody...

— Tak powiadają, ale czy brat... Zresztą... ja nie wiem, czy mogę do Ochocka... Oskarżyli mnie, zupełnie zresztą niesłusznie, że utrzymywałem stosunki z... Ochotynym!...

— Z Ochotynym... z tym... ma-ry-na-rzem!?!... — przeciągnął Beniowski.

— Tak. A prawdy w tym tyle, że hulaliśmy niegdyś razem, pili i grali w kości, kiedy on służył jeszcze u Krynicynych i w Ochocku, oraz tutaj zimy spędzał... Teraz mi z tego robią zarzut, a co ja winien jestem, że on się zmienił i przeciw władzy wystąpił... Byłem zawsze daleki od wszelkich buntów i teraz pragnąłbym jedynie spokojnie stąd odjechać.

— Widzi pan, wszyscy pragniemy tylko spokojnie odjechać, ale za to spokojne odjechanie czeka nas kara taka sama, jak za wszelkie inne nieposłuszeństwo. Czy pana brat wie o tym, że pan... tu poszedł!?

— Broń Boże, mój brat bez tego ma z Admirałcją wielki kłopot, który nie wiadomo jak się

skończy. Umarłby z przerażenia, gdyby się o mojej z panem rozmowie dowiedział, i zaklinam na wszystko pana...

— To rozumie się samo przez się!... — przerwał mu Beniowski. — Tajemnica obowiązuje nas względem wszystkich... Jutro pan złoży przysięgę. Myślę, że uda nam się nie tylko pana, ale i brata pańskiego wyzwolić z kłopotów... Niech pan zwraca pilną uwagę na bieg wszelkich spraw oraz rzeczy, słowem na wszystko, co się w koło dzieje, niech pan powiadamia nas niezwłocznie o każdej zmianie, o każdej pogłosce... o wszystkim, co się pan dowie od brata, z kancelarii lub skądkolwiek bądź... Czy sprawa pańskiego brata w tutejszym znajduje się sądzie?

— Nie. Zdaje się, że w Ochocku...

— Dobrze, postaramy się o tym dowiedzieć!...

Po Czurinie wszedł do izby miejscowy diakon. Protopopow. Ręce mu się trzęsły, trzęsła broda, trzęsły długie, czarne kędziory, zwisające po obu stronach ściągłej twarzy.

— Jutro rano przyjmiesz, diakonie, i po kolei wypowiadasz ludzi, których przyprowadzi Chruszczow... a potem odbierzesz od nich przysięgę.

— Słyszałem, mówił mi już Chruszczow... Czy aby oni nie zdradzą... Mało na nich przysięgi...

— Powtarzam, że tegoż dnia zaraz przyjmą komunię...

— Chyba, chyba!... Ale głównie ostro ich trzymać należy... kary straszne nakładać... takie kary, jak tamci, jak rząd!... Tylko strachem, strachem można coś w tym kraju zrobić... Nikt tu nie jest pewny ni życia, ni mienia... Pan pewnie wie, jak mi to niedawno zdradziecko ostatni gąsiorek wódki zabrali?...

I po raz dziesiąty opowiedział Beniowskiemu o

wybiegu, użytym przez panią Niłowową.

— Gąsiorek wódki w tym czasie, to błam soboli!... — biadał. — I tak wszystko!... Nikt nie jest pewny ani dnia, ani godziny... Ani żony, ani osła, ani sługi, ani służebnicy...

Z trudem Beniowski uspokoił i wysłał za drzwi rozżalonego „ojca”.

Reszta sprzysiężonych byli to już sami wygnańcy: stary Andrzej Gurcinin, niegdyś szambelan cesarzowej Elżbiety; Magnus Meder z Admiralicji, pułkownik Łobaczow, książę Herakliusz Zadzkoi, Szwed Julian Brondorp, kapitan gwardii Mikołaj Serebrennikow i Jędrzej Piatnicyn oraz inni — razem z „wolnymi” ludzi piętnastu.

Kłopotu z nimi miał Beniowski o wiele mniej, gdyż byli już przygotowani odpowiednio przez Chruszczowa, a wielu znał osobiście, ale musiał z każdym zamienić choć parę słów. Mocno więc znużony, rad, że się ceremonia skończyła, chciał wyjść trochę na świeże powietrze i orzeźwić się, gdy drzwi uchyliły się znowu i, zamiast oczekiwanego Chruszczowa z wierną Alajdą, ujrzał zupełnie nieznaną mu postać chudego, wysokiego człowieka z siwymi, obwisłymi wąsami.

Chwilkę mierzyli się oczami.

— Waćpan jest starosta Bielski, jeśli się nie mylę!? — rzucił nagle po polsku Beniowski.

— Tak!... — szepnął starzec, zakrył twarz rękami i ciężko oparł się o odrzwia.

— Wiedziałeś pan, że od dawna tu jestem?... Dlaczegoś pan przedtem nie przychodził?...

— Bałem się.

— A teraz się nie boisz?

— Nie, bo postanowiłem, że... — Ha, wszystko jedno!... Teraz już się nie boję!...

Beniowski chwilę się wahał, rozmyślał, po czym ujął za rękę wygnańca, stojącego wciąż z

zakrytą twarzą przy drzwiach, doprowadził go do stołu, wyjął z kredensu butelkę wódki, misę z pokruszoną rybą wędzoną, nalał kieliszki i podsunął gościowi.

— Posil się, waćpan, a potem wyjdziemy... Tam, przechadzając się na dworze, będziemy mogli swobodniej pogadać.

Bielski wciąż zakrywał oczy dłońmi.

— Mów, ach, mów!... Piętnaście lat nie słyszałem już dźwięków polskiej mowy... — wybuchnął wreszcie cicho. — Opowiedz, opowiedz... wszystko opowiedz... Co tam, jak tam?... Nie, nie nie wiem... Nade mną dawno już noc ciemna zapadła bez promienia...

Beniowski zydeł sobie przysunął, usiadł, wypił wódki, gościa poczęstował i zaczął mówić. Mówił mu o nowej burzy, jaka się w kraju zrywa, o konfederacji, o obronie Krakowa, o pożodze i zniszczeniu, o gwałtach i panoszeniu się zaborców po całym kraju...

— Znam to, znam to!... — szeptał starzec, śledząc gorejącymi oczyma rysujące się przed nim gdzieś w ciemnościach wizje dawno zapomnianych obrazów.

Musieli jednak przerwać rozmowę, gdyż zziębły Chruszczow zapukał i wszedł prowadząc zasnieżoną Alajdę.

Beniowski z Bielskim narzucili niebawem szuby reniferowe, czapki uszaste i wyszli. Na czystym granatowym niebie jak promienisty obłok jaśniała Mleczna Droga; diademy gwiazd błyszczały na czołach gór, roiły się ich miliony na kopule firmamentu, mrugały w gąszczach lasów, przeświecały przez blade mgły oceanu nisko, tuż nad widnokresem... Zdawało się, że są wszędzie, i wobec ich ilości, ich skrzystego światła zatracala się niepozornie ziemia, zapadała we własny, martwy cień...

Wtem spoza małej chmurki, co niby drobna skaza tkwiła samotnie w przestworzu, wytrysł promienny zielonawy słup i poszedł nad górami, lasami i dolinami, rzucając na śniegi drżące, świetliste odbicie, a za nim biegł drugi, trzeci...

Rozlała się cała ich fala; rozpostarła się wachlarzem po niebie, zmieniała kolory; to żółkły, to znów błękitniały świetlane smugi, mieszały się, ściierały, aż zestrzeliły się w krwawy wieniec koło gwiazdy biegunowej, aby stamtąd popłynąć tęczowymi wodospadami nad drżącą w ich blasku ziemią.

Beniowski stał z oczami utkwionymi w czarowne zjawisko, a jednocześnie słuchał żalosnej opowieści starego wielmoży polskiego.

— ...Szóstego dnia porwany ze snu w kibitkę, która miała model kufra, obita w koło skórą, a w środku żelazną blachą; z boku tylko okienko dla podania wody lub jedzenia, w spodzie druga dziura dla spadu... Ten kufer był bez żadnego siedzenia; dano mnie jeno wór ze słomą i włożony był na mnie tytuł aresztanta sekretnego z numerem tylko i bez imienia... Tak wleczono mię dzień i noc w straszny mróz i zadmy śniegowe, zmieniając konie na stacjach i nie troskając się o mnie, jakoby nie był żywy... Jeżeli robiono spoczynek, to nie dla mnie, lecz dla konwoju albo jego zmiany... Przejeżdżałem przez miasta, których nazwy nie mogłem się dowiedzieć, gdyż nie dawano żadnego do mnie przystępu, a żołnierze nie śmieli rzec słowa pod grozą wielkich kar...

— To samo z nami! — zauważył Beniowski. — Lecz było nas kilku i dlatego łatwiej udawało się złamać zakaz datkiem lub pochlebstwem...

— Byłem sam, zupełnie sam... bez języka, pobity o żelazne boki kibitki, roztrzęsiony o grude drogi... Już nawet nie wiem, jak długo to trwało...

Prawie nieprzytomnego dowleczono mię do Irkucka, a stamtąd już z mniejszym pośpiechem, ale niemniejszą męką to na łodziach, to wierzchem konno, to na psach dostawiono mię do Ochocka, skąd okrętem tutaj... Nicem nie pragnął po tej strasznej drodze, jeno wytechnienia i spokoju... Szukałem pracy, szukałem zapomnienia, pocieszając się, że rychło wrócę do uwolnionej ojczyzny. Żyłem w wiecznej tęsknocie, jak w gorączce. Nieszczęście chciało, iż umiałem grać na skrzypcach... Myślałem, że to będzie mi osłoda i pomocą w życiu, a stało się moim przekleństwem... Musiałem grać im na weselach, na uroczystościach, dla rozrywki... Klócili się między sobą o mnie, i na mnie wymieszczali swą złość i zawiść... Czego nie widziały moje oczy stare?... Czego one nie były świadkiem?... Gwałcono przy mnie kobiety, ludzi obdzierano ze skóry, wbijano na pal, a ja musiałem im grać!... Gdy spici, oszaleli od trunków na swych ucztach bestialskich dopuszczali się jawnie najgorszych sprośności z Kamczadalkami i niewolnicami, — musiałem im grać... I biada, gdym nie grał dość wesoło... Dlaczego nie umarłem, nie wiem!... Jest w niewolniku podle pragnienie, nieziszczalna nadzieja, że raz, raz jeden, choć na krótko przed zgonem odetchnie ojczyzny powietrzem, stanie się znowu człowiekiem, że wolny wyprostuje znękaną duszę i to jest źródłem jego słabości. Ci oprawcy wiedzą o tym i wyzyskują to jego tajemne pragnienie, tę jego nadzieję, tę jego słabość! Aż oto doczekałem się: jesteś, przyszedłeś jak Bóg, niepodobny do innych niewolników!...

Ukląkł na śniegach i pochylił się do stóp Beniowskiemu.

— Tak, jestem! I klnę się na Zbawiciela, że uwolnię siebie i was, albo zginę. Ale przysięgnij mi, że co bądź się stanie, nie zwątpisz o mnie, ty

jeden choć nie zwątpisz o mnie! — odrzekł Beniowski, chyląc się nad starcem i opierając mu ręce na ramieniu i głowie.

— Przysięgam na imię Polski, przysięgam... Niech nigdy jej nie ujrzę, niech pogrzebie mię tu-tejsza ziemia lodowata, jeżeli zwątpię!

Na rozstaju uściśnieli się, jak bracia, i rozeszli.

Beniowski wrócił do wioski wygnańczej, a Bielski ostrożnie pomknął ku śpiącemu w mroźnym tumanie miasteczku.

XI.

Znowu przed świtem, jak zwykle, Chruszczow zbudził Beniowskiego.

Na kominku już gorzał ogień, rozpalony przez wierną Alajdę; promieniujące stamtąd ciepło i aromat świeżo sparzonej herbaty przyjemnie rozlewały się po izbie.

Przyjaciele zajęli się przeglądaniem przygotowanych do podpisania rot przysięgi, dla której wszyscy mieli pójść do cerkwi. Wolni z miasta zobowiązali się już czekać tam na nich w tym czasie.

Wtem drzwi z trzaskiem otwarły się i wpadł bez czapki, w potarganym ubraniu wygnaniec Ziablikow.

— Niech was diabli wszystkich wezmą, niech was grom porazi! Nie bracia wy jesteście, jak powiadacie, a zbóje! Zabierzcie go zaraz, zabierzcie natychmiast tego łotra... albo wydam was wszystkich, opowiem natychmiast wasze zamysły komu należy!

— Zastanów się, chłopie, zastanów, co mówisz!... — powstał na niego Beniowski. — Za taką nawet obietnicę wiesz, co ci grozi?...

— A niech tam!... Nie pozwolę się krzywdzić, nie pozwolę!... Brat, brat!... Nic nie robi, żre moje, wylegiwa się na moich futrach, ubranie moje nosi, jak co do czego: brat, brat!... Niech zgnije w ostrogu, przeniewierca...

— Kto, co? Uspokój się i opowiedz porządnie...

— Któż, jak nie Stiepanow!... Dlaczego nie mam powiedzieć? Opowiem od początku!... — zaczął Ziablikow łagodniejszym, płaczliwym już głosem. — Przyjałem go, wiecie, jak brata. Oficer, myślałem, pan — ja prosty człowiek, nauczę się od niego rozumu... Chociaż ciasno było w izbie i strawy szło więcej, nie żałowałem. Nie mówiłem mu nic, że nie pracuje; ma przecie ręce takie, jak ja, mógłby coś niecoś, choć po domu pomóc... Ale gdzie tam!... Nie ma go po całych dniach, zjawia się jeno do garneczka... A jak jest, to jeszcze gorzej, bo jeno leży do góry brzuchem, albo cielsko u komina wygrzewa, ludzi gorszy! Milezałem, choć nie widziało mi się!... — „Jak znajdę robotę, to wam zapłacę” — mówi. — Jak znajdzie!? W tym rzecz, że jej wcale nie szukał... Ale milczę, orzę za dwóch, czekam cierpliwie końca, bo przecie... brat — do jednego zdążamy celu, a przysięgły brat i... starszy wreszcie... W Radzie jest... Staram się za dwóch, żyły z siebie wyciągam... Wiecie, jaki nasz wygnańczy dostatek!? Czego sam nie zdobędziesz, nikt nie da... Las, pustynia... Wyjeżdżasz o świcie, wracasz wieczorem... to drwa przywieźć, to sieci opatrzyć... Więc znowu dziś zwyczajnie wyjechałem; coś w pół drogi opatrzyłem się, żem zapomniał siekiery... Aby psów po próznicy nie męczyć, przywiązałem uprząż do drzewa, a sam wracam piechotą... Coś mię tknęło, że ogień trochę przygasł w kominie, ledwie dymek się sący, że głosów żadnych w izbie nie słyszę. Czyżby żona znowu usnęła?... Otwieram cichutko drzwi, a wtem

on w samej bieliźnie wyskakuje z mojej łóżnicy... Więc go za hale... Ale gdzie tam, mocniejszy ode mnie, jeszcze mię zbił, baba moja, suka, pomagała mu... Weźcie więc go, zabierzcie go, albo go ubiję!... Takie wy pany, jak i my, tacy sami piętnowani złoczyńcy...

— Idź, zawołaj go zaraz!... — kazał Beniowski.

— Ba, kiedy nie chce iść!...

Chruszczow zdjął z kołka czapkę i rękawice.

— Utrapienie! Przenieść go trzeba gdzie indziej, ale gdzie!?

— W każdym razie, każ mu się zaraz wynosić, rzeczy niech złoży tymczasem u Panowa... Sam wracaj, bo czasu mamy mało... Muszę być dzisiaj u gubernatora, opuściłem już dwie lekcje... Będą się dąsać!...

Jeszcze Chruszczow z obejścia nie wyszedł, jak przyleciał z epistołą zziąjany wysłaniec od komendanta.

„Przyjdzie ich ośmiu, cała niezwalczona drużyna przeciwna: Kazarinow, Proskuriakow, Czulożnikow, Oleskow, Rybnikow... Nadzieja w tobie jedyna, Auguście Samuelowiczu... Ograli nas przeszłym razem do nitki... Dziś spodziewamy się nie tylko swoje wrócić, lecz z Bożą pomocą nawet zdobyć niejakię trofeę. Bez tego będziemy cienko prząść, co też i Sergiusz Mikołajewicz potwierdza i nalega, abyś nie uchybił, żebyś przyszedł koniecznie wedle umowy... Może i sam naczelnik nas obecnością zaszczyli...” — pisał niezdarnie setnik.

Nie zdążył Beniowski na list odpowiedzieć, a wpadł goniec znowu od naczelnika z rozkazem, aby stawił się niezwłocznie w kancelarii.

— O co chodzi? — spytał kozaka.

— Nie wiem. Jakowiś Kameczadale przyjechali z daleka.

— Kamczadale!?! — powtórzył ze zdziwieniem Beniowski.

Kazał zaprzęgać psy Jędrzejowi i ubrał się pośpiesznie. Chociaż się niepokoił, zwłóczył do powrotu Chruszczowa, któremu zaraz opowiedział po francusku wszystko i wydał odpowiednie rozkazy.

— Więc mimo wszystko mam podpisy odebrać i poprowadzić ich do przysięgi.

— Rozumie się, wszelka zmiana zwiększy tylko popłoch. Musi wszystko płynąć wyznaczonym biegiem!...

— A jeżeli nie wrócisz?...

— Wrócę...

— A jeżeli!

— Działaj w myśl naszej przysięgi!...

Chruszczow spojrzał markotnie na przyjaciela. Ten uśmiechnął się i uściśnął mu rękę.

— Niech nie widzą na twojej twarzy najmniejszej wątpliwości i niepokoju, niech nie widzą...

Chwilę potem pędził, jak strzała, sankami do miasteczka, a za nim podążał, ile tchu w psach, goniec naczelnika okręgu. Przed bramą forteczną spostrzegł kupkę gawiedzi, otaczającej kilkoro długich sań nieznanego mu kształtu, i gromadę rogatych renów, strzeżonych przez rosłych, zaszytych w puszyste futra kamczadalskich wojowników. Stali wsparci na ratyszczach oszczepów, jak ciemne posągi, a wschodzące słońce grało krwawo na żelaznych grotach, wyskakujących ponad ich głowami. W sieniach kancelarii, pełnych żołnierzy i kozaków, czekało zupełnie bezbronnych trzech krajowców jeszcze wynioślejszych i odzianych w jeszcze bogatsze futrzane, wzorzysto wyszyte szaty. Gdy Beniowski mijał ich, zmierzli go spokojnym, śmiałym spojrzeniem. Dostrzegł, że mieli twarze tatuowane i żółte zęby morsa wdziane głęboko z obu stron w ciemny miąższ policzków.

Niłow obrzucił go wymówkami; daremnie za-
słaniał się Beniowski budową szkoły, usprawie-
dliwiał własnym Niłowa pozwoleniem; naczelnik
wpadał w coraz gorszy humor.

— Ani słyszeć, ani wiedzieć nie chcę!... Mu-
sisz być co dzień, jak ci to już zapowiedziałem. Pra-
cę tu w kancelarii zaliczam ci, jako obowiązkową.
i żadnych uchybień nie zniosę!... — krzyczał, stu-
kając pięścią w stół. Żyły mu na skroniach na-
brzmiały i cała twarz poczerwieniała, jak miedź.
Beniowski stał wyprostowany z ręką u czoła i
powtarzał posłusznie, po żołniersku.

— Wedle rozkazu, Wasza Wysoka Szlache-
tność!

To rozbroiło w końcu naczelnika.

— Obejrzyj te tam sobole, co leżą na stole.
Chcę usłyszeć twoje o nich zdanie! — rzekł ła-
godnie.

— Znam się na futrach bardzo mało, tyle co
nie!

— No, widziałeś pewnie delie rozmaite na ma-
gnatach i osobach koronowanych... Sam powia-
dasz, żeś bywał na dworach, i w papierach twoich
stoi to samo... — zawołał gwałtownie Niłow, zno-
wu rozdymając nozdrza.

Rad nierad Beniowski przystąpił do rogu sto-
łu, gdzie stał pisarz Sudiejkin, poglądający z po-
żądliwą lubością na ciemne lśniące skórki. Uprze-
dzając wygnańca, wziął jedną z nich, strzepnął, że
cała zaśniła się srebrnymi skrami, po czym owi-
nął ją koło ręki i podsunął pod nos Beniowskiemu.

— Rarytas!... Co?... Warta grzechu!...

Istotnie futerka były cudowne; pokryte długą,
siwą ością, pod którą słał się równiuchno czarny
włos, podbity gęstym, jak aksamit, brunatnym
podpuszkiem, wydawały się głębokimi, jak leśna
ciemna woda, i były równie jak ona zmienne i wra-

zliwe na każdą zmianę światła, na kolor zbliżającego się do nich przedmiotu; odbijały je natychmiast, zabarwiając się w przeróżne odcienia, mierzchnąc od chmur przepływających po niebie, rozświetlając od żywszego przeblysku słońca.

Beniowski widział, że były ładne, i szczerze je pochwalił.

— Przeznaczam je na upominek dla Jej Cesarskiej Mości... — z dumą oznajmił Niłow. — Wyślę, nie czekając lata, jeszcze zimą z umyślnym gońcem... Ale widzisz, Beniowski, zachodzi tu jeszcze jedna mała okoliczność, o której chciałbym twój sąd usłyszeć, jako że statysta jesteś i znasz nauki prawne... Te sobole przysłali na okup krewniacy i zadrugowie Orunczy, zakładnika Ankalów, żądając zwolnienia jego, i jeszcze proszą o proch i muszkiety na wytępienie potworów — niedźwiedzi, co zeszyły z gór i trapią teraz ludność ich, rozpędzają i niszczą im stada renów, napadają na namioty myśliwców, porywają niewiasty i nawet wojownicy... Ale ja myślę, że jest to fałsz, a raczej zasadzka, wybieg wojenny, aby wymamić od nas broń na naszą zacz zgubę, i myśłą zatrzymać po równo sobole i gońców... Co?... Jak myślisz?

Beniowski długo ważył odpowiedź z opuszczoną głową, z oczyma utkwionymi w cudne futerka.

— Czy ci ludzie są poddanymi władzy Waszej Wysokiej Szlachetności?... — spytał wreszcie.

— Tak, podbici są już dawno, ale nie dają inaczej jasaku jak zbrojną ręką, albo za zakładniki. Czy nie puścić więc ledwie dyszącego Orunczy, a zostawić którego z tych wojowników, co przyszli?...

— Niech Wasza Wysoka Szlachetność każe im raz jeszcze wyłożyć wszystkie okoliczności swej prośby, byśmy mogli dokładnie wymiarkować, aza-

li mają myśl ukrytą lub są prostymi i bezradnymi dzikusami.

Niłow kazał porucznikowi Norinowi wprowadzić wojowników oraz kozaka tłumacza.

Weszli, wnosząc ze sobą zapach skór reniferowych, woń dymu i skrzepłej krwi, właściwą kozownikom-myśliwcom. Na rozkaz tłumacza zdjęli czapki, ale nie kłaniali się nisko do kolan, jak to mieli zwyczaj czynić krajowcy podmiejscy. Beniowski lubował się w cichości ich dumną postawą i hardym spojrzeniem.

— Jesteśmy spod przełęczy gór, od Malki, spod Sukacza i Ganali. Stało się nieszczęście. Na jesieni zapaliły się lasy od góry ognistej i pożar wypędził moc niedźwiedzi z zimowych barłozyn na doliny, gdzie pasiemy reny zimową porą. Osiadły bestie nad rzeczkami i jeziorami, gdzie łowimy ryby. Z początku radzi byliśmy obfitej zdobyczy z polowania na nie. Więcej niż czterdziestu zakłuła oszczepami, zastrzeliła z łuków młodzież nasza, drugie tyle pojmano w doły i potrzaski. Ale zostały najgorsze, w których sam duch Księcia Lasów zamieszkał. Ani wyjść z jurty, ani oddalić się na krok od ogniska... Zjawiają się, jak cień, wyrastają z ciemności, jak duch Złego, w swych lodowatych pancerzach, po których ślizga się bezsilny oszczep, niby tępą trzcina... Nocami skaczą na namioty, obalają je na śpiących i wyciągają pojmanych ludzi spod skór, jako ryby z sieci... Są niektóre rodziny całkiem wyżarte, są inne wyżarte do połowy, ale nie ma już żadnej bez uszczerbku... Próbowaliśmy odkoczować z tych miejsc — poszły za nami, gdyż wśród śniegów nie mają innego pożywienia prócz nas i stad naszych... Wychodziliśmy całym ludem przeciw nim... Lecz strzały najtęższych łuczników odskakują od nich, jak od opoki. Daj nam więc, Wielki Taję broń ogni-

sta, abyśmy się mogli zratować od zguby, i wypuść Orunczę, który jeden spośród nas umie nią władać...

Tym razem pochyłili się nisko do stóp Niłowa i rzucili mu pod nogi nowy pęk drogich, czarnoburych lisów oraz srebrzystych kastorów. Niłow futra nogą nadeptał i spojrzał wyczekująco na Beniowskiego.

— Miłościwy Panie! — rzekł ten po ponownym namyśle. — Ci ludzie zdają się mówić prawdę. Słyszałem w drodze opowiadanie sybirskich myśliwców, że spłoszone z zimowych legowisk na jesieni niedźwiedzie, nie mogąc zbudować sobie drugiej nory, nie kładą się spać już wcale, lecz, dręczone wściekłością i głodem, błądzą po okolicach, ciągną do ludzi, a kąpiąc się po rzekach, które w bród przechodzą, załamując się na jeziorowych lodach, których nie znają, tarzając się następnie mokre w śniegu, obrastają lodową skorupą, nie do przebicia grubą i śliską, niedostępną nie tylko dla słabego oszczepu, lecz nawet dla kuli... Takie niedźwiedzie zwą tam „szatunami” czyli bezsensnymi włóczęgami... Są one postrachem gmin, wsi, osad nieraz przez zimę całą...

— Widzisz, więc nawet by im się broń nasza na nic nie przydała. Zresztą mowy o tym być nie może, żeby im dawać muszkiety i proch... Zabroniono to surowym ukazem... Co najwyżej, powiedz im, że mogą... tu przyjść pod miasto, przykoczować tutaj ze swymi stadami! — zwrócił się Niłow do tłumacza.

Ten powtórzył odpowiedź; wojownicy zamienili ze sobą kilka gardłowych dźwięków.

— Cóż oni mówią?

— Nic nie mówią. To między sobą po „alacku”. Tego ja nie rozumiem!

Wtem jeden z wojowników znowu pokłonił się nisko.

— Dziękujemy ci, Wielki Tajū, za łaskę twoją, ale *one* przyjdą za nami...

— To prawda, Wasza Wysoka Szlachetność — wtrącił Norin. — Niedźwiedzie przyjdą za nimi!...

Niłow zamyslił się.

— Łaskawy panie, jest środek i bardzo prosty! — rzekł nagle Beniowski. — Puść nieszczęśnika Orunczę, który, słyszałem, krwią już pluje i zemrze pewnie niedługo, ale broni nie dawaj. Natomiast każ kapitanowi Sybajewowi zebrać na ochotnika partię strzelców w mieście, zaopatrzyć ich we wszystko ze składów rządowych i poślij, aby ubili te straszysła...

— Ha!? Co!? Co ty bajesz!?

— W ten sposób zaskarbisz sobie wieczną wdzięczność dzikusów — ciągnął dalej Beniowski — wrzisz im w pamięć pojęcie niezwalczonej swojej potęgi, że na przyszłość będą ci nosić jasak bez zakładników i słuchać twoich rozkazów bez przymusu, czego zapewne nie omieszka ocenić w dobroci swej Imperatorowa, skoro jej to odpowiednim raportem, załączonym przy sobolach, opiszysz...

Niłow wstał.

— Sam pojedę! — rzekł stanowczo. — Sam pojedę!...

— O, to będzie zbyt wiele honoru... na jakies tam niedźwiedzie! To może źle przedstawić władzę Waszą, Panie, w oczach tubylców.

— Ale dlaczegóż podajesz Sybajewa?... Sybajew pijak i awanturnik!

— Właśnie dlatego! Przeznaczono rządcom przezornym wady poddanych zużywać, jako i enoty innych! — dowodził wnikliwym głosem Beniowski.

Nilów po krótkim wahaniu zgodził się na wszystko; posłał po sekretarza oraz komendanta, a wojownikom koriackim kazał przyjść po ostateczną odpowiedź po obiedzie.

Beniowski pchnął natychmiast niewolnika z listem do Chruszczowa, rozkazując, aby wszyscy spiskowcy, z wyjątkiem jego, Chruszczowa, Kuźniecowa, diakona Protopopowa i Bielskiego, zgłosili się na ochotnika do oddziału Sybajewa, skoro pobór zostanie ogłoszony, oraz żeby Sybajew ich przyjął a również zapisał na listę i jego, Beniowskiego.

Sam Beniowski tymczasem opuścił pełną ruchu i rozmów kancelarię forteczną i udał się do domu naczelnika.

Zastał w stołowym pokoju Nastazję samą. Była chmurna i blada i powitała go ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Gdy chciał jej opowiedzieć, co przed chwilą w kancelarii zaszło, poszła, nie słuchając, ku drzwiom i powiedziała, że zaraz dzieci zawoła. Nie zadługo zjawiała się z nimi i pani Nilówowa.

— Co też to pan z nami wyrabia? Nie widać pana dwa dni!... Mąż się gniewa, dzieci chodzą jak strute, ja sama miejsca sobie znaleźć nie mogę. Już przyzwyczailiśmy się do pana, niech pan o tym pamięta!...

— Psuje mię pani!... A jestem jako człowiek istotą ułomną i gotówem uwierzyć... — bronił się. — Słyszała pani o tych straszydłach, co nawiedziły lud Koriaków z gór Ganali...

Malowniczo opowiedział przyjęcie wojowników przez naczelnika, ich prośbę, ich biedę.

Znowu, jak gwiazdy, zabłyszczały śliczne oczy panny Nilówówny.

— Kto pojedzie? Nikt nie pojedzie!... Nie znaj-

dą pewnie takich wariatów! — twierdziła naczelnikowa.

Beniowskiemu rwało się na usta przyznanie, ale w porę się spostrzegł i odrzekł jeno tajemniczo:

— Kto wie! Są jeszcze na świecie... dziwacy!

Lekcja upłynęła w zwykłym ożywieniu i na wychodnym Nastazja, ściskając rękę nauczyciela, szeptała prosząco:

— Nie zapominaj pan! Nawet gdy się spóźniasz, czekamy cię już z niepokojem... Czasu tak mało, a ja chcę, ja muszę wszystko to umieć, co uważa pan, że umieć... należy! Wszystko!...

Przebiegł pośpiesznie Beniowski dziedziniec, gdyż zauważył ruch szczególny przed bramą oraz tłum ludzi i domyślił się, że idą oswobadzać Orunczę.

Istotnie wyszedł z kancelarii naczelnik, wyszedł sekretarz ze zwiłkiem papierów w rękę, wyszedł komendant; przed nimi porucznik Norin prowadził mały oddział żołnierzy. Gdy stanęli przed nieszczęsną budą zakładników, żołnierze zrobili front, po czym paru kozaków i klucznik więzienny zaczęli otwierać ciężkie, przyschłe, przymarzłe zawory klatki. Straszne kudłate cienie niewolników przypadły twarzami do dyli więzienia. Oruncza dostrzegł swoich i wydał dzikie, przejmujące wycie. Zakołysały się na chwilę postacie wojowników, lecz po chwili znowu zamarły nieruchomo obok swoich sań i renów.

W otwartym niziuchnym przejściu pojawił się, pełznąc na czworakach, groźny niegdyś wojownik, Oruncza, wyjrzał, znów się schował i znowu wyjrzał z jakimś bolesnym uśmiechem. Aż go kozak porwał za ramię i wyciągnął przemocą na śnieg; wtedy wyprostował się i zawył znowu dziko obłąkanym głosem, a usłyszawszy za sobą trzask nie-

spodzianie zawieranych wrzeczadźków, odskoczył naprzód, lyknął głęboko powietrza i zatoczył się, jak pijany. Podchwycili go pod ramiona rodacy. Beniowski widział, jak drżą ręce wojowników, naciągając na nieszczęśnika futrzaną odzież, niektórym biegly łyzy po miedzianych twarzach. Gdy narreszcie posadzili uwolnionego na saniach, obrócili się ku stojącej przed tłumem starszyźnie i złożyli jej ukłon, przykładając dłonie do czoł i piersi, a jeden, najmłodszy, skoczył ku niej i, wyszukawszy w szeregu Beniowskiego, rzucił się przed nim na kolana, padł na twarz i stopę wygnańca postawił pokornie na swej głowie.

— Mylisz się, mylisz... Idź do naczelnika, to on!... on tam!... — bronił się ten.

Lecz dziki zerwał się, raz jeszcze przyłożył dłonie do czoła i kilkoma skokami dopędził odjeżdżających towarzyszy.

— To syn Orunczy... — szeptali kozacy. — Wojownik!...

— Zawczasu was honorują, jakbyście już im te bestie pobili... — szydził po drodze sekretarz.

— Zwykła omyłka. Byłem bliżej, więc mnie ułapił zamiast naczelnika. Pewnie nie rozróżniają nas, jak i my ich — bronił się Beniowski.

— Zresztą słusznie się wam należy, Auguście Samuelowiczu, gdyż wasza to myśl — wstawił łaskawie Niłow.

— A teraz jedziemy do mnie. Zjemy obiad, a potem zaraz przyjdą kupcowie!... Może i pan naczelnik będzie łaskaw oglądać te nasze boje!?

— Może, może!... Zobaczymy!

Noc całą do świtu grał Beniowski z kupcami, rozegrał siedem partii, z których pięć wygrał, a dwie tylko im oddał. Wygrał dwa tysiące rubli oraz moc kunich, bobrowych i lisich skórek.

Bawił niezmiernie obecnego przy tych turnie-

jach naczelnika hazard grających.

Spólnicy podzielili się sumiennie i oddali niezwłocznie część należną Beniowskiemu w pieniądzach.

Gdy wracał do domu o brzasku, był śmiertelnie znużony, a musiał jeszcze opowiedzieć wszystko Chruszczowowi. Toteż, gdy nareszcie padł na posłanie, przygotowane mu przez pocztową Alajdę w łóżnicy Chruszczowa i gdy zasunęła się nad nim gruba irchowa zasłona, gasząc dzień, wkradający się do izby przez okna, usnął snem nagłym i ciężkim jak śmierć.

XII.

— Matko, niepotrzebnie czekamy: tatuś powiedział, że on ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze nie przyjdzie, że on wyjechał!... — zawołała Nastazja, wpadając do kuchni, gdzie pani Niłowowa zajęta była wielce poważną naradą z kucharką.

— Kto?... Co?... Kiedy?... Nic nie rozumiem!..., Kto wyjechał!...

— Ależ pan Beniowski, mamuchno, pan Beniowski... Wyjechał z kapitanem Sybajewym na te okropne ludożercze niedźwiedzie!... — ciągnęła dziewczyna głosem zmienionym.

Matka spojrzała na jej twarz pobladłą, na rozedrgane usta, spoważniała nagle i postąpiła krok ku niej.

— Co ci jest?... Powiedz!

— Nie wiem. Lekcji nie będzie! — szepnęła cichutko i łzy, jak groch, popłynęły z jej szeroko otwartych oczu.

— Bój się Boga, dziewczyno, wielka rzecz!

Szczęśliwie przeżyłaś bez nauki, tyle lat, a teraz dnia wytrzymać nie możesz...

— Nie mogę, matusiu, nie mogę! Co było dawniej, nie wróci, nie wróci... A on może zginać... Mamusia słyszała, co opowiadają o tych bestiach, ilu to one ludzi pożarły...

— Nie nie słyszałam!... Po prawdzie nie pojmuję, po co on tam pojechał? Zabić niedźwiedzia każdy chłop potrafi, nie potrzeba do tego ani jego gładkości, ani uczoności... I któż mu pozwolił jechać? Przecie zaniedbuje przez to swoje obowiązki...

— Tatuś mu pozwolił.

Pani Niłowowa wytarła zmoczone przy kucharzowaniu ręce, odpasała zapaskę i ruszyła energicznie ku drzwiom.

Nastka poszła za matką, a w sionce przyłączyły się do nich młodsze dziewczynki i rozswawolony Grześ.

Weszli tak gromadką do świetlicy, gdzie naczelnik wedle zwyczaju siedział wygodnie na stołku, a przed nim na stole stała błękitna karafeczka z gorzałką i cynowy talerz z kawałkami wędzonej brunatnej ryby.

Zwrócił ku nim pytająco nos, kwitnący jak róża.

— Cóż to, mój Jaśku?... Czy to prawda, że puściłeś Beniowskiego na polowanie?

— Puściłem. A bo co?...

— Znowu kilka dni straconych! Co z nauki, która rwie się, jak paździorzysta nieć?... I bez tego mitręga z budową tej szkoły, nie wiedzieć co?... Grześ, który zaczął wzwyczajać się i wciągać do zajęć, znowu się rozwydrzy... Już nie tylko siostry szczypie chłopaczysko, ale i kucharka skarżyła się, że ją napastuje i gdzie nie należy tyka...

— Cóżem ja winien? Każę chłopcu skórę wy-

łoić i tyle... A o szkołę to ty przecie pierwsza prosiłaś...

— Prosiłam, bo myślałam, że porządek będzie, a tu im dalej, tym gorzej... Teraz znowu pozwoliłeś mu jechać... A czy to jego rzecz borykać się z bestiami? Czy na to potrzebować może cudzoziemskie języki albo znajomość nawigacji?... Oszczepem zgać byle parobas potrafi... A co będzie, jeżeli zginie? Kto chłopca nam do korpusu przysposobi, albo kto ci zrobi plan morskich brzegów, wymagany w stolicy? Czy pomyślałeś o tym? Już i tak spóźniłeś z ich wysłaniem. Kiedyż to wszystko będzie!?

— Kiedy będę chciał, to będzie!... Musi być!... Głowy mi nie susz, wiem, co robię... On mi plemię Ankalów bez wojny w poddaństwo skłoni... Ho, ho!... Mądrała on!... Nadzwyczajny człowiek! Widziałem, że dzikusy go od razu za boga uznali, jego nogę na swych karkach stawiali... Słyszana rzecz! Ankalowie!... Białego człowieka! Nie głupim trać takiej okazji! Za taką sprawę, to nie tylko gubernatorstwo Ochockie, ale nawet Irkuckie mogą mi dać... Słuchaj, nie babska rzecz w takie interesa się mieszać, to rzecz polityczna! Nie wasza na to potrzebna głowa!... Wracaj, mówię ci, do kuchni...

— Nie moja rzecz, że z naszego chłopaka obol-tus wyrasta, że dziewczyna starsza tyle ma wykształcenia, co pomywaczka!?! Zanim ty za sprawą tego przybłędy zostaniesz gubernatorem, wszyscy my tu zmarniejemy, a Nastka rutę siać do końca życia będzie, bo kto ją taką weźmie? — Kto ją weźmie? A każdy ją weźmie z pocałowaniem ręki... Choćby sekretarz...

— Bój się Boga!... Mówił ci?

— A mówił... Niewyraźnie, ale napomykał.

— I cóżeś mu powiedział?... Przecież on ma tę...

Idźcie, dzieci, idźcie!... Idźcie zaraz do siebie! Słyszycie? — obruszyła się na skupioną przy drzwiach gromadkę.

Spojrzenie jej skrzyżowało się z błagalnym i przerażonym spojrzeniem córki, więc tupnęła gniewnie, aż zatrzęsała się podłoga.

— Słyszeliście?... Wynoście się natychmiast... Hej, Mironowna, zabierz ich! — zawołała na niańkę.

Ciemna, mnisza postać staruszki w ciemnej chusteczce na głowie zjawiała się we drzwiach i, otoczywszy łagodnie ramieniem kibić osłupiałej Nastazji, uprowadziła ją, popędzając przodem młodsze dzieci.

— Czy ty wiesz, nianiu, czy ty wiesz!? — zaszeptwała przejmującym głosem dziewczyna, gdy została sama w swej dziewiczej sypialni ze służą.

Staruszka usiadła ciężko na zydlu.

— Nie nie wiem, dziecino, nie nie wiem! Pewnie znowu rodzic was pokrzywdził?... Ale krzywda od ojców lepsza, niż pieszczota od obcych... Nie ma w niej ani hańby, ani poniewierki, jeno sam czysty, zbawienny ból... Więc łatwa pociecha, dziecino, łatwa!... Daj, wytrę ci wodą pachnącą miejsce bolące, albo wysmaruję nastojem z mirry! Chcesz?... Co?

Ale dziewczyna stała przed nią nieruchomo, z opuszczonymi, załamanyimi rękoma i wpatrywała się suchymi oczyma w mikowe, osędziałe od szronu, ślepe, taflą lodu od zewnątrz przykryte okno.

— Nie — zabiję się raczej!... Czy ty wiesz, czy ty wiesz? Przed chwilą słyszałam, że chcą mnie wydać za tego... za tego Nowosiłowa, za ten wór obrzydliwości! Nie chcę go, nie znoszę go, lepiej śmierć!

— Nie grzesz, nie wygaduj!... Może jeszcze nieprawda!... Kto ci to powiedział!...

— Ojciec...

— No, to jeszcze daleko do tego... Znasz przecie Iwana Piotrowicza... W popędliwości wszystko powiedzieć może, a jak ochłonie, zaraz zdanie odmieni... Siadaj, dzieciно, siadaj, wszystko w ciichości rozważymy. Co powiedział?...

— Wiele nie powiedział, ale ja, nianiu czuję, odgaduję że ku temu idzie... Dlaczego? Sama nie wiem ale... tak jest... Ile razy... się z nim, z tym obrzydliwcem, spotkam, lęk mnie ogarnia i taka do głębi duszy przejmuję odraza. Parę razy pojmiałam na sobie jego dziwne spojrzenie. Knują oni tam coś po cichu przeciwko mnie... Nianiu, nianiu, co będzie, co będzie!?

Uklękła u nóg starej sługi i twarz drgającą ukryła na jej kolanach.

— Nie znowu takiego nie będzie, dzieciно moja!... — mówiła staruszka, gładząc rozpuszczone włosy dziewczyny. — Ubiorą cię w suknię śliczną, białą, srebrem przetykaną, na głowę ci włożą, jak królownie, złotą koronę, obują ci nóżki w maluchne trzewiczki, na wysokiej piersi zawieszą perły, korale, opaszą kibić pasem z drogich kamieni, zasłoną oczki welonem, jak mgła... Będiesz szła, niby święta z obrazka, przez cerkiew od światel rżęsiłą ku gorejącemu, jak słońce, ołtarzowi... Wszyscy ci się kłaniać będą do ziemi, a przy aniołu czekać będzie pop w szczerozłotym ornacie... Huknie chór, aż szyby zadrzą...

— A obok mnie będzie szła ta ropucha, potem skoczy na mnie, będzie mię chciała całować... Ach, nianiu, nianiu, przenigdy!

— Cóż zrobić, dzieciно, taki nasz los!... Chłop, byle był nie brzydszy od diabła, już ujdzie!... Sergiusz Mikołajewicz nie jest znowu najgorszy!... Soczysty jest mężczyzna, dorodny, w samej sile... Druga w mieście po Iwanie Piotrowiezu osoba,

nie stary jeszcze, droga przed nim otwarta, może i gubernatorem zostać! I pieniądze ma, i pensję, i wysługi znaczne. Pan całą gębą... Ważny człowiek rządowy, urzędnik, cześć godny naczelnik... Wszyscy mu się kłaniają, gdy idzie, miejsce mu czynią... Sama pomyśl: kto mu tutaj dorówna? Przecie nie Norin? Ani Sudejkin, ani pijaczyna i awanturnik Sybajew! Wszystko to hołota, tyle ma, co gdzie wygra, urwie, albo pożyczyci! Za kogoż tu pójdziesz, dziewucho, któż tu godzien ciebie, kto ci dom odpowiedni założy, gniazdko uściele, co? Bo za kupca, za wyźmigrosza tobie, szlachciance, urzędnicze wyjść nie wypada i ojciec cię nie wyda!

— A pamiętasz, jakieś mi opowiadała, że przyjedzie młody, śliczny... królewicz!?

— To w bajce, dziecińco, w bajce!... A w życiu bywa całkiem inaczej. Czyż nie widzisz? Rodzicom zostaw sąd o tym, co ci trzeba. Oni o twoje szczęście najmądrzej się troszczą. Co ty wiesz i skąd wiedzieć możesz, co ci potrzebne!? Co z urody? Dziś jest, jutro jej nie ma! A młody często gorszy, niż stary: wietrznik, zdradliwy, zadomownik! Mąż starszy cichszy jest i zgodniejszy... Wyszumiał się, ustatkował... Nawet zdrowiej dla kobiety, bo się taki z młodą żoną obchodzić umie. Że on hulał, to nie, to śladu na mężczyźnie nie zostawia. On, jak my, białogłowy, wianka nie traci, stąd on zawsze ten sam i stąd hańba na niego nie spada. Tak już zrządził Bóg i poddać się musimy Jego najświętszym wyrokom. Uczynił On nas z żebra Adamowego, poddał woli mężczyzny: rzucisz ojca, matkę i ognisko twoje rodzinne i przylepisz się do boku męża twego, powiedziano jest!... — rzucała z przekonaniem stara.

Ale Nastazja wciąż potrzasała przecząco głową, nie podnosząc twarzy z jej kolan.

— Że on ma tę... Aglaję, na to nie zważaj! Wypędzi on ją, jeno oczkiem mrugniesz, wygoni ją na cztery wiatry... Wierzaj mi!... Kto ci krasą dorówna, gołąbko moja, sinoskrzydła turkawko! Kto się zmierzyć z tobą może!?!...

— Niech ją trzyma sobie! Nie chcę, nie chcę go!... Obrzydła ropucha, umrę, gdy mnie pocałuje!... Myślałam, nianiu, że choć ty mię pocałujesz, poratujesz, poradzisz, a widzę, żeś i ty z nimi z nimi za jedno, gotowaś mię zaprzedać!...

— Co ty, co ty mówisz, dziecko moje!?! — szepotała w przerażeniu Mironowna, podnosząc w górę dłonie.

— Nic z tego, nie!... Choćby świat cały!... — krzyknęła dziewczyna, zrywając się na nogi.

Niańka również wstała i robiła Nastazji znaki ręką i oczyma.

— Nie, choćby świat cały się sprzysiągł!... — powtarzała ta ze wzburzeniem.

— Cóż to takiego? — rozległ się z tyłu głos matki, która od dłuższego już czasu stała na progu.

Dziewczyna obróciła się i skamieniała, lecz nie trwało to długo, wkrótce potrząsnęła głową i powtórzyła z ojcowską zaciętością:

— Nie chcę!... I nie mnie nie zmusi, nie!

— Nie ma o czym gadać! Jeszcze nie nie wiadomo, nikt nie nie powiedział, a ty już dęba stajesz!... Będzie tak, jak starsi postanowią! Wybij sobie z głowy, żebyś ty miała tu rządzić! Bierz krosienka i siadaj do roboty!... A proszę mi ze swego pokoju nie wychodzić, dopóki nie uspokoisz się i nie upokorzysz... Już ja widzę, o co ci chodzi!... — dodała przewlekłe, wodząc złymi oczyma po figurze córki. — Na wylot cię widzę, dziewczyno, ale nie z tego!

Kiwnęła na Mironownę, wyszły razem i drzwi za sobą przywarły.

Dziewczyna usiadła na tym samym zydlu, na którym przed chwilą siedziała niańka, i zakryła twarz dłońmi.

Cicho było w teremie, cicho, jak w więzieniu.

Grube kłoce modrzewiowych ścian, okna przykryte taflami lodu nie dopuszczały dźwięków z zewnątrz, a z głębi domu dolatywały jedynie brzęki naczyń, przesuwanych w kuchni, podobne do szczęku łańcuchów.

Długo przesiedziała Nastazja bez ruchu, a gdy wreszcie podniosła bladą twarz, rysy jej miały twardość marmuru, a małe usta zacisnęły się w ledwie widoczną linię różową. Przede wszystkim odszukała długi nóż myśliwski, ojcowski, w róg oprawny i schowała go głęboko pod pościel. Następnie przysunęła pod okno krosienka; króbkę z jedwabiem, ze srebrnymi, ze złotymi nićmi postawiła u nóg i zaczęła dzierzgać.

Niańka przyniosła jej obiad w misie cynowej i dzban kwasu; postawiła je na stole, sama postąpiła chwilkę obok, powzdychała i odeszła, widząc, że dziewczyna nie raczy nawet na nią spojrzeć.

Wieczorem przekradły się do niej siostrzyczki.

— Tatusz wcale się nie gniewa. Pytał, czy bardzo jesteś chora, a mamusia powiedziała, że nie bardzo, żeś się tylko przeziębila.

— A nie więcej nie mówili?

— Nie... Tatusz był niewesoły i mamusia też, a Grzesz zaraz z tego skorzystał i zjadł pół pieroga, troszkę tylko nam zostawił!

— Powiedźcie Grzesiowi, żeby przyszedł do mnie, że mu dam srebrnego rubla, co go dostałam od ojca na urodziny!

— Żeby zaraz przyszedł, co? Kiedy go nie ma, siedzi na odwachu z kozakami, gra w kości...

— Niech więc przyjdzie jutro. A wy, jak tylko co nowego usłyszycie, zaraz przybiegnijcie!... Tak nudno!... Czy nie słyszałyście nic o naszym nauczycielu?...

— A jakże, słyszałyśmy: sama przecie mówiłaś, że pojechał bić się ze smokami, z lodowatymi potworami, co ludzi zjadały... Czy one tutaj mogłyby przyjść, jak myślisz, Nastka?

— Po co miałyby przychodzić?... Bez nich dość tutaj potworów!

— Co ty gadasz, Nastka, nigdyśmy nie widziały potwora!... Gdzie jest!?!... To ciekawe!

— Poczekajcie, siostrzyczki, poczekajcie!... Jak dorośnięcie, to zobaczycie. Idźcie już, idźcie, bo matka może nadejść, a nie zapomniacie sprowadzić mi Grzesia!

XIII.

— Gdzież ten rubel?... — spytał przede wszystkim Grześ, wchodząc nazajutrz rano do siostry.

— Zaraz ci go dam, ale mi przysięgnij, że jak tylko co się stanie w miasteczku, jak tylko dowiesz się co nowego, przybieżysz bez zwłoki, że powiesz mi!

— Zgoda, przybiegnę bez zwłoki i powiem... Ale i ty mi powiedz, o co pokłóciłaś się z matką?...

Chmura przepłynęła po twarzy dziewczyny.

— Nie wiem!... Nic ważnego!... — zająknęła się.

— A ja wiem, a ja już wiem, ale nie powiem!...

— Co ty wiesz?... Nie ty wiedzieć nie możesz!...

— przeczyła Nastazja coraz mocniej zmieszana.

— A wiem, wiem ale nie powiem... — drażnił się z nią wyrostek. — Chyba, że dodasz aldyna!

— Wstydzilibyś się!... Powiedz, skąd wiesz!?

— A wiem, bo mam... liścik.

— Liścik do mnie?... co ty mówisz? Na Boga! Od kogo?... Dawaj go zaraz!

— Od pięknego królewicza... Przyniósł go niewolnik Beniowskiego, o co tam napisane, ho, ho! Prosił, żeby go oddać do własnych rąk...

— Co ty mówisz?... Więc daj!... Dawaj zaraz! Chłopiec zmrużył oko i wyciągnął rękę.

— Nóżki na stół! — rzekł grubym głosem starego gracza.

Nastazja drżącymi rękami odszukała w swej sakiewce drobną monetę srebrną i położyła ją na dłoni brata. Ten pieniądz obejrzał, spróbował na zębie, nie śpiesząc się schował do kalety za skórzanym pasem.

— Nałgałem ci od początku do końca, Nastka... Nie mam żadnego liściku, ale będę miał, upewniam cię! — rzekł spokojnie, wykręcił się na pięcie, gwizdnął i skierował się ku drzwiom. Na progu wszakże spotkał się z Mironowną, która wpadła nań z furją, wyrzucając mu, że złamał zakaz matki.

— Zadużyś już, żeby po niewieściach teremach chadzać! A nos będziesz miał niedługo taki czerwony, jak rodzic!... Ale co wolno popu, to nie diaczkowi... Za wcześnie, jagódko, za wcześnie! Wysoko latasz, nie wiadomo, gdzie siądziesz!...

— Zaraz się mamie poskarżę, żeś taka nieprzyzwoita!... Gdzie siąde?... Jak siąde?... Wiadomo, jak siąde!... Jeżeli zaś chcesz, żebym ci, stara, to słowami opisał, daj aldyna, a zobaczysz, jak ci odmaluję! — śmiał się chłopak.

— Och, zbereźnik! Wynos się, pókiś cały!... Ograbił cię, przyznaj się, gołąbko? — zwróciła się ze współczuciem do Nastki, spoglądając na jej otwarty woreczek. — Może siądziesz, duszko, tu koło mnie, widzę, że ci serduszko już zmiękło, mo-

że pogadamy... Nie jest tak źle, jak ci się zdaje...

— Nie zdaje mi się, ale wiem na pewno, że za tę ropuchę nie pójdę!

— Kiedy, widzisz, nie o to wcale chodzi!... Może za niego, może za innego... Matka ino znajduje i pan ojciec też, że czas ci za męża. Co w tym złego? Więc wyznaj mi, kogo byś z kawalerów wolała, może ja ze swej strony po cichu im podpowiem, podsunę...

Nastka stała chwilę z opuszczoną głową, wreszcie objęła za ramiona starą, posadziła ją po dawnemu na zydlu i, opuściwszy się obok na ziemię, podniosła ku niej oczy promienne.

— Widzisz, nianiu, ja chciałabym... królewicza. I tu jest taki... podobny, ale on... daleki, daleki... niedostępny! Ach, nianiu, nianiu, zawsze byłeś dla mnie dobra... Dlaczego więc opuściłaś mnie teraz, teraz, kiedy serce tak wciąż bije niespokojnie, gdy co chwila coś się dzieje, czego nigdy przedtem przewidzieć nie podobna było, a od czego dusza zamiera!... Nianiu, nianiu, bądź jak dawniej, kiedy ci wszystko mogłam powiedzieć, boś wszystko dla mnie obracała na dobre... Uspokój serce moje, nianiu, kochana, niech go jak dawniej nie czuję!

Staruszka wytarła nieznacznie łzę.

— Nie uspokoję ja serca twego, dziecińmo moja, nie uspokoję... Już ono będzie tak się bić, trzepotać aż do mogiły, do grobowej twej deski... Z początku o królewicza... o męża, a potem o pisklętą... o dzieci. Taki nasz niewieści los!... Im więcej kochać będziesz, tym mocniej będzie się ono kołatać... Dlatego pogódź się, dziecińmo, z wyborem rodziców... Weź tego, kogo mniej kochasz!

Zerwała się z kolan Nastka.

— Znowu!... Nie chcę o tym słyszeć! Idź sobie precz, idź precz, Mironowna, tyś inna, ktoś cię jakim czarem odmienił...

— Ach, w przekłętą godzinę zjawił się u nas ten włóczęga!... Czuje me serce, że zgubę on nam niesie... Wszystko przez niego! On pouczył cię tych myśli! Niepotrzebna nauka kobietom!

— Milcz, milcz, Mironowna, milcz! Idź już! — przerwała jej gwałtownie Nastazja. — Proś matki, żeby mię puściła z tobą do sklepu Kazarinowa kupić jedwabiu i paciorków, bo mi zabrakło.

Spojrzała nieznacznie Mironowna na pełną nici króbkę, westchnęła i wyszła, suwając ciężko nogami w grubych wołokowych pimach.

Słońce uderzyło w okno, przebiło jego lodową powłokę i legło tęczową chmurką na zwieszanej z kolan białej ręce dziewczyny, zaskrzyło się w ostrzu igły w jej palcach, w złocie, w kamykach pierścionków. Długo nie ruszała się, nie podnosiła opuszczonej głowy Nastazja, powolnym ruchem kołysały kształtne jej piersi gronostajową opuszkę błękitnego kubraczka. Siliła się za wszelką cenę chyżo płynące myśli zatrzymać, w jedną jasną całość je skupić, wykuć z nich twardy oręż do swej obrony, znaleźć w nich mocne oparcie... Azali ma stąd odejść bez oporu do tego obrzydliwego człowieka! Rzucić wszystko, do czego przywykła, zmienić swój obyczaj, ojca i matkę widywać jak gości i sama gościem tu bywać a stanąć najbliżej, tak zupełnie, zupełnie blisko, tego wielkiego, niezgrabnego cielska, tej duszy mrocznej, obcej, niewiomej... podobno okrutnej... obrzydliwej...

— Będę z nim sama w pustym domu, będzie ze mną mógł robić, co mu się spodoba!... Nie ścierpiałabym!... Nie!... Może mię wywiezie stąd daleko, na inny pojedzie urząd... Wtedy zostanę sama, zupełnie sama, tylko z nim! Och, pojechałabym stąd, chętnie prawda, ale daleko, w kraje inne... Ach, gdyby wyjechali rodzice, gdyby ich przeniesiono gdzieś do stolicy... Ale nie ma na-

dziei!... Mały jeszcze urząd ma ojciec, długo jeszcze musi się wysługiwać zanim stołecznych dosięgnie stanowisk! Jak pomóc, poradzić co zrobić?!... Jakby nas stąd przeniesiono, wtedy by się wszystko zmieniło... Trzeba się nauczyciela poradzić, jak to zrobić? Przy nim myśli układają się tak potoczysto, tak mądrze i odwaga jakaś w serce wstępuje! Jakbyśmy stąd wyjechali, to i jego byśmy wziąć z sobą mogli... Na to ojciec dość ma władzy... Trzeba mu to powiedzieć... Kiedyż on wróci? Jakże wolno godziny płyną! Ten Grześ wciąż tylko kłamie... Niczego się dowiedzieć nie sposób!

Weszła matka, obrzuciła ją podejrzliwym spojrzeniem, dostrzegła króbkę pełną jedwabiu.

— Czegóż to ci brak?... Mironowna mówiła, że się prosisz do Kazarinowa!

— Tak, mamusiu, brak mi nitek tego odcienia!... — kłamała, pokazując kwiateczek na hafcie.

— Mironowna może iść sama. Doskonale ci wszystko załatwi. Ciebie nie puszcę. Skończyło się. Musisz, dziewczyno, zrozumieć, że według naszej woli postępować powinnaś. Nie pozwolę ci zmarnieć, uschnąć w panieństwie... Nie na tom cię chowała...

— Mamo, mamo, ty ich znasz!... Ty sama nieraz na nich wygadywałaś!

— Zapewne, ale cóż począć!? Skąd wziąć innych?... Zresztą znasz ojca, nie powiedziałam mu nawet, żeś mi taką zrobiła awanturę, bo by cię za byle kogo wydał, przez kozaków kazał do ołtarza wlec... Powiedziałam mu, żeś chora i dlatego siedzieć musisz...

— A czy lekcje będę mogła brać?

Krew zalała pełne policzki Niłowowej. Odwróciła oczy od córki.

— Nie wiem, nie wiem!... — odrzekła z gniewem.

nym wahaniem. — Po co ci taka wielka nauka!?!...

— Jak to?!... Już zmieniłaś myśli, matko... przedtem mówiłaś, że to bardzo potrzebne, a teraz...

— A teraz myślę co innego; nie potrzebuję здаwać ci, smarkulo, sprawy z moich myśli!... Siedź, słuchaj i rób, co ci każe. Słyszałaś... — podniosła głos i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Twarz Nastazji znowu zastygła na maskę kamienną, znowu usta rozchylone przed chwilą pogodnie, jak płateczki róży, zamknęły się w wąską, bladą i twardą linię. Usiadła i zaczęła machinalnie snować igiełką, a gniewne myśli leciały przed nią burzliwym potokiem, przysłaniając i szyty wzór i cały świat...

— Niech mię zadręczą, zameńczą, z kozakami powloką... Żli są, żli, nie miłowali mię nigdy... Dlaczego nie poczekają, aż stąd wyjedziemy?!... Tu nie ma nikogo, ale gdzieś przecie są ludzie... Sama matka powiada... Niechby już przyjechał ten nauczyciel! Spytam go się... Zobaczymy, czy mi odmówią lekcji... Tutaj by nie mogli mi przeszkodzić... weszłabym, choćby mię bili, wchodziłabym do komnaty, gdzieby on uczył, pod drzwiami bym podsłuchiwała... Ale tam... w szkole... I po co ta szkoła? Przedstawię mu, powiem, jak sprawy stoją, powiem, że żywcem mię chcą grzebać, że dla mnie jedyny ratunek nauka... Może budowę domu powstrzyma... On taki dobry, taki sprawiedliwy... Wszystko mu przedstawię, zrozumie, że w nim jedyna moja nadzieja i ratunek!

I spojrzenie, i oblicze i cała postać młodego mężczyzny, wypłynęły przed nią jak żywe w mętным powietrzu ocienionego pokoju... Patrzała w to miejsce, gdzie wydało się jej, że spostrzegła obraz, szeroko rozwartymi oczyma; obudził ją dopiero trzask gwałtownie otwieranych drzwi. Wpadł Grześ w czapce i futrzanej kuhlance...

—^{*} Nastka, Nastka! nowina, wielka nwina!.... Jak się ino dowiedziałem, zaraz przyleciałem, żebyś nie mówiła, że cię zawsze tylko oszukuję! Dziesięciu zabili niedźwiedzi... Już jadą, wracają. Taję z Apaczi przywiózł wiadomość... Sam widział na własne oczy... Wiozą ich Ankałowie... Sani moc, pełne futer, pełne zdobyczy... A na jednych leży ranny Sybajew... Zwierz go pod siebie podgarnął, Beniowski ku bestii podskoczył, chciał jej w ucho strzelić z pistoletu, lecz niedźwiedź Sybajewa puścił a Beniowskiego pazurami za łeb chwycił... Zginął Beniowski!... Inni pierzchli... Jeden z nich nie oparł się aż w Apaczi... Taję zaraz pchnął do ojca gońca... Jest w kancelarii, gada... Ho, ho! Wysoko nosił głowę Beniowski, ale niedźwiedzie kameczackie nie żartują! Zazarte bestie, o, ho!...

— Zginął Beniowski?... Co ty mówisz?... Nieprawda, Grzesiu, nie może być!... Ty zawsze sobie drwisz, tak strasznie mię dręczysz!... Jakże on mógł zginąć... przecież tutaj... nie... — zaszeptwała dziewczyna, podnosząc się zwolna. Nie zdążyła jednak wiele unieść się z siedzenia, jak upadła bez czucia do nóg brata.

Ten odskoczył przerażony, zgarbił się i chyłkiem wymknął na dwór przez korytarz, mimo kuchni, pełnej kobiecych głosów.

Ale Mironowna usłyszała stuk drzwi wchodowych, wyjrzała, a spostrzegłszy uchylone dzwierzaka do pokoiku Nastazji, co tchu tam pobięła.

Zimno ocuciło dziewczynę, z trudem uniosła przymknięte powieki i rozpoznała przede wszystkim w mętym zmroku pierwszego zbudzenia czyjeś palce tuż blisko swej twarzy, bryzgające jej wodą na lica, poczuła wodę na obnażonej piersi; dalej rozpoznała oblicze matki blade, ale spokojne, a jeszcze dalej w nogach łóżnicy ciemną, kanciąstą twarz kameczadalskiej niewolnicy ze zgasyłymi

z przerażenia oczyma. Mironowna tarmosiła ją za rękaw, zwałózając futrzany kubraczek.

— Puśćcie mnie!... Dajcie mi... usnąć! — szepnęła dziewczyna.

— Zaraz, jeno cię rozdziejem... Będziesz mogła spać, dzieciątko, ile zechcesz! — odpowiedziała Mironowna.

— Co ci się stało? — pytała pani Niłowowa.

Nastka odwróciła do ściany głowę i usta jej zadrgały.

— Potem, Marta Karłowna, potem... Niechby teraz usnęła krzynę... Ale przedtem może się gorącego biteniu napijesz, dzieciątko? — szeptała Mironowna.

Widząc, że dziewczyna się nie rusza i głowy ku nim nie obraca, kobiety otuliły ją starannie „czółdrą” piesakową i oddaliły się na palcach. Ciszsza zaległa komnata.

— Co się stało, co się stało?... — rozmyślała dziewczyna, czując, że ból szalony znowu ją chwytta za serce. — Ach, tak... umarł, nie ma go!... Zwierz szalony zgruchotał mu głowę cudowną, rozszarpał jego piersi... Nie, nie... Nieprawda!... Ten nicpoń zawsze kłamie, dręczy mnie i dokucza... Nie podobna!... Inaczej matki twarz nie byłaby tak spokojna, przecież lubiła go... Niechby już przyszła ta Mironowna... usta mi płoną, gardło wysycha... Mironowna, Mironowna, gdzie jesteś?...

— Idę, idę, dziecino, biteń ci niosę gorący, wyborny, ze starego kurskiego miodu, z bursztynowego lipca, co go chronię w apteczce jak źrenicy oka na nasze słabości niewieście... Pij, duszo moja, gołąbko, pij! Wzmocni cię od razu, wróci ci siły i ducha!

Dziewczyna chciwie przytuliła wyschłe usta do brzegu srebrnej kruży.

— Słuchaj, nianiu — rzekła, zwracając starej

do połowy opróżnione naczynie. — Na miłość Boga, powiedz mi!... Przez rany Chrystusowe... przez łzy Matki Boskiej Bolejącej zaklinam cię!... Czy to prawa, czy to prawda, że on... zabit? Że bestie pożarły nauczyciela mego?...

— To już wiesz?... Domyślałam się... Także to go miłujesz, nieszczęsna... Niegodnego włóczęgę, zbrodzenia?... Na cóż ci to przyszło, szlachcianko zacna, córko carskiego zastępcy władnego, że mdlejesz na wieść o śmierci marnego raba!?

— Milcz, milcz!... On był dobry jak Archanioł, a mądry jak Duch Święty... Był dla mnie jak gwiazda jasna, jak słońce, co rozświetliły mrok... On mi pierwszy powiedział o świecie innym, gdzie ludzie żyją skromni, czułego, sprawiedliwego serca, gdzie nie ma ni rabów, ni panów, ni katów, ni lochów, gdzie dzień jednakowo łśni dla wszystkich z błękitnego nieba nad zielonymi wyspami wśród sinego morza... A teraz wszystko znikło, na zawsze zatoczyło się w przepaść!... Nianiu, ach, nianiu, jakże strasznie, jak ponad wyraz wszelki... serce mię boli, jakże mi w piersiach ono się tłucze, jak przez gardło niby chce wyskoczyć... Jakże cierpię!... Uspokój ty mię, ukój... Daj mi co napić się, abym usnęła albo umarła!... — skomlała cichutko, słaniając się z boku na bok, z rękami na sercu.

— Gołąbeczko moja białoskrzydła, zazulo moja maluchna, ani napoju ci dać nie mogę żadnego, ani bólu serca uciszyć!... Zadał ci czary jakieś ten czarnoksiężnik! Wszystkich on tutaj odurma- nił, prócz mnie starej wygi... Przejrzałam jego grę na wskroś! Napomykałam Marcie Karłownie, napomykałam, że nieprzystojnie dziewczicy szlacheckiej u chłopą, obieżyświata się uczyć... Co innego, gdyby dworską wziąć do niej panią... „Ale jej nie ma”, mówiła mi — a teraz sama żałuje...

— To ona... wie?... — spytała żałośnie Nastazja, opadając na poduszki.

— A wie!... Ale nie bój się, nie nie powie! Lepiej, że się tak stało... Wypłaczesz się, przebolejesz, mędrsza się staniesz...

— Idź już sobie, idź!... — zaszeptała dziewczyna, taczając po puchach boleśnie głowę z boku na bok.

Wyszła Mironowa, cicho stąpając na pilśniowych podeszwach.

Nastazja naciągnęła puszystą czołdrę na głowę, podkuiliła kolana aż pod samą brodę i w tym ukryciu jęła płakać w głos, jak małe dziecko, zanosić się od szlochów rwących wnętrzości. Głos jej jak żałosne wycie pokrzywdzonej wilczycy przebił futro, wydobyl się za ściany łóżnicy, dotarł do kuchni. Niebawem silna ręka zdarła nakrycie z głowy dziewczyny.

— Zmysły straciłaś dziewucho!... Zanośisz się bez pamięci!... Milcz zaraz, bo ojciec usłyszy... I tak mam z tobą wyżej uszu kłopotów... Czego wyjesz?... Czy spał z tobą ten drab?... Czy cię uwiódł?... Gadaż zaraz, jak było!... Bo nie rozumiem, czego tak płaczesz, czego tak wojujesz!?... — syczała pani Niłowowa.

W lot wyschły łzy w oczach Nastazji; wyprostowała się i zacięła usta.

— Masz bachora w brzuchu?... Gadaż!... Dobrze w takim razie, że zginął, bo bym pasy drzeć z niego kazała, przybłędy... Dolo moja, dolo! Na utrapienie swe pozwoiliłam się otumanić gładkim słówkom tego lacha!... Wszyscy oni zdradliwi, jak źmije i syczącym jaszczurczym!... mówią językiem!... Bić! nieć! śnić! Jeżeli cię tknął, bić każe na placu w noworoczny mróz jego ziomeków, tego Bielskiego, Winblatha i nawet sługę jego, przekłętą raba Andrzeja! Popamiętają, co to oczy

podnosić na naczelnikowskie córki...

Nastka śledziła matkę niepostrzeżenie spod opuszczonych powiek; złowrogi blask jej oczu i niewidzialny nigdy przedtem wyraz mściwości na twarzy przybił do reszty zbolące serce dziewczyny, jak lodowaty głaz.

— Skąd?... Co? Dlaczego... ją tak krzywdzą, a gorzej jeszcze jego?... Jakim prawem?...

Chciała zerwać się i ciskać jak matka przekleństwa, grozić i razić boleśnie, trutować i rozbijać... Drżała i wszystko w niej wrzało; rozumiała jednak, że na jej krzyk może zjawić się ojciec, może wreszcie wezwać go rozgniewana matka, a wtedy... Groza ją przejęła, stężała, bez ruchu twarz odwróciła do ściany i usta ścięła, jak cieniutką nitkę.

— Nic, nie nie było! Marto Karłowno! Jak mogło być?... Przecie z niej oczu nie spuszczaaliśmy, dzień i noc strzegłam jej, a w jadalnym zawsze były dzieci — uspakajała Niłowową Mironowna.

— Jak suka chce, zawsze czas i okazję znajdzie! — mruknęła pani Niłowowa, uspokajając się trochę. — Radzę ci, dziewczko, przyjdź do rozumu, przestań głupstwa robić, i upokórz się, jedyne to dla ciebie wyjście. Ojciec nie wie, wszystko obejdzie się kryto-szyto... Nie powiem mu, choćbyś bachora miała, wydamy cię za męża! Ale opamiętaj się!... A teraz wstawaj i odziej się, abyś mogła wyjść do wieczery.... Chodź, Mironowna, chodź, pomożesz mi pieróg do pieca wsadzić!

Nastazja wiodła za nimi oczyma, aż wyszły; potem z nagłą ukłękła na posłaniu, schyliła się, wyciągnęła spod pierznika ukryty tam nóż, opuszczyła z ramienia giezło, przystawiła zimne ostrze do białych piersi, tam, gdzie słabo kołatało się ciężkie, udręczone serce, i pchnęła...

Słaby jęk rozbrzmiał w omroczonej komnacie.

Usłyszała go jednak Mironowna w dalekiej ku-

chni, chyżo pobiegła do panieńskiego pokoju na pilśniowych podszewach, a za nią sunęła poważnie Marta Karłowna, ciężko stawiając grube nogi na skrzypiących deskach podłogi. Poruszyło ją przecie już wśród drogi rozpaczliwe wołanie Mironowny:

— Zabiła się, zabiła!... Ratunku!...

Skoczyła żwawo Marta Karłowna i jak orlica przypadła z rozpostartymi rękoma do okrwawionego ciała córki.

— Żyje!... Łodu, Matko Boska łodu... Na Boga!... Krew utamować, balsamu... — szeptała wystraszona Mironowna.

— Łodu!... Doktora!... Leć zaraz po felczera Lapina?... — rozkazywała pani Niłowowa oniemiałej z trwogi niewolnicy.

Nim felczer nadjechał, Nastazja przyszła do siebie; szczęśliwym trafem nóż oślizgnął się po żebrach, skórę jeno rozorał głęboko.

Rychło ujęto krew, nałożono bandażę i blada jak płateczek, osłabiona dziewczyna legła na wezgłowiu; rozwichrzone czarne jej włosy i płonące oczy zdawały się jeszcze czarniejsze, jeszcze ognistsze wśród powszechnej białości pośłania.

Niedługo przyszedł naczelnik, którego wzywano do kancelarii, i pytał co by znaczył ten rejwach, przyjazd felczera i cała choroba.

— Upadła wypadkiem na nożyce i pierś sobie przekłuła!... — zręcznie skłamała Niłowowa.

— Niezgrabna zawsze, jak niemiecka krowa! — burczał Niłow. — Ech, dziewczyno, dziewczyno, i ojcu też spadł kłopot niemały na głowę... Będę musiał o śmierci tak znacznego zesłańca dać zaraz znać do Petersburga... Jeszcze mi nie uwierzą, pomyślą, że uciekł... Kazałem więc ciało zamrozić i przywieźć tutaj. Nie pochwaią mię jednak pewnie, nie pochwaią, że tak daleko pozwoliłem wygnań-

com odjechać... Ha, cóż robić!... Chciałem dobrze i byłoby dobrze, gdyby się udało. Szkoda chłopca, dzielny był! Lubilem go za dowcip! Zawsze coś wesołego opowiedział... Szkoda go, nauczyciela twego, dziewczyno, co? Nieprawda?... Szprechen zi dojez?... Co?... Nie będzie już nie będzie: szprechen zi dojez?... — zwrócił się do córki.

Ta próbowała się uśmiechnąć, lecz zamiast tego bolesny skurcz wykrzywił jej usta.

— Idź już, idź sobie! Nie widzisz, że słaba!... — wypędzała męża pośpiesznie Niłowowa; Mironowa otworzyła mu uprzedzająco drzwi.

XIV.

Dzień był słoneczny ale mroźny. Śnieg wesoło skrzypiał pod nogami przechodniów. Koronki srebrnego szronu ubrały gałęzie drzew i przęsła płotów. Ich kryształowe wykwyty jak lekkie puchy, zawisły na ośnieżonych okapach domów, czepiały się obmarzłych ścian, bieliły czarne od starości bierwiona fortecznej palisady, chwiały z migotliwymi blaskami swoje festony pod stropem warownej bramy, gdzie biały od sadzieliny własnego potu i oddechu kozak, zaszyty od stóp do głowy w futra, chodził niecierpliwie, błyskając lufą muszkietu.

Mimo niego raz wraz przejeżdżały sanie, wioząc do kancelarii miejscowych dygnitarzy. Naczelnik zwoływał wielką radę. Już był przyjechał sekretarz Nowosiłow i setnik Czernych, porucznik Norin, pisarz Sudejkin, oficerowie Kumin i Popow, oraz kapitan okrętu Czurin.

Czekano tylko na protojereja Łożkowa. Podczas gdy drobiazg wojskowy i pomniejsi urzędni-

cy, zebrani w pierwszej izbie, cicho gwarzyli między sobą, w pokoju głównym rozparty na krześle Niłow słuchał w zamyśleniu zawilego dowodzenia Czernycha.

— Skutkom bywa rzecz pożyteczna, aby rozważyć wszystko od źródła, od samego korzenia... A więc po pierwsze, skoro nie chcą płacić, więc trzeba ich zwojować...

— Właśnie w tym sęk!... — przerwał niecierpliwie Niłow. — Wojować?... Wojnie nieprzychylny jest Petersburg... Wciąż odbieram stamtąd ukazy, aby inorodców szczędzić, jako z nich a nie z kogo innego jest wielki dla skarbu dochód... Że wyniszczać, wypleniać ich żadną miarą nie należy, przeciwnie oszczędzać i rozmnażać!... Każą więc brać zakładniki i działać łagodnością, a my cóż uczyniliśmy: zakładniki puściliśmy i wzamian nic... Nie pochwalą nas za to, och, nie!...

— Zbyt dowierzyła Wasza Wysoka Szlachetność słowom tego obieżyświata. Dawno już miałem na niego oko!... Sztuka cudzoziemska!... — rzucił Nowosiłow, poprawiając oburącz obwisły żołądek.

— Gdyby był żył, rzecz wyglądałaby może wcale inaczej... Zdolny był — bronił się naczelnik. — Szkoda go, wiele przez tę jego śmierć pokręciło się spraw... Czy aby tylko pewna, że zginął?...

— Najlepszy na to dowód, że, dotychczas nasz wysłaniec nie wrócił!... Gdyby żył, z radosną nowiną już by przyznał!...

— Mapy i papiery pozabierał, sprawozdanie miał pisać... Gdzie to teraz jest?... Jak to znaleźć i wydostać!...

— Dawno już mówię, że należy wysłać ludzi, rzeczy Beniowskiego opieczetować i straż przy nich postawić... Skoro umarł, majątek jego idzie na skarb.

— Jaki majątek? Co on może mieć?... Zresztą mieszka z tym Chruszczowym... Ten powie, że to jego...

— Zabrać wszystko, nie pytając Chruszczowa... Czyż Chruszczow nie jest takim samym bezprawnym rabem, jak i tamten? A co o majątku, to niech Wasza Wysoka Szlachetność nie myśli... I że sobą on trochę przywiózł i wygrał niemało ostatnimi czasy; od kupców uzbierało się pewnie futer i pieniądze, koło pięciu tysięcy...

— Co mówisz, Sergiuszu Mikołajewiczu?... Skądże tyle? — zdziwił się Niłow.

— Właściwie to nie jego a nasze... — wstawił załóżnie Czernych. — Chciałem właśnie prosić Waszą Wysoką Szlachetność, aby raczył cały ten jego majątek nam przyznać, albowiem od nas pochodzi...

Tu obszernie i mętnie jał opowiadać, jak to Beniowski „wciągnął go wraz z sekretarzem do spółki dla gry w szachy”, jak ich namówił do zawarcia pisemnej umowy z kupcami Kazarinowym, Czulożnikowym, Proskuriakowym i innymi na pięćdziesiąt partii, „każda po trzysta rubli gotówką, prócz futer, których mieli brać do woli”...

— Z nich wygrał zaledwie dziesięć, trzy przegrał, zostało trzydzieści siedem... I co będzie teraz z nami, nie wiemy, gdyż oni mają po swej stronie najlepszego gracza w Kameczatce, a może i w całej Syberii, Koleskowa z Wierchniego Ostrogu. Ma niedługo przyjechać. W umowie zaś powiedziano, że w razie odmowy grania, strona płaci pieniądze jak za przegraną...

— Jedyna nadzieja nasza w Waszej Wysokiej Szlachetności, że nie odmówisz nam obrony i sprawiedliwym swym sądem rozwiązesz tak krzywdzącą umowę wobec śmierci głównego winowajcy! — wstawił pokornie sekretarz.

Niłow nachmurzył się, zmarszczył krzaczaste brwi i milczał.

— Nie nie wiedziałem! Nikt mi nie nie powiedział!... Dzieją się w powierzonym mi kraju takie rzeczy, tysiące rubli przechodzą z rąk do rąk, a ja nie nie wiem... I kto to robi: moi własni urzędnicy! — zagadał wreszcie.

Czerwone żyły nabrzmiały mu na skroniach, a dłoń zaczęła gniewnie stukać po kolanie.

— Wielka jest wina nasza! I obiecujemy na przyszłość nie już bez wiedzy Waszej Wysokiej Szlachetności nie przedsiębrać!... Tymczasem jednak prosimy o łaskę i ratunek... Te pieniądze i futra, wygrane przez Beniowskiego, właściwie są nasze, nie do skarbu więc powinny być zabrane, jeno oddane nam, prawym ich właścicielom... Wszystko co ponadto u tego człowieka się znajdzie, również do Waszej Wysokiej Szlachetności sprawiedliwie należeć powinno, jako jego wspianolomyślnego dobroczyńcy... — dowodził setnik, któremu strach wrócił niespodzianie jasność wysłowienia.

Podtrzymał go sekretarz i naczelnik, po krótkim wahaniu się, wysłał z miejsca pięćdziesiętnika z dwoma kozakami, aby Chruszczowa z mieszkania wraz z domownikami wyrzucił, wszelkie wejścia opieczętował i straż przy nich postawił do dalszego rozporządzenia.

Zaledwie odjechali wysłańcy, zjawił się nareszcie oczekiwany pop Łożkow, wychudły i wyżółkły, z długą siwą brodą.

Obecni, nie wyłączając Niłowa, podchodzili doń kolejno po błogosławieństwo, a duchowny kreślił nad schylonymi ich głowami znak krzyża i mówił zdyszczanym głosem:

— Darujcie opóźnienie, zacni wielmoże, ale zwlec się musiałem z łóżka... Trzyma mię niemoc,

zimnica obrzydła już który miesiąc... Obiecał mi pomoc Beniowski, nawar miał z kory jakowejś zgotować, ale umarł, pożarty przez dziką bestię... Nie ma więc ratunku, jedyna w Bogu nadzieja... On pierwsza i najgłówniejsza nasza ucieczka!... O cóż chodzi, zacni panowie?...

Kazał Niłow wejść wszystkim urzędnikom, wojskowym i kupiectwu do głównej komnaty, gdzie posadził za stołem protojera, sam siadł z jego prawej strony, a z lewej umieścił sekretarza Nowosiłowa.

— Wezwałem was, aby się wspólnie naradzić, jako przedstawić najlepiej to nieszczęście, że, słuchając nierozważnej rady lekkomyślnego człowieka, zaufaliśmy mu i puścili na wolność rządowe zakładniki ankalskie... Wszyscyśmy po równo winni tego uszczerbku interesu skarbowego, jako teraz Ankalowice wcale jasaku płacić nie zechcą, a skarb każe niedobór pokryć z kieszeni mieszkańców, za przykładem lat dawnych, uważając wspólną wszystkich porękę za najlepszą swych praw rękojmię... — zaczął naczelnik głuchym głosem.

Wtem na zewnątrz rozległy się hałasy, tupot nóg, rozmowa, drzwi od sieni otwarły się gwałtownie i wpadł zaśnięzony kozak.

— Jada, Wasza Wysoka Szlachetność, jada!...

— Kto jedzie?... Co znowu i skąd?...

— Kapitan Sybajew jedzie, prowadzi moc renow ankalskich i kameczadalskich zakładników, sanie ładowane...

Zerwali się i ruszyli wszyscy na ganek i dalej ku bramie fortecznej, gdzie zbiegła się już zewsząd straż i służba forteczna. Nawet chory protojerej podążył za nimi z srebrnym krzyżem napierśnym w rękę, podtrzymywany z jednej strony przez diaczka a z drugiej przez dorosłego syna.

Ulicą, w kłębach złotej mgły, przesianej słoń-

ca posnową, szła, miarowo stąpając, w szyku woj-
skowym kolumna ludzi z muszkietami, błyskający-
mi równo na ramionach, jak sztaby lodu; za nimi
ciągnęły sznurem ładowane sanie, zaprzęgnięte w
kudłate psy; przy każdym zaprzęgu, trzymając
się za „poklaski”, szli psiarczykowie z okutymi
„oszołami” w rękę, pilnie zważając na zgorącz-
kowane bliskością domów zwierzęta...

Dalej, gdzie para oddechów biła wyżej i gęściej,
wśród lasu rogów reniferowych migotały góra
groty dzid i wypływały to tu, to tam głowy i bar-
ki ludzi w ciemnych szłykach futrzanych, w pstrej
wzorzystej odzieży ze zwojami rzemiennych powo-
dów i arkanów w dłoniach. Pochód zamykał zno-
wu oddział muszkietników.

Stronami biegała gawiedź miejska, pchając się
i pokrzykując.

Dopóki byli daleko i trudno było w oparach pod
słońce rozeznaczyć twarze, panowie starszyzna pa-
trzyli na nich z pewnym niepokojem, a porucznik
Norin kazał stanąć odźwiernym u łańcuchów zwo-
dzonego mostu, straży zaś obejrzyć skałki u mu-
szkietów: skoro jednak zaszli w błękitny cień pa-
lisady, zbliżyli się i opadł opar oddechów, niepo-
kój zamienił się w zdziwienie:

— Beniowski!... Skądże on?... Oczom nie wie-
rzę?... Czy może się myłę?... — zawołał wreszcie
Niłow.

— Doprawdy on!... On!... Nałgali!... — krzy-
knął radośnie setnik Czernych.

— On, on!... — powtórzyli inni.

Beniowski szedł spokojnie na przodzie musz-
kietników bez muszkietu, z ręką na temblaku,
grubo obwiniętą szmatami.

Przed bramą rzucił rozkaz, orszak wstrzymał,
rozwinął front wzdłuż drogi, puścił przodem sa-
nie z bagażami, a gdy przeszli wojownicy ino-

rodni z renami, złączył się z tylną strażą i łańcuch żołnierzy półkolem zręcznie poza idącymi zatoczył. Dziwowali się wszyscy sprawności tych ruchów, ale bardziej jeszcze podziwiali tęgieh, wspartych na ratyszczach ankalskich wojów. Aż wystąpił z nich jeden, ostawiwszy broń na miejscu, a dwaj inni, również bezbronni, towarzyszyli mu, podtrzymując go dostojnie za łokcie i podkolanek. Szli tak długo, wolno, wśród szpaleru ciekawych, aż znaleźli się przed obliczem naczelnika; wtedy padli na kolana, jak przed zwycięzcą i, dotknąwszy dłońmi czoła i oczu, oparli palce na śniegach tuż przed stopami Niłowa.

— Czegóż chcą?... — spytał ten przez tłumacza.

— Gniewna, nierozumna myśl żyła wśród nas, jeżyły się ostrza żelazne w rękach, zapamiętałość gnieździła się w sercach... Ginęli mężowie wasi i nasi, płakały niewiasty, głodem przymierały dzieci... Krew gniewu i zemsty ćmiła spojrzenie oczu... Tak szło i zdawało się, że iść będzie do końca istnienia ziemi... Zło zaludniło pole pomiędzy nami i wami, zamieszkała je śmierć... Język milezał, pełen przekleństwa i złości... Duch, co żył na Górze Ognistej, i ten, co mieszkał we wzdętej fali Wielkiej Wody, i tamten Kosmaty, co przebiegał lasy, zrozumieli, że nastał czas, aby zgładzić dzieci Boga Białego, dla których Słońce wschodzi za Górą Wschodnią, a zachodzi za Górą Zachodnią... Poszczuli swych krwawych wysłańców na lud bezbronny, na śpiących w namiotach, na spokojnie zarzucających sieci, na dobywających futra lisie i sobole w rzadkawych zaroślach i czarnych ostepach, na nocujących ufnie u ognisk i na przechodzących łęgi poliste... I już zginąć miał lud Ankali i plemię Orun, aliści zmiłowało się serce Twoje i posłałeś broń ognistą i mądrego białego człowieka, co ją umiał nabić i skierować... Poznaliśmy dobroć

Twoją i rozum Twój i pragniemy zachować serce Twoje... Oto my, których oszczepy nie pochylały się nigdy na daremno, składamy je u nóg Twych i prosimy o przyjaźń, obiecując przyjaźń, ofiarujemy serce i prosimy o serce, niesiemy ubogie podarki i obietnicę płacić dobrowolnie doročzną daninę, jako i inne ludy podwładne Twej opiece i ramieniowi...

Tu wstali wojownicy i skinęli na sługi u sani, a ci, chwyciwszy naręcza futer, nieśli je ku nim.

Brali zatem po sztuce, po dwie skórki kastorowe brunatne, siwo mieniające się, brali skórki lisie czarno-bure, srebrzyste i niebieskie, jako słoneczny cień leśny, i lisie czerwone jak ogień a z wierzchu złote, i ciskali kolejno pod nogi naczelnikowi; ciskali takó¿ skórki kunie czarne jak noc, oraz dropiate skórki torbachanie czarne z żółtym nalotem, i długowłose, ogniste rysie futra i białe jak mleko, piesakowe... Nareszcie z wierzchu na mieniające się w słońcu barwami kupy bezcenne rzucili trzykroć razy po trzy „soroki” niezrównanych kameczackich soboli...

Szmer przeszedł po tłumach.

— To jest danina nasza pierwsza. Taką¿ kłaść będziemy rok rocznie z wolnej woli naszej z polowań naszych w górach Gamalskich, aż po szczyty Changaru!

— Poczekajcie! — przerwał tłumaczowi sekretarz. — W górach Changaru widzi mi się, że już inne panują plemiona... Zdaje się, że Choa-Szen i Sumka!...

— Góry te z dawna były nasze... Choa i Sumka zajęli je bezprawnie, ale umkną stamtąd na wasz rozkaz, jako umknęły lodowe niedźwiedzie!...

— Aha! — mruknął sekretarz. — Cóż to? Czy już wam tak Beniowski obiecał?... Za wcześnie, oj za wcześnie pozwala sobie...

— Powiedz im, że przyjmuję i dziękuję za tę pierwszą daninę... że obiecuję im łaskę wszelką i opiekę w imieniu Pani Naszej Najmiłościwszej Imperatorowej Wszech Rosji. Zostańą poddanymi Jej i wtedy dopiero zrozumieją i oceniają, ile to szczęścia... — zaczął wezbranym od radości głosem Niłow.

Długo mówił, ale znużony tłumacz krótko tłumaczył.

Skończyło się zaproszeniem wodzów na ucztę. Nazajutrz miała być spisana i zaprzysiężona obustronnie szczegółowa umowa. Tymczasem pozwolono przybyłym założyć pod miastem obozowisko, a kupców dopuszczono do handlu z nimi. Ze swej strony krajowcy ofiarowali miastu 100 renów, jako gościniec.

Radość była niezmierna i powszechna. Odbiła się ona żywym echem aż w dziewiczej izdebce Nastazji. Przyniósł ją Grześ, który opowiedział wszystko ze szczegółami i chorej siostrze, i zafrasowanej matce, i zachmurzonej Mironownie.

— Okazało się, że zwierz go nie pożarł, tylko mu rękę przetracił i krzywą bok podrapał... Zabił bestię Panow oszczepem w sam czas... Jest taki wygnaniec, były kapitan, powiadają... Sybajew, ten, prawda, mocno raniony w głowę, ale powiadają żyć będzie... Beniowski rychło się ocucił... Dowództwo po Sybajewie objął, krajowców zebrał, gadał z nimi, gadał, aż ich tu przyprowadził. Dlatego nie wracał i nie dawał znać... Nie miał czasu i ludzi trzymał w pogotowiu... Wszyscy go wychwalają!

— Zapewne, że rzecz może i dobra, ale to jego, raba, powinność! — rzuciła zgryźliwie Mironowna.

— Mamusiu, mamusiu, czy ja go aby zobaczę

zaraz, niedługo?... — szeptała z gorejącymi oczyma Nastka.

Blade dotychczas usta nabiegły jej znowu purpurą, na jagodach zakwitły róże.

— Zobaczymy, zobaczymy!... — odpowiedziała wymijająco matka. — Być może, że czasu nie będzie miał... teraz... na wasze uczenie! Nastąpiły takie ważne sprawy rządowe, że ojciec będzie go pewnie wciąż potrzebował...

XV.

Gdy późno wieczorem Beniowski z towarzyszami przybył nareszcie do swego mieszkania, znalazł ku wielkiemu zdziwieniu na drzwiach pieczęcie, a przed drzwiami kozaków, którzy go grubiańsko odpędzili od proga.

Na gwar głosów wyszli od sąsiada Chruszczow i Alajda i objaśnili, jak rzecz się miała.

— Uważali cię za umarłego i chcieli majątek twój zagrabić do skarbu, a przy okazji i mój!... — tłumaczył Chruszczow.

— W tumultcie i powszechnej radości zapomnieli cofnąć strażę! Nieporozumienie, które jutro rano się wyjaśni. Dziś chodźcie do mnie, zanocujemy razem, będzie ciasno, ale wesoło! — radził Baturin.

— Nie, nie można!... Nie jest to bynajmniej błahostka! Co raz w ich ręce wpadnie, nie łatwo stamtąd wydobyć!... Mamy w mieście wielu ukrytych nieprzyjaciół i zazdrośników... Trzeba temu z miejsca łeb ukreć! Zaraz pojadę! — oparł się Beniowski.

— Do kogo teraz trafisz? Śpią wszyscy!

— Pijani, jeszcze naskoczysz na awanturę...

— Słaniasz się na nogach, od wczoraj nie zmieniłeś opatrunku...

— Lepiej napisz list, pojedzie ktokolwiek z nas!
— odradzali mu towarzysze.

Ale Beniowski nie słuchał, kazał wiernemu Jędrzejowi psy nawrócić i siadł na sanki.

— Wszystko sam, zawsze sam! Uważa się za jedyną wśród nas zdolną i godną osobę!... Despota! — sarkał Stiepanow, patrząc w ślad niknącej w ciemnościach postaci.

Wygnańcy weszli kupą do Baturina, aby zjechać na powrót naczelnika i otrzymać rozkazy, gdy jednak długo nie wracał, rozeszli się do domów senni i znużeni wrażeniami dnia.

Beniowski tymczasem zajechał do miasta wprost do komendanta. Setnik Czernych bardzo się zdziwił i zafrasował wiadomością, że straż nie została od domu Beniowskiego cofnięta.

— Zapomnieli, na pewno zapomnieli! Cóżby innego mogło być... Ale ja nic pomóc nie mogę: rozkaz wydał naczelnik, on jeden tylko może go cofnąć. Chyba, żeby sekretarz wziął na swoją odpowiedzialność. Wiesz co, Auguście Samuelowicz, jedź ty do niego, on ci sprzyja!

— Nie chcę go niepotrzebnie niepokoić. Skoro rozkaz wyszedł od naczelnika, zwrócę się do niego samego.

— Najlepiej, najlepiej, ale nie wiem, jak to tam będzie...

— Daj mi, Nikandrze Gawryłowicz, przepustkę do fortecy na wszelki wypadek... Już późno!...

— Po co ci przepustka! Kogo, ale ciebie puszcza tam o wszelkiej godzinie...

Z trudem wymógł od niego Beniowski przepustkę.

— A wyśpij się dobrze, Auguście Samuelowicz, i pamiętaj, że to jutro mamy z Kazarinowym

ważną batalię... Bal u sekretarza! Inni sobie będą tańczyć, a my tymczasem poskubiemy tych gruboworych handlarzy... Ha, ha!... Dawno już wszyscy do tego tęsknimy! — gadał komendant, wprowadzając Beniowskiego aż na przydzwierek.

Straż poznała Beniowskiego i, odebrawszy przepustkę, puściła boczną kładką do fortecy, gdyż most ze względu na obecność pod miastem wojowników ankalskich był podniesiony. Jędrzej z sianami odjechał w stronę więzienia, aby przytulić się z psami dla ciepła u jakiego budynku.

Beniowski szybko minął błyskający mdłym światłem odwach, ciemny budynek kancelarii, ciemne korpusy składów, kierując się wprost do domu naczelnika, gdzie w niektórych oknach gorzały jeszcze światła.

Zastukał ostrożnie do drzwi kuchennych. Długo nikt nie odpowiadał, wreszcie dźwierzę uchyliły się i ze szpary wyjrzał długi nos Mironowny.

— A czego tam? Wszelki duch Pana Boga chwali... To wy, panie Beniowski? Czegóż to po nocy chcecie?...

— Chciałbym w sprawie osobistej zobaczyć się z naczelnikiem.

— Nie można!... Śpi... A jak śpi, szczególnie po... zabawie, to go nikt ruszać nie śmie! Taki rozkaz wydan raz na zawsze!

— O cóż to chodzi?... — spytała nagle, występując z cienia, pani Nilowowa.

— Opieczętowano mi dom, miłościwa pani!... — odrzekł kłaniając się Beniowski. — Nie mam się gdzie na noc podziać, ani potrzebnego odzienia na zmianę, ani pościeli skąd dostać!

Wyczuwał wrogość z wyrazu twarzy i spojrzeń stojących przed nim kobiet i, nie rozumiejąc powodu, chciał się wycofać. Mironowna jednak przymknęła nagle za nim drzwi, skąd ciągnęło

mroźne powietrze, musiał więc krok naprzód postąpić i znalazł się w blasku łuczywa, płonącego u przymurku. Marta Karłowna obrzuciła ponownym spojrzeniem jego rękę ranną, twarz bladą, uduchowioną, całą postać zgrabną i silną. Żrenice jej na mrugnięcie powiek spotkały się z jego cudownymi oczyma.

— Nic panu poradzić nie mogę! — szepnęła, cofając się w cień, aby ukryć wybijający na twarzy rumieniec. — Mironowna, idź no zobacz, co tam z Nastką. Słyszę, że jęczy...

Beniowski podniósł głowę, spojrzał bystro w stronę drzwi wewnętrznych, gdzie znikła Mironowna, ale o nic nie pytał.

— Zanocuj pan u nas!... — rzuciła niespodzianie Niłowowa. — Widzę, że pan ranny. Za chwilę przyjdzie Lapin i opatrzy pana... Posłaliśmy po niego...

— A więc ktoś chory jest w domu państwa?

— Tak, trochę... Nastka!... Nic szczególnego... bok ma przeбитy... Więc zostaje pan? Mironowna zaraz panu przyrządzi posiłek...

— Mam z sobą niewolnika i psy, które czekają pod bramą, noc mroźna... A w wiosce towarzysze...

— Zawsze pan o nich tylko myśli... Oni pana zgubią, zobaczy pan... To hołota, znam ich, a pan inny... Pan się może odznaczyć, wysłużyć... Mąż często to mówi... Zostań! — szepnęła, przystępując zupełnie blisko. — Śpi, pijany... Zostań!...

Milczał i czapkę niespokojnie w rękach obracał.

Pobladła i cofnęła się, gdyż Mironowna ukazała się już na progu.

— Pani kochana, trzeba jednak coś zrobić!... Dziewczyna gorączkuje, opuchlizna idzie coraz wy-

żej, cały bok i ramię czerwone, gorzej jak ogień...
A ten Lapin nie jedzie!

— Wątpliwe, aby przyjechał... Był też na fecie i widziałem, że się mocno do butelki przykładal... Może gdzie śpi! — zauważył Beniowski.

— A pan, co taki mądrała, czy by pan czasem nie pomógł? Męczy się gołąbeczka, męczy się, cierpi bardzo za... cudze grzechy! — dodała nianka z wyrzutem.

— Owszem. Znam się trochę na ranach, jako człowiek wojenny...

Lecz Marta Karłowna nie śpieszyła go prosić. Spojrzawszy ukradkiem na jej twarz, zrozumiał, że się w niej coś waży, że walka jakaś nią targa.

— Muszę wracać! — rzekł stanowczo. — Już późno!...

— Więc chodź pan i... opatrz tę ranę, ale o niej wiele po mieście... nie gadaj! — bąknęła wreszcie Niłowowa.

Wszedł do komnatki słabo oświetlonej olejnym kagankiem, pełnej zaduchu i zapachu lekarstw. Na białych poduszkach od razu dostrzegł rozwichrzoną plamę czarnych włosów dziewczyny i w jej wieńcu rozognioną twarz anioła.

Utkwiła w nim gorejące oczy i zdawało się, że go poznaje, gdyż przysiadła, powiodła ręką po licach, jakby chciała zetrzeć z nich resztki snu.

— Aha, jesteś... przyszedłeś... Czekałam... Miłuję cię nade wszystko... — zaszeptala cichutko. — ...Porzucisz ojca twego i matkę twoją... Na wyspach... gdzie wieczna kwitnie wiosna, pod łagodnym słońcem... wśród sinego morza... Ach, jakże boli!... jakże boli!... — dodała nagle zupełnie przytomnie i wyraz katuszy ściągnął jej śliczne rysy.

— Proszę pokazać, gdzie jest rana?... — spytał wzruszonym głosem Beniowski.

Płacząca Mironowna objęła za ramiona chorą

i, szepcząc jej do ucha pieśszcziotliwe wyrazy, położyła na wezgłowie, ranionym bokiem ku górze, po czym uniosła gieźło i zaczęła odwijać obwiązki. Dziewczyna nagle przycichła i spokojnie pozwałała robić wszystko ze sobą; dopiero gdy poruszono ostatni szmat, przesiąknięty spiekłą krwią, jęknęła boleśnie.

— Co to jest?... Coście tu przykładali?

— Cóż mieliśmy przykładać!?! Lapin od samego rana zaprzepaścił się z waszymi wojakami... Wyjechał gdzieś za miasto po obiecane reny, czy tam co... Bóg was wie!... Rana krwawiła, więc chleba z pajęczyną wczoraj jeszcze... Zawsze pomagało, było dobrze, a bo to pierwszy raz!... — dowodziła Mironowna.

— Zaraz to obmyć ciepłą wodą i lodu przyłożyć... Macie jaki pęcherz bydlęcy albo rybi?... Tu wszędzie lód kłaść trzeba aż tak wysoko... Boże, jakże napuchło!... Ogień nie ciało!... Gruczoły mogą się zapalić w piersiach! — mówił Beniowski, dotykając drżącymi rękami czerwonych półkuli dziewczycy i szerniałego dokoła ciała.

— Coście narobili, coście narobili!... — powtarzał stroskany.

— To nie my, to ogień idzie od wnętrza... Chleb z pajęczyną odwieczny sposób, zawsze dobry... Pamiętam, jak Iwan Piotrowicz raz cięty został siekierą... Pamięta pani?... — zwróciła się do Niłowowej Mironowna.

Ta stała opodal blada jak śmierć, z zaciśniętymi ustami. Nagle otrząsała się.

— Lodu, Mironowna, lodu!... Ciepłej wody, daj, daj... ja sama!... — rzekła, pochylając się nad córką.

Ta półświadomym ruchem objęła nagle matkę za szyję:

„Trafił się sęczek na drodze,
Rozdarł... giezłeczko... niebodze...”

majaczyła półgłosem.

— Boże, mój Boże!... Czy aby żyć będzie, panie Beniowski?...

— Byle zaognienie wstrzymać od strony gruczołów, to reszta rzecz mała!... Nie takie rany ciało ludzkie znosi i goi... Żle, że odpływ złej ropy został wstrzymany i poszedł w górę. Stąd uderzenie humorów do głowy... Należałoby dawać co godzin parę odwaru z gorzkiej kory chinowej, a jeżeli jej nie ma, to choć z bylicy... I chłodzący napój z soku żórawinowego... — radził spokojnie.

— Nic tego nie ma, nie!... Przeklęty kraj... Tylko wódka i wódka... Może dać nastojki spirytusowej z czarnych porzeczek?... Ona też zawiera gorczkę...

— Boże uchwaj! Gdybym mógł wrócić do domu, to bym może tam co znalazł...

— Idź, jedź!... Idę zaraz, zbudzę męża!...

Nie mogły się wszakże kobiety docucić Niłowa; bił je, kopał nogami, rzucał w żonę butami i posyłał po tysiąc razy do wszystkich diabłów...

— Nic z tego nie będzie! To kara za moje grzechy! Ty, Auguście Samuelowiczu, jedź zaraz, może znajdziesz jakie leki u towarzyszy... Jak znajdziesz, to wracaj! Czekać na ciebie będziemy choćby do rana!

XVI.

Posiedzenie Rady Związkowej zapowiadało się bardzo burzliwie. Spiskowcy, milczący i posepni, zebrali się w nowo zbudowanej szkole, dokąd prze-

niósł się był przed paru dniami Beniowski.

Zagał on posiedzenie przedstawieniem rzeczy:

— W kasie mamy cztery tysiące rubli z górą, prócz skórek lisich, sobolich, kunich, bobrowych, wiewiórczych, zajęczych, skór niedźwiedzych i reniferowych na pościele i obuwie, na ogólną sumę półtora tysiąca rubli; prócz tego mamy dwie setki ryb wielkich, trzy tysiące śledzi i drobnej ryby dla psów, trzy tusze niedźwiedzie. Mamy więc w skarbcu spiskowym zaopatrzenie pewne dla trzydziestu ludzi i pieniędzy oraz wartości wymiennych na uzbrojenie ich, na zakup oręża i amunicji. Trzeba będzie zwolna, ale stale zakupywać proch i muszkiety, o ile ich kto nie ma. Wpływy nasze w miasteczku wzrosły, już mieszkańcy nie tak od nas stronią, przeciwnie, za honor sobie poczytują zapraszać niektórych z nas i szukają naszej przyjaźni... A to rzecz niemała i nie tyle dla korzyści, jakie nam te znajomości dadzą, ile przez podniesienie poczucia godności i dumy w nas samych, zgębionych dotychczas naszym stanem niewoli, pogardy i bezsiły. Bez wewnętrznego odrodzenia nie będzie nic, a wewnętrzne odrodzenie niemożliwe bez ufności w siebie i bez wzajemnego popierania się... Kto samotny, ten słaby, kto słaby, ten smutny i lękliwy! Szkoła, do której zapisało się 23 uczniów, pomiędzy nimi trzech kupców, pragnących się uczyć arytmetyki i cudzoziemskich języków, będzie dalszym ciągiem pożytecznych naszych stosunków z mieszkańcami. Chciałbym na pomocników w tej pracy przybrać sobie panów Chruszczowa i Panowa i mam nadzieję, że oni się do mej prośby przychylą, a Rada ją zatwierdzi... Następnie proszę Radę o przyznanie 30 rubli kapitanowi Sybajewowi na leczenie się z ciężkich ran, odniesionych w pożytecznej dla nas wszystkich wyprawie. Kapitan Sybajew ma się już lepiej, ale

jeszcze czas jakiś musi się kurować. Mimo cierpienia swoje przywłókł się wczoraj dzielny ten człowiek do mnie i podał następujący obszerny raport, niezmiernie ważnej treści:

„W miesiącu sierpniu kupiec Czulośznikow, którego wszyscy tu dobrze znamy ze zdzierstwa i namiętnej gry hazardowej, uzbroiwszy własnym kosztem w Ochocku okręt do stu pięćdziesięciu beczek objętości, wysłał go był do wysp Aleuckich na połów kastorów. Ekwipaż jego składał się z 28 strzelców, którzy nieoswojeni z morzem za najpierwszą zaraz „buraską” przymusili sternika, iżby przylądował do najbliższego Kamczatki brzegu. Przez to zdarzenie dużo tracąc, Czulośznikow gwałtem chciał przymusić ekwipaż do reperacji okrętu, iżby mógł z nim co prędzej na nowo wypłynąć na morze. Lecz niesforni strzelcy wzbraniali się pracować; udał się więc kupiec do rządu i wyjednał pomoc od niego wojskową, aby strzelców swoich siłą do posłuszeństwa przynaglić. Zapaleni podobnym z sobą obejściem strzelcy ułożyli jednomyślnie, iż natychmiast, skoro wyjdą pod żagle, opanują okręt i użyją go na odzyskanie swej wolności. Proszony przez nich Sybajew o radę w tej mierze dał im do zrozumienia, iż podobne przedsięwzięcie na wielkie ich niebezpieczeństwo wystawi, jeżeli Beniowskiego, który jest marynarzem, sobie nie ujmą i swoim naczelnikiem nie zrobią, w czym też wielkie upatrywał trudności. Przyjął ohocho ekwipaż jego wskazania, prosząc go usilnie, iżby Beniowskiego, co prędzej, o jego determinacji uwiadomić raczył...”

— Jak widzicie, towarzysze i bracia — zaczął wyjaśniać Beniowski — iż okoliczność ta przynieść nam może niemałe korzyści, przez bardziej niż w dwójnasób zwiększenie siły naszej, oraz przez ów okręt, którym owładnięcie zbrojną ręką

pozwoili nam wydartą wolność odzyskać. Z drugiej strony grozi nam niebezpieczeństwo, gdyż ludzie ci są niepewni i, pozostając w dali od naszego wpływu w swym „zimowiu” na brzegu morza, mogą się nie ostać pokusie, albo lekkomyślności zdradzenia tajemnicy, albo gadulstwa w stanie pijaństwa... Następnie plan ten, ułożony przedwcześnie, łatwo może zostać zniszczony przez okoliczności, gdyż do oczyszczenia się morza z lodów pozostaje jeszcze miesięcy co najmniej cztery i nawet w razie dochowania ścisłej tajemnicy dużo zająć może nieprzewidzianych wypadków, które plan cały zniweczą. Należy, myślę, zgromadzić przede wszystkim środki i siły, a plan szczegółowy stworzyć już w chwili ostatniej, gdy wiadome będą wszelkie warunki i wyjaśnion czas wyruszenia, nasze siły i wszystkie przeciwności...

Po Beniowskim zabrał głos Stiepanow:

— Niezmiernie doniosły, ważny i ponętny jest tylko co wyłożony nam przez naszego przywódcę plan i musimy się nad nim głęboko zastanowić. Zanim jednak przystąpimy do tego, chcę poruszyć sprawy jeszcze ważniejsze, sprawy naszego wewnętrznego wzajemnego stosunku, od którego przede wszystkim zależą siły nasze, gdyż te nie zewnątrz nas są, ale wewnątrz, leżą w naszych duszach, w naszej wzajemnej ufności i w naszym postępowaniu... My powinniśmy być przede wszystkim wzorem dla wszystkich i przykładem niezachwianej powagi, inaczej pryśnie ufność, pryśnie czar! Co zaś widzimy: pierwszy nasz przywódca, który dzierży w rękach swoich wszystkie nici sprawy naszego uwolnienia lub naszej śmierci, gdyż nietajno wam, panowie, co rząd uczyni z nami, wykrywszy sprzysiężenie, otóż przywódca nasz organizuje przede wszystkim, nie spytawszy Rady, szaloną wyprawę, zupełnie zbędną a niez-

miernie niebezpieczną, w której sam omal nie ginie, uniesiony myśliwskim zapalem. Co by się wtedy z nami stało? — zapytam! Tośmy widzieli, gdy po powrocie znaleźliśmy straż u mieszkania Chruszczowa, a jego samego omal nie aresztowano... Co by było, gdyby wśród rzeczy Beniowskiego, wziętych do skarbu, wykryto jakiekolwiek ślady naszego sprzysiężenia, albo gdyby w popłochu i zamieszaniu, wywołanym jego śmiercią czy chorobą, ktoś ze słabszych, lękliwszych, ratując siebie, wyznał urzędnikom rządowym naszą tajemnicę? Odpowiedź na to daliśmy sobie wszyscy w ową noc bezsenność, gdyśmy na próżno czekali na naszego przywódcę, zajętego leczeniem jakiegoś wrzodu na ciele... córki naczelnika Okręgu! Czytałem wtedy w waszych twarzach, drodzy towarzysze, te wątpliwości, jakie przyszły mi samemu do głowy! Wszystko skończyło się pomyślnie; należy jednak zastanowić się poważnie, zali możemy dopuścić do powtórzenia się podobnych rzeczy, zali wolno jednostce, dla zadośćuczynienia swej pysze i żądzy władzy, narażać życie i wolność powszechności?... Beniowski wszystko chce sam robić, we wszystko się wtrąca, wciąż występuje naprzód... Czy jego to rzecz była jechać na polowanie, nawet jeżeli je lekkomyślnie zarządził?... Nie, po tysiąckroć razy nie! On, jako nasz wódz, powinien był tu siedzieć i śledzić za obrotami władzy miejscowej, aby je w czas paraliżować. Ale nie, uniosło go pragnienie wywyższenia się, zdobycia taniach laurów pogromcy ludów dzikich, zasłużonego rządowi oficera, uniosła go chęć przypodobania się naczelnikowi i jego rodzinie, zdobycie sukcesu u sekretarza, u kupców... Jego despotyzm, jego ambicja, jego niezrównana lekkomyślność, grożą nam zgubą i dlatego, zanim zaczniemy rozważać plany dalszego postępowania, należy nam, panowie, osą-

dzić jego spełnione postęпки... Z nich czerpać powinniśmy naukę, azali dobrą jest rzeczą władza tak znaczna, jaką on sobie przyswoił, w jednym skupiona ręku i czy pożyteczną jest rzeczą, aby sprawy tak ważne, jak urządzenie polowania, którego omal nie przypłaciło życiem kilku naszych towarzyszy, następnie budowanie szkoły i naznaczanie do niej nauczycieli, szafowanie funduszami związkowymi, aby, — powtarzam — sprawy tak ważne decydowane były bez zasięgnięcia opinii Rady? Skończyłem. Proszę słowa moje surowo sądzić, ale proszę osądzić i winowajcę tego wszystkiego, obecnego tu Beniowskiego...

W czasie mowy i chwilę po jej skończeniu panowała napięta, groźna cisza, po czym wybuchły pomruki:

— Nicpoń!... Sam co wyrabia? Co zrobił z Zia-blikowym?

— Środki zdobył Beniowski, jego są... My tylko korzystamy!

— To już przesądzone. Przysięgaliśmy zresztą Beniowskiemu!...

— Ma rację!...

— Przysięga?... Co przysięga?... Chodzi o życie!...

— Choć niezupełnie, ale w każdym razie!...

— Drab!... Zawsze warcholił... Całą drogę!...

— Daruj pan, ale nie pozwolę...

— Co nie pozwolę!... Wyrzucić go!... i tyle...

— Panowie, panowie!... Pozwólcie mi, proszę was, odpowiedzieć! — wołał Beniowski.

— Pokaże się, kto ma rację...

— Cicho!... Beniowski ma głos!...

— Beniowski... Dobrze!... Niech mówi!...

— Zobaczymy, co powie! Dość mamy tych wszystkich udręczeń... Od jego przybycia w osiedlu wre jak w kotle...

— Ani chwili wypoczynku... Grom za gromem... Niespokojny duch!... Nie widać końca!... Wszystko sam, zawsze sam!...

— Uciszcie się!... Milczcie!... Beniowski ma głos... Daję głos Beniowskiemu!... — wołał Chruszczow.

Uciehli i zwrócili się ku Beniowskiemu. Ten powstał i, utkwivszy gniewne, gorejące oczy w Stiepanowa, zaczął:

— Mógłbym odpowiedzieć na postawione zarzuty przeczytaniem warunków, na jakich przewodnictwo nad wami przyjąłem... Ale nie chcę opierać się na suchym jeno rygorze, pragnę zachować przychylność serc waszych, jeżeli nie wszystkich, to choć niektórych... A więc wyłożę wam powody, dla których podjąłem ową wyprawę, jakoby lekkomyślnie hazardując wasze życie, wolność i powodzenie. Otóż przypomnijcie sobie, com powiedział zaraz w początku, gdy żądaliście, abym ograniczył liczbę członków, abym dla bezpieczeństwa nie przyjmował nowych. Powiedziałem i powtarzam raz jeszcze, że powodzenie naszego spisku zależy przede wszystkim od jego powszechności, że miasto zbyt lękliwej i na długi czas obliczonej działalności proponuję hazard i szybkość wykonania, jako więcej bezpieczne i skuteczne. Dla hazardu jednak i szybkości potrzebna sprawność we współdziałaniu, potrzebna jest ufność wzajemna, wiara w powodzenie, wiara w naczelników... Co jednak dzieć się już wśród nas poczynano? Gdy minęła pierwsza tkliwość powitania, czyż nie zaczęli bracia braciom, wygnańcy wygnańcom, sprzysiężeni sprzysiężonym czynić wstręty, miasto jednać sobie dalej ich miłość?... Miasto radą pomagać im, wykrętnie korzystali z ich gościnności, miasto ochraniać, krzywdzili i ogadywali. Płynęły stąd skargi i rozruchy, nawet bija-

tyki, od których łącznie mogło przyjść do zdrady przez zawziętość przyrodzoną uczuć... Widzieli to kozactwo, pospólstwo i władza, i wzrastała ich słuszną ku nam wzdarda, a za wzdardą idzie zawsze napastliwa śmiałość. Miałem-li czekać, aż zaczęną po dawnemu wpadać owi pacholcowie do chat związkowych i rabować tam sprzęty, broń, którą z takim trudem zdobywaliśmy? Albo lękać się wciąż, że każą nam wynosić się gdzie daleko w rozmaite strony i w ten sposób rozbiją całość naszą i siłę naszą?... Z radością więc chwyciłem się pierwszej okazji, aby przez wspólny trud i niebezpieczeństwo, przez chwilowe oddalenie zniszczyć zarodki niesnasek, żeby w nadarzającej się walce choćby z bestiami wypróbować dzielność przyszlých żołnierzy... I nie żałuję tego, gdyż wiem, jaki stopień rzetelnej odwagi i zimnego zachowania ma ten i ów w okazji walki... Wiem, kto działa powoli, kto w prędkości lepszy, kto waży wyrazy a czyny ma pewne, oraz kto gładki w wymowie, ale mniej w postępowaniu ochoczy... Teraz wiem gdzie kogo użyć i postawić w jakiej potrzebie, a to rzecz wielka i ważna. A czy i reszta rachub moich nie okazała się słuszną?... Czy mięsiwo, przywiezione z polowania, reny podarowane przez Ankalów oraz futra nie ulżyły biedzie naszej i nie usunęły na skutek tego powodów do swarów?... Czy, powtarzam, nie wrócił szacunek powszechny dla wygnańców z przyczyny ujawnionej ich waleczności?... I czy wśród samych wygnańców nie zrodziła się nowa tkliwość, z dumy płynąca, dla uczestników wyprawy?... Czy wskutek tego nie łatwiej będą podlegać niesforni rozkazom naszym?... Azali nareszcie winić mnie możecie, że oświście rzuciłem się na pomoc przyduszonemu przez niedźwiedzia Sybajewowi!? Gdybym czekał, aż uczyni to Stiepanow, dzielny kapitan dawno byłby

pożarty, i nie dlatego, aby Stiepanow mało miał męstwa po temu — daleki jestem od sądzenia go tak niesprawiedliwie — lecz po prostu dlatego, że był zbyt od tego miejsca oddalon, ja zaś byłem napadniętemu sąsiedni... Czyż mogłem rozważać o losach dalszych, widząc przyjaciela i towarzysza w groźbie okropnej śmierci? Nie, uczynić tego nie mogłem i nigdy czynić nie obiecuję, gdyż po mojej śmierci inny mię łatwo zastąpi, lecz nie już nie naprawi w duszach waszych raz zachwianej wiary w nasze braterstwo broni... Zresztą miarą hazardu jest zawsze powodzenie i dlatego sądzić mię nie możecie, możecie jeno odebrać mi przodownictwo, na co chętnie się zgadzam!...

— Właśnie!... Nabroił, zaplątał nas, a teraz chce rzucić!... — krzyknął Stiepanow.

Wszczął się rumor i ponowne hałasy, które z trudem niemałym uciszył Chruszczow.

— Ani nam w głowie, Beniowski, zaprzeczać ci zasług i odbierać przywództwo. Owszem, większość nas skarcić gotowa warcholstwo szkodliwe Stiepanowa, choć płynące pewnie z żarliwego pragnienia wolności. Wszystko, coś rzekł, sprawiedliwe jest i dlatego bez dalszego gadania wnoszę, aby nie tylko władzę i złożoną Beniowskiemu przysięgę potwierdzić, lecz nawet ją zwiększyć wyrażeniem bezwzględności zaufania!

— Zgoda!... Niech żyje!... — krzyknęła większość zebranych.

— Przysięgamy popierać cię i karać nieposłusznych wedle twego wskazania!

— Nie użyję tego prawa, gdyż największą karą będą dla nich rychło własne wyrzuty sumienia! — odrzekł Beniowski spoglądając z żalem na Panowa, który milczący stał w kupce obok Stiepanowa.

— Wyznaję, że straszy mię — rzekł wreszcie

Panow z nagłą determinacją — że lękam się two-
go, Beniowski... nadzwyczajnego wśród wrogów
naszych... powodzenia, ale posłuszny ci będę i przy-
znaję, że dotychczas wszystko mądrze prowadzisz.
Przebac, proszę cię, siostrzeńcowi memu, który
zawsze wyróżniał się gorącością uczuć... One go
poniosły!...

— Przysięgłem, że albo zginę, albo z tego do-
mu niewoli sam wyjdę i was wywiode!... — po-
wodził z przejęciem Beniowski.

Zbliżył się i rękę Panowa uścisnął, a potem
ściskał inne ręce wyciągnięte do siebie. Nie przy-
stąpił jeno do niego Stiepanow, a i Beniowski do
niego się nie kwapił i, poglądając po wszystkich,
wzrokiem go ominął.

Siedli i radzili już dalej spokojnie nad wnie-
sionymi do dyskursu sprawami.

Co do załogi okrętu Czulośznikowa zaszła re-
zolucja, aby Sybajew dał jej następującą w imie-
niu Beniowskiego odpowiedź: „iż lubo do żywego
poruszył go los ich opłakany, że jednak ponieważ
raz już był zdradzon, pragnąc nieszczęśliwych ra-
tować, za czym teraz nie może przyjąć ich oświad-
czenia. Nadto Beniowski przekłada im, iż zamiar
ich wielce niebezpiecznym znajduje, gdyż dość, aże-
by między nimi jeden znalazł się zdrajca, a wów-
czas wszyscy niechybnie do min skazani by zosta-
li, gatunek ich bowiem przestępstwa oczywistym
jest według niego buntem”.

Ustnie zaś zaleciła Rada Sybajewowi, aby, nie
czyniąc imiennie żadnej im nadziei na pomoc Be-
niowskiego i nie odkrywając im istniejącego spi-
sku, zachęcał ich jednak pośrednio do wytrwania
w zamiarze opuszczenia Kamczatki, oraz szukania
pomocy na przyszłość w Beniowskim i pokładania
w nim ufności. Czyniło się to w tym widoku, iż,
gdyby zamiar ich bliski był egzekucji, spiskowcy

mogliby się do nich przyłączyć i z zawładniętego okrętu skorzystać.

Kuźnięcow zaś dodał od siebie ostrożnie, że jeżeli nie wszyscy ludzie Czulosznikowa się zgodzą, to jednak są tam tacy, których on jest pewien:

— Ludzie wypróbowanej twardości i posłuszeństwa! Ludzie z Bogiem w sercu! — skończył znacząco.

XVII.

Czulosznikow sprowadził nareszcie z Wierchniego Ostroga swego kuzyna Koleskowa, gracza nad graczami..

Mocno podskubana spółka Kazarinowa nabrała otuchy. Czekano z niecierpliwością okazji, aby się zmierzyć z Beniowskim. Proskuriakow ołarował się w tym celu dać bal „z racji otwarcia szkoły”.

Wszystko zależało od Beniowskiego, który dla niewiadomych przyczyn zwiózł, ociągał się, odkładał.

— Boi się!... — zdecydował Czulosznikow.

— Boi się!... — powtórzyło miasto.

Cała miejscowa sympatia była, rozumie się, po stronie kędzierzawego Kieszy Koleskowa, który świetnie tańczył „gołubcia”, brząkał na bałabajce i prócz tego był „swój”.

Większość kobiet oświadczyła się za nim i tylko niektóre ośmielały się jeszcze twierdzić, że „Beniowski bądź co bądź piękniejszy”...

Kiesza czuł, że jest bohaterem chwili, wiedział, że przez szpary niedomkniętych drzwi, że zza węglów chat, z ukrycia ciemnych śpiżarenek, śledzą za nim, gdy przechodzi po ulicy, setki czarnych i modrych oczu i białe piersi kobiece unoszą

się tłumionym westchnieniem. Ale udawał, że to go nie a nie nie obchodzi; gryzł i splotał od rana do wieczora na oczach wszystkich cedrowe orzeszki z niedbałością doświadczonego światowca.

— Co, wygrasz?... Powiedz prawdę!... Jak myślisz? — pytali go kozacy i kupcy. — Radzisz nam robić zakłady, czy nie? Piąta część twoja.

— Ciemna to rzecz gra!.. On uczony a ja tujejszy!... — odpowiadał skromnie, ale mrugał jednocześnie śmiejącymi się oczyma.

Robiono więc zakłady i zwolna ogólne podniecenie dosięgło szczytu.

— Czego on zwłóczy?... Na co jeszcze czeka?

— Boi się!... Złapaliśmy ptaszka!...

— Niech się boi a grać musi!... — gniewał się Kazarinow.

— Do naczelnika w razie czego pójdę!...

Sekretarz milczał, ale się wściekał, gdyż zachowanie się Beniowskiego również napędliało go do trwogi. Komendant żalił się po kątach:

— Doprowadzi on nas do żebraczej torby!... Ale wtedy i my mu nie darujemy. Tak ludzi omamić, a potem zwieść! Tego przebaczyć nie podobna!...

— Mam ja na niego sposób!... Już ja mu wygodzę!... Ani się spostrzeże, jak go wyślą do dalekich ułusów!... — odgrażał się sekretarz.

Przez niewolników, przez wygnańców, przez zaniepokojonych towarzyszy dochodziły te pogróзки i opowieści o powszechnym wzburzeniu do Beniowskiego. Ale pozornie nie sobie z nich nie robił, nie lubił gadać o nich, leczył swe rany, uczył co dzień w szkole gromadkę dużych i małych dzieci, które się bardzo do niego przywiązały, chodził wreszcie do domu naczelnika, aby pogadać z Niłowym i śledzić za leczeniem Nastazji.

Rana dziewczęcia szybko się goiła a oczy, jak

gorejące gwiazdy otwarcie i wymownie wznosiły się na twarz ukochanego nauczyciela, a teraz lekarza i szły za nim wszędzie. Nie mogła z nim jednak mówić, gdyż Mironowna nie zostawiała ich samych ani na chwilę. Pani Niłowowa tymczasem ostrożnie wybadywała pięknego wygnańca o jego rodzinę, o stan majątkowy, o to, czy ma matkę, ojca, jakich krewnych?... gdzie są i co robią?...

Beniowski nie ukrywał przed nią, że majątki miał przez braci zajęte, że pensji generalskiej konfederacja barska pewnie by mu ni mogła wypłacić na skutek swojej przegranej, że w ogóle musi w przyszłości polegać jeno na sobie.

— Nie będzie wam źle nigdzie, z taką głową jak wasza, z takim ułożeniem i urodą, wszędzie miejsce odpowiednie znajmiecie. Jeno tu, w tym zapadłym kącie... — wzdychała niewiasta.

— I tu źle mi nie jest dzięki dobroci państwa!... — wstawiał Beniowski.

— O nie!... To nie to!... To się skończyć musi!... — Ale jak?...

Czekała jakby na przymówkę, ale Beniowski milczał. Dotychczas udawało mu się szczęśliwie przepływać między niebezpieczeństwami, które wyczuwał wśród tych niewiast, w tym serdecznym, rodzinnym gniazdku. Nie chciał o tym myśleć wyraźnie.

Aż raz stało się, że Mironowna odwołana została na chwilę do kuchni. Skoro tylko zniknęła za drzwiami, Nastazja siadła na posłaniu, uchwyciła dłoń Beniowskiego i zaszepotała przerywanym głosem:

— Kocham cię!... I wiedz, wiedz, że raczej umrę, niż wyjdę za kogokolwiek innego... Chyba, że mnie... sam... nie zechcesz! Powiedz, powiedz!... Ale wtedy...

Nie dokończyła. Beniowski spojrzał w jej śli-

czną, stężałą na marmur twarz i pobladł również.

— Nastazjo Iwanowno!... To niemożliwe!... Niech pani nie utrudnia i bez tego przykrego położenia mego... Muszę tu bywać, a właściwie... powinienem przerwać... i lekcje...

— Nie, nie!... Na Boga!... Jeno, jeno powiedz, błagam cię: czy mię...?

— Musiałbym powiedzieć wszystko... a zrobić tego jeszcze nie mogę... Może z czasem... Niech mi jednak pani wierzy, że ze wszystkich... ze wszystkich, jacy tu są...

Na korytarzu zaszurgały pilśniowe pimy Mironowny.

— Dzięki ci, dzięki!... — szepnęła dziewczyna, chowając ręce pod kołdrę. Beniowski również odsunął się dalej. Stara obejrzała ich podejrzliwie.

— Iwan Piotrowicz woła was, panie Beniowski, do kancelarii. Idźcie zaraz... Wysiadujecie tu bez potrzeby! — zrzędziła.

Beniowski wstał i, unikając spojrzenia dziewczęcia, uklonił się i wyszedł.

Nilow siedział sam w swojej kancelarii.

Gdy Beniowski wszedł, kazał mu drzwi za sobą przymknąć i przybliżyć się.

— Powiedz mi, jak to tam było z tą... grą z Kazarinowym i kupcami? — spytał poufale.

Beniowski opowiedział mu w zabawny sposób swoją pierwszą przygodę, swój strach przed własnym powodzeniem, chęć zwrócenia komendantowi pieniędzy, propozycję Czernycha i spółkę jego z sekretarzem, wreszcie dasy przegrywających kupców, ich pogroźki i nadzieje na sprowadzonego Koleskowa...

— I cóż: myślisz, że wygrasz?

— Nie wiem, nie znam tego młodzieńca. Przypuszczam jednak, że się oprę...

— Dlaczegoż więc zwłóczysz?

— Nie czuję się jeszcze na siłach... Następnie miałem ze szkołą kłopoty...

— Słyszałem, słyszałem... Rowy jakieś kopiesz i palisadę chcesz w koło stawiać!...

— Wobec powszechnego przeciw mnie wzburzenia za tę nieszczęśliwą grę, którą muszę dalej prowadzić, wyznaję, że lękam się niespodziewanego wybuchu zemsty albo napadu.

— To prawda, bardzo są na ciebie zawzięci. I na wieleż to ich ukrzywdziłeś, co?

— A będzie, licząc razem z futrami i gotówką, ze czterdzieści dwa tysiące!...

— Aż tyle! — krzyknął naczelnik, podskakując na krześle. — A to nieponie ci twoi współnicy, mówili, że zyskali zaledwie dziesięć tysięcy, i dali mi wszystkiego dwa tysiące!

— Mieli duże wydatki na przyjęcia, na szkołę... Zresztą może ja futra za dużo cenię!... — bronił współników Beniowski.

— Dobrze, dobrze!... Niech ich tam!... Ale ty, Beniowski, już się zgódź i graj, gdyż wiedz, że i ja przyłączyłem się do ich spółki... Pokryję trzecią część przegranej, więc możesz się odważyć... Kiedyż więc?

— Chciałbym, aby ten festyn odbył się, kiedy już wyzdrowieje Nastazja Iwanowna... Uroczystość zapowiada się wspaniale, niechby się młodzież zabawiła. Prosiłbym również Waszej Wysokiej Szlachetności o dopuszczenie do udziału w uroczystości choć części wygnańców, choć tych, co uczą w szkole i mają z nią łączność. Słusznie im się to należy, gdyż festyn ma być z racji otwarcia szkoły.

Niłow zamyślił się.

— Dobrze! — rzekł — pomyślę o tym i pogadam z sekretarzem... Nie wszystko mogę, co bym chciał: pilnują i mnie tutaj oczy bystre a zawistne.

— Cóż oni śmiać powiedzieć?... Pół miasteczka posyła dzieci do szkoły... Czyż Imperatorowa nie nakazuje przykładać się do nauk!?!... Wszystko powstało dzięki rozumowi Waszej Wysokiej Szlachetności i wszystko od Was, panie, zależy.

— Tak to, tak!... Ale wszystko to jeszcze wisi w powietrzu... Może okazać się złe albo dobre, gdyż... jeszcze nie posłałem raportu i nie wiem co powiedzą!... W każdym razie poddanie się Ankałów jest dla mnie wielką pomocą a to tobie zawdzięczam. Śpiesz się z mapami i sprawozdaniem, abym je mógł na przyszły tydzień wysłać. Idź więc już i przygotuj się dobrze do tego festynu!

Gotowali się do niego z przejęciem nie tylko wygnańcy, dla których miał on stać się początkiem jawnego równouprawnienia towarzyskiego, i nie tylko mieszkańcy miasteczka, którzy sobie cuda opowiadali o zapasach wódki, mięsa, ryby, jakie na tę uroczystość gromadzili kupcy pod przewodem Czulošznikowa, ale nawet kameczadalsecy „tajowie” już posłyszeli o niej i ściągali z dalekich ulusów, licząc, że uda się im również dobrze upić przy tej okazji. Stąd pewnie powstała głucha wieść o gotującym się w tym czasie napadzie na białych i naczelnik kazał zdwoić strażę w mieście i powiększyć baczenie. Beniowski również naglił do pośpiechu Stiepanowa, który prowadził roboty obronne dookoła szkoły, zmieniającej się zwolna w małą forteczkę.

Ale ten bynajmniej się nie śpieszył.

— Nie mam do czego! — mówił Panowowi. — Każdy z was ma coś, jakieś zajęcie, jakąś pracę... Mnie odsuwają od wszystkiego!

— Dlatego odsuwają cię, że źle robisz, jesteś niedbały, nieposłuszny, spóźniasz się! — strofował Panow siostrzeńca.

— Wcale nie!... Przeciwnie, płynie to stąd, iż

ten Beniowski widzi, że umiem wiele więcej od niego, że wszystko, co on robi, są to moje myśli i plany, które on sobie zdradnie przyswoił i dowcipnie wyzyskał... Ale to się skończy! Choćby teraz, dlaczego on nie fortyfikuje sam swojej chałupy?... Dlatego, że się na tym wcale nie zna... Każe się śpieszyć, a co warte pale white w zmarzłą ziemię?... Twierdza nie będzie przecież potrzebna wcześniej jak na wiosnę, a wtedy palisada runie, nie ostoi się w obmięklej glinie!... Po co więc się śpieszyć!?!... Chyba po to, żeby większą jeszcze zwrócić uwagę i wzniecić w mieszkańcach podejrzliwość i tak już bardzo rozbudzoną... W gruncie rzeczy nie widzę nawet pożytku z tej twierdzy, przecież mamy uciekać morzem, a ono stąd z górą dwie mile...

— Dobrze, dobrze! Nie mędrkuj i rób, co ci każą!... Beniowski jest po prostu człowiekiem genialnym!...

— Oj, oj!... Byleśmy tylko na tej genialności źle nie wyszli... Bo że jest dla siebie genialny, to dobrze widzę... Dokąd jednak nas zawiedzie, zobaczymy. Do tej pory wszystko w swej garści trzyma — i pieniądze, i futra, i zapasy i wpływy!

— Bo wszystko w gruncie rzeczy jego! Patrz, patrz, my tu gadamy, a twoi cieśle nic nie robią! Idź już do nich, a ja muszę do szkoły... Powiadasz, że Sybajew dawno już czeka?

— Już dawno!... I powiedz sam, czy to bezpiecznie przyjmować we dnie tutaj tego opoja ze zbuntowanymi majtkami? Przecież to zaraz się wyda... A wtedy co?...

Panow pokręcił w zakłopotaniu głową, raz jeszcze spojrzął na Koriaków, stukających ospale siekierami, i pośpieszył do uczelni, aby zastąpić w lekcjach Beniowskiego.

— Sybajew dawno już czeka!... — szepnął markotnie po francusku.

— Powiedziałem mu, żeby przyszedł wieczorem... Żaden z was nie słucha!... — gniewał się Beniowski. — Co miałem teraz uczynić?... Nie widzisz, że szkoła pełna?

— Posadziłbyś na swoje miejsce... Stiepanowa.

Beniowski przemilczał i odwrócił się ku wyjściu.

W sypialni zastał Sybajewa z dwoma marynarzami z załogi Chołodiłowa; jeden był Trofimow, starszy majtek, drugi Paresow, cieśla okrętowy. Obaczywszy Beniowskiego, rzucili mu się do nóg i błagać go zaczęli, aby ich przyjął pod swoją opiekę:

— Przysłali znowu żołnierzy i chcą nas rozłączyć; część wysyłają do Niżniego, część do Awa-czyna... A wtedy wszyscy zginiemy... Skoro z oczu stracimy się wzajem, słabsi wydawać zaczną... Zakują nas wszystkich, zakatują na śmierć! Ty jeden zbawić nas możesz; wpłyn na naczelnika, aby do wiosny pozwolił nam tutaj pozostać, że my nawet gotowi jesteśmy z Chołodiłowym ugodę zawrzeć, byle zabrał od nas pijawkę i dręczyciela Czulo-sznikowa i zgodził się zmienić niektóre warunki, aby nie wszystko tak nam grabiono, jak teraz, że za pracę naszą grosza złamanego nie widzimy, wszystko odlicza Czulo-sznikow na kary i za długie... A karmi nas robaczywym mięsem i zgniłymi rybami... Bez sił ostaliśmy się, bez ochoty do życia, a i wielu od skorbutu pomarło!... — biadali, co-ras to chyląc się Beniowskiemu do nóg.

— I duszę gubi! Jeść z jednego naczynia wszystkim każe — prawowiernym i światowcom! — dorzucił posępnie Trofimow.

Beniowski wysłuchał ich uważnie, następnie rozpytał się o szczegóły umowy, warunki życia, ilość pracy:

— Pamiętajcie że mówić macie szczerą prawdę, tylko prawdę, bo od tego zależy wszystko...

— To się wie, szczerą prawdę! Jak Bóg na niebie — przysięgał Paresow.

Beniowski jednak w czasie indagacji wciąż ich łapał na sprzecznościach i marszczył brwi, a pocziwy Sybajew łagodził nieporozumienia dowodzeniem, że to „wszystko jedno”!...

— Musicie wierzyć mi i słuchać mię przede wszystkim!... — nastawał Beniowski.

— To się wie!... Jak Bóg na niebie!... — powtarzał Paresow.

Na chwilę ucichli, gdyż przed ganek zajechały nagle sanki i rozległy się tam zmieszane głosy. Beniowski drgnął i zachmurzył się.

— Schowajcie się tymczasem tutaj!... — rzekł wpychając gości do małej alkowy, gdzie sypiał.

Ledwie zdążył zasunąć za nimi zasłonę, gdy drzwi otwarły się i na progu stanęła Nastazja w sobolim kołpaczku na głowie, w drogim lisim futerku, wzruszona i różowa od przejażdżki na mroźnym powietrzu; spoza jej pleców wyglądała kwaśna, cytrynowa twarz Mironowny i zawistne oblicze Stiepanowa.

— Nie przychodził pan te parę dni, więc sama uzyskałam pozwolenie odwiedzenia szkoły! Będę uczęszczać na równi z innymi!... — śpiewała dziewczyna, rozglądając się ciekawie po skromnie przybranej komnacie. Oczy jej zatrzymały się na chwilkę na ławie zasłanej skórą niedźwiedzia, nad którą wisiała broń, następnie na stole zasłanym księgami, mapami i papierami.

— Pracuję nad sprawozdaniem dla ojca pani!... — objaśniał uprzejmie Beniowski. — Co zaś do szkoły, to czy pani zaraz życzy ją sobie obejrzeć? Może pani zechce zostać na pierwszej lekcji!? W

takim razie, niech się pani tutaj... rozbierze, tam gorąco!...

— O nie! Tym razem nie!... Chciałabym tylko...
— mówiła Nastazja, trochę zmieszana chłodnym przyjęciem.

— Puściłbyś nas pan dalej od progu, ogrzać się trochę! — rzuciła szorstko Mironowna.

Beniowski cofnął się i z ukłonem wskazał na stolki. Za kobietami wsunął się Stiepanow, nie spuszczaając zachwyconych oczu z postaci dziewczyny.

— Szkoła pełna i jeżeli tak dalej pójdzie, nie starczy miejsca... Sam gotów jestem od dziś zapomnieć prawidła Pitagorasa dla racji przyjęcia i pobytu w szkole, jako kolega osób tak czarownych! — wtrącił z ukłonem i znaczącym uśmiechem młody oficer.

— Łatwo żartować panom, wychowanym w tym od dzieciństwa... Ale my, na tym tu cyplu świata, złaknieni jesteśmy wszystkiego! — odcięła Nastazja.

— Czy aby zadowolnić będziemy w stanie wymagania tak wielkie i surowe!? Czy sprostamy zadaniom tak doniosłym i pełnym niebiańskiego czaru!... — snuł dalej oficer, kręcąc wąsika.

Nastazja rzuciła szybkie, ukradkowe spojrzenie na Beniowskiego, który stał z boku zasepiony, z oczami utkwionymi w ziemię.

— Zbierajmy się z powrotem. Mironowna, bo matka strofować nas będzie...

Wstały; Stiepanow skoczył, aby drzwi przed nimi otworzyć, Beniowski odprowadzał je aż na ganek, siłąc się na grzeczny uśmiech.

— Cudna!... Cudna!... Skądżeś taką wygrzebał, Beniowski?... Warta, żeby i na śmierć za nią pójść! — zachwycił się Stiepanow.

— Idź do swoich ludzi i zważaj, żeby mi tu nikt więcej nie wchodził!... — rozporządził się surowo Beniowski.

Już Panow skończył swoją lekcję i rozpuścił dzieci, a rozmowa ze zbuntowanymi marynarzami nie dobiegła jeszcze do końca. Sybajew był znużony i znudzony i nie krył tego.

— Upewniam was, Auguście Samuelowiczu, że chłopcy są szczerze i zuchy, i że liczyć na ich słowo można! — wstawiał się za swymi protegowanymi.

Beniowski wciąż kręcił głową.

— Nie podobna, nie podobna! Nie można obiecywać rzeczy niedościgłych! Naczelnik nie zgodzi się cofnąć swoich rozporządzeń!

Zgnębieni marynarze milczeli.

— Zrobimy, co każesz! Pójdziemy za tobą choćby na kraj świata!... Zechciej rozkazywać — bąknął raz jeszcze Paresow.

Beniowski zamyślił się:

— Słuchajcie: rozumiem, że wasze położenie jest ciężkie, ale pomyśleliście, co grozi mnie, albo kapitanowi Sybajewowi w razie wykrycia się spisku?...

— Ja bo gotów jestem na wszystko!... rozśmiał się lekceważąco Sybajew.

— Nie o to chodzi, a o wybawienie ludzi!... Otóż, jeżeli potraficie skłonić wszystkich, ale to wszystkich swoich towarzyszy, aby przysięgli i świętą przyjęli komunie, że będą posłuszni mi, że nie porzucą mię w żadnej przygodzie, wtedy dajcie mi znać, a zobaczę, co uczynić wypadnie!... A teraz wracajcie do miasta, a obejdźcie je okólnymi drogami, żeby nie widziano, skąd idziecie, i nie mówcie nikomu, coście tu słyszeli, aż dam znak!...

— To się rozumie!... — mruknął Trofimow. — A tylko z przysięgą będzie ciężko, my nie przy-

sięgamy! Albowiem powiedziano jest: nie będziesz wzywał imienia Boga twego na daremno!

Beniowski bystro spojrział na mówiącego:

— Acha! Słyszałem, słyszałem!... Tyś Kuźniecowski?

— Kuźniecowski! — sucho i niechętnie odrzekł marynarz.

— W takim razie... zresztą pogadamy o tym, zobaczymy... A teraz idźcie już sobie. Czekają na mnie! Tylko ty, Sybajew, zostań. Mam z tobą jeszcze do pomówienia.

Gdy zostali sami, kazał kapitanowi natychmiast uwiadomić związkowych, żeby zebrali się wieczorem.

— Czy znasz porucznika Norina? — spytał na odchodnym.

— Owszem, znam go trochę... Razem służyliśmy...

— Prosi, abym mu pożyczył pięćset rubli na wyekwipowanie się; mianowano go komendantem w Niżnim Ostrogu...

Sybajew uśmiechnął się.

— Nie odda, na to się przygotuj. Gdy ktoś z władzy pożycza od wygnańca, znaczy to, że mu coś zabiera.

— Nie o to chodzi, lecz czy można polegać na innej jego obietnicy...

— O ile nie tyczy się... pieniędzy!

Uścisnęli się za ręce i już mieli się rozejść, gdy nagle Beniowski oparł dłoń na ramieniu oficera.

— Sybajew, czy ty druh mój?

— Tak, wszak uratowałeś mi życie i... wyprowadzisz nas z tej obecnej małości do wielkich rzeczy... Z tobą nic mi nie straszne! Ty jeden tu masz rozum i duszę!

— Słuchaj, zbliżają się ważne sprawy, czuję, że mam coraz więcej nieprzyjaciół. Niedługo może

zostanę zupełnie... osamotniony. Nie chciałbym być napadnięty... z tyłu... znienacka. Rozumiesz, he?...

— Któżby śmiał!...

— Oby tylko nie swoi. Więc pamiętaj!

— Lecz co mam robić?

— Tymczasem nie. Czasem pogłądaj za mną z ubocza, dobrze?... Jesteś szlachetnym i sprawiedliwym człowiekiem, bez zawiści, bez fałszu... Ty i Chruszczow!...

— Tak, wodzu, miłuję cię!...

Beniowski przyciągnął go do siebie i uścisnął: Sybajew niezgrabnie oddał mu pocałunek.

XVIII.

Beniowski wybierał się właśnie na bal, kazał Jędrzejowi wyczernić buty i przygotować bieliznę, a sam pilnie oglądał i oczyszczał z plam swój skromny granatowy czekmeń, gdy zastukano do drzwi, a chwilę potem, nie czekając na wezwanie, wszedł Norin.

— Darujcie, Auguście Samuelowiczu, że przychodzę i ponawiam prośbę moją, ale... gdy nie dostanę tych pieniędzy od was, doprawdy nie wiem, co począć! Tymczasem jest to rzecz pewna; wkrótce po przybyciu odeślę... Jutro wieczorem muszę jechać, a dziś o pożyczce nikt nie chce słyszeć... Wszyscy szykują się na ten wasz wieczór, porobili zakłady lub chcą je robić... Gdyby więc...

— Lęka się pan, że przegram!... — rozśmiał się Beniowski.

— Ależ nie!... Bynajmniej!... — bronił się, czerwieniąc z lekka Norin.

— Bardzo słusznie, bo w grze i na wojnie fortuna kołem się toczy... Ale niepotrzebnie się pan

niepokoi, gdyż wymienioną przez pana sumę odłożyłem i jej nie ruszyłbym... Chcę tylko prosić abyś pan, zajmąwszy urząd w Niżnim, miał wzgląd na nieszczęśliwych towarzyszy moich, pozbawionych wolności i ojczyzny... Mówię o wygnańcach!

Jednocześnie podał gościowi sakiewkę z imperiałami; ten, nie kryjąc radości, przeliczył je drżącymi rękoma.

— Nie uwierzysz pan, jaką mi wyrządzasz przysługę... Chętnie uczynię o co prosisz, i będę miał wzgląd na wygnańców, ku czemu skłania mnie i ludzkość mego serca... Licz pan na mnie!

— Chodzi głównie o danie im swobody ruchów, potrzebnych do zdobywania środków życia przez polowanie, a także o sprzedanie im niezbędnej broni i prochu ze składów rządowych...

Norin kiwał głową, ale mówić wydało mu się, że nie ma już o czym, więc jeszcze raz podziękował i pośpieszył się wynieść. Nie zatrzymywał go Beniowski, owszem wysłał zaraz na rozdroże Jędrzeja z rozkazem, żeby nikogo więcej z miasta nie puszczał, ostrzegając, że pana nie ma w domu.

— Inaczej nie dadzą mi się ubrać!

Tymczasem od tyłu dróżką przez las nadchodzili jeden za drugim spiskowcy. Wkrótce zapelnili szczelnie komnatę; niektórzy byli staranniej przyodziani, gdyż wybierali się stąd na festyn do miasta, ale większość przyszła w codziennej, wytartej i połatanej odzieży wprost z roboty, zmęczona, chmurna i podejrzliwa.

Beniowski powiadomił ich o rozmowie i o swej odpowiedzi marynarzom oraz strzelcom Chołodilowa.

— Długo trzeba czekać! Wyda się!...

— Właśnie o to chodzi, żeby się przygotować... Gdybym im odmówił, uczyniliby jakie szaleństwo na własną rękę, co by wywołało dochodzenia i sądy

i pomogło łącznie nas wykryć... Nie było więc sposobu innego, jak wziąć ich pod swoją władzę i wpływ... Ponieważ jednak to są ludzie niesforni, niewykształceni, a są także wśród nich religijni fanatycy, nie taję, że grożą nam wielkie z ich strony niespodzianki; dlatego rozkazuję, aby od dziś każdy miał broń w pogotowiu opatrzoną i wyczyszczoną, brzeszczoty szabel pociągnięte od nowa o brusy, groty oszczepów odtoczone; też każdy niech ma parę pistoletów na doręczu i sześćdziesiąt ładunków... Kto tych rzeczy jeszcze nie nabył i uczynić tego nie ma za co, temu Chruszczow, nasz podskarbi, wyda potrzebną sumę, aby nie było żadnej wymówki... Proszę pamiętać, bo będę wymagał, sprawdzał ilość ładunków i oręża i ostro za nieposłuszeństwo karał... W razie alarmu na dwa strzały pistoletowe jeden po drugim, zbierać się zaraz zbrojno tutaj do szkoły...

Wśród grobowego milczenia zebranych dźwięczny głos Beniowskiego rozbrzmiał, jak spż.

Wysłuchali rozkazu bez uwag i bez uwag rozeszli się, po czym Beniowski wezwał Jędrzeja; kazał mu psy założyć, zabrał Panowa z Chruszczowym i ruszył do miasta.

Wielki, czarny, niezgrabny, z ogromnych kłód modrzewiowych zbudowany dom Czulosznikowych gorzał od światła. Czerwona łuna ognisk rozpalonych na dziedzińcu otaczała go mglistą, krwawą poświatą. Przy ogniskach na zdeptanych śniegach kupili się niewolnicy kameczadalsecy, poganiacze psów, słudzy, kozacy, żołnierze, dzieci, kobiety i wyrostki z miejscowego pospółstwa, zważeni zapachem pieczonego mięsiwa i wódki, ciekawym widowiskiem oczekiwanego hazardu, nadzieją, że i oni w ogólnym tumultie czymś się pożywią, coś zobaczą, coś usłyszą, co na chwilę ro-

zerwie szarą, nużącą martwość tutejszego garnizonowego życia.

Szmer burzliwych rozmów, wykrzykników, śmiechy, docinki i uwagi, jakimi ta zgraja witała przyjezdnych gości, wpadały do pokoiów przez roztwierane co chwila drzwi i mieszały się tam z rozmowami zebranych, wnosząc w towarzystwo dziką, hulaszczą, rozkielznaną nutę.

Bawialnia była już pełna mężczyzn w kolorowych mundurach i ciemnych kupieckich kaftanach, opuszonych drogimi futrami. W sąsiedniej komnacie widać było przez uchylone drzwi postrojone białogłowy w kuczbajowych kozakinach zimowych, różnobarwnych z atłasowymi wytokami, z sznurami pereł, koralu, drogich paciorków kryształowych na wysokich piersiach, ledwie przykrytych cienką bielizną.

Pośród nich królowała dorodna naczelnikowa w wysokim kokoszniku kameryzowanym szmaragdami i perłami, a obok Nastazja, śliczna, smukła, cała biała, jako żywy posąg z marmuru albo raczej wróżka zimowa, w powłóczystej sukni z śnieżystego multanu z białą futrzaną opuszką. Jenó czerniała nad tym korona jej kruczych cudnych włosów na głowie i płonęły w bladej twarzy pociemniałe od wzruszenia oczy, a koralowe usta uśmiechały się na poły dumnie, na poły lękliwie. Wiedziała, że była piękną, i poglądała wyczekująco przez uchylone drzwi na napływających. Niejeden tam wzrok męski o nią zahaczył z pobożnym westchnieniem, nie jedno tam serce młodzieńcze słodka ścisnęła tęsknota, lecz odbijała dumna dziewczyna wszelkie wyrazy afektu wzgardliwym błyskiem żrenie, jak ciosami szabli.

Od czasu do czasu wchodził do komnaty stary Nitów i z czułością spoglądał na córkę.

— Ach, Nastka, Nastka!... Wystroiłaś się, jak

na „asambleję” dworską!... I po co?... Nikt cię tu nie oceni!... Za darmo przepadną twe starania!... Co innego im pachnie!... Nie widzisz!?... Beniowski więcej ich teraz obchodzi, niż najpiękniejsza z niewiast!... — żartował podchmielony i rozgadany.

— Daj jej pokój!... Kiedyż ma się ubrać, jeżeli nie w takim wypadku! — broniła matka dziewczynę.

— A może i nie przyjdzie ten Beniowski?... — wtrąciła setnikowa Czernych, dygając przed naczelnikiem.

— Ho, ho!... Musi!... Z kozakami go tu sprowadzimy!... Nie ma żartów!... Skoro raz nazwałeś się grzybem, to marsz do kobiałki!...

— Już jest... Widzicie go!... I całą zgraję wygnańców z sobą sprowadził, zuchwalec!... — szepnęła skromnie żona protojereja Łożkowa.

— Pozwoliłem mu! — mruknął Niłow i zawrócił na salę.

Przybycie Beniowskiego na chwilę stłumiło wrzawę, ale rychło wybuchnęła ze zdwojoną siłą.

Pchano się ku niemu, zagadywano, witano, a gospodarz ciągnął go do stołu, gdzie stały karafeczki i gąsiorki z wódkami, beczułki z piwem i miodem. Oddzielono go niebawem od towarzyszy, którzy skromnie pozostali w pobliżu wejścia. Jeden Stiepanow pod ścianą przedzierał się zwolna w stronę niewiast; miał na sobie frak zielony, obszyty złotym galonem, pożyczony na ten wieczór u Gurcynina, białe łosiowe spodnie Norina i jegoż białe pończochy i czarne trzewiki z kokardami. Wyglądał wcale dobrze i trzymał się dostojnie tak, że mieszkańcy, nie poznając go, usuwali się mu z drogi pokornie, jak jakiemu dygnitarzowi.

Niebawem zagrała muzyka, gdzie rej wodził na skrzypcach Bielski, a pomagali mu usilnie: woj-

skowy gobojnik, flecista i brzękacz, walący z nie-małą umiejętnością w tęgie tace mosiężne. Warkot i hałas był tak wielki, że głosy ludzkie łącno stłumił i zwrócił serca wszystkich ku tańcom.

Uprzątnięto środek komnaty, mężczyźni zebra-li się w kupę przy wejściu, a pleć biała siadła rzę-dkiem na ławie pod ścianą przeciwległą; starosta taneczny kazał kawalerom brać damy do kadryla. Przystąpił więc kapitan Czurin do pani Niłowo-wej, a Stiepanow sunął śmiało do Nastazji, ale już go uprzedził Sudiejkin; wziął więc wygnaniec córkę Czulośznikowa i tak zgrabnie nią obracał, że wzbudził powszechny podziw. Nawet Nastazja przyglądała im się ciekawie, lecz trwało to krótko, gdyż wałęsający się wśród tańczących Grześ coś jej szepnął, co ją bardzo zaniepokoiło. Zaledwie ustała muzyka, opuściła tańczących i z bratem ra-zem precisnęła się ku drzwiom sąsiedniego po-koju, pełnego spiętrzonej aż po powałę ciżby.

Ludzie stali na ławach i patrzyli na środek, przez głowy innych tam, gdzie siedziała półkolem na zydlach starszyzna, a przed nią, na niewysokim stole zmagał się w szachy Beniowski z Kolesko-wym; obok leżały kupy czerwońców, srebrnych rubli i tyńfów i stały czarki z gorzałką, której zre-szta nikt nie pił.

Koleskow był czerwony, tarł często czuprynę dłonią i, czekając na posunięcie przeciwnika, stu-kał wziętym pionkiem cichutko po stole; Beniow-ski był blady, ale poza tym niczym nie zdradzał wzruszenia.

— Szach i mat!... Muuurrowany!... Moja!... Wzięłem! — wykrzyknął radośnie Koleskow.

Uczynił się ruch, wiele osób powstało i wzbu-rzone głosy zaczęły się spierać:

— Wygrał... Wygrał!

— Gdzie zaś!... Prosty wypadek!...

— Górą nasza!...

Tłum zakolebał się i odepchnął w tył Nastazję.

— Źle będzie z Beniowskim!... Ojciec trzyma za nim... stawia... Jak przegra to grubo, a jak straci, to znasz tatkę: nie daruje mu stary!... Będzie źle!... Szkoda mi go, zawsze on prawdziwy wojskowy i... pocziwe „uczydło”!... Nie nęka tak jak ten stary diak przeszłego roku!... — szeptał Grześ.

— Boże, Boże!.. Po cóż on gra? Ostrzegałam go!...

— To pani zna się na szachach?... — spytał niespodzianie Stiepanow, który już ich zdołał odzyskać. — Jestem przyjacielem Beniowskiego i mogę ręczyć pani, że na świecie nie ma przedniejszego nadeń gracza.

— A jednak przegrał!...

— Wypadek. A może miał w tym czasie zbytne szczęście w czym innym?... — dodał znacząco.

— Boże, Boże... Już nie chcę!... Niechby, niechby wygrał!... — szeptała dziewczyna.

— Zanim ustawią szachy i rozegrają początek, chodź Nastka potańczyć trochę ze mną... — prosił Grześ.

— Jużem obiecała temu oto kawalerowi, ale myślę, że ustąpi ci, jako bratu.

— Wola pani jest dla mnie rozkazem, choć mi ciężkie takie zrzeczenie się!... — uśmiechnął się kwaśno Stiepanow. — W każdym razie następny taniec zachowa pani miłościwie dla mnie!

— Tańczy pan gawota?

— Tańczę gawota i nawet menueta!

— Tego nie znam. Ale gawota pokazywał mi książę Zadzkój. Jenó że sam nie ma już w nogach potrzebnej sprawności!... — rozśmiała się dziewczyna.

Zabrzmiała znowu straszna orkiestra, tłumiać nie tylko gwar rozmów, lecz i łagodny głos skrzy-

piec Bielskiego; na ścianach i powale zamigały cienie tańczących. Tańczyli wszyscy, kto tylko znalazł sobie tancerkę; tańczyły i starsze i młodsze białogłowy, tańczyły mężatki i panny; tańczono zamorskie i swojskie tańce... Wodzano korowód, śpiewano pieśni... Najwięcej aplauzu uzyskał ruski „hołubiec” z chusteczką, a najlepiej tańczył go Szwed Brondorp z naczelnikową. Ta ostatnia wołała jednak tańczyć z Sybajewym, który był o wiele młodszy, a ponieważ od niejakiego czasu nie pił, wyglądał wcale ładnie w swoim kapitańskim mundurze.

W sąsiednim pokoju zapatrzony w szachownicę, zapomniawszy o skupionych wokoło widzach, rozwijał ostrożnie swe plany Beniowski, zdradziecko napadał nań Koleskow, wywołując to okrzyki radości, to przestachu, to zachwytu i zdziwienia w szeregach swych zwolenników. Chmurnie przypatrywał się grze naczelnik Niłow; gryzł wargi, trząsł brzuchem i podśpiewywał nieprzyzwoite piosenki sekretarz Nowosiłow, a setnik Czernych omal nie płakał.

Beniowski zdawał się nikogo nie widzieć; długo namyślał się nad każdym posunięciem i robił je lekko, zręcznie, ujmując łebki figur z wysoka białymi palcami długiej swej dłoni. Koleskow sam do siebie gadał, powtarzał znane figliki i śmieszne przypowiadki graczy:

Łap pionka,

Jak skowronka!...

A królowę,

To bij w głowę!...

Do konika

Nie podchodź bez biczyka!...

Wreszcie, gdy losy walki ważyły się zbyt długo, wyjął z kieszeni jakąś wyrzeźbioną w kształcie potworka kościaszkę i postawił ją wśród zabranych bieriek.

— Tego nie wolno!... — protestował Czernych.

— Dlaczego!? Niech stoi!... To jego bóg!... — wołali ze śmiechem widzowie.

— Co ona komu wadzi?... Pan Beniowski też może sobie postawić, co chce... — bronił „swego człowieka” Kazarinow.

— Istotnie nic mi nie wadzi!... — zgodził się Beniowski.

Ale gdy i tym razem Beniowski przegrał, zerwała się prawdziwa burza; stronnictwo kupieckie wyło i tupalo z radości; Koleskow postawił swego potworka na kupce wygranego złota, tkał mu w rozdziawioną paszczę dukaty, wołając jak oszalały:

— Pisztak... Rykszta... Buks!... Na, żryj, używaj... Łomgis... Hokus...

— Tak, tak!... Chwat Koleskow!... Ty go pociesz, uszanuj!... Wygodził ci, twój przyjaciel, sam bóg ankalski!... Ho, ho!... — zachęcano gracza z tłumu.

— Takeście mi go zachwalali?... A, co widzę? Nic nie wart ten wasz Beniowski! Ja nie płacę! — gniewał się Niłow.

— „Woził, woził... razy kilka, powiozą i wilka!...” Oj, powio-za!... W sam czas... w samiućką porę na miejsce ciepłutkie. na sam pęp świate!... — nucił przez zęby, błyskając jaszczurczymi ślepkami, sekretarz.

— Co z nami wyrabiasz, przeklęty rabię!... Osmagać cię każemy, przybłędo!... Co wyrabiasz?... Oczy straciłeś? Czyś się tak zadufał w rozum swój, że już uważać na posunięcia nie chcesz?... — Przecie widoczna było, kiedy królowę

posunął, że konia ruszać nie można, a ty co?... — krzyczał Czernych z pianą na ustach, szarpiąc za rękaw Beniowskiego.

— Puść mię pan!... Jeszcze gra nie skończona! — odparł ten.

Usta mu drżały, wąż jeżył się, ale opanował gniew i powiódł śmiałym wzrokiem po okalającym go murze rozognionych twarzy, błyskających ślepi, wyszczerzonych w drapieżnym śmiechu zębów, nastroszonych bród, rozwichrzonych włosów. Czernych chwycił się za głowę i rzucił się w tłum.

— Dziesięć tysięcy... dziesięć tysięcy, nie licząc futer... — powtarzał, przepychając się ku wejściu. — Chodź, Grzesiu, chodź!... Napijemy się wódki! — schwycił spotkanego na drodze chłopca pod rękę i powlókł go z sobą.

— Przepadliśmy! Pasy drzeć z niegodziwca!... Kto go wie, może on się zmówił z Kazarinowym?... Przegrywa a potem się z nim podzieli!... Śledztwo, śledztwo!... Dać go katu!... Jak go żelazem przypieką, jak mu pod paznokcie trzaski smolne wbiją, wszystko wyśpiewa!... Już ja się o to postaram!... Och!...

Wpadli do sali, gdzie choć muzyka ryczała, nikt już nie tańczył, a wśród gości panował rozruch, i gwar, i popłoch, gdyż wszystkim udzieliło się wzburzenie, napływające z komnaty graczy.

— Co się stało?... — pytała brata wylekła Nastazja.

Przeciskała się właśnie przez falującą ciżbę, przy uprzejmej pomocy Stiepanowa, tam, skąd szli oni.

— Beniowski znowu przegrał!...

— Co ty mówisz!? Nie może być!...

— Mówię ci. Ho, ho, Koleskow w kaszy zjeść się nie da!... „Tutejszy, tutejszy”, „matolek”, „żółtobrzuch...” powiadają... A niejeden tutejszy

może dwóch „stolecznych” wart!... Ty byś, Nastka, jego wzięła sobie za nauczyciela!... Towarzysz on takż o wiele weselszy od Beniowskiego... Piosenkarz doskonały! — żartował Grześ.

Nastazja zwiesiła bezradnie ręce, zdawało się, że padnie.

— Tu ciężkie powietrze!... Niech lepiej pani wyjdzie na ganeczek, przyniosę pani okrywkę!... — troszczył się i zabiegał koło niej Stiepanow.

— Już mi lepiej!... Nie trzeba!... Pójdę do ojca!... Prowadź mię pan!

Gdy Beniowski, ustawiwszy szachy po raz trzeci, obejrzał przed grą przycichły tłum, dostrzegł przede wszystkim w odległym kącie prawie pod powalą bladą, zbolalą twarz Chruszczowa i posępnie gniewną Panowa, gdy zaś wzrok zniżył, ujrzał nagle w szeregu groźnych, podejrzliwych i wrogich spojrzeń przygasłe od przerażenia, wierne i tkliwe oczy dziewczyny. Jakby nagle promień słońca błysnął mu w skłębionych chmurach. Stała za krzesłem ojca, sama jedna niesłychanie czysta, dziewicza i powabna w tym męskim roznamiętnionym tłumie. Beniowski uśmiechnął się do niej, lecz rychło oczy odwrócił, gdyż spoza jej głowy wychyliła się niespodzianie blada i wąska, zawistna twarz Stiepanowa.

—No, zaczynamy!... Hej, ty stary... Pamiętaj Puksza!... Ignis, lapis, finis!... — przynaglał Beniowskiego Koleskow, grożąc jednocześnie palcem swemu fetyszowi.

Była to jednak ostatnia wygrana Koleskowa. Daremnie zżymał się, mówił straszne, nikomu niezrozumiałe zaklęcia, wymyślał i groził swemu kościanemu potworkowi za każdą wziętą figurę i nawet go pod stół sadzał za karę. Beniowski wygrał jedną partię, potem drugą, trzecią i czwartą. Znużeni widzowie już się zaczęli rozchodzić, już daw-

no umilkła muzyka, opróżniła się sala balowa, już odeszła do domu pani Niłowowa, zabrawszy Nastą, już błękitny świt wpadał do komnat i mieszał się z czerwonym światłem dopalających się świec, już sen morzył nawet samego naczelnika, gdy wreszcie wstali gracze od stołu i Czernych drżącą ręką począł liczyć wygrane.

— Dwadzieścia pięć tysięcy... prócz futer... — wyjąknął przerywanym głosem. — Czy teraz podzielimy się, Sergiuszu Mikołajewiczu? Czy potem?

— Nie pilnego... Oddaj tylko Beniowskiemu należną część... Podziału dokonamy jutro... w kancelarii! — odpowiedział znacząco sekretarz i spojrzał na Niłowa.

Ten skinął głową i ciężko uniósł się z siedzenia.

Czułoszniów podbiegł ku niemu z fałszywie uprzejmym uśmiechem:

— Już Wasza Wysoka Szlachetność mój dom ubogi opuszcza, a może jeszcze raczy przed wyjściem gardło swe zwilżyć... Mam butelkę ratafii na tę okazję!...

Niłow kiwnął głową w milczeniu; pili, tracali się i Beniowskiego pić prosili, ale w picciu kupców już nie było wesela. Jedynie Kolesków wychylał kielich za kielichem, napełniając je sobie sam nie proszony, aż beknął w końcu płaczliwie na cały głos:

Przepadajcie moje wozy,
Wszystkie cztery koła wraz!...
Bukszta!... Puros... Fligeloo!...
Ignis, finis... lap!is... czynis!...

— A i podły ty człowiek jesteś, Beniowski!... Zgubiłeś mię do cna!... Czarownik ty jesteś, cha-

rakternik!... Uśmiechałeś się wciąż i stukąłeś butem w ziemię!... niesprawiedliwie grasz!... Gdybym wiedział, nie zgodziłbym się nigdy!... Kto wie, kto ty jesteś? Mnie tu wszyscy znają... ale ty skądś się wziął?... Ha!... — wstał nagle i podszedł do Beniowskiego niepewnym krokiem, schwycił go jednak wpół ciała Czulośników i odprowadził na stronę. Kazarinow, który przegrał najwięcej, nie ruszył się wszakże, nie zaprotestował przeciw niegrzecznemu zachowaniu się swego człowieka i gniewnych oczu z Beniowskiego nie spuszczał. Tylko setnik ujął się gorąco za wygnańcem, z całą wiarą powtarzając ułożoną niedys przez siebie bajeczkę o swoim rodzicu, uratowanym w czasie wojny na dalekim Zachodzie przez ojca Beniowskiego.

Nilow zasypiał nieprzytomnym pijackim snem, z trudem doprowadzono go do sanek, na które padł jak nieżywy.

Ranek różowy zarumienił już szczyty gór, i śniegi nizin, i dachy domów, i oszronione lasy, jako mgła, bielejące w oddali. Gasły gwiazdy na rozświetlającym błękiecie zimnego nieba, a dymy dopalających się ognisk przed domem Czulośnikowa nisko tłukły się po zdeptanym, zbrudzonym, szerniałym dziedzińcu niedawno jeszcze tak białym i gładkim. Beniowski wracał piechotą do domu samotny i zamyślony.

XIX.

Po przebytych wzruszeniach miasteczko, syte wrażeń, wyczerpane, ucichło na jakiś czas. Plotka jeno snuła się dalej cichymi krokami z domu do

domu, rozważając wielokroć wszelkie szczegóły przeżytych zająć i wyprowadzając tysiączne wnioski, co do dalszych i bliższych ich skutków.

Beniowski usilnie pracował wraz z Baturinym nad wykończeniem map i opisów Kamczatki, których brak był, według słów naczelnika, jedyną przeszkodą, wstrzymującą wysłanie umyślnego gońca do stolicy.

Goniec miał tam zawieźć wiele rozmaitych sprawozdań urzędowych, wyroków sądowych, raportów i projektów, a w ich liczbie przedstawienie Beniowskiego do nagrody i ułaskawienia, wiadomość o poddaniu się plemienia Ankalów, nareszcie nowy pomysł Beniowskiego, przygotowany i przeprowadzany przezeń w głębokiej tajemnicy i ukryciu. Powiadomił o nim tylko Chruszczowa, Panowa i Baturina, prosząc ich o zupełną dyskrecję.

— Nawet przed Radę tego nie wniose, aż upewnię się w powodzeniu i przygotuję grunt! Jasne jest, że spisek nasz już długo się nie ukryje: zbyt wielu jest wtajemniczonych i zbyt rozmaici są wśród nas ludzie... Trzeba więc główne nasze siły stąd wyprowadzić i oddzielić od miejscowej ludności. W tym celu chcę namówić Niłowa, żeby nam pozwolił założyć kolonię rolniczą na południowym cyplu półwyspu...

— Kolonię rolniczą?... Bajki!... — przerwał mu Chruszczow. — Już tu był przed paru laty niejaki Ryzykow, próbował siał jęczmień i żyto, wziął z kancelarii tysiąc rubli zapomogi, wszystko stracił, a zasiewy wyginęły od wczesnych przymrozków, jakie tu są co roku!

— Być może, że tak by się i tym razem stało, lecz my przecież siał nie będziemy... Chodzi o to, aby nam pozwolono osiąść gromadnie daleko stąd, na morskim wybrzeżu... Spróbuję więc przekonać Niłowa, że rolnictwo tu możliwe, a skoro mi się

uda, proszę was, żebyście mię w naszej Radzie poparli!

— Najchętniej! — zgodził się Baturin. — Plan jest dobry, nie wiem tylko czy wykonalny!

— Plan wyborny... Pozwoliłoby to nam i robić niepostrzeżenie zakupy na drogę, i zbroić się, i w razie czego zbudować nawet sobie tam okręt! — gorączkował się Chruszczow. — Czy aby się uda!? Mocno wątpię!...

— Przyjacielu, powodzenie powodzeniem się wspiera. Spróbuję w każdym razie... W razie odmowy takż nie stracimy... Będziemy innego sposobu szukać!

Tegoż dnia jeszcze o zmroku udał się Beniowski do domu Niłowa i poprosił, aby go zameldowano naczelnikowi. Nastka posłała z zapytaniem Grzesia, a sama zabawiała gościa rozmową w jadalnym pokoju.

— Kto to jest ten Stiepanow?... Wydaje się być wcale grzecznym i umoderowanym człowiekiem!

— Jest to były kapitan, kawaler ze wszech miar godny...

— I poeta!... niech pan przeczyta, jaki mi przez Grzesia przysłał dzisiaj madrygał!

Podawał mu papier w kilkoro złożony, a gdy Beniowski wahał się i nie brał, sama wetknęła mu go w palce.

— Chcę, nauczycielu, abys przeczytał, a może mi poradzisz, co mam z tym robić?... — szepnęła zalotnie i odsunęła się odeń, słysząc za drzwiami kroki matki.

— Ach, to ty, Auguście Samuelowiczu, a ja myślałam, że to kapitan Sybajew! Miał przyjść i przynieść jakieś szczególne aleksińskie wyszycia, przywiezione niedawno z Niżniego przez tego nieszczęsnego Koleskowa... — mówiła wesół Marta Karłowna, błyskając agatowymi oczyma. — Pogrą-

żyłeś go mocno i kupców zarówno, Auguście Samuelowiczu... Biedny! Słyszałam, że pije śmiertelnie z rozpacz! Zdaje się, że już nikt nie będzie miał odwagi z tobą stawać w zawody!

— Wszelka gra jest próbą fortuny, szanowna pani, i nigdy nie ma się w niej pewności...

— Już ty chyba, Auguście Samuelowiczu, wielką zawsze i we wszystkim mieć możesz pewność!

— Najlepsze zamiary kruszą się często o błahe przeszkody. Choćby teraz — widząc straszną trudność i niedostateczność wyżywienia tutejszej ludności, drożyznę mąki, przywożonej o tysiące wiorst, zamierzyłem prosić właśnie Iwana Piotrowicza, o pozwolenie na zrobienie próby posiewu zbóż rozmaitych...

— Już je robiono i nie wyszło okrom wydatków i przykrości...

— Słyszałem o tym, lecz mnie to nie zraża, gdyż pan Ryżykow był kupcem, nieuzdolnionym wcale do rolnictwa...

W tej chwili Grześ wezwał Beniowskiego do naczelnika do świetlicy: Marta Karłowna zaciekawiona podążyła za nim, a za matką pociągnęła i Nastazja.

Niłow z początku słuchać nie chciał o projekcie siania zbóż, przypominając w gwałtownych wyrazach swój zawód i wstyd z Ryżykowym, lecz Beniowski tyle w rozmowie rozwinął nowych dowodów, taką przy tym zdradzał znajomość agrikultury, botaniki, klimatyki oraz innych nauk, że stary słuchał go coraz uważniej, tym bardziej, że i żona i córka popierały wciąż wygnańca pochwalnymi wykrzyknikami:

— Po wszystkie wieki ludzie modliliby się za ciebie, Auguście Samuelowiczu! Przecież w razie powodzenia byłby tu kraj mlekiem i miodem płynący... — zachwycała się Niłowowa, słuchając opi-

sów szumiących kłosami niw i wyobrażając już sobie góry taniej i bajecznie doskonałej maki. — Mąka tutejsza rządowa jest taka, że często trzeba ją młotem kruszyć i siekierą rąbać... W długiej drodze przez bory i wody zamaka na ulewnych deszczach, śmierdnie od skóry juczych worów, w których ją wiozą, a leżąc w składach rządowych zatecha... Ani ciasta wymiesić z niej jak należy, ani rość chce od najlepszej zakwaski! — Gлина i glina!...

— A i tej często nie ma!... W tym roku korę sosnową już jedliśmy! — westchnął Niłow. — Cóż, kiedy aura tu nieodpowiednia!...

— Aura wcale odpowiednia, panie. Pod tą szerokością w innych krajach winograd dojrzewa... Operacja słońca jest dostateczną, trzeba jedynie dobre wybrać miejsce, zasłonięte od wiatru, suche, aby zboże szybko szło w kłos i aby ten nie pieścił się, nadmiernie nie delektował wilgocią, lecz rychło dojrzewał... Należy też dlatego duże pole od razu obsiewać, żeby grzało grunt własną runią, żeby się nasycalo słońcem w pogodę... Lasy karczować, bo tam grunt żyzny; znaczne jednak od razu polany, żeby obsychały, żeby szron, ciągnący zawsze, z boru na kłosach nie siadał. A dlatego próbę należy robić wielką siłą ludzi, całą kolonią, jak to czyni się i w Europie na ziemiach nowych... Ryżkow obsiewał zapewne małe poletki...

— Obsiewał małe! — przyznał Niłow.

— Widzisz, mężu!... Pan Beniowski ma rację... A co by to był za triumf, gdybyś tu rolnictwo zaprowadził... Jakby się ucieszyła Cesarzowa Pani Nasza Serdeczna! Co? Przecież wciąż pisze w swoich rozkazach, aby troszczyć się o szerzenie na nowych ziemiach sztuki rolniczej.

Niłow powstał wzburzony.

— To prawda!... Już nie wiem jaką by za to dali mi nagrodę! Tyle tysięcy rubli rocznego wydatku skarbowi oszczędzonych, kultura w dzikie kraje wprowadzona!... — gadał, chodząc po komnacie.

Beniowski zamilkł, bojąc się spłoszyć nastrój.

— Pewny wtedy i generalski czyn, i pensja przyzwoita, podwyższenie na urzędzie... Nie do Ochocka, ale do samego Tobolska może by nas przeniesiono... Zabrałbym wtedy z sobą ciebie, Auguście Samuelowiczu, zabrałbym z sobą na pewno...

Nastazja mimo woli jakoś znalazła się obok Beniowskiego i patrzyła na niego takimi oczyma, że ją matka aż za rękaw szarpnęła.

— Bój się Boga, dziewczyno, ojciec!... — szepnęła, uprowadzając córkę.

— Ach, już mi wszystko jedno, już mi jedno!...

Niłow wszakże niczego nie spostrzegł, chodził po pokoju, marzył głośno i popijał od czasu do czasu wódkę z lampki srebrnej drobnymi łykami.

— Nie częstuję cię, Auguście Samulewicz, bo wiem, że nie używasz... He, he!... Do wina, do drogich trunków przyzwyczajon jesteś... He, he!... A my tu... siwuchę! He, he!... Więc powiadasz, że całą tam chciałbyś urządzić kolonię na cyplu południowym, na Łopatce!? Widzi mi się, że tam wiatrowisko, że dmucha od morza...

— Można będzie przedtem obejrzyć, pomyśleć, przekonać się. Wasza Wysoka Szlachetność rok rocznie przecie objeżdża podwładny sobie okręg, może mię tym razem ze sobą zabierze!

Ha, zobaczymy, zobaczymy! Pogadam z sekretarzem...

— Sekretarz sam by może chciał coś takiego urządzić... Czy więc okaże się przychylny naszym projektom?...

— Musi! Jak każe, to musi!... Ze mną krótka sprawa!... Ale istotnie może lepiej, żebyś mi przedtem, nie mówiąc nikomu, szczegółową zapiskę przedstawił, zanim nie wyjechał goniec... A mapy zrobiłeś?... Nie!... Widzisz, idź już, idź!... Śpiesz się!... Kończ mapy i pisz zapiskę o kameczackiej florze i agrikulturze!

Uradowany Beniowski udał się natychmiast do domu, aby podzielić się tak radosną wieścią z towarzyszymi. Spory kawał za miastem na drodze spotkał się z Czulośznikowym i Koleskowym, którzy wbrew zwyczajowi szli piechotą przez las. Tknięty niemiłym przeczuciem, obejrzał się wokoło za jakim kijem lub schronieniem. Już go jednak kupcy dostrzegli i zbliżali się, zdwojonym krokiem.

— Właśnie od ciebie wracamy, Auguście Samuelowiczu... — zaczął słodko Czulośznikow. — Chcieliśmy prosić cię, abyś zechciał grać w naszym imieniu z przyjezdnymi z Niżnie-Kameczacka kupcami... Wczoraj przyjechali i, nasłyszawszy się o twej w grze doskonałości, płoną ochotą spróbowania się z tobą...

— Bardzo żałuję, ale, zgodnie z umową moją z sekretarzem i komendantem, nie wolno mi grać w niczym innym imieniu!...

— Wiedzieliśmy o tym, hultaju, i wcale nie o to nam chodzi! Swoją się tu wiernością zasłaniasz, a co jednocześnie z naszymi ludźmi wyrabiasz?... Podniecasz ich do buntu, podmawiasz do nieposłuszeństwa!... Pomoc im swoją we wszelkiej swawoli obiecujesz!... Mało, żeś nas nieuczciwą grą obrabował, chcesz nas do reszty na mieniu zrujnować... Co uczyniliśmy ci i dlaczego taką nienawiścią ku nam pałasz?... Ale urwie się twoje tu panowanie!... Nie takich ukrócaliśmy mołojców!... Nie takich!... W dyby pójdziesz, w dyby!... Na łańcuch do ściany,

kuną za szyję! Ha, niegodziwcze!... Zaraz chodź z nami do naczelnika a zobaczymy, co mu powiesz, co zaśpiewasz, łgarzu i lisie chytry! Nawracaj!

Beniowski odstąpił kroków parę.

— Rozum straciłeś, człowieku! Widać onegdaj-sza przegrana pozbawiła cię całkiem zmysłów... Napadasz mię tu na drodze i posażasz o tak głupi i nierozsądny zamiar... Cóżbym ja z twoimi ludźmi tu robił? Jaką korzyść z ich buntu rzekomego wy-ciągnął?... Prawda, iż ludzie z ekwipażu twego przychodzili mię prosić, iżbym im dał pierwszeń-stwo w budowli śpichlerza przy szkole; prawda i to, iżem zrobił z nimi w tej mierze układ, którego nie inaczej odstąpię, chyba za wyraźnym gubernato-ra rozkazem. Lecz nie waż się brać tego mojego tłumaczenia za usprawiedliwienie się przed tobą... nie upodlę się do tego stopnia! Miasto co byś miał grozić, lękaj się sam o siebie!... Pośpieszę zaraz jutro do gubernatora i doniosę mu, jak srodze po-stępujesz ze swymi ludźmi, którzy z trudem tylko pracą rąk się żywią... Ty swym barbarzyństwem i niegodziwością i tego ich pozbawiasz... Wszystko im wydzierasz, okrutny i zdradziecki człowieku!

— Dobrze, dobrze!... Szczekaj sobie, co chcesz!... Mam kontrakt potwierdzony w kancelarii tutejszej, wiem, co robię, i nauk od byle przybłedy słuchać nie potrzebuję! Coś ty za jeden?... Warnaku piętn-owany!... Nie jutro pójdziesz do naczelnika, a zaraz... Koleskow, bierz go!

Beniowski odskoczył od nich jeszcze dwa kroki i zasłonił się ręką. Z przodu lał na niego z wysoko podniesioną pałką rozjuszony, na wpół pijany Ko-leskow, a z boku podstępnie zachodził Czulošzni-kow. Beniowski wciąż się cofał, brodząc po kolana w śniegu, aż oparł się plecami o drzewo. Wtedy do-padł go Koleskow i z całego rozmachu uderzył w wyciągniętą rękę; ta zwisła natychmiast, jak obcię-

ta szmata, ale w tejże chwili Beniowski zdążył chwycić drugą ręką za koniec kija Koleskowa i mocno go ku sobie pociągnął; Koleskow potknął się, potoczył i kij wypuścił. Widząc to, Czulośznikow zatrzymał się i pośpieszył kuzynowi z pomocą. Lecz ten już zerwał się na nogi i, wystawiwszy głowę przed siebie jak byk, rzucił się na przeciwnika. Czulośznikow ruszył z drugiej strony i zmożliwy na pewno Beniowskiego, gdyby nie zjawił się niespodzianie Sybajew. To walce nadało inny obrót; Czulośznikow uciekł, a za nim podążył, chwiejąc się i potykając, Koleskow; Beniowskiego, pokrwawionego i z boleśnie rozbitą ręką, Sybajew poprowadził do domu. Tam Beniowski, opatrzywszy naprędce zdrapania, i przewiązawszy rękę, przywdział czyste ubranie, kazał zaprząć Jędrzejowi psy i pojechał niezwłocznie wraz z Sybajewym do sekretarza. Opowiedział mu całe zajście, powtórzył oskarżenie Czulośznikowa — rzekomy powód bójki z nim, Beniowskim, wreszcie jego zatarg z własną załogą.

— Wiem, wiem!... — potwierdził urzędnik. — Posyłałismy mu żołnierzy.

— Ale źródłem wszystkiego jest odmowa moja na propozycję ogrania z nimi do spółki przyjeżdżnych z Niżniego kupców, Gorochowa i Inokietniewa...

— Taki lis!... Rozumiem! A potem myśleli, że poraniwszy ciebie, wykręcą się od tych piętnastu gier, do jakich obowiązani są kontraktem!... Dudki!... Ja to zaraz załatwię!... Jedziemy natychmiast do naczelnika!... Ci lichwiarze i wydrwigrosze myślały, że jak mają pieniądze, to już im wszystko wolno, że wszystko mogą!... Zobaczymy: istnieje jeszcze władza państwowa!... — gorączkował się sekretarz, wodząc rękoma po rozkołysanym brzuchu.

— Nie się takiego nie stało! — próbował uspokoić go Beniowski.

— Jak to: napad na przejezdnej drodze.

Wysłał Sybajewa po komendanta, a sam z Beniowskim ruszył do fortecy.

W jego opowiadaniu zwykła burda zamieniła się w zbrodnię stanu; daremnie Beniowski starał się sprowadzić ją do rzeczywistych rozmiarów: sekretarz nie dał mu przyjść do słowa.

— Ty, Beniowski, milcz! Ty chcesz być wspa-
niałomyślny, ale ty się na niczym nie znasz... Gdy-
by im pozwolić, wszystkich by oni zapędzili tutaj w
barani róg; za wódkę, za pieniądze i podarunki
łatwo skłoniliby na swoją stronę i kozaków, i kra-
jowców, i mieszczan i odwróciliby się od państwa i
zaprowadziliby swoją republikę... A jakaby ona
była, my o tym dobrze wiemy; przychodzili do
mnie ci sami ludzie Czulosznikowa, pokazywali
kociołek ze strawą: śmierdzi jak padlina i rusza się
od robaków... Wszystkich by oni, drapieżnicy, ob-
łupili, jak lipę z łyka... Umiaru nie zna ich chci-
wość... My z urzędu stoimy, z imienia Imperatoro-
wej, jako obrońcy uciśnionych, jako sprawnicy i
stróże praw, bez których człek człękowi wilkiem
się staje!...

Naczelnik wściekł się od tej przemowy; żyły mu
na skroniach nabrzmiały, nos posiniał, oczy wysz-
ły z orbit. Gdy przybyły Czulosznikow ujrzał go
w takim stanie, padł na kolana.

— A gdzie Koleskow?... Gdzie ten zbój? — py-
tał wielkim głosem władca.

— Leży chory od ran i krwi upłynięcia...

— I pijaństwa! — wtrącił komendant.

Sprawa została osądzona doraźnie i wyrok wy-
konany natychmiast: Czulosznikow został skazany
na sześć miesięcy robót publicznych, a Koleskow
na pięćdziesiąt kijów. Na próżno Beniowski starał

się o złagodzenie wyroku, sekretarz pogroził mu palcem:

— Oj, Beniowski, Beniowski! Zbyt wiele ty o sobie trzymasz!... Patrz, żebyś się i ty... nie dostukał!...

— Żle... — przyznał się Beniowski Sybajewowi, gdy w nocy wracali z tego dziwnego sądu.

— Tak!... Będą nas nienawidzić! Ale co było robić?... Jakbyś ty się nie poskarżył, to oni oczerniliby ciebie... Widziałeś, że po to do ciebie przyłecieli!... Tu nie ma wyboru!... Jedyne rady uciec stąd daleko, daleko w świat; tam, gdzie ważą się wielkie sprawy i dzieją wielkie rzeczy! Ech, Beniowski, Beniowski... pomyśl, czy to nie głupia rzecz, żebyś ty zginął z ręki pijaka!? Co wtedy byłoby?... Nie chodź ty piechotą po ciemnych ulicach miasteczka, ani po lesie!... Nie zawsze w porę pomocy przyjsć się uda!... Sam wiesz, mówiłeś!...

— Żle, źle!... — mruczał Beniowski. — Trzeba się z tymi ludźmi jednak w jakikolwiek bądź sposób pogodzić!

XX.

Zgoda nie udała się. Kołeskow umarł od uderzenia krwi do głowy, jak zawyrokował medyk Meder. Człuchoznikowa wprawdzie zwolniono za wstawieniem się pani Niłowowej od robót publicznych, ale zdwojono mu karę pieniężną. W miasteczku głucho wrzało przeciw wygnańcom.

— Takie kary za pobicie jednego obywatela! Przecież to nasi ludzie, tutejsi, wszystkim znani obywatele!... I wielka rzecz, że przetrącili tamtemu rękę!... On sądem skazany, pozbawion wszelkich praw, to i zabić go nawet wolno bezkarnie, a on tu

rzadzi krajem, jak gubernator... Białe, gładkie na gębie, wygadane, więc go białogłowy bronią. Wiadomo, jak łasa jest na chłopów naczelnikowa, a i córka też oczu z niego nie spuszcza!... — szemrano po kątach.

— Było dobrze, dopóki on się nie zjawił... Niech go ruszy powietrze... Bodaj ręce połamał i nogi!... Bodaj zgnił za życia! Nawet zabawić się teraz nie można; zaraz musisz z nim grać, a z nim gra nieciekawo... Wyjmij pieniądze zawczasu i połóż! — użalali się kupcy.

Wprawdzie Beniowski zwłóczył i wykręcał się obecnie od gry, lecz długo to trwać nie mogło; sekretarz przy każdej okazji dawał mu odczuć swe niezadowolenie, a komendant nawet groził.

— Ostrzegalem cię!... — wyrzucał Chruszczow Beniowskiemu, gdy ten opowiadał mu te smutne nowiny.

— Nie było innej drogi! Wskaż mi ją, proszę?... Rzeczy płynęły naturalną koleją... A zresztą nie jest jeszcze najgorzej. Cała sztuka, żeby im rzucić teraz inny plan, który by ich pychę i chciwość podniecił, zajął. Wszystko szło dobrze i gdyby nie ten wypadek z Koleskowym... Ha, cóż robić!... Często zdarzają się nieprzewidziane przygody, do których trzeba się nagle przystosowywać!... Przywarujemy na jakiś czas, aż ludzie zapomną... Będziemy po cichu gotowali się do wymarszu, szykowali broń i zapasy... A kiedy projekt wsi rolniczej utrwali się i dojrzeje w umysłach urzędników, oni sami dadzą nam zapomogę rządową — kilka, może kilkanaście tysięcy rubli. Wtedy zakupy i zamówienia łatwo pogodzą kupców z... nami!

— Bez sekretarza i w tej sprawie się nie obejdzie!... Będiesz więc musiał grać i wygrywać!... I tak dookoła historia o „białym byczku”, jedno się za drugie czepia...

— Cóż robić... Będę grał!...

Grał i znowu ograł Kazarinowa i Proskuriakowa na kilka tysięcy rubli; przy czym między tymi dwoma i Czulosznikowym wynikły przykre za-
targi, gdyż ostatni przez swe skazanie na karę uważał się za zwolnionego od nieszczęsnej z nimi spółki.

Choć Niłowa w czasie samej gry nie było, sekretarz zaniósł mu natychmiast należną część, co starego wprawiło w doskonały humor.

W przystępie wylania opowiedział nieostrożnie sekretarzowi o propozycji Beniowskiego: założenia osady rolniczej na cyplu Łopatki.

— Ryżykow był głupcem, nieukiem, ale temu człowiekowi wszystko się udaje, wszystko on umie i wszystko wie... Wiadomo, był generałem!... — gadał stary, popijając z kielicha burztynową nalewkę z maroszek. — Dobra wódka! Muszę ją pochwalić, choć moja! — Niczym ananasówka!... Spróbuj, Sergiuszu Mikołajewiczu, własnego wyrobu mej żony!... — zachęcał gościa.

Ten, jakiś chmurny, nie kwapił się.

— Nic mi nie mówił o tym projekcie!... — szepnął wreszcie.

— Ba!... Miał przedtem obejrzać ze mną okolicę, żeby się ostatecznie przekonać!... Chciał z tobą już na pewniaka!... Co! Szanuje on bardzo twój wielki rozum!... Co!?

— Więc go bierzesz z sobą, Iwanie Piotrowiczu?... A czy to wypada?... Ty go z krajem w ten sposób zapoznasz, a on potem ucieknie!...

— Głupstwo!... Po co ma uciekać, albo mu tu źle!... Na pewno go ułaskawią w Petersburgu za zasługi już dokonane; gdyby zaś mu się powiodło to, co teraz planuje, wtedy może nawet dostać jaki urząd, na przykład inspektora rolniczego z pensją i rangą... Zresztą ja go tu nie zostawię!

— To wyjeżdżasz?...

— Staram się o przeniesienie do Ochocka, albo jeszcze dalej na południe, ze względu na... wychowanie dzieci... i moje zdrowie, zniszczone tutejszym klimatem. Rozumie się na wyższą posadę, należy mi się ona z lat wysługi; gdyby zaś udało się z uprawą zboża, pewny jestem, że nie odmówiono by mi nawet Tobolska. A wtedy ty, Sergiuszu Mikołajewiczu, mógłbyś zająć moje miejsce... Nawet na pewno je zajmiesz, bo któż inny...

Sekretarz poruszył się niespokojnie.

— Nie mówmy o tym, Iwanie Piotrowiczu, wcale nie pragniemy się rozstawać z wami i waszą rodziną... Będziecie nam jeszcze długo tu panowali, ku zadowoleniu i szczęściu wszystkich...

— Zaczny przyjacielu! Z pewnością ciężko się będzie rozstać, służyliśmy tyle lat razem. Koń się przyzwyczaja a cóż dopiero człowiek. Wiesz co, rzuć ty tę swoją... Agafię!

Sekretarz poczerwieniał i, przymrużywszy oko, obejrzał uważnie pod światło nalaną w kieliszek nalewkę.

— Co za kolor! Warta całusa... Najczystszy bursztyn!... Rzucić to można, dlaczego nie rzucić, trzeba tylko wiedzieć po co?...

Niłow otworzył usta, lecz choć mocno rozmarzony wypitą nalewką, przypomniawszy sobie jednak rozmowę z żoną i wstrzymał się.

— Pogadamy, pogadamy, ale przedtem trzeba ten plan Beniowskiego wyświecić...

— To nie trudno! Możemy wyjechać zaraz po świętach... Może i komendanta z sobą weźmiemy i... szachownicę! Co?... W Wierchniem, w Niżniem, w Awaczyńsku... dużo jest... graczy!... Tutaj już nie bardzo mają ochotę!... Co? — rozśmiał się naczelnik.

— A co uczynimy z Kazarinowym?

— Ha, swoje dograć musi, ale zdaje się, że na całe życie mu starczy...

— Nic mu nie będzie!... Jeszcze sto razy w pierze porośnie, stary lichwiarz!... Ale ty, Sergiuszu Mikołajewiczu, zachowaj w tajemnicy, co ci o Benowskiego planach mówiłem, żeby nas kto nie ubiegł... Po co gadać, kiedy nic jeszcze nie wiadomo!... Co!?

— Rozumie się. Więcej powiem: nie należy i jemu zbytnej ufności i zachwyty wykazywać, aby nie wyprowadzić go z rygoru... Już i tak grać nie chce, unika...

— Co ty mówisz!...

— A tak!... Po trzy razy prosić go trzeba... kozaków nieledwie posyłać!

— Ach, tak nawet! Dobrze!... Zaraz mu to wymówię...

— Broń Boże!... To materia delikatna!... Gотовi nas w razie czego pomawiać o przymus... Niech mu tylko Wasza Wysoka Szlachetność da poczuć pewien chłód usposobienia, a on zaraz wyrozumie, o co chodzi! Ostra on sztuka!...

— Oho, ostra!... Ale i kosa na kamieniu się szczerbi!

Zacni współnicy uścisnęli się za ręce i rozstali, niezmiernie z siebie zadowoleni.

Nilow udał się na niewieścią połowę domu szukać córki, czuł potrzebę zobaczenia się i pogadania z nią. Nie znalazłszy dziewczyny w pokoju, podrep-tał do kuchni.

— Gdzie Nastka!?

— W szkole.

— To chodzi?

— Jeździ, a nie chodzi... z Mironówną... rozumie się?

— Nie wiem, po co jej to?... Głupstwo i tyle!

— Przecież się zgodziłeś!...

— Nie nie pamiętam. Miał uczyć dzieci u nas... Nie wypada naczelnikównie...

— Idź już, idź, stary, i połóż się spać... Zakropileś znowu czuba od samego rana... Stoisz tutaj w otwartych drzwiach, przeciąg robisz, ciasto mi przez ciebie nie wyrośnie, a do świąt zostało dwa dni!...

Niłow nie ruszał się, patrzył na nią spode łba mętnymi oczyma, a żyły mu na skroniach zwolna nalewały się krwią.

— Ja was nauczę!... — zaczął — ja was... nauczę... Gdzie Grześ?...

— I Grzesia nie ma, też w szkole!

— Szkoła... nauka!... Ja was nauczę!... Ciasto..., Święto!... Babo przekłeta, ty mi za wszystko odpowiesz... Gdzie córka!? Dla gachów tutaj wyzerkę szykujesz, a o dzieci nie dbasz!... Ja was nauczę!... Gdzie Adelajda i Marta?... Rzuciliście mię starego na pastawę samotności! Ja was nauczę!... Cia-st-o! Patrzcie ją!

Zbliżył się chwiejnym krokiem do dzieży i zepchnął naczynie z ławy uderzeniem buta. Żółtawe, pyszne ciasto popłynęło grubą strugą po brudnej podłodze pod nogi osłupiałej Niłowowej i śmiertelnie przerażonej kucharki Kamczadalki.

Marta Karłowna rychło jednak oprzytomniała i, przybliżywszy się z uśmiechem do męża, szepnęła:

— Jaśku, Jasieczku!... Masz rację!... Chodź, obgadamy i ułożymy wszystko, jak sobie życzysz. Wszyscy przecie jesteśmy wierni twoi poddani i niewolnicy... Zrobisz z nami, co zechcesz... Ale chodź już stąd, bo tu gorąco i możesz się przeziębić... a wtedy smunte mielibyśmy święta!

Niłow wciąż stał pośrodku izby, rozkraczywszy nogi nad płynącym z dzieży ciastem, i patrzył mętnymi oczyma na blade uśmiechającą się żonę.

— Aha, boisz się, co?

— Boję się, Iwanie Piortowiczu, boję!...

— Kogo się boisz? mnie, swego opiekuna i karmiciela!... Co?... Ja cię nauczę!...

— Ależ nie!... Boję się, że... sobie buty zawalasz obrzydliwym ciastem...

Nilow spojrzał pod nogi i nagle wdepnął oboma stopami w gęsty, drogocenny rozczyn; Kameczadalka aż przysiadła z cichym okrzykiem. To ostatecznie udobruchało Iwana Piotrowicza; kazał niewolnicy przypiechnąć do siebie, wytarł o nią powalane obuwie i z błogim uśmiechem pozwolił się znie uprowadzić do sypialni.

XXI.

Niewesoło zapowiadały się święta; w samą wilię wiatr od morza taką przywiał zamieć, że ciężki chmurny dzień rychło zamienił się w siwą, rozdygotaną noc. Śnieżycą hulała cały tydzień świąteczny, zawiała domy po wręby, przecięła zaspami drogi i utrudniła wszelką łączność nawet między bliskimi sąsiadami. Jaki taki, przyciśnięty potrzebą, włókł się, przytrzymując oburącz za poklaski sani, do lasu po opał, albo do miasta po sprawunki, lecz że smagane wichrem psy nie chciały wieść, mało znalazło się i na to ochotników; woleli marznąć lub obchodzić się w święta bez wybredniejszej strawy i napojów.

W domu naczelnika nudzono się śmiertelnie. Po urzędowych z rana wizytach, nikt już tu nosa nie pokazywał. Nilow miał na pociechę swój gąsioreczek, siedział przed ogniem, płonącym na kominku, popijał tę lub ową nalewkę i brzdąkał na wyreperowanej w tym czasie przez Beniowskiego gitarze.

Ale postrojone białogłowy nie miały się gdzie z nudów podziać. To szły do swoich pokojów, to do kuchni, to w jadalnym siadały na ławach i patrzyły markotnie na stoły, zastawione łakociami, dzbanami i butelkami w oczekiwaniu gości. Marta Karłowna krzyczała wciąż na dzieci, żeby nie dokazywały i nie niszczyły świątecznego ubrania.

Mironowna śledziła pilnie za wszystkim i co chwila wstawiała swoje trzy grosze w ogólne gderanie. Nastazja uciekała i chroniła się po kątach przed matką i niańką, a Grześ znikł od samego obiadu.

— Co ci to, gołąbko, dziecino moja?... Zwiesiłaś główkę, jak zmrożona lelija!... — pytała się troskliwie Mironowna dziewczyny, zdybawszy ją wreszcie we własnej komnatce z czołem opartym o framugę okna.

— Ach, Mironowna, życie mi zbrzydło!...

— Wiem, wiem!... Wyszłabyś za mąż, dziewczyno, byle za kogo, byle za chłopca... Ulży ci, zobaczysz!

— Na Boga, Mironowna, daj ty mi spokój!....

Zerwała się i wyleciała; wsunęła się cicho do ojca, wyjęła mu z sennych rąk gitarę, przysiadła mu u kolan przed ogniem, cicho zabrzdąkała i zanuciła:

To nie śniegi w polu bieleją,
To bieleją ciała dziewicze,
To nie lilie tam rozkwitają,
To się kąpią córki księżęce...

Jedyną rozrywką w tym czasie były w miasteczku „maszkary” i kolędnicy, którzy bez względu na zawieję włóczyli się z domu do domu, oprowadzali „kozę” i „niedźwiedzia”, śpiewali pieśni,

urządzali rozmaite figle, straszili dziewczęta i dzieci.

Grześ bardzo się chępił, że go nie poznano w domu, i dawał do poznaki siostróm, że w gronie kołędników był „sam Beniowski”.

— Nie wierzę, nie może to być... Wiecznie zmyślasz... -- dowodziła mu Nastka.

— Doprawdy... ten wysoki, co stał w kącie.

— Widzisz, że kłamiesz... Zupełnie niepodobny; co najwyżej mógł to być Stiepanow...

— Zawsze z tej samej paczki i wcale od Beniowskiego nie gorszy. Chcesz, to go przyprowadzę...

-- A przyprowadź go sobie, cóż mi to szkodzi!...

Śnieżyca, jak nagle się zerwała, tak nagle uciechła. Na Nowy Rok weszło słońce nad doliną, zrytą wydmuchami, sfałdowaną zaspami ubitego śniegu. W dali wśród szczytów górskich, w głębokich skalnych rozpadlinach jeszcze się kurzyły resztki zawiei, niby dymy gasnących pożarów.

Mieszkańcy, zlaknieni powietrza, widoku okolicy i sąsiadów, rojnie wysypali na ulicę. Co chwila przemykały się sanie, łamiąc z trudnością twarde śniegowe wydmiska; obok biegli zdyszani psiarze, a na saniach leżeli nieruchomo, owinięci w futra, miejscowi dygnitarze i bogacze, śpiesząc z urzędowymi wizytami do naczelnika oraz innej „władzy”.

Beniowski, jako starosta wygnańców, musiał też pół miasta objechać, rozwożąc obowiązkowe podarunki świąteczne: wyborowe futerka lisie, kunie, sobole oraz ręczne wyroby wygnańców: szkatułki, pasy srebrne, kunsztownie rżnięte wyroby.

Czasami otrzymywał jakie oddarze, czasem — nie, zależnie do tego, co i komu dawał. Poniektórzy kupcy i mieszczenie bogatsi posyłali mu sami goś-

cinie do domu, na znak pamięci, przyjaźni i szacunku.

Cała nieomal wieś wygnańcza zbiegła się do szkoły dla oglądania i podziału tej zebranej „kolędy”. Wesolo gwarzyli, popijając herbatę i częstując nią przybyłych z miasta gości, gdy wtem wstał od stołu blady jak śmierć Czurin młodszy i wyszedł za drzwi. W sieni wszakże, jęcząc, padł z wielkim łoskotem; skoczyli go ratować zebrani, lecz wśród nich również pojawili się chorzy, wszyscy jednak na boleści w żołądku i wymioty. Wszczął się popłoch wśród pozostałych.

— Zaraza!... — wołali, zrywając się od stołu i garnąc ku wyjściu.

— Stójcie, stójcie! — wstrzymywał ich Beniowski, sam słaniający się na nogach. — Porzucacie nas więc na pewną śmierć? Taką to miłość wasza i braterstwo!? Nieście tutaj natychmiast przed ogień Czurina, rozcierajcie mu ciało, a wody ciepłej wlejcie do gardła dostatecznie, żeby zrzucił... Ty, Chruszczow, skocz do spiżarni, nieś stągiewkę z świeżym tranem... Trzeba ludzi ratować!... A niech nikt jedzenia i picia ze stołu nie rusza!

Mówił coraz ciszej, aż skłonił się na ławę i zakrył twarz rękami. Obok Panow, Baturin, Winblath wili się w boleściach; inni, padłszy na ziemię, tarzali się, ryczeli i bili piętami o ziemię, jakby tknięci morowym powietrzem.

Chruszczow, Sybajew, Stiepanow, Wołkow, Brondorp i Serebrennikow, zdrowi jeszcze uwijali się wśród chorych, pojąc ich wodą, tranem, rozcierając tężejące członki, układając wygodniej na ziemi, gdyż na ławach już miejsca nie stało. Przerażenie ogarnęło wszakże ratowników, gdy Czurin i Panow zaczęli krwią zrzucać; już chcieli biec po pomoc lekarską do miasta, gdy wstrzymał ich oprzytomniały cokolwiek Beniowski.

— Nie posyłajcie! Nie róbcie popłochu!... Co wam pomoże pijany Lapin?... Zresztą: nie znajdziecie go? Pewnie od rana suszy dzbanki u sąsiadów! Zanim go przywieziecie, będziemy albo uzdrowieni, albo umarli... Lepiej przyłóżcie tutaj wysiłków, grzejcie na ogniu misy cynowe, gliniane, jakie są i kładźcie ciężej chorym na żołądki...

Na ratowaniu chorych zszedł czas wygnańcom aż do wieczora.

Tymczasem do Kazarinowa zjechali się wedle umowy: sekretarz, komendant z żoną, Proskuriakow z żoną i siostrzenicą, kupiec Krasilnikow z całą rodziną, pisarz kancelaryjny Sudejkin, kapitan okrętu Czurin starszy, świeżo przybyły z Awaczyńska, wreszcie naczelnik Niłow z żoną, córką i synem. Podczas gdy białogłowy na niewieściej polowie domu, gryząc cedrowe orzeszki, powiadały sobie domowe i miejskie nowinki, uzbierane w czas niepogody, panowie zebrani w świetlicy tręcili się kielichami i czekali niecierpliwe na przybycie Beniowskiego.

Gdy ten wszakże nie zjawił się, zaczął Proskuriakow nastawać ze słodziuchnym uśmiechem, aby przystąpiono nie zwlekając do gry, ponieważ wszyscy zgodnie z umową są już na miejscu, a o Beniowskim nie koniecznie tam powiedziano...

— Nawet nie nie powiedziano!... — wtrącił chmurno Kazarinow.

Porwał się komendant Czernych, jechać chciał po Beniowskiego, lecz wstrzymali go kupcy opowieścią, że pewnie hula z towarzyszami i jako ich przełożony opuścić ich w dzień świąteczny nie może.

Pogodził zwaśnionych dobrze już rozweselony napojami naczelnik, ogłaszając z rzewnym uśmiechem, że sam zamierza zastąpić w grze Beniowskiego i przegraną z własnej kieszeni pokryje...

— Ale nie myślcie... że przegram! Poznałem w stolicy swego czasu wszystkie tej gry fortele... Przygotuj, Kazarinow, kabzę!... A może kto jeszcze życzy sobie... do spółki ze mną!?

Na razie nikt się do gry nie kwapił, wszyscy jednak z wielkim zaciekawieniem obstąpili stolik, gdyż to był pierwszy występ na tym polu Jego Wysokiej Szlachetności. Wyzwany na pierwszy ogień Kazarinow rad nierad rozstawił drżącą ręką szachy; z początku widać było, że chce przegrać, ale gdy naczelnik go kilkakroć razy zgromił, stary się rozjątrzył, zapalił i... wygrał.

Niłow też się zapalił, podwoił stawki i kielichy...

Goście z coraz większym zainteresowaniem przyglądali się niebezpiecznym zapasom. Aż dobrze po północy wpadł na niewieścią połowę domu Grzes, wołając:

— Mamo, tatuś wszystkie pieniądze przegrał, już kołpak soboli i szubę zastawia!

Pobiegła niezwłocznie pani Niłowowa do świetlicy, a córce i synowi kazała zbierać się do domu, psiarza zawołać z saniami, aby zajeżdżał.

Z wielkim trudem przy pomocy sekretarza i komendanta, udało się jej męża z sali wyciągnąć. Kazał Kazarinowi na siebie czekać, bo miał ino do domu po gotówkę pojechać. Stało się jednak inaczej, gdyż, wypiwszy tam parę kruż, podanych przez żonę, niby na drogę, z „obawy aury niezdrowej w czas tak spóźniony”, już się ze stolca nie podniósł i rychło tam usnął, a żona z córką i Mironówną niebawem go rozdziały i do łóżnicy przeniosły.

Ale nazajutrz od samego rana nastał prawdziwy dzień sądny w domu naczelnika zarówno z ciężkiego pochmiela głowy rodziny, jak z żalu jego po przegranej. Ci, co wchodzili do świetlicy, gdzie naczelnik wielkimi krokami z kąta w kąt krążył, drze-

li i żegnali się w skrytości przed drzwiami: leciały stamtąd jeno przekleństwa, brzęki i stukoty. Co chwila wzdychała nasłuchująca w korytarzu Mironowna.

— Słyszę, nikię karafeczka nowiutka!... Zydel we drzwi!... A teraz dzban cynowy... O Jezu, Jezu!... Co z nami będzie! Od powietrza, ognia i wojny, wybaw nas Panie!

Naczelnikowa z dziećmi zamknęła się w pokoiku Nastki. Siedząc skulona z dwiema dziewczynkami przytulonymi po bokach, przysłuchiwała się bojaźliwie stamtąd ciężkim krokom rozlegającym się od czasu do czasu w sąsiednich komnatach, i ochrypłemu głosowi, wypytującemu Mironownę, gdzie są dzieci.

— Niech zaraz... zaraz przyjdą!... Słyszysz, stara!... A to każe cię smagać przed domem gołą na śniegu!...

— Może mię Wielmożny Pan choć zabić, niewolnicą jestem... Wiadomo! wolna w tym wasza wola... Ale co zrobię, kiedy wyszły... — dowodziła śmiało staruszka.

— A... a... a... gdzie klucze?

Kopnął nogą we drzwi Naścinej komnatki.

— Zamknęła i klucze z sobą wzięła. Ma tam swoje dziewicze sekrety...

— Przed ojcem, co?...

— I ojciec mężczyzną jest i przed nim srom niewieści Matka Bośka chować każe!

Niłow mruczał, odchodził i znów wracał, rozpalony coraz silniejszą gorączką. Niezmiernie więc ucieszyła się Mironowna, gdy wystraszony kozak ordynans oznajmił przybycie Beniowskiego. Niłow patrzył na kozaka tępyimi oczyma, jakby go nie rozumiał.

-- Aa!... Beniowski!... — rzekł wreszcie. — Dobrze! Niech wejdzie! Prowadź go!

Gdy Beniowski stanął wyciągnięty po żo'niejsku w progu, naczelnik wlepił weń ten sam wzrok tępy i zamglony.

— Przyszedłeś... A?... A wczoraj, co .. co wczoraj robiłeś, ha? Czy wiesz, coś zrobił wczoraj, czy wiesz?...

— Wasza Wysoka Szlachetność, bardzo byłem chory i dziś jeszcze z trudem .. przywlokłem się!

— Ha, gadaj zdrów!... Znamy te kłamstwa!... Choroba, zawsze choroba!...

— Nie ja tylko byłem chory, ale cała nas gromada, a jeden nawet... umarł, gość mój Czurin, brat kapitana z okrętu „Piotra i Pawła”.

Niłow zrobił wysilek, zamyslił się i jak gdyby zaczął trzeźwieć.

— Umarł, mówisz? A możecie go .. zabili!?

— Właśnie z obowiązku służby, jako starosta wygnańców, muszę całe zdarzenie opowiedzieć...

— Zaraz, poczekaj! Mironowna, dawaj kwasu z lodem, słyszysz! Żywo! Siadaj, Beniowski! Tymczasem, skoro to okazuje się... zabójstwo... pośle po sekretarza i komendanta, niech robią śledztwo! Co? Opieczętuja... majątek... i jego... i twój... i was wszystkich... Tak, tak: was wszystkich!

Wiedział Beniowski, że nie dojdzie z nim do ładu, więc nie opierał się, nie prostował na razie omyłek, rad, że zobaczy kogoś przy zdrowych zmysłach.

Za chwilę weszła pani Niłowowa, niosąc dzban kwasu i dwie kruże; była blada i uśmiechała się wymuszonym uśmiechem.

— Ha, jesteś nareszcie!... Gdzież to się włóczyłaś?... Co? Wyobraź sobie, co za noworoczna historia: ci zbrodniarze popili się i zabili... brata Czurina! Dam ja im!... Ho!... Pokażę!

Przyłożył krużę do ust i pił chciwie Niłowowa spojrzała z przerażeniem na Beniowskiego i wyszła.

Gdy przyjechał nareszcie sekretarz z komendantem, Niłow był już spokojniejszy, jeno przekrwione i wyszłe z orbit oczy zdradzały niedawne wzburzenie. Siedział posepnie, podparłszy brodę na łokciu, i słuchał opowiadania Beniowskiego o wesołym zebraniu gości u niego i smutnym zabawy końcu.

— Wpadliśmy na myśl, że zostaliśmy otruci, gdyż niektóre kawałki cukru miały smak słony. Naówczas parę z nich wybraliśmy, owinęliśmy w płatki ryby i daliśmy owe pigułki do zjedzenia psu i kotu. Zwierzęta w pół godziny zdechły...

— Kogóż podejrzewacie?... komu co by przyszło z waszej śmierci?... — spytał głucho sekretarz.

— Od wielu ludzi dostaliśmy dnia tego gościńce. Otóż między innymi dostaliśmy głowę cukru od kupca Kazarinowa. Wyśledziliśmy, że jadowity cukier z tej głowy pochodził.

— He! Głupstwo!... Nie oszukacie mię! Popiliście się i pobiliście się!... Każę trupa felczerowi krajać!... — mruknął Niłow.

— Czyś ty, Beniowski, też pił ową herbatę? — spytał sekretarz.

— Piłem, ale mało; gdyż jako gospodarz, dużo zajęcia miałem z ugoszczaniem gości.

— A to podła kupiecka dusza! Taką wymyślić historię!... — wybuchnął komendant.

— Juściż, że trupa należy krajać... — zwrócił się Beniowski do naczelnika. — Lecz przed tym, czy Wasza Wsoka Szlachetność nie uważa za słuszne zawołać wprędce, aby uprzedzić rozgłos, zaraz tu niby na południowe zaproszenie do siebie Kazarinowa i poczęstować go herbatą, oświadczając mu nawiasem, iż w upominku ode mnie Wasza Wysokość dostała głowę cukru, którą z nim masz teraz ochotę napocząć... Obaczymy, co na to powie

ten pan!? A wtedy, szlachetny panie, postąpisz wedle prawa i swego rozumienia.

Długo tłumaczyli sekretarz i komendant naczelnikowi, wezwawszy do pomocy panią Niłowową, zanim nareszcie Iwan Piotrowicz zrozumiał, o co chodzi, i zgodził się.

— Ale ja tej herbaty pić nie będę... nie potrzebuje pić!?!... — wołał.

— Ależ nie!... Ona może być zupełnie inna, nasza, gołąbku!... Nie o to chodzi!... — przekonywała go Marta Karłowna.

Na jej rozkaz zastawiono w jadalni stół, jak na przyjęcie; na boku w kącie umieszczono głowę cukru, zupełnie podobną do ofiarowanej wygnańcom, odrąbano od niej spory odłam, napełniono kawałkami cukru cukiernicę. Gdy przybyły Kazarinow z drugimi gośćmi wszedł do komnaty, już kipiał samowar i pani Niłowowa królowała koło niego, nadstawiając pilnie uszu, aby lepiej słyszeć, co przybyli powiedzą. Beniowski stał ukryty przy drzwiach w korytarzu. Gadano o szykujących się na wiosnę wyprawach na Aleuty, o uszkodzonym okręcie Chłodiłowa, o rządowym statku „Piotr i Paweł”. wmarzniętym w lody u przystani na Czekawce.

— Czy aby starczy wam, kupcy, w tym roku zapasów herbaty i cukru? — spytał zdradliwie sekretarz.

— O, nie ma obawy!

— A często pijacie w domu herbatę?!... — wmieszał się Niłow.

— Kilka razy na dzień, zwyczajnie jak wszyscy!... — odparł zdziwiony Kazarinow. — Parzymy brzuchy! Wiadomo: zimny klimat kamszacki!

— Jacy ci wygnańcy jednak dobrzy! — zaśpiewała niespodzianie Marta Karłowna drżącym trochę głosem. — Przynieśli mi wczoraj w prezencie noworocznym dwie głowy cukru... Dostali je pono

od was, zacny Tymofiej Archipyczu!... Napocniemy ją właśnie...

Uprzejmy uśmiech znikł nagle z twarzy kupca, zbladł jak chusta.

— Co wam jest? — już zupełnie przerażonym głosem zaszepiała Niłowowa. — Czy nie boli was co, Tymofiej Archipyczu?...

— Właśnie. Dolegliwość mam przykrą, maszę wyjść!

— Nie waż się! Siadaj i pij zaraz razem z nami!... Będzie ci lepiej!... — warknął Niłow.

Mimo to Kazarinow spróbował wstać, lecz skończył doń obcesem sekretarz i komendant.

— Musisz pić!... Pij albo przyznaj się, coś zrobił? — wołali.

Obejrzał się kupiec za siebie, spaśne ciało pochylił naprzód, jak do ucieczki; wtem spostrzegł we drzwiach gniewną, surową twarz Beniowskiego, ręce przed siebie wyciągnął i upadł na kolana.

— Łaski, naczelniku, łaski, Iwanie Piotrowiczu!... Obrony! Pozbyć się go chciałem... Prawda: chciałem go uśmiercić!... Po nocach nie sypiałem, jeść, pić nie mogłem, ani żony całować... ani nie... Wszystko obrzydło mi, co ludzkie jest! Nie żeby mi chodziło o te kilkanaście przegranych tysięcy... W naszym stanie kupieckim rzecz to zwykła — zyskujemy, tracimy, znów zarabiamy... Ale tak się dać złapać! Tak się dać okpić!... Żółć mię zalewała, ile razy to sobie wspomniałem... I komu? Jakiemuś obieżyswiatowi bez rodu, plemienia! Wszystkich on opętał, oplątał... Wszystkich... Nienawidzi on nas, prawosławnych, przekłety schizmatyk, papista... Oczarował on nas, rzucił na mózgi zaćmienie... Wszyscy mu wierzą, a on wszystkich do zguby wiedzie... Nawet na córki nasze, na cnotę dzieviczystych śmie się w rozpuszcie swej targać! Patrz, czcigodny Iwanie Piotrowiczu, co znaleźliś-

my przy trupie nieszczęsnego Koleskowa... Mało tego: niejaki Piacynin był u mnie i wyjawiał, jako zbrodzień Beniowski zamierza wszystkich wygnańców zjednoczyć, aby na nas uderzyć znienacka, zwojować, po czym, owładnąwszy okrętem, uciec na morze, jak ów Ochotin... Więc, grzeszny człowiek, chciałem go co prędzej struć, aby zdołał, zanim by swe piekielne zamiary wykonał...

— Kiedyżeś się tego wszystkiego dowiedział? Wczoraj wieczór jeszcze mi nie mówił!...

— Bo dziś dopiero był u mnie ten człowiek, właśnie chciałem powiedzieć...

— A truleś ludzi dzień temu!... Łziesz i łziesz... Ale my cię zmusimy prawdę wyśpiewać... Sameś pewnie z nim był w zмовie! — syczał sekretarz.

— Tu to jest ten papier... od trupa!... — bełkotał Kazarinow, wyciągając z zanadrza zmięty papier.

— Więc przyznajesz się, żeś tych ludzi trul?... — spytał głuchym głosem Nilow, powstając.

— Chciałem uwolnić wszystkich, Bóg świadkiem.

— A co byłoby, gdybyśmy wszyscy zażyli twego cukru? He? — zapytała Nilowowa.

— Czurin umarł!... — wtrącił posępnie sekretarz.

— Zgrzeszyłem. Winien jestem ukarzenie!... — bił się kupiec w piersi i robił raz za razem znak krzyża.

— Stąd pewnie idzie wszystko, żeś się chciał w ten sposób od gry wykręcić!... — dorzucił zapalczywie komendant.

— Jakie miałeś zamiary, to się pokaże. Popelnileś zbrodnię i sądzoneś według prawa. Teraz pójdziesz do więzienia! — zawyrokował sekretarz.

— Weźcie go!... Zaraz go bierzcie!... — rozkazał Niłow.

Komendant Czernych z podręcznym kozakiem wyprowadzili płaczącego kupca, a sekretarz podjął z ziemi zmięty papierek, rzucił nań okiem i wyszedł na korytarz do Beniowskiego, ale Beniowskiego tam już nie zastał.

Usłyszawszy zeznanie kupca o Piacyninie, wybiegł on natychmiast, siadł na sanie i kazał pędem wieźć się do domu.

— Zginęliśmy! Wszystko zależy od pośpiechu!... Zbierz natychmiast Radę Związkową!... — zawołał, wpadając do Chruszczowa.

Sam widok Beniowskiego był tak straszny, że Chruszczow o nie nie pytał i, drżąc cały, pobiegł wykonać rozkaz. Wpół godziny Rada była w komplecie. Nawet chory Panow zwlókł się z łoża. Wysłuchawszy opowiadania Beniowskiego, on pierwszy szepnął z rozgorzałymi oczyma:

— Zbadać i... śmierć!

— Śmierć!... — powtórzyli inni.

Rzucono losy, sprowadzono oskarżonego, który drżąc z przerażenia, od razu się przyznał. Wkrótce czterech uzbrojonych w muszkiety ludzi uprowadziło w las związanego i bladego, jak ścielące się wokół śniegi, winowajcę.

XXII.

Opisanie i opieczętowanie znacznego majątku Kazarinowa zajęło tyle czasu, że do badania go przystąpiono dopiero w parę dni. Potwierdził wszystkie swoje pierwotne zeznania, więc rzucono się na poszukiwania Piacynina. Nikt go jednak nie znał, nie słyszano nawet o takim w mieście. Sam Kazari-

now nie mógł określić, kto zacz był, gdyż widział go na krótko przed samym wezwaniem do naczelnika i zapomniał w zamieszaniu rozpytać się szczegółowo kim jest? skąd przychodzi i gdzie mieszka? Nieznajomy obiecał przyjść później, lecz już nie pokazał się. Służba nie widziała go, bo przyszedł do sklepu, kiedy tam nikogo prócz gospodarza nie było. Odszukany zaś przez kozaków inny Piacynin, głupowaty, niemrawy chłop, dowodził, że cały ów dzień przespał pijany, i zaprzysiągł, że jako żywo nigdy Kazarinowa nie widział i z nim nie mówił. Kupiec z początku upierał się, że to ten sam, lecz wzięty na dybę, całe oskarżenie cofnął i wyznał, że wszystko zmyślił na Beniowskiego, że zrobił to z zawiści, chciwości i zemsty za przegraną w szachy..

Beniowskiego nawet nie badano. Mimo to był przez cały czas bardzo niespokojny, kazał znieść łaćunki i lepsze muszkiety do szkoły, urządził tam stałą wartę z pewniejszych spiskowców i co wieczór zbierał Radę Związkową, aby z nią rozważyć bieg wypadków i obmyślać zaradcze środki.

— W razie czego będziemy przebijać się zbrojną ręką do plemienia Ankalów!... — postanowił.

— A co dalej? — spytał Baturin.

— Wrócimy na wiosnę z Kameczadalami i weźmiemy szturmem miasto! Droga nasza przez morze!...

— Z Kameczadalami!?!... — powtórzył w zamyśleniu stary pułkownik.

Beniowski spojrzał nań bystro i zmarszczył brwi.

—Więc znajdźcie lepszą radę!

Milczeli.

— Juścić, że nie mamy wyboru, choć przykro iść z dzikusami na rzeź, i rabunek swoich! — rzekł Chruszczow. — Ale to są rzeczy odległe. Najważniejszą sprawą jest obecnie, co powiemy, gdy zacz-

na szukać tego... nieszczęśnika!

— Powiemy, że go nie ma od dawna, że na jesieni jeszcze wyjechał do Nizniego na zarobki i więcej nie wrócił... — radził Stiepanow, zerkając na Beniowskiego.

Ten, zasepiony, nie mieszał się więcej do narad.

Nazajutrz po wykładzie w szkole przystąpiła do niego Nastazja i rzekła z nieśmiałym uśmiechem:

— Niech się pan nie martwi! Już wszystko skończone, za parę dni zapadnie wyrok!...

Beniowski drgnął.

— Jaki wyrok? Nie wie pani!?

— Dokładnie nie wiem... Zapewnie pójdzie trućcie! do kopalni.

— Więzi pani!.. Jakże się nie mam smucić, zawsze to z mego powodu! Przekłeta gra, bo o to poszło... Ale były okoliczności silniejsze nad wszystko, które mię grać zmuszały...

— Domyślam się. Ale może by dało się uratować winowajcę... Ojciec z początku jest zawsze bardzo zawzięty, lecz potem łatwo go udobruchać!

— Niech pani pomyśli o tym, niech pani pomyśli!... Wielką mi pani wyświadczy łaskę...

— O, będę się starała!... Pan wie, że dla pana wszystko zrobię... — szepnęła uszczęśliwiona dziewczyna.

Spojrzał jej w oczy, po czym odwrócił pośpiesznie twarz.

— Zbyt dobra pani jest dla mnie!

Urwał, gdyż Mironowna ubrała już młodsze dziewczynki i zbliżała się ku nim. Nastazja stała jeszcze chwilę promienna i zasłuchana.

— Jedziemy! Na co czekasz?...

— Ach, tak!... Jedziemy!...

Zwolna wszystko do zwykłej wracało kolei; ustały jeno wesołe wieczorynki w mieście, gdyż strach obleciał wielu, a smutny los żony i drobnych

dzieci Kazarinowa bardzo ciężył miejscowemu kupiectwu.

Zaopiekował się nimi bogaty i wielce szanowany przez wszystkich kupiec Iwan Czornyj, reszta po cichu zbierała składki, aby nieszczęśliwym jak taki był zabezpieczyć.

Nilow już prawie o zdarzeniu zapomniał i w godzinach wolnych od zajęć pił i smął znowu marzenia o ochockim gubernatorstwie, biorąc zawsze na powiernika Beniowskiego.

Raz Beniowski spróbował ostrożnie wybadać grunt w ciężającej mu mocno sprawie Kazarinowa, ale stary uniósł się gniewem:

— Ty nie wiesz, Beniowski, ten zbrodzień wszystkich nas chciał potruć, owładnąć skarbem, składami futer rządowych i wywieźć, to wszystko do Ameryki!... Sam się przyznał...

— Trudno uwierzyć w taką śmiałość... Dowodzi to jednak, iż on jest prostym szaleńcem!

— Nie broń go!... Zresztą sprawa już przesądzona. Powiedz mi lepiej, jak idą przygotowania do twojej agrikultury!?

Beniowski na razie ustąpił, ale wraz z Nastazją w dalszym ciągu starali się wpłynąć przez panią Nilowową na naczelnika, żeby choć od ciężkich robót zwolnił skazańca.

Miało to ten skutek, że Nilow zagabnął pewnego razu sekretarza, co on o tym myśli.

— Nie podobna!... Majątek opisany, papiery wygotowane... Nie podobna!... Wszyscy wtedy zaczęą psocić, a potem prosić, gdy się jednemu przebaczy... Bez surowych, nieubłaganych praw i ostrych kar jak my się tutaj na krańcu świata z tak małą siłą zbrojną ostoimy?... Każdy oczyma strzyże, gdzieby urwać. Muszą więc, nieponie, bać się, muszą drzeć na samą myśl... Oh, widzę ja, widzę w tym wszystkim robotę Beniowskiego, ale

niech mu Wasza Wysoka Szlachetność zbyt nie dowierza, gdyż i na niego mam ja tutaj sztukę niezłą...

Tu nachylił się do ucha Niłowa i zaszeptał ze złośliwym uśmiechem:

— Pamiętacie, Iwanie Piotrowiczu, tę zapiskę, co ja Kazarinow w chwili zeznania przedstawił... Jest to poemat do córki waszej i choć pisany innym, niż Beniowskiego charakterem, lecz nikt inny, ino on mógł taki wiersz dowcipny skomponować... Dawno za nim śledzę; daleko mierzy niebezpieczny ten człowiek.. Te szkoły, te wyjazdy, przyjazdy, rolne zamiary... Zręczny, ani słowa, nie mogę go na niczym przylapać... Ale tym razem zdaje się, że mu pazur uwiązał, bo posłuchajcie tylko, Iwanie Piotrowiczu...

Położył na stole zmiętą kartkę, wygładził ją ręką i zaczął czytać uroczystym głosem:

Twe oczy, skąd Kupido na wsze ziemskie
kraje,
Nastazjo Iwanowno, harde prawa daje,
Nie oczy, lecz pochodnie dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe...

— Żono! — krzyknął na całe gardło Iwan Piotrowicz. — Żono!

Wbiegła, obciągając zawinięte przy zajęciu w kuchni rękawy.

— Co się stało?...

— Słuchaj!...

Twe wdzięki, jak straszliwe Ateny pawęże,
Razą śmiertelnym blaskiem osłupiałe męże...

— Co słyszę! Napisaliście madrygał dworski, Sergiuszu Mikołajewiczu? — rozśmiała się kobieta, zwracając się do sekretarza.

— Ja?... — oburzył się ten. — Gdzie zaś?...

— Zhańbił dziewczkę, do cna zhańbił, a ty się śmiejesz! — wybuchnął Niłow.

— Ależ kto?...

— Któż jak nie Beniowski!...

Niłowowa spoważniała.

— Jak on śmiał?... Jak ona pozwoliła mu!... Wolać ją!...

Marta Karłowna wyszła niezwłocznie, a sekretarz szepnął:

— Oto są skutki białogłowskiej nauki... Niewiasta powinna być niewinna i nieświadoma w swym dziewictwie przeczystym, a to co?... Uczy się! A czego się uczy przede wszystkim, wiadomo!... — syczał sekretarz.

— Już ja mu ją z głowy wybiję... Skończy się to! — srożył się naczelnik.

Gdy jednak spojrzał na pobladłą ze strachu twarzyczkę wchodzącej córki, opamiętał się trochę:

— Znasz ten szpargał? Czytałaś go?... — spytał surowo, podając dziewczynie zmięty papierek. Rzuciła nań okiem.

— Tak. Jest to wiersz, który mi przysłał jeden oficer...

— Więc nie Beniowski?

— Nie.

— Tak to jej pilnujesz?... Ona, widzę, na wszystkie strony romansuje!... Czy nie Sybajew to czasem?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Więc kto?... I jakże się ten papierek u Koleskowa znalazł?

— Nie wiem. Dałam go panu Beniowskiemu...

— Nie matce więc, a jemu, jakiemuś przybłądzie!

Nastazja zapłonila się bolesnym rumieńcem i rzuciła z ukosa spojrzenie na sekretarza.

— Bo jego tylko miłuję i za niego jećynie wyjdę!... — odrzekła nieoczekiwanie z dziwną, wyzywającą mocą.

Niłow skamieniał. Twarz z czerwonej stawała mu się zwolna siną żyły na skroniach nabrzmiały, jak postronki. Zerwał się wreszcie na nogi, szarpnął kołnierz futrzany i głucho zamamrotał:

— Precz!... Wziąć ją!... Ja was nauczę... Łeb mu utnę!... Zaraz go tu sprowadzić!... Na pal!...

Daremnie próbował mitygować przerażony sekretarz:

— Po cóż na pal!?!... Może się jeszcze przydać, zdolny człowiek!... Wyślemy go na jakiś czas do Niżniego, żeby przyszedł do przytomności... I po wszystkim!...

Niłow chodził po komnacie, rozbijając sprzęty nogami.

— Niesłychane!... Żeby do tego doszło!.. Co?... Przyjmowałem go w domu, jak człowieka, a on...

— Daj kurze grzędę!... Dawno to wiedziałem, ale to się da naprawić!... Zbyt dobrzy jesteście Iwanie Piotrowiczu!... Nie można popuszczać tym ludziom... Znam ja ich!

— Cóżeś zrobiła, nieszczęsna!... — wymawiała tymczasem córce Niłowowa.

— Już dłużej nie mogłam wytrzymać!... Trzeba z tym skończyć!... Trzeba było raz na zawsze odebrać nadzieję, cięń nawet nadziei temu obrzydłemu workowi sadła!...

— Wiem sama. Powoli chciałam przygotować ojca!... Należało czekać, aż przyjdzie ulaskawienie dla Beniowskiego.

— Rok cały, matko, nie podobna!... I tak już chwilami zdaje mi się, że umieram... Niech raz wiem!

— Cóż się dowiesz?... Ojciec wsadzi go do kaźni!

— Pójdę z nim!.. Pójdę z nim na koniec świata!... Byle mię tylko chciał!

Nilowowa wzruszyła ramionami i wyszła na korytarz posłuchać, co dzieje się w świetlicy męża: grzmot przekleństw i łoskot padających przedmiotów uciekł. Kobieta przeżegnała się i szepnęła:

— Bogu niech będą dzięki!... Byle tylko nie przyprowadzili go za wcześnie!

Gdy kozacy wpadli do szkoły, zastali u Beniowskiego Chruszczowa, żonę Kazirinowa, oraz kupców Iwana Bielycha i Oblaskowa. Przyjście kozaków rzuciło popłoch na zebranych, sam Beniowski nie mógł ukryć zaniepokojenia. Nie miał czasu zastanowić się, ani wydać rozporządzeń, tak naglili go do pośpiechu wysłańcy; zamienił jeno znaczące spojrzenie z Chruszczowym, a pani Kazarinowej powiedział, iż doloży wszelkich starań, aby prośbę jej spełnić.

W drodze próbował dowiedzieć się, co się w Zarzącznie stało i o co chodzi, lecz kozacy sami mało wiedzieli.

— Przyszedł z początku Sergiusz Mikołajewicz, potem pan zawołał panią, a potem panienkę... Krzyczał bardzo gniewnie... ale powodu nie wiemy... albo to trudno o powód?... Powodów jest tysiąc dla chętnego człowieka!... — przekładał pod ręczny.

Gdy weszli do domu, zabiegła im w korytarzu drogę Marta Karłowna i szepnęła:

— Pamiętajcie, Auguście Samuelowiczu, nie nie mówić, nie!... Wszystko znieść, jak od rodzzonego ojca, a będzie dobrze!

Nie po raz pierwszy słyszał te rady, lecz bądź co bądź dodały mu teraz otuchy.

W świetlicy postąpił parę kroków od drzwi i uklonił się grzecznie naczelnikowi, a potem sekreta-

rzowi. Nie odpowiedzieli mu nawet kiwnięciem głowy.

— Znasz to pismo? — spytał Niłow, podając mu nieszczęsny wierszyk.

Beniowski obejrzał uważnie papieraek z jednej i drugiej strony.

— Nie, nie znam!... — odrzekł zupełnie szczerze.

— Więc to nie ty pisałeś?...

— Czyżbym śmiał?...

— Łiesz, nieponiu!... Ona mówi zupełnie co innego — zaczął z wzrastającą irytacją Niłow.

— Anastazja Iwanowna mówi, żeś jej robił... nieprzystojne propozycje! — wtrącił podstępnie sekretarz.

Beniowski spojrział nań spod oka i poczerwieniał.

— Ha, to jakieś nieporozumienie!... Nie tylko nie miałbym śmiałości, ale i dowcipu. Cały czas byłem zajęty obmyślaniem planu kolonii, której wykonanie przyniosłoby tyle chwały miejscowej administracji, tyle pożytku tutejszej ludności i zabezpieczyłoby dobrobyt mnie i moim nieszczęsnym towarzyszom.

— Przestań głowę zawracać!... Dosyć tego!... Już mię nie weźmiesz na jedwabne słówka!... Dopuściłem cię do swego zaufania, chciałem wrócić ci prawa, zrobić cię człowiekiem, a ty co? Wkradłeś się, jak opryszek nocny, do mego gniazda rodzinnego, sięgnąłeś po cześć moją... Co by powiedział generał-gubernator, gdyby dowiedział się, że ty, ty zbrodzień, pozbawiony praw... moją córkę... śmiałeś!... Dosyć, dosyć!... Ja cię!...

Zerwał się i szedł ku Beniowskiemu z zaciśniętymi pięściami, ale było coś w oczach wygnańca, co wstrzymało naczelnika, krzyknął więc ino na całe gardło:

— W dyby go! Wziąć!...

Drzwi natychmiast otwariły się i przyczajeni za progiem kozacy schwycili Beniowskiego za ramiona i ręce.

Z drugich drzwi wypadła Niłowowa i próbowała uspokoić męża, lecz temu już twarz posiniała, już nabrzmiały żyły na skroniach i, tocząc błędnym wzrokiem po wszystkich, klął i wołał:

— Ja was nauczę!... W róg barani zegnę, złamię, skruszę... Na pal!... W łańcuchy...

Nawet sekretarz próbował wymknąć się z niebezpiecznej świetlicy. W korytarzu trafił na Beniowskiego i wahających się kozaków.

— Odprowadźcie go do turmy — kazał — lecz nie zakuwajcie w łańcuchy! — dodał łagodniej.

XXIII.

Gdy wepchnięto Beniowskiego do celi więziennej, chwilę stał przy drzwiach, aby oswoić oczy z panującym tam zmrokiem. Więźniowie poznali go natychmiast.

— Beniowski!... Pan Beniowski?... Co się stało!?

— Chodź, chodź!... Dawno czekamy na ciebie... Ale przedtem coś niecoś ofiaruj na majdan... na sierocy nasz majdan więzienny... Bogacz jesteś przecie!...

— Daj czerwonońca!... Albo tę kurtkę lisią, w którą odzian jesteś...

Ogromny kozak z twarzą opoja, z wyrwanymi, jak u ostatniego szelmy, nozdrzami zbliżył się do Beniowskiego i ujął poufale za róg jego kaftana. Beniowski dłoń jego z niechęcią odsunął.

— Cóż to, nie znasz prawideł więziennych? Dawnoś to nas porzucił? Co! — spytał ochrypłym głosem kozak.

— Dajcie mu spokój! Zapłacę za niego, jeżeli nie ma pieniędzy!... — ozwał się cichy głos spod okna. — Auguście Samuelowiczu, chodźcie tutaj... tu jest miejsce!

Był to Kazarinow. Beniowski ledwie go poznał, tak był się kupiec zmienił, zmarniał i postarzał. Wahał się chwilę, lecz na powtórne zaproszenie zbliżył się i przyjął wyciągniętą dłoń.

— Właśnie przed paru godzinami widziałem się z żoną pana — zaczął cicho — cóż, kiedy fortuna kołem się toczy!

— Chciałem to samo powiedzieć: żebraczej torby i więziennej doli nie zarzekaj się!... Cóż, jak tam u mnie w domu? Dzieci czy zdrowe?... Co robią?... Majątek opisali, wiem, wiem... Kątem mieszkają u starego przyjaciela... Może herbaty napijesz się, Auguście Samuelowiczu?... Jeszcze ciepła...

Beniowski z lekka wzdrygnął się.

— No, no!... Nie ta, inna... przyjacielska... Co stare grzechy wspominać! — I wy byliście przed chwilą u szczytu powodzenia, a teraz tu jesteście... — dołął Kazarinow łagodnie.

— A za co?... Nie wiecie?... — spytał inny z kupki więźniów, siedzących na pryczy bliżej drzwi.

— Nie wiem, potwarz jakaś...

— Wszyscyśmy tu przez potwarz! — uśmiechnął się kozak z wyrwanymi nozdrzami.

— Wiadomo niewinni... przez potwarz! — cieniutko zaśpiewał łysawy, ale młody jeszcze aresztant. — Oprócz... — słomka tam nie bywała!

— Cicho, Ciotka!... Co ty się tam znasz!

Zaczęły się swary, cyniczne drwiny i śmiechy, które całkowicie pochłonęły uwagę czcigodnego towarzystwa.

Beniowski siedział nieruchomo i pilnie słuchał; bystre oczy jego, utkwione w mur, zdawały się

przebijać przeszkody i lecieć daleko, zmarszczone brwi zdradzały natężenie myśli.

— Nasłuchujesz, Auguście Samuelowiczu, nasłuchujesz! To samo było z początku ze mną... Nie wierzyłem, że może się wszystko tak nagle zmienić... A przecie... Pij herbatę, Auguście Samuelowiczu, bo zupełnie wystygnie... Myślałem wciąż, że, oto, za chwilę otworzą drzwi, przyjdą, powiedzą: wychodź, Timofiejju Archipyczu, wracaj do domu, do rodziny, do sklepu i dobytku, gdyż to był tylko brzydki sen-mara... A przecie!... Teraz już wiem, że jestem nędzarzem, teraz już marzę jedynie, jakby się stąd wydostać choć nago, byle cało! Ale to trudno, to bardzo trudno! Jak kogo te kleszcze ułapiły, musi skórę na nich zostawić... Myślałem, że uda mi się przez ciebie, Auguście Samuelowiczu, a, oto, sam tu jesteś!... Czy można spytać za co?... Jak myślisz?... Skąd to przyszło? co!? Powiedz!... Może razem coś ułożymy: ręka rękę myje, noga nogę wspiera... — szeptał Kazarinow.

— Wszystko z powodu tej nieszczęsnej zapiski, którą im oddałeś!... — powiedział po krótkim zastanowieniu się Beniowski.

— Żle. Rzecz sama przez się błaha, gdyby nie to, że sekretarz ma ochotę na tę dziewczkę, raczej na jej posag i miejsce po ojcu... On całą rzecz rozdmucha i zrobi zeń, co będzie chciał... Chyba, że mu pan da pieniędzy... Za gotówkę on wszystko odda: i najładniejszą pannę i najlepszą karierę. On mówi, że jak się ma w ręku grosze, to się ma wszystkie kobiety na wybór, ale jak się ma wszystkie kobiety, to się jeszcze nie ma pieniędzy. Gdyby tak można moją sprawę z pana sprawą połączyć?... Co? Ja bym im cały majątek oddał, gdyby mię wypuścili i gdyby mię wysłali choć, na jaki rok na Aleuty na poborcę podatków... Właśnie umarł dawny na wyspach Kurylskich... Ale cóż, kiedy z nimi nie po-

dobna się porozumieć... Łatwo wpaść... Nie tylko majątek zabiorą ale i życie! Kto ich wie?... Trzeba mieć głowę na karku, aby z nimi gadać,... Liczyłem na pana, bo pan mądry, a tymczasem... masz, babo, jarmark! — użalał się kupiec.

Beniowski słuchał go z pewnym roztargnieniem; prawe jego ucho wciąż zwracało się ku oknu. Nagle stamtąd dobiegł dziwny dźwięk, jakby zwady i uderzeń w bramę ostrokołu. Beniowski zerwał się.

— Idą!

Więźniowie również zerwali się ze swych miejsc.

— Kto idzie?... Twoi?... — spytał się kozak z wyrwanymi nozdrzami. — Właz, Beniowski, właz na okno!

Staął blisko muru, oparł się oń ramieniem i podstawił swe kolano i szerokie plecy Beniowskiemu, jak schody. Beniowski wdrapał się zręcznie i zawisł na kracie u maluchnego, zaciągniętego rybim pęcherzem okienka. Tumult na zewnątrz przycichał, ustały kołatania. Do grubych męskich głosów dołączył się płacz niewieści, po czym wszystko ucichło i odeszło z głuchym łoskotem licznych chrześzczących na śniegu kroków.

— He, to jakaś podwika!... Dużo ich masz rozsianych po świecie, Beniowski, co? Och, rozkosznik jesteś, czuć to od razu!... Baby za takim latają jak suki!... — roześmiał się kozak i ruszył ramionami.

Beniowski ześlizgnął się na ziemię błady i zmieszany. Twarz mu sposepniała, jak chmura; nikt go już nie śmiał zaczepiać; nawet Kazarinow nie odważał się nawiązywać, przerwanej rozmowy.

Zapadła noc, posnęli więźniowie. Beniowski również wyciągnął się na twardej pryczy, podłożywszy pod głowę litościwie użyczony mu przez Kazarinowa worek; spać wszakże nie mógł. Przed oczyma przesuwwały mu się w ciemnościach obrazy tego, co się stać w tym czasie mogło poza murami wię-

zienia. Co znaczył ten krzyk i kołatanie?... Czyżby ta nieszczęsna, śliczna dziewczyna odważyła się aż tutaj pójść za nim?... Boże mój, Boże!... Z cichym jękiem przewrócił się na bok i zakrył twarz dłonią. Dlaczego nie przyszli towarzysze, jak przysięgali?... Wszak przeczytał wyraźną obietnicę w oczach Chruszczowa? Co znaczyło dla pięćdziesięciu niemal ludzi, uzbrojonych w muszkiety, zdobycie więzienia przy tak lichej załodze?... A jednak nie przyszli!... I nie przyjdą!... Widział zdradę i tchórzostwo, lęgnące się już w wielu sercach...

— Ludzie są słabi... Potrzebna dla zwycięstwa twardość w postanowieniu i szybkość w czynie... Męstwa, widać, nie stać im na długo... Chruszczow jest powolny i ostrożny... Panow... Panow nie wierzy mi! Ach, ten Stiepanow, ten Stiepanow!... Czego on ode mnie chce?... Wciąż czegoś chce?... Co będzie teraz?... Historia z kartką, rozumie się, że głupstwo... Ale za parę dni... wypłyną a może już wypłynęły sprawy, za które będę wisiał! Nie ma tam głowy... Jedynie strach przede mną, wiara w me powodzenie trzymały ich na wodzy... Dawno by się między sobą pozarli, wydali jeden drugiego... Niewielu mam przyjaciół! Mogę liczyć na Chruszczowa, na Baturina, na Sybajewa, na Bielskiego... lecz wszyscy oni mało mają determinacji! Winblath zakopał się w chałupie ze swoją Kameczadalką, nosa nigdzie nie pokazuje, z trudem ściągnąć się daje na zebrania... Innych utrzymuje przy mnie nadzieja zysku, łupu, swawoli... Ach, prawda: Kuźniecowa, ten wierny, ale co go wiąże ze mną, sam nie wiem!... Zresztą wszystko jedno: teraz wszystko to pęknie i znajdą się oni wszyscy wcześniej czy później tutaj!... Ha, wtedy, stąd spróbujemy...

Usiadł i dotknął ręką oślizgłych zrębów ściany

więziennej. Przez małe okienko wpadał popie-
laty świt.

— Dnieje! — pomyślał. — Muszę się wyspać,
bo nie wiadomo co jutro przyniesie! Wezwą mię
pewnie na dopros!...

Przytulił głowę do worka i zamknął oczy. Śniło
mu się, że jedzie w Krakowie ulicą Floriańską na
czele swych pułków zwycięskich, że pędzi przed so-
bą stada bydła i wiedzie wozy z żywnością dla obłę-
żonych, że tysiące ludzi wita go radosnymi okrzy-
kami, że z balkonów, z okien i z dachów wieją cho-
rągwie barwne i kobierce, a w oddali u wylotu, na
skrawku błękitnego nieba czernieje strzelista ko-
rona wieży Mariackiej...

— „Miłuję cię ponad wszystko, Maurycy... nie
odechodź!...” — szpeczą usta świeże i purpurowe, jak
wiśnie, oczy modre patrzą błagalnie spod ciemnych
rzęs. — „Uniwersał przyszedł... przysięgałem Ge-
nerałości i Ojczyźnie...”. — „Jeszcze miesiąc, ty-
dzień, dni kilka... Wszak dla mnie ty jeden jesteś
na całym świecie, a tam oni mają cały świat... Oni
nawet nie poczują twojej nieobecności, gdy z twym
odejściem zgaśnie tu dla mnie dzień słoneczny!...”
— „Jeżeli zostanę, inny zostanie i ty mnie przesta-
niesz miłować!...” — „Nie mówię: nie idź!... mó-
wię: dzień, jeszcze jeden dzień tylko pozostań!...”
— „Jutro trudniej się będzie oderwać, niż dziś...
słodkie są pocałunki twoje, Hanno, tak są słod-
kie!...” — „Słodkie są, bo nie wiadomo, czy się
powtórzą!...” — „Ludzkich rzeczy los! Kto trwa-
łości ich doświadcza, oddaje się im w niewolę...”. —
„Słodka niewola, po stokroć razy słodsza od samot-
nej wolności!...”

— Wstawaj, Beniowski, wstawaj!... Przynieśli ci chleb i wody gorącej na herbatę, a że jej nie masz, więc zaparzyłem podwójną porcję w swoim imbryczku!... — budził Beniowskiego Kazarinow.

Podniósł się Beniowski, poprawił starganą we śnie odzież, rozczesał włosy palcami i spojrzał badawczo na szare postacie towarzyszy więziennych.

Wzrok jego zatrzymał się dłużej na pełnej zwierzęcej mocy postaci kozaka z wyrwanymi nozdrzami. Ten poczuł jego spojrzenie i zwrócił nań oczy siwe, śmiałe i zimne jak połysk topora.

— Co? Nie idą?... Ha!... Ech, panie Beniowski, poszedłbym ja do pana na służbę, służyłbym, wysługiwał się wiernie, ale...

Wstrząsł kudłatą głową i zanucił z początku cicho ochryplym głosem:

Chyże stopy w pętach łańcuchów,
U wrót wszędzie stoją żołnierze,
Nie ma wyjścia dla śmiałych zuchów,
Nie ma przejścia przez te rubieże...
Hej, nadpłyńcie, chmury gradowe,
I rozbijcie turmy ćarniowe!...

Pod koniec głos jego grzmiał, jak burza; wszyscy słuchali z przejęciem i ciekawością. Wtem zachrobotyły zawory u głównych drzwi, wionęło zimnym powietrzem, zastukały kolby muszkietów o podłogę. Chwilę potem nadzorca otworzył celę i zawołał gromkim głosem:

— Beniowski, wychodź!...

— Pewnie do lochu, do katowni!... Niech cię Bóg ma w swej pieczy!... — szepnął Kazarinow.

Beniowski wprostował się dumnie i wyszedł; zdumiał się wszakże do tego stopnia, że w pół drogi przystanął, gdy na schodach więziennej przy-

ciesi spostrzegł stojącą w słońcu i błękicie Nastażkę, a za nią samą panią Niłowową.

— Chodź, chodź, Augustcie Samuelowiczu!... Czekamy!... Śpiesz się, bo zimno!...

Beniowski nie ruszał się, przejęty wyrazem twarzy dziewczyny i widokiem łez, płynących z jej wpatrzonych w niego oczu gwiazdziastych.

Nawet zrobił ruch, jak gdyby chciał się cofnąć, ale klucznik i żołnierze popychali go z tyłu.

— Już się wszystko ułożyło... Iwan Piotrowicz wie, że madrygał pisał Stiepanow... — gadała Niłowowa, patrząc ze wzruszeniem na więźnia i córkę.

— Jak to?... Więc Stiepanow aresztowany?... — spytał z przerażeniem Beniowski.

— Ależ nie!... Całkiem inaczej... Wszystko dobrze, pocałuj-że ją, narzeczoną swoją!

Beniowski wahał się, lecz dziewczyna, popchnięta przez matkę, już była koło niego i podniosła ku niemu zapłonioną twarz. Pobladł, pochylił się ku niej, objął i musnął po świeżej twarzy ustami.

Całą drogę do fortecy i mieszkania Niłowowych opowiadała zacna Marta Karłowna przebieg wypadków: jak Nastka, dowiedziawszy się o jego aresztowaniu, postrządała zmysły i, jak stała, w jednym sarafanie, pobiegła do więzienia, jak łomotała we wrota, żądając, żeby ją również zamknięto; jak z trudem i wielkim zgorszeniem udało się nareszcie ją stamtąd uprowadzić; jak przyszedł Chruszczow i poradził, żeby wskazać na Stiepanowa, że chłopak gotów jest odpokutować za swe przewinienie; jak bardzo gniewał się i wytrząsał pięściami na Chruszczowa, na nią i na córkę Iwan Piotrowicz, aż wreszcie zmiłował się, więcej nawet, bo pogodził się z koniecznością mariażu... Cała trudność teraz, jak skłonić sekretarza, żeby odnalazł co prędzej paragraf prawa pozwalający na u-

łaskawienie jego, Beniowskiego, i przywrócenie mu wolności, nie czekając na odpowiedź Petersburga, bo jako skazaniec bezprawny nie może przecie jej poślubić! Trzeba go zjednać sobie i skłonić, aby napisał niezwłocznie od siebie odpowiednie urzędowe podanie...

Beniowski słuchał wszystkiego uważnie, prowadząc za rękę Nastazję. Na ganeczku spotkała ich Mironowna, Adelajda, Marta, Grześ i Chruszczow.

Beniowski zamienił z ostatnim znaczące spojrzenie i poszedł do naczelnika dziękować mu za uwolnienie. Stary siedział na swym stołcu przed stołem z nadpitym sporo już gąsiorkiem wódki i pełną jej czarką. Przywitał Beniowskiego dość kwaśno, a gdy ten z Nastazją padli mu do nóg, cdepechnął ich z lekka, mruczając:

— Och, och! Zgubicie wy mnie, wcześniej czy później zgubicie!...

Po czym Beniowski poprosił o pozwolenie udać się natychmiast do domu, aby mógł się przebrać i oczyścić z więziennego niechlujstwa; lecz pani Niłowowa nie zgodziła się na to.

— Musisz przedtem zjeść obiad, a umyć się to i tutaj możesz, bo już przecież jesteś tak jakby nasz syn!...

Pojechał więc Chruszczow sam do wioski z radosną nowiną.

XXIV.

Dopiero pod wieczór wrócił do siebie Beniowski. Natychmiast zjawił się u niego Chruszczow z dwoma uzbrojonymi spiskowcami i zażądał niezwłocznie udania się na zebranie.

Chłodne zachowanie się Chruszczowa i obecność

zbrojnych zastanowiły Beniowskiego.

— Bardzo dobrze, żeście zwołali zebranie, ale... cóż się tam stało nowego?

— Mam zakaz rozmawiania z tobą w tej mierze. Na zgromadzeniu dowiesz się o powszechnych zarzutach i zamiarach!... — odpowiedział poważnie Chruszczow.

W izbie Chruszczowa było pełno ludzi; wpływowi wygnańcy siedzieli dookoła stołu na ławach, inni kupili się po kątach, złowrodzy, ciemni, ledwie widzialni w słabym, czerwonym świetle gorejącego u ściany łuczywa. Tu i tam lśnił krwawo oręż. Pośrodku stołu leżały dwa pistolety i stał kubek pełny napoju; zbrojna w muszkiety straż pilnowała wejścia.

— Beniowski — zabrał głos Baturin wśród powszechnej ciszy — opowiedz nam, w jaki sposób uwolniłeś się z więzienia, oczyściłeś z urzędowych oskarżeń i uzyskałeś nawet pono rękę starszej córki naczelnika kraju?

— Aha, więc to tak!... Widzę, że podejrzewacie mnie o nędzną zdradę i że ta trucizna dla mnie przygotowana jest!... — zaczął wzburzoną głosem Beniowski. — Jakim prawem i dlaczego śmiecie tak myśleć o mnie? Czy dałem wam jakie powody? Czy obracałem kiedy na własną wyłącznie korzyść osiągnięte przez siebie powodzenie?... Co więc dowodzi mej zdrady? Czy gdybym z wami tak haniebnie postąpił, przybyłbym tutaj teraz, aby narażać się na wasz sprawiedliwy gniew?... Azali nie byliście raczej otoczeni w tej chwili żołnierzami i zakuci od dawna w łańcuchy!?

— Jesteś tak pełen wybiegów, Beniowski, i tak w nie dufny, iż mogłeś pozory umyślić, aby, rozproszywszy nas do domów, tym łatwiej bez oporu zagarnąć!... — wybuchnął Stiepanow.

— Taak! Teraz rozumiem, gdy... ten oto pan

był właśnie mego aresztowania powodem. Nie o to jednak na razie mi chodzi, chodzi mi bardziej o ten brak wszelkiej ufności, jaki wykazaliście mnie, swemu wodzowi... Po cóżeście wybierali mnie i przysięgali mi?... Czy mogę polegać na ludziach, co wykazali tak łatwą wiarę w zmienność zamiarów, obietnic, nawet przysięg swego naczelnika?... I co za powód tego?... Przypomnijcie sobie początek stowarzyszenia naszego. Kto był jego twórcą i więzią?... Kto z wyteżeniem pracował krok za krokiem, aby zbliżyć chwilę wyzwolenia?... Kto zbudował szkołę?... Kto powiódł was do Ankałów i wyrobił wam powszechny w społeczeństwie szacunek?... Kto polepszył byt wasz?... Kto związał was, rozsypanych, poróżnionych i słabych, wspólną nicią, dającą wam jedność i siłę?... Nie dlatego przypominam to wam, aby się chwalić... Bynajmniej; ale dlatego, aby wykazać, nierozsądni, iż w razie wykrycia naszego sprzysiężenia, bądź co bądź, ja byłbym karany najśrożej, że żadna zdrada nie mogłaby mnie uchronić od podejrzeń i prześladowania, gdyż zaiste winy moje wobec rządu są największe. Wiedzą tu poniektórzy z obecnych, że nawet ulaskawienie za obecny spisek nie uwolniłoby mnie od wielu innych oskarżeń, albowiem życie całe dążyłem do wyzwolenia siebie oraz innych. I za to zapewne wyście mi tutaj przygotowali truciznę!...

Przerwał i milczał czas dłuższy, oddychając ciężko.

— Owszem, gotów jest wypić ten kubek, o ile dowiedziecie mi, że którykolwiek z moich postępów nie wiedzie ku waszej wolności!...

Zapanowała śmiertelna i długa cisza; wreszcie wstał Panow.

— Od dawna w podejrzeniu cię miałem, Beniowski. W głowie mojej pomieścić się nie może, iżby te były rzetelne powody tak ścisłych twoich z naczel-

nikiem stosunków, o których radzie naszej donosiłeś. Śledziłem więc wszystkie twoje kroki, a skoro tylko tego poranku uszu mych doszło, iż na mocy ukazu cara Piotra wolność zyskałeś, nie wątpię już o twej zdradzie, umyśliłem własną ręką życie ci odebrać i jeżeli odwłókił wykonanie tego przedsięwzięcia, to szczególnie w celu, bym co prędzej ostrzegł mych towarzyszków, jak srogie i bliskie grozi im niebezpieczeństwo.

— I jakoś niebezpieczeństwo to nie nadchodzi. Jeżeli was zdradził i stanąłem wśród was jedynie po to, aby... was łącniej po domach rozproszywszy, bez oporu ująć... w takim razie zostanemy razem do rana w tej komnacie, a nawet dłużej, abyście w każdej chwili mogli mi wpakować w łeb kulę z jednego z tych pistoletów...

— Tak!.. To prawda... Głupstwo wszystko!.. — rozległ się pomruk w tłumie.

— Bądź jednak, Panow, szczery do końca i przyznaj się, azaliż sam przyszedłeś do tych podejrzeń, czy raczej podszeptał je ci kto inny?... — pytał dalej Beniowski.

Panow nie odpowiadał blady i wzruszony.

— Odpowiedz!.. — rozkazał Baturin.

— Istotnie.. często mówiłem o tym... ze Stiepanowym.

— Aha, właśnie!.. Otóż posłuchajcie, co pan ten pisze do panienci, której dobroci i poświęceniu winienem właściwie wolność... Znacie jej skromność i zacność, albowiem chodzi ona, jak to wspomniałem, do szkoły naszej i wielu z was widuje ją codziennie... Co zaś do jej uczuć i małżeńskich względem mnie zamiarów, to myślę, że te całe plany rzekomo są jeno szlachetnym wybiegiem w celu ułagodzenia gniewu srogięgo ojca.. Gniewem zaś słusznym zapłonął on po przeczytaniu następującej kartki:

Twe oczy, skąd Kupido na wsze ziemskie
kraje,
Nastazjo Iwanowno, harde prawa daje,
Nie oczy, lecz pochodnie dwie nielitościwe,
Które palą na popiół serca nieszczęśliwe...
Twe wdzięki, jak straszliwe Ateny pawęże,
Rażą śmiertelnym blaskiem osłupiałe męże...

Otóż kartkę tę przypisano mnie i za nią wtrącon zostałem do więzienia... Jeżeli zamileczał imię autora, to nie dlatego jednak, że pragnąłem uchodzić za twórcę owych pięknych wierszy, żywcem zresztą tłumaczonych z francuskiego znanego poety, lecz jedynie z obawy, aby istotny ich właściciel przez właściwą mu lekkomyślność nie naprowadził wypadkiem władzy na ślad naszego spisku... Czy nie było tak, jak opowiadam?... Powiedz, panie Chruszczow?... I czy to ja powiedziałem nazwisko Stiepanowa naczelnikowi okręgu?... Czy ja?...

— Więc je wiedzą!?!... — krzyknął z przerażeniem Stiepanow.

Obecni rozśmiali się głośno.

— Uspokój się, Hipolicie Piotrowiczu, już sprawa załatwiona... Nie grozi ci nic na razie, ale trzymaj się czasu jakiś... z daleka... od panny!...

Do Beniowskiego podszedł zmieszany Panow:

— Daruj, byłem wprowadzony w błąd... Ten Stiepanow... Ale widzisz: kodeks Piotra Wielkiego mówi podobno wyraźnie o przywróceniu praw tym wygnańcom, którzy wykryją jakąś zbrodnię, zamach stanu lub spisek...

— Grożące całości państwa, albo zdrowiu i mieniu urzędników państwowych... Otóż wykrycie, iż cukier, podarowany nam przez Kazarinowa, był zatruty, będzie uważany za taką zasługę, gdyż mógł on być przez nas... podarowany naczelnikowi

kraju, sekretarzowi, oraz innym... — dodał Beniowski znacząco.

Zebrani znowu rozśmiali się głośno.

— A stało się to również za zgodą Kazarinowa, który przyznał się do zamiaru strucia urzędników, lecz za szczere wyznanie winy, głęboką skruchę i obietnicę poprawy, zostanie ukarany jedynie konfiskatą majątku i zesłaniem jako poborca rządowy na wyspy Kurylskie...

— Ukarali kota sadłem!...

— Za rok będzie miał drugie tyle!...

— Kruk krukowi oka nie wykole... Wiadomo!

— Szajka!

— Będzie darł z żywego i umarłego!...

Pomrukiwali zebrani, ruszając ku wyjściu.

— Jakież więc koniec?... — spytał Baturin.

— Ja chcę powtórzyć moją przysięgę!... — powiedział Beniowski.

— A ja proponuję zwolnić Beniowskiego od wszelkiej przysięgi, my tylko mu ponownie przysięgniemy!... — krzyknął Panow.

— Zgoda!... Stójcie!... Przysięgać!... Niech Chruszczow czyta przysięgę.

— Na przysięgę z waszej jedynie strony nie zgadzam się: przysięgniecie dopiero po mojej przysiędze... — sprzeciwił się Beniowski.

Stało się, jak żądał. Po chwili Chruszczow zaczął drżącym głosem:

— „...Iż przyłoży z nich każdy wszystkich swych starań, choćby z niebezpieczeństwem życia, iżby dopomógł do uskutecznienia planu, w celu odzyskania wolności...”.

Gdy się rozchodzili, Beniowski zatrzymał przedniejszych z rady naczelnej: Chruszczowa, Baturina, Kuźniecowa, Sybajewa.

— Chciałem się was, przyjaciele drodzy, pora-

dzić, jak mam postąpić w sprawie mego narzeczeństwa?

— Cóż, panna ładna i zacna w razie zabierzemy ją ze sobą na okręt!... Można ci tylko powinszować!... — odparł Baturin.

— Cukierek - dziewczyna!... — cmoknął Sybajew.

— Nie jest to jednak rzecz taka prosta, gdyż przede wszystkim może nie zechcieć opuścić rodziców, następnie... — zaczął Beniowski.

— Musiałaby jednak ich opuścić, gdybyś na przykład został urzędnikiem i dano ci posadę w jakim odległym zakątku... Białogłowy tego zwyczajne, z tym od dzieciństwa rosną... — zauważył Chruszczow.

— Następnie... — powtórzył z pewnym wahaniem się Beniowski — wiedzieć, że jestem żonaty i że mam syna... Nawet nie widziałem go... Opuściłem żonę w stanie błogosławionym...

— Masz tobie!... — przeciągnął Baturin. — To co innego!

— Licho nadało!... Gdzie diabeł nie może... — mruczał Kuźniecowa.

— To, rozumie się, komplikuje sprawę!

— Tak komplikuje, że chwilami nie wiem, co robić... — szczerze zgodził się Beniowski. — Wolałbym iść otwarcie na ogień nieprzyjacielski...

— Mógłbyś, zaślubiwszy ją, nie korzystać z praw małżeńskich... Na tej zasadzie, oraz wyjaśnwszy pod jakim zrobiłeś to przymusem, łatwo wszędzie otrzymałbyś rozwód — wstawił ostrożnie Chruszczow.

— Zawsze to dwużeństwo!...

— Wcale nie, gdyż wyrok sądów rosyjskich, pozbawiający praw, zwalnia wygnańców od wszelkich ślubów...

— Nie jestem poddanym rosyjskim... Zresztą w

żadnym razie nie chcę i nie mogę wpłatać w taką brzydką historię czystej, cnotliwej i tak mi oddanej panienci.

— Cóż się wtedy z nami stanie?... Zrozum, że całą osłoną i oporą twoją i naszą jest rodzina naczelnika. Przez swą odmowę obrazisz ją i uczynisz z niej jedną z najzajadlejszych swych wrogów... — wybuchnął Kuźniecowa.

— Co czynić, co czynić? — szeptał Beniowski, chodząc po pokoju w rozterce.

Towarzysze po raz pierwszy widzieli go w takim stanie.

— Można by tak urządzić, żeby ci dał ślub nasz spiskowy pop; on by wtedy i w księgi kościelne i w sam obrzęd mógł wstawić takie nieformalności, że małżeństwo byłoby nieważne — radził Baturin.

— Nie!... Nie mogę... Jej jednej tak okłamywać nie mogę... nie mogę...

— Cóż więc uczynisz? — spytał cicho Chruszczow.

— Nie wiem, myślę, że najlepiej zwłóczyć... Zostało do wiosny jakieś trzy miesiące... Dwa albo nawet trzy tygodnie zajmie nam podróż z naczelnikiem... Z tego więc też względu musi ta wyprawa jak najrychlejsz dojść do skutku... Następnie drugie trzy tygodnie albo miesiąc zabierze wyszukanie miejsca i rozplanowanie naszej osady... Potem trzeba będzie budować domy — nie mogę przecie małżonki z tak szlachetnej rodziny wprowadzić do pyłej budy... Będę czepiał się najrozmaitszych pozorów... Nie przyjdzie mi to łatwo, gdyż w każdym razie będzie to fałsz, a nie uwierzycie, jak mi jest ciężko... gdy taka ufna jest... ona!...

Urwał i z pewnym zmieszaniem spojrzął na uśmiechającego się Baturina.

— Pamiętaj, że losy nasze... — zaczął cicho Chruszczow.

— Pamiętam, pamiętam!... — przerwał mu niecierpliwie Beniowski.

Wracając do domu, nałożył drogi i długo błądził po pustych drogach, wśród śmiertelnie cichych, zaśnieżonych lasów, szukając jak zwykle wśród migocących na niebie gwiazd ukojenia dla swej myśli i swej burzliwej duszy.

XXV.

W parę dni potem odbył się uroczysty ceremonial przywrócenia praw Beniowskiemu, według przepisane go kodeksem porządku.

A więc z rana wszyscy wyganńcy w odświętnych odzieżach zebrali się w szkole, by czekać na wysłańców rządowych.

O dziesiątej przybył pisarz Sudejkin z dwoma kozakami i obwieścił, że przywozi rozkaz naczelnika okręgu, aby się Beniowski niezwłocznie wraz z nim do kancelarii gubernialnej stawił. Kto miał psy i sanie, ten pośpieszył razem z Beniowskim. Inni szli pieszo. W zarządzie wygnańcom kazano czekać w sieni, a Beniowskiego urzędnicy wprowadzili do sali radnej. Siedział w niej Niłow, jako prezydent, na pierwszym miejscu, otoczony asesorami z przedniejszych obywateli miasta i oficerstwa, z sekretarzem Nowosiłowym i setnikiem Czernych na czele.

Rozpoczął uroczystość Niłow długą przemową, w której dowodził, jako szczęśliwy jest każdy mający do czynienia z światłymi i sprawiedliwymi przedstawicielami rosyjskiego rządu, jako szczęśliwi są poddani, korzystający z dobrotliwej i mądrej opieki praw rosyjskiego państwa.

— Szczególniej, gdy na tronie zasiada taki

anioł w ludzkiej postaci, jakim jest boska nasza, panująca obecnie Imperatorowa, Katarzyna Wielka... Głębia mądrości, wzór cnót niedościgły, uosobienie tkliwości i wspaniałomyślności, Mars i Athene razem i sama Wenus w jednej osobie, anioł-stróż bezpieczeństwa i pomyślności poddanych, rozsypanych po całym Jej niezmierzonym Państwie. W jej to imieniu nagradzam zasługi, okazane Imperium przez obecnego tu a wszem znanego Augusta Samuelowicza Beniowskiego.

Tu kiwnął na Sudejkina i ten zaczął urzędowym nosowym głosem:

— „Powodowany nigdy niezmiennym moim do sprawiedliwości przywiązaniem, dojrzałe i z uwagą rozważywszy godne i chwalebne czyny Augusta Samuelowicza Beniowskiego, tutejszego wygnańca, w myśl ukazu Senatu a z woli Jej Cesarsko-Imperatorskiej Mości Katarzyny Samowładnej i Najwyższej Rządczyni Wszech Rosji, ogłaszam go wolnym od proskrypcji, na którą wzwyż wymieniony wyrok go skazał. Wyrok ten od dziś dnia ustaje, a to w myśl prawa, wyłuszczonego w pięknym artykule przepisów, dotyczących się urządzenia wygnańców. Ażeby zaś powody, które mię do tego kroku skłoniły, poznane były, rozkazuję, ażeby czyn Augusta Samuelowicza Beniowskiego został do wiadomości publicznej podany i przyłączony do powyższej deklaracji w brzmieniu, wyłożonym mi przez naczelnego sekretarza mej kancelarii.

Naczelnik Kameczatki
Kapitan I. Niłow”.

„Jaśnie Wielmożny Gubernator, zastanowiwszy się nad gorliwym czynem Augusta Samuelowicza Beniowskiego, który odkrył spisek, uknowany

przez kupca Timofeja Kazirinowa na strucie i zadanie śmierci gubernatorowi i przedniejszym urzędnikom gubernialnym, a to zapewne w celu zbrodniczym opanowania tej prowincji i wyrwania jej spod władzy Najwyższej; nadto zważywszy, iż wspomniany August Samuelowicz Beniowski, dla dowiedzenia sromotnego zamiaru przestępcy, hazardował nie tylko życie swoich towarzyszków, ale i swoje własne, doświadczeniem mocy trucizny na własnej osobie, a tym samym z niebezpieczeństwem dni swoich i życia swoich przyjaciół przekonał się dostatecznie o występku zwyż wyrażonym, co świężo potwierdził sam Kazarinow, dobrowolnie wyznając swoją zbrodnię, za czym w nagrodę tej tak ważnej usługi, postanowione jest wyrokiem Jaśnie Wielmożnego Gubernatora, stosownie do ukazów Piotra Cara, iżby wspomniany August Samuelowicz Beniowski uznany był wolnym od kary wygnania, jakoż niniejszym aktem uroczystym wolnym jest deklarowany.

Naczelny sekretarz kancelarii
S. Nowosiłow.

Pisarz Sudejkin.

Po przeczytaniu deklaracji przywołał Niłow do stołu prezydialnego Beniowskiego i kazał mu ucałować „zierało”, po czym uściskał wygnańca sam, a za nim kolejają inni członkowie rady. W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazało się na progu sześciu żołnierzy z dobošem. Sudejkin stanął pośród nich z dekretem w ręku i udał się natychmiast na miasto, tam go ogłaszać po wszystkich rogach ulic.

Beniowski poprosił, żeby jemu też pozwolono zrobić pewien wniosek, a otrzymawszy pozwolenie naczelnika, tak zaczął:

— Po usłudze, którą los szczęśliwy wydarzył,

izbym oddał ją Państwu, można zaufać, iż całe moje życie poświęcę na użytek i dobro łaskawej tej Gubernii, która tak wspaniale i skutecznie raczyła się zatrudnić mym losem; podejmuję się zatem wprowadzenia uprawy roli w części południowej Kamczatki i założenia tam pastwisk, wystarczających na utrzymanie tyle bydła, ile go potrzeba będzie na wyżywienie tej całej prowincji. Do wykonania tego zamiaru niczego więcej nie żądam, jak tylko pozwolenia ażebym mógł osiąść w owych stronach z kilkunastu dobranymi towarzyszami, toż izby mi ze czterdziestu krajowych mieszkańców w pomoc przydano.

Przemowę Beniowskiego spotkano pochwalnym szmerem; po czym Niłow po krótkiej naradzie z Nowosiłowym obwieścił, że propozycja została przyjęta i zostanie poddana pod obrady na następnej sesji Zarządu.

— A teraz proszę do mnie na obiad!... — zwrócił się do asesorów.

Beniowski wymknął się do sieni, aby uściskać, towarzyszy i powiadomić ich o urzędowym przyjęciu projektu osady rolnej.

Wywołało to wielką wśród nich radość i gwar, nym, podnieconym tłumem opuścili fortecę.

Beniowski poszedł do gubernatora, aby się przy biesiadnym stole z obywatelami miasta, już jako równy z równymi. Obok niego posadzono strojną w perły, w drogie zausznice i odzianą w najpiękniejsze szaty Nastazję. Wszyscy już dobrze wiedzieli o narzeczeństwie, ale czekał i cierpliwie, aż to ogłosi publicznie sam naczelnik kraju. Ten nie śpieszył się, jadł, pił, gości jeść i pić zmuszał, dopiero dobrze sobie podchmielewszy, poczuł godne rzeczy wzruszenie i podniósł się, aby przemówić:

— I powiedziane jest: — rzekł Niłow — wyjął

Pan zebro z boku Adamowego i uczynił zeń niewiastę... Ogłaszam cnym gościom, jako tych dwoje ma się za łaską Boga i moim pozwoleniem niedługo pobrać...

Tu kiwnął głową w stronę córki i Beniowskiego.

— Nie wcześniej to jednak nastąpi, aż nadejdzie od gubernatora irkuckiego nominacja pana młodego na oberpoliciemajstra Kamczatki, na który to urząd przedstawiłem go...

Radość gości nie miała granic, wszyscy na wyscigi szli z kieliszkami trącić się najpierw z rodzicami, a później z narzeczonymi. Na 'azja, cała w ogniach, dziękowała na wszystkie strony, ściskając tajemnie pod stołem rękę ukochanego.

Lecz ten był smutny i skąpy w uśmiechach. Nawet gdy na wniosek kupca Rybnikowa miejscowi obywatele uchwalili zebrać składkę na wiano dla młodych i posypały się nazwłocznie dość duże sumy na ręce kupca Biłycha, obranego prezesem komisji składkowej, troska nie znikła z pięknej twarzy wygnańca.

— Co ci jest, synu, gdyż sądzę, że tak pozwolisz mi ciebie od dziś nazywać! — zwróciła się do niego po cichu pani Niłowowa.

— Mamo, on taki smutny, jakby to był pogrzeb!... — szepnęła Nastazja, opierając się na ramieniu narzeczonego.

— Myślę, droga Marto Karłowno, o towarzyszach, z którymi przeżyłem tyle czasu, zaznałem tyle biedy, przeżyłem tyle drogi w trudach i niebezpieczeństwach, a którzy pozostają wciąż w niedoli, z jakiej los szczęśliwy mię tylko co, dzięki wam, wywiódł...

— To się da zmienić, to się zmieni! Skoro będziesz naczelnikiem policji, będziesz przez to najbliższym opiekunem. Zresztą cóż robić!... Musisz

się przyzwyczaić, żeś przestał być już ich towarzyszem. Mam nadzieję, że zamieszkaś u nas, gdzie kazałam już pokoje wyporządzić! Ufam, że nie odmówisz temu żądaniu, a tym samym łatwiej ci przyjdzie w interesach publicznych pomagać Iwanowi Piotrowiczowi...

Kłaniał się Beniowski, dziękował, pulchne ręce pani naczelnikowej całował, niecierpliwą Nastazję upewniał, że niczego tak nie pragnie, jak być wciąż blisko niej, ale...

— Niech panie zrozumieją, że byłoby zbyt już bolesną, zbyt niehumaną z mej strony rzeczą, gdybym tych przyjaciół wiernych i oddanych mi, tak natychmiast po otrzymanym szczęściu porzucił... Mam tam w dodatku uczni, szkołę, którą obowiązałem się prowadzić... Potrzeba czasu, aby to wszystko urządzić, aby nauczyciele włożyli się w swe obowiązki!... Jesteśmy młodzi, życie nas czeka jeszcze długie, Nastazjo, nie prawda? Nie należy być skąpym, nieużyтым i bezwzględny w chwili szczęścia dla pokrzywdzonych przez los, nie prawda!?... — dowodził szeroko i wymownie.

Nastazja miała w oczach łzy rozrzewnienia, ale pani Niłowowa wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Rób, jak chcesz!... Chociaż nie przekonałeś mię. Nie rozumiałam cię nigdy i teraz nie rozumiem... Wiem tylko, że wszystko w twym ręku na lepsze się obraca!

— Niech mi pani wierzy, iż to dlatego, że istotnie szczerze pragnę, aby wszystkim było jak najlepiej!... — odparł z wesołym naciskiem.

XXVI.

Uwolniono nareszcie Kazarinowa; sam Beniowski poniósł mu o tym wieść do więzienia. Kupiec z płaczem upadł mu do nóg.

Sekretarz Nowosiłow również był bardzo zadowolony, gdyż ulaskawiony wydał mu niezwłocznie skrypt, że jego skonfiskowany majątek nie przenosił paru tysięcy rubli w gotówce, w należnościach, oraz w pewnej ilości zleżałych, zepsutych towarów.

— Wszyscyy trzej zarobilismy na tej sprawie po osiemnaście tysięcy rubli — chwalił się Niłow. — A wszystko przez ciebie, Auguście Samuelowiczu. — Od dzisiaj codziennie z rana przychodzić do mnie będziesz pomagać mi w mej pracy. Czytać będziesz raporty i listy, treść z nich wyciągać i dawać na nie stosowne odpowiedzi albo rozkazy. Wprawi cię ta robota do urzędowania, na którym wprędce mam cię nadzieję pomieścić!...

Beniowski spełnił rozkaz i zaraz nazajutrz wziął się do porządkowania papierów, co trochę rozerwało jego przykre myśli. Miał już dość tego wszystkiego i marzył o rychłym wyjeździe z gubernatorem, spodziewając się, że w drodze trochę wytechnie od tych wszystkich brudów i intryg. Zawiódł się jednak srodze, gdyż po obiedzie wezwał go znowu do siebie naczelnik przez umyślnego i kazał uprzedzić kupca Kuźniecowa, który podjął się dostawy podwód, aby przygotował więcej psów i sani, gdyż sekretarz i komendant również z nimi jadą.

— A z nami... szachownica!... — dodał znacząco Nowosiłow.

— Ha, ha!... Właśnie... ona!... — rozśmiał się setnik.

— Co byśmy tu bez ciebie robili, Auguście Samuelowiczu!... — dowodził słodziuchno sekretarz, nie spuszczając błyszczących oczek z pochmurnej twarzy wygnańca.

— W Awaczyńsku, w Wierchnim, w Niżnim są jeszcze osoby, co nie poznały ostrości twego umy-

słu i płoną ochotą starcia się z nami!... — rozwo-
dził się setnik.

— Myślę, że mój Kuźniecowa zdąży jeszcze wszy-
stko urządzić. Zapowiedz mu, że chcę wyjechać
najpóźniej pojutrze, aby uniknąć w powrotnej czo-
dzie złej sanny!... — rozkazywał naczelnik.

Beniowski skorzystał z pretekstu, aby się wym-
knąć.

Tej nocy odbyło się w szkole ostatnie zebranie
spiskowców, na którym Beniowski zdał władzę
na czas swej nieobecności Chruszczowowi.

— Winnicie mu bezwzględne posłuszeństwo!...
Nie czyńcie kroku bez jego pozwolenia!... Już nie-
dużo zostało czasu, lecz rozgałęzienie naszego spi-
sku takich dosięgło rozmiarów, iż byle nieostroż-
ność zwrócić może na nas uwagę, a wtedy trudno
byłoby prawdę zataić!... Jeszcze trochę cierpliwoś-
ci i wysiłku a cel zostanie osiągnięty!... — pouczał
zebranych Beniowski.

Obiecali słuchać jego rad i widać było, gdy zę-
gnali się z nim, że byli jego odjazdem przejęci.

— A ty, Beniowski, wracaj jednak co prędzej,
szczęśliwie. Jakoś raźniej nam z tobą!... — mówili
niektórzy.

Kudin, Łapin i Rubatow szykowali się w drogę,
jako przyboczna straż Beniowskiego.

Orszak naczelnika składał się z czterdziestu
sześciu osób na dwiętnastu saniach; w tej liczbie
było dwudziestu pięciu spiskowców, wprowadzo-
nich umyślnie przez Kuźniecowa, jako straż, służ-
ba i psiarze. Sprawni, karni, trzeźwi, otaczali oni
naczelnika i urzędników czujnym pierścieniem, nie
dopuszczając do nich żadnej osoby, żadnej wieści
bez uprzedzenia o tym Beniowskiego. Ten nieod-
stępnie przebywał przy boku coraz mocniej przy-
wiązującego się do niego Niłowa.

—Bóg cię zesłał na pociechę moich starych

lat!... Z tobą nie zginiemy!... — powtarzał mu w chwilach rozczulenia.

A zdarzało się to dość często, gdyż płaskich bań ryleczek podróżnych z wódką wzięto spory zapas.

Pogoda sprzyjała, dnie były złote, słoneczne, a noce szafirowe, gwiazdziste i mroźne. Psy i sanie lekko mknęły po stwarczniałym, ubitym wiatrami, zeszkłonym przez słońce i mróz nocny śniegu.

Droga z początku wiodła po lodzie rzeki Bystrej. Urywiste, porosłe lasami brzegi malowniczo załamywały się na wysokich przylądkach, tworząc ciemne skały i osypiska, obrzeżone na złomach rąbkami śniegów. Spoza nich wyglądały tajemniczo mleczno-białe, wysokie i zębate łańcuchy gór. Zorze świtu i zachodu malowały je cudną, mierzchliwą purpurą, jasny dzień dziergał złotem, omglonym tęczową sreżogą promieni, rozszczepianych w kryształkach szronu, w perełkach lodu.

Nocowano w kameczackich osiedlach, gdzie znajdowano zawczasu przygotowane jurty, ogrzane słotym ogniem, wymiecione, wyczyszczone, upiększone futrzanymi wzorzystymi dywanami. Przjmowali ich tam uniżenie kameczaccy „taju”, ubrani w cenne futra, pałając na twarz i ofiarując im wyborne ryby wędzone, mrożone, gotowane, moc czirczyzny, jarząbków, kuropatw, zajęcy, dzikich i swojskich renów... Wszyscy tedy byli syci i weseli, i ludzie i psy... Każdy z orszaku na popasach dostawał od okolicznych mieszkańców jako datek futerko lisa, lub dziesiątek skórek wiewiórczych, a prócz tego mógł wymienić na herbatę, cukier, chińską tkaninę lub po prostu wyludzić drugie tyle. Gdy zaś naczelnik pokrzepił się jedzeniem i trunkiem, przychodzili z hołdem wodzowie pobliskich plemion i, kłaniając się, rzucali mu pod nogi całe stosy drogich futer kunich, lisich, nawet sobołych. Dostawało się z tych skarbów sporo i podwładnym.

Pęczniały skórzane sumy podróżne, okrągły się od wywczasów, od dobrej wyzerki, od zadowolenia twarze urzędników.

Gdy w dalszej podróży, wdarli się zwężającym wciąż wąwozem rzeki w samo wnętrze górzystej krainy, w dzikie zacienione wąwozy o ścianach prawie prostopadłych, droga stała się bardzo uciążliwą i otwarły przed nimi zadymione mroźnym oparem czeluście „tarinów”. Rzeczułki, płynące po dnie wąwozów, w wielu miejscach pokryła sina gołoledź, dziwnie odbijająca od przyległych białuchnych calin śniegowych. Jeszcze bardziej dziwiły i przerażały wędrowców niespodziane rozlewy żywej wody, wyciśniętej z głębin rzecznych odmętów mrozami, która chlupała pod łapami psów, jak rozlew letni.

W takich miejscach, aby nie pomrozić zwierząt, ludzie przewozili je i przenosili na rękach, przeciągali następnie sanie i ładunki, co dużo zabierało czasu. Nieraz już i noc zapadła i księżyc wszedł nad czarniejszymi od nocy skałami, a karawana, pokrzykując, dzwoniąc brzękadłami osztołtów, poskrzypując płozami, tłukła się wśród białych oparów oparzeliska, ledwie prześwietlonych srebrną poświatą. Tu i tam wśród mrozu, białości i martwoty tajemniczo migotała i łuszczyła się żywa smuga płynącej wody... Czasami w lodowym pagórku rozpękłego łona rzeki trzeba było rąbać schody wśród tych ciekących niebezpiecznych strumieni.

Ludzie w tych miejscach bardzo cierpieli od zimna i odmrożeń; nawet naczelnik zdradzał czasem obawy o nich i ze współczucia wstawał z sani w trudniejszych miejscach. Jedynie sekretarz nie ruszał się ze swego futrzanego wora, gdzie było mu miękko i ciepło, zaciszno, jak w uchu.

Na przestrzeni często paruset wiorst nie spotykali podróżni mieszkańców i nocowano w „po-

warniach'' — pustych schroniskach, umyślnie pobudowanych co wiorst kilkadziesiąt dla wygody kupców przejezdnych, oraz na użytek poczty rządowej.

Po przybyciu niecono przede wszystkim suty ogień na niskim ogniszczu, umieszczonym pośrodku; ławy i ściany wyścielano pośpiesznie futrami, urządzono naprędce stoły z pniaków, z narcianych blatów, rozstawiano małe zydelki sporządzone z karczów i sęków... Siadali na nich zziębnięci i zdrowzeni panowie urzędnicy i czekali niecierpliwie na warzącą się herbatę. Po herbacie podawano ryby, mięsiwo i wódkę. Który z kozaków siadał wtedy z bałabajką nie opodal i śpiewał, przygrywając:

Car Kuczur na gołym stepie
Oplakuje państwa stratę,
Przypomina skarby swoje,
Góry złota, błamy futra,
Czarnych lisów i soboli...
A w obszernym jego dworcu
Kozacy dzwonią w puchary,
Piją hucznie Rosji zdrowie,
Wspominają Rosji sławę...
Pośrodku siedzi naczeinik,
Wszechpotężny wojewoda,
Pierwszy w boju, pierwszy w radzie,
Sam Jermak, syn Timofiejka...

.....

Nazajutrz, ledwie zorza różowa zapaliła wierzchołki gór, już długa karawana napełniała znowu wrzaskiem, ujadaniem psów, dzwonieniem brząka-
deł, skrzypem sani i okrzykami psiarzy stężałe od mrozu wąwozy spiętrzonych do nieba skał

Tak dotarli do Wierchniego Ostroga, gdzieznaczony był trzydniowy postój dla nabrania sił.

Byli tu spiskowcy, których odwiedził i zlustrował Kuźniecowa, podczas gdy Beniowski musiał grać z kupcami w szachy.

Podjeżdżali tu ich bardzo szczerze; naczelnik prawie chwili nie był trzeźwy.

Ale nie nie mogło iść w porównanie z przyjęciem, jakie zgotował im porucznik Norin w Niżnie-Kamczacku.

Na spotkanie wyszła procesja z kościelnymi chorągwiami przy odgłosie dzwonów a wódki wypito w ciągu trzech dni pobytu tam tyle, że długo o tym chodziły po kraju niewiarygodne legendy. I długo kobiety z westchnieniem opowiadały o czterdziestu przybyłych z naczelnikiem mołojcach...

Jednym słowem... czterdziestu braci zbójców z bajki! — kończyły zwykle z zachwytem.

Norin był szczerze rad Beniowskiemu, cieszył się z jego wywyższenia i na każdym kroku mu swoją przyjaźń i szacunek okazywał.

Nocną porą w ustronnej chatce odbyło się połączone zebranie przybyłych i miejscowych spiskowców; były skargi na przywódcę sekcji Lewantiewa, że uciska sprysiężonych, że część kasy wspólnej roztrwonil na własne potrzeby. Beniowski zbaćał sprawę i ku zadowoleniu wszystkich winowajcę złożył z urzędu. Kazał się ponadto związkowym sroćobić usilnie do drogi, gdyż miał zamiar ściągnąć wszystkich z końcem wiosny do Bolszeriecka, skoro tylko kra morska od brzegów odejdzie.

Drogę powrotną wybrał gubernator inną, łatwiejszą, brzegiem morza na Awaczyńsk.

Wtedy to, niedaleko od Bolszeriecka, zdarzył się wypadek, który o mało wszystkich nie zgubił.

Rano o świcie wyszedł Beniowski z jurty, gdzie spał z naczelnikiem, aby zobaczyć się z Kuźniecowskim i polecić mu wysłanie umyślnego do mista.

— Niech się zobaczy z naszymi dowie się, czy

co nie zaszło?... Zawsze lepiej naprzód wiedzieć!...

— Zapewne, zapewne!... — zgodził się Kuźniecowa. — Choć nie wiem, co by się stać mogło!

Gdy tak rozmawiali, zbliżył się ku nim Kameczadał w podróżnym ubraniu i zapytał, czy nie wiedzą, kiedy naczelnik wstanie.

— A co takiego?

— Mam mu oddać ważny list od pewnego wygnańca, który dla nagłej słabości nie mógł tu osobiście stanąć!

— Oddaj list temu tu panu, to jest sekretarz naczelnika. On mu list doręczy: — odrzekł Kuźniecowa.

Beniowski ledwie okiem rzucił na kopertę, drgnął i pobladł, gdyż poznał pismo Lewantiewa. Wszedł natychmiast do jurty Kuźniecowa a Kameczadała kazał nakarmić, obdarować i odesłać niezwłocznie z powrotem.

Otworzywszy list, wyczytał, że Lewantiew umyślnie wyjechał z Niżnie-Kameczacka, aby dogonić gubernatora. W drodze wszakże zasłabł nagle, schwycony ostrą kolką. Wysłał więc zamiast ustnego doniesienia pisemne o spisku wygnańców, o roli Beniowskiego, o zebraniach, naradach; przy czym podawał cały szereg nazwisk sprzysiężonych, oraz miejsc, gdzie ukrywają broń i amunicję.

Beniowski odczytał list drżącemu z przerażenia i gniewu Kuźnicowowi.

— Cóż ty na to?

— Śmierć!... — odrzekł kupiec z złowrogim blaskiem w oczach.

— Weź więc natychmiast Kudina, jedź z powrotem i zrób z tym nieponiem porządek... Zaczekamy na ciebie. Wytlumaczę twoją nieobecność zapomnieniem jakiego przedmiotu na poprzedniej stacji... i postaram się naczelnika tutaj zatrzymać. Właś-

nie jest blisko wulkan, będę go namawiał, żeby górę zwiędził!

Przy śniadaniu starał się Beniowski dowieść naczelnikowi, że zamiast tłuc się w ciągu paru dni po przykrych drogach, nocować w pustych, zimnych schroniskach, należy raczej wypocząć dobrze w tej tu wesołej i względnie zaludnionej miejscowości, podpaść psy, wyreperować uprząż, aby następnie za jednym przejazdem stanąć w mieście.

— Zapewne, że lepiej, ale... co tu robić będziemy! — zauważył Niłow.

— To samo, co w drodze: leżeć sobie do góry brzuchem! Z tą różnicą, że nie będzie nas trząść...

— podtrzymał Beniowskiego sekretarz, któremu obiecano na ten wieczór jakąś osobliwą Kamczadalkę.

Proponował zatem Beniowski wycieczkę do wulkanu, lecz zdołał zachęcić jedynie setnika.

— Bo i prawda!... Żadnej rozrywki, grać nie ma z kim, wódki ledwie starczy dla Iwana Piotrowicza!... Pójdziemy więc chyba z tobą, Beniowski!... Zawszeć to dziwo przyrody!

Wzięli przewodników miejscowych, uprzężkę psów u miejscowego „taju” i kazali się wieść na górę. Rychło dosięgli kresu lasów i dalej już piechotą musieli piąć się na goły stożek po spękanych opływiskach lawy, ledwie przyprószonej śniegiem, wśród złomów skalnych i osypisk zrzuconych trzęsieniem ziemi i zawianych zaspami śniegu, wśród rumowisk sterczących nago z białych lodowców, jak żałobne, tajemnicze znaki. Droga była trudna i żmudna; często wypoczywali, a wówczas komendant bawił Beniowskiego opowiadaniem o swoich niepowodzeniach służbowych i zamiarach przezwyciężenia ich nareszcie.

— Gdybyś tylko, Auguście Samuelowiczu, zechciał, gdybyś tylko zechciał, mielibyśmy, co dusza

zapragnie!... Namówmy Iwana Piotrowicza, żeby on nie wysyłał pocztą twego opisu Kamczatki, lecz polecił mnie osobiście przedstawić go Imperatorowej... Wyjechałbym wczesną wiosną, a w zimie już bym był z powrotem... Przez ten czas mógłbyś mię zastępować na służbie... Już ja bym całą rzecz tak tam przedstawił, że naczelnik dostałby gubernię Ochocką, ty byś tutaj rządził w Kamczatce, a ja... ja dla siebie nic nie chcę, jeno wyspy Aleuckie... Tam można dużo zarobić, tam jeszcze jest na oceanie dużo niewykrytych ziem... Opowiadają, że są takie ziemie, gdzie mieszkańcy mają oko pośrodku piersi, a jeżdżą nie na psach, lecz na sobolach... Ale dla mnie to nie ma znaczenia... Tacy czy owacy byle jasak płacili...

— Zapomnieliśmy jednak, Nikandrze Gawryłowiczu, całkiem... o sekretarzu! On swego nie daruje. Co z nim poczniemy!? — wstawił niespodzianie Beniowski.

Czernych zmieszał się i chwilę patrzył w osłupieniu na Beniowskiego.

— Istotnie, co poczniemy!? On swego nie daruje!...

— Czy nie lepiej więc, abyśmy tak zrobili: Iwan Piotrowicz dostanie Ochocką albo Irkucką gubernię, sekretarza osadzimy tu w Kamczatce, a ja zostanę twoim pomocnikiem na Aleutach... I po co nam jakichś nieznanych ziem na oceanie szukać, kiedy na tamtym brzegu w Ameryce mamy Kalifornię. Hiszpania daleko, zawikłana w wojnę z Austrią, musi bronić i od nowa zdobywać bliższe swoje prowincje, nie będzie mogła rychło okrętów swych posłać tak daleko, a my się tymczasem tam utrwalimy... Kraj piękny, żyzny, południowy...

Kozakowi zapaliły się oczy.

— Kraj żyzny, piękny, południowy... — potarzał rozmarzony. — A ludzie tam są?...

— Są Kanaki. Tęgi lud miedzianoskóry, ma moc futer i złota.

— Złota, powiadasz, prawdziwego złota? A dziewczki ładne?

— Rosłe, jak topole...

— Ho, ho... A daleko to z Aleutów?...

Opowiadał mu Beniowski w krótkości wszystko, co wiedział o Nowym Świecie, o jego ziemiach, ludach, o drogach do niego wiodących, o Kolumbie, o Pizzaro i Kortezie...

Słuchał w milczeniu kozak, przejęty i wzburzony, i wciąż pytaniami dręczył Beniowskiego, choć przykra droga bardzo utrudniała rozmowę. Przerwał ją wreszcie Beniowski, gdyż wchodzili w krainę dziwną, pełną syku i gulgotu pary, bijącej tu i owdzie szparami z podziemi, jak z zamkniętego kotła; pełną siwych kłębiących się mgieł, pełną grzmotów dalekich, jęków i furkotu... Zapach siarki poraził im nozdrza, pod nogą czuli ciepło drgającej ziemi. Kameczadalowie nie chcieli iść dalej. Beniowski spojrział na stromy kopiec, dymiący się i wznoszący wspaniale ponad mgłami ku jasnemu niebu, i powiedział, że pójdzie sam; wahał się chwilę setnik, lecz uważając, że przyszłemu zdobywcy Kalifornii nie wypada wykazywać strachu, też się iść zgodził. Dwóch spiskowców, Kudin i Łapin, wiernie pośpieszyło za nimi.

Zaspy popiołu i narzutowe głazy mocno im przeszkadzały w podróży; co chwila obsuwali się razem z nimi i o mało nie pospadali w przepaść. Zmęczeni niezmiernie dostali się nareszcie na grań krateru, czerwonoczarnej skalistej czaszy, pełnej skłębionego siwego dymu, hurkotów, jęków i szmerów. Poza tym nie tam nie dojrzel, a że z dołu wiał niezmiernie przykry zaduch i gorąco, więc

pośpieszyli zejść, tym bardziej, że zbliżał się wieczór.

Dopiero w samym obozowisku, przy rozstaniu się, ocknął się z głębokiej zadumy setnik i rzekł, ściskając rękę Beniowskiego:

— Sprawiedliwie rzekłeś, przyjacielu, w Kamczatce osadzimy Sergiusza Mikołajewicza, a co do Kalifornii to milez na Boga, gdyż lękam się, by nas nie ubiegli.

Beniowski uśmiechnął się i kiwnął mu głową.

Nad ranem trawiony bezsennością Beniowski usłyszał skrzyp sani i wyszedł przed jurte. W siwym zmroku przedświtę przemykały się ostrożnie ku dalszym budowlom dwie ludzkie figury, wiodąc sforę oszronionych psów.

— Czy to ty, Kuźniecowa?...

— Tak, to ja!...

— Jakże tam?...

Kuźniecowa przystąpił blisko i rzekł cicho:

— Stało się, jakieś kazał. Znaleźliśmy go wpół drogi w kameczadalskim siedliszczu, leżał chory... Przyznał się do wszystkiego. Więcej — opowiedział do cna, co się w Niżnim dzieje. Grzech, srom... Rozpuścili się nasi sprzysiężeni pod przychylnymi rządami Norina, jak dziadowskie bicze... Będziemy mieli z nimi niemało zachodu... Trzeba ich stamtąd na gwałt zabrać...

— Skądże tak?...

— A wszystko przez baby!... Wiadomo...

— No a... ten?... Co z tym?

— A no nie chciał pić, błagał, obiecywał poprawę, ale... musiał!

Beniowski odwrócił głowę.

Świtało. Blade czoło dnia już wychylało się zza góry, gasząc gwiazdy.

Czuć było wiosnę. Mgławo migwały nocami gwiazdy na pociemniałym niebie. Nagrzane za dnia śniegi zionęły siwymi oparami, które krzepły natychmiast w leciuchne szrony na odwilgłych i znowu tężejących ku nocy gałązkach drzew. Kroki ludzi chrzęszczały przejmująco na śniegowej grudzie.

— Kto idzie? — pytały co chwila straże, rozstawione dokoła szkoły.

— Swój!

— Hasło?

— Piotr i Paweł...

Czerwono gorzały nieduże okna szkolnego budynku, słaniały się na nich tłumnie cienie ludzkie.

Beniowski opowiadał zebranym o zdradzie Lewantiewa i o jego śmierci. Groza wiała nad słuchaczami.

— Będzie się to powtarzać coraz częściej! — rzucił Baturin. — Ludzie są słabi!... Zapachniało im prawo Piotra Wielkiego i, miasto uwolnić się razem, myślą jeno o polepszeniu swego wyłącznie losu za judaszową cenę...

— Nie widzę innego na to sposobu, jak oddać władzę dyktatorską życia i śmierci jednemu z nas. Aby miał prawo wydawać rozkazy i układać plany, nie zdradzając ich przed nikim... Dla pomocy niechby ów najwyższy naczelnik dobrał sobie sam zaufanych ludzi... W ten sposób może uda się zachować tajemnicę! — radził Panow.

— Proponuję na dyktatora Beniowskiego!... — dorzucił Chruszczow.

— Tak, tak!... Beniowski, niech rządzi Beniowski!... — ozwały się głosy.

— Myślę też że potrzebna większa w słowach oględność i tajemniczość, niż to możliwe przy o-

becnym sposobie wykonywania naszych zamiarów — zabrał głos Beniowski. — Lecz musi to być może, że ze wszech punktów rozważone postanowienie, a osoba dyktatora wybrana jednogłośnie!

— Co tu radzić?... kto tu za nas do tej pory myśli?... kto w razie czego najciężej za wszystko odpowie? Ty, Beniowski... Tobie najwięcej ufamy!... Ty rządz!... — zagrzmiało ze wszystkich kątów.

— Więc głosujcie! Bez głosowania tak ważna sprawa obejść się nie może. Pamiętajcie, że w razie wyboru będę miał nad wami prawo życia i śmierci... nawet... za zwykłe nieposłuszeństwo!

— Podchodzić do głosu!... — wezwał przewodniczący obradom Chruszczow.

Podchodzili i zgodnie podawali głosy za Beniowskim, a Chruszczow znaczył je na papierze.

— Jest nas tu pięćdziesięciu dziewięciu, a głosów podano pięćdziesiąt osiem... Kto jeszcze nie głosował?

— Stiepanow nie głosował! — odrzekł Panow.

— On jeden. W każdym razie Beniowski wybrany.

— Chciałbym jednak usłyszeć powody, dla których wstrzymałeś się od głosowania? — zwrócił się do Stiepanowa Beniowski. — Czy masz co przeciwko samemu postanowieniu, czy też przeciwko mojej osobie?

— I jedno i drugie!... — odrzekł krótko. — Despotia nigdy nie prowadzi do dobrego.

— Skoro jednak potrzebna jest dla tajemnicy, dla powszechnego bezpieczeństwa!...

— Będziemy cierpieć od omyłek, od stronności i zaślepienia jednostki...

— Choć pochwalam wasze ogólne postanowienie, ale uznaję zarazem słuszność uwag Stiepanowa i w razie mego wyboru wcale nie miałem za-

miaru umniejszać jej znaczenia... Owszem, zapraszam do niej na dawnych prawach nawet Stiepanowa, który, jako adwersarz, najlepiej dojrzy i śledzić będzie umiał moje czynności! — odpowiedział Beniowski.

— Nie wypada mi dłużej przed wami zataić... — przerwał głucho Panow — że Stiepanow według mnie nie godzien jest dopuszczenia do tajemnic związkowych i że uczyniłem moją propozycję głównie w zamiarze usunięcia go z Rady!

Zaległa cisza głęboka.

— Co?... Co powiedział?

— Ładna rzecz!... Przecież to jego krewniak!...

— Niech gada zaraz, o co chodzi!...

— Prostyh ludzi to śmiercią karzą, a takiego!... Ho, ho!

— Co on zrobił!... Zaraz gadaj!...

— Nie ujdzie żywy!... Tu o zgubę naszą chodzi!...

Wrzawa wzmagala się. Wtem Beniowski znowu głos zabrał.

— Trudno zmuszać Panowa, aby na siostrzeńca swego powiedział więcej nad to, co powiedział. Zupełnie to wystarcza. Zapewne, że Stiepanow po proteście swego krewniaka już do Rady nie może być przyjęty, lecz nie widzę dlaczego byśmy mieli dalej go ścigać, skoro nic jeszcze występnego nie uczynił, prócz może wypowiedzenia nierozważnie jakich słów lub grózb! Wystarczy nam, gdy obieca większą na przyszłość wstrzeźliwość oraz posłuszeństwo, a zaś Panowowi, z którym mieszka, poruczymy pilny za nim nadzór... Czy zgadzacie się na to?

— Tak będzie najlepiej!... — przywodził mu Chruszczow.

— Zamiast niepotrzebnych sądów i swarów, niech Stiepanow po prostu powtórzy przysięgę...

Spiskowcy rozstapili się, czyniąc puste miejsce przed wezwanym; ten milczał, blady, z oczyma utkwionymi w ziemię; wreszcie podniósł wzrok gorejący i utkwiał go w Beniowskim.

— Tak?... Dobrze! Więc powiem!... A komuż to mam przysięgać!... Temu drabowi, który wszystkich nas, świat cały uwodzi jedwabnymi słówkami, bućując powodzenie osobiste na powszechnym omamieniu?... Nie, tej przysięgi nie uczynię!... Nie jestem szaleńcem!... Gotów jestem życie przynieść w ofierze sprawie ogólnej, ale kropli krwi nie obowiązany jestem oddać na widzi mi się jakiegoś tam awanturnika!... Mówi, że jest hrabią, że jest generałem, magnatem i bogaczem, ale jakie mamy na to dowody prócz słów jego własnych?... Czym poświadczył pokładane w nim zaufanie? To, co uczynił, każdy z nas uczynić w stanie. Że ogrywa kupców?... To czyż o mało w ten sposób nie wydał nas wszystkich i nie naraził nas na zgon haniebny od otrucia!... Wzbudził powszechną ku sobie nienawiść i stąd to a nie skądinąd płynie zdrada, której nie nie wstrzyma, gdyż płynie ona z malej ku niemu ufności... Kto zresztą wie, kto wie, jakie pobudki skłoniły go do zabójstwa Lewantiewa? Może nieboszczyk przejrzał go i odmówił mu posłuszeństwa, jak ja, albo może zechciał Beniowski zawładnąć i jego majątkiem, jak zawładnął majątkiem Kazarinowa!...

— Co on plecie?... Co on plecie?... Bezmyślny szaleniec!... — szepnął Beniowski.

— Podlec, podlec!... Patrzcie, oto na szczęście zachowałem pismo Lewantiewa, choć mi je kazał Beniowski zniszczyć! — krzyknął Kuźniecowa, występując z szeregów.

Chruszczow wziął od niego podawany list.

— Czytaj, czytaj!... — wołano ze wszech stron.

— „Do Jego Wysokiej Szlachetności Naczeln-

ka Kameczatki..." — zaczął Chruszczow drżącym głosem.

— Fałsz... Nie wierzę!... Sfałszowany... Co dla Beniowskiego znaczy sfałszować list?... Nie pierwszy i nie ostatni sfałszowany przez niego dokument... Wiem coś o tym!... — wciąż przerywał czytanie Stiepanow.

Po skończeniu zaś listu w długiej przemowie dowodził oponent, iż z takim potworem i intrygantem, jak Beniowski, walczyć bronią zwykłą nie podobna, lecz on gotów uciec się do sądu Bożego i pojedynkiem zaświadczyć prawdziwość swoich oskarżeń.

— Co za głupstwo! — zawołał Chruszczow. — Średniowieczne zabobony!...

— Ukarz go, zuchwalca! — krzyczał Panow. — Pojedynków mu się zachciewa...

— A jeżeli Beniowski zginie, to co? — wołali jedni.

— Co za niedorzeczne pomysły!... — sprzeciwiali się drudzy.

— Śmierć jego najmniejszej jest wagi!... Ilu tu nas jest przytomnych, tylu zdatniejszych do wykonania nie tak trudnych już naczelnika obowiązków!... Zresztą żądam w imię Boga!... Niech Bóg nas sędzi, skoro wy, grzeszni ludzie, nie umiecie!... — wybuchnął Stiepanow.

— Tak, to prawda, nie można mu odmówić, skoro pod opiekę Boga się udaje! — rozległy się tu i ówdzie nieśmiałe głosy.

Rzesza wygnańców zawahała się. Dojrzał to Beniowski i ogłosił naraz, że wyzwanie przyjmuje.

Nazajutrz o świcie pojechał wraz z Chruszczowym i Kuźniecowym na oznaczone miejsce; nie zadługo stawili się i Stiepanow z Panowym; grupkami zwolna napływała reszta spiskowców. Czarne ich postacie w kosmatych odzieżach, twarze po-

sępne i ogorzałe, mocno odrzynały się na niepokalanej białości śniegów i szronów, pokrywających polankę oraz zarośla. Złote słońce ranne roziskrzyło zimne pokrowy tysiącem iskier, górną sklepił się blady błękit nieba z srebrnymi chmurami; mroźny opar nocny opadał ku dołowi, jeno na miejscu pojedynku chwiał się jeszcze, podsycony oddechem licznych ust, ciepłem tęgich, parujących ciał ludzi, otaczających gotujących się do walki adwersarzy. Dano im broń, długie szpady oficerskie; zajęli pozycje, sekundanci stanęli po bokach z laskami. Stiepanow z niesłychanym impetem natarł na przeciwnika. Beniowski początkowo ustępował, zasłaniając się. Gdy już był u kresu mety, silnie sparował sztych i momentalnie sam przeszedł do natarcia. Furknęła szpada Stiepanowa, oplątana niezmiernie szybkim węzowym ruchem klingi Beniowskiego, wyleciała w powietrze i padła o dwa kroki na śnieg. Beniowski cofnął się, nadepnął ostrze nogą i swoją szpadę opuścił.

Lecz w tejże chwili huknął strzał i widzowie z okrzykiem trwogi i zgrozy przychyłili się ku ziemi. Stiepanow stał z dymiącym się postoletem w prawej ręce, a lewą z drugim pistoletem podnosił znowu ku zbrozczonemu krwią Beniowskiemu. Strzał jednak spalił na panewce.

Sekundanci schwycili szaleńca i powalili go na ziemię, reszta rozjuszonych wygnańców wpadła nań kupą. Musiał Beniowski poniechać tamowania krwi ze zranionego ramienia, aby nieszczęsnika bronić. Związanego oddano pod straż Panowa; po czym wszyscy niezmiernie wzburzeni wracali gromadkami do wioski.

Beniowski musiał śpieszyć na zwykłe zajęcie do gubernatora, gdzie miał pozostać na obiedzie; zakończenie więc sprawy zostało odłożone do wieczora.

W czasie obiadu wesola, przydrwiaca rozmowa obracała się dokoła projektów setnika Czernych, dokoła możliwości zdobycia Kalifornii i prawdopodobieństwa zagarnięcia trzech gubernii przyległych sobie pod władzę zacnego triumwiratu.

— Juścić, że w tych warunkach zgadzam się i na Ochocką gubernię!... — dowodził Niłow. — Mając na wyspach Aleuckich i w Kalifornii twoje, mój zięciu, poparcie, a w Kamczatce przychylnego sobie Nowosiłowa, będziemy mogli rządzić całym tym krajem, jak nam się spodoba!

— Nie wiem jednak, czy na sekretarza można będzie liczyć zupełnie!... Za gruby! Nie dwóch a trzech i więcej ludzi w nim się mieści! — zauważył Beniowski.

— Hm!... Myślałem i o tym... Zapewne, że nie zupełnie. Ale zważ, Augustcie Samuelowiczu, że węzłem wszystkiego jest Ochock: przezeń idą rozkazy i raporty, z niego wypływają okręty, niosąc prowiant, amunicję i zasilek w ludziach... Kto ma Ochock, ma w garści kraj cały... A tam ja będę!... Ja, który znam Sergiusza Mikołajewicza jak zły szeląg!

Pilnie, choć w mileczeniu, słuchały tej politycznej rozmowy Nastazja z Martą Karłowną, znikając od czasu do czasu za drzwiami dla spraw domowych. Dopiero na samym wyjściu zawołała pani Niłowowa Beniowskiego do pokoju córki i jęła mu wyluszczać, jak pilne jest, wobec gotujących się zmian i możliwej dalekiej wyprawy, przyspieszenie wesela:

— Żebyście się mogli choć sobą nacieszyć przed twoim tam wyjazdem! Chcesz a skłonię męża, żeby dom i całe uekwipowanie własnym ci sprawił kosztem, żebyś mógł nie czekać na budowanie osady...

Zmieszał się mocno Beniowski i umknął jej oczu:

— To żadną miarą być nie może, gdyż i względem wygnańców zaciągnąłem zobowiązania, których naruszenie od razu zniweczy me wpływy... A bez tych wpływów nie się nie uda!

Długo dowodził zanim przekonał gorącą niewiastę. Gdy już wychodził, w ciemnym korytarzu rzuciła mu się na szyję ukryta w ciemnościach Nastazja i, tuląc zapłakaną twarz do jego piersi wyrzucała mu tkliwie:

— Nie śpieszno ci do mnie, ukochany, nie śpieszno!

Na daremno próbował oderwać jej ręce, przyciskała się doń coraz mocniej, aż po krótkim oporze Beniowski sam ją nagle do siebie przygarnął, przechylił w tył i utonął gorącymi ustami w jej pokornych ustach.

XXVIII.

Jeszcze czuł w krwi upajający czar tych pieszczot a już musiał składać i przyjmować groźne przysięgi gdyż zebrani w szkole spiskowcy przy jego pojawieniu się tam jednogłośnie okrzyknęli go nieograniczonym władcą nad sobą. Po czym przewodniczący zebrania Chruszczow zażądał w imieniu wszystkich sądu i kary na Stiepanowa.

— Niechby jednak przedtem Panow powiedział, co wie o powodach tak zaciętej ku mnie nienawiści jego siostrzeńca!... Może by się udało całą rzecz załagodzić!... Bądź co bądź stary to i, do niedawna, wierny towarzysz!... — przekładał zgromadzonym Beniowski.

Panow stanowczo odmówił.

— Spytajcie jego samego... Nie chcę się do tej sprawy mieszać... Choć jest bliskim mym krewnym, straciłem serce do niego... Niech się sam tłumaczy, jak umie! Zresztą związany jestem słowem honoru!

Wezwano więc Stiepanowa, który wszedł weale zuchwale, z głową hardo wzniesioną i wodził rozgorzałym wzrokiem po wszystkich, nie wyłączając Beniowskiego.

Chruszczow w poważnym przemówieniu wykazał mu szkodliwość jego zachowania się, groźne dlań jego skutki i zażądał szczerego wyznania pobudek dziwnej zawziętości.

— Owszem, ponieważ wiem, iż wkrótce spotkamie los Piacygina i Lewantiewa, nie będę sobie zadawał fatygi, żeby was okłamywać. Zobaczycie, że wy wszyscy pójdziecie niedługo za mną, gdyż celem tego człowieka jest zgubić was dla swego wywyższenia. Skąd wiecie, o czym rozmawia on z gubernatorem?... Jakiego układa plany z niecznym sekretarzem i dzikim kozakiem Czernych?... Azali przypuszczacie, że wymową swoją zamienił ich w łagodnych baranków?... Nie, tych ludzi poruszać może jeno przewrotna chciwość i pycha; musi więc on ich czarować podobnymi nadziejami; i kto z was zareczy mi, czy w chwili wsiadania na owe upragnione, mające nas wieść ku wolności okręty, nie spotkacie tam siepaczy i więzów?... Beniowski jest mądry i przebiegły jak wąż, nie sprzeda was za byle co i wpół drogi lecz sprzeda was za cenę drogą i w chwili ostatniej, aby zasługa była tym widoczniejsza... Już i teraz gadają że ma być naznaczony naczelnikiem miejscowej policji... a rychło stanie się zięciem gubernatora i pękną ostatnie nici, wiążące go z nami, nędznymi, bezprawnymi rabami... Jaki jest więc powód jego troski o nas?... Łudzi was, jak łudził niegdyś mnie...

Podjęcie dawno mnie nurtując, dawno śledząc jego piekielną zręczność, niezwykle powodzenie we wszystkich zamiarach... Nie wydaje mi się to rzeczą naturalną... Ale nie mogłem się oprzeć siłom ufności i wspaniałomyślności, jakie wciąż rozstawiał na mnie ten nieskończenie przebiegły człowiek. Nie tylko przebaczał mi stale wszelkie wykroczenia, owszem obsypywał dowodami uznania, wyznaczył do Rady Najwyższej, powierzał tajemnice, obsypywał szczerzej od innych upominkami... I po co?... Czyżby chciał zabić mnie lub podkupić wspaniałomyślnością? Czas jakiś poddawałem się temu, ale rychło spostrzegłem cel utajony — wywyższyć siebie przez moje poniżenie!... Więc starałem się odepchnąć jego dobrodziejstwa... Przemawiałem najostrzej przeciwko niemu, a przecie niedawno jeszcze, pamiętacie, chciał mnie zaprosić do przybocznej swej rady w triumfie wlec mnie za swoim rydwanem... Dziś rano go dziłem na jego życie, a jednak nie zabił mnie?... Czy nie wydaje wam się to dziwne?... Ha, może on upatrzył mnie sobie jako družbę na bliskie wesele?... Co?... Tego jeszcze brakowało, abym pychę, jego nasycił widokiem mego cierpienia!... I tak już cierpię niewymownie, że tego anioła, tę dziewicę niesłychanie czystą i piękną, on schizmatyk i oczajdusza wychodzić z piekła rodem...

— Miarkuj się!... — wstrzymał go Chruszczow.

— Mów, co chcesz, ale lżyć ci nie wolno!

— ...Ciągnie w przepaść swych niegodnych zamysłów, czyni ofiarą swych sprośnych chuci...

— Milez, nie mieszaj jej!... — wybuchnął Beniowski.

— Dlaczego nie mam mieszać, krzywdzicielu? Czyli świadomie nie uwodzisz jej pod przykrywką pożytku naszego sprzysiężenia?...

— Nieprawda!... Nie uwodzę jej wcale!

— Cóż więc znaczą te przesiadywania, schadzki, ciche rozmowy i spojrzenia?... Azali nie ogłoszono cię jej narzeczoną i nie naznaczono dnia ślubu!?!... Kpisz sobie z nas?... W dniu tym, przyjaciele, wyda on nas wszystkich na wiano... naczelnikowi kraju! Zobaczycie!

— Wzywam na świadków obecnych tu Chruszczowa i Baturina, czy nie za ich poradą zgodziłem się z wielkim wstrętem dopuścić do ogłoszenia owego narzeczeństwa. Oni również wiedzą, czy mogę zaślubić ową panienkę, istotnie zacząć i życliwą mi...

Stiepanow umilkł i nieufnym wzrokiem spoznał na wymienionych.

— Istotnie, prawdą jest, iż na nasze żądanie Beniowski nie odrzucił ofiarowanej mu ręki panny Niłowówny, choć zaślubić jej nie może! — potwierdzili zgodnie obaj wygnańcy.

— Cóż więc to wszystko znaczy, cóż więc znaczy? Ha, rozumiem: on niby rząd zwodzi, ale nie wierzę... Zbyt wielka pokusa! Nie podobna... Oszukuje nie ich a was... — odburknął wzgardliwie Stiepanow.

Wśród wygnańców zapanowało przykre milczenie.

— Więc o to chodzi! — zaczął nagle cichym, przejmującym głosem Beniowski. — Więc to tak?... Więc wolność stawiacie na równi z posiadaniem ładnej dziewczyny, z dojściem do bogactwa, do urzędu? I dlatego, że mogę tego dosięgnąć, podejrzewacie mię, iż gotów jestem tutaj pozostać i was nawet na najwyższe katusze zaprzedać!... Więc wolność dla was to możność przewożenia innym i uciskania ich, bo tutaj nie można niczym innym być, ino rabem albo katem... Więc wy przypuszczacie, że można wolną duszę zamienić na szyty złotem mundur, że wieczne tęsknoty

za rozmaitością wolnego świata można zalać gorzałką, że miejscowe szacherki i intrygi mogą zastąpić wolną grę szlachetnych zapalów i ambicji że patrząc w ładne oczy niewieście, można zapomnieć ojczyste krajobrazy, ojca, matkę, krewnych, przyjaciół, wszystko, co tysiącem nici wrosło od kolebki w serce i pragnienie, co po tysiąckroć razy tu spotężniało od ręki gwałtu, która powrotu ku nim wzbrania... Nie, — dla mnie wolność jest to żyć równym wśród równych, jest to możliwość niekłamania nikomu i nigdy, nieudawania, nieuniżania się, nieodczuwania przed nikim strachu, jest to możliwość zostania tym, czym się chce, możliwość sięgania po wszystkie zaszczyty i wszystkie prawa życia... Pewność jutra, pewność należnych mi zasług... Tu zaś co?... Nawet gdybym został owym szczęśliwym małżonkiem córki naczelnika i naczelnikiem miejscowej policji, jak mi obiecują, to czyż jutro nie mogę znów być przez podły donos, zawiść sąsiada, nieszczęśliwy traf, stracony na samo dno tutejszego piekła, zapędzony do min, wyrzuty z mienia i życia?...

— Nie, przyjaciele moi — mówił dalej Beniowski — nie pogodzę się nigdy z myślą pozostania tutaj, choćbyście się wy wszyscy jej wyrzekli... Sam, jak włóczęga, przekradać się będę przez nieobeszłe lasy, na kolanach pełzać nie przestanę ku dalekiej mojej wymarzonej ojczyźnie. Taka jest moja wola! Jako grot, jako kamień raz rzucony, przelecę przez wszystkie przeszkody i zapory, albo padnę zdruzgotany... Przebaczam ci, nieszczęśniku — zwrócił się do Stiepanowa — widzę, jako ogarniony jesteś szaloną żądzą i zazdrością... Przebaczam ci ze względu na krewnego twego a wiernego przyjaciela mego, Panowa, przebaczam za przebyte niegdyś razem niebezpieczeństwa i niedolę więzienną... Co się zaś tyczy panny

Nilowówny, rad będę, skoro pozyskasz jej wzajemność i zajmiesz po naszym wyjeździe przygotowane dla mnie miejsce naczelnika policji... Teraz zaś oddał się, albowiem wykreślam cię z liczby sprzysiężonych, a zaprawdę zbyt już wiele drogiego czasu poświęciliśmy tym małoważnym sprawom. Daremnie czekają rozważania pytania najpierwszej doniosłości, jak mianowicie zdobyć potrzebny nam statek, o czym właśnie chciałem dziś mówić... Wyprowadźcie Stiepanowa.

— Czy wypuścić go... żeby sobie poszedł? Czy zatrzymać w lochu?

Beniowski chwilę pomyślał.

— Nie. Do czasu zamknijcie go w lochu a potem niech Panow zatrzyma go w swoim mieszkaniu pod pilnym nadzorem. On odpowiada za jego postęпки, on i Winblath...

— Dlaczegoż ja?... — spytał Szwed.

— Dlatego... że jesteś z nas... najspokojniejszy!
— rozśmiał się Beniowski.

Wyprowadzono Stiepanowa, po czym obrady przybrały bieg łagodniejszy. Radzono nad środkami zapobiegawczymi osłabieniu karności i wzajemnej życzliwości wygnańców, czego skutkiem przypisywano coraz częściej ujawniające się zdrady. Postanowiono zgromadzić wszystkich znowu na jakiś czas do wsi, aby wzmocnić ducha przez wpływ osobisty, nie puszczać nigdzie wątpliwszych, choćby przyszło ich żywić w ciągu pozostałych paru miesięcy. Po obliczeniu okazało się, że spiskowców jest z górą sześćdziesięciu, że każdy z nich posiada muszkiet i długi nóż, mogący zastąpić w walce szablę, że w magazynie znajduje się szesnaście par pistoletów, trzydzieści sześć siekier, sto dzid i koło tysiąca ostrych naboí, że palisady dookoła szkoły, dostatecznie wzmocnione i zaopatrzone w ukryte przed niewtajemniczonym

okiem strzelnice, pozwolą wytrzymać nawet oblężenie, że więc w razie wykrycia i napadu możliwy jest opór gromadą i przedzieranie się zbrojną ręką w pożądanym kierunku przez przyległe lasy, które rychło już miały stracić zimowe pokrowy i obszyć się zielenią.

— Nastaje jednak, że najlepsza, najpewniejsza dla nas droga to morzem — dowodził Beniowski. — Dlatego proponuję podać do gubernatora memoriał z prośbą, iżby użyczył nam jakiego okrętu dla przetransportowania rzekomo do Łopatki naszych zapasów i sprzętów. Jak taki statek zdobędziemy, już go z naszych rąk nie wypuścimy, lecz odpowiednio przysposobiwszy, bez krwi rozlewu i gwałtu użyjemy do uzyskania naszej wolności...

Propozycja została przyjęta. Do Wierchniego Ostroga i Niżnie-Kamczacka postanowiono wysłać gońców z wezwaniem tamtejszych spiskowców do niezwłocznego przyjazdu.

Po rozejściu się sprzysiężonych, gdy znużony Beniowski już kładł się spać i, zrzucawszy odzież, opatrywał zranione ramię, niespodziewanie zastukał ktoś do drzwi i, nie czekając na pozwolenie, wszedł.

Był to Stiepanow. Rzucił się do nóg Beniowskiego i, tuląc twarz do jego futrzanych butów, długo i boleśnie szlochał:

— Zabij mię, gdyż cierpię, strasznie cierpię!... Niegodzien jestem... Zazdroszczę ci, wszystkiego ci zazdroszczę!... Przecież ja tysiąckroć razy zabiłbym cię, gdybym miał władzę twoją. W dodatku... miłuję ją, tak ją miłuję, że i samej wolności bez niej nie pragnę...

— Użyję wszelkich sposobów, żebyś wzajemność jej mógł pozyskać... A wtedy co przeszkodzi wam sięść razem z nami na okręt, skoro uda się nam go zdobyć?...

— Beniowski, jesteś dobry, jak sam Bóg... Przysięgam!...

— Nie przysięgaj!... Bądź szczęśliwy i dziewczynę uczynić szczęśliwą, bo warta... Słodka i szlachetna to dusza!

— Ależ wiem, wiem!...

— Idź więc w spokoju!... Nie omieszkam ze sposobności skorzystać, aby zapoznać cię z nią i z całą rodziną Niłowowych.

— Już ją znam, gdyż w czasie twojej nieobecności bywałem u Marty Karłowny razem z Sybajewym...

— Tym lepiej!... — odrzekł Beniowski.

— Zmysły tracę, gdy pomyślę, co to będzie, gdy siądziemy z nią razem na okręt... Gdy trafię na jaki piękny kąt świata, na jaką cichą wyspę, osiadę z nią tam, aby w spokoju uprawiać rolę i cieszyć się jej miłością... Uważałeś, Beniowski, jakie ona ma śliczne oczy?... Gdy się w nie spojrzy, wydaje się, że się zapada w jakąś słodką przepaść... Co?... Nie!?... Wiecznie bym patrzył... Uchyła mi jednak oczów, szkaradnica... Przyjdzie jednak chwila, że utonę w nich niewzbronnie... Och, Beniowski, jakże bije mi serce, przyjacielu, gdy o tym myślę!... Albo usta?... Ileż niewiast całowałem, a bez drżenia nie mogę wspomnieć jej ust!... Czar dziwny i uroki rzuciła na mnie!... Dziwię się, jak im się oparłeś, Beniowski!...

Beniowski milczał i chował w cień zmienioną twarz.

XXIX.

Chyży bieg przybierać zaczęły przygotowywane całą zimą wypadki.

Jeszcze Beniowski spał, a już nazajutrz stukał do drzwi szkoły zaśnieżony i zdrożony wysłaniec,

wioząc list od Łoginowa, przełożonego spiskowców w Niżnie-Kamczacku. Pisał, że ma przyjechać z Wierchniego Ostroga do Bolszeriecka trzech wygnańców, Iwaśkin, Wołodimirow i Puszkarew, którzy będą prosić o przyjęcie ich do sprzysiężenia. O istnieniu sprzysiężenia mieli dowiedzieć się od Lewantiewa, lecz szczegółów nie znają. Zwierzyli się wszakże poniekórym przyjaciółkom swoim, jako nie zadługo pozyskają wolność, wielkie honory i majątki, gdyż są na tropie wykrycia rządowi wielkiego buntu, organizowanego przez Beniowskiego.

„Co zaś do innych, to wszyscy jesteśmy pełni otuchy, gorącego pragnienia jak najrychlej tę ziemię przekłętą opuścić i posłuszni waszemu wezwaniu wraz z kapitanem Sybajewym niezwłocznie się u was stawimy”.

Jeszcze Beniowski rozmyślał nad listem co ma czynić, gdy wszedł kupiec Krasilnikow i po długiej okolicznościowej rozmowie ofiarował Beniowskiemu 200 rubli kozubalca, byle ten wyrobił mu jedyne prawo dostarczania przyszłej rolniczej kolonii wygnańców wszystkich potrzebnych towarów i wiktuałów.

— Dwanaście tysięcy rubli kaucji natychmiast w kancelarii złożę, że towary będą dobre, słusznej wagi i miary, oraz wydawane bez zwłoki!

— Daruje pan, iż sam dać odpowiedzi nie mogę, gdyż ten ważny interes dotyczy wszystkich... Muszę więc propozycję pana na ogólnym zebraniu przedłożyć... Uczynię to natychmiast... Właśnie mamy odbyć naradę! — mówił z pewną niecierpliwością Beniowski.

Kupiec ani myślał wychodzić. Rozwodził się długo i szeroko o potrzebach rolniczej kolonii i o wielkich zyskach jakie ona osiągnie z porozumienia z nim, Krasilnikowym.

— Inni was obedną. Mnie przede wszystkim chodzi o usługi ojczyźnie. Weźmy na przykład siekierę: ile się to zawinie, to wyszczerbi, to stępi łatwo i trzeba odrywać się od roboty, by ją na brusie pociągnąć...

— Ależ tak, tak! Słusznie bardzo!... Jesteśmy pewni, że pan dostarczy nam doskonałych cieśli i kowali. Niezmiernie się nam przydadzą!... Niech pan zabierze pieniądze i pośpieszy zamówić nam majstrów... Nie wątpię, że zebranie przychyli się do prośby pana...

— Jakież to mamą zabrać pieniądze, he he!... Rozgniewaliście się pewnie, Auguście Samuelowiczu, że śmiem wam ofiarować tak mało... Małe dostatki nasze nie pozwalają nam na większą kwotę: uważamy ją jednak za drobny ledwie zadatek i nawet zaraz obecnie gotowiśmy powiększyć ją jeszcze o sto rubli, mając wasze słowo!...

Zżymał się Beniowski, miał ochotę wyrzucić kupca za drzwi, musiał jednak nie tylko wysłuchać do końca jego rozwlekłych wywodów, lecz i przyjąć zgodnie z obyczajem obrzydliwy datek.

Natychmiast po wyjściu Krasilnikowa udał się Beniowski do Chruszczowa, wyłożył mu treść otrzymanego listu i kazał na piątą zebrać spiskowców do szkoły. Sam musiał śpieszyć do komendanta, który go wzywał w „ważnej, wiadomej sprawie”.

Powitał go kozak jak zawsze utyskiwaniem, że mu zbyt mało udziela czasu i wręczył następnie ogromną plikę papierów, mówiąc wyniośle:

— Znajdziesz tu, przyjacielu mój, szczegółowo wyłożone moje poglądy na wyspy Aleuckie... Dodasz do tego to, cośmy mówili o Kalifornii, i otrzymamy piękny memoriał, który na wiosnę podam osobiście Imperatorowej... Zajrzyj, a zobaczysz, jak niewiele będziesz miał pracy... Wszystkim nam

to podanie dobrze się tu przysłuży...

Z konieczności musiał Beniowski przebiec oczami pierwsze stronicę.

„Jako oddzielone od ładu burzliwymi wodami oceanu wyspy Aleut w nieznanych mgłach... A bogactwa ich są niezliczone i niewiadome, a składają się z futer morskiego i lądowego zwierza, z drogich kamieni Sezamu, a może nawet i złota amerykańskiego... Zamieszkują zaś je ludy dziwne i nikomu niepodwładne, przebywające równo chętnie na ziemi, jak w wodzie...”

— Trzeba będzie jednak trochę tam zmienić!... — bąknął Beniowski, składając papiery.

— Po co?... Aha, rozumiem; tu i owdzie jaką literę albo znak pisarski, bo ja, he he, istotnie żołnierzem jestem, w tych drobiazgach, niezupełnie pewny! He, he!...

— Nie tylko! Trzeba będzie trochę i treść...

Setnik wydał usta.

— Czyż ty, Beniowski, sądzisz, że w kilka miesięcy zdążyłeś lepiej poznać kraj, niż ja, który tu jestem od lat kilkunastu!... Mylisz się... Nie zgodzę się na żadne zmiany!... Co, na przykład, według twego zdania należałoby?... Co, na przykład?...

— Na przykład o tych... ziemnowodnych ludziach!...

— Domyślałem się... A jeżeli przedstawię ci świadków, którzy na własne oczy widzieli...

— Ale pan sam ich nie widział?

— Cóż z tego!... Chociaż byłeś w rozmaitych stolicach i na dworach, nie widziałeś też wszystkiego...

Spór stawał się trochę przykrym i Beniowski już wstał, żeby się pożegnać, gdy wszedł sekretarz Nowosiłow i ogłosił wielką nowinę, że przyjechał kupiec Kobylin z Wierchniego z wieloma

ludźmi, z rabami i psiarzami i z karawaną futer drogich, i że uda się go pewnie namówić na grę, gdyż jest to wesóły hulaka i rozrzutnik.

— Cóż ty na to, Beniowski, he? Kwaśny jesteś czegoś, he?

— Jest kwaśny, bo myśli, że wszystkie rozumy połknął, a tymczasem okazuje się, że nie! — rzucił komendant.

— Pokłóciliście się, to ciekawe!... A o co?...

— Wcaleśmy się nie pokłócili, lecz nie widzę, po co mam przepisywać i poprawiać doskonały raport Nikandra Gawryłowicza...

— Mówiłem już, że dla niektórych liter i znaków pisarskich...

— Przyjacielu, Nikandrze, jesteś pierwsza na półwyspie głowa, wiemy o tym wszyscy, ale pozwól, niech już Beniowski z twej mądrości dowolnie skorzysta... Niech go tam gęś kopnie, niech korzysta... dla wspólnego naszego powodzenia... — śmiał się sekretarz.

— Właśnie o to chodzi!...

Beniowski wstał.

— Muszę już iść!...

— Więc grać nie pójdziesz?...

— Dziś wieczorem naczelnik zapowiedział mi swoją wizytę z całą rodziną.

— Ho, ho!... A nas nie prosisz?...

— Owszem. Rad będę bardzo!

— Nie widzę bardzo radości! A któż tam będzie więcej?

— Nikt.

— Co za piekielna nuda!... A może przyprowadzić... Kobylina?

— Nie wiem, czy wypada?... Będą panie!...

— Czy wypada?... Patrzcie go! — zasyczał sekretarz. — Ech, Beniowski, Beniowski!...

Beniowski uchwycił wzrok jaszczurczy urzędnika i rzekł łagodniej:

— Jutro służę... z tym Kobylinym. Dziś, Sergiuszu Mikołajewiczu, doprawdy nie mogę!

— A już idź, idź do swego fartuszka!... — rozśmiał się sekretarz i dodał żart tak ordynarny, że Beniowski aż pobladł z gniewu. Pośpieszył więc wyjść, czując, że łatwo wybuchnąć może niebezpieczna zwada między nim a podrażnionymi urzędnikami.

— Bielskiego!... Wołać Bielskiego!... Niech przyniesie skrzypce. I bez stołecznych obejdziemy się frantów!... Hulaliśmy bez nich, pohulamy i teraz!... — huczał gniewnie sekretarz.

— Leć, Mitka, po Bielskiego! — rozkazywał podręcznemu kozakowi komendant.

Jednocześnie z Beniowskim wysunął się na dziedziniec kozak Mitka.

— Gdzie go znajdę tego żebraka!... Pewnie gra gdzie w szynku! — mówił, mijając Beniowskiego i kłaniając mu się nisko.

Beniowski z przykrym uczuciem siadł na sanki i kazał się wieźć do siebie. Podejrzewał, że Bielski jest na zebraniu, i śpieszył go uprzedzić.

Gdy wszedł, spostrzegł starca niedaleko ode drzwi, kryjącego się wstydliwie w ostatnich szeregach zebranych. Zafrasował się bardzo Bielski, usłyszawszy opowieść o zamiarach sekretarza i komendanta.

— Trzeba iść, bo gorzej będzie, jak mię nie znajdą!... Bywajcie zdrowi!...

Westchnął, nacisnął uszastą czapkę futrzaną na siwą głowę i wyszedł.

Beniowski przedstawił sprawę Iwaśkina, Wołodimirowa i Puszkarewa; wszczęły się przykre i namiętne debaty: jedni proponowali, żeby zdrajców zaraz zabić inni, żeby ich uwięzić, ci wyrze-

kali w ogóle na zepsucie obyczajów, na podłość ludzką, na sobkostwo, tamci klęli świat cały i złych i dobrych. Wkońcu przyjęto podaną przez Beniowskiego rezolucję, żeby zgłaszających się judaszów upewnić, „jako dawny zamiar zrządzenia jarzma niewoli został porzucony wobec zmiany zachowania się członków rządu względem wygnańców; że obecnie wszystkie ich siły skierowane są wyłącznie na założenie osady rolniczej na Łopatce, ku czemu zapraszają wszystkich towarzyszy, a w tej liczbie i przybyłych”.

Beniowski śpieszył ze skończeniem obrad, po czym wraz ze służącym i dobraną do pomocy Alajdą zaczął porządkować i przygotowywać dom na przybycie naczelnika z rodziną.

Przybyli wszyscy, przybył nawet Grześ, który zresztą wkrótce się gdzieś ulotnił. Gubernator wesoło żartował, spoglądając na ustawione na stole gąsiorki:

— Jakiegoż to bohatera miałeś, Auguście Samuelowiczu, na myśli porazić, szykując taką moc napitków?...

— Wcale tego nie dużo, Iwanie Piotrowiczu! Grube ino szkło naczyń wywołuje omamienie wzroku. Aby wszakże damom nie było nudno, prosiłbym o pozwolenie zaproszenia paru moich przyjaciół: Chruszczowa, Baturina, Stiepanowa.

Nastazja rzuciła nań zdziwione, pytające spojrzenie, więc wysławszy po przyzwoleniu gubernatora z kartką służącego do zaproszonych, skorzystał ze sposobności i, zbliżywszy się, szepnął jej prosząco:

— Szczególniej dla tego ostatniego proszę was o względy, Nastazjo Iwanowno!...

— Po cóż to?

— Długo i szeroko o tym mówić i nie miejsce

po temu! Wyjaśnię najdalej jutro, o ile pani sama nie wymiarkuje powodu.

Spojrzał jej smutno i zarazem serdecznie w oczy. Kiwnęła głową i zwróciła się do wchodzących niebawem gości.

Wieczór przeszedł na ożywionej rozmowie; naczelnik upodobał sobie Baturina, który okazał się wielce gładkim, światowym kawalerem i nieodmownie sekundował mu przy pucharze; rozweselona pani Niłowowa miała wciąż z obu swych stron Beniowskiego i Chruszczowa, opowiadających zabawne historyjki ze stołecznego życia, a Nastazję oblegał rozpłomieniony Stiepanow.

Przesiedzieli tak do dnia, gdyż podochocony naczelnik nie chciał wracać do domu. Dopiero gdy siny świt, lejąc błękitne smugi tężejącej światłości w komnatę, przepłoszył cienie, przygasił żółte płomienie świec, uwydatnił bladość zmęczonych twarzy oraz pustość opróżnionych gąsiorków, dźwignął się Niłow na niepewnych nogach. Obudzono śpiącego na ławie Grzesia i kazano zajeżdżać saniom. Ponieważ odurzony ostatecznie Niłow potrzebował podtrzymania i pomocy, siadł z nim razem zamiast Grzesia Beniowski a chłopak stanął z tyłu na płozach za siedzeniem matki i siostry.

Szcześliwie dojechali na miejsce i wprowadzili przy pomocy służby naczelnika do sypialni. Gdy Beniowski wychodził, zatrzymała go Nastazja.

— I mnie się trochę należy, Auguście Samuelowiczu, tym bardziej, że zdaje się dobrze spełniłam wasze polecenie.

— Pani jest zawsze dobrotliwą nad wyraz istotą...

— Nie o to chodzi!... Wiem, że Stiepanow was nienawidzi... dziś wiem nawet dlaczego! Wyznał

mi już bez ogródek swoją miłość i nalegał usilnie, iżbym go za swego obrała małżonka... Czy tego pan chciał?...

Beniowski spojrzał na nią dziwnym wzrokiem:

— Może by to... było... najlepiej!...

Szarpnęła się i pobladła.

— Niedobry!...

Ujął ją pieszczotliwie za rękę.

— Cóż pani mu odpowiedziała?...

— Odpowiedziałam, iż mało miałam okazji do poznania go, że zatem nie mogę tak nagle przyjąć jego propozycji; że choć nie mam przeciw jego osobie, nie czuję jednak również nic okrom przyjaźni... Wskazałam mu ponadto na trudności ze strony rodziców, którzy sprzeciwia się pewnie widokom człowieka, który przez stan swój wygnańca żadnej nie może posiadać własności, ani urzędu... Uprzątnąć więc mu przede wszystkim tę zawadę radziłam!

Beniowski zrobił bezwiednie niespokojny ruch.

— ...Nareszcie dodałam, że pan cieszy się zupełnym zaufaniem ojca i że nie widzę skuteczniejszego środka usunięcia trudności nad pana pomoc... Radziłam mu więc, aby nie opuszczał żadnej okazji pozyskania szczerzej i prawdziwej pana przyjaźni... Cóż, dobrze?...

Beniowski przez dłuższą chwilę nie podnosił opuszczonej głowy.

— Zapewne!... Nic lepszego nie można było w tym wypadku uczynić!... W każdym razie dziękuję pani serdecznie, dziękuję...

Dziewczyna czekała, że ją popieści, zrobiła nawet ruch, jakby chciała się do niego przytulić, lecz on złożył jeno na jej rękę pełen szacunku pocałunek i powiedział:

— Do jutra... a raczej do dziś po południu!

Wracał piechotą.

Zorza napelniła miasteczko swoim złotym pyłem i purpurą; cicho płynęły w podniebieniu od morza siwe chmury. Wszystko spało jeszcze, nawet psy nie snuły się po pustych ulicach. Gdy jednak mijał dom komendanta, dobiegła go stłumiona wrzawa.

— Popili się!... — mruknał, wspominając z niechęcią scenę z setnikiem i sekretarzem. Zamierzał iść dalej, gdy nagle rozległ się przejmujący krzyk.

— Oho!... — szepnął — mordują kogoś!

Zawrócił mimo woli i poszedł w tę stronę. Rychło dostrzegł kupkę kozaków i mieszczan przed gankiem domu komendanta; przyglądali się ciekawie czemuś, co działo się wewnątrz ich koła. Nad głowami ludzi mignęły nagle pręty i straszny, skomlący krzyk powtórzył się.

— Egzekucja!

Zbliżył się już na tyle, że spostrzegł stojących na ganku komendanta, sekretarza i paru kupców.

Schował się przed ich wzrokiem za plecy tłumu i z boleśnie bijącym od przykrego domysłu sercem spojrzał, kogo biją. Na kobyle z rękami i nogami przywiązanymi pod kłosem leżał Bielski; siwa głowa starca tłukła się o brudne drzewo, a nagie, napuchłe, okrwawione plecy drgały i kurczyły się za każdym świstem różeg.

Beniowski rzucił się ku oprawcom; tłum zakotłował się i rozstał, ale kozacy, stojący w pierwszym rzędzie, przytrzymali go za ręce.

— Nie wolno!

Rzucił wzrokiem na ganek i na krótką chwilę oczy jego skrzyżowały się z wyzywającym, okrutnym spojrzeniem sekretarza.

— A Beniowski!... Jużes wolny? Chodź, chodź!

Jeszcze zdążymy zagrać partyjkę... Mamy czas!... Nie tu ciekawego!... Nieraz to jeszcze zobaczysz!... Ha, ha!...

Beniowski odwrócił się i szybkim krokiem podążył do fortecy. Lecz widok mocno przywartych drzwi i ślepych okien objętego snem domu naczelnika otrzeźwił go; przypomniał sobie ową scenę, gdy był tu w podobnych warunkach z powodu zapomnianej u drzwi jego warty, zawahał się i zawrócił. Straż w bramie, śledząca za nim ze zdziwieniem z daleka, oddała mu, gdy przechodził, ukłon wojskowy.

— Śpią, Auguście Samuelowiczu, śpią i nie wstana wcześniej, jak na podwieczerek!...

— Tak, tak!... Zapewne!... — odszepnął machinalnie. Serce i usta miał pełne goryczy. Poskarży się jutro, poskarży! Bić starca... niedołężnego, steranego starca!... Czy jednak nie lepiej skoczyć do wsi, wzburzyć wygnańców i dziś jeszcze rzucić się na nich wszystkich?... Nie!... Morze skute lodami... Dwa miesiące co najmniej trzeba by było walczyć i czekać... Tymczasem nadciągnęłyby załogi z Wierchnego, z Niżnego, z Awaczyńska!... Trzeba scierpieć, pogodzić się z losem!... Zdaje się, że już... cicho!... Ach, lotry, ach, lotry!

Istotnie pusto było przed domem Czernych i i sam dom, mocno zamknięty, zdało się, spał już twardo. Wtedy Beniowski, ostrożnie wymijając chałupy, gdzie już błyskały ognie i gdzie z kominów poczynają kurzyć się dymy, skierował się do znanej sobie lepianki Bielskiego.

W ciemnej, niskiej izdebce znalazł starca, leżącego twarzą na glinianej podłodze. Pozostał widocznie tak, jak padł, gdy go tu wrzucono. Skrwawione, starmoszone futrzane ubranie garbiło się na nim, jak skóra na zdychającym, wychudłym bydłęciu.

Beniowski nachylił się ku bladej, odrzuconej w bok ręce skatowanego i przylgnął do niej gorącymi wargami.

— Bracie, bracie!...

Palce Bielskiego uściśnęły go lekko.

— Nie trzeba ci co, bracie!...

— Beniowski?... To ty?... Tak?...

— Tak!... Może cię przenieść na pościel?...

— Nie rusz mię, nie!... Uciekamy, co?...

— O tak!... Uciekamy, ale przedtem...

— Nie, nie przedtem!... To przeszkodzi!

— Święty człowieku!...

— Idź, już idź!... Mogli cię zauważyć!... Przyjdą!... Dam sobie sam radę... Muszę trochę tak tylko poleżeć!... Pomodłę się do Matki Boskiej Częstochowskiej, to mi zawsze pomaga! Twardo trzyma się człek życia, twardo!... Weiaż mi jakowaś świtała nadzieja, że zobaczę Polskę... I oto przyszła! Idź już Beniowski, bo wyda się!... Och, och!... Jakże strasznie... jakże strasznie!... ale idź już!... Mówię ci!...

Nagle w pobliżu zaszczekał pies; starzec uniósł opuchłą, posiniąłą twarz i kiwnął niecierpliwie na Beniowskiego.

Ten posłusznie wysunął się za drzwi.

XXX.

Gdy Beniowski podchodził do swego domu, dzień już był rozgorzał w całej pełni. Wiosenne słońce zalewało olśniewającym blaskiem białe jeszcze, lecz już ciemniejące okolice.

Otopniałe ze szronu drzewa i krzewy przeżyły rozkosznie swe gałązki w ciepłym powietrzu i rzucały sine, wilgotne cienie pod siebie na roziskrzone, brylantowe śniegi. W zaroślach szemrały

szmery, niesłyszane w przeciągu całej zimy, kapala woła, chlapały opady śniegu, nawet tu i tam rozlegało się nieśmiałe ćwierkanie ptaków, zimujących tu sójek. Z kryształowych frędzli sopli lodowych, zwieszających się z gałęzi, z rogów domów, z przesel płotów ciurkiem leciały kryształowe krople. Ciemne figury ludzi pieszych i na saniach migwały często w jasnych przelotach leśnej drogi.

O śnie i wypoczynku nie było co marzyć. Już z dala Beniowski zauważył przed ganeczkiem swego domu parę sani, a na ganeczku kilka figur w futra zaszytych.

Nie znali go i patrzyli nań ciekawie, ale obojętnie; dopiero gdy stanął na stopniach schodków i spytał ich, kto zacz są, domyślili się, że on to jest Beniowskim, i zdjęli uszaste, podróżne czapki.

— Wygnańcy jesteście z Wierchniego.

— Czegóż chcecie?...

Milczeli i kręcili w rękach czapki, przestępując z nogi na nogę.

— Nieszczęśliwi jesteście... pozbawieni kraju swego i wolności... i wszelkiego prawa... — zaczął jeden.

— Długo o tym gadać, więc może pan pozwoli.

— Tu nieporęcznie... Należałoby opowiedzieć wszystko, porządnie od początku... więc może...

Beniowski zdawał się wahać.

— Chodźcie! — rzekł wreszcie — ale ja nie mam żadnych tajemnic. Jak się nazywacie i skąd jesteście?

— Wszyscy jesteście z Wierchniego... Zwę się Iwaśkinym, a ci dawaj Wołodimirow i Puszkarew...

Beniowski ruszył przodem i wprowadził gości do świetlicy.

Iwaśkin obwiodł ją bystrym, lisim spojrze-

niem, po czym jego skośne, zielonawe oczki schowały się natychmiast pod opuszczone na dół powieki; dwaj jego towarzysze patrzyli z pewnym lękiem i zachwytem na wspaniałą, swobodną w ruchach, dumną postać Beniowskiego, podziwiali kosztowną, krytą aksamitem szubę, zamorskie skórzane obuwie, sukienny żupan i lity pas, wyglądający spod rozchylonych pól zwierzechniego ubrania.

— Czegóż chcecie?... — powtórzył Beniowski, zatrzymując się w połowie komnaty i zwracając ku nim.

Stanęli nieśmiało u proga.

— Panie, jesteśmy nieszczęśliwymi, uciskany mi niewolnikami!... Ratuj nas — zabełkotał nagle Iwaśkin. — W tobie jedyna nasza nadzieja... Dwadzieścia lat jak gniję już w tym tu piekle kamczackim... Byłem niegdyś niewielkim wprowadzie ptakiem, prostym mieszczaninem z miasta Rżewa, ale wolnym... Miałem dom, rodzinę, dzieci, kawał gruntu, dorabiałem się... Wtem stał się nieszczęśliwy wypadek, spłonął sąsiad i w swej zaciekłości rzucił na mnie podejrzenie, jakobym ja podpalił go przez zawiść... A tymczasem co ja... robak marny... Myślałem jeno o kawałku chleba... byłem nawet w sam czas pożaru daleko... Schwymano mnie jednak i poprowadzono do Uprawy. Gdybym był bogaty, wiadomo, że wypuszczono by mnie, ale nie miałem czym opłacić diaków i zostałem skatowany... Oczerniłem w bólach samego siebie i przyznałem się do niespełnionych win... Odtąd zaczęły się moje nieszczęścia... Najpierw bito mnie knutem na placu targowym, następnie piętnowano mnie...

Zaczął wyliczać długą litanię rzeczywistych i jawnie zmyślonych krzywd. Dwaj jego towarzysze przytakiwali mu, wzdychali, chrząkali, szczegól-

niej, gdy po skończeniu swych przygód rozpoczął o nich opowieść:

— Wziąć też choćby Wołodimirowa... Ten od urodzenia był chłopem, rabem bez praw... Zabrano mu córkę i popędzono do odległych majątków pana na brzeg Czarnego morza... a syna znowu na Ural do zakładów żelaznych. Zniszczyli chłopu nie wiedzieć po co gniazdo do cna. Byli przecie inni samotni, bezdzietni. Wybrali jego... Co miał robić?... Uciekł... Złapany, zesłany, znowu uciekał, aż znalazł się tutaj... Czy nie tak?...

— Juściż tak! Sprawiedliwie, uciekałem... Co miałem robić, kiedy z pracy miałem tyle co nie?... Zjesz i wypijesz i tyle twego, a co nadto, zabierają rabuśniki. Niech ich morowa zaraza! Niech ich ziemia święta połknie... — potwierdził krępy, kudłaty Wołodimirow.

— Albo Puszkarew, żołnierz od zorzy swej młodości!... Oddany nie w kolej pod czerwoną czapkę... Musiał pójść bo był biedny... za syna bogacza, co się pańskiemu ekonomowi opłacił. A co miał w wojsku, wiadomo: jadła mało, za to kijów sotnię całą!... Nie ma sprawiedliwości w ziemi ruskiej i poprawić jej nie sposób, gdyż rabusie, ciemiężyciele w niej rządzą, złodziej na złodzieju jedzie i złodziejem pogania... Nie, nie ma na nich żadnej rady, gdyż zewsząd do cara daleko a do Boga wysoko... Obszerna ziemia ruska, lecz nie ma w niej przytułku i ukrycia dla prostego człowieka, dla biedaka... Dlatego umyśliliśmy opuścić ją, uciec za morze sine, do Alaksy, albo na Białe Wody, albo do innego państwa, gdzie powiadają, ludzie równi są sobie i wolni... Ale drogi nie znamy i sposobu nie posiadamy, więc błagamy cię, o panie, abyś wziął nas pod swą mocną i światłą opiekę, przyjął do drużyny, którą za morza wyprowadzić zamierzasz, a będziem ci służyć jako

wierne psy, nie żałując sił naszych, mienia i nawet życia.

Tu Iwaśkin upadł na kolana i wyciągnął ręce do Beniowskiego, a za nim przyklekli i dwaj jego towarzysze powtarzając:

— Będziem, o panie, ci służyć wiernie, jako psy, nie żałując sił, mienia i życia!... Na co przysięgamy!...

Cofnął się Beniowski i potrząsnął głową.

— Wstańcie! Przede wszystkim... nie jestem ja żadnym panem, a takim jak i wy do niedawna wygnańcem, dziś wolnym, jutro niewolnikiem... I mylicie się, sądząc, iżbym mógł dla was więcej uczynić, jak dla siebie.

Iwaśkin zwrócił głowę ku drzwiom i nadstawił uszu.

— Idzie ktoś!... — zawołał, zrywając się. — Idzie ktoś!...

— To nie!... Tu nie ma żadnych sekretów... — uspakajał spłoszonych Beniowski.

Zastukano trzykroć.

— Proszę wejść!...

Na progu ukazał się Stiepanow, obrzucił podejrzliwym spojrzeniem wygnańców i zrobił ruch, jakby chciał się cofnąć.

— Proszę dalej... Zaczekaj!... Zaraz będę na twoje usługi... — zapraszał go Beniowski.

Iwaśkin poruszył się niespokojnie.

— A może... potem przyjdziemy?...

— Nie, nie!... Po co? Zaraz skończę!... Otóż, był wprawdzie wśród niektórych tutejszych wygnańców, szczególnie uciśnionych nędzą i niewolą, zamiar wydostania się stąd, lecz zważywszy, że wokół leżą nieprzebyte góry, dzikie pustynie i burzliwe morza, wydało się im, że ucieczka stąd jest niezmiernie trudna. Skoro więc naczelnik, wnikając w nieszczęśliwe położenie ogólne wy-

gnańców, zgodził się dopomóc im przez urządzenie kolonii, wszyscy zgodnie postanowili ku temu celowi skierować jedyne swe siły... Bo pomyślcie sami, jeżeli uda nam się wyhodować tutaj ogrodowiznę, owoce, zboże, albo rozplenić mleczne bydło, trzodę, owce, co rzecz nietrudna, bo trawy tu rosną piękne i klimat nie gorszy, niż w kraju Norweskim, który znam... — zaczął Beniowski, siadając na rogu stołu i zwieszając prawą nogę.

Długo opisywał korzyści, płynące z dobrze postawionego gospodarstwa rolnego, widoki powodzenia, możność z bogacenia się. A czynił to w tak ułudnie pięknych wyrazach, że przysłuchujący się ze zwieszoną głową Stiepanow posepniał coraz bardziej, a u Wołodimirowa i Puszkarewa świeciły się coraz mocniej oczy i na policzkach wystąpiły im krwawe rumieńce.

— Jeżeli byście więc chcieli przyłączyć się do naszej kolonii, to owszem, przedstawię wasze życzenie towarzyszom, gdyż nikt nie może zostać przyjęty bez powszechnego przyzwolenia! — zakończył Beniowski.

— Panie, dobry panie, my o takim szczęściu nie marzyliśmy!... Ręce, nogi całować ci należy!... — wybuchnął Wołodimirow.

— Nie ino zbawcą jesteś naszym!... — dodał piętnowany Puszkarew.

— Cicho!... — wstrzymał ich Iwaśkin. — Rzecz to jest zbyt ważna, aby ją postanawiać, nie pomysławszy...

— Czego cicho?... I po co zwłoka?... Szczęście samo w ręce lezie, bierz je, trzymaj, a ty chcesz rozmyślać!?

— I wcale nie o myślenie mu chodzi, wielmożny panie! Za dobroć waszą i serdeczność my też nie chcemy zostać dłużni... i powiemy wszystko! Mów Iwaśkin, boś ty mówca...

— Co za zmówca!?!... Nic ja teraz nie powiem. To rzecz poważna! Tu mało trzy razy zmierzyć, zanim ukrajesz! Jutro, jutro, wielmożny panie, przyniesiemy panu odpowiedź!... Chodźcie już. Czy nie widzicie, że drugi pan tyle czasu na daremno czeka!...

Kłaniał się i zwracał ku drzwiom, lecz gruby Wołodimirow zastąpił mu drogę.

— A ty się nie śpiesz, stój!... Nie puszczajcie go, wielmożny panie, gdyż wszystkich on nas, a szczególnie waszą miłość zgubić zamierza... Są tu tacy, co mu obiecali i wolność i pieniądze, jeśli dokaże, że zamierzyliscie bunt, jak o tym szeroko po okolicach gadają.

— Ach, tak! W takim razie zostań, Iwaśkin, już musisz zostać... Inaczej pójdę natychmiast do naczelnika!...

— Widzisz, mówiłem!... — mruczał Puszkarew. — Ale to nie my. My co: prości ludzie... On zmówca!...

— Było tak... — zaczął Wołodimirow, opierając się szerokimi plecami o zaworę drzwi. — Było tak...

Krótko i dosadnie opowiedział plan zdrady, opisany w liście Łoginowa.

W czasie opowiadania zwolna jeden po drugim napływali wygnańcy, wkrótce była ich pełna izba.

— Zawiniliśmy, ukarż nas albo pomiłuj... Twoja wola! Ale jeśli nas pomiłujesz, rabami twymi zostaniemy na wieki... — zakończył grubas, chyląc się pokornie do stóp Beniowskiego.

— Rabami twymi zostaniemy na wieki... — powtórzył Puszkarew, chyląc się również.

— Jenó że nie my jesteśmy przyczyną, a on — dodał Wołodimirow, kiwając głową na stojącego bez ruchu Iwaśkina.

— On zdrajca i podmówca!... — przytaknął Puszkarzew.

— Cóżemy ci uczynili, przewrotny człowieku? — zwrócił się ostro do oskarżonego Beniowski. — Uważ, jak duszę masz czarną, kiedyś chciał zguby tylu niewinnych ludzi, których ani znałeś, ani najmniejszej od nich nie doznałeś urazy. Poznaj ich dzisiaj... Widzisz, ilu nas tu jest... tych wszystkich, których przeznaczyłeś na męki... Mogąc się zemścić na tobie, gardzą li tylko niktajemnym swym nieprzyjacielem i pozostawiają sprawiedliwym niebiosom przykładne ukaranie twego haniebnego przestępstwa, o ile wyznasz, kto cię do niego skłonił. A następnie niegodny oddychać jednym z nami powietrzem ustąpisz, odejdiesz i nie poważysz się pokazywać więcej na oczy tych, którzy, czystość sumienia i swoich postępów mając za sobą, nie lękają się niczyjego zarzutu, ani niczyjej zdrady... Powiedz więc, przyznaj się, kto cię do nas podesłał?

Iwaśkin milczał, utkwivszy oczy w ziemię; tłum wygnańców poruszył się niespokojnie za plecami Beniowskiego.

— Nie wypuszczać go...

— Do tajgi z nim...

— Co za ceregiele!?...

— Wiem tyle tylko, szlachetni panowie — zaczął wylęknionym głosem Wołodimirow — że ma on tutaj kumę i ziomkę, kucharkę sekretarza Agafię...

— Ona cię więc podmówiła? — spytał Beniowski.

— Nie wiem!... — mruknął Iwaśkin. — Boję się... I ja jestem człowiekiem i nade mną litość powinniście mieć... A zresztą wszak nie udało się i nic nie będzie!

— Ach, hultaju! Nie udało się!... Ładna obro-

na... — oburzał się Panow.

— Sprawa jasna: żadnego z nich wypuścić stąd nie można... — gorączkował się Stiepanow.

— Cóż ty na to, Beniowski?... Istotnie oni mogą zmyślić i nagadać Bóg wie co!... Nie słyszałeś jeszcze tego, co o tobie mówią z powodu wczorajszej egzekucji; Straszne rzeczy! Wszystko to się tak dziwnie splata... — szeptał cicho Chruszczow, chyląc się ku Beniowskiemu.

Ten kręcił z lekka wąsa i namyślał się, zachowując pozorny spokój.

— Dobrze!... Zatrzymajcie ich wszystkich trzech, ale nie róbcie im nic złego, dopóki sprawy nie wyjaśnię. Wy, Stiepanow z Panowym, zostajcie przy nich na straży.

— Ja nie mogę, muszę z tobą pójść... Mam do pogađania... — wymawiał się Stiepanow.

— W takim razie Winblath... Niech zostanie Winblath.. A ty chodź ze mną zaraz; w drodze opowiesz, bo śpieszę się! — zwrócił się Beniowski do Stiepanowa.

Czas dłuższy szli w milczeniu.

— Jakże więc: uciekamy czy nie? — spytał wreszcie Stiepanow.

— A ty jak myślisz?

— Ja?... Doprawdy nie już nie wiem. Gdym cię słuchał przed chwilą tak przekonywająco wychwalającego korzyści, płynące z pozostania tutaj i zajęcia się rolnictwem, zdawało mi się, żeś zmienił zdanie.

Beniowski uśmiechnął się pod wąsem.

— No i co?...

— A no że... zostajemy... o ile się rolnictwo powiedzie. Ale w takim razie może zmienisz zamiary i... względem Nastazji Iwanowny, co?... Powiedz otwarcie i od razu, co?

— Żadnych zamiarów nie zmieniłem...

— Bo, widzisz, ja rozumiem... Trudno się o-
przeć urokowi tej dziewczyny... Ona niepokoi...
Kto raz ją poznał... Ona nie tylko jest piękna, cu-
downa, boska, ona prócz tego ma jakiś dziwny
czar... Płyńcie odeń jakiś urok miódowy, jakiś
blask słodki i przedziwny... Jej uśmiech... Uważa-
łeś jej usta?... Patrzeć na nie nie mogę bez zawro-
tu głowy... Ach!... a oczy!... Marzę, żeby w nich
wzrokiem na długo, na życie całe utonąć... Nie-
znośna zalotnica, umyka mi jednak wciąż źrenic...

— Jużem przecie to słyszał. Zaś więc to chcia-
łeś mi powtórzyć? — przerwał mu z pewną nie-
cierpliwością Beniowski.

— Nie, nie!... Chciałem cię prosić... Okazałeś
mi tak niezmierną usługę, wyrwałeś mię z takiej
rozpaczyny... Już myślałem, że pozostaje mi jeno
umrzeć... I nagle przez ciebie, któregom podejrze-
wałem i któremu starałem się szkodzić, błysnął mi
promyk nadziei. Nim jedynie żyję teraz, trzymam
się, błyszczy on mi jak gwiazda w mrokach mego
nieszczęśliwego żywota... Już myślałem, że wszy-
stko skończyło się dla mnie, że pozostaje mi jeno
bezsławny zgon, gdy nagle ta dziewczyna.. Jasny
anioł w ludzkiej postaci... Czy nie uważałeś, że
gdy ona idzie, to wydaje się, że nie stąpa po zie-
mi, jeno płynie w powietrzu jak srebrny obłok...
A ręce? Jakże ona ma ręce? To nie ręce a dwie li-
lie, wyrastające z białego łona... Gdy myślę o tym,
kogo ona tymi liliami uściśnie, lub wyobrażam so-
bie inne jej wdzięki... krew mię zalewa.

Beniowski zatrzymał się i zwrócił ku niemu
rozniewaną twarz.

— Dość!... Miasto już blisko. O cóż nareszcie
ci chodzi?

— Ach, tak!... Prawda. Ani spostrzegłem, jak
przebyliśmy drogę... Otóż, bądź wspaniałomyślny
do końca... Kiedy wyjedziesz z innymi wygnań-

cami w tych dniach, aby odszukać miejsce i wytknąć plan osady, nie bierz mię z sobą, zostaw tutaj, abym mógł w dalszym ciągu prowadzić, co tak szczęśliwie wczoraj z twoją pomocą zacząłem. Wierz mi, że wdzięczność moja dla ciebie już teraz granic nie ma, że już nie przyjacielem, lecz zaprzędanym ci na śmierć i życie niewolnikiem będę... Gdybyś zaś zdołał jeszcze uczynić, abym mógł zająć twoje miejsce sekretarza osobistego przy naczelniku, dopełniłbyś szczytu mych marzeń oraz miary twych dobrodziejstw dla mnie. Mogłbym wówczas widywać ją co dzień bez przeszkody, a wyświadczać jej ojcu, matce i jej samej tysiące drobnych usług, wzmocnić poczynający się między nami afekt węzłami tkliwej przyjaźni. Ty zaś i tak będziesz tu nieobecny, gdyż, jako naczelnik kolonii, zmuszony będziesz żyć tam, na miejscu... Będzie więc twa posada wakowała...

— Jak to? Więc chciałbyś zostać tu w mieście, podczas gdy my wszyscy będziemy tam?...

— Cóż w tym dziwnego? Mówię na wypadek, gdy nie uzyskamy okrętu i będziemy musieli ucieczkę odłożyć do przyszłego roku, abyśmy statek, jak projektowałeś, mogli sami wybudować albo innej czekać sposobności...

Beniowski znowu się zatrzymał i rzucił na rozedrganą twarz Stiepanowa bystre spojrzenie.

— Aha, tak więc myślisz!... Dobrze, zastanówię się nad twą prośbą, ale tymczasem stanowczo miejsce przy gubernatorze dla siebie zatrzymać muszę, gdyż dostarcza mi ono wiadomości i sposobów do przeprowadzenia naszych planów...

— Mogłbym również ich dostarczać...

— Nie wątpię. Sprawa jednak mego ustąpienia z tego stanowiska jest zbyt ważną, abym ja mógł osobiście, załatwić, nie zasięgnąwszy rady poważniejszych towarzyszy.

— Ach, tak! W takim razie... niechaj lepiej wszystko pozostanie jak jest... Gotów jestem czekać, kiedy sam... osądzisz albo wyjedziesz... stąd zupełnie!... Czy ja wiem!?!... Proszę w każdym razie o sekret... Nie mów nikomu... gdyż to mogłoby... — płatał się i śpieszył Stiepanow, rzucając okiem na drogę, po której szedł ku nim podręczny kozak naczelnika okręgu.

— Zdrowia życzę ci, Auguście Samuelowiczu!... — zwrócił się kozak do Beniowskiego, salutując po wojskowemu. — Dobrze, że złapałem cię, gdyż Iwan Piotrowicz bardzo cię potrzebuje, kazał cię wszędzie szukać i zaraz przyprowadzić!

— Niechaj więc wszystko to zostanie między nami!... Do widzenia, kochany przyjacielu i panie mój, Auguście Samuelowiczu!... — zegnał się nadskakując Stiepanow z Beniowskim.

Uśmiech ironiczny znowu przewinął się pod wąsem Polaka.

— Owszem, zgadzam się, i wszystko uczynię, żebyś został w mieście na czas naszego obecnego wyjazdu. Życzę ci powodzenia pod wszystkimi względami.

— Wdzięczny będę ci do grobowej deski...

Rozeszli się.

— Nie wiesz, Tomek, czego to chce ode mnie naczelnik? Co tam takiego pilnego!?! — rozpytywał się wesoło Beniowski, idąc z kozakiem przez miasto.

— A nie wiem... Ale chyba tyczy się to wczorajszego waszego przyjścia do fortecy... Straż raportowała mu... Głupcy! Niby nie wiedzą, o co chodzi... Hhi!... Hhi!... — rozśmiał się kozak.

W korytarzu czekała nań Nastazja, przypadła i, schwyciwszy za rękę, zaszepotała gorączkowo:

— Byłeś wczoraj... Słuchaj, gdybyś... kiedy... to zastukaj w moje okno... Wiesz gdzie ono jest?...

Trzy razy... a otworzę ci zaraz... Co za szkoda?... Gdybym przypuszczała... Dlaczegoś nie powiedział mi przy rozstaniu?

Beniowski stał odurzony i zmieszany, i z lekka odpychał cisnącą mu się do piersi dziewczynę. Wtem drzwi od świetlicy otworzyły się i stanął na progu naczelnik.

— Cóż wy tutaj po ciemku... szepczecie po... kątach? Za wcześnie!... Za wcześnie!... Chodź, Beniowski, chodź... Czekam już dawno!...

— Śpieszyłem się, Iwanie Piotrowiczu!... Bóg świadkiem... Ale, jak widzisz, nieprzewyciężona mi się trafiła przeszkoda!... — rozśmiał się Beniowski.

— Umiesz je brać... przeszkody, przyznaję!... — odparł wesoło Niłow, spoglądając na uciekającą w głąb córkę. — Ale tym razem nie o to chodzi!...

Podszedł do stolika, nalał sobie lampkę wódki, wypił, poczęstował Beniowskiego, potem przegryzł wędzoną rybą i usiadł ciężko na stołku.

— Po cóżeś tu wczoraj przychodził, ha? Możesz się nie nagadał z Nastazją, co?... Przyznaj się, he!?

Twarz Beniowskiego pobladła nagle i sposepniała.

— Nie, Iwanie Piotrowiczu, nie po tom przychodził — zaczął śmiało. — Ale wracając do domu, widziałem na placu przed mieszkaniem komendanta, jak bili starca...

— Właśnie, właśnie!... Mówili mi o tym... Skarżyli się, że chciałeś bunt urządzić, żeś krzyczał na kozaków i nawet żeś ich popychał... Gorąca jesteś głowa, ale pamiętaj, że nie wszystko uchodzi nawet mojemu zięciowi. Nie jestem wszechmocny... Oskarżają, zadenuncjują!... Co pocznę?... Sekretarz tylko czyha na to, jakby mię stąd wysadzić i wleźć

samemu na moje miejsce... I o cóż to poszło?

— Bili starca... cichego, spokojnego człowieka... Bielskiego.

— Tak, tak!... Wiem: on rab... źle, powiadają, grał!... Bez przyczyny nawet bić go wolno, a on... źle grał, umyślnie źle grał... Kto by tu sobie bez bicia ze wszystkimi poradził!... Jakby jemu darować, to drugi by gorszą sprawę zrobił i tak dalej — znikłoby wszelkie posłuszeństwo, trzeba by było łby ścinać... Dla ich więc dobra, dla napędzenia rozumu bijemy żołnierzy, bijemy niewolników, kupców... Bijemy wszystkich bez gniewu, miłując, przez litość dla głupców... Nie raz pierwszy widziałeś bitego i nie ostatni... Sam będziesz musiał bić nieraz, gdy na urządzie siądziesz, zobaczysz... I pamiętaj bij dobrze, nie żałuj! Wiedz, że u nas w Rosji to za bitego dwóch niebitych dają... Bo stąd płynie szacunek dla władzy, największa na świecie cnota, którą się państwo całe trzyma! I co on ci, ten Bielski? Co? He?...

— On mój rodak!... — przerwał surowo Bernowski.

— Cóż że rodak!... Ty o tym zapomnij!... Coś ty był, ty sam wiesz!... Nie nikomu do tego! A potem umarłeś, praw cię wszelkich pozbawiono i przyszedłeś tu pozbawion tytułu i nazwiska, rodu i plemienia, jako numer... Jeżeliś teraz zmarłychwstał, to jedynie dzięki łasce Imperatorowej i do niej teraz należy i ciało twe i dusza, w życiu tym i w przyszłym, i grzechem najgorszym jest nieposłuszeństwo jej woli!... A wolą jej jest, aby nieposłusznych rabów bić, uczyć rozumu! Tak! Słyszałeś, co?... — grzmiał coraz głośniej Niłow, a żyły nabrzmiwały mu na skroniach.

Usłyszawszy jego podniesiony głos, weszła pani Niłowowa, ciężko stąpając. Rzuciła okiem na

Beniowskiego i męża, po czym weszła między nich.

— Cóż się to stało?... Cóżście przewinili, Auguście Samuelowiczu?...

— Broni niewolników!... Buntury urządza!... Siebie i nas chce zgubić... Ale myli się!... Znajdzie się i na niego uzda!... Nie daruję!... Pasy drzeć będą!... Nikomu nie daruję, rodzonemu synowi... kto prawo naruszyć zechce... rozkazy Jej Cesarskiej Mości w wątpliwość podawać! Ja wasz pan a pierwszy Jej rab!...

Krzyczał i tupał nogami, aż drzwi otwarły się i na progu pojawiła się blada jak śmierć Nastazja.

— Czego chcesz, dziewucho bezwstydną!... Jak ci kto srom połechtął, toś dla niego gotowa ojca — matkę zgubić!?... Wieczne gzy!... Kto ci tu pozwolił wejść?... Wynoś się zaraz, a to i tobie każę skórę kozakom wyłoić dla przykładu... Patrzcie ich, wywłoków, przybłędów, już im łoża śmierdzi!... Wczoraj im kij był chlebem powszednim, a dziś już ich honor obraża!... Hrabia, magnat cudzoziemski... Otóż wezmę i każę ci wlepić pięćdziesiąt odlewanych, a zaraz rozumu nabierzesz!...

Pani Niłowowa robiła Beniowskiemu znaki, ale ten nie spostrzegł ich, czy nie rozumiał, gdyż stał wciąż pod ścianą nieporuszony, blady, z oczami świecącymi i ostrymi jak gwoździe. Aż podeszła ku niemu Nastazja, wzięła łagodnie za rękę i wprowadziła z komnaty. Znaleźli się w korytarzu.

— Co za nieszczęście! Taka już moja dola... A dziś właśnie matka chciała wam powiedzieć, że ojciec zgodził się podarować wam dom z całym urządzeniem, z naczyniami i meblami, który ma być przewiezion do tej waszej kolonii na Łopatkę, której naczelnikiem macie zostać... Chce ojciec, żeby nic nie stało już na przeszkodzie naszemu rychłemu połączeniu się. On dobry, on doprawdy

dobry, a tylko prędki... Dlatego najlepiej zejść mu na czas jakiś z oczu.

— Nie, nie mogę teraz odejść... Gorzej się jeszcze rozgniewa.

Po chwili jednak, gdy grzmoty naczelnikowskiego głosu przycichły w świetlicy, wyszła stamtąd pani Niłowowa i również kazała mu uchodzić.

— Był tu sekretarz i on to pewnie na ciebie nagadał. Idź ty do niego, Augustcie Samuelowiczu, i jakoś sprawę załagódź... Istotnie, co ci do nich, do tych wygnańców?... Świata nie poprawisz, a siebie zgubisz... Zapewne, że nie powinni byli bić starego, ale na tego Bielskiego też czasem coś natchodzi: cichy, cichy, aż nagle... skrzypcami o ziemię trzaśnie, w chwili największego wesela, jak to było w przeszłym roku u popa w zapusty, pamiętasz, Nastka?...

— Ciężkie ma życie tutaj! Och ciężkie! Żal mi starego! — westchnęła dziewczyna.

— Już dobrze!... Wiem! Ty, Augustcie Samuelowiczu, idź, idź, jak ci radzę, do sekretarza!

Podeszła do Beniowskiego i, ująwszy go za ramię, popychała z lekka ku wyjściu, oglądając się od czasu do czasu lękliwie na drzwi do świetlicy.

Beniowski wyszedł, postać chwilkę na ganku, posłuchał głosów szumiących poza nim w domu, jak w ulu poruszonych pszczoł, i ruszył ku bramie fortecznej, po czym dalej przez miasto do mieszkania sekretarza.

Zastał go w domu i został nadspodziewanie grzecznie przyjęty.

— Hej, Agafia!... Mamy drogiego gościa!... Daj nam co prędzej wypić i przekąsić! — wołał piskliwym głosem zacny Sergiusz Mikołajewicz.

Słowem nie zdradził się, że czeka jakich wynurzeń lub wyjaśnień; Beniowski również napom-

knieniem nawet nie potrafił o wczorajszy wypadek. Ale po długiej rozmowie o miejskich nowinach i podróżnych swych przygodach, rzekł nagle:

— Wiecie, Sergiuszu Mikołajewiczu, jaką dziwną dziś miałem przygodę... Właśnie chciałem was się poradzić, co mam robić...

Po czym, nie spuszczając oczów z nalanej twarzy sekretarza, opowiedział mu o przybyciu z Wierchnego Iwaśkina z dwoma towarzyszami, uczynionej mu przez nich propozycji, swej odpowiedzi, wreszcie o wyznaniu Wołodimirowa i Puszkarewa.

— To łotry! — zawołał Nowosiłow. — To łotry!... A przecież my mogliśmy im uwierzyć i tylu niewinnych ludzi dać katu!... To łotry!...

— Gorzej, bo i was w całą tę sprawę chcieli wmieszać — dodał śmiało Beniowski.

— Mnie?... Jakże to?...

— Przez Agafię...

— Wołać ją... Agafia, chodź tu zaraz, suko!... Znasz niejakiego Iwaśkina?

Przerażona kobieta zamigała szybko rzęsami, po czym oczy szeroko otwarła.

— Mów prawdę!

— Znam... — szepnęła cicho.

— Oho!... Dobrze!... Przyslij mi tych ludzi, Auguście Samuelowiczu, i bądź spokojny, już ja całą sprawę zbadam!

— Otóż prosiłbym bardzo, Sergiuszu Mikołajewiczu, żeby tych dwóch nie karać... Co oni winni? Zostali w błąd wprowadzeni... W naszej kolonii poprawią się, zamienią się w uczciwych pracowników... Oddaj ich nam; są to podobno dobrzy cieśle; gotowi jesteśmy za nich suty okup złożyć do skarbu, jako bardzo potrzebni są nam wszeley majstrowie...

Sekretarz słuchał i gładził dłonią swój gładki babi podbródek.

— W takim razie, skoro o nich prosisz, to co innego... Złóście za nich po dwieście rubli kau-cji. Czy i Iwaśkina weźmiecie?

— Nie tego nie weźmiemy.

— W takim razie... rozporządź się, żeby wracał do Wierchniego i żeby nie opuszczał miejsca pobytu bez urzędowego pozwolenia. Odprowadzić go pod eskortą... Tobie, Beniowski, jako staroście, polecam wykonanie wyroku. He, zgadzasz się, co?... A z Agafią to już ja sam się załatwię... Wy-noś się stąd, dziurawa dzieżo, do kuchni!... — mruknął, mierząc zmrużonymi oczkami przerażoną niewiastę. — A teraz, może zagramy w szachy, co?... Poślę zaraz po komendanta i Kobylina!... Na pewno są w domu, co?...

Przygryzł wargi Beniowski, ale musiał przystać. Ku wielkiemu jednak rozgoryczeniu swoich współników z pięciu partii przegrał aż dwie..

XXXI.

W domu zastał Beniowski list od Norina i partię futer, którą ten oficer przysłał na satysfakcję długu, jaki przed odjazdem zaciągnął. Winszował Beniowskiemu przyjaźni naczelnika i przyszłych związków z jego córką. Kończył prośbą, aby dalej kontynuował dla niego swe względy i nie odmawiał w potrzebie pomocy.

Niewolnik Jędrzej rozpakował przysłane futra, z których kilka było wielkiej ceny; dodał w czasie rozmowy, że pan Chruszczow coś trzy razy w ciągu wieczoru przychodził dowiadywać się, czy pan wrócił...

Beniowski był wszakże tak znużony niewyw-

czasem i kłopotami ubiegłego dnia, że wprost nie miał już siły na rozważenie jakichkolwiek spraw. Usiadł więc na łożu i kazał Jędrzejowi ściągnąć sobie buty, gdy drzwi się otwarły i wszedł Chruszczow.

— Po raz czwarty!... — zawołał od proga. — Ale tylko na chwilę... Pewnie ledwie żyjesz? Nie spałeś ubiegłej nocy, lecz co robić, musisz mi dać wskazówki... Przede wszystkim, co mam począć z tym... z tym i tymi... trzema?

— Możesz iść spać, Jędrzeju... Sam się rozbiore, a jutro rano obudzisz mię o zwykłej porze — zwrócił się Beniowski do niewolnika i dopiero, gdy ten odszedł, spojrzał pytająco na Chruszczowa.

— Siedzą i lamentują, myślą, że ich zgładzić każesz!... Następnie przyszła odpowiedź z kancelarii gubernii w sprawie ustąpienia nam okrętu dla przewiezienia rzeczy, narzędzi i nasion na Łopatkę... Otóż, pewnie wiesz już, że nie powiodło się...

— Wiem, zamiast okrętu dają sześć bajdar.

— Dalej z Niżnego jakies trwożne przyszły wieści. Przybył umyślny z listem od popa Ustiużnikowa. Oto pismo!

Beniowski natychmiast rozdarł kopertę i zagłębił się w czytanie.

— Znowu zdrada!... Boże mój!... Pisze, że protorej cofnął pozwolenie na jego wyjazd do Bolszeriecka, że traktuje go jakoś dziwnie a nocami miewa jakieś tajemne rozmowy z Izmaïłowym i Boczkarowym... że po mieście chodzą mętne wieści o buncie, o moim aresztowaniu, że jest pełen niepokoju, że nie wie co robić i że jeżeli tam u nich nie dzieją się gorsze rzeczy, to dzięki jedynie znanej przychylności do wygnańców komendanta Norrina...

— Cóż więc? — spytał głucho Chruszczow.

— A no, poczekaj — pomyślimy,.. Przede wszystkim niech Sybajew weźmie dwunastu ludzi i przywiezie z Niżnego tych nieponiów oraz resztę pozostałych tam wygnańców... Niech przedstawi im, że są potrzebni przy zakładaniu kolonii na Łopatce... Skoro jednak z dobrej woli się nie zgodzą, niech użyje siły... Gorzej z popem: jeżeli go zostawimy, wyda nas, a wziąć go przemocą nie podobna. Kłóci się i swarzy wciąż z tamtejszym protojerejem! Więc wszcząłby się hałas... Ale słuchaj: czy mi się przewidziało, czy co, lecz wydaje mi się, że mówiono w mieście o zgonie protojereja Łożkowa?...

— Umarł dziś właśnie.

— Aha, wybornie!... Jutro Niłow wyśle list, żeby Ustiużnikow przyjechał tu na uroczysty pogrzeb protojereja!... Rozumiesz?... Już moja w tym głowa!... Niech Sybajew uprzedzi go, żeby szykował się do drogi... Tak!... A więc jedna sprawa załatwiona!... Dalej: przed południem zwołasz Radę do mnie; wezwiesz Kuźniecowa, Panova, Gurcynina, Winblatha, Baturina no i sam przyjdiesz... Pogadamy o okręcie i owych bajdarach... Następnie, skoro świt wyślesz Iwaśkina pod strażą dwóch spiskowców do Wierchniego Ostrogu — został tam internowany z rozkazu sekretarza i nosa niech stamtąd nie wychyla, bo będzie źle!... Mnie jako staroście wygnańców polecono za tym śledzić! Zapowiedz mu to ode mnie!... Wołodimirova i Puszkarewa zostawić na wolnej stopie. Ale mieć oko na nich, ze wsi nie wypuszczać, z ludźmi obcymi nie pozwalać im wiele gadać... Niech się szykują też, gdyż biore ich z sobą na Łopatkę...

— To jedziesz?

— Jadę i cieszę się z tego niezmiernie, bo jestem bardzo znużony. Zresztą pobyt mój jest tam

konieczny. Władze, mieszkańcy i nawet nasi muszą być przekonani, że te sprawy nas obecnie jedynie zajmują, że nawet jeżeli były, albo są jakie inne projekty, to porzucone zostały dawno i ostatecznie!

— Słusznie, ale widzisz...

— Nic nie widzę! Dosyć!... Dziś nie mogę więcej... Czuję, że jak się nie wyspię, to zdechnę!...

— Bój się Boga, nie zdychaj!... Cóż się z nami stanie, przyjacielu!?

— Właśnie!... Dlatego wynoś się!...

— Szczęście istotnie, że jeszcze spać możesz... Ja bo nie mogę się tym pochwalić...

— Bo masz nieczyste sumienie!... Ale już idź, idź sobie!...

— Nieczyste sumienie!... Dobrześ powiedział!... rozśmiał się Chruszczow, uściśnął wyciągniętą prawicę przyjaciela i wyszedł.

Beniowski opatrzył i zasunął za nim rygle; drzwi wewnętrzne, wiodące do Jędrzeja, zawarł na haczyk; położył nabitą króciwą koło siebie na nocnym stoliczku, rozebrał się i zwałił, jak martwy na posłanie.

W opuszczanej nagle komnacie chwiało się jeno i cicho przyskała błądzący płomyk kaganka. To nikły, to wypływały w chybottliwym jego świetle stojące pod ścianami sprząty i lśniące jak sztaby lodu stosy nabitych muszkietów oraz broni, zebranej w kącie, zasłoniętym we dnie zazwyczaj kotarą, w nocy rozsuwaną na boki.

Nazajutrz na cichy stuk do drzwi Beniowski otworzył oczy rześki, wypoczęty. Wesoło spojrział na smugi słońca, przekradające się przez okno, zszysite z drobnych mikowych szybek.

Zarzucił na przedce futrzaną oponkę na ramiona i poszedł otworzyć drzwi. Wszedł Jędrzej, nio-

sąc zastawę do herbaty i błyszczący, buchający parą imbryk.

— Cóż słyhać?... Przychodził kto?...

— A jakże!... Już przychodzili... Jakżeby się bez tego obyło!?!...

— Gdzież są?

— Gdzież mają być: u Chruszczowa czekają! Niech się wielmożny pan nie lęka, zaraz tu będą, jak kruki węszą każdą chwilkę wolną pana...

Beniowski rozśmiał się i, obmywszy się cały od stóp do głowy zimną wodą, siadł do śniadania; nie zdążył go jednak zjeść, gdy zjawił się Chruszczow z całą Radą. Obsiedli długi stół; Jędrzej przed każdym z nich postawił filiżankę herbaty, a Beniowski podsunął im fajansową cukiernicę z cukrem trzcinowym i koszyczek z sucharami

— Od czegoż zaczniemy?... Aha, Chruszczow, czy wszystkie moje rozporządzenia spełnione?

— Wszystkie. Iwaśkin błagał, żeby go dopuszczono do ciebie, że chce się usprawiedliwić i ciębie przebłagać, alem się nie zgodził.

— Słusznie bardzo. Sprawa jasna, nie ma powodu mitrężyć! Czy Sybajew już wyruszył?... Nie chciałbym, żeby go w drodze mógł dopędzić posłaniec naczelnika z listem...

— Pewnie, że wyruszył. Miał zaraz jechać, zanim miasto się obudzi...

— A więc teraz: cóż powiecie na odmowę okrętu?... Jeszcze jedna nadzieja prysła. Mów Winblath, tyś najmłodszy!

— Wyznaję, że nie żywiłem nigdy nadziei zbyt wielkiej. Nawet lepiej może, że nam odmówiono. Liczylibyśmy na pewno i nie przedsiębrali środków, a statku mogli nam nie dać w ostatniej już chwili. Co wtedy?... Pogłoski i plotki rozchodzą się coraz szerzej, lada dzień możemy zostać wykryci. Dlatego radzę obecnie przywarować, się-

dzieć cichutko, zaprzestać nawet ściągania i werbowania ludzi. Po co nam więcej!? Każdy nowy człowiek to możliwy zdrajca... Tymczasem, jeżeli rzecz poprowadzić należycie, starczy nam tych sił, jakie posiadamy. Z jedenastu statków, jakie stoją w porcie, wypatrzyć najlepszy, najodpowiedniejszy dla nas i ovladnąć nim w ostatniej chwili, kiedy będzie miał wyjść pod żaglami. Zazwyczaj cała załoga i oficerowie są wówczas pijani po pożegnalnej uczcie... Część naszych ludzi mogłaby jeszcze w czas tej uczty na statek zakraść się i uśpić załogę, częstując nietrzeźwych marynarzy wódką zmieszaną z jakim sennym proszkiem... Mederowi nie trudno go będzie sfabrykować, myślę. A wtedy łatwo już będzie za umówionym znakiem reszcie naszych do statku przypaść i przymusić ekwipaż do posłuszeństwa albo opuszczenia okrętu...

—Rada dobra, ale zbyt... dowcipna, za dużo komplikacji, a dość by jeden warunek zawiódł, a cała sprawa upadnie! — zauważył Beniowski.

Winblath próbował bronić swego projektu, upierał się, wskazując na trudność otwartej walki, ale po długich dyskusjach projekt został odrzucony licznymi głosami.

Z kolei mówił Gurcynin; ten zalecał ucieczkę ofiarowanymi przez rząd bajdarami do wysp Kurylskich, a stamtąd do Japonii, gdzie nie trudno spotkać holenderski okręt i na nim już dostać się do Europy. Podobała się z początku śmiała rada, lecz kiedy wystawiono trudności kierowania płaskimi statkami na pełnym morzu, a stąd niezawodne rozproszenie całej flotylli, następnie długość wodnej podróży na statkach tak niedołącznych, gdyż objechać należało całą prawie Japonię, zanim uda się dosięgnąć Nagasaki, jedynej na tych morzach holenderskiej osady — gdy rozważono

to wszystko, projekt Gureynina również został odrzucony.

Panow zrzekł się głosu, gdyż wyznał, że zupełnie nieświadom jest przedmiotu.

Baturin proponował, ażeby, z powodu mniemanych przenosin do Łopatki całej wygnańczej kolonii, dać bal dla naczelnika, oficerów, urzędników, przedniejszych obywateli; wszystkich w czasie uczty pochwycić i trzymać w zakładzie, póki rząd nie ustąpi jednego okrętu.

Lecz i ten wniosek nie znalazł uznania, gdyż obliczono, że garnizon, składający się z 240 żołnierzy, snadno mógł przymusić o wiele mniej licznych wygnańców do wydania zakładników. A choćby się udało podejściem czy przekupstwem wojsko przemóc, pozostałoby jeszcze 700 blisko kozaków, rozkwaterowanych w mieście, okolicy i dalszych warownych osadach, którzy by obojętnym okiem na podobny postępek wygnańców nie patrzyli.

Gdyby zresztą i ich, co rzecz wątpliwa, udało się ułagodzić, nie wiadomo jeszcze, co by powiedzieli oficerowie morscy, mający na swych okrętach armaty oraz broni i amunicji pod dostatkiem. Ci, skupiwszy swych majtków i część fortecznej załogi, mogliby nieprzełamaną ucieczkę stawić przeszkodę.

I ten więc projekt odrzucono i oczy wszystkich zwróciły się na Beniowskiego, który pilnie słuchał, najmniej mówiąc w czasie całej dyskusji.

— Przede wszystkim powinniśmy, o ile się da, unikać wszelkiego gwałtu, wszelkiej przemocy — zaczął niespodzianie dla wszystkich Beniowski. — Mało nas jest, a nadomiar, jak to ze smutkiem przekonaliśmy się, nie na wszystkich polegać możemy. Bo jeżeli wobec grożącego nam wciąż niebezpieczeństwa nie w stanie jesteśmy drobnych

wyzbyć się wad, zaniechać swarów i pokonać niskie zawiście, co stanie się, gdy życie trzeba będzie narazić i ponieść w ofierze!?!... Wątpliwa jest powszechna jedność działania i przezorność każe nam liczyć ino na te wypróbowane siły, którymi wykonywaliśmy wszystko dotychczas. Te porachować możemy nieledwie na palcach. Ale to nie; położenie nasze obecne nie jest wcale ani rozpaczliwe, ani krytyczne, abyśmy hazardować albo śpieszyć się potrzebowali. Zdaniem moim należy czekać i uciec się do wybiegu, który jest siłą słabych. Należy skorzystać z odjazdu okrętu „Święty Piotr i Paweł”, który ma być przygotowany na 15 maja, a więc za pięć tygodni. Cały jego ekwipaż składa się z dwudziestu dwóch majtków i kilku pasażerów. Nie łatwiejszego jak kilkunastu naszym towarzyszom zaciągnąć się w służbę okrętową, co gdy nastąpi, wówczas Kuźniecowa, jako należący do handlu, ułoży się z kapitanem, żeby go na okręt zabrał potajemnie, nocną porą, niby dla ukrycia kilku pak przemycanych futer... Z kapitanem Kuźniecowa powinien się przedtem zaprzyjaźnić, ująć go pieniędzmi i obietnicą wspólnych zysków. Według umowy kapitan musiałby ruszyć z portu pod żagle przed świtem i wszystko na ten czas przygotować... My zaś w ostatniej chwili na bajdarach dopadniemy okrętu, każemy się wziąć na pokład pod jakimkolwiek pretekstem, choćby dostawy owych futer przemycanych, w których może być schowana broń... W ten sposób opanujemy statek bez rozlewu krwi i bez niebezpieczeństwa wykrycia, gdyż plan ten możemy trzymać w zupełnej tajemnicy do ostatniej chwili.

Po krótkiej rozprawie plan Beniowskiego został przyjęty. Polecono Kuźniecowskiemu wybrać dwunastu ludzi, którzy mieli się za majtków na okręt zaciągnąć.

Następnie obradowano nad ułożeniem porządku służby wojennej, w przypadku, gdyby wygnancy zmuszeni zostali do otwartej walki. Podzielono spiskowców na trzy dywizje. Lewym skrzydłem miał dowodzić Winblath, a dano mu w rozporządzenie Kuźniecowa, Stiepanowa, Sybajewa, Bielskiego, Łobaczowa i trzynastu towarzyszy. Beniowski objął dowództwo środka, do którego zaliczono: Panowa, Rumina, Medera, Łoginowa, Baturina i czternastu związkowych. Chruszczowowi oddano prawe skrzydło i zaliczono doń archidiakona Protopowa, kniazia Zadskoja, Brondorpa, Nowosiłowa, Lapina, Wolkowa i dwunastu spiskowców podrzędniejszych.

— Samych inwalidów, żeby się miało kim opiekować twoje litościwe serce!... — żartował Gurcynin, zwracając się do Chruszczowa.

Na Łopatkę postanowił Beniowski wyruszyć nazajutrz rano i za towarzyszy podróży wyznaczył sobie Panowa z Winblathem i sześcioma ludźmi z najmniej wtajemniczonych i najmniej potrzebnych na miejscu.

Po skończonych obradach Beniowski odział się przystojnie i udał się do naczelnika na obiad, gdzie spodziewał się zastać także sekretarza Nowosiłowa i zręcznie ubić tam od razu sprawę popa Ustiużnikowa.

XXXII.

— Kiedy wrócisz, Auguście Samuelowiczu? Wracaj, miły, jak najprędzej!... Będę niespokojna... Gdy nie ma cię w pobliżu, nawet wprost gdy do domu tylko odszedłeś, serce moje wciąż ścisła trwoga, że coś się stanie, że coś ci zagrozi, że nie zobaczymy się już, że cię porwą, zamordują...

Nad twoją jasną głową, wciąż wydaje mi się, że wisi chmura, że padnie grom, który i mnie i ciebie zabije... Cóż dopiero, gdy jesteś daleko! Ach, kiedyż, kiedyż nareszcie będę mogła nie opuszczać cię ani na chwilę? — szeptała Nastazja, zaglądając w twarz Beniowskiemu.

— To chyba będzie niemożliwe do ziszczenia nawet po ślubie, gdyż nie mogę przecie zamknąć pani w mym sercu, jak w więzieniu!

— Co za szkoda!... — westchnęła zabawnie.

Starła się odprowadzić Beniowskiego na ubocze od gromady jego towarzyszy, zajętych szykowaniem psów i sani do dalszej podróży. Szli po rozmiękłych śniegach, po rozoranej płozami drodze ku sinawym rozłogom i ciemnym borom, rozpływającym się w białych dalach wiosennych, w srebrnych blaskach słonecznych, przesianych przez zwały skłębionych chmur. Wiał łagodny wiatr nie wiadomo skąd i niósł ciepło i wilgoć nadchodzącej zza morza odmiany. Wesoło spoglądały oczy dziewczyny na topniejące śniegi, pełnym tchem dyszały jej piersi i radośnie uderzało serce, czujące wolniejące pęta zimy.

Trzymając się za ręce, uchodzili coraz dalej od ludzi i nędznej chaty zruszczałego Kamczadala z Nihilowej, gdzie jedli obiad. Nastazja z bratem miała stąd wrócić do miasta, a Beniowski odjeżdżał dalej na Łopatkę.

— Niech mi pan powie, dlaczego pan zwłóczy z małżeństwem? Bo przecież ten brak gospodarstwa najmniejszego nie ma znaczenia... Chętnie zamieszkałabym z panem w jego obecnym pokoiku przy szkole; zastąpiłabym Jędrzeja w małym gospodarstwie pana. Więc dla kogo ta zwłoka potrzebna?...

— Potrzebne to przede wszystkim... dla ludzi... dla ojca pani, jako przedstawiciela władzy, dla

matki, jako niewiasty o dawnych poglądach, dla sąsiadów, kupców, znajomych... Nie może pani, naczelnikówna, zamieszkać w lichej chałupie wygnańca... nie może upodobnić się do ludzi niewolnych!

— Ach, przypuśćmy że tak, lecz to wszystko dla nich, a co dla mnie?... Są to błahostki w porównaniu z tęsknotą, jaka mię głębi, gdy ciebie nie ma... Co wobec niej znaczą wszelkie pozory, nawet same śluby... Chcę wiedzieć nareszcie, że doprawdy jesteś mój, że mię miłujesz! Chcę trzymać cię blisko siebie w objęciach, patrzeć bez przeszkody w twe oczy... Chcesz, a przyjdę kiedykolwiek do ciebie... ani się domyślisz i spostrzeżesz: w noc ciemną zastukam niespodzianie w okienko...

— Byłoby to tak wielkim nadużyciem zaufania rodziców pani, którym obowiązany jestem aż nazbyt wiele... — dowodził Beniowski.

— Co mi tam! Co za nadużycie, jeżeli mię kochasz? Zresztą wszak mię zaślubisz... Ach, jakże mię to wszystko nudzi i nuży!... Słuchaj, wracajmy do miasta... Sprawimy zaraz natychmiast w twym pustym domu nasze gody weselne!... Powiesz towarzyszom, żeś coś zapomniał, dogonisz ich potem... Niech jadą!

Stała i zastąpiła mu drogę. Patrzał na nią, na jej śliczną wzburzoną twarz, na oczy płonące jak gwiazdy pod sobolowym kołpaczkiem, na różowe rozdęte nozdrza, na rozchylone usta nabiegłe krwią i sam czuł, że twarz mu blednie od żądz.

Odwrócił od dziewczyny pociemniałe, rozszerzone źrenice.

— Co pani ze mną robi, Nastazjo Iwanowno, co pani ze mną robi! Niemożliwe!... Nie tylko względem pani popełniłbym haniebną zbrodnię, ale... Nieobliczalne wywołałbym następstwa. Dowie się pani z czasem i zrozumie!...

— Nikt wiedzieć nie będzie!... A zresztą co mi to obchodzi! Kto mi tu słowo może powiedzieć!... Nowosiłowa ojciec już podkupił... On jeden coś śmie...

— Ho, ho!... Dużo tu jest oczów, co nas śledzą gorliwie!?

— Myśli pan o Stiepanowie! Nienawidzę go!... Po coś pan kazał mi go przynęcać? Jest to wstrętne dla mnie nad wyraz osoba!...

— A jednak... błagam panią, niech pani nie odtrąca go ostatecznie... jeszcze... jakiś czas!...

— Dziwna jakaś tajemnica!... Albo pan mię... nie kocha... albo...

Beniowski przemilczał; szli kroków kilkanaście, nie mówiąc do siebie, nie patrząc na siebie, a gdy wreszcie Beniowski rzucił na nią z ukosa spojrzenie, dostrzegł lzy wiszące na długich jej rzęsach.

— Niech się pani uspokoi!... Przysięgam, że już niedługo wszystko pani wyjaśnię, wytłumaczę!

Ujął dziewczynę za rękę: nie broniła jej i wydała się osłabłą i bezwolną.

— Dobrze!... — rzekła wreszcie. — Będę czekać!... Wszak czekałam tak długo, a mogłeś wcale się nie zjawić!... Bywaj zdrów więc, ale pamiętaj, że straconym dla mnie jest bezpowrotnie każdy dzień spędzony bez ciebie... Pamiętaj, pamiętaj, kochany!

Beniowski podniósł jej rękę ku ustom i utonął w odwróconej jej dłoni, jak w kielichu kwiatu.

Tupot psów, skrzyp sani, brzękanie „oszołów”, okrzyki i nawoływania ludzi, zbliżające się gwałtownie, ostrzegły ich, że przyszedł czas, by się rozstali.

Grześ krzyknął na psy grubym głosem starego psiarza i zatrzymał zrećznie sanie przed siostrą.

Beniowski pomógł mu je zawrócić i usadowił pieczołowicie Nastazję.

Chwilę potem mknęli w dwie przeciwne strony.

Wygnańcy mijali bory, doliny, wzgórza i pasma zaśnieżonych gór, wciąż kierując się ku stojącemu na zenicie słońcu. Przypiekało. Zmęczone, zgrzane psy co chwila lizały śniegi wywieszonymi ozorami i pokładały się przy najmniejszym przystanku. Dopiero gdy droga wwiodła na krawędź morza, powiało chłodem. Zatrzymali się, dziwując niezwykle pięknemu widokowi kier lodowych, rozkołysanych na morskich odmetach.

Przypędził je tu do samego brzegu wiatr i silny flukt bałwanów, jaki bił o skały. Ogromne, lśniące bryły z niezmiernym hukiem, zgrzytem i stukotem ześlizgiwały się po bokach gwałtownie wzdymających się fal i rzucały wściekłymi zastępami na stromy brzeg. Spod ich cielsk, ze szpar, z nieomkniętych paszczy ich splekanych krawędzi wysoko przyskała ślina wzburzonej piany, chlustały bicz zielonawych wytrysków, roznosząc daleko słony pył. Wodna kurzawa rychło zmoczyła, niby z dołu bijący deszcz, wstrzymaną przez Beniowskiego na krawędzi wiszaru karawanę wędrowców.

Psy pokładały się, a ludzie nie odrywali oczu od wrzacej w dole szalonej walki, od potężnych brył lodowych, z jękiem i rykiem spływających jako wiórki drobne w leje wirzysk, gdzie uderzając o się wzajem, topiły się i meły w szatańskim młyńnię. Na miejsce znikłych pod wodą pojawiały się inne, wynurzały z zielonych toni białe łona i roziskrzone w słońcu złomy, zapalając to tu, to tam błyskawice diamentów i tęczy, niby błyski oczu rozigranych bestii.

Pomimo jednak niezmiernych wysiłków morza,

wszędzie, jak okiem zajrzeć, panowały tu jeszcze lody. Widać je było wzdymające potworne łbiska, szeregi nieprzeliczone, aż po kraj widnokregu... A szedł od nich taki szum, ryk, grzmot, że mowa ludzka nawet z bliska nikła w nich bez śladu.

— Kiedyż to wszystko odejdzie!... Mam wrażenie, że nigdy nie starczy słońca, by roztopić te lodowce! — szepnął Panow do Beniowskiego, gdy ruszyli dalej.

— Morze zabierze je i połknie, jak garść śmiecia! — roześmiał się ten. — To tylko wobec człowieka takie przeraźliwe, ale i ten daje sobie z tym radę dowcipem... Majtkowie islandzcy nigdy po innym nie pływają morzu; życie ich mija wśród lodów i morskich fal!... Jeżeli wiatr powieje pomyslny, jutro już może ich tu nie być śladu... Gorzej z lodami na rzece, w zatoce, w przystani. Te musi słońce skruszyć, podnieść powódź ze stopniałych śniegów... Trzeba więc czekać cierpliwie terminu. Ha, będziemy czekać! Już niedługo!...

— Dobrze, że niedługo!... — odszepnął Panow.

Dnia tego nocowali w osadzie Kompach, skąd otwierał się wspaniały widok na poszczerbiony stożek wulkanu „Opalnaja”. Miejscowy „taju” przyniósł Beniowskiemu kawałki rudy miedzianej i spore ułamki malachitu, znalezione w pobliskich wąwozach.

Zmęczone ciepłem psy z coraz większym trudem ciągnęły sanki po rozmiękłych od odwilży śniegach. Czwartego dopiero dnia stanęła wyprawa w wioseczce Tontynie, skąd Beniowski zamierzał zrobić wycieczkę w głąb lasu dla rzekomych poszukiwań miejsc zdatnych do uprawy zboża. Tontyński tajū bardzo wychwalał żyzność wschodnich wybrzeży półwyspu Łopatki, ofiarował zaś wieść tam Beniowskiego z towarzyszymi morzem na bajdarach. Ale w tych jego zachwalaniach

czuć było strach o posiadanie podległej mu obecnie ziemi i chęć oddalenia od siebie niebezpiecznej osady. Beniowski zaś musiał zachować pozory, więc na propozycję się nie zgodził i kazał się wieźć ku równinom, leżącym w pobliżu jeziora Kuil. Tam, odnalazłszy obszerną równinę nad małą rzeczulką, dopływem jeziora, wytknął na śniegach wiechami granice i plan przyszłej kolonii. Po czym wrócił do Tontyny, a nazajutrz opłynął na bajdarach półwysep, zwiedził wyspy Szumszu, Paramuszir, Alaide i odesławszy Panowa do Tontyny, aby z pozostałymi tam ludźmi wracał sankami łodem do Bolszeriecka, sam dla lepszego poznania brzegów popłynął bajdara morzem do Czekawki.

Wyprzedził w ten sposób znacznie towarzyszy i niespodzianie wszedł sam do Chruszczowa o północy.

Zastał go za stołem pochylonego przy kaganku nad stołem papierów. Alajda spała już za kotarą.

— Wróciłeś?... A gdzie tamci?... — zdziwił się Chruszczow.

— Przypłynąłem morzem.

— Aha, więc nie widziałeś się z naczelnikiem, z naczelnikową, z Nastazją Iwanowną... Wybierali się wszyscy na twoje spotkanie!

— Nie, nikogo nie widziałem!... Przyjechałem wprost!... Wiesz co, chodź do mnie: Jędrzej ugotuje nam herbaty i opowiesz mi, co się tu działo!

— Dobrze!... Chodźmy, ale właściwie nie tutaj godnego opowieści nie zaszło!

W drodze ostrożny Beniowski nie mówił wcale i dopiero oddalwszy Jędrzeja podsunął gościowi filiżankę gorącej herbaty, sam wziął drugą i zaczął go szczegółowo wypytywać.

Chruszczow zdał sprawę dokładnie z wyjaz-

du Sybajewa, z drobnych zatargów, jakie znowu zaszły wśród wygnańców, z plotek, jakie krążyły po mieście...

— Czy pop Ustiużnikow przyjechał?...

— Nie. I nie mam stamtąd dotychczas żadnej wieści...

Zerwał się z miejsca Beniowski i krążył niepokojnie po izbie.

— Żle!... Czuje, że źle!... Czemu nie wracają?

— Zamiecie były podobno w górach. Zresztą zwłoka niewielka jeszcze...

— A... Stiepanow co? Co robi?... — spytał, zatrzymując się nagle, Beniowski.

— A no nie! Łazi chmurny... Pono mu się nie wiedzie u... naczelnikówny. Nie z tego nie będzie!... Dziewczyńa zbyt jest w tobie rozmiłowana. Nawet tego nie ukrywa. Mordowała mię w dzień wypytywaniem wszelkich o tobie szczegółów. A czy daleko pojedziesz?... A czy bezpieczna aby podróż?... A kiedy wrócisz?... Wielką im wszystkim sprawi przykreść, że nie spotkają cię dworem całym w Czekaŵce!... Dostanie się tamtejszemu tajni, który miał rozkaz uprzedzić ich umyślnym wysłańcem o twoim powrocie... Bo i naczelnik i naczelnikowa o niczym nie mówią, jeno o tobie, o twym rozumie, o twoich talentach, o twoim powodzeniu, o oczekującej cię świetnej przyszłości i swoim do ciebie przywiązaniu i myślę, że istotnie szczerze cię miłują...

Beniowski chodził chmurny, założywszy lewą rękę za pas, a prawą za siebie.

— Wolałbym, żeby mię nienawidzili! — wybuchnął wreszcie. — Nie uwierzysz, Chruszczow, jak mi ciężko, jak strasznie mi ciężko chwilami! Bo ja się nie luję, że cała odpowiedzialność za ucieczkę spadnie na naczelnika.. Obwinia go nieprzyjaciele a przyjaciele odstąpią natychmiast, skoro

popadnie w niełaskę u dworu. Rzecz wiadoma!... Oskarżają go o ułatwienie nam ucieczki. Wszystkie pozory przeciwko niemu... Wtrącają starego do więzienia, skonfiskują majątek, może nawet ześlą do min... Wszystko możliwe w tym kraju przekłętym... Co się wtedy stanie z jego rodziną? A najgorzej mi żal tej dziewczyny czystej, prawej, szlachetnej, która bezwiednie tak nam do swej zguby pomaga!... Jakżebym chciał, żeby była szczęśliwą!... Gdyby ten Stiepanow był lepszy, może by zakochała się w nim. Ale ona przejrzała jego niski, brzydki charakter i ty masz rację, że z tego nic nie będzie!... Co więc robić, co robić?... Nie chcę, nie mogę pogodzić się z myślą, że za dobre, bądź co bądź, ich uczucia dla mnie, za pomoc i życzliwość, czekają ich cierpienia, nędza, gorzej — bo nawet katusze!... Czy nie porwać ich wszystkich na okręt?... Co? Radź, przyjacielu, bo w tym wypadku, doprawdy, ból rozsądek mi mąci!...

Chruszczow, wsparty łokciem na stole, śledził spod oka za ruchami Beniowskiego.

— Cóż ci mogę poradzić? Myślałem sam nieraz o tym, lecz położenie doprawdy bez wyjścia... Gorzej — wszelka słabość, wszelka uступliwość z naszej strony nikogo nie osłoni, nie uratuje, a wszystkich zgubi... Bo gdybyśmy nawet nie uciekli, to czyż najbliższy wypadek, pijacka zwada, kłótnia małżeńska nie mogą wykryć wszystkiego, a wtedy czy da się ukryć przed śledczym życzliwość naczelnika dla ciebie, narzeczeństwo jego córki z tobą, jej wreszcie dla ciebie uczucie... A to wszystko czyż nie będzie dostatecznym powodem dla zguby jego i jego rodziny w oczach rządu i dworu... Już stało się... zabrnęliśmy tak daleko, że powrót niemożliwy... Sameś chciał tego...

— To prawda, sam chciałem, ale nie wiedziałem... że...

— Nikt z nas nie wiedział. Teraz wiemy. Więcej ci powiem, nie tajno dla nikogo z nas, że miłujesz naczelnikównę... To widać ze spojrzeń, ze zmiany twojej rozjaśnionej twarzy, łagodniejącego głosu, gdy z nią się spotykasz, lub mówisz... I musi uczucie być silne, skoro nawet ty, Beniowski, ukryć go nie możesz... Nie dziw się więc, że z niepokojem śledzimy za tobą... Silni ludzie silne mają namiętności... Co stanie się z nami wszystkimi, jeżeli...

Beniowski zatrzymał się i zmarszczył brwi.

— Tego możesz się nie obawiać!

— Ja się też nie obawiam, ale... ja jeden, który cię znam lepiej... Co zaś do innych... Wierzaj mi, że na tym właśnie podłożu lęgnie się... cała... chwiejność... naszych... wewnętrznych... stosunków!... — cedził znacząco.

— Wcale nie na tym, a na tchórzostwie! — odparł Beniowski.

— Może i na tchórzostwie, lecz zrozum, że wszyscy widzą, iż w obecnym twoim stanie najmilszym byłby dla ciebie zapewne... zbrojny gwałt. Jakiś koniec krótki i stanowczy. Czy nie tak? On pokryłby do pewnego stopnia winę gubernatora, którego można by związać, wtrącić do więzienia, udać względem niego srogość i przemoc... Co innego my, my wszyscy nie chcemy zbrojnej walki, bo nas mało, bo nas pobijają... Wolimy podstęp, bo siła słabego jest...

— Czyż nie mówiłem tego samego?

— Tak, ale czyś mówił szczerze!?!... Czyś jeno przymuszał się do takiego myślenia mocą rozumowania?... W tym sęk! Jesteś śmiały, lubisz ryzyko, a tu w dodatku pcha cię w tym kierunku uczucie. Rzecz prosta, iż obawiamy się o naszą skórę. Lękamy się niepotrzebnego rozlewu krwi, walki nierównej; stąd niepewność, nieufność mimowol-

na wśród dowódców, udzielająca się szeregowym i wywołująca w całości męt i rozruch... I dlatego twierdzę, że ty musisz się nareszcie na coś zdecydować, choćby na przymusowe małżeństwo Nastazji ze Stiepanowym i zostawienie ich swemu losowi!

Beniowski zatrzymał się i długo namyslał z oczami utkwionymi w róg izby.

— Nie!... Daremna ofiara! Zresztą naczelnik się nie zgodzi! A Stiepanow wyda nas, aby zatrzymać na wieki szczęście, które mu w ręce wpadnie! W ten sposób od razu pozyska i wolność i zaszczęty...

— Myślę, że nie jest tak podły...

— Myślę, że jest!.. Prób zresztą nie możemy robić... Obaczymy!... Nieprawdą jednak jest, Chruszczow, żebym ja pchał was do gwałtu, do walki... Czyż nie wiem, co to jest walka? Czyżbym śmiał hazardować właśnie życiem i bezpieczeństwem osób, które mówisz, że miłuję?... Bo, o ile znam Niłowa, pewny jestem, że bez oporu się nie podda! Nie! — szczerze pragnę wyprowadzić was wszystkich stąd bez krwi rozlewu i bez użycia przemocy, ale myślę jednocześnie, jakby oszczędzić i tym ludziom skutków bolesnych. Czyż możesz mię o to oskarżać?

— Nie oskarżam cię wcale, tłumaczę jeno obecny stan ducha powszechności... Wydaje mi się prócz tego, że taka troska o bezpieczeństwo nieprzyjaciela zawsze osłabia atak... Nie czyje inne jeno twoje powtarzam wyrazy! Ach, Beniowski, Beniowski... miły druhu!... My słabi, my zwykli i poziomi, rzecz prosta, od takich jak ty przywódców nadludzkich często wymagamy przymiotów! Nie gniewaj się więc, a bądź dumny z naszego o tobie mniemania... Ty wszystko możesz... ty wszystko móc powinienes!

Beniowskiemu twarz drgnęła boleśnie, mimowiednie zrobił przeczący ruch ręką i odwrócił się.

— Zresztą przesadzasz! Nie tak już wielkie Niłowowym grozi niebezpieczeństwo. Kruk krukowi oka nie wykole!... Zaiste nie pewniejszego, że dwór przypisze twoją ucieczkę naczelnikowi, gdyby do jego wiadomości doszło wszystko, co on uczynił dla ciebie, gdyby wydało się, że miałeś zostać jego zięciem... Dlatego nastaje, aby Nastazję Iwanownę wydać za kogokolwiek za męża, jeżeli nie za Stiepanowa, to choć za... Nowosiłowa!

— Co ty gadasz!... Dziewczyna prędzej na siebie się targnie!...

— W takim razie obmyśl co innego... bo to bardzo by, ułatwiło Niłowowym obronę. Komendant i sekretarz już są przecież pośrednio w naszą sprawę uwikłani. Grywali w spółce z tobą w szachy, — kupiectwo dobrze im to zapamięta! Układali i zatwierdzili pierwsi projekt szkoły, wnieśli podanie o twoje uwolnienie, wreszcie brali decydujący udział w naradach nad planami i zatwierdzeniem naszej kolonii... Ich podpisy wciągnięte są do wszystkich protokółów. Nawet ostatnie postanowienie o zesłaniu Iwaškina, napisane własnoręcznie przez Nowosiłowa. Broniąc więc siebie, będą starali się zniszczyć ślady tych... dobrodziejstw, będą ukrywali prawdę o stosunkach swoich i naczelnikowskich z tobą i z nami... Wyłżą się, mówię ci... Co najwyżej przeniosą ich gdzieś na jakiś czas na gorsze miejsce, na wyspy Aleuckie albo nad Amur, gdzie będą mogli bezkarniej rabować i bogacić się... Gdzież tu porównywać ich losy z tym, co nas czeka w razie niepowodzenia!...

— Po cóż mówić zaraz o niepowodzeniu... Chciałbym jeno uniknąć niepotrzebnego, jak ci mówiłem...

— Nie, przyjacielu, właśnie o to chodzi!... Nie-

pokoi mię nie to, że zmienisz swoją główną decyzję: nie wątpię, że jej nie zmienisz, lecz straciłeś swobodę wyboru najlepszych... najodpowiedniejszych środków wykonawczych... Zgodzisz się przecie, że tak! Nie dziw się więc, że pragnęlibyśmy, aby ci dawna jasność i twardość postanowień wróciła...

— Może i masz rację, może i masz rację... Człowiek jestem!... — szepnął Beniowski, trąc czoło.

Chruszczow powstał, zbliżył się do niego, objął w pół i tak chodzili długo razem w milczeniu.

— Zostaw mię już, przyjacielu! Dziękuję! Stanie się, jak się stać musi! — szepnął wreszcie Beniowski, wysuwając się z ramion towarzysza.

Ten spojrzał nań miłośnie błękitnymi oczyma, raz jeszcze uściśnął serdecznie i wyszedł.

XXXIII.

Wieść o powrocie Beniowskiego rychło rozbiegła się po wiosce i dotarła do miasta. Wygnańcy, kozacy, kupcy, sznurem pociągnęli do jego domu, jedni przez ciekawość, drudzy z najrozmaitszymi interesami, obudzonymi nadzieją zysków i zaprojektowanej rolniczej osady. Czekali w przedsiönku, siedzieli na ganeczku, na przyźbie, rozmawiając między sobą i z wygnańcami o tym, co przywiózł z wyprawy Beniowski.

— Ha, może i będzie z tej maki chleb!... Mistrz on we wszystkim!

— A gdzie? nie wiesz? Gdzie wybrał miejsce?...

— Nie wiem, nie przyjmuje nikogo... Plany przygotowuje dla naczelnika!

— Tak powiedział przysłanemu po niego kozakowi z kancelarii!...

— Jakie plany?... Siedzą u niego Kuźniecowa, Baturin, Chruszczow...

— Może właśnie nad tymi planami radzą!

Jeden Stiepanow do rozmów się nie mieszał i oparty o filar patrzył w posępnym zamyśleniu na błękitniejącą wśród rozstłonecznionych śniegów wyrwę zamarzłej i nieruchomej wciąż jeszcze rzeki.

W komnacie tymczasem Kuźniecowa opowiadał zebranej Radzie Związkowej, że już przyjęci są za majtków na okręt „Ś-go Piotra i Pawła” dzieśięciu strzelców i dwóch Kamczadalów, którym ślepo zaufać można, i że on sam, Kuźniecowa, zdołał już skłonić kapitana Czurina do zabrania go do Ochocka wraz z rzekomą kontrabandą futer...

Ucieszyło to wszystkich: wspaniały zaś plan oraz rysunki domów przyszłej kolonii, wygotowane naprędce przez Beniowskiego, zabawiły i zajęły zebranych tak, jak gdyby miały zostać wykonane w rzeczywistości.

— Muszę was już opuścić, muszę iść do kancelarii, gdyż znowu gotowi przysłać po mnie kozaków!... — tłumaczył się, odziewając pośpiesznie Beniowski. — Niech obrady dalej prowadzi Chruszczow!

— Najmniejszej nie ma potrzeby! Załatwimy wszystko, jak wrócisz!...

Gdy Beniowski zjawił się na ganku, sunęli ku niemu wszyscy ze swymi sprawami i załatwiał je pobieżnie podczas, gdy Jędrzej przygotowywał do odjazdu psy i sanie.

— Muszę dłużej z wami pomówić, Auguście Samuelowiczu: może znowu pozwolicie mi towarzyszyć sobie!... — zwrócił się do niego chłodno Stiepanow.

— Cóż!... Chodźmy!... Jędrzeju, pojedziesz za nami!

Milczeli, idąc obok siebie czas jakiś: Stiepanow

rzuciał chmurne spojrzenia na stężałą w pozornym spokoju twarz Beniowskeigo. Ten nie śpieszył się pytać.

— Nie mogę znosić dłużej tego stanu. Muszę z tobą pomówić otwarcie — zaczął wreszcie z lekkim zająknięciem Stiepanow. — Powiedz mi szczerze z ręką na sercu, co to wszystko znaczy: niby to ustąpiłeś mi Nastazję, a tymczasem ona odprowadza cię... i wszyscy mówią o waszym weselu, które ma odbyć się, skoro tylko zbudowany zostanie wasz dom! Tem dom ma stanąć nawet nie w osadzie, dokąd chcesz nas wszystkich wyprowadzić, a tu blisko pod miastem... Co to za nowa gra?

— Nic o tym nie wiem!... odpowiedział z nieudanym zdumieniem Beniowski.

— A jednak ja sam widziałem budowlę: setki robotników pracują z wielkim pośpiechem... Umyślnie chodziłem sprawdzać... Zresztą mniejsza o to. To mogą być dalsze projekty jej matki, które skończą się z waszą... z naszą ucieczką! Gorzej, że dziewczyna zupełnie się zmieniła po powrocie z tej przejażdżki do Nihilowej... Traktuje mnie prawie wrogo... Coś ty jej tam nagaś?... Muszę wiedzieć!

— Należało ją się o to spytać!... Mogę cię tylko upewnić, że wcale nie mówiliśmy o tobie...

— Bardzo dobrze!... Lecz skądże ta zmiana właśnie względem mnie!? Przedtem, choćby ostatniego wieczora u ciebie, wykazywała mi uprzejmość, więcej powiem — pewną względem mnie zalotność która kazała mi się łudzić nadzieją... Obecnie — lód, skała! Rozpacz mię ogarnia, gdy patrzę na te cudne rysy, jakby rzeźbione z marmuru, na te oczy stale odwracające się ode mnie... Chciałbym ją porwać, przytulić do siebie, rwać z niej odzież, oddzielając ją ode mnie, a tymczasem ona taka daleka od myśli nawet o mnie, taka daleka! Nie wytrzymam, doprawdy oszaleję! Rzucę się na nią,

na was wszystkich w przystępie rozpacz, ręce na siebie nałożę... Czy ja wiem!... Ratuj mię, Beniowski!

Głos mu zadźwięczał szczerym bólem.

— Cóż ja na to mogę poradzić!.. Bóg świadkiem, że chciałbym... Usunąłem się, dałem ci czas... I na przyszłość nie będę ci wchodził w drogę... Wierz mi! Nie mam żadnych na tę dziewczynę zamiarów... Wiesz o tym dobrze, wiesz, że wszystkie siły poświęcam wyzwoleniu naszemu z tutejszej opresji... Musisz się sam postarać serce jej ku sobie przychylić, tego za ciebie nikt nie uczyni...

— Choćbyś słówko czasem za mnie rzucił!..

— Robiłem to i obiecuję na przyszłość. Ale afekt niewieści takimi często dziwnymi chodzi drogami...

— Ty wszystko możesz, wszystko, co zechcesz... Jesteś najzręczniejszy, najrozumniejszy z ludzi, jakich znam... Zechciej jeno, a stanie się... Nie wątpię!..

Przykry uśmiech przewinał się po ustach Beniowskiego.

— Są granice, poza którymi żadna zręczność nie działa... Nie podobna się podobać za kogo innego... Sam się staraj, wysilaj wolę, zaostrzaj dowcip, zabiegaj... Stałość i gorącość uczucia często zwycięża kobiety...

— Gdybym choć miał czas. Ale ucieczka nasza już tak niedaleka... Jeżeli zostanę, cała mściwość rządu spadnie na mnie: wtrącają mię do min, może nawet na śmierć haniebną skazą: umrę pod batem i od katuszy. Nikt nie uwierzy, że, żyjąc z wami tak blisko, nie wiedziałem o waszych zamiarach... Jeżeli zaś ucieknę, stracę ją na wieki... Nie mogę myśleć o tym... Chyba, że pozwolisz ją zabrać!..

— O ile zgodzi się dobrowolnie, owszem...

— A jeżeli się nie zgodzi?

Beniowski milczał przez chwilę.

— Wiesz, że postanowiliśmy... nie używać... żadnego gwałtu! — odrzekł, cedząc wyrazy.

— Zgodziłeś się jednak, żeby Kuźniecowa porwał Agafię...

— To co innego! Lecz skąd ty wiesz o tym? Tego nikt wiedzieć nie powinien!...

Zatrzymał się i utkwiał błyszczące źrenice w bladych oczach Stiepanowa.

— Wiem!... — odrzekł ten zuchwale. — I wiele innych rzeczy jeszcze wiem... Są granice, za którymi żadna zrzeczność nie działa... — dodał szyderczo.

— Słuchaj! — przerwał mu stanowczo Beniowski. — Żadnego gwałtu względem rodziny Niłowowych nie dopuszczę! Wybij sobie wszystkie podobne projekty z głowy... szczególnie względem tej szlachetnej i czystej dziewczyny. Jeżeli zgodzi się dobrowolnie, to co innego... Ale pamiętaj, że na drugi dzień po odbiciu od brzegu pop okrętowy zwiąże was ślubem.

— Tego tylko pragnę!... — roześmiał się Stiepanow.

— Staraj się więc. Masz jeszcze miesiąc czasu... Daruj, ale muszę się śpieszyć... Czy masz mi jeszcze co do powiedzenia? Nie, a więc do widzenia!... Jędrzej dawaj sanki!...

Siadł i pomknął ku miastu, a Stiepanow odszedł powoli ze zwieszoną głową w stronę wioski wygnańczej. Gdy chwilę potem obejrzał się Beniowski, długa, pochyła postać wygnańca rysowała się w bladym wylocie drogi, jak zgięta wichurą, obłamana z gałęzi drzewina.

— Trzeba będzie pilnie go śledzić!... — powiedział sobie. — Muszę pogadać o tym z Chruszczowym, bo przed Radą nie podobna podnieść tej sprawy ze względu na... Panowa! Do licha, płacze

się wszystko coraz gorzej!... Końca przewidzieć nie podobna!

Rozerwała go trochę i ożywiła wielka radość, jaką wykazała rodzina Niłowowych na jego widok. Siedzieli jeszcze przy obiedzie, kiedy wszedł do jadalnego pokoju. Naczelnik po ojcowsku uściskał go za głowę; pani Niłowowa wyciągnęła mu dworskim obyczajem rękę do pocałunku, dzieci opadły go z wrzawą wesolą, a Nastazja, rumieniąc się i blednąc ze wzruszenia, robiła mu miejsce koło siebie, zastawiała przybory i podsuwała półmiski.

Beniowski jadł niewiele, mówił mało i posmutniał gwałtownie. Aż zauważyła to pani Niłowowa i zwróciła się doń z dobrotliwym uśmiechem.

— Niedobre widać wieści przywiozłeś ze swej wyprawy, Augustcie Samuelowiczu, ale nie martw się znowu bardzo, tak czy owak zrobi się wszystko i źle ci z nami nie będzie.

— Ani chwili w to nie wątpię, widząc niezmierną i niezasłużoną życzliwość państwa dla siebie... Smutek mój nie z materialnych pochodzi powodów, a z rozmaitych trosk, związanych z moim położeniem.

— Czyż to położenie się nie odmieniło?... Przy twym rozumie i wykształceniu łatwo uzyskasz najwyższe rangi i służbowe odznaczenia. Możesz nawet zostać z czasem naczelnikiem kraju... Nieprawda, mężu?...

— Zapewne, zapewne!... Nie wątpię, że przedstawienie nasze zatwierdzą, jeżeli nie teraz, to po pierwszym żniwie, po pierwszej zbiórce kamczackiego zboża... A cóż ci się tam tak nie udało na Łopatce?...

— Owszem, wszystko mi się udało i plany mam z sobą. Myślę o tym, jakby tam co rychlej się przenieść!... Czasu mało a roboty dużo... Droga zła, a morzem niebezpieczna... Właśnie umyślnie

z powrotem popłynąłem bajdara wzdłuż brzegów. Skąły, fale i prąd silny!... Myślałem, że nas rzuci na rafy i że jak drugi Sinbad-marynarz będę się musiał ratować wpław na nieznaną ziemię. A srogie było zimno i kra pływała dokoła.

— Boże uchronaj zginąłbyś!... — zawołała pani Niłowowa, a Nastazja, już nie kryjąc się, spojrzała w twarz narzeczonemu pociemniałymi z przerażenia oczami.

— No, nie się nie stało!... Widzicie, że żyje przecież?... Wy, baby, bo wiecznie trzymałybyście wszystkich pod pierzyną!... — wstawił naczelnik.

Grześ aż parsknął z uciechy i uszczyptał obie młodsze siostry naraz gdzieś... pod stołem. Wszczął się płacz i narzekanie, w czasie których Niłow uprowadził Beniowskiego do świetlicy. Tam rozwinął Beniowski rulon ze skreślonymi przez siebie planami i zaczął objaśniać malowniczo ich szczegóły, oraz opisywać miejscowość. Wszystko to do tego stopnia zajęło i zachwyciło naczelnika, że posłał natychmiast po sekretarza i komendanta, aby podzielić się z nimi dobrymi wieściami.

Do wieczora przesiedzieli, gawędząc i popijając rozmaite nalewki i proste wódki, snując wesołe plany, rojąc złote marzenia zaboru Kalifornii i ostatecznego poddania całego pobrzeża oceanu Wschodniego pod władzę zjednoczonego triumwiratu Niłowa, Nowosiłowa i kozaka Czernych w Imieniu Jej Imperatorskiej Mości.

Na wychodnym naczelnikowa poprosiła Beniowskiego, aby przybył jutro rano i wziął udział we wspólnej przejażdżce za miasto.

— Pojedziemy aż nad morze. Zobaczymy owe straszne flukty i góry lodowe, o których pan tak ładnie opowiadał. A może prócz tego zobaczymy jeszcze coś, od czego rozsieję się zupełnie i twój i Nastki smutek, bo ja rozumiem, dobrze rozu-

miem, o co chodzi!... Pilno wam, młodzi jesteście, a i wiosna idzie! Niech więc was Bóg błogosławi!... Tyle nam tylko pozostało szczęścia, co przyglądać się waszemu!... — dodała z westchnieniem.

— Czy mógłbym wziąć ze sobą na przejażdżkę kogo z przyjaciół?... — spytał po krótkim namyśle Beniowski.

— Owszem, owszem! Weź tego tam długiego... Stiepanowa, no i Sybajewa, jeśli wrócił, bo słyszałam, że wyjeżdżał...

— Zdaje się, że wrócił...

— Więc go zabierz i jeszcze kogo zechcesz... Żeby było ludno, gwarno, wesoło... Och, lubię ja te szlichtadły!... Pamiętam w Petersburgu...

Zanościło się na długie opowiadanie, na szczęście na progu świetlicy pojawił się naczelnik na mocno niepewnych nogach i kazał się prowadzić do sypialni: podchwyciły go więc niewiasty pod ręce, a zwolniony Beniowski wyszedł pośpiesznie na ganek.

XXXIV.

Było ludno i wesoło na szlichtadzie. Dwadzieścia podwunastnych sani wyjechało z bramy fortecznej i skierowało się za miasto. Pogoda sprzyjała: wiosenne słońce iskrzyło się na błękitie nieba kręgiem czystym, jasnym jak źrenica dziecka.

Od gór, od dolin i łągów, od topniejących śniegów wiało wilgotnym, rozmarzającym ciepłem. Oczy wszystkich biegły w sinawą dal z tęsknym, aż do bólu, oczekiwaniem wesela.

Usta otwierały się mimo woli do śmiechu i okrzyków, do podśpiewywania hucznej muzyce, grającej na przednich saniach pod wodzą starego Bielskiego. Psiarczykowie pokrzykiwali i pobrzękiwali

„oszołami” do taktu, do taktu tupotały psy i nawet poskrzypywały do taktu sanki.

Wszystko zlewało się w jeden poryw wesela, nakazanego przez pana naczelnika i podnieconego sutą na wyjeźdźnym libacją. A gdy szlichtada wybiegła z zabudowanych ulic na mlecznosine śnieżyste pola, gdy obleciał wszystkich żywiczny zapach rozbudzonych już modrzewiowych lasów, gdy poczuli się z dala od ludzkich oczu, wesołość przeszła w szał... Mężczyźni, kobiety krzyczeli, śpiewali, przyhukiwali tanecznym dźwiękom muzyki, zapomniawszy o rangach, o pensjach, o należnej urzędowi czci i względach.

Mknał rozśpiewany korowód, mknał, ile tchu miały w piersiach, ile sił miały w kosmatych łapach oszalałe, podniecone powszechną wrzawą psy. Migwały na śniegach czerwone, niebieskie, żółte i sine barwy drogich kitajek i aksamitów, skrzyło się złoto i srebro galonów, guzów, pętlic, szamerozań: nad ciemnym futrem kosztownych kołpaków i bezcennych szub chwiały się, niby barwne dymy lekkie kity i pióropusze.

Zdało się, jakoby nawet stroje, zamknięte srogi mrozami w czas zimy w skrzyniach i schówkach, chciały sobie nagrodzić przewlekły w ciemnościach pobyt szczególnie jaskrawą grą mieniących się kolorów. Zdało się, jakoby żądze ludzkie i pustota wszelaka chciały użyć sobie i nahałać się do syta w śródpościu przed zbliżającym się surowym Wielkim Tygodniem.

Nawet naczelnik Niłow, ciężko obijając się na wyboinach o siedzącego z nim razem w saniach sekretarza, mruczał wesoło:

Upiła się młoda wdowa,
Zapragnęła żyć od nowa...

Ci zaś, co mieli koło siebie niewiasty, mimo woli

przytulali się do nich i wcale nie byli odpychani. Że zaś Beniowski tak zarządził, aby tym razem białogłowy nie mężów miały za towarzyszy a innych kawalerów, była więc powszechna stąd wesołość.

Sam Beniowski, wspaniale odziany w krytą drogim niebieskim atłasem szubę kunia i śliczną czapkę bobrową z niebieską czapłą kitą, wpół leżał w długich wąskich saniach obok Nastazji i stało się, rzecz prosta, że ręce ich złączyły się pod furtzanym furtuchem sani. Beniowski zamknął oczy.

— Ostatni raz, ostatni raz! — mówił sobie i pozwolił rozkochanym palcom dziewczyny błądzić po swoich dłoniach i nawet odpowiadał na jej uściski.

Z pewnym niepokojem jednak spoglądał na zawrotach drogi ku sankom, gdzie z Baturinymjechał Stiepanow, zauważył jego bladość i złowrogo płonące oczy.

— Nastazjo Iwanówno, przez wzgląd na tego tam szaleńca musimy zachować pozory!... — szeptał, uchylając ramię od kloniącej ku niemu głowę dziewczyny.

— A niech tam! Co mię wszyscy oni obchodzą!...

— W przystępie obłędu on może Bóg wie na co się ważyć!...

— On, niewolnik! Niech się ośmieli!... Ojciec zgnoi go w kazamatach!...

— Zapominasz, że byłem, nawet poniekąd jestem takim, jak on...

— O, ty co innego!

— A jednak nie należy go drażnić! Pamiętasz, co mówiłem ci wtedy!

— Kiedyż to nareszcie się skończy!... — westchnęła dziewczyna, odsuwając się z niechęcią.

— Nie zadługo, nie zadługo...

— Mówisz mi to już od trzech miesięcy. A wed-

łóg mnie wszystkie te przeszkody nie mają żadnego sensu... Powiedz mi nareszcie, co to znaczy? — dodała, zwracając się ku niemu i zaglądając wprost w oczy.

— Jeszcze chwilkę, chwilkę cierpliwości, a dowiesz się, wszystkiego się dowiesz i... przyznasz, że miałem rację, że istotnie... miłuję cię! — odszepnął.

Nastazja odchyliła się na poręcz sani z cichym westchnieniem.

— Więc proszę cię, abyś była uprzejma dla Stiepanowa, i nawet chcę posadzić go z tobą do sani, gdy po śniadaniu ruszymy dalej z przystanku.

— Przenigdy! A ty z kim pojedziesz?...

— Z twą matką.

— Nie, nie chcę, z nikim nie chcę jechać, tylko z tobą!...

Przekomarzali się tak, aż Beniowski spostrzegł nieopodal drogi wielką, już pod dach wyprowadzoną budowlę, na której uwijała się pokaźna liczba cieśli i stolarzy, stukających siekierami, zgrzytających piłami, szurgających heblami i strugami po pachnących, smolnych kłodach. Przypomniał sobie opowieść Stiepanowa i domyślił się, co to jest: nie miał jednak czasu spytać się swej towarzyszki, gdyż rychło ich sanie wpadły za innymi saniami na podjazd przed budujący się dom. Już naczelnik Niłow, sekretarz, pani Niłowowa, podtrzymywana przez Sybajewa, pani komendantowa, opierając się na rękę Chruszczowa, a za nimi inni wychodzili z sani i kierowali się ku schodkom ganeczku, gdzie z gołą głową stał pochyłony pokornie ciesielski „nariadczyk” Parenicyn, niegdyś okrętowy cieśla kupca Chołodiłowa. Za nim ustawili się w dwa szeregi wolni i niewolni robotnicy, Rosjanie i Kamezadale. Niektórzy tylko postukiwali jeszcze gdzieś w głębi domu młotami.

— Prosimy, prosimy dalej miłych gości! — zapraszała wesoło Niłowowa zaciekawionych i rozbawionych uczestników szlichtady.

Weszli tłumnie do na pół wykończonego już środkowego pokoju, gdzie wśród stosów zgarniętych na bok strużyn i wiórów stały stoły zastawione szkłem, porcelaną, cynowymi talerzami, sztuczkami i innymi biesiadnymi przyborami. Na wielkim kaflowym kominie cudzoziemskiego wzoru palił się suty ogień: zaciągnięte w oknach, zamiast szkiele, żółte kitajkowe zasłony, rzucały wesołe, słoneczne światło na złotawe, świeżo wystrugane, modrzewiowe ściany, na takąż powalę z potężnych bali i gładką posadzkę komnaty.

— Zaiste pańska siedziba! — wyrzekł sekretarz, rozglądając się wokoło.

— To dla ciebie, Auguście Samuelowiczu, godny zięciu nasz i synu, szykujemy gniazdko!... — zwróciła się uroczyście do Beniowskiego Niłowowa. — Abyś nie potrzebował oddalać się zbyt od nas do tej twojej na Łopatce kolonii i nie potrzebował odkładać ślubu i wesela, aż do czasu pobudowania się tam, co przeciągnęłoby się Bóg wie jak długo, postanowiliśmy ten ci tu dom wybudować własnym kosztem, a wesele i przenosiny ohcemy sprawić zaraz po Wielkiej Nocy...

— Wybornie!... — zahuczały liczne głosy.

— Do kolonii będziesz mógł dojeżdżać... Zresztą będzie ona wciąż potrzebowała twego przedstawicielstwa w mieście. Prócz tego staramy się dla ciebie o miejsce naczelnika całej policji okręgowej. Będziesz mógł mieć tutaj swoją kancelarię. Miejsca dosyć!... — dowodził Niłow, obwodząc ręką ściany domu.

— Ale w takim razie po cóż, Iwanie Piotrowiczu, stawiacie ten budynek na własny koszt... Przecież to będzie gmach na użytek rządowy... Czy nie

prawda, Sergiuszu Mikołajewiczu? — zwrócił się słodko komendant do Nowosiłowa.

— Juściż!... — mruczał ten. — Będą stąd rządzić a więc gmach rządowy!... — Zgoda, zgoda! Będzie można jeździć tu na pohulanki! Ho, ho!... Ani oko cudze nie zobaczy, ani ucho wrogie nie usłyszy!... Ho, ho!...

W teremie żona łązy srebrne roni,
Obok małżonek w kielichy dzwoni!...

— Czy nie tak, pani naczelnikowo, co?... Bodaj-to życie nasze: nie spać, nie umierać, jeno się całować i gębę ucierać!

— Siedajcie, goście mili! siadajcie!... — zapraszała naczelnikowa.

Obsiedli hałaśliwie stół, podsuwając sobie wśród żartów i śmiechów drewniane pieńki zamiast stołków, których zabrakło. Deska położona jako ławka na obrzynkach bali, gięła się i chwiała pod ciężarem biesiadników, wywołując lękliwe piski niewiast.

Jak mi miłe życie!
Czego się boicie?...
Że się położycie?...
Nie pierwszy to raz
Zdarzy wam się taki... szpas!

— składał na poczekaniu sekretarz.

Wniesiono potrawy, odkorkowano butelki i beczułki: zapach mięsiwa, zamorskich korzeni, wódki i wina zlał się z miłym, rzeźwiącym zapachem żywicy, świeżo ciosanego drzewa i aromatem smolnych płonących na kominie szczap.

Beniowski usiadł z Nastazją na końcu stołu, ma-
przeciwko teścia i teściowej i, wesoło gawędząc z

sąsiadami, troszczył się jedynie o napełnianie talerza i kieliszka narzeczonej, gdy zbliżył się do niego Chruszczow i szepnął mu do ucha:

— Wymijdz bez zwłoki na ganek! Sprawa pierwszej wagi!...

Zmieszał się Beniowski, spojrział na ucztujących i, nie dostrzegłszy wśród nich ani Sybajewa, ani Stiepanowa, zrozumiał o co chodzi. Baturin w przeciwnym końcu stołu rozmawiał spokojnie z naczelnikiem i ważniejszymi urzędnikami.

— Znowu ten niecnota! — pomyślał marszcząc brwi Beniowski. — Mam dosyć tego!

Nie mógł jednak zaraz wstać, gdyż siedząca po drugiej jego stronie pani Czernych jęła właśnie go wypytywać, jak to można jeździć sankami, zaprzężonymi w takie duże i dzikie zwierzęta, jak konie?

Nigdybym się nie odważyła, przenigdy!... Jeszcze gdy mężczyzna na koniu siedzi, to go pod sobą ma, to nim włada, ale tak, toć jakże powodować nim? Może zawieźć, gdzie sam zechce!..

Musiał więc wyluszczać jej Beniowski urządzenie cugli i wędzidła, kół wozu oraz dyszla, aż usłyszał dyskurs z oddala Nowosiłow i wmieszał się głośno:

— Dyszel urządzon tak, że go białogłowom opisać trudno, ale pokazać łatwo!

— Ha, ha!... — śmieli się mężczyźni.

Beniowski wyniósł się cichaczem, lecz nie zastał już Chruszczowa: psiarczykowie, pilnujący siani, powiadomili go, że odjechał razem z Sybajewym przed chwilą.

— A Stiepanow gdzie?...

— Ten dużo wcześniej od nich wyruszył. Wrychle po przybyciu!...

Beniowski popatrzył na drogę, zółcą się na śniegach, niby cienka brudna nić, i zawahał się,

lecz już go z ganku wołano, żeby wracał, bo sekretarz będzie miał przemowę.

Jakoż Nowosiłow już stał z kielichem w rękę i gadał:

— Kolonia taka nieobliczone przysporzy krajowi korzyści, bo pomijając okoliczność, że dziś wór mąki żytniej, często sprzałej i podmoczonej, przywiezionej łodem z za 12 tysięcy wiorst, kosztuje rząd do dwunastu rubli i za tę cenę sprzedawany jest z dobrodziejstwem mieszkańcom, lub wydzielany kozakom i żołnierzom, jako strawne, co naraża skarb na ogromne straty; to jednak i owej mąki, którą nieraz przed użyciem siekierą kruszyć trzeba, to i tej mąki, powiadam, często dosyć nie bywa!...

— A jakże!... — zgodzili się obecni.

— Jakaż więc zasługę wobec państwa mieć będą ci, co dowcipem pokonawszy nieprzychylność klimatu i gleby, przyszczepią krajowi rolnictwo...

Długo gadał sekretarz, przypijając z kielicha i komplementując z kolei to Niłowa, to Beniowskiego, to komendanta Czernych, to panią Niłowową i nadobną jej córkę, to wreszcie zręcznym zwrotem pochlebiając wszystkim białogłowom, równając je z wdzięcznym polem dziewiczym, które rychło zakwita wszelkimi fruktami, skoro przejdzie po nim pług oracza...

Tu znowu wszczęły się śmiechy, żarty powodujące powszechne niewiast splenienie i opuszczenie oczu.

W tym czasie wpadł do sali Sybajew i zbliżył się porywczo do Beniowskiego: ledwie parę słów mu powiedział, gdy ten wstał i, podszedłszy do Niłowa, poprosił go, aby pozwolił mu oddalić się na chwilę, gdyż Stiepanow oszalał i trzeba z nim zrobić porządek.

Umilkł sekretarz, słysząc szepty, i nadstawił ucha.

— Wielka rzecz! Po co masz sam jechać?... To nam zepsuje zabawę!... Każ go związać i niech poczeka!... — odpowiedział głośno Niłow.

— Narzeczoną chcesz rzucić!? Jakże to wyglądać będzie. Wy tu główne jesteście osoby... gospodarze niejako w tym waszym domu — sprzeciwiała się naczelnikowa.

— Bieżysz ratować zuchwalca, który by cię życia rad pozbawić!... — wmieszała się Nastazja, która podążyła za narzeczoną. — Wiem ja, wiem, co znaczy to szaleństwo!... Zaklinam cię, nie jedź!.

Zakryła oczy rękoma i zalała się łzami.

Zerwali się biesiadnicy i otoczyli ich kołem.

— Cóż to znaczy?... Jakieś tajemnicze spiski? — spytał naczelnik, zwolna czerwieniejąc się na twarzy...

— Żadne spiski, ojczy, jeno rozmiłował się we mnie ten szaleniec i grozi śmiercią z zazdrości Beniowskiemu...

— Rozmiłował się... bez rodzicielskiego pozwolenia? A możeś mu co obiecała?...

— Nic zgola!... Wiadomo ci, ojczy, i matka może to potwierdzić, że miłuję jedynie przeznaczonego mi wolą boską i waszą Augusta Samuelowicza!...

— A jednak tego wieczoru u Beniowskiego gadałaś z nim długo. Potem przychodził do nas, widziałem parę razy. I, wyznam, wydawał mi się człowiekiem wcale do rzeczy.

— Wtedy właśnie, ojczy, dowiedziałam się, że mię miłuje, i odwodziłam go od tego beznadziejnego uczucia, prosząc żeby nie ścigał nadaremnie zazdrośną nienawiścią swą Beniowskiego, któremu pozostanę wierną do śmierci. Wtedy to dowiedziałam się, że już czyhał na jego życie i o mało nie

zabił go zdradziecko w pojedynku...

Coraz ciśnień kupili się dokoła mówiącej goście, coraz mocniej czerwieniła się twarz naczelnika i nabrzmiwały mu krwią grube żyły na skroniach.

— A ja nic o tym nie wiem!... — zawołał nagle na Beniowskiego.

— Chciałem uniknąć rozgłosu w tak delikatnej sprawie! — tłumaczył się ten.

— Do turmy!... Wszystkich do min! Batogami wybiję ja im te zakazane amory!... Rab nędzny śmiał targnąć się zuchwale na osobę mej córki!... Niedługo po moją głowę sięgną!... Ho, ho! Jedziemy! zaraz!... Czernych, każ podawać sanie!... — szumiał Niłow i nogą stół od siebie odepchnął, aż upadły na nim z brzękiem kieliszki i flaszę.

Z żalością patrzyli biesiadnicy na lejące się trunki, na niedojedzone na misach miesiəsiwa, słodycze i placki, lecz słowem nie odważali się sprzeciwić rozgniewanemu naczelnikowi. Jeno niewiasty pośpieszyły z pomocą naczelnikowej, podnoszącej wywrócone szkła.

— Czyby nie lepiej jednak doprawdy załatwienie tej sprawy powierzyć na razie Beniowskiemu? — zauważył ostrożnie sekretarz. — On jest starostą wygnańców, ich bezpośrednim naczelnikiem, on odpowiada za ich prowadzenie się... Można będzie potem śledztwo urządzić, dociec kto tam zawinił i winnych ukarać, ale teraz niech jedzie Beniowski!... Po co mamy zaraz wszyscy dla jednego niewolnika się niepokoić... Zbyt wiele o sobie mieć zaczął!...

— Nie jedź, Auguście!... Ojczy, nie puszczaj go! — krzyknęła Nastazja. — Chcą go zgubić, ukochany mój! Widzę to!...

— Dlaczego gubić!?!... Po co takie brzydkie po-

dejrzenia!?!... My mu damy rozkaz na piśmie... — wtrącił sekretarz.

— Będzie mógł wziąć do pomocy kozaków!...
— uspakajał ją komendant.

— Więc pisz, że mu pozwalam robić z nim, co zechce!... — rozkazał Niłow.

Podczas, gdy pisano rozkaz na ćwiartce papieru, dostarczonej przez ciesielskiego „nariadczyka” Parenicyna, Beniowski upewniał tysiącami zaklęć narzeczoną, że nie narazi się na żadne niebezpieczeństwo i że nie mu się stać nie może.

Goście, gwarząc o wypadku, znowu obsiedli stół.

XXXV.

— Śpiesz, śpiesz się, Jędrzeju!... Popędzaj! — naglił woźnicę Beniowski.

Jędrzej, który dowiedział się coś niecoś od Sybajewskiego psiarczyka, sam w wielkim niepokoju gnał psy, co miały tchu. Sybajew został daleko w tyle. Pędem minęli miasto, fortecę, skąd, widziało się Beniowskiemu, że wołają nań stojący przed bramą żołnierze. Przechodnie, poznając naczelnikowskiego faworyta, ustępowali pośpiesznie z drogi i kłaniali się pokornie. Lecz wydało się Beniowskiemu, że w ich twarzach czyta jakąś niezwykłą, złośliwą ciekawość i wciąż przypilał Jędrzeja. Minęli szkołę, dokąd psy gwałtem chciały skręcić, i za chwilę znaleźli się przed obejściem Chruszczowa. Poblaźł i porwał się Beniowski z sani, nim te stanęły, gdy spostrzegł kupę żołnierzy i kozaków, dobijających się do drzwi domostwa.

— Co się tu stało?!... Co wy tu robicie!?!...

— Nie puszczają!... Każcie im otworzyć panie!

— Krzyczał tu jeden: „słowo i dzieło!...”, a ci nie chcą go wydać!...

— Wiadomo zdradę knują!... Hej, otwieraj!

— Co zważać na nich!... Napieraj, napieraj...
Siekierą wał!... Z dołu podważaj!...

Zahuczały ponownie drzwi pod uderzeniami żołnierskich butów i żelaza.

— Nie ważcie się wchodzić!... Będziemy strzelać!... Mamy swoją własną władzę nad sobą nie was...

— Ho, ho!... Zdrajcy i złodzieje!... Wydajcie zaraz tego, co krzyczał słowo carskie!... Jak łże, to sam odpowie, a może takie powie o was zeznanie, że ćucha tu waszego wkrótce nie zostanie!... Dawajcie dokazezyka zaraz, a to odpowiecie za opór!... — dowodził stojący na przedzie podoficer.

Z trudem przecisnął się ku niemu Beniowski przez zbity, wzburzony tłum.

— Czy umiesz czytać?... — spytał go.

— Umiem! Albo co?

— Przeczytaj ten papier, zabierz swoich ludzi i wynoś się zaraz! Jak śmiecie wyrabiać tu takie burdy?...

— Dokazezyka ukrywają... Wołał „słowo i dzieło” do naszego żołnierza, który tędy przechodził... Mówił, że ma tajemnicę carską do wyjawienia, żeby go więc ratować z rąk waszych, panie Beniowski, że go zamordować kazaliście!... My musieliśmy go usłuchać!... Taki jest ukaz carski... Brać zaraz do urzędu tego, co obiecuje „słowo i dzieło”. My byśmy za to ciężko odpowiedzieli przed władzą, wielmożny panie, gdybyśmy go nie wzięli! — tłumaczył się podoficer.

— Czytaj, czytaj! — kazał mu Beniowski.

Żołnierz posłusznie zagłębił się w czytanie, inni przyglądali mu się z otwartymi ustami.

— Tak niby powiedziano tu jest, żeby go wam, wielmożny panie... zostawić... do... rozporządzenia! Ha, zostawić, tak zostawić!... Dla nas czy wziąć,

czy zostawić, nie ma różnicy!... Jak każą, tak zrobimy, byle się nam za to nie dostało... Ale że jako na tym papierze jest podpis Jego Wysokiej Szlachetności pana Naczelnika, więc owszem... bierzcie go! A my spokojnie odejdziemy. Nie gniewajcie się jeno na nas, łaskawy panie, bo my jak nam każą... my jak ustawa! Niech się pan na nas nie żali, jeżeli my co źle zrobili, to nie ze złej zrobili woli a przez ciemnotę naszą — dowodził wymownie.

— Dobrze, dobrze!... Idźcie już sobie i puśćcie mnie, żebym mógł uspokoić napadniętych przez was!
— odpowiedział Beniowski.

Zastukał do drzwi, ale gdy Chruszczow odezwał się z głębi, kazał mu po francusku wstrzymać się z otworzeniem, zanim żołnierze i kozacy nie oddalą się zupełnie.

Wreszcie na ponowny znak drzwi odemknęły się i Beniowski spostrzegł bladego jak płótno Chruszczowa z rozwiehrzoną brodą, a za nim kilku spirskowców z muszkietami w rękę.

— Cóżecie, nieszczęśnicy uczynili?... Czyż nie było sposobu?

— Ach, ty nie wiesz, co się stało! — zaczął Chruszczow, odprowadzając Beniowskiego, na stronę. — O małośmy wszyscy nie zginęli!... Ten szalenciec, Stiepanow, skoro tylko usłyszał przemowę Niłowowej o tym nieszczęsnym domu i twoim niedalekim weselu, zaraz wybiegł. Śledziłem go i pośpieszyłem za nim, aby przeszkodzić jakiemu wybrykowi. Już siedział na saniach i krzyczał na psiarczyka, żeby go wioził. Na daremno wołałem nań żeby się zatrzymał. Nie słuchał... Wtedy usiadłem sam do sanek i popędziłem za nim. Miał lepsze psy, nie mogłem go dogonić. Na wjeździe do wsi spotkałem Kuźniecowa i Gurcynina, więc powie-działem im, co zaszło i pośpieszyliśmy razem do

domu Panowa, z którym, jak wiesz, Stiepanow zamieszkał. Zastaliśmy go nad jakimś pismem. Skoro nas zobaczył, wpadł wprost w szal. Zaczął lżyć nas, ciebie, świat cały. Krzyczał, że sprzedałeś nas, że za naszą tajemnicę, zdradzoną rządowi, kupiłeś sobie wolność, dostatek i że gotujesz się do ostatecznej zdrady za cenę wdzięków tej dziewczyny... Że on sam woli cię uprzedzić, woli nas wszystkich i siebie wydać i zaprzedać, niż tak cierpieć... Wrzaski i groźby swoje do tego posunął stopnia, iż gdyby je ktokolwiek obcy usłyszał, byłibyśmy wszyscy zgubieni... Staraliśmy się go ułagodzić, przekonać, lecz gdy się porwał biec do kancelarii, żeby wszystkie nasze sekreta rządowi odkryć i kryjówki wskazać, spostrzegliśmy, że nie wypadało dłużej szaleńcowi pobłażać. Rzucili się nań towarzysze, chcąc go obezwładnić, lecz wyrwał się, powalił Gurcynina, mnie również, gdy mu zastąpiłem drogę, wybiegł na ulicę i tam, spostrzegłszy przechodzącego żołnierza, jał wygadywać na nas, oskarżać nas, że go otruć chcemy, prosić, żeby żołnierz pobiegł do kancelarii i powiedział, że ma na nas „słowo i dzieło”, że knujemy przeciw rządowi zdradę... że chcemy uciec a miasto spalić i zrabować!... Zwabieni jego wrzaskiem zbiegli się wygnańcy z całej wsi, kobiety i nawet przechodnie. Chcąc położyć kres scenie i nie dopuścić do ucieczki Stiepanowa, kazałem towarzyszom schwytać go, gębę mu zakneblować i zawlec do mnie, gdzie go kazałem w lochu pod podłogą zamknąć. Żołnierz jednak uciekł i sprowadził kozaków oraz patrol. Na szczęście przybył w międzyczasie Panow, Sybajew a potem Baturin. Pchnąłem Sybajewa zaraz po ciebie a sami postanowiliśmy się bronić. Do Stiepanowa przystawiłem Ziablikowa z króciwą, żeby na wypadek zwycięstwa żołnierzy śmierć mu

natychmiastową zadani. Przybyłeś w samą porę. Radź, co robić!...

— Przede wszystkim odwołaj z lochu Ziablíkowa. . Czyż nie wiesz jakie miał zajście ze Stiepanowym, jeszcze go uśmierci przed czasem, a musimy się dowiedzieć, co ten zdrajca przedsięwziął, co pisał? Może już zrobił jakie wskazanie rządowi? Gdzie list, nad którym zastaliście go?...

Chruszczow wzruszył ramionami.

— Nie wiem gdzie ten list!... Może go podał?

— A może go oddał żołnierzowi!... Co?... Wiedzicie, jacyście wy nieroztropni!?! Zajmiemy się szukaniem tego listu.. I w ogóle trzeba przejrzyć rzeczy Stiepanowa... Ale przede wszystkim pojedziesz do Naczelnika, przedstawisz mu wszystko przystojnie, powiesz, że wskutek szaleństwa nieszczęśnika wynikała przez nieporozumienie burda z żołnierzami: powiesz mu, że ręczymy za spokój, prosimy jednak, aby wobec powszechnego wzburzenia zabronił przez jakiś czas wchodzić do naszej wsi kozakom i żołnierzom, że porządek i poszanowanie prawa sami nadal utrzymywać będziemy. Po czym przyjedziesz do mnie, do szkoły, gdzie zwołam zebranie i złożymy sąd. Śpiesz się jednak, bo nie chcę bez ciebie tej sprawy załatwiać. Uprzedzisz tych, co mieszkają w mieście, aby też przybyli. Naczelnik pewnie bawi jeszcze z całym towarzystwem na budowlu — tam jedź!

Chruszczow odjechał a Beniowski, zabrawszy z sobą Baturina i Kuźniecowa, udał się do Panowa.

Ten spotkał Beniowskiego z twarzą tak zboląłą, postarzałą i zmienioną w krótkim czasie, że litość Beniowskiego zdjęła.

— Nic takiego się nie stało! Wszystko jeszcze na dobre się obróci... — próbował go pocieszać. Panow wstrząsnął głową.

— Hańba, hańba!... — mruknął.

Pilnie pomagał przeglądać rzeczy siostrzeńca, znosił je z rozmaitych kątów, wywlekał z ukrycia, ale nie odzywał się wcale.

Wieczorem obszerna sala szkoły wypełniła się po brzegi uzbrojonymi wygnańcami. W krwawym świetle kaganków i płonącego po rogach izby łu- czywa, złowrogo rysowały się posępne twarze bro- date i błyskał tu i owdzie oręż.

Chruszczow opowiadał szczegółowo przebieg wypadków, wskazał świadków, których badano po kolei: po czym Beniowski spytał zgromadzonych, co ze Stiepanowym według ich rozumienia czynić wypada?

— Śmierć, śmierć!... — zaszumiało w dalszych szeregach, ale bliższe milczały.

Beniowski obwiodł spojrzeniem zebranych i za- trzymał wzrok chwilkę na zmiętej twarzy Panowa. Stał z głową wzniesioną do góry, ale z opuszczonymi powiekami i szeptał zawzięcie przez zaciśnię- te zęby, błyskające drapieżnie wśród czarnego, zwichrzonego zarostu:

— Śmierć!... Śmierć!...

— Coś źle wygląda! Czyżby wiedział z dawna o zamierzonej zdradzie!?! — błysnęło przez myśl Beniowskiemu.

Przypomniawszy sobie pierwsze wystąpienie Stie- panowa, jego wpływ na Panowa, chorobliwą po- dejrzliwość ostatniego.

— Muszę dowiedzieć się! — powiedział sobie i zaczął głośno:

— Zastanówcie się dobrze, towarzysze, nad wa- szą decyzją. Sprawa stała się głośna. Śmierć Stie- panowa może zostać użyta przeciwko nam przez nieprzyjaciół nasze, których nie brak nie tylko wśród rządu, ale w mieście, wśród tych zawistnych, co nam zazdroszczą powodzenia, co sarkają prze- ciwko nadaniu nam przez władzę ziemi i rzeko-

mych tysięcy rubli zapomogi...

— Cóż z nim uczynić zamierzasz?... Ustawa mówi wyraźnie!... — przerwał zapalczywie Kuźnieców.

— Możemy trzymać go w zamknięciu, aż do chwili naszej ucieczki — odpowiedział Beniowski.

— To słaba asekuracja!... Z więzienia można uciec, można napisać... — rzucił Sybajew.

— Zresztą ci sami wrogowie i zawistnicy, o których przed chwilą mówił czcigodny nasz przywódca! — zaczął Gurecynin — nie omieszkają zapewne wypróbować wszelkich sposobów, żeby Stiepanowa z naszych rąk wydostać i dowiedzieć się prawdy. Obecnie władze za sprawą pana Beniowskiego uważają napady Stiepanowa za proste oszczerstwo. Gdyby jednak udało mu się wskazać im nasze kryjówki, broni, opowiedzieć treść naszych uchwał, ujawnić wszystkie kunsztowne sposoby, wynalezione przez nas gwoździ zapobieżeniu zdradzie, co, zapytam, mogłoby nas uchronić od strógiego losu!?!...

— Niech lepiej on zginie, zamiast byśmy mieli zginąć wszyscy!

— Słuszna jest! Dla uratowania pięćdziesięciu, lepiej aby przepadł jeden!...

— Cackają się z nim, jak z wrzodem, bo ich, bo szlachcie, bo siedzi w Radzie, ale z Piacynym i Lewantiewym to się załatwili wprędce...

Huczały coraz burzliwsze głosy. Chruszczow, Baturin, Winblath, Međer, Brondorp, Serebrennikow, kniaź Zadskoj i reszta znaczniejszych wygnańców spoglądali wyczekująco na Beniowskiego.

— Wprowadzić oskarżonego!... — kazał ten. — Może on co nam powie na swoją obronę!

Wszedł Stiepanow w pętach, w otoczeniu czterech uzbrojonych spiskowców. Minę miał dość zuchwałą skoro jednak przeczytano mu rozkaz naczelnika

kraju, oddający go na łaskę i niełaskę Beniowskiego, oraz skoro własnymi oczami sprawdził rozporządzenie i podpis Niłowa, zbladł i opuścił głowę. Ale rychło znowu ją podniósł i obwiołł błyszczącym wzrokiem zebranych:

— Zamiast mnie tracić, który wam dobrze życzę, albowiem dla waszego ocalenia całą rzecz wszcząłem, lepiej schwytajcie jego, wydajcie władzy, upokórzcie się a uzyskacie przebaczenie! — zagrzmiał nagle, kiwając głową w stronę Beniowskiego. — Azali wiadomo wam, dokąd was on prowadzi i czym się to skończy?... Azali nie on sam dotychczas miał korzyści z naszych trudów, pracy, niepokojów i niebezpieczeństwa!?... Spójrzycie na niego: w atłasach i sobole odzian, a wy czyż nie nosicie po dawnemu siermięgi podartej oraz skórzanej odzieży!?... Żyje z gnębicielami naszymi za pan brat... i czy wiadomo komu o czym mówi z nimi w głębokie noce przy kieliszku?... Może on dawno wszystkich nas sprzedał i stara się nas zebrać w onej kolonii po to, iżby żaden z nas stamtąd nie uszedł i nie stał się powszechności mścicielem?... Co, czy kto z was poręczy, czy nie tak?... I ciebie wuju, widzę wśród sędziów moich!... — zwrócił się do Panowa — a czy nie dalej jak wczoraj nie przyznawałeś sam, że podejrzaną jest zachowanie się tego tu niesłychanego kłamcy i zagranicznego intryganta?... Bo zaiste, jaki ma powód starać się i narażać po tysiąc razy na własną zgubę, aby ocalić nas, biedną hołotę, obcą mu mową, językiem, obyczajem, przeszłością!... Zapytajcie go, niech powie!?! Przecież nie na tyle miłuje nas, aby obecne swoje położenie, swoje wpływy, swoje zdobyte przez nas bogactwo, swoje nadzieje na urzędy i zaszczyty, zamienić na niepewny los buntownika i zbiega, oddać się na łaskę burzliwych mórz, nieznanym przygód w nędznej łupinie tu-

tejszej bajdary... Czego mu brak?... Już teraz włada całym krajem, jak prawdziwy jego nacelnik, urzędnicy gną przed nim swe grzbiety, kozacy i żołnierze słuchają go pilniej, niż swych oficerów... Je, pije, bogaci się... Za parę dni zaślubi najpiękniejszą w mieście, ba, w kraju całym, na świecie całym, dziewczynę... — tu pobał, zachwiał się i dokończył zdławionym głosem: — A wtedy... a wtedy... Cóż mu przeszkodzi sięgnąć po najwyższe w województwie zaszczyty?

— Powiedziałem ci, nędzniku, że nie zaślubię jej nigdy!... Wiedzą, że nawet jej zaślubić nie mogę, gdyż mam żonę i dziecko!... Spytaj się Chruszczowa i Baturina, niech poświadczą!... — wybuchnął wreszcie Beniowski. — Co się zaś tyczy innych twoich oszczerstw, to czyny moje są najlepszą na nie odpowiedzią!... Czy istotnie nie polepszyło się położenie wasze?... Czy rabują, poniewierają i katują was za byle co, jak dawniej?

— Bili niedawno Bielskiego... — bąknął ktoś z tłumu.

— To... nic... Co was to obchodzi... Sam wiem... sam Beniowskiego prosiłem!... Nie winien nikt!... Głupcy!... — odpowiedział nagle z kąta przerywanym głosem Bielski.

— Nie jestem wszechwładny!... — mruknął Beniowski — ale porównajcie swoje poprzednie położenie z obecnym... Czyż istotnie nie widzicie różnicy i czy sądzicie, że zdobył ją wam swym przebiegłym rozumowaniem Stiepanow?... Nie o to wszakże chodzi, gdyż przecie nie dla polepszenia obecnego swego bytu związaaliśmy się i sprzysięgli. Nie dlatego narażaliśmy życie nasze na śmierć i najgorsze tortury, aby zdobyć mały, lepiej okraszony kęs chleba, lecz po to, aby zdobyć wolny, ludzki byt, aby żyć jak inni, żeby nie drzeć wciąż, iż lada kaprys tyfana odbierze wam to, co dzisiaj

dała wam jego łaska... Czyż nie pragnęliśmy wszyscy wolności!... Czyż nie w imię wolności zgromadziłem was, pobudzałem do pracy i wytrwania?... Kiedyż to mówiłem wam, że będzie wam lepiej, że lepiej będziecie mieszkać, smaczniej jeść, dłużej spać, skoro zwiążecie się w sprzysiężenie, karane torturą i minami!... Zaiste moglibyście mnie uważać za ostatniego w tym wypadku głupca... Nie, nie dlatego zgromadziłem was, nie dlatego sam kłamałem, poniżałem duszę mą, obcując z wyrodkami tego świata, nie po to wprowadziłem w błąd szlachetne, miłe mi serca... abyście tłusto jedli i miękko spali! O, nie! Bo chociaż sprzyjam wam, jak w ogóle sprzyjam ludziom udręczonym, lecz duszy mej za całość waszego obuwia i sytość waszego brzucha nie oddam i nie winieniem jej oddawać... I nie dlatego miłuję was, żeście ciemni, ubodzy i udręczeni, lecz dlatego, miłuję was, że z waszą pomocą tylko mogę stać się wolnym, czyniąc i was wolnymi!... Tak, jesteście mymi towarzyszami dlatego, że idziecie razem ze mną do wyzwolenia, do panowania nad swym losem, do zniszczenia raz na zawsze wspólnych dla wszystkich krzywd, raz na zawsze powtarzam... Czy nie tak?

— Tak, tak... Śmierć zdrajcy! — zahuczał tłum.

— Co się tego tyczy, to pozwólcie niech zdecyduje Rada. Zbyt jesteście wzburzeni, aby rzecz tak ważną jak śmierć niedawnego waszego przywódcy spokojnie rozważyć. Pozwólcie więc, że rozważymy to my, wybrani przez was, w cichości, tu w sąsiedniej komnacie, i rezolucję wyniesiemy wam niezwłocznie. Wy zaś tymczasem rozejdźcie się do domów i znieście tutaj natychmiast wszelką broń, jaką macie, i wszystko główniejsze, co kázano wam przygotować do drogi... Albowiem chwila stanowcza może już jest bliska! Odprowadźcie więźnia do lochu!... — zwrócił się do straży.

— Słuchaj, Beniowski, słuchaj!... Nie wiedziałem, że jesteś żonaty... Daruj!... Dlaczegoś mi przedtem tego nie powiedział?... Jakże żałuję... Teraz rozumiem wszystko!... Jakże inaczej potoczyłyby się wypadki... — zagadał rwącym się głosem Stiepanow, ale Beniowski skinął i więźnia wyprowadzono.

Cała Rada, za wyjątkiem Panowa, zebrała się w szkolnej świetlicy.

— Cóż pocniemy? — zagaił Beniowski obrady po chwili milczenia. — Z wielu względów chciałbym uniknąć stracenia Stiepanowa.

— Tym razem nie uda się. Wina jego jest zbyt widoczna!... — westchnął Chruszczow.

— Wtedy chodziło głównie o ciebie, Beniowski, mogłeś mu przebaczyć lub nie, obecnie przewinił przeciw całemu sprzysiężeniu!... — zauważył surowo Baturin.

— Lepiej niech zginie jeden, niż pięćdziesięciu — powtarzał uparcie Kuźniecowa. — Gdyby udał się mu występny zamiar, co by się stało?... Sądny mielibyśmy dzień!... Pasy by z nas w tej chwili darto w katowni!... Powinien czuć się szczęśliwym, że z niego drzeć ich nie będziemy.

— A jednak trzeba go ocalić, choćby ze względu na Panowa, dzielnego i wiernego jak rzadko towarzysza!.. — nastawał Beniowski.

— Wszelkie związki krwi milkną wobec takiej zbrodni!... Słyszałem, jak sam Panow żądał jego śmierci!... I co byłby wart, gdyby myślał inaczej! — zapalczywie dowodził Kuźniecowa.

— Wiemy jednak, że jest bardzo do krewnego przywiązany, uważa go poniekąd za syna!..

— Tym bardziej!... Zgniótłbym własnymi rękami takiego gađa, gdybym go znalazł w swym gnieździe!..

— Zemsta nie powinna mieć miejsca w spra-

wach ogólnych. Ona równie często je gubi, jak niewczesna pobłażliwość. Zimno rozważmy, jakie korzyści da nam jego śmierć, i jakie grozi nam z tego niebezpieczeństwo!

— Zniknie człowiek, który zna nasze tajemnice a życzy nam źle. Chytry niegodziwiec, który zawiódł nasze zaufanie...

— Powtarzam, że możemy go obezwładnić, odosobnić, otoczyć strażą.

— O wierz mi, Beniowski, że najlepiej milczą umarli!.. Dlaczego tak bardzo pragniesz go ocalić? — wybuchnął Kuźniecowa.

— Zreżtą co powiedzą inni!... Słyszeliście już, jakie robili nam zarzuty? Co? Może więc nasza pobłażliwość ostatecznie zdemoralizować wielu i przyspieszyć szkodliwe dla nas rozwiązanie sprawy... — zauważył Gureynin.

— Śmierć Stiepanowa przyspieszy je tym bardziej! Naczelnik i przybocznicy jego urzędnicy myślały, że choćby tu o oszalałego z zazdrości i nienawiści ku mnie zalotnika. Przypuszczają, że ukarujemy go najwyżej chłostą lub zamknięciem. Nie dali nam prawa miecza, bo i sami go nie posiadają!... Toć każdy wyrok śmierci tutejszej władzy musi zatwierdzić generał-gubernator! zniknięcie Stiepanowa może groźne wprost dla nas mieć następstwa.. Jestem stanowczo przeciwny jego zgładzeniu! Ze względu jednak na powszechne wzburzenie a również dla nastraszenia i przełamania przestępcy, proponuję, aby dać mu silną dawkę lekarstwa na wymioty, które by on uważał za objaw otrucia... Będzie to zupełnie wystarczająca kara, a uratowanie jego od mniemanej śmierci da nam dostateczny powód do ulaskawienia. Następnie wszystko się przewlecze, a nim chory przyjdzie do siebie, ruszą lody na rzece i odpłyniemy swobodnie!

— Jest to środek dobry, lecz okrutny i dla nas trochę poniżający!... — zauważył Baturin.

— Cóż robić, przyjacielu, czyż nie gorzej będzie, jeżeli go zabijemy?... Bóg świadkiem, że to, co mówię, jest najprostszym i najkrótszym wybiciem!... Niech odpowiedzialność zań spadnie wraz z tyłoma innymi na moją głowę. Słyszeliście przecie cały szereg stawianych mi zarzutów. Sądzę, że nie będzie ten zarzut największym!... — uśmiechnął się Beniowski.

Projekt został przyjęty: Meder dobył lekarstwo z przygotowanej apteczki podróźnej, odważył ilość potrzebną i zabrał ze sobą w papierku.

Gdy Rada weszła ponownie do wielkiej sali szkolnej, zastała ją już znowu zatłoczoną spiskowcami, jak w początkach zebrania. Dym od łuczywa i kaganków wprost gryzł oczy, zepsute powietrze chwyciło za gardło, czerwone przyćmione płomyki świateł ledwie płonęły. Ze względów ostrożności nie otwierano okien ani drzwi i zebrani, znużeni i sposepnieli, czekali niecierpliwie w ścisku i zaduchu na wyrok.

Wprowadzono Stiepanowa i kazano mu zdjąć z rąk pęta.

— Przyznaj, iż obchodzono się z tobą, Hipolicie Aleksiejewiczu Stiepanowie, bardzo względnie! — zaczął uroczyście Chruszczow.

Po czym wyliczył cały szereg dobrodziejstw i ulg, z jakich korzystał obwiniony, dzięki zasługom dla sprawy wygnańczej wuja swego, Panowa. Wspomniał zatarg z Ziablikowym, niecne oszczerstwa rzucane na Beniowskiego, oraz inne drobne, brzydkie nadużycia.

— Ale ostatni twój występek przeszedł wszelką miarę i Rada skazuje cię na śmierć!

— Na śmierć... — powtórzył Stiepanow. —

Na śmierć!... A ja myślałem właśnie, że teraz, kiedy wiem...

Pobladł, zachwiał się i pochylił na ręce Pano-
wa.

— Tchórzez nikiemny!... — gromił go ten, ale widząc, że Stiepanow leży bezwładny, zawołał przejmującym głosem:

— Umiera... serce pękło!... Umarł!...

Przypadł Meder i zaczął trzeźwić omdlałego octem i „amoniacką” solą. Wśród zebranych powstał ruch.

— Czego go trzeźwiecie? Niech ginie pies podły!

— Oho! Dlaczegoż to tak po prostu!

— Musi wysłuchać wyroku, do końca!...

— Niech mu wszystko wyczytają, co zrobił, niech wie! — ozwały się głosy.

Chruszczow szybko pisał wyrok na rogu stołu. Meder podsunął skazańcowi przygotowany kubek. Gdy nieszczęśnik otworzył oczy i ujrzał go przed sobą, znowu zmysły postradał.

— Gachu przeklęty, co masz odwagę zadzierać jeno białogłowskie spodnice!... — zasyczał Panow, chyląc się nad nim z obnażonym sztyletem. Ben-
niowski schwycił go za rękę.

— Co robisz, Pawle, zastanów się!

— Idź precz!... Mam prawo żądać, żeby choć w ostatniej chwili nie kalał rodowego naszego imienia!

— Słuchaj: on żyć będzie!... Upewniam cię!

— Wolej, żeby umarł! Nie wiadomo, co jeszcze od niego nas czeka!... — odrzucił zapalczywie.

— Pozwólcie.. pozwólcie mi raz jeszcze przed zgonem... zwrócić się!... — zaczął głuchym głosem Stiepanow, dźwigając się z trudnością.

— Milcz, milcz, psie!... Zdrajco!... Pij!... — rozlegały się głosy.

— Niech mówi!... Każdy ma prawo przemówić ostatni raz przed śmiercią!... — wołali inni.

— Niech mówi!... — rozkazał Beniowski.

Stiepanow zwrócił ku niemu trupią twarz i padł na kolana z wyciągniętymi rękoma:

— Łaski!... Łaski, najwspaniałomyślniejszy z ludzi!... Zaiste nie jestem godzien... Jako nędznego... robaka... rozdeptać mię winienesz... Ale zważ, że skoro nie będziesz... że skoro ona... nie będzie nigdy... nie ma powodu... Nieszczęsna moja nienawieść w najwierniejszą zamieni się miłość!... Zostańę czym chcecie... kuchcią... oprawcą... czyścicielem okrętowych ustępów... jeno błagam... łaski!... Wywieźcie mię na jaką wyspę bezludną i rzućcie, ale... pozwólcie mi odkupić... winy moje, zmazać hańbę moją... Wszak życie całe jeszcze przede mną... Wszak mam zaledwie trzydzieści pięć lat... trzydzieści pięć... O ludzie! Rodacy... Nie każcie mi ginąć tu w ziemi niewoli... tak młodo! O Beniowski, miłościwy panie, mądry wodzu nasz... przebacz, iżem śmiał się targnąć... nawet oczy podnieść na ciebie!... Słońce dobroci i honoru!... Czyż chcesz splamić ręce twe krwią najnędzniejszego z ludzi!...

Popęłzał na klęczkach za Beniowskim, który się cofał. Aż znowu omdlał.

— Dosyć, dosyć!... On istotnie umrze!... — zawołał Beniowski.

-- Umrze ze strachu!... — powtórzono w tłumie. — Co za tchórz!...

— Wziąć go i niech Meder puści mu krew natychmiast!... — rozkazał Beniowski.

Kilku litościwszych spiskowców pochyliło się nad nieszczęśnikiem i przeniosło go na ławę. Meder zbliżył się z lancetem i obnażył mu zeszytniałe ramię. Gdy struga czarnej krwi popłynęła w miednicę, spiskowcy zaczęli się rozchodzić.

Beniowski uspokoił Panowa, powiadamiając go o postanowieniu Rady.

— Pozwolisz jećnak — zakończył — że w mieszkaniu twoim postawimy przy nim osobną straż. Ciebie, twą szlachetną otwartość on zna zbyt dobrze i łatwo wyprowadzi cię w pole. A przyznasz, że nie możemy już wierzyć mu obecnie!...

— Ależ słusznie!... Sam o to prosić chciałem. Co za niepoń!... A wiesz, Beniowski, co on mi przed paru dniami mówił?... Otóż ni mniej ni więcej, jeno chciał osobno na swoją rękę córkę naczelnika gwałtem porwać, ośwładnąć jakim okrętem i uciec... Zmówił się w tym celu z Łoskarewym, Izmailowym i sześciu majtkami, których upewnił, że zająłeś się wyłącznie osadą rolniczą, że uciekać już nie myślisz, w czym powoływał się na świadectwo Wołodimirowa i Puszkarewa.

— Dlaczegoś mię o tym nie powiadomił?

Panow zmieszał się, głowę opuścił, ale po chwili podniósł się i spojrzał w oczy Beniowskiemu.

— Ha, źle zrobiłem. Widzę to teraz i to się już nie powtórzy, ale...

— Nie wierzyłeś mi... co?... Ach, Panow, Panow!... Nie daleko w ten sposób ujedziemy.... Każdy na swoją rękę...

— To się już nie powtórzy! — rzekł znowu twardo oficer. — Bądź pewny!... Zresztą poprzysięgli mi, że nie bez mej wiedzy nie przedsięwzma miałem więc zawsze możność zwrócenia się w ostatniej chwili do ciebie, co też doprawdy zamierzalem uczynić...

Znowu spojrzał twardo w oczy Beniowskiemu, a widząc, że ten kiwa z rozżaleniem głową, chwycił go za rękę.

— Tak, to prawda, że to już po raz wtóry! Ale przysięgam ci, że po raz trzeci... już nie stanie się! Oficerskie słowo! Przeniknąłem do głębi tego

kłamcę Stiepanowa... Już mu się więcej mię uwieść nie uda, nie uda... Twoja wspaniałomyślność.. doprawdy... ty jesteś... doprawdy! — mruczał coraz niewyraźniej, z trudem kryjąc wzruszenie.

XXXVI.

Z niemalym zachodem udało się Beniowskiemu ochronić Stiepanowa od gniewu naczelnika i naczelnikowej. Iwan Piotrowicz koniecznien chciał winowajcę wysłać do odległych ulusów i odroczył to jedynie na usilne prośby Beniowskiego do czasu wyzdrowienia przestępcy. Siedział więc Stiepanow pod silnym nadzorem w mieszkaniu Panowa, nosa stamtąd nie śmiejąc wychylić.

Tymczasem wiosna zbliżała się w szybkim tempie. Pod ciepłymi promieniami słonecznymi, pod wilgotnym tchnieniem południowych wiatrów rwał się i nił w oczach prawie gruby pokrowiec śniegów na ziemi. Schły i kruszyły się wyłamujące spod nich wojłoki zeszłorocznych traw, zielona ruń wytryskała z czarnoziemiu często tuż obok topniejących strzędów lodowych. Pączki drzew, nalane pachnącymi sokami, cicho otwierały swe łuski pod pieszczotą złotych promieni. Na haliznach gliniastych, wygrzanych, na południowych wystawach pagórków zakwitły łąny bladożółtych pierwiosnków i ametystowych krokusów. Rwał brzegi, szumiała woda, ciepłe jej zalewy omywały coraz szerzej chylizny, wypełniały zamulone wgłębienia ziemi, jakby siląc się zmyć w nich ślady zimowego ucisku. Wartko płynęły potoki wśród korzeni drzew i krzewów, niosąc im nowe soki bogate, ożywcze. Prostowały rozkosznie zarośla zwątlące do niedawna pędy: połyskiwały żywą, ciepłą barwą wczoraj jeszcze przymierzchłe pnie srebrnych

brzóz, złotych sosen i brunatnych modrzewi...

A w głębi niebios, pełnych płynących chmur i ruchu wiatrów, szumiały skrzydłami niezliczone stada ptactwa. Ich niespokojny gęgot, krzyki, świstania dzień cały przelewały się nad ziemią falą radosną, milknąc jeno w czas krótkiej, jasnej nocy.

Kto żył w mieście i okolicach, chwycił za broń i biegł na brzegi jezior, na piaszczyste przylądki morza i rzeki, szczególnie ulubione miejsca wytchnienia przelotnych gości. Furkotały strzały z łuków, huczały rusznice, mącąc i przerywając na chwilę rozlewną pieśń miłości i wesela. Lecz na krótką jeno chwilę śmierć zwyciężała je, na mgnienie oka, gdyż taką jest potęga radującego się życia!...

To powszechne zajęcie się polowaniem było bardzo na rękę spiskowcom, gdyż pozwalało im niepostrzeżenie czynić tysiące drobnych przygotowań do zbliżającej się wyprawy. Wszyscy byli dobrej myśli, a zapewnienie, że dwunastu zaprzysiężonych zostało już zaliczonych do załogi „Ś-go Piotra i Pawła”, nie budziło już żadnych obaw co do możliwości zawładnięcia okrętem.

Jako piorun więc spadła na spiskowych wieść, że Czurin, z którym prowadzono szczęśliwie układy, rzeka się niespodzianie dowództwa statku. Przyniósł tę wiadomość Kuźniecowa, a był tak zmieszany, że nie mógł nowiny ukryć przed bawiającymi właśnie u Beniowskiego związkowcami. Gospodarz wszakże nie dał mu dalej mówić, lecz wzięwszy pod ramię, poprowadził natychmiast do sąsiedniej świetlicy.

— Zastanów się, co robisz?... Masz minę, jakbyś ręce chciał na siebie nałożyć, a tymczasem rzecz cała może się da jeszcze naprawić!

— Nie się nie da naprawić!.. Okazuje się, że Czurin ma szpetny proces w Admiralicji, który

nagle wznowiono: jeżeli go przegra, to pójdzie do min. Więc wzbrania się jechać do Ochocka i robi starania, żeby go naznaczono gdzie indziej... Tymczasem już nasi ludzie zapisali się na ten okręt i wszystko... w łeb bierze! Nie ma rady i Czurin tu nie nie winien! Okrętu Czurinowi nie zawierzą, skoro będzie pod sądem, a i władza go z portu nie puści... Chyba by ktoś dał za niego kaucję 3.000 rubli i wyrobił abszyt!... Ale o tym marzyć nie podobna... W naszym skarbcu, o ile wiem, nie ma nawet dwóch tysięcy, a wydatków moc... Nikt zaś inny nie zgodzi się na warunki przyjęcia ludzi i towaru na statek, na jakie już przystał Czurin, nikt nie będzie taki przyjazny i powolny... Całą zimę pracowałem, żeby sobie jego zaufanie zaszkarbić... A tu... licho nadało!... — zaklął wstrzeмиęzliwy zwykle Kuźniecowa.

— Cóż to za sprawa?... — spytał po dłuższym namyśle Beniowski.

— Ciężka sprawa o jakiś bunt... Dobrze nie wiem... W dodatku rozmiłował się on tu w pewnej panience i z tej okazji nie chce jechać i na niepewną narażać się przygodę...

— O cóż chodzi?... Niechby ją z sobą zabrał! Przecież dobrze wiesz, Kuźniecowa, że nie do Ochocka popłyniemy!...

Milczał przez chwilę zdumiony kupiec, wreszcie odparł:

— To prawda!... Nie przyszło mi to do głowy! Ale ja mu przecież tego powiedzieć nie mogę... Wystraszy się i da znać jeszcze do urzędu, aby swoją wolność okupić!

— To da się zrobić!.. Ty go tylko namów, żęty szukał u mnie porady i opieki, żeby stan swych interesów szczerze mi przedstawił.

— I cóż mu powiesz?... Bo jeżeli on się nie zgodzi, to ja muszę zawczasu wiedzieć. Porobiłem

już pewne kroki u Agafii Matwiejewny. Ona umiera z trwogi, ale zgadza się. Zamówilem u Czurina miejsce na okręcie dla siebie i dla niewiasty. Musiałem nakłamać, że inna jedzie. Bo jakby dowiedział się, że to sekretarzowa bohduka, umarłby z samego strachu. Więc powiedziałem, że to Kuźmianka. Jest tu taka córka kozaka Kuźmy, lekkich obyczajów dziewczyna... Bo przecież Czurin wie, że jestem kawalerem, a inna nie pojedzie... Wszystko więc się gmatwa... wisi na włosku... Nowosilow chytra bestia, widzi skroś ziemię... Zazdrośny, kat... szkoda, że nie mogę ukręcić mu łba przed odjazdem. Trzyma nieszczęśnicę za siedmiu zamkami i takim ją strachem napawa, że od zmysłów odchodzi biedaczka, gdy przypuszcza, iż może się wydać... Nie chciała się zgodzić... Musiałem jej powiedzieć, że ty całą sprawę prowadzisz, wtedy dopiero...

— Zupełnie niepotrzebnie! Ale stało się... Biegnij więc do twego Czurina i zrób tak, żeby był u mnie dzisiaj wieczorem...

— Biegnę!... Boże mój, jakże się wszystko płacze! Zdaje się czasem, że nigdy nie dojdziemy do końca...

— Ech, Kuźnieców, Kuźnieców! Miałem ciebie za najdzielniejszego!...

Kupiec zamyślił się znowu.

— Ha, może i jestem!... — odrzekł bez cienia przechwałki. — Tylko, widzisz, nie każdy jest taki jak ty... doszły!... I od razu mu wszystko do głowy przychodzi!... Ja muszę się namyślić... A może to lepiej, bo, gdyby takich jak ty było więcej, świat by się zawalił!

Uściskał Beniowskiego za rękę, czapkę na uszy wsadził i ruszył ku drzwiom.

Po obiedzie uprzedził Beniowskiego przez umyślnego, że Czurin niebawem przyjdzie. Beniowski

kazał Jędrzejowi nastawić samowar i przygotować herbatę, a na straży postawił spiskowców, żeby doń nikogo w tym czasie nie puszczali prócz Czurina i żeby im nikt nie przeszkadzał.

Wpół godziny potem zatrzymały się przed szkołą sanki i Czurin dość nieśmiało wszedł na schody ganeczku. Beniowski ukazał się w sieni i, po krótkim wzajemnym zapoznaniu się, zaprosił gościa do świetlicy.

Przybyły był średniego wzrostu szczupławy blondyn z twarzą jećnostajnie ogorzałą, z jasnymi oczami i rzadkim jasnym, jakby wypłowiałym zarostem. Usiadł na brzeжку krzesła, trzymając w ręku swój marynarski kapelusz i, po kilkakrotnym chrząknięciu, zaczął cichym głosem:

— Wybacz pan, że choć nieznajomy, ośmielam się nachodzić szanownego pana, lecz powiedziano mi, że ma pan coś załatwienia jakoweś interesa i zakupy w Ochocku... Będąc komendantem okrętu „Ś-go Pawła i Piotra”, rad jestem, iż mogę ofiarować panu swą pomoc w sprawie tak ważnej dla ogółu, jak założenie pierwszej rolniczej w tym kraju kolonii. Wszelkie polecenia z największą pilnością wykonam i z największą też ochotą... Mogę czcigodnego pana upewnić, że...

Zakończył jednym tchem, śpiesząc się i płacząc w widocznie przygotowanej przemowie.

— Wybornie się składa!... — odparł żywo Beniowski. — Nie tylko potrzebne mi są narzędzia i sprzęty, których tu dostać nie mogę, lecz ze sprawozdania magazynów rządowych wnioskuje, iż nie starczy ani mąki, ani soli moim osadnikom zwołanym i z Niżniego i z Wierchniego, i z wielu ulusów. Zanim zaś zbiory nasze się objawia, musimy żyć kupionymi wiktuałami. Gdyby więc szanowny pan zechciał podjąć się zakupu tych towarów według przedstawionej specyfikacji, wołelibyśmy polecić

to panu, niż kupcom, którzy nie omieszkają nałożyć na przedmioty cen znacznie wyższych dla pokrycia swoich procentów. A będzie tego pewnie za parę tysięcy rubli, które w chwili spisania umowy zostaną panu z kasy osadniczej wypłacone. Wzamian za tę usługę i życzliwość żywioną dla nas, gotowi jesteśmy panu okazać wszelką pomoc w jego osobistych sprawach...

— Cóż ja... ja nie! Doprawdy taka drobnostka... — bąkał oficer, rumieniąc się na całej twarzy.

— Szanowny panie, zapewne, że i my niewiele możemy, ale... mamy już jaki taki kredyt i poparcie u władzy... Są to rzeczy, których przeceniać nie należy, lecz... sam byłem marynarzem, wiem dobrze, jak to często między jedną i drugą wyprawą zachodzą trudności niespodziane, które łatwo znikają dopiero w obrotach samej nawigacji.

— Ha, ha! — rozśmiał się Czurin. — To prawda: w obrotach samej nawigacji!...

Na pięknej chińskiej tacy lakowej wniósł Jędrzej wspaniałą zastawę do herbaty, słodycze, ciasta, cukrzone owoce. Nieśmiało brał Czurin grubymi palcami cieniuchne porcelanowe filiżanki, pełne aromatycznego płynu, niezręcznie nabierał małymi srebrnymi łyżeczkami konfitur z kryształowych słoików.

W tym czasie Beniowski opowiadał swobodnie jakąś przygodę ze swej żeglugi po morzu Niemieckim.

Suto dołany do herbaty rum rozwiązał wreszcie usta gościowi. Zaczął zająkliwie uskarżać się na zawiść i niesprawiedliwość ludzką, jako to mu ni by przyjaciel, kapitan Lewaszow, podstawił nogę w Admiralicji i, zwałając własne winy na niego, oskarżył go o zbuntowanie załogi na okręcie „Św. Katarzyny”, gdzie Czurin służył za pomocnika kapitana w czasie wyprawy 1769 r.

— Nawet świadków fałszywych postawił, najgorszych pijaków i nieponiów spośród majtków wyszukał i podkupił... A wcale tak nie było... Przeciwnie, ja od razu dowodziłem, że okręt chyli się i jest w niebezpieczeństwie rozbicia, bo balast został przez niego, przez Lewaszowa, który był drugim pomocnikiem, źle załadowany... w pijanym stanie. I właśnie z tego poszło rozbicie statku na barze rzeki Bolszej i śmierć kapitana Krewicyna, zmytego przez fale. Ale on dowodzi, że to ja... a że ma romans z Niemką Schmitową, żoną komendanta portu, więc mu wierzą!

Długo mówił, rozgadany do niemożliwych granic, otwierając admirałickie i swoje własne sekreta, aż przerwał mu Beniowski w odpowiednim miejscu, że chociaż słuszność zupełna po jego stronie, zręczni wrogowie skorzystali z jego uczciwości i obstawili go, jak to z opowiadania widać, tak chytrze formalnościami, iż wątpliwa rzecz, aby mu się udało sądu i kary uniknąć.

Zbladł Czurin i blade oczy na Beniowskiego wytrzeszczył.

— Juściż! Sam to czuję, że mię oplątali. I właściwie przyśzedłem tu, do wielmożnego pana, po radę i pomoc... Udam chyba chorego i tym samym inny mię w komendzie „Piotra i Pawła” zastąpi!

— Mało to pomoże. Jest to jeno zwłoka a nie ratunek. Admiralicja bowiem, widząc, iż pan nie powraca, rekwirować niechybnie gubernatora kamczackiego będzie, iżby cię wydał i pod strażą do Ochocka przystawił. Musi on przychylić się do tego żądania, a tak zyskasz pan kilka miesięcy na tym wybiegu, ale prędzej czy później interesa pańskie w gorszym niż przedtem znajdą się stanie!

Zakrył biedny oficer twarz rękami i nuż jęczeć i przeklinać swoją dolę:

— Gdybym był sam! Niechby tam już raz się stało, co się stać ma! Dziś bym dni moje zakończył... Nie raz śmierci zaglądałem w oczy... Ale związałem się tu z pewną... panienką, której losy ode mnie zupełnie obecnie zależą, gdyż zaufała mi całkowicie. Co więc czynić!? Co czynić!... Chyba, że pan ulituje się i weźmie mnie do swej kolonii, gdzie ukryję się do czasu, aż w razie powodzenia uzyska pan powszechne dla wszystkich osadników wszelakich win przebaczenie. Albo porwę dziewczynę i ucieknę z nią... na wyspy Aleuckie, albo jeszcze gdzie dalej!

— Powoli, powoli, Wasyli Grzegorzewiczu!... Nie ma co jeszcze tak rozpaczać!.. — pocieszał go Beniowski. — Przede wszystkim jeszcze na was nie wydano wyroku, nawet mało kto wie o waszej sprawie. Należy więc to wszystko jak najdłużej, w jak najgłębszej zachować tajemnicy. Dlatego nie tylko pan nie powinien składać komendy statku, ale owszem szykować wszystko tak, jakbyś miał zamiar z pierwszymi zaraz łodami wyruszyć. O wszystkim, co się stanie, staraj się mnie natychmiast zawiadomić, a ja ze swej strony wybadam u naczelnika kraju wszystko, co się da o pańskiej sprawie i względnie do tego naradzimy się co robić. Być może, że się tu na miejscu uda całej sprawie łeb ukreć!...

W miarę jak Beniowski mówił, Czurin nabierał otuchy, patrzył na wygnańca wniebowziętymi oczyma, mrugał zaczerwienionymi powiekami i nawet się uśmiechał.

— Skoro pan weźmiesz się do tego, to rozumie się... Już czuję się zbawion. Wdzięczność moja niewolnikiem mię uczyni pana po wsze czasy. A teraz już muszę odejść, gdyż czekają na mnie!

Gdy po uniżonym pożegnaniu wyszedł do sionki, Beniowski zawołał nań nagłe od proga:

— Panie Czurin, wróć pan na chwileczkę!...

Marynarz zatrzymał się z błyskiem nowego strachu w oczach.

— Widzi pan — zaczął Beniowski, wychodząc za nim. — Zapomniałem zupełnie, że pan może być obecnie w kłopotach pieniężnych. Ponieważ bardzo nam chodzi o załatwienie tanio i dobrze naszych zakupów w Ochocku, więc może jako zaćątek weźmie pan... pięćset rubli. Pewnie wyprawę musi pan narzeczonej na drogę kupić... Mało białogłowa na statku znajdzie odpowiednich dla siebie rzeczy i wygód!

Podał gościowi sakiewkę brzęczącą złotem. Ten zdumiony długo patrzył na nią z nieufnością, po czym nagle pochylił się i pocałował w ramię Beniowskiego.

— Pan... pan... nie tylko szlachetny... pan... dobry!... Nie zapomnę... Istotnie w wielkim jestem kłopotcie!

Rozstali się, mocno uściskawszy sobie dłonie.

Zaledwie sanki Czurina znikły za zakrętem drogi, już wpadli do Beniowskiego spiskowcy, czekający u Chruszczowa na rozwiązanie tak ważnej sprawy. Beniowski jednak nie kwapił się wtajemniczać ich we wszystkie szczegóły, ograniczył się jedynie do zapewnienia, że sprawa jest na najlepszej drodze.

— Więcej nie mogę na razie wam powiedzieć... Musimy być nad wyraz ostrożni, a wy musicie mi ufać. Najmniejszy rozgłos zgubi nas. Jestem pewny, że cała ta historia ze Stiepanowym jeszcze się nie skończyła i że lada chwila możemy być zmuszeni do najbardziej hazardownych kroków!

— Cóż wtedy zamierzasz czynić? — zapytał się Panow.

— To się zobaczy! Obecnie nie przewidzieć się nie da... Zależy od okoliczności, od przeciwników...

Nie wiadomo jeszcze w jakich warunkach i gdzie będziemy zmuszeni przyjąć walkę. Ale zwycięża ten, kto gardzi śmiercią. Tuszę, że każdy z wygnańców dotrzyma przysięgi, a wtedy pierzchną nikiemni najemnicy. U szlachetnych na równi ze swobodą — śmierć chwalebna! Nikiemności jurgielnika — popłoch i uciezka odpowiada! My bronimy życia swego, oni jedynie swych urzędów i majątności. Upewniam was, że czuwam wciąż nad wszystkim, że użyłem wszelkich sposobów i mam niezbitą nadzieję, iż o każdym kroku rządu powiadomią nas w porę. A byleśmy tylko kilkanaście do przygotowania mieli godzin, w zakład głowę mam stawiam, iż zamku i garnizonu zostaniemy panami, co gdy się uskuteczni, wówczas miasto musi nam się poddać, będąc zewsząd wystawione na ogień forteczny.

— Tak więc dalece!.. Myślisz o zdobyciu miasta? — zapytał pobladły Baturin. — Wstępnym bojem?... Co? Cóż więc znaczyły wówczas twoje zapewnienia pokojowe i odrzucenie moich projektów!

— Gdyby szło wszystko tak, jak przypuszczaliśmy wtedy... Ale kto przewidział zdradę tyle? A co jeszcze będzie, nie wiadomo!..

— Zapewne, nie wiadomo!.. Któż również rzeczy, że ci twoi przyjaciele wśród rządu uwiadomią cię w porę o zamachu?... Kto oni są?... Czy można im tak bezwzględnie zaufać?...

— Kto są, to moja rzecz!.. — odparł chłodno Beniowski. — Wymienić nazwisk nie mogę. Przekonałem się, że najcichszym głosem wypowiedziana tajemnica dziwnym jakimś sposobem przesiąka tutaj przez ściany. Dla waszego więc bezpieczeństwa, dla powodzenia sprawy, żądam raz jeszcze bezwarunkowego posłuszeństwa i zaufania... zaufania i raz jeszcze zaufania!..

— Czujesz chyba, że go posiadasz w zupełności!... — gorąco podchwycił Chruszczow. — Chodźcie, przyjaciele, niech Beniowski idzie do Niłowa, bo już wieczór i tylko patrzeć jak po niego przyślą... Niech rzadziej nas widzą razem z sobą ci wysłańcy!...

Cały wieczór spędził Beniowski u naczelnika, opowiadając mu to o swoich planach, dotyczących się rolniczej kolonii, to wysłuchując uwag i projektów, co do wykończenia budujących się dla niego domów, oraz rolniczych narzędzi i sprzętów, potrzebnych na nowym gospodarstwie. Wszyscy również z natężoną uwagą wysłuchali ponownego opowiadania o zatargu ze Stiepanowym, o jego szaleństwie, o pojedynku i zradzieckim zamachu pistoletowym.

— Już ja mu dam!... Niech się tylko z choroby wyliże!... — wołał Niłow, stukając twardym palcem po stole.

— Ze ślubem wszystko się skończy!... — uspakajała go Marta Karłowna.

Beniowski milczał, rad, że będzie miał czym trzymać na wodzy Stiepanowa i jego cichych stronników.

Wrócił do domu po północy.

Cały następny ranek strawił na robieniu z doktorem Mederem petard do wysadzenia w potrzebie bramy forteczki, lub drzwi do składów oraz kancelarii. Po czym odwiedził Stiepanowa. Gorączka ominęła już chorego: poznał Beniowskiego i natychmiast zaczął uniżenie mu schlebiać, przysięgać wierność, obiecywać wdzięczność bezgraniczną. Beniowski udawał, że wierzy, upewniał go, że zapomni już niedawne przewinienia i skoro się nie powtórzą, nie nie przeszkodzi powrotowi dawnej jego dla Stiepanowa życzliwości...

— Wobec jednak gniewu Niłowa, musisz do

czasu pozostać w mieszkaniu i pilnować łóżka, a straż na zewnątrz strzec cię musi!... — zakończył rozmowę.

Stiepanow skrzywił się, lecz nie mógł nie usłuchać.

Przed wieczorem zjawił się u Beniowskiego wezwany przezeń Czurin.

— Otóż wszystko obraca się ku lepszemu, ale po pierwsze: zatrzymasz pan dowództwo statku; po drugie: wiernie spełnisz to, coś obiecał Kuźniecowski; po trzecie: pod pozorem, że statek rozeschnął się i że sący się woda do niego, zawiniesz pan nazajutrz po wyruszeniu z portu do brzegów Łopatki w miejscu, które ci wilią wyjazdu Kuźniecowski wskaże. Tam dowiesz się, co należy robić i co postanowił o twym losie naczelnik kraju. Mam nadzieję, że nie tylko uda mi się proces przeciw panu unicestwić, lecz wyrobić ci nawet rangę rzeczywistego kapitana okrętu. Musisz wszakże poprzysiąc mi posłuszeństwo i tajemnicę do czasu. Pięćset dodatkowych rubli na wydatki bieżące dostaniesz pan zaraz... Siadaj więc pan i pisz pokwitowanie!

Zachwycony Czurin wziął pióro i napisał nie tylko wekśel, ale całe swe zobowiązanie.

XXXVII.

Dnia 30 marca deputacja z dwudziestu pięciu wygnańców z Chruszczowym i Panowym na czele udała się do naczelnika, następnie do sekretarza i komendanta z prośbą, aby chcieli przyjąć tytuł protektorów rolniczej osady wygnańczej. Stamtąd udali się wygnańcy do Zarządu miejskiego, prosząc go o pomoc i wsparcie w założeniu kolonii, którą na cześć naczelnika nazwano „Niłowaja”.

Nazajutrz zarząd miasta odpowiedział uroczy-

ście, że od poparcia materialnego nie uchyla się, zaś przez wzgląd na zacność zamiaru oraz korzyści, jakie spłyną na cały kraj i państwo, postanawia przypuścić do obywatelstwa Bolszowskiego wszystkie dzieci, spłodzone w nowej osadzie, aby w ten sposób mogły odzyskać pełnię praw cywilnych.

Dnia 1 kwietnia Kuźniecowa uwiadomił Beniowski, że statki, używane do żeglugi między Ochockiem i Kamezatką, biorą ładunku najwięcej dziesięć, do dwudziestu beczek. Kazał więc Beniowski natychmiast jednemu ze spiskowych, Salmonowi, przysposobić ich dwadzieścia i wysłać niezwłocznie do Czekawki, pod pozorem, że będą potrzebne do warzenia soli w nowej osadzie.

Właśnie był zajęty wyjaśnianiem szczegółów swego rozkazu, gdy wszedł do izby Grześ i wręczył mu liścik od Nastazji.

— Co się stało?... Czy wszyscy aby zdrowi!?

— zapytał troskliwie Beniowski.

— Nic się nie stało i wszyscy zdrowi! — odrzekł z uśmiechem chłopak. — Ale Nastka lubi piływać!... Nie to, co ja. Lepiej, gdyby to ją posłano do kadetów!... Doprawdy...

— Idź już, idź do szkoły!... Spóźniłeś się. Pan Chruszczow już dawno zaczął lekcję!...

— A ja właśnie chciałem prosić, żeby mię pan dziś uwolnił, bo zmówiłem się z Kieszką Rybnikowym, żeby pójść na gęsi na Ilimski cypel... — wybąkał nieśmiało.

— Hm!... A no, puszcę cię tym razem, skoros obiecał, ale... mówiono mi, że w ogóle mało w tych czasach uczęszczasz do szkoły! Co?

— Ojciec pozwolił!... Przyłot ptactwa niedługo się skończy... Wtedy znowu...

— Wtedy pojedziesz do Ochocka!

— Tak, tak!... Wtedy pojedę do Ochocka! — westchnął chłopak.

Gdy chłopak odszedł, Beniowski rozdarł natchmiasł trzymaną w ręku kopertę.

„Bądź o godzinie trzeciej po południu w domu, muszę się z tobą rozmówić w ważnej sprawie bez świadków.

— Ani słowa więcej, ani pieszczotliwego przydomku, ani wesołego jak zwykle żartu!.. Co to znaczy! Jaka nowa czeka mię niespodzianka!?!... I kiedy się to wszystko skończy?...

Serce mu się ścisnęło jak od ucisku niezabliźnionej rany. Znowu przypomniał sobie cały swój do dziewczyny stosunek od pierwszej chwili, od owego przelotnego widzenia w uchylonych drzwiach.

...„Kocham cię, kocham!... Niewolnica twoja jestem!... Rób ze mną, co chcesz!... Słuchaj, wracajmy zaraz do miasta i spravimy w twym pustym domu nasze gody weselne!...” — szeptał miły głos, lśniły jak gwiazdy agatowe oczy i rozchylały się do pocałunku drobne usta...

— Ha, niech będzie co chce!...

Chodził wzburzony po izbie i zabronił Jędrzejowi wpuszczać kogokolwiek do siebie. Słyszał, jak kłócili się z nim na ganku rozmaici interesanci, lecz czuł, że nie będzie mógł spokojnie sądzić spraw i wydawać rozkazów w swojej obecnej rozterce. Bał się zbliżającego spotkania i zarazem go pragnął... O co jednak jej chodzi?... Zdawało się, że już pogodziła się z koniecznością czekania do... choć do świąt?... Może znowu Stiepanow?... Ależ niedawno jeszcze całował mię po rękach i obiecywał poprawę... Kocha ją, szczerze ją kocha i na pewno ją w końcu swoją stałością zdobędzie!...

Zzymnął się Beniowski i pięść ściśniętą na stół opuścił.

— Ale.. jeżeli niepoń tutaj zostanie, to go stra-

cą za nas, za to, że nie wydał nas... Ostatecznie... Chyba, że wykreśli się swoją słabością... Nie nie wiem i nikomu w tym wypadku wierzyć nie mogę... Porwać zaś ją na okręt nie mogę mu pozwolić, bo wteńy... pościg za nami będzie wścieklejszy... wszystko wcześniej się wyda... Zresztą lepiej, żeby została z rodzicami... zapomni... przeniosą się do innego miasta... wyjdzie tam za męża... Czyż to mało zakochanych rozstaje się na świecie!?!...

Wbrew rozumowaniom niepokój Beniowskiego wciąż jednak wzrastał i za zbliżeniem się godziny trzeciej każdy szelest na dworze wzruszał go niezmiernie. Pod koniec chodził po izbie, cały zamieniony w słuch i uwagę. Zdumiał się więc bardzo, gdy niespodzianie, bez uprzedniego hałasu, otwarły się drzwi i na progu pojawiła się Nastazja. Była bardzo blada i ogromne jej oczy, płonące pod sobolim kołpaczkiem, zdawało się, że wypełniały całą zdrobniałą i wychudłą twarzyczkę.

Postąpił ku niej kroków parę.

— Z kim przyjechałaś?... Nie nie słyszałem!?!...

— Odeślałam sanki z rozdroża i przyszłam piechotą!.. Odeślesz mnie swoimi psami, dobrze!?!...

— Ależ zmęczona pewnie jesteś i nogi przemoczyłaś na roztopach...

— Bynajmniej!... Zresztą to drobnostka!

Chciał zdjąć z niej szubkę, ale odsunęła łagodnie jego rękę, rozpięła jeno pętlice i ciężko usiadła na ławie.

Beniowski stał przed nią, z trudem przeciężając drzenie ciała.

— Cóż się stało?...

— Zaraz!... Ach... Auguście... Auguście... Samuelowiczu! — zakryła twarz i wybuchła nagłym płaczem.

Chwilę płakała tak, aż poczuła nagle, że obejmuje jej nogi, że tuli do jej kolan kochaną głowę.

Więc jedną ręką zakrywając wciąż zalane łzami oczy, drugą położyła na bujnych, zwichrzonych kędziorach narzeczonego.

— Zaliż mię... miłujesz jeszcze?...

Mocniej przycisnął się do jej kolan, lecz milczał. Przyzwyczajona do jego w tych wypadkach milczenia, ciągnęła więc dalej cichym przełzawionym szeptem:

— ..Miłujesz?... Dlaczego więc chcesz mię opuścić?...

Uścisk Beniowskiego zwolniał. Odsunął się, a po chwili wstał. I ona też wyprostowała się na siedzeniu, opuściła z oczu dłoń i patrzyła nań bystro obsychającymi oczami. Stał ciemny, chmurny jak burza: nie widziała go jeszcze takim i poczuła nieznany dotąd przed nim lęk.

— Skądże wiesz?...

— Wiem. Dawno domyślałam się, a teraz wiem na pewno!...

— Skąd wiesz!?!... — powtórzył. — Skąd wiesz!? Musisz mi powiedzieć!...

— To nie ma znaczenia! I nie to mię boli, że uchodzisz, że chcesz porzucić nasze smutne lodowe pustynie i dzikich ludzi tutejszych, że pragniesz wrócić do twoich ciepłych, pięknych krajów, do twoich rodaków ogładzonych i wytwornych, do twoich dostojęństw, do dóbr rozległych, zamków i pałaców... Nie to mię boli, gdyż rozumiem!... — dodała z westchnieniem.

— Co za niewczesny żart!... — próbował sprzeciwić się Beniowski. — Powiedz nareszcie, kto ci go urządził?...

Nie zwróciła uwagi na jego uwagę i ciągnęła dalej głosem cichym, jak żaloszny świegot jaskółki:

— Pomogłabym wam sama, ukrywałabym was bez względu na czekającą mię karę, radowałabym się z waszej wolności... Sama tęsknię doń... ja, niby

pani, a gorsza od was niewolnica, bo przykuta na wieki do miejsca mego przez ojca, przez matkę, przez nieszczęsny mój los! Czyż nie mówiłam ci nieraz, czyż nie widziałeś sam, że rwę się stąd, że cierpię, choć przecie nie zamałam dotychczas nic lepszego nad to, co mam dookoła!... Więc rozumiem i nie dziwię się tobie, wam wszystkim, że ujść zamierzacie!... Nie, nie to mię nawet boli, że mię wziąć z sobą nie chcesz... Być może byłabym zawadą w ciężkiej czekającej was drodze, być może nieobecność moja przed czasem wydałaby wasze przedsięwzięcie!... Nie, nie to mię boli, Maurycy! — szepnęła.

Wstała i spojrzała mu w oczy.

— Lecz boli mię to, że tak... kłamiesz, tak strasznie kłamiesz!... Słuchałam nieraz ze zdumieniem z przerażeniem, patrzałam z trwogą zabobonną, jak na niepojętego z bajki czarownika, jakieś mówił z tą samą łatwością, z tym samym miłym uśmiechem, tym samym przeszywającym serce słodkim głosem, fałsz wierutny, dobrze mi wiadomy, zaprzeczenie prawdzie, którąś sam mi przed chwilą odkrył. I w głowie mi się maciło, i nie wiedziałam już nieraz, gdzie kończy się zdrada, gdzie zaczyna prawda, czemu wierzyć a czemu nie, na co się oprzeć godziwie?... Sama wciągnięta w ten wir, musiałam potwierdzać wbrew wewnętrznemu, zaprzeczeniu, musiałam kłamać, poniżać się. I tyś się poniżał!... To mię bolało i boli nad wszystko!... Bo więcę teraz wyraźnie, że wszystko od początku do końca było chytrze obmyślanym planem, fałszem, łańcuchem kłamstw, udawań, wzorem komedianckiej gry, podczas gdy ja...

Umiękła, opuściła powieki i znowu łzy duże jak groch potoczyły się po jej białych jagościach.

Beniowski stał przed nią, mieniając się na twarzy, która mu pociemniała, poszarzała i stężała

jak lice rozniewanego lwa: miarkował jednak swój głos i swoje wzburzenie i zaczął prawić spokojnie:

— Zastanów się, dziecko moje, zastanów co mówisz? Zali nie rozumiesz słów moich, żądając ode mnie otwartości w takiej sprawie!... Cóżby to było?... Należało albowiem ręce jedynie założyć i pozostać z prawdą na ustach w wiecznej niewoli. I ku czyjej to wygodzie?... Po co i dla kogo? Dla ciemiężycieli?... Mianujesz mię podłym i niskim za użyte fortele wojenne!... Bo to wojna, wojna między uzbrojonym od stóp do głów panem i zupełnie bezbronnym oraz słabym niewolnikiem! Wojna skrzywdzonego z krzywdzicielem, wojna sprawiedliwego z chytrą i okrutną przemocą. Gdyż zaiste błądą igraszką jest i, nawet, — cnotą ów łańcuch rzekomych fałszów, kłamstw, udawań i komedianckiej gry, o które obwiniasz mię wobec tego, co się tu u was dzieje i zwie się porządkiem i prawem!.. Ale i te obowiązują, jeżeli już chcesz, jeno ludzi waszego pochodzenia i waszego poddaństwa! Kto zaś, jak ja, jest z innego ludu, jest wolnym obywatelem niegdyś potężnego, dziś nieszczęśliwego państwa, ten nie winien wam jest nic i żaden środek użyty gwoili wyzwoleniu się nie ubliża jego honorowi. Dezarmowany wódz pobitego wojska, wzięty na placu boju, okryty ranami w nieudatnej imprezie... osoba, którą nawet pogańscy wyznawcy półksiężycy umieli uszanować i rycerskie jej oddawali honory... A cóżeście wy uczynili ze mną?... Co uczynili wasi generałowie, oficerowie i żołnierze, tylekroć zwyciężani przeze mnie, z którymi po skończonej batalii zawsze obchodziłem się po ludzku?... Co uczynili, zapytam?... Oto ociekającego krwią cisnęliście w srogie więzienie, w ciemnicę bez światła i powietrza, gdzie w nieopatrzonych ranach moich leгло się robactwo i pleśń... gdzie je-

dynym głosem, jaki dochodził mię poprzez grube mury, był brzęk łańcuchów i jęki katowanych przez was mych współbraci. Mało tego, dla większej mej udręki, jeszcze okaleczanego i słabego wywlekliście w łańcuchach na plac i kazaliście mi przyglądać się kaźni moich walecznych, szlachetnych żołnierzy, bitych przez was aż do śmierci kijami, piętnowanych rozpalonym żelazem, szarpających obcęgami przez siepaczy za nozdrza, policzki i piersi, za to jedynie, że nie chcieli wam na werność przysięgać, że byli dobrymi synami nieskończenie pokrzywdzonej ojczyzny... A gdy i ja odmówił przysięgi, cóżeście uczynili ze mną?... Czyż wasz pacholek.. i mnie... — ciągnął urywanym głosem — czyż mnie... wycieńczonego chorobą i więzieniem, jako widmo... nie bił... ażem padł bez zmysłów?... Rzucono mię następnie, jako krwawy łachman do żelaznego pudła i powieszono o tysiąc mil bez względu na szalone zimno, na brak odzieży, na niewygody, na litości godny stan mój, wywołany przez dodanie nowych ran do niezgojonych blizn starych... I takich jak ja znajdowałem wszędzie po drodze tysiące... Zaludniliście ziomkami mymi swoje pustynie, zapelnili nimi swoje ostrogi i twierdze, wzmocniliście nimi swoje wojska, zmuszając ich do służenia sobie ku pojarzmieniu innych ludów. Jakoweż prawo macie więc mówić o prawdzie i cnocie? Wy, coście wdarli się w czas pokoju w granice wolnego państwa i chwytaacie każdego cnotliwego, starającego się o poprawę ginącej ojczyzny i wleciecie go na katusze, na zgubę... Wzamian płodzicie zdrajców, przekupujecie ich i wysuwacie ich przewrotnie na czoło narodu, do steru rządów, abyśmy pohańbieni w najskrytszych ostojach duszy naszej zgnili za życia od własnego trądu... Kto zacy wśród nas pewien jest, że nocą nie wpadnie do jego dworku banda waszych

żołnierzy i oficerów, nie wywlecze go z łóżnicy, nie pohańbi mu przed oczami żony i córek, nie osma-ga, nie pomorduje czeladzi i obrońców, nie pokra-dnie albo nie pożga dzieci... nie zrabuje wszystkie-go, nie spali i nie zniszczy i nie odejdzie, zоста-wiając jeno łzy i ruiny!?!... Gorszi niżli pohańce i Tatarowie, gdyż żyjecie wciąż wśród nas, podczas gdy tamci zjawiali się i uchodzili. Nie, zaiste, to nie ja pozbawion jestem praw, lecz wy, wyzuci je-steście z oblicza ludzkiego... I wszystko jest wolno względem was i wszystko jest enotą, co kloni się ku waszej zgubie, albowiem czynami waszymi po-stawiliście się poza granicą społeczności!... Nie bliźnich winien w was widzieć uciemieżony, lecz krwawych tygrysów... I wolen wszelkie brać prze-ciwko wam sposoby i wszystkie są godziwe, jako uświęciliście je po stokroć razy sami niedościgłym w podłości i okrucieństwie przykładem!...

Zatrzymał się, gdyż wydało mu się, że dziew-czyna go nie słyszy, że jest jakby oszalała. Ot-warła jak do krzyku blade jak sama twarz usta, a nieruchome oczy patrzyły nań martwą źrenicą. Gniew i gorycz opuściły go nagle, zbliżył się do niej i wziął ją za rękę.

— Nastazjo Iwanówno — zaczął łagodnie. — Tobie jećnej nie kłamałem... Jeżeli prawdę u-krywał, to tyle tylko, ile potrzeba było dla wła-snego twego i twych rodziców bezpieczeństwa...

W milczeniu podała mu list. Poznał od rzutu oka pismo Stiepanowa. Namiętnymi słowy zakli-nał ją nieszczęśnik, aby zmieniła ku niemu uczu-cie, aby zgodziła się poślubić go i uciec z nim na okręcie, jaki gotuje Beniowski dla uprowadzenia wszystkich wygnańców... Opowiadał szczegółowo plany ucieczki, wyluszczał sposoby, wykazywał fortele użyte dla zamaskowania zamiarów, wyś-miewał łatwowierność władz, mówił szyderczo o

rzekomej kolonii rolniczej... A wszędzie podkreślał chytrość, fałsz, obłudę Beniowskiego, malował go jako potwora w ludzkiej postaci, lubującego się w podłych podejściach.

„On i miłości twej używał jeno za pokrywkę swych planów i drwił z niej w kole swych towarzyszy, opisując śmiesznie najtajniejsze twoje pieszczoty... Dowodził, że miał, do ciebie zawsze wstręt, jako do prostej dziewczki, z którą ślubów nigdy zawrzeć nie myślał i zawrzeć nie mógł, jako już miał prawą żonę hrabinę i od niej prawe potomstwo...” — kończył donosiciel.

Tu zmarszczone brwi i ściśnięte usta Beniowskiego drgnęły: śledząca za nim w milczeniu Nastazja z jękiem opuściła się na ziemię. Pośpieszył jej z pomocą Beniowski dźwignął na ławę, rozpiął stanik na piersiach, zbryzgał twarz wodą.

— Ach, puśćcie mnie, puśćcie!... Pozwólcie niech umrę!... — szeptała, przychodząc do siebie. I odwróciwszy odeń twarz, znowu zalała się łzami. Szloch wkrótce przeszedł w straszne wewnętrzne łkanie, wstrząsające boleśnie wyciągniętym jej ciałem. Beniowski stał bezradny, a po wykrzywionej bólem twarzy płynęły mu niemęskie łzy.

— A jednak... tak nie jest, Nastazjo! — zszeptał. — Też człowiekiem jestem... I gdyby... gdyby tak było... gdybym cię... nie... miłował... Nastazjo... może by było inaczej... może byśmy w tej, oto, chwili... prawie u wrót wybawienia... nie stanęli na progu zguby... Bo gdybym na przykład poślubił cię... byłoby mi o wiele łatwiej ukryć wiele rzeczy... Ślub taki według kanonów mojej religii nie ma znaczenia... Tym bardziej... wymuszony położeniem moim... A przecie nie chciałem... właśnie dlatego, kochana... że...

Urwał, pogładził leciuchno jej rękę.

— Słuchaj, Nastazjo, zniknę niedługo jak zły

sen z twego życia... Młoda jesteś, przebolejesz, zapomnisz... Trafisz na godnego siebie młodzieńca... I wśród was są ludzie szlachetni, kryjący się w cieniu... Nie wątpię, że już nie poślubisz tyrana... lecz... możesz jeszcze być szczęśliwa!...

Dziewczyna usiadła na ławie i spojrzała nań z dołu smutnymi nad wyraz oczyma.

— Nie!... — odrzekła, wstrząsając głową. — To się nie stanie!... Ale ty się nie bój!... Nie wydam was... Rozumiem was... Skoro mnie samej cięży to wszystko, co widzę dookoła, jakże wam, bezwolnym, ciężać musi!... Nawet twą... nienawiść... Maurycy... rozumiem... Tylko my... my przecież... zdaje się... inni...

— Ależ tak, osobiście doświadczyłem od was tylko życzliwości i wierzaj mi, że używałem i użyję wszelkich sposobów, aby rodzinie twej jak najmniej stało się z naszego powodu krzywdy... Zważ jednak, czy mogłem rzec się własnej wolności i uwolnienia tylu nieszczęśliwych za cenę swego osobistego powodzenia... W dodatku należy ci wiedzieć, że powodzenie to niezmiernie kruche: pomijając, że opiera się jedynie na życzliwości i zaufaniu ku mnie twego ojca, co może zmienić się łatwo z byle powodu, lub zostać zniszczone przez intrygi nienawidzących jego i mnie urzędników, pomijając to, łącznie może wypłynąć jakikolwiek ze sposobów już uczynionych przez mnie wielokrotnie dawniej w drodze, gdyż nie zaniedbywałem nigdy okazji do swego uwolnienia, do ucieczki... Takich grzechów zarówno ja jak i moi towarzysze zostawiliśmy poza sobą mnóstwo!... Wykrycie jednego z nich zgubiłoby nas... Czyż mamy czekać, wiesz dobrze na co?

— Ależ nie!... Uciekajcie!... Obiecuję wam ze swej strony pomoc najgorliwszą... Uciekajcie!... Myślę nawet, że musicie uczynić to bardzo niedłu-

go, gdyż wydaje mi się, że ojciec zaczyna się czegoś domyślać... Łażą tam rozmaici i suszą mu głowę... Masz rację, że wśród nas wszyscy prawie są jak urzędnicy i że nie macie w miasteczku przyjaciół... Na wasze wolności, na osłabienie waszego ucisku krzywym mieszkańcy tutejsi na ogół patrzą okiem...

Wstała i gorączkowo zaczęła mu opowiadać rozmaite szczegóły, które udało się jej podchwycić, a które nabawiały ją nieokreśloną trwogą, dopóki nie wiedziała, że istotnie plan ucieczki pokryty jest planem kolonii. Wierzyła w tę kolonię i z oburzeniem odpierała wszelkie zarzuty i wątpliwości: obecnie ocenia ich grozę...

Beniowski, skupiony i pozornie spokojny, słuchał ją uważnie i rozpytywał pilnie o szczegóły.

Przegadali do zmierzchu i w końcu umówili się co do sposobu porozumienia i planu postępowania.

— A głównie strzeż się ty... Bądź ostrożny, nie przychodź lekkomyślnie na *moje nawet* wezwanie, a skoro przyślę ci kawałek wstążki czerwonej... wiedz, że wszystko się wydało! Gdybyś jednak potrzebował uciec się do siły zbrojnej, pamiętaj, — szczerdź ojca! On też według swych pojęć ma rację, pełni wiernie służbę!... Żegnaj, być może, że widzimy się po raz ostatni!... — westchnęła, wyciągając do niego rękę.

Ukląkł przed nią i, objawszy jej kolana, długo tulił do nich swą głowę, wreszcie odepchnęła go ostrożnie i, dusząc łkania rękawem szubki, poszła szybko ku drzwiom.

Beniowski miał wrażenie, że otwarły się wszystkie jego stare rany i krew go uchodzi.

Sergiusz Mikołajewicz Nowosiółow już leżał na pościeli z miękkich poduszek i czekał niecierpliwie, kiedy nareszcie Agafia skończy swe gospodarcze w kuchni zabiegi i zjawi się w łóżnicy, gdy wtem czujnych uszu jego dobiegł dźwięk niespodziewany, coś jak gdyby zatrzaśnięcie okna w opuszczonej niedawno jadalni, a potem rozległy się ostrożne kroki no dworzu wzdłuż ściany domu. Uniósł się na łokciu i nasłuchiwał: dziwne szmery nie ustawały, przyłączył się do nich jakby szept stłumionej rozmowy: więc Sergiusz Mikołajewicz dźwignął się ruchem tygrysim, cichutko wdział miękkie futrzane cizmy, atlasowy, gronostajami podbity szlafrok zarzucił na tłuste plecy i wśliznął się do ciemnej świetlicy. Ostrożnie, nie skrzypnąwszy ani razu podłogą, wstrzymując oddech, zbliżył się do przywartych drzwi jadalni i przyłożył ucho do dziurki od klucza. Szły stamtąd jakoweś szelesty, zbyt wszakże niewyraźne, aby z nich coś można było wyrozumieć: nacisnął więc klamkę ręką i drzwi gwałtownie otworzył.

Okno istotnie było otwarte i nawet wydało mu się, że coś w ciemnościach mignęło, uchodząc przeciwnymi drzwiami. Ale bardziej go uderzył tupot nóg na zewnątrz, wyraźny tupot uciekającego człowieka.

Przypadł więc do okna, lecz kraty przeszkodziły mu wytknąć głowę, musiał ograniczyć się widokiem pustego podwórza, poza którym ciepły wiosenny wiatr szamotał kępą czarnych, nagich jeszcze drzew i krzewów. Za to nadstawiał jak rys wielkich, ostro zakończonych uszu. Ale kroki już ucichły i z poszumem wiatru leciała jeno z miasteczka pijana piosenka:

Poszła baba raz do popa,
Poprosiła go o chłopca,
On jej mówi:
Co ci złego,
Jeśli weźmiesz mnie samego!?!...
Oj luli luli!...

Dalej nie słuchał. Sunął jak cień ku drzwiom, wiodącym na korytarz a stamtąd do kuchni. Wszędzie było ciemno: obmacał pośpiesznie drzwi wchodowe i przekonawszy się, że żelazne zawory są na miejscu, wrócił do świetlicy, gdzie przez nie-domknięte drzwi wpadała smuga czerwonego blasku z łóżnicy, jedyne światła w całym domu. Na palcach podkradł się i stanął niepostrzeżenie na progu: w głębi Agafia zwłóczyła z siebie odzienię.

— Gdzieżeś to była? — spytał słodziuchno.

— W kuchni byłam... — odrzekła, nie patrząc na niego.

— A którądyś przyszła?...

— Przez świetlicę...

— To w jadalni nie byłaś?...

— Nie byłam.

— Chodź no, gołąbko, chodź!... Coś ci pokażę!...

Chwycił ją za rękę i choć była bosa i w giele jeno, powlókł ją do jadalni.

— A to co?...

— Okno!... Darujcie, Sergiuszu Mikołajewiczu, zapomniałam zamknąć!

— Aha!... A czego tak drżysz, gołąbko moja... czego tak drżysz?...

— Boję się ciebie, panie najmiłościwszy, daruj mi, niewolnicy niedbałej... Daruj!

Próbowała upaść mu do nóg, ale nie dopuścił do tego i, podchwyciwszy ją w górę, powlókł na

powrót do świetlicy. Wiedziała co ją czeka, i rwała mu się z rąk, całując je ze szlochem i szepcząc:

— Daruj, panie mój najśłodczy, miłościwy mój panie!...

— Kto tu był?... — syczał Nowosiłow!... — powiedz, gadzino?... Z kim gadałaś przez okno?...

— Nikt nie był... Wydało się wam, panie, jak zawsze... któż by ośmielił się gadać ze mną, niewolnicą twoją...

— Łzyj, łzyj!... Zaśpiewasz ty zaraz inaczej, słowiczku mój!...

Zaciągnął kobietę na środek pokoju, gdzie z żelaznego, wśrubowanego w pułap kółka zwisał podwiązany wysoko, mocny sznur, żółtym opleciony jedwabiem: pętlicę sznura założył na zapięścia niewolnicy i pociągnął gwałtownie ręce jej ku górze, po czym zerwał z niej bieliznę. Stała wyprostowana, jak śliczny marmurowy słup, jeno piersi wypukłe i białe wznosiły się i opadały gwałtownym, bolesnym ruchem.

Nowosiłow szukał tymczasem w kącie, nie przestając piszczeć słodziuchno:

— Zaśpiewasz ty zaraz, zaśpiewasz, Matko Boska heretycka!... Wszystko mi opowiesz, najdrobniejszy krocze przypominisz sobie... Już ja ci dopomogę, duszo moja, postaram się, popracuję, nie pożałuję sił i zachodu!

Stał przed nią z grubym bykowcem w ręku, ogarnął lubieżnym wzrokiem wdzięki, którymi się tylekroć razy cieszył, i spytał groźnie:

— Z kim gadałaś przez okno?...

— Z nikim, panie... Nie byłam tam wcale!... To wiatr szeleści!...

— Zaszleści ci tu zaraz, zaszleści!!... Patrz mi w oczy!...

Uniosła z trudem udręczone, obciążone łzami powieki.

— Dawnoś widziała tego... tego Kuźniecowa?... To nie on był?... Co?... Mów prawdę... Jak powiesz, to ci nie nie zrobię, a tylko z niego skórę zdejmę i wypchać każę... Już ja na niego sposób znajdę, choć on wolny, choć kupiec... Już on się złapał we własne sidło, kochanek twój... Widzieli go, jak z bronią w rękę, razem z tymi zbrodniarzami, brocił dostępu do domu Chruszczowa, nie chciał wydać nam donosiciela Stiepanowa... To się skończy, och, skończy niedługo!... Już on, ten twój miłośnik, trup! Więc lepiej powiedz, duszo moja, wszystko powiedz, co wiesz, siebie ratuj. Bo jeżeli jutro okażą się ślady nóg pod oknem, to od ciebie śledztwo zacznę... Choć mi szkoda twojej urody, choć mi szkoda... dam cię katu... Na Boga, dam się katu!... Więc gadaj...

Obchodził ją dookoła i śmigał w powietrzu bykowcem.

— Nic nie wiem, panie i dobroczyńco mój! Nic nie wiem, nikogo nie znam i nie widziałam... Na nikogo oczu nie śmiem podnieść, wierna niewolnica twoja... Tego Kuźniecowa nie znam i nie słyszałam o nim...

— Jak to nie słyszałaś... Sam mówiłem ci o nim przeszłym razem, kiedy mi doniesiono, że był u ciebie w czasie mojej z naczelnikiem wycieczki... do tych tam nowo budowanych domów! Nie pamiętasz?... Hę!! To ja ci zaraz przypomnę!...

Zaszedł z przodu i ciał na odlew po drżących piersiach kobiety. Okropny krzyk rozdarł ciszę pustego domu.

— A co? Nie pamiętasz?... To może teraz przypomnisz sobie, coś dzisiaj robiła?... Gadaj: coś robiła od samego rana! Gadaj zaraz, a nie utaj najmniejszego szczegółu...

— Z rana obudziłam się, jeszcze spałeś, miłościwy panie! Otworłam drzwi i zawołałam na nie-

wolników, aby wstawali i szli robić porządki!... Przyszedł do kuchni podręczny kozak Siomka... — zaczęła nieszczęśliwa rwącym się głosem.

Nowosiłow chodził dookoła niej i poświstywał w powietrzu bykowcem. Wtem w sieni rozległo się gwałtowne stukanie do drzwi. Urzędnik zatrzymał się z niepokojem na twarzy: oczy katowanej roz-błysły nagle nadzieją i obeschły.

— Ty, duszko, nie myśl, że to już koniec!... O nie, ty tu zaczekaj!... — szepnął Nowosiłow, biorąc kaganek ze stolika.

Stukanie, powtórzywszy się parękroć razy, ucichło, a potem rozległo się uderzenie w okiennicę jednego z okien łóżnicy i gromki głos zawołał:

— Widzę, że wuj jeszcze nie śpi!... Niech wuj otworzy... Niezmiernie pilna sprawa... To ja, Iz-maiłow!

— Do licha!... Tak pilna, że aż po nocy pod oknami się włóczysz?...

— Bardzo pilna, nieodłóżnie pilna, Sergiuszu Mikołajewiczu! Pilna i tajemnicza... sprawa państwowa!...

— Głupiś, znam ja wasze tajemnice państwo-we... Idź zresztą do drzwi, to ci otworzę... Sam jesteś? Co?

— Sam, wuju, sam!... Komuż mógłbym w takiej rzeczy zawierzyć, prócz ciebie!?

Urzędnik schował w rękaw nabitą króciwą, zabrał światło i wyszedł.

Wyciągnięte ciało Agafii blado świeciło wpośród opustoszałej komnaty, ledwie rozjaśnionej płomykiem zielonej „lampady”, wiecznie gorejącej tu w rogu, przed wielką „ikoną” Zbawiciela w bogatych złożonych „ryzach”.

Ogromne łoże bielało niewyraźnie w głębi pod ciemnym baldachimem, jak kamienny sarkofag.

Niewolnica, pomimo bólu w skrępowanych rękach, obróciła się twarzą ku drzwiom i cała zamieniła się w słuch. Dobiegała ją urywana rozmowa, w której często powtarzało się nazwisko Beniowskiego.

— Domyślałem się tego!... — pieszczal Nowosiłow. — Nigdy ten kanalia nie wzbudzał we mnie zaufania... Ale żeby śmiał taką rzecz zamierzyć... Nie coś wiary!...

— On na wszystko się targnie!... Władzy nie szanuje, w Boga nie wierzy... Heretyk, cudzoziemiec! Co mu tam!...

— Ale jak go zmóc, bo on już siłę zebrał i gotów się na wszystko ważyć!... A my nawet nie wiemy, jak daleko spisek jego zaszedł, wielu ma zwolenników, co i jak?... Może ma ich tak dużo, że im nie podolamy...

— Jak to, nie podolamy?... A małoż to kozaków?... Żołnierzy... Wziąć zaraz kompanię, napaść, pobić, związać...

— Głupiś, a jeżeli on i wśród kozaków i żołnierzy ma swoich?... Co wtedy?... Trzeba ostrożnie poczynać sobie, z wybiegiem, z rozmysłem... A większa jeszcze trudność, że ten Niłow, stary dureń, wierzy w niego, jak w Boga!... Całkiem opłatały go baby!... Niepoń, Beniowski, nie wiadomo nawet z którą z nich żyje, z matką czy z córką!... Tak chytrze sprawę prowadzi... Nie wiadomo z jakiego końca zacząć!?

— Z obiema romansuje... na pewno z obiema!... Oho, ale mam już i na to sposób. Zaraz jutro dostarczę wujowi dowodów...

Głosy zbliżyły się ku drzwiom i umilkły: do łóżnicy wszedł sam Nowosiłow, odwiązał Agafię i rzekł jej surowo:

— Odziej się i zrób nam ponczu!...

Wyszedł i drzwi przymknął, ale ona ubierała

się tuż przy odzwierzach, z uchem na szparze, aby nie stracić słowa z przyciszonej rozmowy.

Dowiedziała się, że spisek wykryty, że wydała go początkowo Kuźmianka, wygadawszy się, iż wyjedzie z Bolszeriecka niedługo z Kuźniecowskim i innymi wygnańcami na okręcie Czurina, że Izmailow, podsłuchawszy tę jej opowieść, rozpoczął ze swej strony, wywiady i dowiedział się prawdy od przyjaciół Stiepanowa, od Boskarewa i Ziablíkowa młodszego... Ale że i ci niewiele i nie na pewno nie wiedzieli, więc ułożyli razem we trzech do Stiepanowa z zapytaniem wysłać list, który zobowiązała się dostarczyć uwięzionemu obsługująca go stara Kamczadalka. Jutro należało czekać odpowiedzi...

— A tymczasem, niech wuj radzi, co i jak!?!...

Musiała Agafia wyjść naręszcie ze swego ukrycia, udać się do kuchni i gotować poncz, więc straciła koniec rozmowy. Coś niecoś jeszcze słyszała, przemykając się z naczyniami przez pokój, ale sekretarz rychło zrobił jej uwagę, że zbyt często do komnaty wchodzi, następnie co raz drzwi do korytarza otwierał i o mało jej na podsłuchiwaniu nie przyłapał. Zdążyła jednak wyrozumieć, że chodzi o jakieś zabójstwo z rozkazu Beniowskiego. Liczono, że go na nim przyłapią.

— Już ja to wszystko wyśledzę, jak Boga kocham... — gorączkował się rozgrzany napojem Izmailow. — Niech mi wuj wierzy... Już ja mu przystawię stołka...

— Ba, żebyś tylko nie przystawił go nam!... To sprawa mocno poplątana, wydaje mi się ponad twój rozum i ty już lepiej nie beze mnie nie poczynaj!... Trzeba i z nieszczęścia umieć swe szczęście wyciskać!... Czym się to skończy, jeszcze nie wiadomo!... Być może, że trzeba będzie wziąć się do samego Nilowa i że wszystkim ja tu wkrótce rzą-

dzieć będę... Więc mię musisz teraz słuchać...

— Ale wtedy nie zapomnijcie, wujaszku, i o mnie!...

— To się wie!... Ale teraz ani pary z ust!... Zanoćujesz u mnie, a rano weźmiesz kozaka, aby ci zdała towarzyszył na świadka na wszelki wypadek, i pójdziesz do tego tam Boskarewa i Ziablikowa...

— Pójdę!... A jakże!... Zaczne chłopcy i moi przyjaciele!... Nienawidzą Beniowskiego ciemiężcy... Wszystko zrobią, co każe!...

— Więc słuchaj, co ja ci powiem... — zaczął Nowosiółów.

Ale przedtem zajrzał do korytarza i, spostrzegłszy stojącą tam z naczyniami w ręku Agafię, krzyknął na nią surowo:

— Znowu się szwendasz?... Zaraz wynoś się do kuchni i nie śmiej więcej nosa pokazywać!...

Dla pewności zamknął ją nawet tam na klucz.

O świetle zdążyła mimo to Agafia przywołać do okna wiernego sobie Kamczadalczyka i posłała go... z bułką chleba do Beniowskiego.

— Powiedz, że to od sekretarza, że dowiedział się nasz pan, iż nie ma pan Beniowski chleba na śniadanie i przysyła mu. On cię suto za to wynagrodzi, ale pamiętaj, milez na Boga, słowa nie piśnij o tym nikomu, bo to wielki wstyd dla takiego pana jak Beniowski, zięcia samego naczelnika, że mu chleba zabrakło!... Mogliby cię za gadulstwo surowo ukarać!... A jak cicho wszystko minie, dostaniesz srebrnego rubla... Nawet Sergiuszowi Mikołajewiczowi nie godzi się więcej o tym wspominać. Zabronił... Rozumiesz?... Co?... Leć więc!...

Kamczadal kiwnął głową z przebiegłym uśmiechem i tyłami pomknął do pobliskiego lasu, otulonego różowymi porannymi mgłami, gędziącego od chórów przelotnego, budzącego się ptactwa.

Tegoż ranka, jeszcze sekretarz Nowosiłow z Izmailowym nie skończyli śniadać, jak wszedł do nich niespoźdżanie Beniowski. Zdziwiony gospodarz dał natychmiast znak siostrzeńcowi, żeby sobie poszedł, i zaprosił grzecznie do stołu wygnańca.

— Jakiż powód sprowadza was, czcigodny Augustcie Samuelowiczu, do mnie w tak ранней porze!

— Sprowadza mię skarga. Krzywda nam się stała i właśnie ze strony blisko ciebie stojącego człowieka... Wczoraj wieczorem twój krewny, niejaki Izmailów, wpadł do narzeczonej przyjaciela naszego Kuźniecowa, zelżył ją bez żadnego powodu i nawet pobił..

— Narzeczonej Kuźniecowa?... — powtórzył z szeczerym zdumieniem urzędnik. — Któż ona jest? I z jakiej to racji!...

— Jest to siostra sierżanta Kuźmina, a powód ten, że obaj się mają ku onej dziećlatce, jak to często bywa na świecie. Nie mieszałbym się do tej sprawy, gdyby nie to, że Izmailow, znany z popędlivosti, groził Kuźniecowskiemu zemstą i śmiercią, do czego żadną miarą dopuścić nie mogę...

— A cóż ci znowu o tego Kuźniecowa tak chodzi!?!... Nie wygnaniec on przecie! Dawno już chciałem się ciebie, Augustcie Samuelowiczu, spytać, jakie to stosunki go z wami łączą do tego stopnia, iż widziano go pono, jak z karabinem w rękę występował po waszej stronie, przeciw naszym żołnierzom, w owym zatargu o Stiepanowa...

Umilkł sekretarz i świdrował wygnańca zwięzonymi jak szpileczki oczami, ale Beniowski spokojnie jego spojrzenie wytrzymał.

— Kuźniecowa wiele mi okazał przychylności w samym początku mego tu pobytu, gdym był w potrzebie i powszechniej, jako wygnaniec, pogardzie.

Za ostatniego uważałbym się człowieka, gdybym mu teraz nie starał się odwdziżyć. Teraz jest naszym głównym dostawcą i przedsiębiorze budowę naszej kolonii, jak to sam wiesz, Sergiuszu Mikołajewiczu, gdyż za Waszą zgodą podpisywał z nami kontrakt. Czy w zatargu brał jaki udział nie wiem: nie dziwiłbym się, gdyby w szlachetnej zapalczywości, będąc w owej chwili u nas gościem za broń razem z innymi chwycił. Błąd był z obu stron, jak to wykazało śledztwo, na co i Wasza Szlachetność się zgodziła...

— Tak to tak!.. O cóż ci więc teraz chodzi?...

— Chodzi mi o to, że powyższa Kuźmianka miała razem z Kuźniecowsym jechać do Ochocka, w jakim celu już najęta została podwójna kajuta, o czym Wasza Szlachetność może się natychmiast przekonać, rozpytawszy kapitana Czurina. Właśnie przyjechał ze statku, widziałem go przed chwilą w mieście. Wiedziałem o tym i nawet pomagałem Kuźniecowskiemu, dając dziewczynie tysiąc rubli posagu... Myślałem, że jednocześnie wam, Sergiuszu Mikołajewiczu, wyrządzam przysługę, gdyż nie jest to zaiste dość cnotliwa osoba, aby mogła stać się waszą powinowatą. W sam raz ona dla poczciwego kupca Kuźniecowa, nie godna jest jednak przez swą kondycję wejść do domu szlacheckiego i tak wysoko w urzędowej hierarchii położonego, jak wasz... Toć wiadomo, że ani Kuźniecowa, ani siostrzeniec wasz nie są jedynymi jej kochankami, że miała za gaszków niemal wszystkich oficerów załogi... Czy nie lepiej więc, żeby sobie z nowym adoratorem wyjechała do Ochocka?

Nowosiłow wydał wygolone wargi w kształcie ryja i robił nimi rozmaite ruchy, starając się ukryć zmieszanie. Wreszcie sięgnął po dłoń Beniowskiego i zawołał z przyjacielskim uśmiechem:

— Dziękuję ci, przyjacielu, za pamięć o mnie! Nie zapomnę ci tego, choć rozumiem, że bardziej ci w tym wypadku chodzi o honor osób dzierżących urząd i przedstawiających władzę, do których sam rychło zaliczon zostaniesz, niż o mnie. Cieszy mnie, iż rozumiesz dług wdzięczności, jaki zaciągnąłeś względem rosyjskiego rządu i szczególnie Miłościwej Pani naszej Imperatorowej. Byłeś w nędzy, a oto wywyższon jesteś, byłeś niewolnikiem, a oto wywyższon jesteś i zrównan z najprzedniejszymi. Gdzież równy przykład sprawiedliwości i cnoty państwowej; oto kara przykładna za występki i nagroda za cnoty! Czy więc nie mamy prawa oczekiwać od ciebie również najwyższej wierności?... Przyznaj, że byłoby to szczytem podłości ze strony tak obdarzonego najmniejszego uchYLENIE się od wierności Ojczyźnie i Tronowi i zasługiwałoby na karę najsroższą?... Co?... Nie?... Powiedz sam!...

— Zapewnie, zapewnie!... — przerwał Beniowski, podnosząc nagle opuszczone powieki. Zmierzyli się przez krótką chwilę oczyma.

— W tym wypadku jednak chciałbym wiedzieć, co Wasza Szlachetność postanowi. Czy nie należałoby Izmailowa na czas pewien wysłać z miasta, aby nie mógł przeszkodzić odjazdowi Kuźniecowa z dziewczką w celu zaślubienia jej w Ochocku?

— Owszem ten plan mi się podoba... Muszę jednak, choć dla formy, wszystko sprawdzić, gdyż siostrzeniec przedstawiał mi tę rzecz weale inaczej!...

Beniowski spojrzał na urzędnika pytająco, lecz ten, nie nie dodawszy, wstał i wyciągając doń rękę na pożegnanie powiedział, że go przeprasza, lecz musi pójść się ubrać, aby następnie udać się do kancelarii, gdzie przeprowadzi śledztwo.

Beniowski mocno zamysłony poszedł wolno

przez miasto na plac przed cerkwią, gdzie miał spotkać się z Chruszczowym. Istotnie ten już nań czekał.

— Wszystko załatwione. Byłem u Kuźmianki i kazałem jej zeznać, jakieś powiedział, uprzedziłem również Kuźniecowa.

— A list do Stiepanowa przejęliście?...

— Oto jest!... Skończony łotr!... Lękam się, że tym razem będziemy musieli z nim skończyć.

— Przyjacielu, gdzież twoja dawna filozofia? Szafujesz śmiercią, jak miłosierdziem! Nie wyjmuj listu, aż skreścimy w zarosła...

Dopiero gdy znaleźli się sami na błyszczącej od kałuż wody drodze, gdy przejrzeni na wsze strony przezroczystą, ledwie ledwie zielonym puchem pokrytą gęstwinę i przekonali się, że nikogo nie ma w pobliżu, Beniowski przyjął podany list, rozwinął go i odczytał półgłosem:

„Nie tajne nam jest niegodziwe z tobą postępowanie okrutnego waszego herszta, któregoście sami sobie za cłowódcę wybrali. Los twój do żywego nas porusza, tym bardziej, gdy uszu naszych dochodzi, że i niebezpiecznie chorujesz i więźniem jesteś. Korzystamy z niniejszej wydarzonej pory, iżbyśmy cię zapewnili, żeśmy gotowi oswobodzić cię z więzów i z hazardem nawet życia naszego wolność ci przywrócić. Przysięga, którą na nas wróg twój wymógł, przeszkadzała nam dotąd zdradzić niepocziwego twego herszta; a do tego wstrzymywał nas los tylu zacnych ludzi z nim połączonych, których śmierci stałibyśmy się sprawcami przez wyjaśnienie zamiarów Beniowskiego. Nie zgubimy więc twoich przyjaciół, lecz jeżeli dni twoje są zagrożone, powiedz, a o godzinie, którą nam naznaczysz, zaręczamy ci, iż skruszone twe więzy zostaną. Jeżeli zaś sądzisz, iż bezpie-

czeństwo i zamiary twoje wymagają, by nie żył twój tyran, rozkaż tylko a wnet ręce nasze obmyją się we krwi tego powszechnego naszego nieprzyjaciela. Śpiesz się z twoją odpowiedzią, a nade wszystko nie zapominaj o wspólnej naszej umowie i obowiązkach, których się podjąłeś, a my nawzajem poprzysiężonej ci dotrzymamy wierności. Oddani ci do śmierci — Boskarew, Ziablikow”.

— Taak! A gdzież oni są? — spytał Beniowski.

— Nocowali u Ziablikowa, starszego, męża dawnej kochanki Stiepanowa... Ona to ułatwiła porozumienie z więźniem.

— Dużo ich?

— Dwóch, ale mają podobno jeszcze sześciu stronników wśród spiskowców; tak przynajmniej zeznała niecnota, Ziablikowowa, zbita przez męża.

— Żle! Kruszy się wszystko. Tymczasem my musimy przewlekać za wszelką cenę. Od Sybajewa ani słuchu, ani ducha!... Aresztowali ich, czy inna stała się im przygoda!? W każdym razie nie możemy ich tak na los szczęścia porzucić, musimy się o nich zatroszczyć... Piętnastu ludzi sukursu to również znaczy dla nas niemało! Następnie — aura!... Dziś jeszcze mówił mi Czurin, że wcześniej jak za miesiąc marzyć o nawigacji nie podobna. Góry lodowe w zatoce mają być niezwykle w tym roku liczne i potężne.

— A co powiedział sekretarz?

— Chytry lis. Przypuszczam, że niewiele wie na pewno, ale domyśla się wszystkiego. Będzie nam szły buty u naczelnika, ale powojujemy z nim jeszcze. Czy beczki z solonymi rybami i wódką odstawiono już do Czekałki?

— Pisał Salmonow przez umyślnego, że załadował je już na statek!...

— To dobrze!... Pośpieszajcie z odesłaniem reszty, a spiskowcom zabroń stanowczo wydalać się z domów... bez pozwolenia dowódców!

— A cóż zrobimy ze zdrajcami...

— Ha, trzeba będzie ich jakoś... pozyskać!...

— Co?... Jeszcze pozyskiwać!?! Nasi chłopcy proponowali, że urządzą z nimi zwadę i usieką ich...

— Mamy i tak ludzi mało, spróbujemy inaczej...

Tak gawędząc, doszli do wioski, gdzie obecność mnogich wygnańców, rozmawiających kupkami na ulicach, zdradzała powszechne wzburzenie. Ujrzawszy idących przywódców, kłaniali się im z daleka czapkami i szli ku nim tłumnie. Beniowski wstrzymał ich znakiem ręki i wszedł niezwłocznie do domu Chruszczowa. Przybył tam zaraz Panow, Baturin, Winblath.

Odbyli małą naradę.

Beniowski odrzucił wszystkie propozycje gwałtowne i skłonił Panowa, a za nim innych, żeby zobowiązali się wymusić na Stiepanowie następujący list do jego sprzymierzeńców:

„Pismo to niechaj was przekona, jak ciężką chorobą jestem złożony. Zapadłem na zdrowiu od momentu, kiedy ostatnim razem się z wami widziałem. Składał wam najuprzejmiejsze dzięki, szacowni moi przyjaciele, za wspaiałomyślną waszą pomoc, którą mi ofiarujecie, lecz ta dziś już nie potrzebna, a jedyną jest teraz moją pociechą poznawać, jak dalece niesprawiedliwie postępowałem z moim zwierchnikiem. Nieznośny on wam jest, ponieważ wam go wystawiłem za człowieka nienawiści godnego; myliłem się; przeto zaklinam was na tę przysięgę, która nas wspólnie

związała, nie powiększajcie mych zgryzot czyhaniem na życie tego szacownego i ze wszech miar kochania godnego męża. Twierdząc go być moim nieprzyjacielem, w tym błędnym przekonaniu działałem, jakieście widzieli, śmierci nawet onego szukałem. Wnieśliście stąd zapewne, iż zemsta jego mnie ściga; lecz on, przeciwnie, moim stał się obrońcą, a ratując me życie, własną swą całość na sztych wystawił. Gdy więc dni moje jemu szczególnie winienem, błagam was, byście go tyle poważali, ile przyjaciela waszego. Śpieszę się z tym odpisem, bym zapobiegł skutkom znajomej mi waszej żywości. Przybądźcie co prędzej do mnie, iżbym was ustnie obszerniej o moim uwiadomił stanie. Możecie mię odwiedzić bez żadnej obawy i pochlebiam sobie, iż w tej okoliczności tę wam największą uczynię przysługę, gdy was poznam z pewną osobą, która godna jest waszego szacunku i śmiało się z nią związać możecie”.

Niektórzy twierdzili, że Stiepanow podobnego listu napisać nie zgodzi się, ale Beniowski twierdził stanowczo, że nie tylko napisze go, lecz odegra nawet całą potrzebną w dalszym ciągu komedię.

— Sam ja nie pójdę... Niepotrzebnie by go to rozjątrzyło, ale dam odpowiednie instrukcje Panowowi i jetem pewien dobrego skutku!

Wyszedł razem z Panowem i w drodze przedstawił mu zatajony przez siebie do tej pory list Stiepanowa do Nastazji, opowiedział co z tego wynikło i wytłumaczył blademu z gniewu i przeżalenia Panowowi, jak tej rzeczy użyć powinien, aby nacisk na nędznika wyrzucić. Panow przysięgał, że go własną ręką tym razem zabije, gdyby się choć chwilę wzdragał.

— Chwilkę może się i będzie wzdragał, lecz ty

go nie zabijaj, gdyż koniec końców zrobi, co mu każesz... Nie przypuszcza nawet pewno, że wiemy o jego zdradzie!... Spadnie to na niego jak grom, a nie jest on bynajmniej... twardy!

— Nędznik!...

— Ma jednak stronników i... przyda się nam!

Stało się, jak przewidział Beniowski. O godzinie jedenastej wieczorem doniósł Panow, że Stiepanow chce przedstawić Beniowskiemu oraz Radzie związkowej swych przyjaciół: Boskarewa i Ziablikowa z sześciu towarzyszami.

Przyjął Stiepanow zwierzchników, leżąc w łóżku i odegrał swoją rolę znakomicie. Słabym głosem poprosił Beniowskiego, aby się doń zbliżył, chwycił go za rękę i ucałował gwałtownie. Po czym zaczął wyliczać mnogie swoje przestępstwa oraz dowody przyjaźni, pobłażania i ufności, jakich od towarzyszy doznał. Skończył prośbą o odpuśczenie mu win oraz przysięgą wierności i posłuszeństwa na przyszłość.

Po czym, nim zdążył mu ktokolwiek odpowiedzieć, zwrócił się wprost do Beniowskiego, przedstawiając mu swych przyjaciół: Boskarewa, Ziablikowa, oraz innych, prosił o przyjęcie ich niezwłocznie do związku i ręczył głową za ich zachowanie się oraz ścisłe przestrzeganie prawideł karności i tajemnicy.

Rozpytał się Beniowski każdego z osobna, kto zacz jest i czy istotnie szczerze, stanowczo i z dobrej swej woli przystępuje do spisku, za który grozi mu kara śmierci ze strony rządu.

Wszyscy wyrazili niezłomną gotowość służenia sprawie, w wielkim podnieceniu wypytywali się o czasie i sposobie ucieczki i błagali o natychmiastowe ich zaprzysiężenie.

Beniowski trochę się opierał temu, naznaczył im termin o trzeciej po północy, kiedy przyjdą z

miasta Gurcynin, Bielski, książę Zadzkoj i inni, ale Rada postanowiła, że wobec powszechnego zmęczenia i konieczności wypoczynku niektórych dla zajęć jutrzejszych, należy przysięgę przyjąć od nowozaciężnych natychmiast i rozejść się do domów.

Boskarew i Ziablikow z towarzyszami zanocowali u Panowa. Długo w nocy przesiedział z nimi Beniowski, zagrzewając w nich męstwo i zapalając pragnienie wolności. Przed odejściem wziął na stronę Boskarewa i Ziablikowa i dał im szczegółowe wskazówki, co i jak mają zeznawać w razie, gdyby Izmailow wezwał ich na świadki.

— Bo wyście nieopatrznie podzielili się z nim swymi myślami, a on nas zdradził!

— Nie może być!?! Sam chciałem uciekać!...

— A jednak tak jest!... Widziałem go u sekretarza, którego, jak wiecie, jest krewniakiem!... Więc pamiętajcie, com wam mówił, i nie dajcie się opłatać! — powtórzył Beniowski na odchodnym.

XL.

Nazajutrz wielki ruch trwał dzień cały w osiedlu wygnańczym. Beniowski kazał Panowowi rozdać spiskowcom pieniądze i zalecił im kupić niezwłocznie, gdzie kto będzie mógł, jak największą ilość prochu i ołowiu. Jednocześnie surowo im zabronił wstępować do szynkowni i wszelkich spelunek, gdzie łącznie było o zwadę przy kieliszku i białogłowach z miejscowym garnizonem lub kozakami. Mieli chodzić zawsze parami, aby jeden drugiego pilnował i od lekkomyślnych kroków odводził. Część na zmianę pozostawała wciąż pod bronią we wsi oraz w szkole. Dziesiątek umysł-

nych łączników kursował między Czekawką, miastem i osadą wygnańczą, przynosząc wieści o ładowaniu statku, o ruchu lodów, o prowadzonym przez sekretarza śledztwie w sprawie Izmaïłowa. Wieść o jego aresztowaniu dodała wszystkim otuchy. Po południu przybył do Beniowskiego w towarzystwie podręcznego kozaka sam Sergiusz Mikołajewicz Nowosiłow, przeproszał go za nieślusne swe podejrzenia, upewniał o swej przyjaźni, opowiadał szczegółowo przebieg śledztwa, które niezbiecie wykazało płonność złośliwych oskarżeń Izmaïłowa.

— Zadurzył się i głupstw narobił, których sam teraz żałuję!... — mówił urzędnik o siostrzeńcu. — Aby ostatecznie przyszedł do siebie, kazałem mu wyjechać do Wierchniego Ostroga i nie ruszać się stamtąd nigdzie bez mego pozwolenia. Tymczasem Kuźniecowa wywiezie ową trojańską Helenę tutejszą, powód nowej wojny domowej. Proszę was więc, Auguście Samuelowiczu, nie mówcie nic o tym naczelnikowi do czasu, aż się wszystko uspokoi. Stary bardzo się tym wszystkim przejmuję, a jest ogromnie ostatnimi czasy, może z braku zdrowia, a może z nadmiaru wesołości... drażliwy!... Sam mu przy sposobności w wesołym tonie opowiem owo homeryckie uganianie się za wdziękami niewieściami... niezwykle w tak zimnym klimacie!... Tymczasem zaś przyjmijcie ode mnie, Auguście Samuelowiczu, podarunek ślubny, który z dawna w przyjaźni swej gotowałem dla was, ale wręczyć nie miałem okazji!...

Tu położył na stole kiesę złota oraz kazał kozakowi rozłożyć przyniesiony w zawiniątku błam soboli.

— Królewski to zaiste podarunek, pozwolicie jednak, przyjacielu, iż ze względu na skromne me stanowisko i małe zasługi, nie mogę uważać się za

godnego... — bronił się dworsko Beniowski.

Kazał przynieść kielichy i długo ugasał sekretarza drogimi wódkami oraz zamorskimi winami, których miał zapas znaczny na podobny wypadek.

Sekretarz pił, śmiał się, dowcipkował, śpiewał, ale „duszy”, jak to bywało dawniej, Beniowskiemu nie otwierał. Nie robił z nim planów o zawojowaniu Kalifornii i zabraniu obu brzegów Oceanu Spokojnego pod swoją władzę. Nie mówił o dochodach, o orderach, nawet o wdziękach białogłowskich nie wspominał. Beniowski, który pić umiał i miał najmocniejszą w miasteczku głowę, zrozumiał, że go tym razem nie spoi, a sam przeciwnie czuł w myślach lekki zamęt. Gdy więc sekretarz o zmierzchu zaczął wybierać się do domu, nie zatrzymywał go bardzo, choć zwykle takie hulanki ciągnęły się tu przez noc całą do białego dnia, a bywało i dłużej.

Po odejściu gościa wsadził zaraz Beniowski głowę w zimną wodę, umył się i posłał po Chruszczowa, który w jego zastępstwie przyjmował w tym czasie wieści i wydawał rozporządzenia.

— Izmailow wysłany do Wierchniego Ostroga!...
— krzyknął ten radośnie, wpadając do izby.

— Wiem!

— Sam komendant go odwiózł z pięcioma kozakami!

— Oo! To mi się mniej podoba! Kiedyż wyjechali?

— Dość dawno, pewnie przed południem. Nikt ich nie widział. Dopiero wieczorem jeden z naszych doniósł nam, że wracając z polowania, spotkał ich na drodze w górach, w dziesięciu wiorstach od miasta że prowadzili z sobą juczne konie i byli w pełnym uzbrojeniu.

— Słuchaj, Chruszczow, my się tu im w naszej

wsi ani szkole w razie zbrojnego napadu nie oprze-
my. Zmogą nas. Otóż, mam pewnien plan, który
trzeba jednak szczegółowo obmyśleć i na miejscu
wykalkulować. Jutro rano pójdziemy obaj do Cze-
kawki, zrób więc odpowiednie rozporządzenie na
czas naszej nieobecności. A teraz, przyjacielu mu-
szę biec do naczelnika. Dawno tam nie byłem i
dłużej wprost nie wypada... A potrzebuje się rów-
nież dowiedzieć, jak stoi sprawa z sekretarzem, bo
widzi mi się że mię mocno okłamuje... Do widze-
nia więc, druhu!

Wybiegł z domu i szybkim krokiem skierował
się po ciemniejszej drodze ku miastu, błyskające-
mu ogniami poprzez zarośla.

Byla już dobra noc i wieczorne ognie gorzały w
oknach domów gdy stanął przed bramą fortecy.

Zatrwożył się, znalazłszy podniesione zwody;
jednak straż, poznawszy go, przepuściła boczną
furtką bez żadnej trudności.

Rodzina naczelnika zebrana była w jadalni,
przwięto go z ożywieniem, ale bez zwyczajnej rado-
ści. Nastazja zaraz mu podsunęła talerz i mise z
pieczonym dzikim ptactwem, naczelnik nalał mu
kielich wódki.

— Cóżżeś tak długo nie był?... — spytał go z
surową wymówką.

Musiał Beniowski znów kłamać opowiadać o
swych kłopotach i trudach nad zorganizowaniem
przewozu potrzebnych rzeczy, narzedzi oraz zapa-
sów dla zakładanej osady rolniczej. W czasie tej
opowieści od czasu do czasu rzucił smutne spojrze-
nie na wychudłą, znekana twarz Nastazji, opły-
wającą co chwila gorącym rumieńcem.

Naczelnik zwoła poweselał i z dawną ufnością
słuchał pod koniec planów Beniowskiego, jak to
on posieje na początku tylko jęczmień i jare żyto
na miejscach suchych, mniej urodzajnych, ale wy-

grzanych słońcem, na południowych wystawach, aby zboża z wolna przyuczać do klimatu.

— Bo roślina, jak człowiek, boi się przeziębienia i może nawet dostać... kataru! — śmiał się wygnaniec.

— Co za szkoda, że nie można ich polewać wódką, bo to od kataru najlepsze lekarstwo!...

— Ryżkow, co już przed tobą, Auguste Samuelowicz, tych rzeczy próbował, to w zimne noce jesienne, lękając się przymrozków, ogień na polach dookoła zbóż palił... Grzał je... Cóż kiedy od tego część plonu się spaliła. Ta co właśnie dojrzała. Zawiał wiatr i słoma zajęła się!... — opowiadała Marta Karłowna.

Szczery, dawny nastrój nie wrócił jednak i Beniowski wychodził od naczelnika w wielkim niepokoju. W korytarzu czatowała nań, jak za dawnych czasów, pani Niłowowa.

— Co to u was zaszło?... Dziewczyna znowu płacze, nie śpi po nocach mizernieje... Pokłóciliście się, czy co?

— A tak, trochę... poróżniliśmy się. Nastazja Iwanowna chce, żebym... do greckiego przystąpił kościoła. A lubo jednakim okiem spoglądam na wszystkie religie, brzydzę się jednak interesownym odszczepieństwem... Gdy więc mi oświadczyła że upór mój może przeszkodzić naszym związkom, wręcz jej powiedziałem, iż wolę żyć nieszczęśliwy, aniżeli zasłużyć na najmniejsze wyrzuty sumienia!

Obruszyła się na córkę pani Niłowowa, zawołała ją i zaczęła surowo strofować. Dziewczyna pełnymi łez oczyma patrzyła na matkę, ale nie odpowiadała i dopiero kiedy ta kazała jej uściśnąć Beniowskiego, wybuchła głębokim łkaniem już na piersiach narzeczonego.

Wybiegł z duszą starganą, z sercem uciśnio-

nym. Przebiegł szybko bramę i mostek warowni i ruszył przez śpiące miasto ku czerniejącym w dali lasom.

— Nie, nie mogę! Już i ja nie mogę!... — szeptał suchymi ustami.

Aby uspokoić się, poszedł dookoła brzegiem rzeki, gdzie zimna wstęga lodów bieląca tajemniczo w głębokim parowie. Patrzył na nią z jakąś zabobonną trwogą.

Wydało mu się, że lody nie ruszą się nigdy. Poczuł potrzebę dotknięcia się ich dłonią i spuścił się po gliniastym osypisku na samo dno. Ogarnął go wilgotny grobowy wiew; gdy wszakże zbliżył się do trupio połyskujących cielsk lodowców, spostrzegł wartką, szeroką płoń żywej wody, oddziałającą stężałe kry od rozmokłej ziemi. Chcąc dostać się na sam lód, podążył z prądem i znalazł się pod cyplem wyniosłego przylądka. Obszerny widok otwierał się stąd na długą, zamgloną płośnię rzeki, ginącą w zmieszanych cieniach brzegów i nocy. Wtem zauważył nieopodal figurę człowieka, stojącego na szczycie kry i tak samo jak on zapatrzonego w dal.

— Hej, kto tam?:... — zawołał.

Nieznajomy szybko się obrócił.

— To ja, Sybajew!... Aha, Beniowski!

— Jakże się to stało, że tu przyszedłeś?... Anim myślał, że cię tu spotkam!...

— Przyjechałem już dawno. Znudziło mi się czekać w pustym mieszkaniu, więc wybiegłem zobaczyć jak tam stoją sprawy z lodami... Co, nie- zgorzej!...

Zamilkł na chwilę i uszu nadstawił. Beniowski również zwrócił nagle uwagę na ciche szmery, pluski, kapanie, oraz głuche mamroty nurtów, strumyków, strumyczków i kropel sączących się na

całym obszarze rzeki w lodowych wnętrzach skuwającego ją pokrowca.

— Zupełnie jak my teraz!... nurkują... pod jarzmem despotii!... — rozśmiał się Sybajew.

— Czemuż nie mówisz, jak udała ci się wyprawa?... Czy przyprowadziłeś wszystkich towarzyszy?... Czy zauważyli w Niżnim wasze wyjście?... Czy nie przeszkadzali wam?... Wielki był czas!... Już zaczynałem się obawiać!...

— Zaskoczyło nas bezdroże. Nawet w górach śniegi miejscami zupełnie rozmokły, psy sani przeciągnąć nie mogły. Stąd zwłoka... Dobrze jednak i to, że się połączenie z Niżnim przerwie, gdyż podły tamtejszy protopop coś przewąchał; naszego diakona puścić nie chciał. Z trudem udało nam się go wyrwać, tym bardziej że sam on również zląkł się i iść wzdragał. Przemocą nieledwie uprowadziliśmy go. Gdyby został. Boże broń, wydałby nas. A tymczasem podburzeni kozacy i mieszczanie stawali na nas. Widząc, że zabieramy rzeczy, dobytek, broń nie chcieli nas puszczać i rzeczy wydawać. Gdyby nie Norin, któremu zgodnie z twoją instrukcją przedstawiliśmy oficjalne do kolonii wezwanie, nie obeszłoby się bez bijatyki i krwi rozlewu...

Opowiadał szczegółowo przebieg wyprawy. zdawał sprawę ze stanu ducha, sił i zdrowia swego oddziału.

— Owszem nie są nawet od tego, żeby się pobić. a szczególnie mają ochotę zawładnąć kasą rządową i rządowymi składami futer!... — rozśmiał się w końcu.

Beniowski szedł w ciemnościach obok rozgadanego oficera, chmurny i milezący.

Nazajutrz rano Beniowski z Chruszczowym nie uszli i stajania od osady, gdy dogonił ich zdyszany kozak Niłowa i obwieścił:

— Pani prosi, żeby pan zaraz przyszedł! Starszy pan umiera!...

— Co?... kiedyż to?...

— A wrychle po śniadaniu. Rozgniewał się na sekretarza, wygnał go, a kiedy ten odszedł, położył się i jęczeć zaczął!...

— Wracaj i powiedz, że będę natychmiast!... — odesłał Beniowski kozaka; po czym zwrócił się do Chruszczowa. — Przyjacielu — rzekł — widzę, że nie będę mógł pójść z tobą, tymczasem jest to rzecz niecierpiąca zwłoki. Rozumiesz, iż dla szczupłych sił naszych, bezskuteczny byłby nasz opór wojskom rządowemu, gdybyśmy walczyli pod miastem. Załoga i kozacy otoczyliby nas łatwo w polu, a zamkniętych w domu szkolnym łatwo by mogli podpalić lub ogłodzić... Nareszcie zbiegostwo i wszelki popłoch łatwiejszy w miejscu zewsząd otwartym. Przyszło mi więc na myśl, że najlepiej będzie, jeśli na pierwsze doniesienie, że nasze zamiary ostatecznie odkryte zostały, zrejterujemy całym taborem na brzeg morski, gdzie opanowawszy redutę przy latarni morskiej, łącznie w niej wytrzymamy natarczywość nieprzyjaciela, aż do chwili, gdy stan aury i sprzyjające wiatry uwolnią zatokę od lodów i pozwolą Czurinowi z portu wypłynąć. Wiem, że w reducie są cztery armaty, lecz wiem także, że prochu tam na sześć jeno wystrzałów. Otóż zlustruj dobrze stan reduty i wszelki do niej dostęp, abyśmy mogli plan odpowiedni ułożyć; następnie przypilnuj spiskowców, żeby zabiegali koło zakupu prochu i część jego wydziel do artyleryjskiego użytku!...

— Więc idziesz do naczelnika?...

— Muszę!

— Bój się Boga, czy to aby nie wybieg, żeby ciebie zwabić! Drzę, kiedy myślę o tym... Co się z nami stanie... Wszystko pryśnie!... Ludzie tobie jednemu ufają, tobie tylko wierzą, ciebie się lekają!... Bez ciebie nie ruszą się, co gorzej wydadzą nas wszystkich natychmiast władzom, aby uzyskać przebaczenie!...

— To trudno, iść muszę!... Czas przyzwycząić się, przyjacielu, do niepewności. Toć grę tę wciąż o włos od zguby prowadzimy już od dawna!... Nie myślę wszakże, żeby to był podstęp... Jeszcze na to za wcześnie!... Staraj się wrócić co prędzej z twego przeglądu, gdyż czuję, że obecność twoja będzie potrzebna... Niepokoi mię, wyznaję, ten wyjazd komendanta z Izmailowym do Wierchniego, a i z Niżniego, sądząc ze słów Sybajewa, może przyjsć donos lada dzień... Bywaj zdrow, a śpiesz się!

Na rozwidleniu drogi rozeszli się każdy w swoją stronę. Beniowski szybko pokroczył ku widniejącemu w wylocie lasu miastu, kierując się wprost ku ciemnym częstokołom fortecy.

Zastał splakaną rodzinę Niłowowych dookoła łoża, na którym leżał nieruchomo wyciągnięty naczelnik. Twarz chory miał zsiniałą a z otwartych ust wydobywały się mu chrapliwe jęki. Felczer Lapin puścił mu krew, ale bezskutecznie; zabierał się właśnie do powtórzenia operacji.

Beniowski rozpytał się naprędce, co i jak było i pochylił nad chorym z zapytaniem, gdzie go boli? Ten odemknął cokolwiek powieki i w zmętniałym jego spojrzeniu zatliła się przez chwilę skra radości i nadziei. Z trudem wielkim wskazał ręką na bok.

Beniowski bok zmacał, wywołując mocnym na-

ciskiem zwiększone jęki chorego. Kazał grzać talerze cynowe, owijać chustami i przykładać do wskazanego miejsca, a w apteczce domowej wyszukał aloesu, zmieszał go z wódką i wlał płyn w gardło choremu.

W rezultacie po jakimś czasie naczelnik poczuł się na tyle dobrze, że mógł mówić i wół przysiadł na łóżku. Rozradowane kobiety patrzyły na Beniowskiego, jak na Boga.

— Wynoście się wy, wynoście!... Zostawcie nas samych! — zwrócił się do nich Niłow.

— Teraz jeszcze nie można wiele gadać, musi pan, Iwanie Piotrowiczu, czas jakiś poleżeć w zupełnym spokoju!... — opierał się Beniowski.

— Nie, nie!... To mi ulży, czuję, że zaraz zdrów będę... Albo... niech się co chce stanie... Ja rozkazuję! — upierał się chory. — Słuchaj!... — zwrócił się do Beniowskiego, gdy zostali sami. — Pokochałem cię jak syna, córkę ci daję, urząd po sobie chciałbym ci zabezpieczyć... wywyższyć cię pragnę ponad wszystkich, bo wydało mi się, żeś wart, żeś jest człowiekiem, jakim sam niegdyś zostać marzyłem a nie mogłem... Tymczasem ten... ten gad parszywy... gada mi, że ty, ty... zdradę mi szykujesz, że urządziłeś jakowys wielki spisek w celu wyzwolenia wygnańców... Śmiał nawet twierdzić, że córka moja wmieszana doń jest i żądał pochwycenia was i oddania natychmiast pod surowe śledztwo, pod przymus i tortury... Czego myślał dociec w ten sposób, nie wiem... Może jak Marta Karłowna mówi, chciał sprośne swe oczy nacieszyć widokiem wylekłej, obnażonej przez katar Nastki, która wiadomo, że go, gada odpaliła!... Tfu!... Obrzydliwość!... Ale znany on z tego!... Ach łotr! Ach gałgan!... Słowem rozgniewał mię, wypędziłem go, oskarżając, że czyha na moje miejsce na moje dobre imię, oraz rękę i wiano mojej córki...

Jak to sobie dawniej układałem, zanim ty nie przybyłeś. Ale wyznaję, że mi tyle rozmaitych pozor-nych dowodów przytoczył, że czuję się zmaconym... Więc powiedz mi, co to wszystko znaczy, upewnij, że nie podobnego nigdy nie powstało ci w głowie, że to zle urojenia tego rozpustnika, jarzącego się do sromu każdej urodziwej niewiasty, tego okrutnika ohydnego, tego wieprza cuchnącego... tego... tego!... Powiedz, zaraz powiedz, że to nieprawda!...

Utkwił w Beniowskim groźne rozgorzałe od nowa oczy. Na twarzy wygnańca przez krótką chwilkę widać było jakby zmieszanie i walkę. Krzaczaste brwi Niłowa zsunęły się prawie w jedną linię, zjeżyły się sumiaste jego wąsy.

— Cóż... mileczysz?...

— Zbyt nieoczekiwane i zbyt wielkie wniesiono na mnie oskarżenie, abym nie czuł się wytrącony z równowagi... — zaczął wreszcie Beniowski. — Ale rozumiem, skąd to pochodzi...

Tu w krótkich wyrazach opowiedział o niefortunnym, miłosnym zabiegach Izmailowa u Kuźmianki, o zamiarze Kuźniecowa uprowadzenia tej nowej „bolszerieckiej Heleny” na okręcie do Ochocka o swoim wmieszaniu się w tę sprawę i bajce zmyślonej z tej racji przez siostrzeńca sekretarza, wreszcie o wykryciu tego wszystkiego i zesłaniu Izmailowa przez wuja do Wierchniego Ostroga.

Naczelnik od razu poweselał, kilka razy śmiał się w czasie opowiadania, ale w końcu wybuchnął:

— W takim razie coś on mi tutaj dzisiaj gadał!... Nie mogę tego puścić płazem!... Hej, Fomka!... — wołał na dyżurnego kozaka. — Skocz do kancelarii i proś natychmiast do mnie sekretarza Nowosiłowa!...

— Należałoby odłożyć, nie pilnego!... Ze względu na zdrowie wasze, Iwanie Piotrowiczu!... — uspakajał go Beniowski, lecz żyły już nabrzmie-

wały na skroniach Niłowa i oczy rzucały błyskawice.

— Zaraz, natychmiast!... Lepiej od razu z tym skończyć, łeb temu ukreć, gdyż czuję, że żółć mię znowu zaleje!...

Zdziwił się niezmiernie Nowosiłow, zastawszy Beniowskiego u łóża naczelnika, gawędzącego z nim z dawną poufałością.

— Cóż to naplotłeś mi, Sergiuszu Mikołajewiczu? O mało nie wysłałeś mię na tamten świat!?!... Tymczasem wszystko okazuje się babskim gadaniem, spódnicową jakąś intrygą... Jakżeś śmiał mać mię podobnymi głupstwami, co?!... Jak się nie usprawiedliwisz, to popamiętaj sobie, że cię nauczę, jako ja tu jestem pierwszy, nikt inny! Rozumiesz, he!?! Dlaczegoż więc ponowiłeś swoje tutaj oszczerstwa, które sam uznałeś za niesłuszne i za które sam skazałeś wczoraj jeszcze na wygnanie swego synowca?!... Co?!... Ha!?!...

Sekretarz rzucił zwężonymi oczkami w bok na Beniowskiego złośliwe spojrzenie i poprawił zwi-sający żołądek.

— Tak, istotnie, czas z tym skończyć i ponieważ główny ptaszek w rządowym znajduje się lokalu, żądam natychmiastowego przytrzymania go i gorącego nad nim śledztwa! Oto list, jaki otrzymałem w tym przedmiocie dzisiejszego rana!

Tu podał Niłowowi nowy list z drogi od Izmailowa, w którym ten nie tylko ponawiał swoje oskarżenia, lecz wskazał na Boskarewa i na Ziablikowa, jako na świadków.

Zmieszał się i spochmurniał naczelnik, ale Beniowski, nie tracąc ani na chwilę spokoju, zaproponował, aby stało się zadość żądaniu sekretarza, żeby wezwano natychmiast podanych przez Izmailowa świadków, a on zaczeka w sąsiednim pokoju na ich zeznania, aby ponieść karę, jeśli вина jego

się potwierdzi.

— Wiadomo jest wszystkim, iż Stiepanow od dawna przysięgał mi zgubę, a i to nikomu nie tajno, w jak ściślejsz z Baskarewym i Ziablikowym żyje on przyjaźni. Jakkolwiek więc świadkowie, na których szanowny Sergiusz Mikołajewicz powołuje się, są dla mnie nienawistni, zgadzam się na nich, aby raz koniec położyć potwarzom, które rząd niepokoją i grożą wszystkim moim pokojowym i kulturalnym planom!...

— Owszem, owszem!... Ale niech jednocześnie sprowadzą tu kata, żeby szczerą prawdę tym krętarzom i zbrodniarzom z wnętrzości wyrwał!... — srożył się sekretarz.

— Po co zaraz kata!? Ty byś wszystkich katował, wiadomo!... Jak nie dadzą należytych odpowiedzi, wezwiemy i jego... Lecz tak od razu, bez śledztwa — na to i prawo nie pozwala!... — sprzeciwił się Niłow.

— Należałoby wciągnąć w to jeszcze jaką niewiastę, bo z nią ciekawsza byłaby igraszka!... Czy nie sprowadzić czasem Kuźmianki, aby ją przez kata rozdziać i na wolnym ogniu, gdzie należy, przypiekać!? — żartował Beniowski.

— Ha, ha!... — śmiał się Niłow. — Powiadają, Sergiuszu Mikołajewiczu, żeś znowu swoją Agafię przetrzepał!...

Zżymał się sekretarz i brzuch gniewnie co chwila poprawiał.

— Milcz, obieżyświacie!... — syknął wreszcie na Beniowskiego. — Jeszcześ nie wolny, jeszcześ „rab”, a i z wolnego za podobne twoim sztuczki skórę zdjąć należy!...

— No, no!... Dosyć!... Zapominasz z kim mówisz!... — wstrzymywał go naczelnik. — Zresztą zaraz to się okaże, z kogo ściągać skórę będziemy!

Przyprowadzono Boskarewa i Ziablikowa. Za-

częło się badanie, podczas którego Beniowski zabawiał się rozmową z niewiastami w jadalni.

Pytani z osobna i po kolei zgodnie zeznali, że w ścisłej żyjąc przyjaźni ze Stiepanowym i słysząc go często utyskującego na Beniowskiego, znienawidzili tego i nawet szukali jego zguby, gotowi byli mu śmierć zadać, jednakowoż o żadnym spisku nie słyszeli.

— Wprawdzie Izmailow na kilka dni przed odjazdem ułożył sobie podobną bajeczkę, lecz pochodziła ona wyłącznie od niego i Stiepanow jej stanowczo zaprzeczył. Wtedy poznaliśmy, że Izmailow chciał nas użyć za narzędzie swojej osobistej zemsty i mocnośmy się na niego za tę niegodziwość oburzyli i gdyby nie nagły jego odjazd, zażądalibyśmy od niego z tego porachunku. Obecnie wstyd nam, że daliśmy mu się wpłatać w tak szpetną sprawę i żalujemy naszych dawnych słów i podejrzeń z całego serca!

Po odejściu świadków powstał Niłow na sekretarza. Beniowski starał się gniew jego ułagodzić i nawet pozyskać znowu ufność zawstydzonego i poniżonego urzędnika.

— Cóżem ja winien?... — zaczął się ten wreszcie usprawiedliwiać. — Obowiązek służby kazał mi natychmiast o tak ważnej sprawie donieść wam, czeigodny Iwanie Piotrowiczu!... Czyż mogłem przypuszczać, że ten niepoń tak mię okłamie!... Łotr i w dodatku rodzony synowiec... Już ja mu dam przy okazji, już ja mu za cały mój srom zapłacę!...

— Ech, co tam!... Dajmy temu spokój!... Małoż to głupstw i myśmy robili w młodości, szczególnie gdy nam krew zapaliła podwika!... Ale ognistego masz krewniaka, Sergiuszu Mikołajewiczu!... Wiadać, że to familijne!... Co?... Wszystko dobre, co się dobrze kończy! Co?... Wypijmy więc na zgodę

i tyle, he! — radził rozweselony naczelnik.

Kazał sobie podać szlafrok kunami podbity, dźwignął się z łoża i zasiadł na zwykłym miejscu przed stołem, na którym domyślna Marta Karłowna już postawiła kielichy i pełne wódek gąsiory.

Gdy na odchodnym opowiedział Niłowowej i Nastazji Beniowski o co go obwiniano i co mu groziło, zbieła z przerażenia Niłowowa jak płótno, a Nastazja nawet zemdlła. Gdy ocucono dziewczynę, Beniowski pożegnał się z niewiastami i wyniósł się co prędzej z fortecy z mocnym postanowieniem nie wracania tu już nigdy.

XLII.

Przeżyte wzruszenia zmogły jednak i żelazne zdrowie Beniowskiego. Straszliwa żółciowa kolka i jego powaliła na łożo. Podczas gdy leżał na wpół z bólu przytomny, wpadł Chruszczow, donosząc, że komendant już wrócił z Wierchniego Ostroga i że kozak z jego konwoju przywiózł list od Izmałowa do Boskarewa i Ziablikowa.

Poczytując ich za swych przyjaciół, pisał Izmałow o swym rychłym powrocie, o wykryciu zabójstwa Lewantiewa z rozkazu Beniowskiego oraz o całym szeregu innych przestępstw „herszta”, udowodnionych przez licznych świadków, którzy niebawem zostaną sprowadzeni do Bolszeriecka po aresztowaniu głównego winowajcy i jego przyjaciół.

„Możecie więc powiedzieć Stiepanowowi, że wkrótce skończą się jego męczarnie!...” — dodawał w dopisku.

Beniowski kazał natychmiast zgromadzić spiskowców, przeczytać im powtórnie porządek komendy, podział na oddziały i oznaczenie miejsc, które każdy miał na dany sygnał zająć. Na długiej zer-

dzi kazał umocować nad bramą szkoły latarnię, aby każdy w razie nocnego alarmu mógł łatwo znaleźć drogę: mostek na rowie, otaczającym dom, kazał rozrzuć i zostawić jedynie wąską kładkę, wiodącą do obronnej furtki. Przygotowano broń, ładunki, sprawdzono zamknięcia bramy, drzwi, okiennic oraz całość częstokołu. Rozstawiono strażę.

Wieczorem dano znać Beniowskiemu, że przybyła Nastazja: kazał ją puścić natychmiast do wnętrza.

— Przechodzę pożegnać się z tobą, gdyz wydało się wszystko: przywieziono Izmailowa i dużo ludzi z Wierchniego. Ojciec wprost straszny, w matkę cisnął cynowym dzbanem i mocno ją zranił, a mnie szukał po całym domu... Niańka mię na strychu ukryła, skąd wieczorem uciekłam, aby ciebie ostrzec... Brama zwodzona w fortecy zamknięta i nikogo nie wpuszczają i nie wypuszczają bez pozwolenia ojca. Z trudem przekradłam się, przecisnęłam szparą w rozłamanym częstokole z tyłu, o której ci mówiłam. Ledwie nie utonęła w błocie, w fosie fortecznej... Nie wiem jak wrócę!...

— Zostań!... — rzekł gwałtownie Beniowski.

Dziewczyna spojrzała nań przeciągle i wstrząsnęła głową.

— Nie!... Ale pamiętaj: jeżeli przyjdzie do bitwy — oszczędzaj, proszę, ojca!

— Rozumie się!... Nie potrzebujesz mię o to prosić!... Sam twego ojca lubię... pomimo wszystko! Nie zapomnij tylko otworzyć twego okna od ogrodu!

— Już idę! Niech cię Bóg chroni!... — szepnęła dziewczyna.

Beniowski zbliżył się, lecz nie śmiał jej objąć: ucałował jedynie jej drżącą rękę.

Nad ranem przyszła wieść, że całą noc trwały

narady u naczelnika, że byli tam wszyscy urzędnicy, oficerowie i nawet główny zwierzchnik kamczadalskich „taju” okolicznych.

O dziesiątej zjawił się w szkole sierżant i zaprosił Beniowskiego na śniadanie do naczelnika. Beniowski wymówił się chorobą i obiecał, że przyjdzie jutro, jeżeli stan zdrowia mu pozwoli. Wysłaniec nastawał i groził, że ma rozkaz zmuszenia siłą Beniowskiego do słuchania siebie, przy czym ujął za rękojeść szpady. Beniowski pogroził mu pistoletem, twierdząc, że nie mógł otrzymać tak dziwaczного rozkazu prowadzenia siłą na śniadanie, żeby wynosił się natychmiast i nie wracał bez pisemnego rozkazu.

W parę godzin potem przybył komendant z kilkoma kozakami i lektyką naczelnikową... Beniowski na wieść, że idą, kazał wartom się ukryć i przepuścić ich swobodnie do wnętrza.

— Cóż to się stało, przyjacielu!... Chory jesteś!? A szkoda!... Wesoła gotuje się u naczelnika pohulanka!... Brak nam ciebie będzie... Pogadali byśmy o naszych kalifornijskich zamiarach!... A i obecnością swoją rozproszyłbyś wszelkie podejrzenia, wyległe z głupich bajek Izmailowa! Co, namysł się!... Może pójdziesz?...

— Żałuję bardzo, ale nie mogę! Ledwie się ruszam!... Mam ulanie żołądka, a ten wasz sierżant swym zachowaniem mój stan pogorszył!

— To też my cię poprowadzimy ostrożnie!... Mam ludzi, którzy ci iść pomogą. A nawet w potrzebie poniosą cię w lektyce.

— Dzięki ci serdeczne, Nikandrze Gawryłowiczu, ale wcale iść nie mam zamiaru!...

Zmienił się sętnik na twarzy i krzyknął gburowato:

— Nie pójdziesz!... Gwałtem cię zawlec tam rozkażę!...

Rozśmiał się Beniowski.

— Za krótkie ręce, mości komendancie!

— Bierzcie go, wiążcie!... — ryczał coraz głośniej rozłoszczony setnik.

Wpadli kozacy, lecz na gwizdnięcie wyskoczyli z ukrycia związkowcy, schwycili wszystkich i nałożyli im pęta.

Widząc się pokonanym, spokorniał Czernych i poprosił Beniowskiego, aby pozwolił mu napisać list do naczelnika.

— Owszem, pod warunkiem, że ja go przeczytam, gdyż uważam cię za mego wojennego jeńca...

— Aż tak!...

— Aż tak!...

Do krótkiego zawiadomienia komendanta, że został wzięty i zatrzymany jako zakładnik, dodał Beniowski długie wyjaśnienie, iż wobec spisku na jego życie i wolność wszystkich jego towarzyszy ze strony sekretarza Nowosiłowa, musi się bronić, że prosi, aby naczelnik nie uważał tego jego kroku za bunt i pozwolił mu wraz z wygnańcami udać się spokojnie do Łopatki, a zakładnicy natychmiast zostaną uwolnieni i spokój publiczny przywrócony.

O piątej przyszła odpowiedź Niłowa. Żądał wypuszczenia natychmiastowego komendanta oraz kozaków, groził odpowiedzialnością, rozkazywał stawić się niezwłocznie wraz ze spółnikami do śledztwa.

„Jeżeli dowiedziesz istotnie swej niewinności, Bóg świadkiem, że surowo ukarzę sekretarza, Izmailowa i wszystkich twych oskarżycieli. W przeciwnym razie zdaj się na łaskę nieskończenie dobrotliwej naszej Monarchini, nie powiększaj daremnym oporem swej winy. Zaklinam cię na dawną naszą przyjaźń!...” — pisał stary.

„Gdybym sam tylko jeden do tej okoliczności wchodził — odpowiedział Beniowski, — nie wa-

halbym się stanąć osobiście przed wami, Iwanie Piotrowiczu, moim sędzią i moim zwierzchnikiem. Lecz gdy podług własnych pana wyrazów uważany jestem za naczelnika wygnańców, których sekretarz Nowosiłow również zgubić zamierza, nie mogę samowolnie działać i z towarzyszami mymi porozumieć się muszę. A że dziś za późno ich zwoływać, zaczem jutro rano kategoryczną dam odpowiedź!...”

Tymczasem wygnańcy pośpiesznie ściągali swoje siły i gromadzili wszelki oręż oraz zapasy żywności do swej małej warowni, jaką była szkoła.

W głębi najobszerniejszej komnaty, oświetlonej płonącym na kominie ogniem, siedział Beniowski, a obok niego dowódcy oddziałów: Winblath, Panow, Chruszczow. Co chwila rozbrzmiewały na zewnątrz okrzyki wart:

— Kto idzie?...

— Swój!...

— Hasło?

— Wolność!...

Baturin, Sybajew, Gurcynin spotykali wchodzących, lustrowali ich broń, przeglądali rzeczy, odrzucając niemiłosiernie wszystko zbyteczne.

— Zlituj się, Wasza Szlachetność, przecież to wszystko moje własne!... Cóż ja z tym zrobię?... — opierali się niektórzy.

— Rzucisz, bratku, rzucisz!... I bez tego będziemy mieli dużo do niesienia amunicji i żywności!...

— To idziemy stąd?...

— A cóżeś ty myślał, że wiecznie tu będziemy siedzieć?... Zabieraj swoje i ruszaj a odłożone rzuć tam na kupę w kącie!...

Pokrzywdzony wahał się, spoglądał załośliwie na Beniowskiego, ale ten zdawał się nic z tego nie widzieć, nie słyszeć. Ruchliwe rysy jego twarzy

steżwały w niezłomnym skupieniu, piękne, powłóczyście oczy otwały się szeroko, patrzyły surowo. Na kogo padło dziwne ich spojrzenie, milkł onieśmielony i przejęty.

Wtem na ganku rozległa się wrzawa i szamotanie, drzwi otwały się szeroko i wpadła Ziablikowowa z dwojgiem dzieci, a za nią jeszcze parę kobiet:

— Cóż wy chcecie z nami zrobić, niegodziwcy? Rzucacie nas na sromotę i śmierć pewną!... Toć nas wyrzną rozjuszony kozaczyska na pewno... Ja tam nie zostanę! Jak sobie chcecie!... Gdzie mąż mój, tam i ja, według prawa!... — wołała Ziablikowowa.

— A juści!... My też!... — krzyczały inne.

— Zlitujcie się, Auguście Samuelowiczu, dajcie rozkazanie! Toć ani z dobytku, ani z domu nie zostanie, wszystko spalą i rozdrapią tutejsze drapieżce!... Dozwólcie choć życie ratować, choć dzieciaków... — wybuchnęła z płaczem Ziablikowowa, rzucając się do nóg Beniowskiego.

Ten wstał.

— Kto was tu wpuścił, kiedy surowo zabroniłem wpuszczać niewojskowych!?!... Sybajew, zmienić wartę i winnego postawić na godzinę w pełnym rynsztunku pod ścianą!...

— Ja nie pójdę, nie pójdę stąd!... — Zarznicie nas lepiej sami własną ręką!... — pisała Ziablikowowa, kładąc się na ziemi i przyciągając do siebie dzieci.

— Musisz, kobieto, odejść!... Tu nikt pozostać nie może, kto w boju udziału nie weźmie. Z tego tylko zamęt!... Potem, kiedy zdobędziemy okręt, zobaczymy, być może zabierzemy was!...

— A teraz co?... co?... Nie pójdę!... Ratunku!... Boże mój, Boże!...

W szeregach skupionych pod ścianami spiskow-

ców rozległ się pomruk.

— Pójdiesz, pójdiesz!... Sama pójdiesz i przyjaciółki swoje zabierzesz, kobieto!... Zrozum, że zgubicie i nas i siebie!...

— Za nic, za nic!... Tam ciemno, tam straszno... Beniowski pomyślał chwilę.

— Sybajew, zaprowadź je do mego gabinetu i zamknij!...

— Tam wszystko nasz proch i ognia zapalać nie można.

— Niech siedzą w ciemnościach!... Zrewidować i postawić wartę!... Pamiętajcie nie tam nie ruszać. Nieposłuszną zaraz wyrzucić każę za palisadę!

Zaledwie uporano się z żonami, gdy wprowadzono Stiepanowa: stanął blady i cokolwiek wyłękły między dwoma uzbrojonymi strażnikami.

— Puście go!... Jesteś wolny!... Więziliśmy cię dla własnego bezpieczeństwa, obecnie to zbyt czarne!... Możesz odejść i zostać tutaj w miasteczku jakś chciał... Nie ci nie robią, bo wiedzą o twojej zdradzie!

— Teraz... nie mam już... po co zostawać!... — odszepnął cicho.

Wśród wygnańców znowu dało się zauważyć poruszenie. Boskarew, Ziablikow młodszy oraz ich przyjaciele wystąpili cokolwiek naprzód.

— Niechby poszedł z nami, naczelniku!... przebaczenia, przebaczenia... dla wszystkich!... Wszyscy za chwilę staniemy w obliczu śmierci!... Łaski, zgody i przebaczenia!... — wołali.

Beniowski pomyślał i skinął ręką.

— Dobrze, niech idzie! Ale głową swoją odpowiadacie mi za jego zachowanie się!...

— Odpowiadamy!...

— Panow, do twego zaliczam go oddziału!

Obstąpili Stiepanowa radośnie jego przyjaciele,

a Panow zbliżył się do Beniowskiego i chciał dziękować, gdy do komnaty wpadł zmieszany warownik.

— Idą!...

Wszczął się ruch, rozległa się komenda. Chruszczow, Winblath, Panow wyprowadzili kolejno swoje oddziały, wzmacniali posterunki, rozstawione u palisady i przy bramie. Beniowski przepuszczał idących mimo siebie, przyglądał im się bystro a z kroczącym za innymi z muszkietem w rękę Stiepanowym zamienił krótkie, zimne spojrzenie.

Okazało się wszakże, że trwoga była daremna, że to wracał Loginow z sześciu towarzyszami, wysłany do miasta na zwiady oraz dla schwytania, jeśli się da, sekretarza. Lecz ten nosa nie wychylał z fortecy: spłądrowano jedynie mu dom, zabrano papiery, uprowadzono Agafię. W drodze powrotnej udało się też podjazdowi schwycić Izmailowa, pisarza Sudejkina i głównego kameczadalskiego „taju”. Agafię przyłączono do zamkniętych w sypialni Beniowskiego kobiet, a zakładników zbadaćno, związano i wtrącono do lochu, gdzie mieścił się skład solonych ryb, tranu oraz innej żywności.

Z otrzymanych wieści należało wnioskować, że napad odłożony został na dzień, że urzędnicy ściągają wciąż do fortecy kozaków, uzbrajają mieszczan i Kameczadalów.

Beniowski kazał części swej załogi położyć się spać, a sam rozmawiał cicho z Chruszczowym, oglądając pilnie przedstawiony przezeń rysunek.

— Mam nadzieję, że przez dzień jutrzejszy jeszcze przetrzymamy. Udamy, że się niby chcemy tutaj bronić!... Wtedy¹ ściągną wszystkie siły do miasteczka, rozumiejąc, że jesteśmy w położeniu bez wyjścia, że wcześniej czy później albo siłą, albo głodem, albo zdradą, nas wezmą, wobec tego, że nie przedsiębrać nie śmiemy. Tak uspiemy ich

czujność i na pewno o Czekawce i baterii pod latarnią zapomną. Wtedy niespodzianym napadem łatwo zabierzemy tamtejsze składy rządowe oraz redutę... — dowodził Beniowski.

— A jeżeli wezmą nas szturmem?... Mają armaty!... — zauważył ostrożnie Chruszczow.

— Ha, zapewne!... Wojna zawsze jest grą!... Ale czyż dziś możemy wyruszyć, nie odebrawszy żadnej odpowiedzi od Kuźniecowa i Czurina?... A co jeżeli reduta już jest obsadzona a okręt zajęty? Na okręcie, nie zapominaj, jest dwanaście armat, które z tyłu mocno nam szkodzić mogą, gdy przeciwnie w naszych rękach będą nam wielką pomocą. Gdyby zaś nieprzyjaciel te kroki zapobiegawcze uczynił, znaleźlibyśmy się w otwartym polu otoczeni i łatwo zostalibyśmy wytopieni przez nadbiegłą z miasta załogę. Myślę, że należy czekać na odpowiedź i względnie do niej wziąć postanowienie... Wyślij jeszcze jednego pewnego posłańca do Czurina!

— A jeżeli złapią go?...

— Wyślij najzręczniejszego! Zresztą to trudno, bez hazardu nie ma wygranej!...

— Chyba Sybajewa, on jeden...

— Szkoda Sybajewa, mężnie się potyka, ale sprawa zbyt jest ważna!... Niech idzie!...

Reszta nocy przeszła spokojnie.

XLIII.

Pochmurny, dżdżysty poranek nie sprzyjał podniesieniu uczuć wśród niewyspanych, zmęczonych wygnańców.

Wstawali ze snu leniwo, jakby przygnębieni wspomnieniem tego, co się stało, i rozmyślaniami o tym, co ich czeka. Wolno porządkowali zmiętą

w czasie spoczynku odzież i umywali się kolejno na ganeczku. Tunczasem kucharze przyrządzali strawę u suto płonącego ogniska, a kolejni wartownicy szykowali swą broń i ładownice. Dusze jednak wszystkich były na zewnątrz, wsłuchane w najmniejszy dźwięk, przedzierający się przez szum łopocącego na wietrze lasu, przebijający się przez plusk i szmer pluchoty.

— Trzeba ich czymś zająć!... — szepnął Beniowski do Chruszczowa, oglądając chmurne twarze spiskowców. — Czy wszystko gotowe do drogi?

— Ach, tak! Wczoraj jeszcze powiazaliśmy węzły!...

— Każ Baturinowi, żeby ich przemustrował!... Tu w izbie częściami, żeby nie zmokli na deszczu...

Po śniadaniu zaczęły się więc ćwiczenia z bronią, które istotnie podniosły trochę ducha.

W tym czasie przyszła pierwsza wieść pomyślna: wrócił Sybajew ze spotkanym na drodze wysłańcem Kuźniecowa, który zawiadamiał, iż reduta jest zupełnie opuszczona, że Czurin przychylił się stanowczo do rebelii i poprze ją z okrętu w razie potrzeby armatami. Kuźniecowa szedł ze swoim oddziałem na pomoc i miał zjawić się lada chwila.

Niedługo potem przybył zbieg z miasta, Kamczadał, niewolnik kupca Oleskowa, i opowiedział, że żołnierze i kozacy rewidują domy, ulice i zaułki w miasteczku, szukając zaginionego Izmailowa, pisarza Sudejkina i kamczadałskiego „taju”, którzy mieli wczoraj jeszcze przybyć do fortecy, aby świadczyć przeciw Beniowskiemu: że wściekły z powodu ich zniknięcia Nilow zaczyna wszystko uważać za intrygę sekretarza Nowosiłowa: kazał go nawet aresztować, a sam skłonny jest do zgody z rebeliantami.

Beniowski wypytał zbiega, co z tego opowia-

dania widział na własne oczy, a co słyszał i od kogo? Po czym ku zdziwieniu wszystkich kazał go związać i wtrącić do lochu z innymi jeńcami.

Wkrótce jednak istotnie przybył goniec z listem od gubernatora, ogłaszającym powszechne przebaczenie wygnańcom i pozwalający im na zatrzymanie komendanta Czernych oraz innych zakładników, ale żądający w zamian, aby Beniowski poddał się czterem żołnierzom, których w razie zgody niezwłocznie on, gubernator, po niego przyśle, żeby przybył pod ich strażą do fortecy złożyć usprawiedliwiający go zeznanie.

Jeszcze Beniowski nie zdążył dać na te punkty odpowiedzi, gdy przybiegła chyłkiem niewolnica Niłowowych i wręczyła mu list od Nastazji. Pannienka zaklinała go, iżby co prędzej przybywał do fortecy, zaręczając mu bezpieczeństwo oraz upewniając o bezwzględnej przychylności ojca.

„Ojciec przejrzał i zrozumiał całą zdradliwość sekretarza w tej sprawie. Już kazał go zakuć w dyby. Przyjdź więc i dokonaj swego zwycięstwa. Liczę na twą miłość!... — pisała.

Wahał się chwilę Beniowski, a Chruszczow, któremu list ów pokazał, nawet nastawał, by raz jeszcze użył swej zręczności i zyskał pożądaną zwłokę aż do ustąpienia lodów z zatoki.

— Nie wytrzymamy oblężenia tak długo. Nawet gdy Kuźnieców z nami się połączy, nie będziemy mieli więcej jak sześćdziesięciu kilku ludzi. Obecnie jest nas wszystkiego pięćdziesięciu siedmiu... Czyż z taką siłą zdołamy złamać dzieść kroć razy silniejszego i zasobniejszego w broń i amunicję nieprzyjaciela!... — dowodził.

— W dodatku ludzie nasi wcale kiepskie dziś mają miny... — podtrzymał go Baturin.

Wtem z wytrąsniętej przez Beniowskiego koperty wypadł obrzynek czerwonej wstążki.

— Wszystko to jeno fortel! Znam ja dobrze waszych jenerałów!... — odrzekł spokojnie Beniowski. — Wyprowadźcie natychmiast swoje oddziały na podwórze i obsadźcie palisadę, aby wiedzieli, że się strzeżemy. A posłanca z moim listem odesłajcie natychmiast do miasta — zwrócił się do Winblatha, Baturina i Panowa.

O piątej wieczorem zjawił się przed bramą zapowiedziany kapral z czterema żołnierzami i imieniem Imperatorowej głośno zażądał, aby mu ją otwarto.

— Ach, głupi chłopie!... Cóż to myślisz w nas wmówić, że Imperatorowa takich jak ty drabów na posłańców sobie wybiera?... A gdzie masz rozkaz cesarski?... — żartował z żołnierza Winblath.

— Jego Wysoka Szlachetność naczelnik powiedział, że mam wziąć Beniowskiego, który obiecał się poddać!

— A w takim razie chodź po niego, ale sam jeden!... Beniowskiego może nie dostaniesz, ale dostaniesz za to wódki i list od niego do twojego gubernatora!

Żołnierz zgodził się: zaledwie wszakże próg furtki przekroczył, rozbrojono go, zatkano mu gębę szmatą i poprowadzono do domu przed oblicze Beniowskiego.

Tam musiał wyśpiewać wszystko, co wiedział o przygotowaniach i zamiarach rządowych. Po czym kazano mu wezwać jednego po drugim towarzyszy, niby na wódkę: wszystkich rozbrojono i zamknięto w piwnicy.

Już gęsty zmrok wieczorny zapadł nad lasem, gdy czujki znać dały, że ciągnie przez gęstwinę duży oddział żołnierzy. Aby, upewnić się, czy to czasem nie Kuźniecowa, wziął Beniowski Winblatha z dwudziestoma ludźmi i ruszył na spotkanie oddziału.

Oddział szedł drogą boczną wielką, ciemną kupą, migając w ciemnościach białymi lampasami ładownic. Po miarowym stapaniu i tych białych błyskach poznał łaćno Beniowski, że są to żołnierze. Puścił ich na strzał i okrzyknął, żeby nie wazyli się dalej posuwać. Kupa zatrzymała się, po czym naraz zachręściły zamki muszkietów, błysnęła podwójna nić czerwonych ogni, zahuczały strzały i kule ze świstem śmignęły po gałęziach drzew.

— Ognia z kolana!... — krzyknął z kolei Beniowski.

Zerwali się z ziemi leżący w ukryciu wygnańcy i dali salwę. Rozległy się jęki, krótka komenda i ciemna gromada, zamykająca przelot drogi, zniknęła w ciemnościach. Zapanowało głuuche milczenie nawet jęki ustały, szumiał jeno wiatr i słyćhać było ciche, pojedyncze kroki oddalające się śpiesznie w stronę miasta.

— Położyli się i posłali po sukurs do miasta!... Słuchaj, Winblath, ty tu ich przytrzymaj!... Jak się ruszą, pał zaraz, a jak się zaczną cofać, gnać ich przed sobą, ale niezbyt daleko!... Pójdę tymczasem rozporządzić się, żeby nas czasem nie oskrzydłili inni!

Z niecierpliwością czekano na Kuźniecowa, aby pod osłoną ciemności rozpocząć odwrót ku reducie pod morską latarnią. Zamiast niego jednak około północy usłyszano znowu od strony miasta wielki chrzęst, łoskot i chlupanie na głównej drodze, po których poznano, że toczą ku nim tamtędy działa.

Beniowski z oddziałem Baturina pośpieszył na-przeciw idącym. Zobaczył wśród swoich żołnierzy Stiepanowa z bronią w ręku i kiwnął mu życzliwie głową.

— Jak tak dalej pójdzie, to znowu będziemy

przyjaciółmi! — rzekł mu dość głośno, aby usłyszano to w szeregach.

Oddział rażno ruszył przekątną dróżką w bok nieprzyjacielowi. Było ciemno, jak oko wykol, ale wygnańcom znany tu był każdy nieledwie wybój i sęczonek, szli więc cicho. Gdy byli już na strzał i przygotowali się do niespodzianej salwy, krzyknął im nagle oficer rządowy, iżby się poddali, gdyż inaczej ma ordonans w pień ich wyciąć. Widocznie usłyszano ich.

— Możemy kapitulować, ale w przód wiedzieć potrzeba na jakich warunkach? — odparł Beniowski.

— Jakież podajesz kondycje?...

Tak rozmawiając, oba oddziały zwolna zbliżały się do siebie: wtem Beniowski zauważył podejrzany ruch u armat, Kazał więc po cichu swoim położyć się co prędzej i strzelać, leżąc.

W tejże chwili ryknął spisz, zaświegotały góry po gałęziach kartacze, a wśród czerwonego blasku i dymu wygnańcy spostrzegli tuż przed sobą paszczę dział wśród kolumny żołnierzy na dwie strony rozstąpionej.

Niezwłocznie puścili w nią swe kule raz za razem i rzucili się z krzykiem wielkim do ataku: z boku Winblath podtrzymał ich strzałami do swego leżącego na ziemi nieprzyjaciela. Zmieszani żołnierze, uważając się za otoczonych, pierzchnęli w stronę przeciwną w las, zostawiając bez osłony armaty. Beniowski w oka mgnieniu opanował, je zwrócił na oddział przyczajony nad rowem pod strażą Winblatha i poczęstował go z flanku kartaczami. Niewiele pewnie wyrządził nieprzyjacielowi w ciemnościach szkody, lecz tak go przeraził, że chyłkiem rozpełzli się natychmiast i pośpieszyli w ślad swych towarzyszy. Beniowski kazał zabrać rannym i zabitym muszkiety oraz ładownice, ze-

brał wszystkie oddziały razem i, tocząc przed sobą armaty, pomaszerował ku bolszerieckiej fortecy.

Powodzenie i obecność dział wielce dodały ducha rebeliantom. Jedyń! Chruszczow szepnął w drodze do Beniowskiego:

— Czy nie lepiej jednak trzymać się starego planu i pomaszerować ku reducie nad morzem!?

— Na to zawsze będzie czas!... — odparł równie cicho Beniowski. — Spróbujemy przedtem ostrzelać fortecę! To im dobrze zrobi!... A może uda się i co innego!...

Zbliżył się do Sybajewa i, wzięwszy go pod rękę, szeptał z nim coś długo.

Szli przez miasteczko puste, jakby wymarłe, bez najmniejszego gdziekolwiek światelka. W dali czerniała również ciemna, nieprzenikniona warownia. Ciężka, kwadratowa baszta wznosiła się wysoko za zwodzonym mostem: między drewnianymi bastionami zębiły się długie linie ostrokołu.

Gdy zbliżyli się do zwodu, szyldwach otworzył nad furta okienko i zapytał ich, czy prowadzą jeńców.

Wziął ich widocznie za swych kamratów.

— Spuszczaj, gapiu, most!... Na co czekasz!?! — zagrmiał oficerskim basem Sybajew.

Żołnierz widać poznał głos dawnego naczelnika, bo mruknął:

— Słucham, Wasza Szlachetność! — i zamknął okienko.

Zazgrzytały łańcuchy, most opadł, otwarła się czarna paszcza bramy z niewyraźnie majaczącymi u jej wejścia figurami zbrojnych żołnierzy.

— Naprzód! — zakomenderował Beniowski.

Spiskowcy rzucili się ławą i nim grenadierzy zdolali krzyknąć, już opanowano wejście, broniących się zabito, innych zamknięto rozbrojonych na odwachu.

Niezwłocznie Beniowski kazał zwód na powrót podnieść, wysłał oddziały do obsadzenia bastionów oraz do zajęcia koszar i rozbrojenia śpiących tam żołnierzy, sam zaś pośpieszył z małym oddziałem do domu Niłowa.

W sam czas, gdyż już wszczął się popłoch w twierdzy, wywołany strzałami napastowanych sztyldwachów. W oknach domu płonęły i ruszały się niespokojnie światła.

Gdy Panow zastukał do drzwi, nie odpowiedziano mu wcale: natomiast w głębi rozległ się krzyk i płacz kobiet. Kazał Panow pod drzwi podłożyć petardę, a Beniowski tymczasem obszedł pośpiesznie dom dookoła i przez otwarte okno wpadł do pokoju Nastazji

— Jestem!... Nie lękajcie się, nie wam nie będzie! Gdzie ojciec?

— W świetlicy. Szykuje się do obrony! Bądź ostrożny, Maurycy!... — szepnęła drżącym głosem dziewczyna.

Beniowski przebiegł korytarz, pokój jadalny, gdzie przy blasku kaganka dojrzał na wpół ubraną panią Niłowową, tulącą do piersi młodsze dzieci.

— Niestety!... Niestety!... Już są... Auguste Samuelowicz, co robić!? Łaski! — wołała.

— Niech się pani uspokoi, ręczę, że nikomu z was włos z głowy nie spadnie!

Wtem drzwi otwarły się i na progu ukazał się Niłow z pistoletem w ręku.

— Kto tu?... Co znaczą strzały?... Ach, Beniowski, więc przyszedłeś!...

— Poddaj się, Iwanie Piotrowiczu!... Opór daremny!... Twierdza wzięta, w naszej jesteś mocy!...

Niłow patrzył nań długą chwilę, jakby nie rozumiał. Dopiero gdy Beniowski krok ku niemu postąpił, wyprężył się stary, twarz mu się krwią nalała i krzyknął:

— Zdrajco!... W przód mi zapłacisz!

Wypalił jednocześnie w pierś napastnika: zachwiał się Beniowski, lewe ramię opadło mu bezwładnie, lecz nim dym się rozsiał, już rzucił się ku Niłowowi, błagając go rozpaczliwie:

— Poddaj się, poddaj!... Oddaj broń i uchodź do dziecinnego pokoju... Za chwilę będą tu moi żołnierze!... Słyszysz!

Istotnie do drzwi w korytarzu coraz gwałtowniej dobijał się wystraszony strzałem Panow.

Ale Niłow ani myślał się poddawać, wywijał pustym pistoletem i cofał się, klnąc brzydko.

— Komuż to ja mam się poddać, podły niewolniku?... Tobie?... Ja, Naczelnik Kraju, zastępca Jej Cesarskiej Mości! Kawaler orderów! Nie twoje doczekanie, podły psie!... Hej, do mnie, żołnierze!... Raczej ty sam zginiesz przedtem, plugawy Polaku! Niedoczekanie twoje, żebym ja, kapitan Niłow, weteran spod Oczakowa, pooddał się...

Skoczył do stołu i szukał na nim nowego ładunku, ale Beniowski przypadł i, pociągnawszy za róg kilimu pokrywającego stół, zrzucił wszystko na ziemię. Wtedy stary z nalanymi krwią oczyma cisnął się jak dzik na przeciwnika i schwycił go za gardło. Po krótkim szamotaniu się twarz Beniowskiego posiniała, zacharczał i potoczył się w tył, ale w tej chwili gwałtowny huk wstrząsnął domem, wyleciały drzwi, wysadzone petardą i zbrojny orszak wdarł się do domu. Zagrzmiały strzały...

Gdy Beniowski przyszedł do siebie, pierwszą rzeczą, jaką spostrzegł, była pochylona nad nim blada twarz Panowa, drugą — leżący obok niego trup starego Niłowa z przestrzeloną głową.

— Gdzie kobiety?... Postaw straż u drzwi! — wyszeptał cicho. — Dajcie mi wody!...

Podano mu kielich wódki, wypił go chciwie, a że na zewnątrz dalej huczały strzały i wzrastał tu-

mult, Beniowski dźwignął się ciężko z ziemi i, poleciwszy straż nad domem Panowowi, zostawił mu paru ludzi, a resztę poprowadził w bój. Ogień regularny z ręcznej broni za palisadą wskazywał, że fortecę atakują żołnierze. Szyldwach, postawiony u bramy, wołał rozpaczliwie na całe gardło:

— Tutaj!... Tutaj!... Nieprzyjaciół idzie...

Ale nikt nań nie zważał, wszyscy zajęci byli walką z rozproszonymi tu i tam gromadkami załogi, szturmowaniem do koszar, do składów, gdzie odstrzeliwali się zamknięci żołnierze.

Beniowski kazał zaprzestać szturmów i gromadzić się wszystkim ku bramie. Przy koszarach zostawił zaledwie czterech, aby pilnowali wyjścia i straszyli zamkniętych częstymi strzałami. Winblathowi polecił zbierać i prowadzić spiskowców na wały. Sam Beniowski obsadził niezwłocznie bastiony i raził stamtąd skutecznie nacierających kozaków i żołnierzy nieustającym ogniem z muskietów. Ci rażno odpowiadali, wybornie wskazując cel błyskami swych strzałów. Wkrótce nadszedł Winblath z dwudziestoma spiskowcami i przyprowadził zapasowe armaty. Zatoczono je natychmiast na wały i dano ognia kartaczami do rojących się za fosą kup. Za wydaniem powtórnego strzału rozproszyli się doszczętnie i nie ponawiali już ataku.

Beniowski kazał rozstawić warty, uprzątać trupy, opatrywać rannych, poprawić niezwłocznie uszkodzenia palisad i mieć się wciąż na baczności, w pogotowiu do odparcia ponownego szturmu.

Winblath, Chruszczow, Banow, Sybajew, Gurcynin rozbiegli się w rozmaite strony pełnić wydane rozkazy.

Zamknięci w koszarach żołnierze poddali się pod grozą ustawionych przeciwko nim armat.

Już świtało, gdy Beniowski, zlustrowawszy posterunki, posłał wreszcie Baturina do pani Niło-

wowej z prośbą, aby go przyjęła. Zanim posłany wrócił, pikietą postawiona od miasta dała znać, że z tamtej strony słyhać wielki szmer jakowys i loskot. Wstąpił więc znowu Beniowski na bastion i, spostrzegłszy wielką moc ogni płonących i poruszających się wśród miasta, wysłał Chruszczowa z dwoma odważnymi towarzyszami na zwiady. Sam powiadomiony przez Baturina, że Niłowowa nań czeka, udał się do domu naczelnika.

Smutne to było spotkanie. Zbolała, na wpół przytomna z przerażenia, siedziała pani Niłowowa w gieźle jeno i w spódnicy na ławie w tej samej sali, gdzie na stole leżał wyciągnięty trup jej męża.

Upadł przed nią na kolana Beniowski, ręce i nogi całował, błagając o przebaczenie. Nie odpychała go, nie broniła mu swych rąk, jeno nie mówiła, nie płakała nawet, jakby nieczuła na wszystko, co się dokoła działo.

— Gdzie dzieci?... — spytała wreszcie cichym głosem.

— Nastazja Iwanowna z resztą rodzeństwa jest zamknięta w piwnicy dla ochrony przed kulami!... Jest tam z nimi felczer, któremu kazałem puścić im krew dla bezpieczeństwa. Pani też by to należało zrobić!...

— Ale... wartę!... Po co postawiono wartę!? Nie puszczają mię!...

— Warta postawiona jedynie dla ochrony państwa. Każę ją natychmiast zdjąć, gdyż jest pani po dawnemu panią w swoim domu!

— Więc niech przyprowadzą dzieci!...

Beniowski wydał rozkaz i odszedł, nie chcąc spotkać się z Nastazją.

Tymczasem wrócił Panow i, wzięwszy na stronę Beniowskiego, zdał sprawę, że wszyscy mężczyźni wyruszyli z miasta, zostawiając jeno kobiety i dzieci, że uwolniony z lochu przez żołnierzy ko-

mendant gromadzi resztki garnizonu kozaków i okolicznych Kamczadałów, że obrał stanowisko na górach, gdzie się okopał w półmilowej odległości od miasta, że czeka jeszcze przybycia posiłków, aby ponownie szturm do fortecy przypuścić, a w razie niepowodzenia otoczyć ją i ogłodzić: że ma już koło siedmuset ludzi i że napływają coraz nowi.

Beniowski zwołał natychmiast radę wojenną do kancelarii fortecznej i proponował przede wszystkim wypuścić z więzienia aresztowanych za rozmaite przestępstwa, darować im winy i wkluczyć ich do szeregów spiskowych dla wzmocnienia siły zbrojnej. Następnie przedstawił położenie rzeczy, wykazał, że forteca ściśle obleżona długo się nie ostoi, że szczupłość załogi nie pozwoli obronić całego jej obszaru przed szturmem generalnym, poprowadzonym ze wszech stron jednocześnie, że trzeba wyszukać jakich innych sposobów wysunięcia się z matni, albo obezwładnienia nieprzyjaciela.

— W takim razie wróćmy do starego planu i rejterujmy na redutę do Czekawki!... — radził Chruszczow.

— A armaty?... Czyż zdołamy wziąć z sobą wszystkie armaty i potrzebną do nich amunicję!... to na nic!... — oponował Winblath.

— Armaty zagwoździmy, amunicji weźmiemy tyle, ile trzeba, resztę utopimy w fosie... — dowodził Baturin.

— Nie dojdziemy nawet do Czekawki! — przerwał spór Beniowski. — Skoro zauważą, że opuściliśmy fortecę, napadną na nas i zgniotą przeważną liczbą w czystym polu!...

— Okopać się i obwarować tutaj w jakim z kątów fortecy, pomniejszyć linię obronną... — radził Gurcynin.

— Nie podobna, wszystko jest tak z sobą powiązane że zdobywszy pewną część okopów, zapalą

zaraz palisadę, budynki i żywcem nas upieką, albo wysadzą w powietrze, dzięki wybuchowi prochów! — zauważył Baturin.

Panow milczał i spoglądał na Beniowskiego. Ten słuchał i dopiero w końcu, gdy wypowiedzieli się wszyscy i rozpacz zaczynała dźwięczeć w słowach radzących, ozwał się surowo:

— Nie ma co, trzeba będzie uciec się do środka ostatecznego, barbarzyńskiego, ale... nie widzę innego sposobu! Trzeba będzie dzieci i kobiety pozostałe w mieście spędzić do cerkwi i zagrozić, że je spalimy, w razie jeżeli ojcowie nie upokorzą się, nie wydadzą nam broni i zakładników!...

— I spalimy je... doprawdy?... — spytał drżącym głosem Chruszczow.

— I spalimy je doprawdy!... groźnie powtórzył Beniowski.

Oficerowie powstali.

— Nie!... Nawet za cenę życia!... Toć to wszystko znajomi!... Nie!... — zaszeptali Sybajew, Gurecynin, Chruszczow.

— Po cóż palić?... Można udać, że je spalić chcemy! Można w ostatniej chwili je potajemnie z cerkwi wyprowadzić i spalić ją pustą! — radził Baturin.

Ja też myślę, że do spalenia nie dojdzie, ale... wojna wymaga przede wszystkim szczerości postanowienia, gotowości pójścia do końca! Raz się zacznie pożar i walka, to nie wiadomo co z tymi nieszczęsnymi ofiarami stać się może! — odrzekł Beniowski.

Długo milczeli oficerowie, wreszcie Winblath i Panow wypowiedzieli się za Beniowskim, zgodził się z nimi po pewnym wahaniu i Sybajew. Plan niewielką większością został przyjęty.

Niezwłocznie zabrano się do wykonania postanowienia. Kazał Beniowski sprowadzić więźniów

z turmy i ogłosić im rezolucję Rady, że będą wolni, ale muszą wstąpić do wojska i słuchać ślepo rozkazów.

Stojący na przedzie ogromny kozak z wyrwanymi nozdrzami padł natychmiast na kolana i, wyciągając rękę ze złożonymi do przysięgi palcami, zawołał:

— Dotrzymałeś słowa watażko! Przysięgam ci na duszę mą i Zbawiciela, że będę ci służył... jak miecz katowski!...

Pochylił się, pocałował ziemię i uderzył po trzykroć czołem, inni więźniowie powtórzyli przysięgę i uczynili to samo.

— Pamiętajcie, że za najmniejsze nieposłuszeństwo kula w łeb bez długiego zachodu... Teraz tu rządzą prawa wojenne!... — surowo zapowiedział im Beniowski.

Odprowadzono ich do koszar, ubrano w mundur, wzięte ze skarbowych składów, i dano im broń.

Inna część załogi pod dowództwem Panowa i Łoginowa wyszła do miasta i rychło spędziła gromadę lamentujących kobiet i dzieci do cerkwi na placu przed forteczką.

W oddali widać było wśród zgromadzonych na stoku wzgórza kozaków i żołnierzy wielkie zaniepokojenie, ruch i formowanie szyków.

Beniowski przez lunetę pilnie śledził za nimi, stojąc na bastionie; przed nim u armat, skierowanych na plac i drogę, stali z zapalonymi lontami artylerzyści Winblatha.

Obok z jednej strony skupiła się garstka oficerów, z drugiej strony stała w pogotowiu reszta załogi pod broonią, składająca się przeważnie z niedawnych „nowobrańców”, z ludzi piętnowanych, z osobników o twarzach dzikich, okrutnych, odrażających. Wszyscy z zapartym oddechem śledzili za

gromadzeniem dookoła cerkwi palnych materiałów, sągów drzewa, desek, wiórów i chróstu.

Wysłany przez Beniowskiego niewolnik kamczadalski z listem już dosięgał obozu nieprzyjacielskiego; widać było wybornie, jak drapał się z trudem pod górę, wymachując białą chusteczką, widać było, jak obścapił go kozacy, żołnierze, jak komendant w błyszczącym mundurze odbierał odeń pismo, jak je czytał. Następnie widać było, jak przybyła delegacja kobiet, jak zawrzało znowu, jak poruszyły się kolumny żołnierzy, jak kobiety padły przed nimi na kolana, jak przemawiał coś długo chytry komendant...

I, oto, nadspodziewanie znów wszystko uspokoiło się, cofnęły się na pozycje i wyrównały złamane na chwilę szeregi nieprzyjacielskiego wojska.

Długo czekał daremnie Beniowski, coraz spoglądając w lunetę, i czekali wokoło niego coraz bledsi i coraz bardziej wzruszeni spiskowcy.

Wreszcie przybiegł od cerkwi Łoginow i zapytał z odległości przez fosę:

— Co robić?...

— Powiedźcie kobietom, że zaraz zostaną żywcem spalone, i na mój znak chorągwią podpalcie z czterech rogów wióry!...

Po chwili okropny krzyk, wycia i łkania, pisk przeraźliwy dzieci buchnęły z cerkiewnego budynku. Przyglądający się w głębi placu Kameczadale częścią rozpierzchli się, częścią z jękiem popadali na ziemię: jeszcze chwilę i Beniowski podniósł rękę i powiał czerwoną chorągwią.

Białe dymki z początku małe, potem coraz gęstsze i ciemniejsze, słupem popłynęły z czterech rogów ku górze.

I wydało się na chwilę Beniowskiemu, że odległość między nim i jego oficerami jak gdyby zwiększa się, że oni jak gdyby bezwiednie cofają

się, że zostaje on osamotniony z tą zgrają piętnowaną, stojącą bez ruchu po drugiej jego stronie z bronią u nogi. Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta, podniósł lunetę i skierwał ją ku kozackiemu obozowi.

— Wstrzymajcie ogień!... Gaście!... Idą, już idą!...

— Chwała niech będzie Miłościwemu Bogu!... — krzyknął gorączkowo Chruszczow.

Istotnie na górze znowu wszczął się gwałtowny ruch, pojawiła się na dzidach moc białych chustek, roje ludzi bezładnie zbiegało po zboczu, a na przedzie pędziło dwóch kozaków, trąbiąc, wymachując papierem i białą chorągwią.

Pozarem już nie podobna było owładnąć, huczał i szalał i słał ku błękitom nieba czarne słupy dymu, przesnute krwawym płomieniem i siwym oparem. Ale budynek cerkiewny czerniał wśród wianka ognia jeszcze nietknięty.

— Wyprowadzajcie kobiety, wyprowadzajcie kobiety!... Zgadźmy się!... Komendanta (który nas oszukał, mówiąc, że ty nie ośmielisz się zapalić cerkwi, że to tylko z twojej strony fortel, związaliśmy... Prowadzą go oraz innych oficerów, kupców i zakładników, których żądałeś... I my wszyscy idziemy poddać się; broń złożona została na górze... Poślij swoich, żeby ją odebrali!... Ale przedtem wyprowadźcie z ognia kobiety i nasze dzieci!... I nie pal miasta! Wyprowadźcie kobiety!...

— Owszem, wyprowadzimy je tu... pod armaty!... I wy wszyscy zgromadzicie się na tym tu placu pod armatami, zanim nie odbierzemy od was broni i zakładników! — rozkazywał Beniowski.

I tak się stało.

Po rozbrojeniu mieszkańców i kozaków, po wybraniu pięćdziesięciu przedniejszych obywateli, jako zakładników, kazał Beniowski otworzyć kazermy i wypuścić czterdziestu więzionych tam żołnierzy.

Sekretarza Nowosiłowa, komendanta Czernych oraz paru radnych, znanych z przywiązania do rządu, kazał zamknąć wraz z zakładnikami; wyznaczył w mieście naczelników i sędziów dla utrzymania porządku, kozakom i żołnierzom obiecał w dalszym ciągu wydawać należny żołd i utrzymanie.

Ale sam Beniowski już nie mógł doglądać spełnienia tych rozporządzeń; rana w rękę tak się zapiekła, zaogniła i rozboleła, że musiał zawołać Lapina, by mu kulę wyjął. Długo krajał felczer opuchłe ciało, zanim ją znalazł. Osłabionego utratą krwi i cierpieniem Beniowskiego zaniesiono do domu komendanta, tu wkrótce dostał mocnej gorączki i wpadł w malignę.

Nie dowierzając zręczności felczera, zaczęto szukać fizyka Medera, lecz Meder przepadł bez śladu; dopiero z wielkim trudem odnaleziono go w ciemnej komórce w jego własnym domu. Nie chciał wyjść, siłą wywleczono go stamtąd i nieprzytomnego postawiono wobec chorego Beniowskiego. Meder wciąż nie poznawał towarzyszy spiskowych i pewny, że stoi przed naczelnikiem Niłowym, błagał go o łaskę i obiecywał wyznać całą prawdę. Dopiero wypiwszy na rozkaz Baturina kieliszek wódki, przyszedł do siebie i, dowiedziawszy się o zwycięstwie, o mało nie zwariował z radości. Wziął się żywo do opatrzenia rany Beniowskiego, ale głową mocno kręcił.

— Musisz go uratować — krzyknął na niego

Panow — bo przecież to dopiero początek!... Co się z nami stanie!?!...

— Wiem, że muszę, lecz do diaska, po cóżeście tak ranę zapaskudzili... ha? Słyszycie, co?!...

— Chwili nie było wytchnienia!

— Teraz musicie mu dać choć parę dni spokoju!... Inaczej za nic nie ręczę!... — nastawał Me-der.

W cichej, półciemnej jadalni Niłowowych usunięto stół, a na jego miejsce wstawiono łożo, na którym Beniowski przeleżał nieprzytomny dni kilka.

Nie słyszał, jak wynoszono ciało Niłowa, którego według pierwotnego rozkazu Beniowskiego pochowano ze wszystkimi honorami wojskowymi. Nie słyszał śpiewów duchowieństwa, ani strzałów salutowych: nie wiedział nic o zamachu, jaki dokonało stronnictwo rządowe, dowiedziawszy się o jego chorobie, ani o rozruchach miejskiego motłochu, który rozbił i zrabował sklepy kupca Kazari-nowa i pokuszał się nawet owładnąć rządowymi składami wódek i futer.

W krótkich chwilach przebłysków świadomości wydało mu się, że rozpoznaje, jak przez mgłę, pochyloną nad sobą miłą twarz Nastazji, lecz skoro przytomność zaczęła wracać, Nastazja znikła i czy to było urojenie, czy prawda, nie wiedział, gdyż wstydził się pytać.

Zaraz zresztą napłynęły setki ważniejszych spraw. Przyszedł Chruszczow i powiadomił go, że lody na rzece nareszcie ruszyły, że Kameczadale z dalekich ułusów nie wiadomo w jakim celu ciągną do miasta pod wodzą Orunczy, że wreszcie połączone załogi Wierchniego Ostroga i Niżnie-Kamczacka również szykują wyprawę, że w samym mieście głucho nurtuje wśród mieszkańców

bunt, pomimo wymuszonej na nich uroczystej przysięgi.

— Któż im kazał przysięgać?

— Panow kazał za poradą, zdaje się, Stiepanowa i nas do tego zmusił... W samej załodze naszej o mało nie wybuchły z tego powodu swary, gdyż Panow, Baturin i inni oficerowie żądali, aby przysięgano na wierność cesarzewiczowi Pawłowi Piotrowiczowi, a Kuźniecow i czerń nie chcieli przysięgać, ino nieboszczykowi cesarzowi Piotrowi Trzeciemu, mówiąc, że ten wcale nie umarł i że rychło się ludowi objawi...

— Trzeba było nie dopuszczać do żadnych przysięg!... Przysięgaliście mnie i jeszcze was od przysięgi nie zwolniłem! — wybuchnął Beniowski.

— Właśnie dowodziłem im to samo!... — brocił się Chruszczow.

Pod wpływem tych wieści dźwignął się z łoża Beniowski wcześniej, niż mu doktor pozwolił. Wyслуchał sprawozdania Winblatha, któremu powierzył główny zarząd wojskowości. Okazało się, że choć dziewięciu ze spiskowców w czasie walki poległo, a siedmiu z nich ciężkie otrzymało rany, siła wojenna wzrosła do stu ludzi przez włączenie uwolnionych ochotników. Że amunicji, broni, zapasów żywności i ubrania w magazynach rządowych znalazło się pod dostatkiem, ale że pieniędzy w skarbcu narachowano wszystkiego dwadzieścia tysięcy rubli, za to futer jaskawych pełne składy.

Beniowski kazał zrobić niezwłocznie spis wszystkiego; z sum zabranych dziesięć tysięcy rubli rozdać między oficerów i załogę, resztę przelać do kasy. Skarbnikiem nazначył Bielskiego.

Chruszczowowi polecił niezwłocznie popłynąć do Czekałki, objąć w jego, Beniowskiego, imieniu w posiadanie okręt „Świętego Piotra i Pa-

wła", a inne statki stojące w zatoce spalić. Batu-
rinowi i Gurcyninowi rozkazał zająć się pobudo-
waniem tratw, na których można by spławić do
morskiej zatoki od razu działa, amunicję, żywność
i ludzi, kiedy przyjdzie na to czas.

Zawrzała usilna praca w fortecy i miasteczku.
Pojawienie się na fortecznym dziedzińcu Beniow-
skiego wywołało wśród załogi wybuch szczerej
radości.

Tegoż wieczora Winblath doniósł mu, że pani
Niłowowa prosi, żeby pozwolić jej opuścić twier-
dzę wraz z dziećmi i przenieść się do miasta.

— A gdym zwrócił jej uwagę, że dom dość ob-
szerny i że mogłaby mieszkać w nim swobodnie
aż do naszego wyjazdu, odparła, że nie godzi się
jej korzystać z gościnności ludzi, którzy bądź co
bądź zabili jej męża!... — dodał Szwed z przeką-
sem.

— Bardzo słusznie!... — odparł Beniowski i
kazał niezwłocznie wydać Niłowowej glejt na wol-
ny przejazd, gdzie tylko zechce, na przewóz wol-
ny rzeczy oraz polecił wypłacić jej zaległą pensję
mężowską ze skarba. Prosił również, aby zgodzi-
ła się na widzenie z nim przed wyjazdem.

Pani Niłowowa odmówiła przyjęcia pieniędzy
oraz uchyliła się od widzenia z Beniowskim, pod
pretekstem swojej słabości.

Wrócił Chruszczow z oznajmieniem, że okręt
gotów jest i że zatoka szybko oczyszcza się od lo-
dów, dzięki wiatrom wiejącym z lądu i prądom
płynącej już rzeki. Tegoż dnia na kilku przygoto-
wanych tratwach wysłał Beniowski pod mocnym
konwojem na okręt trzydziestu trzech zakładni-
ków i sto sześćdziesiąt sześć fas z różnymi wiktu-
alami i towarami.

Dnia 5 maja rozkazał Beniowski protojerejo-
wi odprawić uroczyste nabożeństwo i wypowie-

dzień przychylnie dla rewolucji kazanie, po którym związkowcy i cały nowo-zaciężny garnizon za-przysiągł mu powtórnie posłuszeństwo, a rozmaici dawni urzędnicy, wojskowi i radni miejscy zobowiązali się również pod przysięgą, że nie uczynią nic do chwili wyjazdu Beniowskiego bez jego wiedzy i pozwolenia. On zaś obiecywał im przysłać z Kalifornii statki i siłę, zbrojną, która obro-ni ich przed śledztwem i wyzwoli z ucisku...

Po czym nastąpiła wspañiała biesiada, na którą byli zaproszeni i przedniejsi obywatele miasta.

Pod jej koniec dostał Beniowski poufny list od pani Niłowowej; prosiła, aby przyjął pod swą opiekę i wywiózł z Imperium Rosyjskiego jej starszą córkę, Nastazję.

„Gdyż pobyt jej tu jest niemożliwy i po waszym odjeździe zostanie ona na pewno natychmiast schwytana i uwięziona za rzekomy udział w waszym spisku. Kara ją czeka sroga, tortury i śmierć. Niech więc jedzie z tobą i szuka swego losu... Mam nadzieję, że przez pamięć dawnych naszych stosunków otoczysz ją należytą opieką i zastąpisz ojca, którego śmierci mimowolną sta-łeś się przyczyną. Ponieważ w tych dniach mam zamiar zupełnie opuścić miasto, Nastazja uda ucieczkę i zjawi się, gdzie jej rozkażesz, ze swą kameczadalską służącą”.

Beniowski zaraz wziął na stronę Chruszczowa i wydał odpowiednie rozporządzenia, po czym wrócił do fortecy.

Jednocześnie Panow wraz z archidiakonem spiskowym Protopopem i wierniejszymi związkowcami zabrali przemocą z głównej cerkwi cudowny obraz Ś-go Mikołaja i z wielką ostentacją przewieźli go do Czekałki na okręt „Piotra i Pawła”.

Wszystko to zajęło niezmiernie wiele czasu i

wzburzyło silnie mieszkańców; nikt jednak nie śmiał ani kroków żadnych czynić, ani się nawet skarżyć Beniowskiemu na nadużycia, jakie się działy w czasie rekwizycji, pomimo nadzoru oficerów. Dużo ludzi jednak porzuciło swe domy i uciekło w lasy.

W miarę jak przygotowywano tratwy, kazał Beniowski spławiać działa, amunicję, futra i zapasy. Kazał zabrać archiwum kancelarii. Natomiast zostawił odpis rzeczy skonfiskowanych.

Dzień cały od świtu do głębokiej nocy upływał mu na gorączkowej działalności, na słuchaniu doniesień i wydawaniu rozkazów.

Pewnego razu zjawił się doń, gdy pracował nad papierami, blady Stiepanow i oświadczył, że pani Niłowowa wyjechała, ale bez starszej córki, że ta podobno odeń uciekła i kryje się tu... w jego domu... w męskim przebraniu.

— Pozwól mi, proszę cię!... Muszę się z nią widzieć!...

— Owszem, zobaczysz się z nią, ale nie prędzej, jak na okręcie...

— Więc jej tu nie ma?...

— Nie!...

— Porwałś ją?...

— Jedzie dobrowolnie!...

— Aha!... — szepnął Stiepanow z zimnym błyskiem w oczach. — To tak!...

— Mój drogi, nudzisz mię! Wybaw mię od swoich rozmów i wracaj natychmiast do wyznaczonego ci zajęcia!...

— Słucham!... odrzekł po wojskowemu spiskowiec, odwrócił się i wyszedł.

Tegoż dnia w nocy Beniowski popłynął łodzią do Czekałki. Czekał nań tam i przyjęto z radosnymi okrzykami. Czurin zdał raport i zapewnił,

że za parę dni, jeżeli wiatr się nie odmieni, będzie można wyruszyć na pełne morze.

7-go maja Beniowski oglądał roboty prowadzone przy ładowaniu okrętu i wyrąbywaniu dokoła niego lodów. Pracowała nad tym większość związkowców i stu przypędzonych na robotę kozaków. Wtem dano mu znać, że schwytano w pobliżu obozu kameczadalskiego „taju” z Kawki, u którego niegdyś gościł, zaczajonego z pistoletem na drodze, jaką miał Beniowski powracać. Wystraszony krajowiec wydał współników: wygnańca Guriewa i porucznika Wolnowa.

Złożono na nich natychmiast sąd, który skazał winowajców na śmierć, lecz za wstawiennictwem Beniowskiego zamienił ją na plagi. Osmaganych odesłano do miasta do lazaretu, a jednocześnie polecono konwojującemu ich kozakowi Riuminowowi zabrać z magazynu wszystką mąkę, jaką tam znajdzie, gdyż żywności po obliczeniu okazało się za mało.

Mąka już była z magazynów rozdrapana przez mieszkańców i Riumin musiał ją zbierać po domach. To wywołało zwłokę w terminie wyruszenia statku.

Dopiero 11-go maja odesłał Beniowski zakładników do miasta, za wyjątkiem Izmailowa, którego za zdradę i wywołany przez nią przelew krwi skazano na pełnienie służby okrętowego kuchty.

Była godzina jedenasta rano. Zimne mgły, unoszące się nad morzem, pełnym jeszcze kier, już się rozsiały. Białolazurowy błękit ledwie marszczącej się wody i pogodnego nieba zlał się w jedną przedziwną całość. Daleko, daleko chmury i lody tworzyły mieniące się srebrem korowody.

Na statku zaintonowano „Ciebie, Boże, chwali-my”, według greckiego obrządku. Po czym wywieszono banderę konfederacji barskiej przy dwu-

dziestu wystrzałach armatnich i podniesiono żagle.

Statek, spowity wieńcem prochowego dymu, kołysząc się wdzięcznie pod naporem wzdętych płótnisk, ruszył w modrą dal...

K O N I E C .

P a r y ż , 6 m a j a 1913 r .



